



GORZKA
CZEKOLADA

NELE
NEUHAUS

ŚNIEŻKA MUSI UMRZEĆ

[KRYMINAŁ NA NAJWYŻSZYM POZIOMIE.
ŚWIATOWY BESTSELLER.]

Media Rodzina

Śnieżka musi umrzeć

Nele Neuhaus

Media Rodzina (2013)

Po dziesięciu latach wychodzi na wolność Tobias Sartorius, morderca dwóch nastolatk. Nie pamięta wydarzeń feralnego wieczoru, chociaż wszystkie poszlaki wskazywały na niego. Wraca do rodzinnej wsi, gdzie czeka na niego tylko podupadły na duchu ojciec, zrujnowany dom rodzinny i wściekli mieszkańcy, żądni krwi mordercy ich dzieci. Jednak nie wszyscy są mu wrody. Rękę wyciąga do niego garstka znajomych sprzed lat, a także zbuntowana nastolatka Amelie, która wierzy w jego niewinność. Tymczasem w podziemnym zbiorniku na starym lotnisku wojskowym robotnicy wykopują ludzkie kości. Niedługo potem ktoś spycha kobietę z kładki dla pieszych. Nadkomisarz Oliver von Bodenstein i komisarz Pia Kirchoff rozpoczynają śledztwa w obu tych sprawach. Trop prowadzi ich do Altenhain i do Tobiasa.

Czy były więzień może być niebezpieczny? Czy to raczej jemu grozi niebezpieczeństwo?

W tej małej, niegdyś sielskiej społeczności, zawiązują się ciche porozumienia podskórne układy. W powietrzu czuć zgniły zapach mrocznej tajemnicy. Mieszkańców wiąże zmowa milczenia, a każdy z nich wydaje się mieć coś na sumieniu. Miejscowy bogacz, wioskowy głupek, antypatyczna sklepowa, dawni koledzy... W Altenhain ile domów, tyle trupów w szafach.

A jednak przysypana sprawa sprzed lat odżywa z pełną mocą. Kto jest zbrodniarzem, a kto ofiarą? I jeśli nie Tobias zabił, to kto?

Śnieżka musi umrzeć to trzymający w napięciu, fenomenalny kryminał, pełen nagłych zwrotów akcji. To układ równań z wieloma niewiadomymi, diabelnie trudny do rozwikłania. Czytelnik nie jeden raz może mieć pewność, że zna rozwiązanie zagadki, ale ostatecznie wartka fabuła zawsze zwiedzie go na manowce. Książkę czyta się jednym tchem, akcja trzyma w napięciu do samego, bardzo zaskakującego finału. Wszystko to sprawia, że lektura Śnieżki zadowoli każdego smakosza kryminałów, ale też, po prostu, każdego smakosza dobrej książki.

NELE NEUHAUS
ŚNIEŻKA
MUSI UMRZEĆ

Tłumaczyli
Anna i Miłosz Urbanowie

Tytuł oryginału: SCHNEEWITTCHEN MUSS STERBEN

Przełożyli: ANNA I MIŁOSZ URBANOWIE

Projekt logotypu Gorzka Czekolada: DOROTA WĄTKOWSKA

Projekt okładki: AGATA WODZIŃSKA-ZAJĄC

Copyright © Ullstein Buchverlage GmbH, Berlin

Published in 2010 by List Taschenbuch Verlag

Copyright © for the Polish edition by Media Rodzina Sp. z o.o, 2013

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki

– z wyjątkiem cytatów w artykułach i przeglądach krytycznych

– możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydanie I elektroniczne

ISBN 978-83-7278-804-7

Media Rodzina Sp. z o.o.

ul. Pasieka 24, 61-657 Poznań

www.mediarodzina.pl

mediarodzina@mediarodzina.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](#)

Spis treści

Dedykacja

Prolog

Czwartek 6 listopada 2008

Piątek 7 listopada 2008

Sobota 8 listopada 2008

Niedziela 9 listopada 2008

Poniedziałek 10 listopada 2008

Wtorek 11 listopada 2008

Środa 12 listopada 2008

Czwartek 13 listopada 2008

Piątek 14 listopada 2008

Sobota 15 listopada 2008

Niedziela 16 listopada 2008

Poniedziałek 17 listopada 2008

Wtorek 18 listopada 2008

Środa 19 listopada 2008

Piątek 21 listopada 2008

Sobota 22 listopada 2008

Niedziela 23 listopada 2008

Poniedziałek 24 listopada 2008

Wtorek 25 listopada 2008

Podziękowania

PROLOG

S tromie stopnie były wąskie i pokryte rdzą. Po omacku znalazł włącznik i sekundę później dwudziestopięciowatowa żarówka wydobyła z mroku niewielkie pomieszczenie. Ciężkie stalowe drzwi otworzyły się bezgłośnie. Regularnie smarował zawiasy, żeby nie obudziło jej skrzypienie, kiedy przychodził w odwiedziny. W nozdrza uderzyło go ciepłe powietrze wymieszane ze słodkawą wonią przekwitłych kwiatów. Starannie zamknął za sobą drzwi, włączył światło i znieruchomiał. Duże pomieszczenie, długie na dziesięć metrów i szerokie na pięć, było skromnie umeblowane, lecz on dobrze się tu czuł. Podszedł do wieży i nacisnął PLAY. Z głośników popłynął zachrypnięty głos Bryana Adamsa. Nie przepadał za muzyką, lecz ona uwielbiała śpiew tego Kanadyjczyka. Starał się, by niczego jej nie brakowało. Skoro musiała pozostawać w ukryciu, powinna mieć wszystko, co lubi. Milczała jak zwykle, nigdy z nim nie rozmawiała i nie odpowiadała na pytania, lecz jemu to nie przeszkadzało. Odstawił parawan oddzielający część pomieszczenia. Leżała na wąskim łóżku, nieruchoma i piękna, z dłońmi złożonymi na brzuchu, a długie włosy otaczały jej głowę niczym czarny welon. Na podłodze obok stały buty, a na stoliku nocnym bukiet zwiędłych lilii w szklanym wazonie.

– Witaj, Śnieżko – powiedział cicho.

Pot wystąpił mu na czoło. Trudno było wytrzymać wysoką temperaturę, ale ona lubiła gorąco. Szybko marzła. Spojrzał na zdjęcia, które powiesił obok łóżka. Miał zamiar zapytać, czy pozwoli mu przynieść kolejne. Bał się, by jej nie urazić; zdecydował, że poczeka na lepszy moment. Ostrożnie przysiadł na kołdrze. Materac ugiał się pod jego ciężarem i miał wrażenie, że się poruszyła. Ale nie. Nawet nie drgnęła. Wyciągnął dłoń i dotknął jej policzka. Przez lata twarz dziewczyny straciła kolor i przybrała żółtawy odcień, a skóra stała się krucha niczym pergamin. Jak zawsze miała opuszczone powieki i choć jej policzki nie były już różowe i miękkie, usta pozostały piękne jak dawniej – jak wtedy, kiedy jeszcze z nim rozmawiała i uśmiechała się do niego. Przez dłuższą chwilę siedział i patrzył. Nigdy bardziej nie pragnął, by ją chronić.

– Muszę już iść – odezwał się w końcu z żalem. – Mam dużo pracy.

Wstał, wyjął bukiet z wazonu i upewnił się, że butelka coli jest pełna.

– Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebowała, dobrze?

Czasem brakowało mu jej śmiechu. Robił się wtedy smutny. Oczywiście wiedział, że jest martwa, lecz łatwiej było mu udawać, że wciąż żyje. Nie stracił nadziei, że jeszcze kiedyś się do niego uśmiechnie.

CZWARTEK 6 LISTOPADA 2008

Nie powiedział „do widzenia”. Nikt, wychodząc z więzienia, nie wypowiada takich słów. Przez ostatnie dziesięć lat często, ba, nawet bardzo często myślał o tym dniu. Teraz niespodziewanie uświadomił sobie, że jego myśli sięgały jedynie chwili przestąpienia bramy prowadzącej na wolność – wolność, która nagle wydała mu się niebezpieczna. Nie miał żadnych planów na życie. Już nie. I wbrew powtarzanym jak mantra zaklęciom pracowników socjalnych, od dawna wiedział, że świat na niego nie czeka. I że powinien przygotować się raczej na niechęć, odrzucenie i przyszłość bynajmniej nieusłaną różami. Mógł zapomnieć o karierze lekarza, o której marzył jako świeżo upieczony maturzysta, z samymi piątkami z egzaminów. Być może przyda mu się fach ślusarza, którego wyuczył się w więzieniu. Tak czy inaczej, właśnie nadszedł czas, by zmierzyć się z życiem.

Za jego plecami zasunęła się z metalicznym zgrzytem szara stalowa brama zakładu karnego JVA Rockenberg. Wtedy ją dostrzegł. Stała po drugiej stronie ulicy. Zaskoczyła go, choć przez ostatnie dziesięć lat była jedyną osobą ze starej paczki, która przysyłała mu listy. Tak naprawdę spodziewał się ojca. Opierała się o błotnik srebrnego samochodu terenowego i, paląc nerwowo papierosa, rozmawiała przez komórkę. Nie ruszył się z miejsca. Kiedy go poznała, wyprostowała się, schowała telefon do kieszeni płaszcza i cisnęła niedopałek na ziemię. Zawahał się, ale po chwili przeszedł na drugą stronę i stanął przed nią, ściskając w lewej dłoni niewielką walizkę, mieszczącą jego cały dobytek.

– Witaj, Tobi – powiedziała i zaśmiała się nerwowo.

Dziesięć lat to bardzo dużo; dokładnie tyle czasu się nie widzieli. Nie chciał, żeby go odwiedzała.

– Cześć, Nadja – odparł.

Dziwnie się poczuł, używając jej nowego imienia. Na żywo wyglądała jeszcze lepiej niż w telewizji. Młodziej. Stali naprzeciwko siebie i mierzyli się niepewnym wzrokiem. Podmuch chłodnego wiatru przeganiał jesienne liście po ulicznym bruku. Słońce skryło się za grubymi, szarymi chmurami. Zrobiło się zimno.

– Wspaniale, że już wyszedłeś. – Objęła go w pasie i pocałowała w policzek. – Ogromnie się cieszę. Serio.

– Ja też. – W chwili kiedy wypowiedział te słowa, zaczął się zastanawiać, czy tak jest naprawdę. Radość to przecież coś innego niż poczucie wyobcowania i niepewności...

Puściła go, bo nawet nie drgnął, by odpowiedzieć takim samym gestem. Niegdyś była jego najlepszą przyjaciółką; jej obecność traktował jako coś tak oczywistego, jak to, że po nocy nastaje dzień. Córka sąsiadów. Siostra, której nigdy nie miał. Bardzo się zmieniła i nie chodziło tylko o imię.

Z chłopięcej Nathalie-podlotka, która wstydziła się piegów, szpary między zębami i piersi, stała się Nadją von Bredow, sławną aktorką. Urzeczywistniła swój sen: opuściła wioskę, z której oboje pochodzili, i wspięła się na sam szczyt drabiny społecznej, gdzie czekała ją sława i powszechne uznanie. On za to nie zdołał postawić stopy nawet na pierwszym stopniu. Od dziś był tylko byłym więźniem, który co prawda spłacił swój dług wobec społeczeństwa, lecz mimo to świat nie czekał na niego z otwartymi ramionami.

– Twój ojciec nie dostał na dziś wolnego – wyjaśniła, odsuwając się kawałek. Unikała przy tym patrzenia mu w oczy, jakby zaraziła się jego niepewnością. – Dlatego ja przyjechałam.

– Dzięki, to bardzo miło z twojej strony. – Tobias postawił walizkę na tylnej kanapie jej wozu i usiadł w fotelu pasażera.

Jasna skórzana tapicerka była idealnie gładka, a wewnątrz samochodu pachniało nowością.

– No, no – mruknął z uznaniem, spoglądając na deskę rozdzielczą. Przypominała mu kokpit samolotu. – Niezła bryka.

Nadja uśmiechnęła się, zapięła pasy i, nie wkładając nawet kluczyka do stacyjki, nacisnęła guzik. Silnik natychmiast zaskoczył, wydając przyjemny basowy pomruk. Z wprawą wyjechała potężną maszyną z miejsca parkingowego. Tobias przesunął wzrokiem po koronach kasztanowców rosnących wzdłuż więziennego muru. Przez ostatnie dziesięć lat ich widok stanowił jego jedyny kontakt ze światem zewnętrznym. Wraz z kolejnymi porami roku drzewa były realną oznaką rzeczywistości, podczas gdy resztę świata za więziennymi murami spowijała szara mgła. A teraz on, skazany za podwójne zabójstwo, odsiedział karę i musiał wyjść na zewnątrz. Musiał zanurzyć się w tej szarej mgle. Czy tego chciał, czy nie.

– Dokąd mam cię zawieźć? Pojedziemy do mnie? – zapytała Nadja, skręcając na wjazd na autostradę. Ostatnio w listach wielokrotnie go namawiała, by na początku zamieszkał u niej – pisała, że jej mieszkanie we Frankfurcie jest dostatecznie duże. Myśl, by nie wracać do Altenhain i uciec przed przeszłością, była kusząca. Mimo wszystko podziękował.

– Może potem – odparł. – Najpierw chciałbym do domu.

*

KOMISARZ PIA KIRCHHOFF z policji kryminalnej stała w strugach deszczu na terenie dawnego lotniska wojskowego niedaleko Eschborn. Blond włosy miała związane w dwa krótkie kucyki, na głowie bejsbolówkę, a ręce ukryte w kieszeniach ortalionowej kurtki. Beznamiętnie przyglądała się technikom, jak siłują się z plandeką, starając się zabezpieczyć wykop. W czasie wyburzania walącego się hangaru operator koparki znalazł w pustym podziemnym zbiorniku ludzkie kości i czaszkę, a potem, rozwścieczając tym swojego szefa, powiadomił policję. Roboty budowlane wstrzymano przeszło dwie godziny temu, a ona musiała teraz wysłuchiwać nieprzyjemnych tyrad

wściekłego brygadzysty, którego międzynarodowa ekipa niemal rozpułnęła się w powietrzu na widok policji. Mężczyzna zapalił trzeciego papierosa w ciągu ostatnich piętnastu minut i skrył głowę w ramionach, jakby chciał w ten sposób uchronić się przed kapiącym za kołnierz deszczem. Przez cały czas mełł pod nosem przekleństwa.

– Czekamy teraz na lekarza medycyny sądowej. Zaraz powinien się pojawić. – Pii nie obchodziło ani to, że przy rozbiórce pracowali robotnicy zatrudnieni na czarno, ani opóźnienia w harmonogramie. – Możecie przecież zająć się innym hangarem, prawda? Mało ich tutaj?

– Łatwo pani mówić – poskarżył się mężczyzna i wskazał na unieruchomioną koparkę i ciężarówkę. – Przez tych kilka kostek mamy paskudne opóźnienie. To będzie kosztowało majątek!

Pia wzruszyła ramionami i odwróciła się, bo dostrzegła samochód podskakujący na popękanych betonie pasa startowego. Chwasty skolonizowały każdą szczelinę niegdyś gładkiej powierzchni, zmieniając ją w prawdziwy tor do jazdy terenowej. Od czasu, kiedy lotnisko przestało funkcjonować, natura zawzięcie udowadniała, że pokona każdą przeszkodę postawioną jej przez człowieka. Pia zostawiła złorzeczącego robotnika i ruszyła w kierunku mercedesa, który zatrzymał się przy radiowozach.

– Nie spieszyło ci się – niezbyt przyjaznym tonem przywitała byłego męża. – Będiesz miał mnie na sumieniu, jeśli złapię grypę.

Doktor Henning Kirchhoff, zastępca szefa Instytutu Medycyny Sądowej we Frankfurcie, nie dał się sprowokować. Z całkowitym spokojem włożył obowiązkowy jednorazowy kombinezon, zamienił błyszczące lakierki z czarnej skóry na kalosze, a głowę ukrył pod kapturem.

– Miałem wykład – wyjaśnił. – A potem utknąłem w korku przy targach. Przykro mi. Co my tu mamy?

– Szkielet w jednym z podziemnych zbiorników. Firma rozbiórkowa zgłosiła sprawę dwie godziny temu.

– Czy ktoś go ruszał?

– Nie sędzę. Z tego, co wiem, usunęli część murów i ziemię dookoła, a potem odcięli górną część zbiornika, bo był zbyt duży, żeby wywieźć go w całości.

– Świetnie. – Kirchhoff kiwnął głową, przywitał się z technikami, podniósł plandekę i zaczął schodzić na dno wykopu, gdzie leżała pozostała część skorupy z kośćmi. Bez dwóch zdań, Henning Kirchhoff był najwłaściwszym człowiekiem do tego zadania, bo był jednym z niewielu policyjnych antropologów, a badanie ludzkich kości należało do jego specjalności. Wiatr był tak silny, że deszcz zacinał niemal poziomo. Pia trzęsa się z zimna. Ciężkie krople spadały z daszka jej czapki na nos, nogi miała tak zmarznięte, że nie mogła poruszać palcami, i zazdrościła nielicznym pozostałym robotnikom z ekipy rozbiórkowej, którzy schowali się w hangarze. Mieli tam przeczekać przymusową przerwę, popijając gorącą kawę z termosów. Henning jak zawsze sumiennie zabrał się do pracy –

ilekroć miał przed sobą ludzkie szczątki, tracił kontakt z otoczeniem i poczucie czasu. Wszedł do zbiornika, przyklęknął na dnie i nachylił się nad szkieletem. Uważnie analizował każdą kość z osobna. Pia wetknęła głowę pod plandekę i chwyciła szczebel drabiny, by nie zsunąć się na dół.

– Kompletny szkielet! – krzyknął Henning, nie podnosząc głowy. – Kobieco.

– Młoda czy stara? I od jak dawna tu leży?

– Za wcześnie, żeby cokolwiek powiedzieć. Na pierwszy rzut oka przynajmniej kilka lat, bo brak śladów tkanek miękkich – odpowiedział, po czym wstał i wspiął się na powierzchnię.

Na dno wykopu zaraz zeszli technicy i zabrali się za zabezpieczanie szczątków, żeby przy transporcie nie zmienić ich ułożenia. Dopiero kiedy znaleziony materiał trafi do laboratorium, rozpoczną się szczegółowe analizy. W czasie robót ziemnych dość często znajdowano ludzkie kości, a ustalenie, jak długo tam leżały, było ważne ze względu na trzydziestoletni okres, po którym przedawniały się przestępstwa przeciwko życiu i zdrowiu – zatem również morderstwa. Dopiero kiedy ustalono, ile lat miał denat – lub denatka – w chwili zgonu i jak długo szkielet znajdował się w ziemi, można było zacząć przeszukiwać kartoteki zaginionych. Na starym lotnisku wojskowym ostatnie samoloty lądowały w latach pięćdziesiątych dwudziestego wieku i zapewne wtedy też po raz ostatni zbiorniki zostały napełnione paliwem. Szkielet mógł więc należeć do amerykańskiej żołnierki z bazy wojskowej USA, która funkcjonowała w pobliżu do listopada 1991, albo do mieszkanki dawnego obozu dla uchodźców zajmującego teren za wysokim płotem z drutem kolczastym.

– Wskoczysz gdzieś na kawę? – Henning zdjął okulary, starł z nich krople deszczu i zdjął przemoknięty kombinezon. Pia popatrzyła na byłego męża zaskoczona. Prywatne wyjścia w czasie pracy nie były w jego przypadku czymś zwyczajnym.

– Coś się stało? – zapytała oschle.

Wykrzywił usta, po czym głęboko westchnął.

– Siedzę po uszy w gównie – przyznał się. – Potrzebuję twojej rady.

*

WIOSKA PRZYCUPNEŁA w górskiej dolinie, przygnieciona dwoma szkaradnymi wieżowcami wybudowanymi w latach siedemdziesiątych, kiedy każda gmina z aspiracjami wydawała zezwolenia na podobne maszmary. Po prawej stronie znajdowało się Wzgórze Milionerów, jak starzy mieszkańcy okolicy złośliwie nazywali zbocze, gdzie na rozległych działkach nieliczni majątni przyjezdni pobudowali swoje rezydencje. Serce biło mu coraz mocniej, im bliżej byli rodzinnego domu. Po raz ostatni widział go przed jedenastoma laty. Po prawej stronie stał stary budynek z muru pruskiego, w którym mieszkała babcia Dombrowska. Od kiedy sięgał pamięcią, wyglądał, jakby w pionie podtrzymywały go dwa inne budynki, między które się wcisnął. Nieco dalej, po lewej stronie, znajdowało się gospodarstwo Richterów i ich sklep, a naprzeciwko, nieco na skos, karczma jego

ojca, Pod Żłotym Kogutem. Głośno przełknął ślinę, kiedy Nadja zatrzymała się przed podjazdem. Z niedowierzaniem spoglądał na zniszczoną fasadę, odpadający tynk, opuszczone kraty w oknach i naderwaną rynnę. Z pęknięć w asfalcie wyrastały chwasty, a brama wjazdowa wisiała krzywo na uszkodzonych zawiasach. Miał wielką ochotę poprosić, by natychmiast ruszyła i zawiozła go gdzieś daleko stąd, im szybciej, tym lepiej... Powstrzymał się jednak, podziękował jej krótko, wysiadł i wziął walizkę z tylnego siedzenia.

– Daj mi znać, jeśli będziesz czegoś potrzebował – powiedziała jeszcze, dodała gazu i odjechała.

Czego właściwie się spodziewał? Że będą na niego czekali z muzyką? Stał samotny na pustym asfaltowym parkingu przed miejscem, które niegdyś było sercem tej smutnej, zapadłej dziury. Dawniej oślepiająco biały tynk poszarzał i odpadał płatami, a napisu „Pod Żłotym Kogutem” niemal nie dało się odczytać. W drzwiach, za pękniętą mleczną szybą, wisiała wyblakła tabliczka „Zamknięte do odwołania”. Ojciec wspominał mu co prawda, że musiał zamknąć lokal, lecz tłumaczył się problemami z kręgosłupem. Tobias domyślał się jednak, że coś innego skłoniło go do podjęcia takiej decyzji. Hartmut Sartorius został karczmarzem, kontynuując tradycję trzech pokoleń. Całym sercem i duszą oddał się swojej pracy – sam oparował mięso, sam przygotowywał posiłki, robił wino jabłkowe i przez te wszystkie lata nie opuścił nawet jednego dnia. Może goście przestali przychodzić? Nie zdziwiłby się, gdyby nikt nie chciał się bawić w karczmie ojca podwójnego mordercy. Tobias nabrał głęboko powietrza i podszedł do wewnętrznej bramy. Musiał się napiąć, żeby odsunąć choćby jedno skrzydło. Stan podwórza wprowadził go w osłupienie. Tam, gdzie latem pod grubymi konarami starego kasztanowca i przy malowniczo zarośniętej dzikim winem pergoli zawsze stały krzesła i stoły, gdzie zapracowane kelnerki obsługiwały gości, dziś królował smutek i bałagan. Tobias wodził wzrokiem po górach śmieci, zniszczonych meblach i rupieciach. Pergola częściowo się zawaliła, dzikie wino uschło. Opadłe liście kasztanowca leżały niezamiecione, a śmietników od tygodni nikt nie opróżniał, bo worki z odpadkami piętrzyły się dookoła, tworząc cuchnącą górę. Jak rodzice mogli mieszkać w takim miejscu? Poczuł, że opuszczają go resztki odwagi, która sprawiła, że w ogóle tu przyjechał. Z ociąganiem podszedł do schodów, wspiął się na nie i stanął przed drzwiami. Potem powoli podniósł dłoń i zadzwonił. Kiedy szczęknął zamek, serce podskoczyło mu do gardła. Na widok ojca jego oczy wypełniły się łzami, ale jednocześnie poczuł ogromną złość; złość na siebie i na ludzi, którzy opuścili jego rodziców w potrzebie.

– Tobias! – Zapadniętą twarz Hartmuta Sartoriusa na chwilę rozjaśnił uśmiech.

Ojciec był tylko cieniem energicznego, pewnego siebie człowieka, jakim Tobias go pamiętał. Gęste niegdyś, ciemne włosy pokryły się siwizną i przerzedziły, a zgarbione plecy zdradzały brzemie, jakie życie złożyło na jego barkach.

– Ja... chciałem tutaj posprzątać, żeby było czysto na twój przyjazd... ale nie dostałem wolnego i... – powiedział i przerwał, a z jego twarzy zniknął uśmiech.

I stali tak naprzeciwko siebie; stary, sterany mężczyzna, który ze wstydem unikał spojrzenia syna, wiedząc, co tamten myśli. Tobias poczuł, że to dla niego zbyt wiele. Upuścił walizkę, rozłożył ramiona i objął nieporadnie kruchego, wynędzniałego człowieka, w którym z trudem odnajdował podobieństwo do ojca. Nieco później, ciągle zakłopotani, siedzieli razem przy kuchennym stole. Tak wiele mieli do omówienia, a jednak słowa były zbędne. Kolorową, jaskrawą ceratę pokrywały okruchy, szyb od dawna nikt nie mył, a samotne rośliny w doniczkach na parapecie już dawno przegrały walkę z brakiem wody. W kuchni unosił się zapach stęchlizny, skwaśniałego mleka i niezliczonych papierosów. Żaden z mebli nie został ruszony z miejsca, a na ścianach nie brakowało żadnego obrazka – wszystko zostało dokładnie tak, jak szesnastego września 1997 roku, w dniu, kiedy go aresztowano. Od tamtego czasu nie widział rodzinnego domu. Tyle tylko, że wtedy wszystko było jasne i przyjazne, a pokoje lśniły czystością, bo matka była wspaniałą gospodynią. Dlaczego tak strasznie zapuścili dom i obejście? Jak mogła to tolerować?

– Gdzie jest mama? – Tobias w końcu przerwał milczenie.

Zauważył, że tym pytaniem wprowadził ojca w jeszcze większe zakłopotanie.

– My... chcieliśmy ci dać znać... ale... ale uznaliśmy, że lepiej będzie, jeśli dowiesz się później...

– odparł Hartmut po chwili wahania. – Matka jakiś czas temu... wyprowadziła się. Oczywiście wie, że dzisiaj wracasz do domu i bardzo się cieszy.

Tobias patrzył na niego i nic nie rozumiał.

– Co to ma znaczyć, że się wyprowadziła?

– Po tym, jak... jak zniknąłeś, było nam bardzo ciężko. Plotki i obgadywanie bez końca... Więc nie wytrzymała – mówił cicho i spokojnie, a w jego głosie nie było słychać pretensji. – Rozwiedliśmy się cztery lata temu. Twoja matka mieszka teraz w Bad Soden.

Tobias z trudem przełknął ślinę.

– Dlaczego mi o tym nie powiedzieliście? – wyszeptał.

– A czy to by cokolwiek zmieniło? Nie chcieliśmy cię obciążać.

– To znaczy, że mieszkasz tu sam?

Hartmut potaknął, machinalnie zgarniając kątem dłoni okruszki; układał je w symetryczne kształty, a potem znów rozrzucił po stole.

– Co ze świniami? Krowami? Jak dajesz radę z pracą w obejściu? Sam?

– Już dawno przestałem hodować zwierzęta. – Ojciec potrząsnął głową. – Teraz uprawiam tylko kawałek pola i to wszystko. Poza tym znalazłem przyzwoitą pracę w kuchni w Eschborn.

Tobias zacisnął pięści. Jak mógł być tak egocentryczny, żeby sądzić, że tylko on został pokrzywdzony przez życie! Nie przypuszczał, że tyle przez niego musieli wycierpieć rodzice. W czasie wizyt roztaczali przed nim wizje niemające nic wspólnego z rzeczywistością. Ile wysiłku

musieli w to wkładać! Bezradna złość niczym niewidzialna ręka ścisnęła go za gardło i zaczęła dusić. Wstał, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Jego plan, by po kilku dniach spędzonych z rodzicami wyprowadzić się gdzieś daleko, jak najdalej od Altenhain i rozpocząć tam życie od nowa, właśnie spalił na panewce. Zostanie tutaj. W tym domu, na tym podwórzu, w tej zapyziałej dziurze, w której jego rodzice zostali pozostawieni samym sobie i nikt ich nie wsparł, choć oni akurat niczemu nie byli winni.

*

WYŁOŻONA DREWNIEM główna sala gospody Pod Czarnym Rumakiem pękała w szwach, a gwar rozmów odpowiadał nadzwyczajnej liczbie gości. Przy stołach i barze zgromadziła się przynajmniej połowa mieszkańców Altenhain; znacznie więcej niż w zwykły czwartkowy wieczór. Amelie Fröhlich zmierzała do stolika numer dziewięć, balansując w powietrzu tacą z trzema porcjami kotleta po myśliwsku z frytkami, po czym zgrabnie podała gościom talerze i życzyła smacznego. Udo Pietsch i jego koledzy zazwyczaj rzucali jakieś niewybredne uwagi na temat jej wyglądu, lecz dzisiaj nastolatka miała wrażenie, że nawet gdyby podeszła nago, nikt by nie zwrócił na nią uwagi. Atmosfera była tak napięta, jak może tylko raz wcześniej, kiedy w telewizji przenieśli na inną porę mecz finałowy Champions League. Dziewczyna nastawiła uszu, widząc, jak Gerda Pietsch nachyliła się do sąsiedniego stolika, przy którym siedzieli Richterowie, właściciele sklepu spożywczego przy głównej ulicy.

– ...widziałam, jak przyjechał – tłumaczyła z przejęciem Margot Richter. – Co za bezczelność! Jaki tupet! Żeby wracać, jakby nic się nie stało!

Amelie poszła na zaplecze. Przy blacie kuchennym stała Roswitha i czekała na rumsztyk dla Fritza Ungera, który siedział przy czwórce. Zamówił średnio wysmażony, z cebulką i masłem ziołowym.

– Co się stało, że wszyscy są tacy spięci? – zapytała Amelie starszą koleżankę. Kobieta zsunąwszy prawy drewniak, drapała się stopą po żyłkach na lewej łydce. Roswitha poszukała wzrokiem szefowej, lecz ta była zbyt zajęta przygotowaniem zamówionych alkoholi, żeby kontrolować swoich pracowników.

– Serio, nie wiesz? Dzisiaj wyszedł z pierdła ten gość, młody Sartorius – wyjaśniła półgłosem. – Siedział dziesięć lat, bo zamordował dwie nastolatki!

– Co? – Amelie wybałuszyła oczy.

Hartmuta Sartoriusa znała z widzenia; mieszkał samotnie w starym, podniszczonym domu, otoczonym zagraconym podwórzem. Nie miała pojęcia, że jego syn był mordercą, ba, w ogóle nie wiedziała, że ma syna.

– No przecież mówię! – Roswitha kiwnęła głową w kierunku baru, przy którym siedział stolarz, Manfred Wagner, i szklistym wzrokiem patrzył przed siebie, dopijając dziesiąte albo jedenaste piwo.

– Jego córkę, znaczy Manfreda, zamordował ten Tobias. Laura jej było. I jeszcze małą Schneeberger. Do dzisiaj pary z gęby nie puścił, co zrobił z ciałami.

– Rumsztyk raz, z cebulą i masłem ziołowym! – Kurt, pomocnik kucharza, pchnął talerz w ich stronę.

Roswitha włożyła drewniaki i, zwinnie manewrując okazałą tuszą, ruszyła na salę, by obsłużyć gości przy stoliku numer cztery. Tobias Sartorius – Amelie nigdy wcześniej o nim nie słyszała. W sumie nie było się czemu dziwić, bo ledwie sześć miesięcy temu sprowadziła się tu z Berlina. Na dodatek nie z własnej woli. Wioska i jej mieszkańcy interesowali ją tyle co zeszłoroczny śnieg i gdyby szef ojca nie załatwił jej pracy Pod Czarnym Rumakiem, do dzisiaj nikogo by tu nie znała.

– Trzy piwa pszeniczne, mała cola light! – krzyknęła Jenny Jagielski.

Amelie sięgnęła tacę, ustawiła na niej szklanki i spojrzała ukradkiem na Manfreda Wagnera. Jego córka została zamordowana przez syna Hartmuta Sartoriusa! To było coś ekscytującego. W najnudniejszej wiosce świata działy się rzeczy mrozące krew w żyłach. Zatrzymała się przy stole, przy którym z dwoma kolegami siedział brat Jenny, Jörg Richter, i postawiła przed nimi zamówiony alkohol. Jörg powinien był osobiście stać za barem i przygotowywać napoje, ale rzadko się zdarzało, by robił to, co powinien. A już na pewno nie wtedy, kiedy na miejscu nie było szefa – prywatnie męża jego siostry. Colę light zamówiła pani Unger przy stoliku numer cztery. Kiedy dziewczyna ją podała, wróciła na chwilę do kuchni. Wszyscy goście otrzymali zamówione jedzenie, a po sali kręciła się Roswitha i zbierała najświeższe informacje i plotki, które potem, z zaczerwienionymi policzkami i z falującym biustem, referowała zainteresowanym. Poza Amelie uszu nastawiali Kurt i Achim, pomocnicy kucharza, i Wolfgang, szef kuchni. Sklep spożywczy Margot Richter – Amelie nie mogła się nadziwić, że ilekroć ktoś o nim mówił, twierdził, że „idzie do Margot”, choć interes należał przecież do jej męża – znajdował się prawie naprzeciwko karczmy Pod Żłotym Kogutem, należącej do Sartoriusa. Dzięki temu Margot i fryzjerka Inge Dombrowski, która akurat wpadła do sklepu na ploty, widziały, jak do wsi wrócił ten Tobias. Wysiadł z jakiejś luksusowej srebrnej terenówki i wszedł na podwórze domu rodziców.

– To jest po prostu bezczelność! – Roswitha nie mogła się uspokoić. – Tamte dziewczyny nie żyją, a morderca przyjeżdża sobie tutaj, jakby nigdy nic!

– Daj luz, a gdzie miał pójść, co? – mruknął Wolfgang przytomnie i upił łyk piwa.

– Ty chyba jesteś walnięty, wiesz? – Roswitha nie posiadała się z oburzenia. – A co byś zrobił, gdybyś spotkał mordercę swojej córki?

Mężczyzna wzruszył ramionami, jakby nie robiło to na nim wrażenia.

– Dobra, a co zrobił potem? – chciał wiedzieć Achim. – Dokąd poszedł?

– Dokąd, dokąd, do domu oczywiście – odparła Roswitha. – Musiał się zdziwić, jak zobaczył, co

się stało.

Wahadłowe drzwi odskoczyły i na zaplecze wpadła Jenny Jagielski. Podobnie jak jej matka, Margot Richter, była święcie przekonana, że pracownicy tylko czekają na dogodny moment, by podbierać pieniądze z kasy i żartować z przełożonej. Trzy cięższe, jedna po drugiej, do cna zepsuły jej figurę, której i wcześniej daleko było do ideału, upodabniając Jenny, niemal dosłownie, do piłki.

– Roswitha! – ryknęła na kobietę starszą od siebie o dobrych trzydzieści lat. – Stolik dziesięć chce płacić!

Kelnerka posłusznie ruszyła na salę. Amelie chciała iść za nią, lecz szefowa ją zatrzymała.

– Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie przychodziła do pracy z tymi ohydnyimi kolczykami na twarzy? I że masz nosić skromniejszą fryzurę? Co? To jest nieapetyczne! – Jej nalana twarz wyrażała pogardę. – Poza tym normalna bluzka byłaby odpowiedniejsza niż ten kaftanik. Może w ogóle zrezygnuj z ubrań i przychodź w bieliźnie? To jest przyzwoity lokal, a nie jakaś... a nie jakaś berlińska spelunka!

– Mężczyznom się podoba. – Amelie uśmiechnęła się bezczelnie.

Jenny Jagielski zmrużyła groźnie oczy, a na jej pulchnych policzkach i masywnej szyi ukazały się szkarłatne plamy.

– Mam to gdzieś! – syknęła. – Przeczytaj sobie zasady BHP i się do nich stosuj!

Dziewczyna miała gotową ripostę, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Mimo że gardziła każdym fragmentem tej tłustej i odrażającej kobiety, Jenny Jagielski nie była osobą, z którą należało zadzierać. A ona, niezależnie od wszystkiego, potrzebowała pracy w Czarnym Rumaku.

– Wy tu czego? – Szefowa spojrzała groźnie na kucharzy. – Nie macie nic lepszego do roboty?

Amelie wyszła na salę akurat w momencie, kiedy Manfred Wagner padł na ziemię razem ze stołkiem, na którym siedział.

– Hej, Manni! – krzyknął jeden z mężczyzn przy stole dla stałych klientów. – Jeszcze nie ma dziesiątej!

Jego kompani zarechotali gremialnie. Pijany w sztok mężczyzna na podłodze nikogo nie szokował, bo ten sam scenariusz powtarzał się niemal codziennie, choć zazwyczaj dopiero około jedenastej. Ktoś dzwonił wtedy po jego żonę; kobieta pojawiała się po kilku minutach, by uregulować rachunek i zatańczyć męża do domu. Jednak dziś Manfred Wagner zmienił zasady. Ten dotychczas pokojowo nastawiony alkoholik wstał bez niczyjej pomocy, złapał szklankę po piwie i roztrzaskał ją o podłogę. Goście przerwali rozmowy; zapanowała cisza. Manfred ruszył niepewnym krokiem w stronę stołu dla stałych gości.

– Cholerne dupki – wybełkotał pijacko. – Cholerni idioci, siedzicie i pieprzycie bez sensu, jakby nic się nie stało! Bo macie to w dupie!

Złapał się jakiegoś krzesła i potoczył wzrokiem dookoła. Miał wściekłe, przekrwione oczy.

– Ale ja... ja muszę tego... muszę patrzeć na tę świnię... i myśleć o tamtym... – przerwał i spuścił głowę.

Jörg Richter zerwał się z miejsca, podszedł do Wagnera i objął go ramieniem.

– Chodź, Manni – powiedział. – Nie rób awantur. Zadzwońię po Andreę i...

– Bierz te łapska! – ryknął Wagner i odepchnął go z taką siłą, że młodszy mężczyzna zatoczył się i upadł. Lecząc na ziemię, próbował przytrzymać się czyjś krzesła, lecz tak nieszczęśliwie, że przeważył je i runął na podłogę razem z siedzącą na nim osobą. W sali zapanował chaos.

– Zabiję tego śmiecia! – ryknął Manfred Wagner na całe gardło, po czym zatoczył się i przewrócił na stół. Piwo z poprzewracanych i potrząskanych szklanek chlusnęło na mężczyzn leżących na ziemi. Amelie stała za kasą i obserwowała spektakl, jaki rozgrywał się przed jej oczyma, a jej koleżanka walczyła o przetrwanie w rozszalałym tłumie. Prawdziwa ostra bójka w karczmie Pod Czarnym Rumakiem. Nie do wiary! W końcu coś się działo w tej zabitej dechami dziurze! Jenny Jagielski przytruchtała obok i popędziła w kierunku kuchni.

– Przyzwoity lokal, nie ma co – mruknęła Amelie kpiąco, a szefowa, nie zwalniając, rzuciła jej ponure spojrzenie.

Kilka sekund później wybiegła z zaplecza z Kurtem i Achimem. Kucharze szybko poradzili sobie z awanturującym się pijakiem. Amelie posłusznie złapała miotłę i szufelkę i ruszyła zmiatać porozbijane szkło. Manfred Wagner przestał się wyrywać i spokojnie dał się poprowadzić do wyjścia. W progu jednak wysliznął się kucharzom z rąk i odwrócił w stronę sali. Stał tak przez chwilę, z trudem utrzymując równowagę, i wodził przekrwionym wzrokiem po twarzach gości. Z kącika ust kapąła mu ślina i ściekała po zarośniętej brodzie. Na spodniach rosła ciemna plama. Ale jest uwalony, pomyślała Amelie. Pierwszy raz widziała, żeby narobił w spodnie. Naraz przyszło jej do głowy, że tak naprawdę bardzo mu współczuje, choć dotychczas zawsze się z niego śmiała. Czy to możliwe, że przez to, że jego córka została zamordowana, codziennie upijał się do nieprzytomności? Na sali panowała całkowita cisza.

– Dopadnę śmierdziela! – krzyknął Wagner. – Załatwię go! Zabiję tego... tego... mordercę!

Po czym opuścił głowę. I zaniósł się szlochem.

*

TOBIAS SARTORIUS wyszedł spod prysznic i sięgnął po ręcznik, który przygotował wcześniej. Dłonią przetarł zaparowane lustro i w słabym świetle lampy, w której działała już tylko jedna żarówka, przyjrzał się odbiciu swojej twarzy. Po raz ostatni spoglądał w to lustro rankiem szesnastego września 1997 roku; chwilę później pojawiła się policja, żeby go aresztować. Czuł się wtedy już taki dorosły! Dopiero co zdał maturę. Zamknął oczy i oparł czoło o chłodną taflę. Tutaj, w rodzinnym domu, w którym znał każdy zakamarek, miał wrażenie, że dziesięć lat w więzieniu nigdy

się nie wydarzyło. Pamiętał każdy szczegół ostatnich dni przed aresztowaniem, jakby to było dopiero wczoraj. Niewiarygodne, jaki był wówczas naiwny. Lecz jednocześnie do dzisiaj miał w pamięci luki, w których istnienie sąd mu nie uwierzył. Otworzył oczy i spojrzał zaskoczony na kanciastą twarz trzydziestolatka. Opuszkami palców przesunął po białawej bliźnie, która ciągnęła się od zuchwy aż do brody. Ktoś zaatakował go nożem już w drugim tygodniu odbywania kary, przez co całe dziesięć lat spędził w pojedynczej celi, niemal bez żadnego kontaktu z innymi skazanymi. W brutalnej więziennej hierarchii morderca nastolatek zajmował pozycję milimetry wyżej niż najgorszy śmieć, za jakich uważano morderców dzieci. Drzwi do łazienki były krzywe. Na mokrej skórze poczuł chłodne powietrze. Zatrząsał się z zimna. Z dołu usłyszał czyjeś głosy. Ojciec musiał mieć gości. Tobias odwrócił się, włożył bieliznę, dżinsy i krótką koszulkę. Zanim poszedł się umyć, poświęcił trochę czasu, by obejrzeć dom i obejście. Okazało się, że przednia część podwórza w porównaniu z tylną, mniej widoczną, była nawet porządna. Porzucił swoje wcześniejsze postanowienie, by jak najszybciej opuścić Altenhain. Nie miał prawa zostawić ojca w takich warunkach. I tak się nie spodziewał, że w najbliższym czasie zdobędzie jakąś pracę, więc kilka dni może poświęcić na przywrócenie jako takiego porządku. Kiedy się z tym upora, pomyśli, co dalej. Wyszedł z łazienki, minął zamknięte drzwi do pokoju i zszedł na dół, z przyzwyczajenia omijając stopnie, które skrzypiały. Ojciec siedział przy kuchennym stole, a obok niego siedział ktoś plecami do wejścia. Mimo to Tobias natychmiast go rozpoznał.

*

OLIVER VON BODENSTEIN, nadkomisarz policji kryminalnej i szef zespołu dochodzeniowego wydziału K11 – terroru kryminalnego i zabójstw – w Hofheim, wrócił do domu o wpół do dziesiątej wieczorem. Z powitaniem czekał na niego jedynie pies, przy czym w oczach zwierzęcia było więcej strachu niż radości. Bez najmniejszych wątpliwości świadczyło to o wyrzutach sumienia, a ich przyczynę von Bodenstein poczuł, zanim zdążył zobaczyć. Miał za sobą trudny, czternastogodzinny dzień w pracy, nudne posiedzenie w komendzie głównej, znalezienie ludzkich szczątków w Eschborn – właściwie to szkieletu – co jego przełożona, znana z miłości do anglicyzmów, zaraz nazwała *cold case*, a na sam koniec jeszcze pożegnalną imprezkę kolegi z wydziału K23, który dostał przeniesienie do Hamburga. Czuł, jak burczy mu w brzuchu, bo poza wypiciem sporej dawki alkoholu zjadł raptem parę chipsów. Zajrzał do lodówki, ale, poirytowany, nie znalazł niczego, co usatysfakcjonowałoby jego kubki smakowe. Czy Cosima nie mogłaby przynajmniej robić zakupów, jeśli już zrezygnowała z przygotowywania posiłków? No i gdzie była? Przeszedł przez korytarz, omijając łukiem śmierdzącą niespodziankę i kałużę, która przez ogrzewanie podłogowe zmieniła się w lepłą żółtawą plamę, i wszedł na piętro, do pokoju najmłodszej córki. Łóżko Sophii było puste, dokładnie tak, jak się spodziewał. Cosima zabrała małą ze sobą. Nie zadzwoni do niej, skoro nie potrafiła mu zostawić głupiej kartki czy wysłać SMS-a z informacją! Akurat kiedy zaczął się rozbierać, żeby wziąć

prysznic, rozdzwonił się telefon. Oczywiście słuchawka nie stała w ładowarce na komodzie w korytarzu, tylko leżała w którymś z pokoi. Coraz bardziej rozdrażniony ruszył na poszukiwania i zaklął siarczyście, bo w salonie nadepnął bosą stopą na jakąś zabawkę. W chwili kiedy znalazł telefon na kanapie, słuchawka przestała dzwonić. Sekundę później zazgrzytał klucz w drzwiach, a pies rozszczękał się radośnie. Do domu weszła Cosima, niosąc zaspane dziecko i ogromny bukiet kwiatów.

– O, jesteś już w domu. – To było jedyne przywitanie, na jakie mógł liczyć. – Dlaczego nie odbierasz?

Momentalnie wpadł w złość.

– Bo najpierw musiałem znaleźć telefon! Przy okazji może mi zdradzisz, gdzie byłaś?

Nie odpowiedziała. Zdawała się też ignorować fakt, że poza slipkami nie miał nic na sobie. Minęła go bez słowa i weszła do kuchni. Odłożyła bukiet na stół i podała mu dziecko. Sophia zdążyła się już obudzić i zapiszczała. Bodenstein wziął córeczkę na ręce i natychmiast poczuł, że ma przepełnioną pieluszkę.

– Wysłałam ci kilka – jak nie kilkanaście – SMS-ów, że Sophia będzie u Lorenza i Thordis i masz ją stamtąd odebrać. – Cosima zdjęła płaszcz.

Wyglądała na bardzo zmęczoną i zdenerwowaną, lecz Oliver uważał, że to wszystko jej wina.

– Nie dostałem od ciebie ani jednej wiadomości.

Sophia się wierciła, a na dodatek zaczęła płakać.

– Nie dostałeś, bo masz wyłączoną komórkę. Przecież od kilku tygodni wiedziałeś, że dzisiaj wieczorem musiałam być w muzeum filmu, prawda? Na otwarciu wystawy fotografii z Nowej Gwinei – mówiła Cosima ostrym tonem. – Przypomnij sobie, bo obiecałeś mi, że cały wieczór spędzisz w domu i zajmiesz się małą. Kiedy się okazało, że nie zamierzasz wrócić na czas i na dodatek wyłączyłeś telefon, musiałam zadzwonić po Lorenza.

Tym razem był gotów przyznać, że miała rację. Przynależ, że będzie wieczorem w domu, żeby przypilnować córeczki. Na śmierć o tym zapomniał, co go jeszcze bardziej wyprowadziło z równowagi.

– Ma pełną pieluchę – powiedział, odsuwając dziecko od siebie. – Poza tym pies narobił w przedpokoju. Mogłaś przynajmniej wypuścić go do ogrodu, zanim wyszłaś. Aha, i jeszcze jedna sprawa. Czasem wypadałoby zrobić zakupy, żeby w lodówce było jakieś jedzenie, kiedy wracam z pracy.

Cosima nie odpowiedziała. Patrzyła na niego bez słowa, unosząc wysoko brwi, a jej spojrzenie miało w sobie coś, co dodatkowo potęgowało jego gniew: czuł się paskudnie winny tej całej sytuacji.

Kobieta wzięła płaczące dziecko i weszła na piętro, żeby je przewinąć i ułożyć spać. Bodenstein się nie ruszał. Stał niezdecydowany pośrodku kuchni i czekał na wynik wewnętrznej walki, którą toczyły w nim duma i rozsądek. W końcu zwyciężył ten drugi. Westchnął ciężko, z szafki wyjął wazon, nalał zimnej wody i wstawił kwiaty. Potem ze schowka wyjął mopa, rolkę papierowych ręczników i udał się do przedpokoju posprzątać po psie. Tak naprawdę kłótnia z Cosimą była ostatnią rzeczą, jakiej chciał.

*

– WITAJ, TOBIAS. – Claudius Terlinden uśmiechnął się przyjaźnie. Wstał z krzesła i podał mu dłoń. – Cieszę się, że już jesteś w domu.

Tobias uściśnął wyciągniętą rękę, jednak nie odpowiedział na pozdrowienie. Ojciec dawnego najlepszego przyjaciela, Larsa, odwiedzał go co pewien czas w więzieniu i zapewniał, że pomaga jego rodzicom. Podczas całej odsiadki nie potrafił odgadnąć powodów tej zaskakującej życzliwości, bo w czasie dochodzenia jego zeznania zaszkodziły Terlindenom. Słyszał, że mieli przez to sporo problemów. Mimo wszystko nie mścili się; wręcz przeciwnie – Claudius Terlinden wynajął dla niego najlepszego adwokata we Frankfurcie. Szkoda, że nawet on nie mógł uchronić Tobiasa przed wysokim wyrokiem.

– Nie chcę zajmować wam dużo czasu. Wpadłem tylko się przywitać i coś ci zaproponować. – Claudius Terlinden z powrotem usiadł na krześle. Niemal nie zmienił się przez ostatnie lata. Szczupły, mimo pory roku opalony na brązowo, dalej nosił krótkie włosy zaczesane do tyłu. I tylko ostre niegdyś rysy twarzy zmiękły z upływem czasu. – Jeśli zdecydujesz się zostać i nie znajdziesz pracy, przyjdź do mnie, a ja cię zatrudnię. Co ty na to?

Znad okularów spojrzał na Tobiasa, oczekując jakiejś reakcji. I choć nie robił wrażenia ani nadzwyczajnym wzrostem, ani nieprzeciętnym wyglądem, emanowały z niego pełna spokoju i zadowolenia pewność siebie bogatego przedsiębiorcy, a także wrodzony autorytet, który sprawiał, że jego rozmówcy czuli się wręcz onieśmieleni – do tego stopnia, że sami chcieli wykonywać jego polecenia. Tobias nie usiadł przy stole. Nadal stał w drzwiach, oparty o framugę, założywszy ręce na piersiach. Wiedział, że raczej nie będzie miał zbyt wiele możliwości, lecz coś w propozycji Terlindena nie dawało mu spokoju. Claudius w eleganckim, szytym na miarę garniturze, drogim kaszmirowym płaszczu i błyszczących skórzanych butach nie pasował do zapuszczonej kuchni. Tobias poczuł ogarniającą go bezradność. Za żadne skarby nie chciał mieć długów wobec tego człowieka. Spojrzał na ojca. Staruszek siedział z łokciami opartymi na stole, ze spuszczonego wzrokiem, jak poddany czy służący w czasie wizyty pana. To się Tobiasowi zupełnie nie podobało. Ojciec nie zasłużył na to, by przed kimkolwiek musieć zginać plecy, a już na pewno nie przed kimś takim jak Claudius Terlinden. Większość mieszkańców Altenhain miała dług wobec jego hojności – dług,

którego i tak nikt nie byłby w stanie spłacić. Tyle że on od zawsze działał w ten wyrachowany sposób. W Altenhain nie było chyba nikogo, kto nie pracowałby u niego lub przynajmniej dzięki niemu. Claudius Terlinden nie oczekiwał w zamian niczego poza zwykłą wdzięcznością. A że niemal połowa wszystkich mieszkańców Altenhain tak czy inaczej pracowała w którejś z jego firm, cieszył się w okolicy niemal boskim uwielbieniem. Milczenie stawało się kłopotliwe.

– No dobrze. – Terlinden wstał, na co Hartmut też zerwał się z krzesła. – W każdym razie wiesz, gdzie mnie szukać. Daj znać, gdy podejmiesz decyzję.

Tobias kiwnął głową i przepuścił go w progę. Został w kuchni, czekając, aż ojciec odprowadzi gościa do drzwi.

– Chciał ci pomóc – oznajmił Hartmut Sartorius, kiedy dwie minuty później stanął naprzeciw syna.

– Nie chcę się skazywać na jego łaskę – odparł Tobias z naciskiem. – I jeszcze to zachowanie... nie wiem, za kogo się uważa. Za jakiegoś króla, który okazał łaskę i zaszczycił swojego poddanego krótką wizytą? Jakby był Bóg wie kim!

Hartmut westchnął ciężko. Nalał wody do czajnika i postawił go na kuchence.

– Bardzo nam pomógł – wyjaśnił cicho. – Nie mieliśmy żadnych oszczędności, bo wszystkie pieniądze inwestowaliśmy w karcznię i gospodarstwo. Trzeba było opłacić adwokata, co kosztowało krocie, a potem przestali przychodzić goście. Nadszedł taki moment, że nie miałem z czego spłacać rat kredytów. Bank zagroził licytacją majątku. Wtedy pojawił się Claudius i spłacił nasze długi.

Tobias z niedowierzaniem wpatrywał się w ojca.

– Czy to znaczy... chcesz powiedzieć, że cały dom i gospodarstwo należy do... do niego?!

– Właściwie rzecz biorąc, to tak. Ale zawarliśmy pewien układ. W każdej chwili mogę dom odkupić. Poza tym mam prawo mieszkać w nim do końca życia.

Tym razem potrzebował chwili, żeby dotarło do niego to, co przed momentem usłyszał. Ojciec zaproponował herbatę, ale odmówił ruchem dłoni.

– Ile jesteś mu winien?

Hartmut Sartorius się zawahał. Wyraźnie zwlekał z odpowiedzią. Nie od dziś znał wybuchowy temperament syna.

– Trzysta pięćdziesiąt tysięcy euro. Tyle w każdym razie byłem winien bankowi.

– Sama ziemia jest warta przynajmniej dwa razy tyle! – Tobias z największym trudem powstrzymywał się, żeby nie krzyknąć. – Wykorzystał twoje położenie, żeby zarobić!

– Są sytuacje, w których nie można wybrzydząć. – Hartmut uniósł ramiona i potrząsnął głową. – Nie mieliśmy innego wyjścia. W przeciwnym razie bank by nas zlicytował.

Nagle Tobias przypomniał sobie o czymś.

– A działka mamy? Schillingsacker? Co z nią? – zapytał.

Żeby nie musieć patrzeć mu w oczy, ojciec zajął się czajnikiem.

– Tato!

– O Boże. – Hartmut Sartorius uniósł głowę. – To przecież był kawałek zwykłej łąki!

W ten sposób wszystkie części układanki wskoczyły na swoje miejsca. Strzępki informacji ułożyły się w głowie Tobiasa w czytelny obraz. Ojciec sprzedał Claudiusowi Terlindenowi ziemię, którą nazywali Schillingsacker, i dlatego matka odeszła! Schillingsacker nie było zwykłą działką; ta łąka stanowiła jej posag. Działka z sadem jabłoni dawniej miała wartość jedynie sentymentalną, lecz to się zmieniło w 1992 roku wraz z uchwaleniem lokalnego planu zagospodarowania. Wtedy stała się jedną z najcenniejszych działek w gminie, bo te tysiąc pięćset metrów kwadratowych znalazło się idealnie pośrodku terenów o przeznaczeniu przemysłowym. Terlinden od lat proponował im kupno.

– Ile ci zapłacił? – zapytał Tobias głucho.

– Dziesięć tysięcy euro – przyznał się ojciec i spuścił głowę. Przecież tak duża działka pośrodku terenu przeznaczonego pod inwestycje była warta przynajmniej pięćdziesiąt razy tyle! – Claudius bardzo jej potrzebował. Spieszył się. Budował siedziby swojej firmy. Po tym wszystkim, co dla nas zrobił, nie mogłem mu odmówić. Zgodziłem się, nie miałem innego wyjścia. Musiałem.

Tobias zagryzł zęby w bezsilnej złości i zacisnął pięści. Nie mógł mieć pretensji do ojca, bo sam był winny sytuacji, w jakiej znalazła się jego rodzina. Naraz opanowało go uczucie, jakby się dusił w tym domu; jakby miał umrzeć w tej przeklętej wiosce. Ale mimo wszystko zostanie tutaj, i to tyle czasu, ile będzie potrzebował, żeby się dowiedzieć, co naprawdę wydarzyło się przed jedenastoma laty.

*

AMELIE WYSZŁA Z PRACY tuż przed jedenastą wieczorem. Karczmę opuściła tylnym wyjściem obok kuchni. Najchętniej zostałaby dłużej, żeby posłuchać plotek. Tylko że Jenny Jagielski była wielką formalistką, jeśli chodziło o przepisy dotyczące zatrudniania nieletnich i ich godzin pracy. A Amelie miała ukończone siedemnaście lat, więc nie chciała ryzykować. Dziewczynie było to zresztą obojętne. Cieszyła się jedynie, że dostała pracę i że jako kelnerka zarabiała własne pieniądze. Okazało się bowiem, że matka miała rację: ojciec był skończonym dusigroszem. Odmówił jej na przykład pieniędzy na nowego laptopa, tłumacząc, że stary jeszcze jest całkiem dobry. Pierwsze trzy miesiące w tej dziurze były męczarnią, ale koniec zesłania, na które nie miała żadnego wpływu, znajdował się już w zasięgu wzroku. Postanowiła, że niecałe pół roku, jakie jej pozostało, wykorzysta najlepiej, jak się da. A najpóźniej dwudziestego pierwszego kwietnia 2009 będzie siedziała w pociągu do Berlina. Pełnoletniej nikt już nie będzie mógł niczego zabronić. Amelie zapaliła papierosa i rozejrzała się w ciemności. Thies co wieczór czekał na nią pod knajpą i odprowadzał do domu. Ich bliska przyjaźń była dla lokalnych plotkar niczym manna z nieba. Po wsi

krażyły najdziwniejsze opowieści, lecz Amelie nie zaprzętała sobie nimi głowy. Thies Terlinden mimo trzydziestu lat wciąż mieszkał z rodzicami, bo nie był zdrowy na umyśle, jak mówiono we wsi, choć otwarcie nigdy nikt głośno tego nie powtórzył. Dziewczyna zarzuciła plecak na ramię. Chłopak stał pod latarnią naprzeciwko kościoła. Z rękoma w kieszeniach i wzrokiem wbitym w ziemię czekał, aż się do niego zbliży, a kiedy go mijala, bez słowa ruszył obok niej.

– Wiesz, dzisiaj wieczorem było naprawdę gorąco. – Uśmiechnęła się i opowiedziała mu o awanturze w Czarnym Rumaku i o wszystkim, czego dowiedziała się na temat Tobiasa Sartoriusa. Przyzwyczała się już, że Thies nigdy nie odpowiadał. Ludzie twierdzili, że to idiota. Że jest głuchy i że nie umie mówić. Ale to nie była prawda. Thies w żadnym razie nie był głupi, on był po prostu... inny. Amelie też była inna. Jej ojciec nie życzył sobie, żeby spędzali razem tyle czasu, ale na szczęście poza proszeniem nic nie mógł zrobić. Czasem myślała z cynicznym rozbawieniem, że jej głupekowaty staruszek nie raz i nie dwa pluł sobie w brodę, że przystał na nalegania Barbary, obecnej żony, i zgodził się przyjąć stukniętą córkę z krótkiego pierwszego małżeństwa. W oczach dziewczyny był człowiekiem całkowicie pozbawionym właściwości, jak jakaś bezkształtna plama bez kantów, bez własnego zdania i bez zasad. Zależało mu tylko na tym, by ostrożnie iść przez poukładane życie prokurenta, który wciąż uważa, by nikomu się nie narażać i nie rzucać w oczy. Siedemnastoletnia córka, karana, z twarzą upstrzoną kilkuset gramami metalu, nieznająca żadnych autorytetów, ubrana na czarno, której fryzura i makijaż mogłyby być natchnieniem dla Billa Kaulitza z Tokio Hotel, musiała być dla niego ucieleśnieniem najgorszych koszmarów. Arne Fröhlich miał bardzo wiele przeciwko jej przyjaźni z Thiesem, jednak nigdy nie posunął się do wyraźnego zakazu. Może wiedział, że i tak nic by nie wskórał? Amelie całe życie sprzeciwiała się wszystkim regułom. Ojciec nie ukrywał niechęci, lecz tolerował jej przyjaźń, bo Thies był synem jego szefa. Amelie wrzuciła niedopałek do studzienki kanalizacyjnej i wróciła do głośnych przemyśleń na temat Manfreda Wagnera, Tobiasa Sartoriusa i martwych nastolatek.

Zamiast iść oświetloną główną ulicą, wybrali wąską, pełną dziur i pogrążoną w mroku dróżkę prowadzącą przez całą miejscowość; najpierw obok kościoła, potem wzdłuż cmentarza i na tyłach ogrodów kolejnych działek, by w końcu dotrzeć do samego lasu. Po dziesięciu minutach mozolnego marszu wyrosła przed nimi mroczna ściana drzew, pośród których jedna jedyna droga, Waldstrasse, prowadziła stromo pod górkę. Kawalek dalej, nad wsią, znajdowały się trzy rozległe posiadłości, na których stały tylko trzy wille – pośrodku dom, w którym mieszkała Amelie z ojcem, macochą i dwójką ich dzieci, po prawej bungalow Lauterbachów, a po lewej nieco odsunięta i otoczona czymś na kształt parku wielka stara willa Terlindenów. Tuż za nią zaczynał się las. Kilka metrów od kutej bramy posiadłości sąsiadów, po drugiej stronie ulicy, znajdowało się tylne wejście do gospodarstwa Sartoriusa, które zajmowało całe zbocze i ciągnęło się do głównej ulicy. Sąsiad prowadził niegdyś najprawdziwsze gospodarstwo rolne, z krowami i świniami, lecz dziś wszystko zamieniło się

w jeden wielki chlew, jak mawiał jej ojciec, nie kryjąc pogardy. Sartoriusowie zhańbili całą wieś. Amelie zatrzymała się przy schodach. Thies zwykle zostawiał ją tu samą i szedł dalej do siebie, nie mówiąc ani słowa. Dziś jednak przerwał milczenie, zanim dziewczyna wspięła się po schodach do drzwi wejściowych.

– Tutaj mieszkali Schneebergerowie – oznajmił beznamiętnym głosem.

Amelie odwróciła się zaskoczona. Po raz pierwszy tego wieczoru spojrzała przyjacielowi prosto w oczy, lecz on, jak zwykle, uciekł wzrokiem.

– Serio? – upewniła się, nie mogąc uwierzyć w to, co usłyszała. – W naszym domu mieszkała jedna z dziewczyn, które zamordował Tobias Sartorius? Nie zmyślasz?

Thies kiwnął głową, nie patrząc w jej stronę.

– Tak. Tutaj mieszkała Królowna Śnieżka.

PIĄTEK 7 LISTOPADA 2008

Tobias otworzył oczy i przez chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. Zamiast wymalowanego na biało sufitu celi zobaczył plakat z Pamelą Anderson. Dopiero wtedy uświadomił sobie, że nie siedzi już w więzieniu, lecz wrócił do rodzinnego domu i śpi w swoim starym pokoju. Nie ruszając się, słuchał odgłosów dochodzących zza nieszczelnych okien. Sześć uderzeń dzwonów na kościelnej wieży – zatem obudził się wcześniej rano. Gdzieś rozszczękał się pies, dołączyły do niego inne, a po chwili znów zapanowała cisza. W pokoju nic się nie zmieniło: biurko i regał z książkami z taniej płyty laminowanej, szafa z krzywymi drzwiami. Na ścianach plakaty Eintrachtu Frankfurt, Pameli Anderson i Damona Hilla w bolidzie Renault Williams, w którym w 1996 zdobył mistrzostwo świata. Niewielka wieża, którą dostał w prezencie od rodziców w marcu 1997 roku. Czerwona kanapa, na której on z... Tobias usiadł gwałtownie i potrząsnął głową. W więzieniu lepiej panował nad swoimi myślami. Dopiero teraz pojawiły się dręczące wątpliwości: co by się stało, gdyby tamtego wieczoru Stefanie z nim nie zerwała? Czy żyłaby jeszcze? Wiedział, co zrobił; w końcu setki razy powtarzano każdy szczegół – najpierw policja, potem jego adwokat, prokurator, a na końcu sędzina. Wszystko składało się w logiczną całość. Były ślady, poszlaki, świadkowie, krew w jego pokoju, krew na ubraniu i w jego samochodzie. A jednak nie pamiętał tych dwóch godzin. Do dzisiaj nie mógł sobie przypomnieć, co robił, a kiedy próbował, trafiał na czarną dziurę.

Pamiętał za to dokładnie szósty września 1997 roku. Zaplanowany z okazji jarmarku korowód został odwołany, ponieważ tego samego wieczoru w Londynie odbywał się pogrzeb księżnej Diany. Połowa ludzi na świecie zasiadła przed telewizorami, żeby obejrzeć transmisję z przejazdu konduktu żałobnego z trumną księżnej, która zginęła w wypadku samochodowym. Jednak mieszkańcy Altenhain nie chcieli zrezygnować z pozostałej części festynu. Boże, byłoby lepiej, gdyby zostali wtedy w domu!

Tobias westchnął głęboko i położył się na boku. W domu panowała cisza. Słyszał bicie swojego serca. Przez chwilę wyobrażał sobie, że nic się nie wydarzyło, a on znów ma dwadzieścia lat. W Monachium czeka na niego miejsce na uniwersytecie. Ze średnią ocen z matury 5,0 nie miał najmniejszych problemów z przyjęciem. Naraz między szczęśliwe wspomnienia wdarły się te bolesne. W czasie szalonej imprezy po zakończeniu egzaminów, w ogrodzie kolegi ze Schneidenhein po raz pierwszy pocałował Stefanie. Mało brakowało, a Laura pękłaby z wściekłości, i żeby wzbudzić w nim zazdrość, rzuciła się na Larsa i zaczęła go obejmować. I wszystko na próżno, bo jak mógłby myśleć o Laurze, skoro w ramionach trzymał Stefanie? Była pierwszą dziewczyną, o jaką musiał się naprawdę starać. Zupełnie nowe doświadczenie. Nigdy czegoś takiego nie przeżył, bo, ku szczerej zazdrości kolegów, dziewczyny same mu się narzucały. Natomiast o Stefanie walczył przez

całe tygodnie. I w końcu zwyciężył. Miesiąc, jaki minął od tego czasu, był najszczęśliwszym okresem w jego życiu – aż do brutalnego przebudzenia szóstego września 1997 roku. Stefanie została Miss Jarmarku. Idiotyczny tytuł, który od lat należał do Laury. Tym razem przegrała ze Stefanie. W czasie festynu pracował z Nathalie i kilkoma znajomymi w namiocie z napojami. Musiał się przyglądać, jak Stefanie flirtowała z innymi chłopakami; potem nagle zniknęła. Możliwe, że wypił przez to więcej, niż powinien. Nathalie widziała, jak bardzo cierpiał. Powiedziała, żeby poszedł jej szukać. Natychmiast pobiegł. Szybko ją znalazł, a zazdrość eksplodowała w nim jak bomba. Jak mogła mu to zrobić? Jak mogła ośmieszyć go przed wszystkimi i pozwolić mu cierpieć na oczach tłumu? I wszystko tylko przez idiotyczną rolę w jeszcze głębszym przedstawieniu? Tobiasz zrzucił z siebie kołdrę i wstał z łóżka. Musiał coś zrobić, zabrać się za coś, byle tylko przestać na powrót przeżywać te bolesne wspomnienia.

*

AMELIE SZŁA z pochyloną głową, chroniąc twarz przed mżawką. Jak każdego ranka podziękowała macosze, kiedy ta zaproponowała, że podrzuci ją na przystanek. Teraz musiała się spieszyć, żeby zdążyć na autobus. Listopad pokazywał swoje najmniej przyjazne oblicze, mgliste, deszczowe i chłodne, ale ten ponury nastrój nawet się jej podobał. Lubiła samotne spacerowanie przez pustą, zaspaną wieś. Ze słuchawek iPoda płynęła ciężka, ogłuszająca muzyka *dark wave* jej ulubionej grupy Schattenkinder. Przez pół nocy przewracała się z boku na bok i rozmyślała o Tobiasie Sartoriusie i zamordowanych dziewczynach. Laura Wagner i Stefanie Schneeberger miały wtedy po siedemnaście lat, czyli dokładnie tyle, ile ona ma teraz. Na dodatek mieszkała w domu, w którym mieszkała jedna z ofiar. Koniecznie musiała dowiedzieć się czegoś więcej. Jak Thies ją nazwał? Królowna Śnieżka. Ciekawe, co się wtedy naprawdę wydarzyło?

Tuż obok zatrzymał się samochód. Amelie nie podniosła wzroku. Była przekonana, że to Barbara. Serdeczność macochy doprowadzała ją do szału. Kątem oka dostrzegła, że się pomyliła – wóz należał do Claudiusa Terlindena. Mężczyzna opuścił okno od strony pasażera i dał znak, żeby podeszła. Amelie wyłączyła muzykę.

– Podwieźć cię? – zapytał. – Cała przemokniesz!

Deszcz zupełnie jej nie przeszkadzał, ale miała ochotę na przejażdżkę limuzyną. Uwielbiała wypasione, czarne mercedesy z jasną skórzaną tapicerką. W środku auto pachniało nowością, a wyposażenie, o którym Claudius opowiadał z nieukrywaną dumą, przyprawiało o zawrót głowy. Lubiła swojego sąsiada, choć nie miała pojęcia dlaczego. W końcu z drogimi garniturami, luksusowymi wozami i wielką willą stanowił ucieleśnienie wszystkiego, czym gardziła ona i jej berlińska paczka. No i jeszcze jedna sprawa. Zadawała sobie od niedawna pytanie, czy aby na pewno jest normalna, bo w towarzystwie każdego osobnika płci męskiej, który zachowywał się

wobec niej względnie przyjaźnie, natychmiast myślała o seksie. Ciekawe, jak zareagowałby Terlinden, gdyby położyła mu dłoń na udzie i złożyła jednoznaczną propozycję? Nie mogła powstrzymać histerycznego chichotu na samą myśl o jego minie. Z wielkim trudem się opanowała.

– No dalej, wskakuj! – zawołał, kiwając na nią dłonią. – Zapraszam!

Amelie wyjęła słuchawki z uszu i schowała je do kieszeni kurtki, a potem usiadła w fotelu pasażera. Ciężkie drzwi luksusowego wozu zatrzasnęły się z eleganckim kłapnięciem. Terlinden uśmiechnął się do niej i ruszył w dół Waldstrasse.

– Coś się stało? – zapytał. – Wyglądasz, jakby coś cię frapowało.

Amelie się zawahała.

– Mogę pana o coś zapytać?

– Ależ oczywiście. Pytaj.

– Chodzi o te dwie dziewczyny, które zniknęły. Znał je pan?

Claudius Terlinden spojrzał na nią z boku. I przestał się uśmiechać.

– Dlaczego cię to interesuje?

– Jestem po prostu ciekawa. Słyszałam już sporo plotek, od kiedy ten gość wrócił do Altenhain. I jakoś mnie to zaintrygowało.

– Hm, przed laty przeżyliśmy tu straszną tragedię. Do dzisiaj wielu nie może się otrząsnąć – odparł Terlinden. – Tak, oczywiście, znałem te dziewczęta. Stefanie była przecież córką naszych sąsiadów. A Laurę znałem od dziecka. Jej matka pracowała u nas jako gosposia. Dla rodziców to coś potwornego, że nigdy nie znaleziono ich ciał.

– Hm – mruknęła Amelie i się zamyśliła. – Czy one miały jakieś przezwiska?

– Nie rozumiem? – Claudius Terlinden był wyraźnie zaskoczony tym pytaniem.

– No Stefanie i Laura, czy miały przezwiska?

– Nie wiem. Ale dlaczego... poczekaj, coś sobie przypomniałem. Stefanie miała przezwisko. Inne dzieciaki wołały na nią Śnieżka. Królowna Śnieżka.

– A dlaczego?

– Nie mam pojęcia. – Terlinden zmarszczył czoło i zwolnił. Autobus szkolny stał już na przystanku i z włączonymi światłami awaryjnymi czekał na nielicznych uczniów, którzy jechali nim do Königstein.

– Nie, chyba już wiem – dodał po chwili, jakby coś sobie przypomniał. – To przez sztukę teatralną, którą wystawiali w szkole. Stefanie dostała w niej główną rolę. Miała zagrać Królowną Śnieżkę.

– Miała ją zagrać? – Amelie drążyła, coraz bardziej zaciekawiona. – Czyli jej nie zagrała?

– Nie. Bo zanim doszło do premiery, ona... hm... wcześniej zniknęła.

DWIE KROMKI CHLEBA z trzaskiem wyskoczyły z tosterka. Pia posmarowała obie solonym masłem, na to nałożyła słuszną warstwę nutelli i złożyła ze sobą. Od jakiegoś czasu niemal się uzależniła od tej dziwacznej kombinacji słodkiego i słonego smaku. Rozkoszowała się każdym kęsem i łapczywie zlizywała z palców mieszankę roztopionego masła i czekolady, zanim zdążyła skapnąć na gazetę, którą rozłożyła na stole. Szkielecowi znalezionemu wczoraj na opuszczonym lotnisku dziennikarze poświęcili ledwie pięć linijek tekstu, natomiast na sprawozdanie z jedenastego dnia głośnego procesu Very Kaltensee redakcja „Frankfurter Neue Presse” zdecydowała się przeznaczyć cztery pełne szpalty. O dziewiątej rano Pia miała stawić się w sądzie i złożyć zeznania na temat wydarzeń, które miały miejsce zeszłego lata w Polsce. Odruchowo pomyślała o Henningu. Z jednej filiżanki kawy wczoraj zrobiły się trzy. Przez szesnaście lat małżeństwa nie rozmawiał z nią tak otwarcie. Niestety, Pia nie potrafiła mu pomóc. Od czasu przygody w Polsce Henning był związany z jej najlepszą przyjaciółką, Miriam Horowitz. Niedawno, w okolicznościach, których ku jej rozpaczy nie chciał zdradzić, dał się ponieść i wylądował w łóżku ze swoją wielką fanką, prokuratorką Valerie Löblich. Czysty przypadek, bez żadnego znaczenia, jak zapewniał, lecz – dosłownie – brzemienny w skutki, bowiem Löblich zaszła w ciążę. Henning znalazł się w sytuacji, która go przerastała i coraz poważniej myślał o ucieczce do USA. Tym bardziej że Uniwersytet Stanowy w Tennessee od wielu lat wabił go stanowiskiem i lukratywnym wynagrodzeniem. Kiedy Pia rozmyślała o problemie byłego męża, jednocześnie bijąc się z myślami, czy po jednej bombie kalorycznej pozwolić sobie na kolejną, z łazienki wyszedł Christoph i usiadł przy stole naprzeciwko. Miał jeszcze mokre włosy i rozsiewał zapach wody po goleniu.

– Myślisz, że dasz radę dzisiaj wieczorem? – zapytał, nalewając sobie kawy. – Annika bardzo by się ucieszyła.

– Jeśli nie wydarzy się nic niespodziewanego, to nie widzę problemu. – Pia uciszyła wyrzuty sumienia i przygotowała kolejny tost. – O dziewiątej rano muszę być w sądzie i złożyć zeznania, ale poza tym nie mam w planach na dzisiaj nic ważnego.

Christoph wyszczerzył zęby rozbawiony mieszanką słonego masła i nutelli, po czym przygotował sobie nienagannie zdrową kanapkę z czarnego, pełnoziarnistego chleba z serkiem grani. Jego spojrzenie wciąż jeszcze przyprawiało Pię o motyle w brzuchu. To przez jego oczy, ciemnobrązowe, jak cukierki toffifee: zdobył ją już przy pierwszym spotkaniu. Do dzisiaj jego wzrok nie stracił nic ze swojej uwodzicielskiej siły. Christoph Sander był ujmującym mężczyzną, który nie musiał podkreślać swoich mocnych stron. I choć nie posiadał atrakcyjnej powierzchowności szefa Pii, rysy jego twarzy miały w sobie coś specyficznego, co sprawiało, że ludzie chcieli na nią patrzeć. Możliwe, że to przede wszystkim przez uśmiech, który rodził się w jego oczach, zmuszając Pię do walki z pragnieniem rzucenia się mu w ramiona za każdym razem, gdy na niego patrzyła.

Poznali się przed dwoma laty, kiedy jedno z dochodzeń zaprowadziło ją do zoo w Kronbergu. Christoph pracował tam jako dyrektor; natychmiast wpadł jej w oko. Był pierwszym mężczyzną od czasu rozvodu, na którego zwróciła uwagę. Sympatia okazała się obopólna. Najśmieszniejsze, że Oliver von Bodenstein przez długi czas uważał Christopha za głównego podejrzanego. Po zakończeniu śledztwa i rozwiązaniu sprawy został oczyszczony z wszelkich podejrzeń, a ich związek gwałtownie przyspieszył. Z gorącego zauroczenia zrodziła się prawdziwa miłość, i tak już od dwóch lat stanowili parę. Co prawda każde zachowało swój dom, lecz i to miało się wkrótce zmienić, bowiem trzy córki, które Christoph samotnie wychowywał po nagłej śmierci żony, szykowały się do opuszczenia rodzinnego gniazda – Andrea, najstarsza, już od wiosny pracowała w Hamburgu. Antonia, najmłodsza, pomieszkiwała u swojego chłopaka, Lukasa, a średnia, Annika, planowała przeprowadzić się do Australii, do ojca swojego dziecka. I akurat na dziś wieczór zaplanowała pożegnalne przyjęcie. Jutro z samego rana wylatywała do Sydney. Pia wiedziała, że Christoph nie był tym zachwycony. Nie wierzył człowiekowi, który cztery lata temu został ojcem, po czym zostawił dziewczynę samą. Na jego korzyść przemawiał jednak fakt, że to Annika z nim zerwała i ukryła wiadomość o ciąży. Jared Gordon dowiedział się w końcu, że został tatą. Przez ostatnie lata skończył biologię, rozpoczął pracę naukową i dostał posadę biologa morskiego na jednej z wysp Wielkiej Rify Koralowej. Dla Christopha stał się w ten sposób kolegą po fachu. To wszystko sprawiło, że w końcu pobłogosławił ich związkowi.

Dla Pii wyprowadzka z gospodarstwa Birkenhof nie wchodziła w rachubę, więc stanęło na tym, że to Christoph sprowadzi się do niej, a od początku przyszłego roku wynajmie swój dom w Bad Soden. Przyjęcie Anniki było więc dla Christopha też pożegnaniem z miejscem, w którym spędził sporą część życia. Kartony zostały już zapakowane, a wynajęta firma przeprowadzkowa miała w następny poniedziałek przewieźć meble. W oczekiwaniu na zgodę na rozbudowę maleńkiego domku Pii wszystkie rzeczy miały stać w wynajętym magazynie. Tak, Pia była zdecydowanie zadowolona z kierunku, jaki obrało jej życie.

*

TOBIAS PODNIÓSŁ ROLETY i odsłonił okna, by przyjrzeć się, jak bardzo podupadł jego dom. Hartmut wyszedł po zakupy, więc zabrał się za mycie szyb. Kiedy dotarł do salonu, w progu stanął ojciec, minął go bez słowa i ze spuszczoną głową zniknął w kuchni. Tobias zeskoczył ze stołka i pobiegł za nim.

– Tato? Co się stało? – zapytał, patrząc na pusty koszyk na zakupy.

– Nie obsłużyła mnie – odparł Hartmut cicho. – Nie przejmuj się, to jeszcze nie koniec świata.

Pojadę do supermarketu w Bad Soden.

– Ale wcześniej robiłeś zakupy u Richterów, prawda? I nie miałeś problemów?

Staruszek potaknął. Tobiasz zacisnął zęby. Zdjął kurtkę z wieszaka, złapał pusty koszyk, w którym leżał jedynie portfel ojca, i wyszedł z domu. Cały trząsł się z wściekłości. Richterowie byli kiedyś dobrymi znajomymi jego rodziców, a dziś wyrzucają Hartmuta ze sklepu! Nie, nie mógł na to pozwolić. Kiedy przechodził przez ulicę, kątem oka zauważył coś czerwonego na fasadzie zamkniętej karczmy. Odwrócił się. Na ścianie budynku ktoś wymalował czerwonym sprayem: DOM PIEPRZONEGO MORDERCY. Przez kilka sekund wpatrywał się w koślawe, pełne nienawiści litery, które musiał widzieć każdy przechodzień. Milczał. Serce waliło jak oszalałe, a żołądek ścisnęła niewidzialna pięść. Co za świnię! I co chcieli w ten sposób osiągnąć? Przepędzić go z rodzinnego domu? Co dalej? Podpała go, jeśli się nie wyprowadzi? Policzył do dziesięciu, odwrócił się i zdecydowanym krokiem ruszył do sklepu. Kiedy się zbliżał, zza szyb spożywczaka obserwowała go lokalna plotkarska mafia. Nacisnął klamkę i wszedł do środka. Na dźwięk dzwonka nad drzwiami kobiety zamarły i zrobiły teatralne miny: Margot Richter stała nieruchomo za kasą; zylasta, nieszczerza i wyprostowana, jakby połknęła kij od szczotki. Taką ją zresztą pamiętał. Za nią wyrósł mąż – bardziej żeby ją chronić, niż żeby mu grozić. Tobiasz spojrzał wszystkim po kolei w oczy. Znał je; matki jego kolegów z dzieciństwa. Na przodzie stała Inge Dombrowski, fryzjerka i nieoficjalna królowa plotkarek, autorka najbardziej oszczerczych wymysłów. Tuż za nią Gerde Pietsch, kobieta o twarzy buldoga. Podczas jego pobytu w więzieniu Gerda dwukrotnie zwiększyła swoją objętość, i był gotów się założyć, że stała się też przynajmniej dwa razy bardziej złośliwa i nienawistna. Obok niej stała matka Nadji, Agnes Unger, przyłoczona życiem i posiwiiała. Niewiarygodne, że wydała na świat tak piękną córkę!

– Dzień dobry – przywitał się.

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. W sklepie panowała martwa cisza. Ale też nikt nie usiłował mu przeszkodzić, kiedy ruszył między regały. W napiętej atmosferze słychać było szum lodówek z nabiałem i mięsem. Tobiasz zapakował do koszyka wszystko, co ojciec zapisał na liście. Kiedy podszedł do kasy, kobiety trwały dalej nieruchomo na swoich posterunkach. Siłąc się na spokój, wyjął zakupy i ułożył je na taśmie. Margot Richter skrzyżowała ramiona na piersiach i nawet nie drgnęła, by go obsłużyć. Odezwał się dzwonek nad drzwiami. Do środka wszedł niczego nieświadomy kurier. Mężczyzna zauważył napiętą atmosferę i znieruchomiał; nie miał pojęcia, co się dzieje. Tobiasz nie odsunął się nawet na milimetr. To była próba sił nie tylko między nim a Margot, ale między nim a całym Altenhain.

– Niech mu będzie, obsłuż go. – Lutz Richter poddał się po kilku minutach. Kobieta zacisnęła zęby i w milczeniu skasowała wszystkie zakupy.

– Czterdzieści dwa siedemdziesiąt.

Tobiasz podał jej pięćdziesiąt euro, a ona z odrazą wydała mu resztę. W jej spojrzeniu było dość

chłodu, by zamrozić całe Morze Śródziemne. Nic go to nie obchodziło. W więzieniu nie takie pojedynki musiał toczyć i najczęściej wychodził z nich zwycięsko.

– Odsiedziałem wyrok, spłaciłem dług i wróciłem do domu. – Rozejrzał się po zaciętych twarzach. – Czy to się wam podoba, czy nie.

*

PIA DOTARŁA NA KOMISARIAT przed wpół do dwunastej, zaraz po tym, jak złożyła zeznania w procesie Very Kaltensee, który toczył się w sądzie okręgowym we Frankfurcie, a że od tygodni nikogo w mieście nie naszała nieodparta chęć pożegnania się z życiem w jakiś podejrzanie gwałtowny sposób, w K11 panował względny spokój. Jediną sprawą, którą wydział zabójstw miał na tapecie, był szkielet z podziemnego zbiornika na starym lotnisku wojskowym w Eschborn. Wyniki autopsji w Instytucie Medycyny Sądowej nie były jeszcze gotowe, więc Kai Ostermann bez pośpiechu przeglądał katalog osób zaginionych z poprzednich kilku lat. Nie mógł liczyć na niczyje wsparcie. Frank Behnke przysłał zwolnienie na cały tydzień, bo w czasie przejażdżki rowerowej miał zaliczyć wywrotkę – uszkodził sobie twarz i dotkliwie się potłukł. Komisarza Andreasa Hasse również zmogła jakaś choroba, lecz to akurat nikogo nie dziwiło. Już od lat co rusz znikał na kilka tygodni czy nawet miesięcy. Policjanci z K11 nauczyli się dzielić obowiązki tak, jakby go w ogóle nie było i nikt nie cierpiał z powodu jego nieobecności. W holu, przy automacie z kawą, Pia spotkała najmłodszą koleżankę z wydziału, Kathrin Fachinger, która plotkowała sobie w najlepsze z sekretarką nadinspektor Nicolii Engel, której podlegał ich wydział. Minęły już czasy, kiedy Kathrin przychodziła do pracy w bluzkach z falbankami i spodniach w kratkę. Lenonki zastąpiła nowoczesnymi, kanciastymi oprawkami, a ostatnio nosiła džinsowe rurki, buty na wysokim obcasie i kuse sweterki, które wspaniale podkreślały jej idealną figurę. Pia nie miała pojęcia, co spowodowało tę zmianę, przez co po raz kolejny uświadomiła sobie, że właściwie nic nie wie o życiu swoich współpracowników. Niezależnie od przyczyn, najmłodsza osoba w wydziale stała się pewniejsza siebie.

– Pia! Poczekaj, musimy pogadać! – zawołała Kathrin.

– Co się stało?

Dziewczyna rozejrzała się po korytarzu, jakby miała zamiar wtajemniczyć Pię w jakiś spisek.

– Wczoraj byłem ze znajomymi w Sachsenhausen – oznajmiła ściszym głosem. – I nie uwierzysz, kogo tam zobaczyłam!

– Czekał, niech zgadnę. Johnny’ego Deppa? – zażartowała Pia.

W K11 wszyscy wiedzieli, że Kathrin była jego gorącą wielbicielką.

– Nie. Widziałam Franka! – Dziewczyna nie dała się sprowokować. – Pracował za barem w restauracji Klapperkahn. I zupełnie nie wyglądał na chorego!

– No proszę...

– Tylko teraz nie wiem, co powinnam z tym zrobić. Właściwie to chyba mam obowiązek zameldować szefowi. Jak myślisz?

Pia zmarszczyła czoło. Jeśli funkcjonariusz policji chciał podjąć dodatkową pracę, teoretycznie powinien złożyć wniosek o pozwolenie i poczekać, aż przełożony go rozpatrzy. Posada w knajpie, do tego o dość nieciekawej reputacji, z pewnością nie została by zaakceptowana. Jeśli Kathrin się nie pomyliła, Behnke ryzykował naganę, karę pieniężną albo nawet postępowanie dyscyplinarne.

– Może tylko na chwilę wskoczył za bar, żeby zastąpić znajomego? – Pia nie darzyła Franka przesadną sympatią, ale też nie było jej przyjemnie na myśl o tym, jakie konsekwencje będzie musiał ponieść, jeśli sprawa zostanie oficjalnie wywleczona.

– Nie, na pewno nie! – Dziewczyna potrząsnęła głową. – Kiedy mnie zobaczył, zaraz do mnie podszedł. I zarzucił, że go szpieguję. Uwierzysz? Co za idiotyzm! A potem ten palant dodał, że jak go zdradzę, może mnie spotkać coś złego.

Kathrin była wyraźnie wściekła i obrażona, co w tej sytuacji było zrozumiałe. Pia ani przez chwilę nie wątpiła, że mówiła prawdę. Takie zachowanie niestety pasowało do gburowatego kolegi. Behnke miał w sobie tyle dyplomacji co rozdrażniony pitbull.

– Powiedziałaś już o tym Schneider? – zapytała.

– Nie. – Kathrin potrząsnęła głową. – Chociaż mam wielką ochotę! Jestem na niego wściekła!

– Doskonale cię rozumiem. Frank jest prawdziwym mistrzem w wyprowadzaniu innych z równowagi. Mogę ja pogadać z szefem? Może znajdzie jakiś sposób, żeby załatwić to dyskretnie.

– A właściwie dlaczego? – zapytała Kathrin, nie ukrywając wzburzenia. – Dlaczego wszyscy biorą tego palanta w obronę, co? Ciągłe wyzywa się na nas i jakoś nikt z tym nic nie robi.

Pia mogłaby się podpisać pod tym obiema rękoma. Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu Frank Behnke mógł sobie pozwalać na więcej niż inni. W holu pojawił się Bodenstein.

Pia spojrzała poważnie na koleżankę.

– Musisz mieć pewność, że wiesz, czego chcesz – powiedziała.

– Nigdy jeszcze nie byłam tak pewna – odparła Kathrin i ruszyła zdecydowanym krokiem w stronę Bodensteina.

– Szefie, muszę z panem zamienić słówko. Na osobności.

*

AMELIE UZNAŁA, że poszukiwania informacji na temat dziewczyn zamordowanych w Altenhain mają bezdyskusyjnie wyższy priorytet niż szkoła, i już po trzeciej lekcji podeszła do nauczycielki i oznajmiła, że źle się czuje. Siedziała teraz przy swoim biurku i wpisywała w Google słowa, które ją interesowały. Kiedy podała imię i nazwisko syna sąsiada, na ekranie pojawiło się kilkanaście stron trafień. Coraz bardziej zafascynowana tamtymi wydarzeniami, czytała artykuły o zbrodniach

z 1997 roku, raporty ze śledztwa i sprawozdania z rozprawy sądowej, w czasie której Tobias Sartorius został skazany na dziesięć lat więzienia. Proces był poszlakowy, bo nigdy nie znaleziono ciał ofiar. I z tego uczyniono najpoważniejszy zarzut dla Tobiasa; jego milczenie doprowadziło do dodatkowego zaostrzenia kary. Amelie przyglądała się zdjęciom w Internecie, na których widziała młodego chłopaka o ciemnych włosach i niedojrzałej twarzy. Z trudem dało się w nim rozpoznać mężczyznę, którym miał się dopiero stać. Tobias Sartorius musiał być cholernie przystojnym facetem. Na zdjęciach miał ręce skute kajdankami, lecz nie chował twarzy pod kapturem ani za papierami, tylko patrzył prosto w obiektyw. Dziennikarze opisywali go jako ponurego i przerażającego człowieka. Bezwzględnego mordercę, pozbawionego uczuć i skrupułów.

Rodzice zamordowanych nastolatek występowali w roli oskarżycieli posiłkowych w procesie przeciwko Tobiasowi S., którego ojcem jest właściciel karczmy w jednej z niewielkich miejscowości pod Frankfurtem. Jednak nawet błagania Andrei W. i Beate S. nie zrobiły najmniejszego wrażenia na wzorowym maturzyście. Na pytanie, co zrobił z ciałami obu dziewcząt, Tobias S. nie udzielił odpowiedzi. W opinii biegłych psychologów zamówionej przez sąd S. został opisany jako osoba wybitnie inteligentna. Czy jego milczenie jest zatem taktyką, czy przejawem arogancji? Nawet w sytuacji, kiedy w zamian za przyznanie się sędzia prowadząca sprawę zaproponowała oskarżonemu zmianę kwalifikacji czynu z morderstwa na pobicie ze skutkiem śmiertelnym, oskarżony dalej milczał, nie zdradzając żadnych emocji. Całkowity brak współczucia i empatii wstrząsnął nawet doświadczonymi obserwatorami procesu. Prokuratura nie ma najmniejszych wątpliwości co do jego winy, gdyż postępowanie dowodowe pozwoliło na wierne odtworzenie szczegółów zbrodni. I choć z początku Tobias S. usiłował kierować podejrzenia w stronę innych osób, a później tłumaczył się rzekomymi lukami w pamięci, nie udało mu się przekonać sądu o swojej niewinności. Ogłoszenie wyroku Tobias S. przyjął bez emocji. Sąd oddalił apelację złożoną przez skazanego.

Amelie przejrzała jeszcze kilka artykułów, które w podobnym tonie relacjonowały przebieg procesu, aż w końcu trafiła na fragment tekstu, który opisywał wydarzenia poprzedzające aresztowanie. Laura Wagner i Stefanie Schneeberger zniknęły bez śladu w nocy z szóstego na siódmego września 1997 roku. W Altenhain był akurat festyn i cała wieś brała udział w zabawie. Tobias Sartorius niemal natychmiast znalazł się w centrum zainteresowania śledczych, bo sąsiedzi zeznali, że widzieli, jak obie dziewczyny wieczorem wchodziły do domu, w którym mieszkał z rodzicami. Nikt za to nie widział, żeby stamtąd wychodziły. Dodatkowo Tobias i Laura Wagner, jego była dziewczyna, pokłócili się, zanim weszli do środka. Doszło do rękoczynów. Oboje wypili wcześniej sporo alkoholu. Nieco później pojawiła się Stefanie Schneeberger, aktualna dziewczyna Tobiasa. Sam zainteresowany zeznał później, że tego wieczoru zerwała z nim, a on z rozpaczki zamknął się w swoim pokoju i wypił całą butelkę wódki. Następnego dnia zjawiła się policja

z psami tropiącymi, które bez problemu odnalazły ślady krwi na terenie gospodarstwa i w bagażniku jego samochodu. Co więcej, śledczy odnaleźli w domu i na ubraniu oskarżonego ślady skóry i włosy należące do obu dziewczyn. Świadkowie widzieli też oskarżonego za kierownicą samochodu, jak bardzo późno w nocy pędził główną ulicą. W jego pokoju odnalazł się plecak Stefanie Schneeberger, a pod umywalką w kuchni mlecznej złoty łańcuszek Laury Wagner. Światło dziennie ujrzały również szczegóły historii miłosnej z jego udziałem – Tobias porzucił Laurę dla Stefanie, a potem Stefanie porzuciła jego. Wówczas, jak założyli śledczy, doszło do tragicznych rękoczynów, a alkohol, którym Tobias obficie się raczył w czasie festynu, zadziałał jak zapalnik. Oskarżony do samego końca procesu utrzymywał, że nie miał nic wspólnego z zaginięciem nastolatki, lecz sąd nie dał wiary jego zapewnieniom, jak również nie uwierzył w luki w pamięci. Na dodatek w czasie całego postępowania nie pojawili się świadkowie, którzy podaliby inną wersję wydarzeń. Wręcz przeciwnie. Koledzy Tobiasa zeznali pod przysięgą, że chłopak był nerwowy, często wpadał w złość i przyzwyczał się, że dziewczyny same ustawiały się do niego w kolejce. Według nich mógł sobie nie radzić z tym, że Stefanie go rzuciła. Nie miał najmniejszych szans na uniewinnienie.

Lektura starych wiadomości jeszcze bardziej wzmogła jej ciekawość. Najbardziej na świecie nienawidziła niesprawiedliwości, bo sama zbyt często padała ofiarą nieprawdziwych oskarżeń. Potrafiła sobie wyobrazić, jak Tobias musiał się czuć, jeśli nie kłamał, zapewniając, że jest niewinny. Uznała, że powinna poszukać więcej informacji. Nie miała jeszcze pojęcia, jak to zrobić, ale wiedziała, jaki będzie jej następny krok. Musiała poznać Tobiasa Sartoriusa.

*

DWADZIEŚCIA PO PIĄTEJ. Jeszcze przynajmniej pół godziny czekania, zanim pojawią się koledzy. Miał nadzieję, że wezmą go na próbę zespołu. Trzydzieści minut łożenia po peronie. Nico Bender nie poszedł na trening piłki nożnej, żeby mieć pewność, że się z nimi nie minie. Mogli przecież pojechać pociągiem ze Schwalbach, który powinien być tu za pięć szóstą. Nie było na świecie zbyt wielu rzeczy, które lubiłby bardziej niż piłkę nożną, jednak kumple z paczki i ich zespół byli dla niego nieporównywalnie ważniejsi. Wcześniej byli przyjaciółmi, ale kiedy rodzice zmusili go, żeby poszedł do szkoły do Königstein, zamiast do Schwalbach, więź się nieco rozluźniła. Nie należał już do paczki. A przecież zasługiwał na to bardziej niż Mark czy Kevin, bo świetnie grał na perkusji. Nico westchnął i z nudów zaczął przyglądać się brodatemu mężczyźnie w czapce z daszkiem, który już od dobrych trzydziestu minut stał nieruchomo na samym końcu peronu. Mimo siąpiącego deszczu nieznajomy nie zamierzał skryć się pod wiatą. Sprawiał wrażenie, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na to, że przemoknie. Na peron wtoczył się pociąg z Frankfurtu. Osiem wagonów pełnych ludzi wracających z pracy. Czy wybrał dobre miejsce? Jeśli kumple siedzieli w którymś z pierwszych wagonów, mógł ich nie zauważyć. Drzwi się rozsunęły, pasażerowie zaczęli wysiadać. Otwierali

parasole, stawiali kołnierze płaszczy i biegli w stronę kładki nad drogą i torami, albo w drugą stronę, do przejścia podziemnego. Kolegów w tym pociągu nie było. Nico wstał i powoli zaczął przechadzać się wzdłuż peronu. Wtedy znowu dostrzegł nieznanego w czapce z daszkiem. Szedł za jakąś kobietą w stronę kładki i coś do niej mówił. Ona zatrzymała się na chwilę, ale chyba bardzo się przestraszyła, bo upuściła torby z zakupami i rzuciła się do ucieczki. Mężczyzna skoczył i złapał ją za ramię. Kobieta szarpnęła się i odepchnęła go. Nico stał jak wrośnięty w ziemię. To, co widział, wyglądało jak scena z filmu! Peron na powrót opustoszał, drzwi do pociągu zasunęły się z sykiem i wagony potoczyły się dalej. Wtedy dostrzegł nieznanymi na przejściu nad torami. Z tej odległości wyglądali, jakby ze sobą walczyli. A potem nagle kobieta zniknęła. Rozległ się pisk hamulców, Nico usłyszał głucho uderzenie, metaliczny zgrzyt giętej blachy i brzęk tłuczonego szkła. Niekończący się sznur pędzących samochodów po drugiej stronie torów momentalnie zamarł. Powoli docierało do niego, że był świadkiem przestępstwa. Mężczyzna w czapce z daszkiem wypchnął kobietę przez barierki wprost pod koła samochodów pędzących ruchliwą ulicą! A teraz... teraz zbiegł ze schodów i szedł wprost na niego. Miał spuszczonego wzrok, a w dłoniach trzymał damską torebkę. Nico poczuł serce w gardle. Opanował go strach. Jeśli złodziej się zorientuje, że wszystko widział, nie będzie się z nim patyczkował. Ogarnięty paniką rzucił się do ucieczki. Pomknął w stronę przejścia podziemnego, zeskoczył ze schodów, ile sił w nogach wspiał się po drugiej stronie na górę i biegł dalej, aż dopadł do stojaka z rowerami. Nie myślał już o kumplach z paczki, o próbie zespołu i o klubie młodzieżowym. Wskoczył na siodełko i z całych sił napał na pedały. Jechał już, kiedy z przejścia podziemnego wynurzył się mężczyzna w czapce z daszkiem i coś za nim krzyknął. Nico odważył się spojrzeć przez ramię. Ulżyło mu, bo go nie gonił. Mimo to gnał dalej na złamanie karku, aż w końcu dojechał do domu. Dopiero tam poczuł się bezpieczny.

*

SKRZYŻOWANIE PRZY PERONIE kolei podmiejskiej Sulzbach-Nord przedstawiało obraz nędzy i rozpacz. W potężnym karambolu zderzyło się siedem samochodów. Strażacy biegali z ciężkimi nożycami hydraulicznymi i innym sprzętem ratunkowym, usiłując porozcinać skłębioną blachę, a inni posypywali rozlany olej i benzynę sorbentem. Na miejsce zjeżdżało coraz więcej karet, a ratownicy udzielali pomocy poszkodowanym. Mimo chłodu i deszczu, za policyjnymi barierkami zbierali się przypadkowi przechodnie i żądni sensacji gapie. Bodenstein co rusz musiał pokazywać odznakę, by dostać się na miejsce karambolu, aż w końcu stanął przed nadkomisarzem policji Hendrikiem Kochem z komisariatu w Eschborn, który pierwszy pojawił się na miejscu zdarzenia.

– Widziałem w życiu kilka wypadków, ale czegoś takiego jeszcze nigdy. Straszne. Naprawdę straszne – na twarzy doświadczonego policjanta malował się smutek.

W kilku słowach przedstawił Bodensteinowi i Pii sytuację. O siedemnastej dwadzieścia sześć z kładki dla pieszych spadła kobieta i uderzyła w szybę bmw jadącego od strony Schwalbach.

Kierowca zareagował odruchowo i, nie hamując, szarpnął za kierownicę. Pojazd skręcił gwałtownie w lewą stronę i wjechał wprost pod samochody nadjeżdżające z przeciwnika. W wyniku tego na obu pasach doszło do kilku kolizji. Kierowca, który stał akurat na światłach w Sulzbach, twierdził, że widział, jak kobieta została wypchnięta z kładki przez jakiegoś mężczyznę.

– W jakim stanie jest ta kobieta? – zapytała Pia.

– Cudem przeżyła upadek – odparł Koch. – Ale nie wiadomo, czy z tego wyjdzie – dodał szybko.

– Jest już w karetce, lekarze prowadzą reanimację.

– W meldunku nam przekazany była informacja o ofierze śmiertelnej?

– Niestety. Kierowca bmw dostał zawału serca i nie udało się go uratować. Najprawdopodobniej na skutek szoku. Lekarze próbowali go reanimować, lecz bez rezultatu – wskazał głową na środek skrzyżowania. Obok całkowicie rozbitego bmw leżała czarna płachta, spod której wystawały tylko buty zmarłego. Za policyjnymi barierkami wybuchło jakieś zamieszanie. Dwóch umundurowanych funkcjonariuszy trzymało za ramiona wyrywającą się posiwiałą staruszkę. Kobieta usiłowała przedostać się przez kordon na miejsce wypadku. Radiotelefon komisarza Kocha zatrzeszczał i z głośniczka popłynął chrapliwy głos.

– To jest, zdaje się, żona kierowcy bmw – wyjaśnił policjant po odebraniu krótkiej informacji od podwładnych. – Proszę mi wybaczyć.

Powiedział coś przez radiotelefon i ruszył w stronę kobiety. Pia nie zazdrościła mu tego, co go teraz czekało. Informowanie członków rodziny o śmierci bliskich należało do najtrudniejszych i najmniej przyjemnych elementów tej pracy. Ani szkolenia z psychologii, ani wieloletnie doświadczenie nie były w stanie tego zmienić.

– Ty sprawdź kobietę, która spadła – polecił jej Bodenstein. – A ja porozmawiam ze świadkiem.

Pia kiwnęła głową i podeszła do karetki, w której ratownicy wciąż walczyli o życie rannej. Naraz otworzyły się tylne drzwi ambulansu i ze środka wyskoczył lekarz, którego znała z widzenia, bo spotykali się przy okazji różnych wypadków.

– Pani Kirchhoff, witam. – Uśmiechnął się. – Pacjentka ustabilizowana, postaramy się ją tak dowieźć do szpitala w Bad Soden. Wielokrotne złamania kości, uszkodzenia twarzy, urazy wewnętrzne. Nie rozmawiacie sobie.

– Wiecie coś na temat jej tożsamości?

– Miała kluczyki do samochodu w... – Lekarz zamilkł i cofnął się o krok, bo kierowca karetki ruszył z miejsca i włączył syrenę. Wycie sygnału zagłuszyło wszystko dookoła i dopóki wóz nie odjechał, rozmowa była niemożliwa. Dopiero po chwili udało jej się dokończyć zbieranie informacji, po czym podziękowała i pożegnała się z lekarzem. Okazało się, że ranna, w wieku około pięćdziesięciu lat, miała przy sobie jedynie kluczyk do samochodu i nic więcej. Nie znaleziono przy

niej torebki, za to po sprawdzeniu okolicy policjanci trafili na peronie na porzucone torby z zakupami. Bodenstein w tym czasie rozmawiał z kierowcą, który widział upadek kobiety. Człowiek ów zarzekał się, że ktoś zepchnął ją z kładki – twierdził, że mimo zachmurzenia i padającego deszczu widział, że był to mężczyzna.

Bodenstein i Pia wspięli się po schodach na kładkę.

– Spadła dokładnie stąd. – Pia spojrzała na miejsce oznaczone kredą. – Jak sądzisz, ile będzie do ziemi?

– Hm. – Bodenstein wychylił się nad poręczą, sięgającą mu do biodra. – Na oko pięć, może sześć metrów. Aż się wierzyć nie chce, że to przeżyła. W końcu samochód też jechał dość szybko.

Z góry widok porozbijanych pojazdów, pomarańczowych migaczy i niebieskich sygnałów karetek, personelu ratunkowego i policyjnego w odblaskowych zielonych kamizelkach miał w sobie coś surrealistycznego. W światłach reflektorów widać było krople zacinającego deszczu. Jakie myśli pojawiły się w głowie ofiary, kiedy straciła równowagę i wiedziała już, że nie ma dla niej ratunku? A może wszystko potoczyło się tak szybko, że nie zdążyła o niczym pomyśleć?

– Miała dobrego anioła stróża. – Pia pokiwała głową i zadrżała. – Mam nadzieję, że teraz też nie zostawi jej samej sobie.

Odwróciła się i ruszyła w stronę zejścia na peron. Bodenstein postać jeszcze chwilę i poszedł za nią. Kim była? Skąd przyjechała i dokąd zmierzała? Kwadrans przed tragedią siedziała w pociągu i niczego się nie spodziewała, a kilka chwil później leżała z połamanymi kośćmi w karetkce. Wystarczy jedna chwila... jeden niewłaściwy krok, spotkanie z niewłaściwymi ludźmi – i nic już nie jest takie jak wcześniej. Czego od niej chciał ten mężczyzna? Był zwykłym złodziejem? Wyglądało na to, że nie miała przy sobie torebki, ale Bodenstein uważał, że to dość dziwne.

– Każda kobieta ma przy sobie torebkę – stwierdził. – Widać, że była przedtem na zakupach, więc musiała za nie zapłacić. Potrzebowała pieniędzy, jakiegoś portfela czy portmonetki.

– A ty naprawdę sądzisz, że ten facet chciał ją napaść i okraść na kładce, tuż przy ruchliwym peronie? I to w czasie, kiedy ludzie wracają z pracy? – Pia rozejrzała się i pokręciła głową.

– Może akurat trafiła mu się okazja? Przy tej pogodzie wszyscy chcą być jak najszybciej w domu. Mógł wsiąść za nią do pociągu, bo widział, jak wyjmuje pieniądze z bankomatu.

– Hm. – Pia wskazała na kamerę na ścianie peronu. – Powinniśmy sprawdzić, czy coś się nagrało. Przy odrobinie szczęścia w obiektywie mieści się też kładka.

Bodenstein kiwnął głową i się zamyślił. Dwie rodziny przeżyją dzisiaj wielką tragedię tylko dlatego, że złodziej postanowił okraść przypadkową osobę. Czy rzeczywiście tak było? Nie żeby cokolwiek to mogło zmienić, ale przerażała go myśl, że śmierć i cierpienie mogą mieć tak banalną przyczynę. Z przejścia podziemnego wyszło dwóch policjantów. Na parkingu przy torach znaleźli czerwoną hondę civic, którą otworzył kluczyk znaleziony w kieszeni rannej. Natychmiast sprawdzili

w bazie danych numery rejestracyjne i ustalili, że właścicielka pojazdu mieszka w Neuenhain i nazywa się Rita Cramer.

*

BODENSTEIN SPRAWNIE zaparkował swoje bmw przed paskudnym mrówkowcem w Neuenhain, jednej z dzielnic Bad Soden. Pia przez dłuższą chwilę szukała wśród pięćdziesięciu przycisków dzwonka do mieszkania Rity Cramer. Nacisnęła guzik. Nikt się nie zgłosił. Na chybił trafił wybrała inne mieszkanie i zadzwoniła. W końcu trafiła na kogoś, kto wpuścił ich do środka. Dom z zewnątrz wyglądał okropnie, jednak klatka schodowa była bardzo zadbana. Na czwartym piętrze czekała staruszka. Z mieszaniną strachu i zainteresowania obejrzała dokładnie legitymację Bodensteina. Pia spojrzała z irytacją na zegarek. Dochodziła dziewiąta! Obiecała Christophowi, że będzie na przyjęciu pożegnalnym jego córki, a tymczasem wszystko przeciągało się w nieskończoność. Nie miała pojęcia, kiedy skończą. A przecież miała mieć wolny wieczór... W duchu przeklęła Hassego i Behnkego.

Okazało się, że starsza kobieta była sąsiadką Rity Cramer i знаła ją trochę – na tyle blisko w każdym razie, że miała klucz do jej mieszkania. Na wieść o wypadku, bez zbędnych ceregieli przekazała go Bodensteinowi i Pii. Niestety, nie wiedziała, czy pani Cramer miała jakichś krewnych. Na pewno nikt jej nie odwiedzał. Mieszkanie napadniętej kobiety było przygnębiające. Pedantycznie czyste, wygodne i ergonomiczne, ale skromnie umeblowane. Nie dało się z niego wywnioskować, jaką osobą była właścicielka. Na meblach brakowało ramek z rodzinnymi fotografiami, a na ścianach wisiały jedynie reprodukcje, jakie za kilka euro dało się kupić w każdym sklepie meblowym. Bodenstein i Pia obeszli wszystkie pomieszczenia, otworzyli szafki i sprawdzili szuflady, mając nadzieję, że znajdą jakąś informację o krewnych albo, przy odrobinie szczęścia, coś, co pomoże wyjaśnić wypadek. Nadaremnie.

– Anonimowo tutaj jak w pokoju hotelowym – stwierdził Bodenstein. – Nic. Zupełnie nic.

Pia weszła do kuchni. Jej spojrzenie padło na automatyczną sekretarkę. Na obudowie migiała czerwona dioda. Policjantka uruchomiła odtwarzanie. Nikt się nie nagrał, ale Pia zanotowała szybko numer, który pojawił się na wyświetlaczu. Kierunkowy do Königstein. Wyjęła z kieszeni komórkę i wystukała go na klawiaturze. Po trzecim dzwonku rozległ się sygnał automatu.

– Gabinet lekarski – wyjaśniła. – Już zamknięty.

– Masz tam coś jeszcze nagranych? – zapytał Bodenstein.

Pia ponownie nacisnęła przycisk odtwarzania i potrząsnęła głową.

– Wierzyć się nie chce, że ktoś może tak żyć. – Schowała telefon do kieszeni i spojrzała na kalendarz na ścianie. Od maja nikt nie wrywał w nim kartek. Przejrzała je po kolei, ale nie znalazła żadnej notatki. Na tablicy korkowej wisiały jedynie ulotki pizzerii i pozółkłe kopie mandatów za

parkowanie – jeszcze z kwietnia. Mieszkanie nie mogło należeć do spełnionej i szczęśliwej osoby.

– Jutro z samego rana zadzwonimy do gabinetu – zdecydował Bodenstein. – Na dzisiaj to wszystko. Podjadę jeszcze do szpitala i sprawdzę, w jakim jest stanie.

Wyszli z mieszkania i oddali klucz sąsiadce.

– Możesz podrzucić mnie do Christoph'a? – zapytała Pia, kiedy zjeżdżali windą. – To po drodze do szpitala.

– No tak, przyjęcie. Zapomniałbym.

– Czekał, a skąd to w ogóle wiesz, co? – Pia pchnęła przeszklone drzwi tak energicznie, że niewiele brakowało, a uderzyłaby w plecy mężczyznę studiującego karteczki z nazwiskami na domofonie.

– Przepraszam – powiedziała szybko. – Nie zauważyłam pana.

Pia spojrzała na nieznanego i uśmiechnęła się miło.

– Nic się nie stało – odparł mężczyzna i wszedł do środka.

– Lubię, jak moi pracownicy przekazują mi wszystkie ważne informacje – stwierdził nieoczekiwanie Bodenstein i postawił kołnierz płaszcz. – Wiesz chyba, o co chodzi.

Pia przypominała sobie o porannym spotkaniu z Kathrin Fachinger. Doskonały czas i miejsce na taką rozmowę.

– Czyli wiesz już o Behnke. Kolega znalazł sobie fuchę na boku i jestem gotowa się założyć, że nawet nie zgłosił takiego zamiaru.

Bodenstein zmarszczył czoło i spojrzał na nią przelotnie.

– Tak, teraz już wiem, ale do dzisiaj rana nie miałem o niczym pojęcia. – Pokręcił głową. – A ty?

– Daj spokój, jestem chyba ostatnią osobą, której Behnke cokolwiek by powiedział – parsknęła lekceważąco Pia. – On robi ze wszystkiego taką tajemnicę, jakby dalej był u antyterrorystów.

Bodenstein popatrzył na nią w słabym świetle ulicznych latarni.

– Facet tkwi po uszy w problemach – wyjaśnił. – Rok temu opuściła go żona, a sam nie dawał rady spłacać kredytu. Musiał sprzedać mieszkanie.

Pia zatrzymała się zaskoczona. Nie wiedziała, co powiedzieć. To by tłumaczyło jego zachowanie w ostatnim czasie; ciągłe podenerwowanie, humory i agresję. Mimo wszystko nie potrafiła znaleźć w sobie współczucia. Była jedynie rozeźlona.

– Bierzesz go w obronę – stwierdziła zdecydowanym tonem. – Zdradzisz mi, co takiego jest między wami, że Behnke może robić, co chce?

– To nieprawda, nie może – zaprzeczył Bodenstein.

– Dlaczego w takim razie popełnia błąd za błędem i zaniedbuje obowiązki, a nie ponosi konsekwencji?

– Miałem nadzieję, że jeśli dam mu trochę swobody, uda mu się w końcu wziąć w garść. –

Bodenstein wzruszył ramionami. – Ale wiesz, jeśli rzeczywiście podjął dodatkową pracę bez zgłoszenia i bez zezwolenia, to już nic więcej dla niego zrobić nie mogę.

– Czyli co, złożysz raport Engel?

– Obawiam się, że nie mam innego wyjścia. – Bodenstein westchnął i ruszył przed siebie. – Tak czy inaczej, najpierw porozmawiam z Frankiem.

SOBOTA 8 LISTOPADA 2008

O Boże! – Doktor Daniela Lauterbach zareagowała szczerym przerażeniem, kiedy Bodenstein wyjaśnił, skąd ma jej numer telefonu. Mimo opalenizny wyglądała bardzo blado. – Rita jest moją dobrą koleżanką. A zanim rozwiodła się z mężem przed paroma laty, byliśmy nawet sąsiadkami.

– Mamy świadka, który twierdzi, że pani Cramer została celowo zepchnięta z mostku – powiedział policjant. – Dlatego prowadzimy śledztwo w sprawie usiłowania zabójstwa. Niestety, nie znamy jeszcze sprawcy.

– To okropne! Biedna Rita... co z nią? Jak się czuje?

– Niedobrze. Jest w stanie krytycznym.

Daniela Lauterbach złożyła dłonie jak do modlitwy i potrząsnęła głową. Była wyraźnie wstrząśnięta. Bodenstein pomyślał, że nie skończyła jeszcze pięćdziesiątki. Miała bardzo kobiecą figurę i błyszczące ciemne włosy upięte w skromny kok. Patrząc na jej ciepłe oczy otoczone drobnymi zmarszczkami świadczącymi o skłonności do śmiechu, czuł, jak promieniuje serdecznością i matczynym ciepłem. Z całą pewnością była lekarką, która znajduje czas dla pacjentów i cierpliwie słucha, kiedy mówią o swoich problemach. Duży gabinet lekarski znajdował się przy deptaku w Königstein, nad salonem jubilerskim. Były to obszerne, jasne pomieszczenia o wysokich sufitach, wyłożone parkietem.

– Chodźmy może do mojego biura – zaproponowała.

Bodenstein ruszył za nią. Znaleźli się w bardzo dużym pokoju, którego najważniejszym elementem było potężne, staromodne biurko. Ściany zdobiły duże ekspresjonistyczne obrazy w ciemnych barwach, bardzo kontrastujących z ciepłem otoczenia.

– Napije się pan kawy?

– Z przyjemnością. – Bodenstein uśmiechnął się i potaknął. – Dzisiaj jeszcze nie miałem okazji.

– Wcześniej zaczynacie pracę. – Daniela Lauterbach postawiła filiżankę pod dyszą ekspresu. Maszyna stojąca na kredensie pośród specjalistycznej literatury zaczęła mleć kawę, a potem w powietrzu rozszedł się aromat świeżych ziaren.

– Pani też – odparł Bodenstein. – A przecież jest sobota.

Poprzedniego wieczoru zostawił wiadomość na automatycznej sekretarce, a dziś z samego rana oddzwoniła.

– Sobotnie przedpołudnie to czas na wizyty domowe. – Kobieta podała Bodensteinowi filiżankę z naparem, a ten grzecznie potrząsnął głową, kiedy gestem zaproponowała mu mleko i cukier. – Potem wracam do biura załatwić całą papierkową robotę, której sporo się zbiera po całym tygodniu. I jest z tym coraz gorzej, niestety. Wolałabym ten czas przeznaczyć na leczenie pacjentów.

Gestem zaprosiła go do biurka. Bodenstein usiadł na jednym z krzeseł. Z okna naprzeciwko roztaczał się cudowny widok parku otaczającego ruiny zamku.

– Jak mogłabym panu pomóc? – zapytała.

– W mieszkaniu pani Cramer nie znaleźliśmy żadnych informacji dotyczących jej krewnych – odparł policjant. – A zakładamy, że na pewno ma kogoś, kogo powinniśmy powiadomić o wypadku.

– Rita zawsze utrzymywała dobre kontakty z byłym mężem – wyjaśniła Daniela. – Jestem przekonana, że się nią zajmie. – Znów potrząsnęła głową i spojrzała na niego ze smutkiem. – Kto to mógł zrobić? – zapytała, otwierając szeroko orzechowe oczy.

– Sami jesteśmy tego ciekawi. Czy pani Cramer miała wrogów?

– Rita? Wrogów? W żadnym razie! Rita jest niesamowicie ciepłą i przyjazną osobą. Wiele w życiu przeszła, ale mimo wszystko nie zrobiła się zgorzkniała.

– Wiele przeszła? Co ma pani na myśli? – Bodensteina zainteresowały słowa lekarki. Daniela Lauterbach zachowywała się bardzo spokojnie, nie spiesząc się wcale i budząc w nim ogromną sympatię. Lekarz, u którego się leczył, załatwiał kolejnych pacjentów z prędkością i delikatnością robotnika pracującego przy taśmie. Za każdym razem, kiedy musiał go odwiedzić, wychodził podenerwowany gorączkowym pośpiechem, z jakim przeprowadzane były wszystkie badania.

– Jej syn trafił do więzienia – wyjaśniła kobieta i westchnęła ze smutkiem. – Dla Rity to było straszne przeżycie. Koniec końców przez wyrok syna rozpadło się jej małżeństwo.

Bodenstein zamarł w bezruchu, z filiżanką kawy w połowie drogi do ust.

– Czyli syn pani Cramer siedzi w więzieniu? Za co został skazany?

– Nie, już nie siedzi. Przed dwoma dniami wyszedł na wolność. Dziesięć lat temu zamordował dwie nastolatki.

Bodenstein zaczął intensywnie myśleć, ale nie mógł sobie przypomnieć podwójnego mordercy o nazwisku Cramer.

– Rita po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska, żeby nikt nie mógł jej połączyć z tamtą tragedią – dodała Daniela Lauterbach, jakby potrafiła czytać w myślach policjanta. – Wcześniej nazywała się Sartorius.

*

PIA MIAŁA WRAŻENIE, że śni. Z niedowierzaniem wpatrywała się w zawiadomienie na szarym papierze z makulatury, napisane beznamiętnym, urzędowym językiem, które nie pozostawiało żadnych złudzeń. Wcześniej jej serce wywinęło z radości koziołka, kiedy wśród listów w skrzynce znalazła szarą kopertę wysłaną z wydziału architektury urzędu miejskiego we Frankfurcie. Tyle że spodziewała zupełnie innej treści. Od kiedy podjęli z Christophem decyzję, by zamieszkać razem, planowali rozbudowę maleńkiego domku, który był zbyt ciasny nawet dla ich dwojga, a już w ogóle

nie nadawał się do okazjonalnego goszczenia krewnych czy znajomych. Pia zleciła znajomemu architektowi przygotowanie planów przebudowy i wystąpiła o wydanie warunków zabudowy i pozwolenia. Czekwała z niecierpliwością na odpowiedź, bo prace najchętniej zaczęłaby już teraz. Przeczytała pismo drugi, a potem trzeci raz, odłożyła je na kuchenny stół i poszła do łazienki. Po szybkim prysznicu owinęła się ręcznikiem i przez chwilę patrzyła zniechęcona w lustro. O wpół do czwartej wyszła z przyjęcia i wróciła do siebie, a mimo wszystko wstała o siódmej rano, by wypuścić na dwór psy i nakarmić pozostałe zwierzęta. Potem wykorzystała chwilowe przejaśnienie, by wylązować dwa młode konie i oczyścić ich boksy. Zdecydowanie brakowało jej kondycji na całonocne balangi. Mając czterdzieści jeden lat, znacznie trudniej wstać po nieprzespanej nocy, niż mając lat dwadzieścia jeden. Zamyślona wyszczotkowała sięgające ramion blond włosy i zaplotła je w warkocze. Po druzgocącej wiadomości z urzędu nie miała już co myśleć o śnie. Wróciła do kuchni, podniosła ze stołu list i przeszła do sypialni.

– Cześć, kochanie – mruknął Christoph i zamrugnął zaspanymi oczami, by przyzwyczaić się do światła. – Która godzina?

– Za piętnaście dziesiąta.

Usiadł na łóżku i z jękiem zaczął masować skronie. Wbrew swojemu zwyczajowi poprzedniego wieczoru nie wylewał za kołnierz.

– Pamiętasz, o której odlatuje samolot Anniki?

– O drugiej po południu. Mamy jeszcze kupę czasu.

– Co tam trzymasz? – zapytał, kiedy zauważył, że przyszła z kartką w dłoni.

– Katastrofę – odpowiedziała ponuro. – Przyszło pismo z wydziału architektury.

– No i? – Christoph robił wszystko, żeby się dobudzić.

– Dostałam nakaz rozbiórki!

– Słucham?!

– Poprzedni właściciel postawił dom bez pozwolenia na budowę. Uwierzyłybyś? A my, występując o warunki zabudowy, wskazaliśmy im trupa w szafie! W tym miejscu zgodnie z prawem stoi jedynie altanka ogrodowa i stajnia. A ja nic już nie rozumiem. – Usiadła na brzegu łóżka i potrząsnęła głową. – Mieszkam tu od lat, zameldowałam się pod tym adresem, podpisałam umowę na wywóz śmieci, płacę za wodę i ścieki... Co oni sobie myśleli? Dlaczego się na to wszystko zgadzali? Myśleli, że mieszkam w altance?

– Pokaż, co napisali. – Christoph podrapał się po głowie i w milczeniu przeczytał urzędowy list.

– Na razie złożymy sprzeciw. Tak przecież nie można traktować ludzi. Sąsiad buduje gigantyczną halę, a ty nie możesz rozbudować małego domku. To śmieszne!

Rozdzwoniła się komórka, którą zostawiła na nocnej szafce. Pia miała dzisiaj dyżur i musiała być gotowa na każde wezwanie. Odebrała i przez minutę słuchała w skupieniu.

– Dobra, już jadę – odezwała się w końcu, przerwała połączenie i rzuciła telefon na łóżko. –

Niech to szlag.

– Musisz jechać?

– Niestety. Do jednego z naszych w Niederhöchstadt zgłosił się chłopiec, który twierdzi, że wczoraj wieczorem widział, jak jakiś mężczyzna wyrzucił kobietę przez barierkę.

Christoph objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Pia westchnęła ciężko. Pocałował ją najpierw w policzek, a potem w usta. Czy ten dzieciak naprawdę nie mógł poczekać z pragnieniem podzielenia się przeżyciami do wieczora? Nie miała najmniejszej ochoty wracać do pracy. Tym bardziej że w weekend, zgodnie z kolejnością, dyżur przypadał Behnkemu. No tak, ale biedaczek się rozchorował. I Hasse też zaniemógł. Cholerni cwaniacy, niech ich piekło pochłonie. Pia wtuliła się w Christopha. Mężczyzna wsunął dłoń pod ręcznik i zaczął gładzić ją po brzuchu.

– Na razie nie zawracaj sobie głowy tym idiotycznym listem – szepnął i znów ją pocałował. – Zobaczysz, znajdziemy jakieś rozwiązanie. Na pewno nie zgodzimy się na rozbiórkę.

– Na każdym kroku problemy – mruknęła Pia i pomyślała, że jeszcze godzinka czekania na komisariacie nie zbawi nieletniego świadka.

*

BODENSTEIN SIEDZIAŁ w samochodzie zaparkowanym przed szpitalem w Bad Soden i czekał na partnerkę. Daniela Lauterbach podała mu adres byłego męża Rity Cramer, który do dzisiaj mieszkał w Altenhain. Jednak zanim ruszył w drogę, by przekazać mu smutne wieści, postanowił wpaść do szpitala i zapytać o stan ofiary. Kobieta przeżyła pierwszą noc po wypadku. Po tym jak trafiła na oddział intensywnej terapii, przeszła skomplikowaną operację, po której lekarze wprowadzili ją w śpiączkę farmakologiczną. O wpół do dwunastej obok jego wozu zatrzymała się Pia, wysiadła, obeszła dużą kałużę i otworzyła drzwi od strony pasażera.

– Chłopak podał całkiem dokładny opis sprawcy – powiedziała, siadając w fotelu i zapinając pasy. – Jeśli Kai wyciągnie z kamery w miarę przyzwoite zdjęcie twarzy, będziemy mogli przygotować portret poszukiwanego do opublikowania w prasie.

– Doskonale. – Bodenstein uruchomił silnik. Poprosił, żeby towarzyszyła mu w spotkaniu z byłym mężem Rity Cramer. W czasie krótkiej drogi do Altenhain zdał jej relację z rozmowy z Danielą Lauterbach. Pia nie mogła się skupić. Znacznie bardziej od tej sprawy zajmowała ją odpowiedź z wydziału architektury. Nakaz rozbiórki! Ze wszystkim się liczyła, ale nie z nakazem rozbiórki! Co będzie, jeśli miasto nie zmieni zdania i postawi na swoim? Będą mogli ją zmusić do rozebrania domu? Gdzie wtedy zamieszkają?

– Hej, Pia, czy ty mnie w ogóle słuchasz? – zapytał Bodenstein.

– No pewnie – odparła. – Sartorius. Sąsiadka. Altenhain. Wybacz, dopiero o czwartej nad ranem

wylądowałam w domu.

Ziewnęła i zamknęła oczy. Czowała potworne zmęczenie. Niestety, brakowało jej nadludzkiej samodyscypliny szefa. Bodenstein nawet po zarwanej nocy czy po wyjątkowo wyczerpujących przesłuchaniach nigdy nie pozwoliłby sobie na taki brak skupienia. Swoją drogą, pomyślała, czy on kiedykolwiek ziewa?

– Ta sprawa sprzed jedenastu lat długo nie schodziła z pierwszych stron gazet – powiedział Bodenstein. – Proces przeciwko Tobiasowi Sartoriusowi był poszlakowy. Chłopak został skazany za morderstwo i pobicie ze skutkiem śmiertelnym na najwyższą karę, na jaką można było skazać młodocianego bez kartoteki.

– Racja, coś sobie teraz przypominam – wymamrotała. – Ale jak przez mgłę. Podwójne morderstwo, brak ciał. Sprawca jeszcze siedzi?

– No właśnie już nie. Tobias Sartorius wyszedł na wolność w zeszły czwartek. Wrócił do Altenhain i zamieszkał z ojcem.

Pia zastanawiała się przez kilka chwil, po czym otworzyła oczy.

– Myślisz, że może istnieć jakiś związek między wypuszczeniem młodego Sartoriusa a atakiem na jego matkę?

Bodenstein spojrzał na nią z rozbawieniem.

– Niesamowite – powiedział z uznaniem.

– Co takiego?

– Twoja przenikliwość. Umiejętność dedukcji nie opuszcza cię nawet we śnie.

– Przecież nie spałam – zaprotestowała bez przekonania, walcząc z całych sił z kolejnym ziewnięciem.

Minęli tablicę informującą o wjeździe do Altenhain i po krótkiej chwili znaleźli się przy głównej ulicy, pod adresem, który podała im Daniela Lauterbach. Bodenstein wjechał na pusty, zaniedbany parking przed dawną gospodą. Przy budynku stał młody mężczyzna i usiłował zamalować czerwone graffiti składające się ze słów DOM PIEPRZONEGO MORDERCY. Grube litery wypisane sprayem nie chciały zniknąć nawet pod świeżą warstwą białej farby. Na chodniku przy wjeździe stały trzy kobiety w średnim wieku.

– Morderca! – usłyszała Pia, kiedy otworzyła drzwi, żeby wysiąść. – Wynocha stąd, draniu! Wynoś się stąd, bo pożakujesz! – krzyczała dalej nieznajoma, po czym splunęła z obrzydzeniem na ziemię.

– Co się tu dzieje? – zapytał Bodenstein, na co kobiety rzuciły się do ucieczki. Mężczyzna natomiast całkowicie zignorował zaczepkę i dalej robił swoje. Bodenstein przywitał się grzecznie, przedstawił siebie i Pię.

– Czego one od pana chciały? – zapytała policjantka.

– Skąd mam wiedzieć? Ich zapytajcie – odpowiedział opryskliwie mężczyzna.

Spojrzał na nich przelotnie, zanurzył wałek w wiadrze i wrócił do malowania. Mimo chłodu miał na sobie tylko bawełniany podkoszulek z długimi rękawami, dżinsy i buty robocze.

– Przyjechaliśmy porozmawiać z panem Sartoriusem.

Kiedy na nich spojrzał, Pia nabrała przekonania, że już go gdzieś widziała.

– Zaraz, czy to nie pana spotkaliśmy wczoraj wieczorem w Neuenhain, przy wejściu do wieżowca, w którym mieszka pani Cramer? – zapytała.

Nawet jeśli się tego nie spodziewał, doskonale ukrył zaskoczenie. Wpatrywał się w nią bez uśmiechu. Miał niesamowite oczy; błękitne jak ocean. Pii zrobiło się gorąco.

– I co z tego? – zapytał. – Czy to zabronione?

– Nie, oczywiście, że nie. Ale chciałabym wiedzieć, co pan tam robił?

– Szedłem do matki. Byliśmy wczoraj umówieni. Nie przyszła na spotkanie, więc się zaniepokoiłem.

– Zatem Tobias Sartorius to pan?

Mężczyzna uniósł brwi i wyduł kpiąco usta.

– Tak, to ja. Tobias Sartorius, morderca nastolatek.

Pia uznała, że jest niepokojąco przystojny, a ciągnąca się od lewego ucha do brody biaława blizna dodaje jego twarzy atrakcyjności, zamiast ją szpeci. Sposób, w jaki spoglądał, budził w niej dziwne uczucia. Nie miała pojęcia, z czego to wynikało.

– Pana matka miała wczoraj wieczorem bardzo poważny wypadek – wtrącił się Bodenstein. – Jeszcze w nocy trafiła na salę operacyjną, a teraz leży na oddziale intensywnej terapii. Jest w stanie krytycznym.

Pia obserwowała, jak Tobias Sartorius zareaguje na tę wiadomość. Nabrał głęboko powietrza i zadrzał, a potem zagryzł zęby i zacisnął usta. Nie patrząc na wiadro, wrzucił do niego wałek malarski i szybkim krokiem ruszył w stronę wejścia do domu. Bodenstein i Pia wymienili znaczące spojrzenia, po czym poszli za nim. Podwórze wyglądało jak wielkie wysypisko śmieci. Nagle Bodenstein krzyknął i zamarł w bezruchu. Pia stanęła zaskoczona i spojrzała na szefa.

– Co się dzieje? – zapytała, rozglądając się uważnie.

– Szczur! – wydusił z siebie policjant. Był blady jak kreda. – To paskudztwo przebiegło mi po stopie! Szczur wskoczył mi na but!

– Nie ma się co dziwić, biorąc pod uwagę ten śmietnik. – Pia wzruszyła ramionami i chciała iść dalej, ale Bodenstein ani drgnął. Stał jak skamieniały.

– Niczego bardziej nie nienawidzę od szczurów – wyjaśnił trzęsącym się głosem.

– A ty przypadkiem nie dorastałeś w jakimś pałacu na wsi? – zapytała. – Tam musiały być

szczury.

– No i masz wytłumaczenie, skąd to się wzięło.

Pia potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Nigdy w życiu nie przyszłoby jej do głowy, że szef może cierpieć na taką dziwną fobię!

– Nie rób scen – powiedziała. – Szczury uciekają na nasz widok. To są w gruncie rzeczy dzikie zwierzęta, wszystkiego się boją. Moja przyjaciółka miała za to kiedyś dwa oswojone domowe szczury. Te zachowywały się całkiem inaczej. Wiesz, co z nimi robiła? Ona je...

– Przestań! Nie chcę nawet o tym słuchać! – Bodenstein nabrał głęboko powietrza. – Idź przodem.

– Ale jazda! – Pia nie mogła powstrzymać uśmiechu. Mężczyzna szedł tuż za nią. Cały czas gotów do ucieczki, rozglądał się nerwowo, lustrując hałdy śmieci po obu stronach wąskiej ścieżki.

– Popatrz tutaj! Ale grubas! – Pia zatrzymała się gwałtownie.

Bodenstein wpadł na nią i rozejrzał się z paniką w oczach. Jego flegmatyczny spokój gdzieś się ulotnił.

– Tylko żartowałam. – Pia wyszczerzyła zęby, jednak jej przełożony nie popisał się poczuciem humoru.

– Jeśli jeszcze raz to zrobisz, wracasz do domu na piechotę – zagroził. – Prawie dostałem zawału!

Ruszyli dalej. Tobias Sartorius zniknął w wejściu do domu, ale nie zamknął za sobą drzwi. Bodenstein wyprzedził na ostatnich metrach Pię i na schody wspiał się z ulgą wędrowca, który po kilometrach grząskich mokradeł w końcu poczuł pod stopami twardy grunt. W progu pojawił się starszy, zgarbiony mężczyzna. Na nogach miał zużyte kapcie, ubrany był w poplamione szare spodnie i wyświechtaną kurtkę z dzianiny, zwisającą luźno z jego wychudzonego ciała.

– Pan Hartmut Sartorius? – zapytała Pia, na co staruszek pokiwał głową. Sprawiał wrażenie równie zaniedbanego jak jego podwórze. Wąską wychudzoną twarz pokrywała siatka głębokich zmarszczek, a podobieństwo z synem zdradzały jedynie oczy o niesamowitej barwie morskiego błękitu. Jednak u niego już dawno straciły blask.

– Syn mi przekazał, że przyjechaliście w sprawie mojej byłej żony? – zapytał cichym głosem.

– Tak – potwierdziła Pia. – Wczoraj wieczorem miała bardzo groźny wypadek.

– Proszę, proszę do środka. – Wpuścił ich do wąskiego, ciemnego korytarza, a potem do kuchni, która mogłaby być przytulna i ciepła, gdyby tylko nie była tak zapuszczona. Tobias stał przy oknie z rękami skrzyżowanymi na piersiach.

– Pański adres otrzymaliśmy od doktor Danieli Lauterbach – wyjaśnił Bodenstein. Policjant doszedł już do siebie po spotkaniu ze szczurami. – Z zeznań świadków wynika, że pańska była żona została wczoraj wieczorem zepchnięta z kładki dla pieszych przy dworcu Sulzbach-Nord. Spadła

prosto na jadący samochód.

– Dobry Boże... – Zmarnowana twarz staruszka w jednej sekundzie stała się blada jak ściana.

Mężczyzna musiał się oprzeć, żeby nie upaść. – Kto... mógł to zrobić?

– Staramy się to ustalić – odparł Bodenstein. – Czy przychodzi panu do głowy ktoś, kto miał powód, żeby zaatakować pańską byłą małżonkę? Czy pani Cramer miała wrogów?

– Ona? Wykluczone. – Do rozmowy włączył się Tobias Sartorius. – Ale ja, owszem. Wszyscy na tym zadupiu to moi wrogowie! – W jego głosie słychać było rozgoryczenie.

– Ma pan jakieś konkretne podejrzenia? – zapytała Pia.

– Nie – odparł pośpiesznie Hartmut Sartorius. – Nie, coś tak okropnego... to się nie mieści w głowie. Nie znam nikogo dość podłego, żeby mógł to zrobić.

Pia spojrzała badawczo na jego syna, lecz Tobias nie ruszał się sprzed okna. Przez padające z zewnątrz światło widziała jedynie zarys jego głowy, ale nie mogła dostrzec wyrazu twarzy. Jednak domyśliła się, że jest innego zdania niż ojciec. Niemal wyczuwała nerwowe drżenie jego ciała. W oczach mężczyzny musiała tlić się długo tłumiona wściekłość, która jak płomyk czekała tylko na okazję, by zamienić się w niebezpieczną pożogę. Tobias Sartorius był bombą zegarową z tykającym zapalnikiem. Za to jego ojciec sprawiał wrażenie złamanego przez życie, bezradnego i słabego staruszka. Był w podobnym stanie jak jego obojciec. Stracił chęć do życia, zamknął się w sobie i nie czekał już na nic. Los rodziców mordercy nigdy nie jest łatwy, ale Pia nie potrafiła sobie wyobrazić, co musieli czuć Sartoriusowie, mieszkający w niewielkiej wiosce, z której pochodziły również ofiary ich syna. Codzienne spotkania z nieprzyjaznymi komentarzami i wrogimi spojrzeniami stały się zbyt wielkim obciążeniem. Żona zostawiła Hartmuta i uciekła do innego miasta, lecz na pewno czuła wyrzuty sumienia. Nowe życie nie przyniosło jej szczęścia, o czym świadczyło puste i nieprzytulne mieszkanie.

Pia spojrzała na Tobiasa. Mężczyzna w zamyśleniu przytknął kciuk do ust i wpatrywał się gdzieś daleko przed siebie. Co też chodziło mu po głowie? Jakie myśli skrywała zacięta mina? Nie potrafił znieść krzywdy, jaką wyrządził swoim rodzicom? Bodenstein podał staruszkowi wizytówkę. Mężczyzna popatrzył na nią przez chwilę, po czym wsunął do kieszeni kurtki.

– Czy byliby panowie skłonni zająć się trochę panią Cramer? Jest w ciężkim stanie, a pomoc bardzo jej się przyda.

– Oczywiście. Zaraz jedziemy do szpitala.

– Jeśli przyjdzie panom do głowy, kto mógł to zrobić, proszę do mnie zadzwonić. Niezależnie od pory dnia.

Sartorius senior potaknął. Jego syn dalej trwał bez ruchu przy oknie. Pia miała złe przeczucia. Mogła mieć jedynie nadzieję, że Tobiasowi nie przyjdzie do głowy szukać sprawiedliwości na

własną rękę.

*

HARTMUT SARTORIUS zaparkował samochód w garażu. Wizyta u Rity napełniła go przerażeniem. Lekarz, z którym zamienił kilka słów, wzbraniał się przed jakimikolwiek spekulacjami. Powiedział jedynie, że miała szczęście, bo kręgosłup pozostał właściwie nienaruszony, przy czym przeszło połowę z dwustu sześciu kości, jakie składają się na szkielet człowieka, miała połamaną. Nie wspominając o ciężkich obrażeniach wewnętrznych, które odniosła, uderzając w jadące auto. Przez całą powrotną drogę Tobias nie powiedział ani słowa. Siedział w fotelu pasażera i wpatrywał się ponuro przed siebie. Weszli na podwórze, ale tuż przy schodach do domu Tobias zatrzymał się i postawił kołnierz kurtki.

– Co się stało? – zapytał Hartmut, patrząc uważnie na syna.

– Przejdę się kawałek. Muszę zaczerpnąć świeżego powietrza.

– Akurat teraz? Za pół godziny północ. I leje jak z cebra. Przemokniesz i zmarzniesz.

– Przez ostatnich dziesięć lat nie miałem żadnej pogody. Nawet paskudnej. – Syn spojrzął mu w oczy. – Zupełnie mi nie przeszkadza, że przemoknę. A godzina też jest w porządku. Przynajmniej nikt mnie nie zobaczy.

Hartmut Sartorius zawahał się, ale potem położył mu dłoń na ramieniu.

– Tylko nie zrób niczego głupiego, Tobi. Proszę, przysięgnij, że będziesz ostrożny.

– Oczywiście, że będę. Nie musisz się niczym martwić. – Zaśmiał się krótko, choć nie było mu wcale do śmiechu. Począł, aż ojciec wejdzie do domu, potem schował głowę między ramiona, odwrócił się i minął pogrążone w ciemnościach pustą stajnię i stodołę. Widok matki, połamanej i pokaleczonej, podłączonej do wężyków i monitorów na intensywnej terapii, sprawił mu większy ból, niż się spodziewał. Czy ten atak miał jakiś związek z jego wyjściem na wolność? Jeśli umrze, a lekarz wzbraniał się, jak mógł przed wykluczeniem takiej ewentualności, wtedy osoba, która zepchnęła ją pod jadące samochody, będzie miała na sumieniu morderstwo.

Tobias zatrzymał się, kiedy dotarł do tylnej bramy. Była zamknięta. Przez lata nieużywania oplótł ją bluszcz i zarosły chwasty. Mógł się tylko domyślać, od jak dawna nikt jej nie otwierał. Jutro z samego rana zabierze się do sprzątnięcia. Po dziesięciu latach zamknięcia jego tęsknota za otwartą przestrzenią i wolnością podejmowania decyzji o tym, co chce robić, a czego nie, była przeogromna. Już po trzech tygodniach więzienia doszedł do wniosku, że zwariuje, jeśli nie będzie ćwiczył siły woli. Jego apelacja została odrzucona, a na przedterminowe zwolnienie nie miał najmniejszych szans, czego dowiedział się od adwokata. Dlatego zapisał się na uniwersytet korespondencyjny w Hagen i dodatkowo rozpoczął naukę zawodu ślusarza. Każdego dnia osiem godzin spędzał w pracy, godzinę na zajęciach sportowych, a pół nocy czytał książki, żeby czymś się zająć i zburzyć monotonię kolejnych dni. Z biegiem lat przyzwyczyił się do ściśle ustalonego porządku dnia, więc

nagły brak odgórnie ustalonych zasad wprowadził w jego życie lekkie poczucie zagrożenia. Oczywiście nie tęsknił za celą, co to, to nie! Ale musiało minąć trochę czasu, zanim na powrót przywyknie do wolności. Wspiął się na bramę i zeskoczył po drugiej stronie. Stał schowany pod laurowiśnią, która zdążyła zmienić się w ogromne drzewo. Zawahał się i po chwili ruszył dalej. Minął wejście do posiadłości Terlindenów. Masywna dwuskrzydłowa brama z kutego żelaza była zamknięta, a podjazdu strzegła zamontowana na jednym ze słupów nowoczesna kamera. Za domem zaczynał się las. Po około pięćdziesięciu metrach Tobias skręcił w wąską ścieżkę, nie wiadomo czemu zwaną przez miejscowych „dłutkiem”. Drożka prowadziła zakosami przez całą wieś aż do cmentarza. Ciągnęła się tyłami ogródków i podwórze ciasno pobudowanych domów. Tobias znał tutaj każdy zakręt, każdy stopień i każdy płot – nic się nie zmieniło! Jako dziecko, a później nastolatek, biegał nią do kościoła, grać w piłkę i na spotkania z przyjaciółmi. Schował ręce w kieszeniach kurtki. Po lewej stronie, w maleńkim domku mieszkała stara Maria Kettels. Staruszka jako jedyna zeznawała na jego korzyść. Twierdziła, że jeszcze późno w nocy widziała Stefanie, lecz sąd nie wziął tego pod uwagę. Wszyscy w Altenhain wiedzieli, że starowinka cierpiała na zaniki pamięci, a na dodatek była na wpół ślepa. Musiała mieć wtedy osiemdziesiąt kilka lat. Tobias domyślał się, że zmarła w czasie, który spędził w więzieniu. Działka obok należała do Paschków, którzy z kolei byli sąsiadami jego rodziny. Jak zawsze każdy zakątek ogrodu i podwórza aż błyszczał czystością. Stary Paschke dbał, by najmniejszy chwast, który ośmielił się wychynąć z ziemi na jego terenie, został zniszczony z pomocą broni chemicznej. Wcześniej pracował jako robotnik w jednej z miejskich firm i potrafił czerpać pełnymi garściami z arsenału państwowych zasobów, podobnie zresztą jak wielu jego sąsiadów, którzy pracując w spółce akcyjnej Hoechst AG, bez najmniejszych wyrzutów sumienia pobudowali swoje domy i obejścia z materiałów podwędzonych pracodawcy. Paschkowie byli rodzicami Gerdy Pietsch, matki Feliksa, kolegi Tobiasa. Tutaj zresztą każdy miał dookoła samych krewnych, a historie rodzin znali wszyscy. Nie istniało coś takiego jak tajemnice czy dyskrecja. Tutaj plotkowało się ze wszystkimi o wszystkim; o grzechach, porażkach i chorobach. Z racji położenia w wąskiej dolinie i braku nowych działek, Altenhain uchroniło się przed zalewem przyjezdnych, którzy wszędzie dookoła budowali nowe domy. Świeżej krwi we wsi niemal nie przybywało i tak od stuleci lokalna społeczność kisiła się we własnym sosie.

Tobias dotarł do cmentarza i napał ramieniem na niewielką drewnianą furtkę, która drgnęła ze zmęczonym skrzypnięciem. Powoli posuwał się alejką między nagrobkami, smagany nagimi gałęziami potężnych drzew rosnących między grobami i kołyszących się pod naporem wiatru, który z czasem przybrał na sile. Cmentarze nigdy go nie przerażały: wręcz przeciwnie, miały w sobie coś radosnego i spokojnego. Tobias zbliżał się do kościoła, kiedy zegar na wieży wybił północ. Zatrzymał się, odchylił głowę i spojrzał na wysoką dzwonnice wzniesioną z czarnego kamienia. Może powinien

skorzystać z zaproszenia Nadji i zamieszkać u niej, przynajmniej do czasu, kiedy stanie na nogi? W Altenhain nikt go nie chciał, nie miał co do tego wątpliwości. Z drugiej strony nie mógł przecież zostawić ojca samego! Miał wielki dług wobec rodziców, którzy nigdy się od niego – skazanego za morderstwo dwóch nastoletnich dziewczyn – nie odwrócili. Tobias obszedł kościół i wszedł do przedsionka. Drgnął, przestraszony, bo po prawej stronie coś się poruszyło. W słabym świetle latarni dostrzegł ciemnowłosą dziewczynę, która siedziała na oparciu drewnianej ławki i paliła papierosa. Serce zaczęło mu walić jak oszalałe. Nie potrafił uwierzyć w to, co zobaczył. Miał przed sobą Stefanie Schneeberger.

*

AMELIE BYŁA nie mniej przerażona, kiedy niespodziewanie w przedsionku kościoła pojawił się obcy mężczyzna. Jego kurtka połyskiwała ściekającą wodą, a ciemne włosy kleiły się do mokrej twarzy. Nigdy wcześniej go nie widziała, a jednak natychmiast wiedziała, kim jest.

– Dobry wieczór – przywitała się i wyjęła słuchawki iPoda z uszu. Przez chwilę słychać było przytłumiony śpiew Adriana Hatesa, wokalisty jej ulubionej kapeli, Diary of Dreams. W końcu wyłączyła muzykę. Zapadła cisza i słychać było jedynie szum deszczu na dworze. Ulicą poniżej przejechał jakiś samochód. Światło reflektorów na ułamek sekundy wyłoniło z ciemności twarz nieznanego. Teraz nie miała już najmniejszych wątpliwości – to był Tobias Sartorius! Amelie obejrzała w Internecie dość jego zdjęć, żeby móc go poznać. Właściwie wyglądał całkiem przyjemnie. I nawet był przystojny. Wyglądał inaczej niż pozostali faceci z tej zapyziałej dziury. A już na pewno nie jak morderca.

– Cześć – odpowiedział w końcu i przyjrzał się jej z dziwnym wyrazem twarzy. – Co tu robisz o północy?

– Przyszłam na dymka. Posłuchać muzyki. Za bardzo lubię deszcz, żeby siedzieć w chacie.

– Aha...

– Jestem Amelie Fröhlich – przedstawiła się. – A ty jesteś Tobias Sartorius, prawda?

– Zgadza się. Dlaczego pytasz?

– Dużo o tobie słyszałam.

– To raczej nieuniknione, jeśli się tu mieszka. – W jego głosie pobrzmiwał cynizm. Wydawało się, że intensywnie myśli, kim jest napotkana dziewczyna.

– Tylko że ja tu mieszkam dopiero od maja – wyjaśniła Amelie. – Tak naprawdę jestem z Berlina. Ale ostro poprzytykałam się z nowym facetem matki i zesłali mnie tutaj, żebym pomieszkała z macochą i ojcem.

– Nie mają nic przeciwko, kiedy kręcisz się w środku nocy po okolicy? – Tobias oparł się o mur i przyglądał się jej uważnie. – Przecież do wsi wrócił morderca?

Amelie uśmiechnęła się szeroko.

– Nie sądzę, żeby w ogóle mieli o tym pojęcie. Ja za to tak. Pracuję wieczorami w tamtej knajpie.

– Wskazała głową w kierunku karczmy, która znajdowała się naprzeciwko kościoła, po drugiej stronie dużego parkingu. – Od dwóch dni jesteś tam tematem numer jeden.

– Co to za knajpa?

– Pod Czarnym Rumakiem.

– Słyszałem coś o niej. Nie było jej, gdy tu mieszkałem.

Amelie przypomniała sobie, że zanim Tobias Sartorius poszedł do więzienia, jedyną knajpę we wsi prowadził jego ojciec, Hartmut Sartorius. Nazywała się Pod Żłotym Kogutem.

– A co ty robisz tu o północy? – Dziewczyna wyłowiła z plecaka paczkę papierosów i zaproponowała mu jednego.

Zawahał się, ale potem skorzystał z propozycji. Poczekał, aż sama weźmie papierosa, i podał jej ogień.

– Tak sobie chodzę. – Oparł nogę o mur za sobą. – Dziesięć ostatnich lat spędziłem w więzieniu. Tam się nie da tak po prostu wyjść na spacer.

Przez chwilę palili w milczeniu. Obserwowali, jak po drugiej stronie parkingu kilku ostatnich gości wychodzi z karczmy. Usłyszeli podniesione głosy, po chwili trzasnęły drzwi samochodów, zawyły silniki, a kilkadziesiąt sekund później znów zapanowała cisza.

– Nie boisz się chodzić po ciemku? Jest już po północy.

– Nie. – Amelie pokręciła głową. – Mówiłam ci już, że wychowałam się w Berlinie. Czasem z paczką zostawaliśmy na noc na dziko, w pustostanach albo w domach przeznaczonych do rozbiórki. Zdarzało się, że mieliśmy problemy z bezdomnymi czy jakimiś żulami. Czasem też z glinami.

Tobias zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym nosem.

– Gdzie mieszkasz?

– W domu obok Terlindenów.

– Tam?

– Tak, dokładnie tam. Już wszystko wiem. Thies mi opowiedział. Tam mieszkała wcześniej Królowna Śnieżka.

Tobias Sartorius znieruchomiał.

– Wymyślasz. Nie wiem dlaczego, ale kłamiesz – wymamrotał po chwili zmienionym głosem.

– Nie, nie zmyślam – zapewniła go nastolatka.

– Nie wierzę ci. Thies nie mówi. Nigdy nie mówił.

– Ze mną rozmawia. Czasem. Jesteśmy przyjaciółmi.

Tobias przytknął papierosa do ust. Czerwona poświata rozżarzonego tytoniu oświetliła na chwilę jego twarz, ale to wystarczyło, by Amelie zauważyła, jak uniósł brwi.

– Przyjaciółmi, ale nie tak, jak myślisz – zapewniła go pośpiesznie. – Thies jest moim najlepszym kumplem. Jedynym...

NIEDZIELA 9 LISTOPADA 2008

Przyjęcie z okazji siedemdziesiątych urodzin hrabiny Leonory von Bodenstein odbyło się w eleganckiej restauracji hotelu urządzonego w pałacowych wnętrzach, lecz w ujeżdżalni, i to mimo protestów szwagierki Olivera, Marie-Louise. Hrabina wyjaśniła, że nie życzy sobie żadnych ceregieli związanych z uroczystością. Skromna i od zawsze wielka miłośniczka przyrody niezwykle stanowczo poprosiła, by zbliżająca się uroczystość miała charakter kameralny i odbyła się w jednej ze stajni albo w ujeżdżalni. Marie-Louise nie miała innego wyjścia, jak się podporządkować. Wzięła więc organizację imprezy w swoje ręce i zgodnie z wytycznymi przygotowała przyjęcie, a efekt jej starań zapierał dech w piersiach.

Bodenstein, Cosima i Sophia krótko po jedenastej dotarli na teren posiadłości rodowej Bodensteinów i dopiero po dłuższych poszukiwaniach udało im się znaleźć miejsce do zaparkowania. W brukowanym wnętrzu historycznej ujeżdżalni o starannie odrestaurowanych ścianach z muru pruskiego nie pozostało nawet źdźbło słomy, a wysokie wejście stało otworem.

– Mój Boże. – Cosima się uśmiechnęła. – Marie-Louise zmusiła chyba Quentina, żeby pracował na dwie zmiany!

Stare, potężne stajnie wzniesione w połowie dziewiętnastego wieku stanowiły skrzydła stadniny zbudowanej na planie czworokąta obok hrabiowskiego pałacu. Z biegiem lat pokryły się chwalebna patyną mieszaniny kurzu, pajęczych sieci i ptasich odchodów; lecz tamte czasy bezpowrotnie minęły, a brud zniknął bez śladu. Wszystkie boksy dla koni, ściany i wysoko sklepione sufity odzyskały niegdyś blask, okna zostały starannie umyte i nawet kolory naściennych malowideł przedstawiających sceny z polowań wydawały się odświeżone. A koniom, które zainteresowane nadzwyczajnym ruchem w szerokim przejściu pośrodku wystawiały łby z boksów, grzywy zapleciono w warkoczyki, by uczcić ten wyjątkowy dzień. W przedsionku ujeżdżalni, udekorowanym równie starannie jak na dożynki, kelnerzy z pałacowego hotelu rozlewali gościom musujące wino.

Bodenstein uśmiechnął się szeroko. Jego młodszy brat należał do ludzi, którzy nade wszystko cenią sobie wygodę. Był gospodarzem, zarządzał rodzowym majątkiem i stadniną i w najmniejszym stopniu nie przejmował się tym, że czas gnał nieubłaganie naprzód. Coraz więcej obowiązków i decyzji dotyczących prowadzenia pałacowej restauracji zostawiał żonie, a Marie-Louise doskonale się w tej roli odnalazła. Przez ostatnich kilka lat lokal prowadzony jej ręką zyskał opinię jednego z najlepszych w okolicy, a jego sława sięgała na cały kraj.

Solenizantkę znaleźli w przedsionku ujeżdżalni, otoczoną przez rodzinę i zaproszonych gości. Kiedy Bodenstein zaczął składać matce życzenia, w ujeżdżalni rozległ się dźwięk rogu i zaprzyjaźniony klub jeździecki z Kalkheim rozpoczął przejazd otwierający program artystyczny. Pokaz był niespodzianką i prezentem od pracowników i uczniów szkoły. Bodenstein zamienił kilka

słów z synem, który stał wyprostowany i nagrywał wszystko kamerą. Jego dziewczyna, Thordis, była odpowiedzialna za pokaz tresury koni wierzchowych, występ grupy prezentującej woltyżerkę, a na końcu sama miała wziąć udział w pokazie skoków. W tłumie gości Bodenstein spotkał siostrę, Theresę, która przyjechała specjalnie na przyjęcie urodzinowe matki. Długo się nie widzieli i mieli sobie wiele do powiedzenia. Cosima usiadła z Sophią obok swojej matki, hrabiny Rothkirch, na ławkach ustawionych wzdłuż maneżu i z zainteresowaniem oglądała pokazy.

– Cosima wygląda, jakby jej ubyło dobrych dziesięć lat – stwierdziła siostra Bodensteina i upiła łyk wina. – Jeszcze trochę, a zacznę jej zazdrościć.

– Małe dziecko i dobry mąż potrafią zdziałać cuda – odparł Bodenstein i uśmiechnął się szeroko.

– Mój młodszy braciszek, skromny jak zawsze. – Theresa docięła mu z przyjazną kpina. – Zupełnie jakbyś naprawdę wierzył, że to od was, facetów, zależy, czy kobieta dobrze wygląda.

Theresa była dwa lata starsza i jak kiedyś wręcz tryskała energią. Jej symetryczna, proporcjonalna twarz, raczej elegancka niż piękna, i pierwsze kosmyki siwych włosów nie odbierały jej uroku i ciepła, jakim promieniowała. Jak sama kiedyś powiedziała, uczciwie zapracowała na każdą zmarszczkę i na każdy siwy włos. Mąż zmarły przedwcześnie na zawał pozostawił jej cieszącą się renomą, ale podupadłą palarnię kawy w Hamburgu, w Szlezwiku-Holsztynie rodowy pałac wymagający natychmiastowego remontu i kilka nieruchomości w najlepszych lokalizacjach w Hamburgu, aczkolwiek wszystkie z obciążoną hipoteką. Jako wykształcona ekonomistka ze specjalnością w zarządzaniu, mimo trójki dzieci i bardzo złych perspektyw na przyszłość zabrała się ostro do roboty i bez kompleksów stanęła do nierównej walki z bankami i wierzycielami. I tak po dziesięciu latach wytężonej pracy i przemyślanej taktyki firma i majątek zostały uratowane. Nie zlikwidowała nawet jednego stanowiska, a wśród partnerów w interesach cieszyła się ogromnym poważaniem. Co więcej, udało jej się odrestaurować siedzibę rodu.

– À propos facetów – do rozmowy przyłączył się Quentin. – Co tam u ciebie nowego, Esa? Jest coś, o czym chciałabyś nam powiedzieć?

Kobieta roześmiała się pobłaźliwie.

– Dama umie zachować dyskrecję.

– Dlaczego nie wzięłaś go ze sobą?

– Bo wiedziałam, że rzucilibyście się na tego biedaka i zrobili mu wiwisekcję – wyjaśniła, po czym wskazała głową na rodziców i resztę krewnych, którzy jak zaczarowani wpatrywali się w popisy jazdy konnej. – Wy i cała reszta rodzinki.

– Niemniej kogoś masz. – Quentin nie dawał za wygraną. – Zdradź nam przynajmniej kilka szczegółów na jego temat.

– Nie. – Pokręciła głową i podsunęła najmłodszemu bratu pusty kieliszek. – Ale za to możesz się

zatroszczyć o dolewkę.

– Dlaczego zawsze ja? – Quentin zrobił zbolaną minę, jednak posłusznie ruszył na poszukiwanie kelnera.

– Macie problemy? Mam na myśli ciebie i Cosimę. – Theresa spojrzała poważnie na brata. Bodenstein zamrugął zaskoczony.

– Nie – zaprzeczył. – Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy?

Kobieta wzruszyła ramionami, ale ani na chwilę nie spuszczała wzroku ze szwagierki.

– Coś jest między wami nie tak.

Bodenstein znał niesamowitą intuicję siostry. Nie było więc sensu udawać, że między nim a Cosimą jest dobrze.

– Niech ci będzie. Latem, tuż po naszym srebrnym weselu, przechodziliśmy mały kryzys – przyznał jej rację. – Cosima wynajęła domek na Majorce i wyjechaliśmy na trzy tygodnie na urlop. Tak się złożyło, że po kilku dniach musiałem wracać, bo mieliśmy dość trudny przypadek. Bardzo się o to pogniewała.

– Aha.

– Zarzuciła mi, że zostawiam ją samą z Sophią, chociaż wcześniej się umawialiśmy, że będzie inaczej. Tylko co ja miałem wtedy zrobić? Przecież nie mogę pójść na urlop wychowawczy i bawić się w pana domu.

– Trzy tygodnie urlopu to jeszcze nie jakaś wielka tragedia – odparła Theresa. – Nie chcę zbyt mocno wchodzić w twoje prywatne sprawy, ale przecież jesteś funkcjonariuszem państwowym, czyli urzędnikiem, więc nic się nie zawali, jak ciebie zabraknie, prawda? Zawsze znajdzie się ktoś, kto zastąpi innego urzędnika.

– Czyżbym słyszał nutkę pogardy, kiedy mówisz o mojej pracy?

– Oj, kochany, nie bądźże taki delikatny. – Theresa uśmiechnęła się do brata. – Potrafię zrozumieć jej złość. Pamiętaj, że ona też zawsze pracowała i robiła karierę. Nigdy nie pasowała do zwykłego kieratu kościół – kuchnia – kołyska, w którym ty, staromodny macho, chciałbyś ją widzieć. Może nawet cieszysz się, że nie jeździ już na żadne wyprawy, bo masz teraz nad nią kontrolę?

– To niedorzeczne! – zaprzeczył Bodenstein. – Zawsze wspierałem jej karierę. Zawsze. I podoba mi się to, co robi.

Theresa popatrzyła na niego uważnie, a w jej oczach pojawił się kpiący błysk. Uśmiechnęła się.

– Co za bzdura. Takie bajki możesz opowiadać innym, ale nie mnie, mój drogi. Znam cię nie od dziś, braciszku.

Bodenstein zamilkł, przyłapany na mijaniu się z prawdą. Przeniósł zakłopotane spojrzenie na żonę. Starsza siostra wciąż jeszcze posiadała dar trafiania w samo sedno. I zabolowało go to, oj, mocno zabolowało, bo jak zwykle miała rację. Rzeczywiście, kiedy Sophia przyszła na świat, Bodenstein

poczuł ulgę, że Cosima siedzi w domu, zamiast jeździć na wyprawy po całym świecie. Nie był jednak zachwycony, gdy usłyszał to z ust starszej siostry.

W tej samej chwili wrócił Quentin, niosąc trzy kieliszki musującego wina, więc dalsza rozmowa dotyczyła tylko niezobowiązujących tematów. Kiedy zakończyły się popisy jazdy konnej, wołyżerki i skoków, Marie-Louise zaprosiła gości do bufetu, który jej pracownicy w mgnieniu oka rozstawili w obszernym przedsionku. W kilka chwil pomieszczenie wypełniło się stolikami do jedzenia na stojąco, ławkami wyłożonymi wygodnymi poduszkami i stołami nakrytymi białymi obrusami. Do tego w ramach dekoracji poustawiano wazony jesiennych kwiatów. Goście zaczęli zajmować miejsca. Bodenstein spotkał wielu krewnych i starych znajomych, których od wieków nie widział, a okazji do rozmowy i śmiechu było więcej, niż się spodziewał. Panowało przyjemne rozluźnienie. W pewnym momencie dostrzegł Cosimę pogrążoną w rozmowie z jego starszą siostrą. Miał tylko nadzieję, że Theresa znana ze swojego wyemancypowania nie będzie nastawiała żony przeciwko niemu. Za rok Sophia pójdzie do przedszkola, a Cosima zyska więcej czasu dla siebie. Teraz pracowała nad nowym projektem filmowym, który ją bardzo pochłaniał. W przypływie dobrej woli Bodenstein zobowiązał się wcześniej wracać do domu i pilnować, by zawsze mieć wolne weekendy i odciążyć żonę od opieki nad córeczką. Może wtedy zniknie napięcie między nimi, które utrzymywało się nieprzerwanie od czasu kryzysu na Majorce.

– Tato. – Rosalie musnęła jego ramię. Odwrócił się i spojrzał na najstarszą córkę. Dziewczyna pracowała w hotelowej kuchni, gdzie pobierała nauki od samego Maître Jean-Yves St. Clair, francuskiego mistrza. Dziś powierzono jej opiekę nad bufetem. Córka trzymała w ramionach Sophię, od stóp do głów wysmarowaną czymś brązowym. Bodenstein miał nadzieję, że to nie jest to, o czym pomyślał.

– Nie mogę znaleźć mamy – wyjaśniła Rosalie zdenerwowana. – Może mógłbyś się nią zająć i zmienić jej ciuszki? Mama na pewno wzięła coś na zmianę. Wszystko znajdziesz w samochodzie.

– Co ona ma na twarzy i na łąpkach? – Bodenstein wstał niepewnie.

– Bez strachu, to tylko mus czekoladowy. – Uśmiechnęła się. – Trzymaj, ja muszę wracać do pracy.

– No dobrze, chodź do tatusia, mały prosiaczku – odparł ojciec i wziął na ręce najmłodszą córeczkę. – Jak my wyglądamy, co? Coś ty z siebie zrobiła!

Sophia zaparła się rączkami o jego klatkę piersiową i machnęła nóżkami. Nienawidziła, kiedy ktoś ograniczał jej swobodę. Z puciołowatymi policzkami pokrytymi morelowym puszkciem, czarnymi loczkami i błękitnymi niemowlęcymi oczkami wyglądała tak słodko, że aż miało się ochotę ją schrupać; ale to były tylko pozory. Sophia odziedziczyła temperament po matce i potrafiła postawić na swoim. Bodenstein wyszedł z małą w ramionach na dwór i ruszył przez podwórze. Całkowicie

przypadkowo spojrział w lewo, gdzie znajdowała się otwarta na całą szerokość kuta brama prowadząca na zamknięty dziedziniec. Ze zdziwieniem zauważył Cosimę; chodziła tam i z powrotem, przyciskając do ucha komórkę. Zaskoczył go sposób, w jaki odgarniała dłonią włosy, odchyłała na bok głowę i jak się śmiała. Dlaczego musiała wyjść na czas rozmowy? Ruszył szybkim krokiem, zanim mogła go zauważyć, jednak to, co zobaczył, sprawiło, że obudziła się w nim podejrzliwość. Utkwiło to w nim jak drzazga i nie dawało spokoju.

*

JAK KAŻDEJ NIEDZIELI po kościele w karczmie Pod Czarnym Rumakiem zebrała się ta sama, stała ekipa. Przedpołudniowe piwko ze znajomymi było sprawą czysto męską, kobiety bowiem miały w tym czasie zajmować się przygotowaniem świątecznego obiadu. Ale nie tylko dlatego Amelie uważała weekendy w Altenhain za najdobitniejsze potwierdzenie panującego tu kołtuństwa. Dzisiaj w knajpie zjawił się szef we własnej osobie. W tygodniu Andreas Jagielski zajmował się dwiema eleganckimi restauracjami we Frankfurcie, a rządy w Czarnym Rumaku pozostawiał w rękach żony i szwagra. I tylko w niedzielę doglądał wszystkiego osobiście. Amelie wyjątkowo nie przypadł do gustu. Jagielski był potężnym mężczyzną z wyłupiastymi, żabimi oczami i nalanymi ustami. Roswitha opowiedziała jej kiedyś, że po obaleniu muru berlińskiego sprowadził się do Altenhain ze wschodniej części kraju. Najpierw pracował jako kucharz w Złotym Kogucie, jednak czując pismo nosem, porzucił swojego pracodawcę, po czym jak zdrajca szybko założył własną, konkurencyjną knajpę. Co więcej, w Czarnym Rumaku dał gościom do wyboru identyczne menu jak u Sartoriusa, jednak oferował niższe ceny i kusił wygodnym parkingiem. Wpędził w ten sposób byłego szefa w kłopoty, a w efekcie wydatnie przyczynił się do zamknięcia Złotego Koguta. Roswitha do samego końca lojalnie trwała przy Sartoriusie, a propozycję pracy u Jagielskiego przyjęła z wielkimi oporami i to dopiero, kiedy Hartmut zamknął swoją karczmę.

Amelie z samego rana starannie przygotowała się do pracy. Zdjęła większość kolczyków z twarzy, włosy uczesała w dwa warkocze i nałożyła delikatny makijaż. Z szafy z ubraniami macochy pożyczyła sobie białą bluzeczkę w rozmiarze XXS, a z własnej wybrała krótką spódniczkę w szkocką kratę. Do tego włożyła czarne, nieprzejryste pończochy i glany sięgające do połowy łydki. Stała przed lustrem i przyglądając się swojemu odbiciu, rozpięła odważnie i tak przyciasną bluzeczkę, odkrywając fragment czarnego biustonosza i imponujący dekolt. Jenny Jagielski nie dała się sprowokować. Spojrzała na nią przelotnie i wróciła do swoich zajęć, za to jej mąż poświęcił dłuższą chwilę na zagłądanie Amelie pod bluzkę. Kiedy skończył, uśmiechnął się szeroko i puścił do niej oko. Teraz siedział przy gęsto obsadzonym stole dla stałych klientów. Po jednej stronie miał Cladiusa Terlindena, a po drugiej Gregora Lauterbacha, dwóch gości raczej rzadko odwiedzających Czarnego Rumaka. Dziś jednak dobrze się bawili z prostymi mieszkańcami wsi. Również wszystkie stołki przy barze były zajęte, a mężczyźni siedzieli łokieć w łokieć. Jenny i jej brat Jörg nie mieli ani

chwili na nabranie oddechu. Manfred Wagner doszedł już do siebie, a nawet wydawało się, że był u fryzjera, bo zniknęła jego skołtuniona broda i włosy też wyglądały lepiej.

Kiedy Amelie przyniosła do głównego stołu kolejną tacę zastawioną kufkami pszenicznego piwa, w gwarze rozmów usłyszała imię Tobiasa Sartoriusa. Nastawiła uszu.

– ...bezczelny i wyniosły jak dawniej – perował właśnie Lutz Richter. – To chyba oczywiste, że chce nas sprowokować. Tylko dlatego się tu znów pojawił, nie inaczej.

Dookoła stołu rozległ się szum aprobaty i tylko Terlinden, Lauterbach i Jagielski zachowali milczenie.

– Jeśli dalej będzie się tak zachowywał, to prędzej czy później zrobi się gorąco – dodał któryś z kompanii.

– Nie bój się, długo tu nie wytrzyma – odparł trzeci z gości. – Już my się o to zatroszczymy, słowo daję.

Udo Pietsch, dekarz, który to powiedział, popatrzył dookoła, a pozostali zamruczeli z aprobatą i potaknęli.

– Moi drodzy, żaden z was nie będzie się o nic troszczył. – Do rozmowy włączył się w końcu Claudius Terlinden. – Chłopak odsiedział swoje i spłacił dług. Może mieszkać u ojca tak długo, jak mu się żywnie podoba, i nikomu nic do tego.

Atmosfera wokół stołu momentalnie zgęstniała. Zapadła cisza, ale nikt nie odważył się zaprotestować. Jednak Amelie zauważyła, że niektórzy wymienili ukradkowe spojrzenia. Nawet jeśli Terlinden chciał zakończyć dyskusję i opowiedzieć się przeciwko ogólnemu potępieniu Tobiasa Sartoriusa, jego wysiłek był skazany na niepowodzenie.

– Osiem piw dla szanownych gości – odezwała się donośnym głosem, bo rozboleła ją już ręka, którą dźwigała tacę.

– Dziękujemy, Amelie. – Terlinden spojrzał w jej stronę i kiwnął uprzejmie głową, a ona dostrzegła, jak przez ułamek sekundy traci nad sobą panowanie i nie może powstrzymać dziwnego grymasu. Biznesmen błyskawicznie wziął się w garść i uśmiechnął trochę sztucznie. Nastolatka zrozumiała, że zaskoczył go jej nowy image. Odpowiedziała uśmiechem, przechyliła zmysłowo głowę i popatrzyła w oczy nieco dłużej, niż przystoi grzecznym dziewczynkom. Potem odwróciła się i zabrała za sprzątanie sąsiedniego stolika. Czuła, że śledzi wzrokiem każdy jej ruch. Nie mogła się powstrzymać i wracając do kuchni z tacą pełną pustych kufli, celowo kręciła pośladkami. Miała nadzieję, że gościom jeszcze zachce się pić, bo nie mogła się doczekać, by usłyszeć jeszcze kilka nowych interesujących szczegółów. Dotychczas jedynym powodem, dla którego w ogóle zajęła się sprawą morderstw sprzed lat, była zadziwiająca więź łącząca ją z jedną z zabitych dziewcząt. Lecz kiedy poznała Tobiasa Sartoriusa, pojawiła się całkiem nowa motywacja. Mężczyzna bardzo się jej

spodobał.

*

TOBIASOWI ODEBRAŁO MOWĘ. Kiedy Nadja powiedziała mu, przy jakiej ulicy i w jakiej dzielnicy Frankfurtu mieszka, spodziewał się zobaczyć odnowione kamienice przy dobrej ulicy, jednak to, co ujrzał, przerosło jego najśmielsze oczekiwania. Na terenie dawnego Westhafen, niedaleko Dworca Głównego, powstała ekskluzywna, nowoczesna dzielnica z modernistycznymi biurami od strony łądu i dwunastoma siedmiopiętrowymi apartamentowcami na samym nabrzeżu. Zaparkował samochód przy krawężniku i z bukietem pod pachą przeszedł mostem spinającym brzegi jednego z doków starego portu rzeczno. Na powierzchni ciemnej wody kołysało się kilka jachtów przycumowanych do pływających pomostów. Późnym popołudniem zadzwoniła do niego Nadja i zaprosiła do siebie na kolację. Tobias nie miał wprawdzie wielkiej ochoty jechać do miasta, ale uważał, że jest jej coś winien za bezinteresowne przywiązanie i serdeczność, którą okazywała mu przez ostatnich kilka lat. Wziął prysznic i o wpół do ósmej wsiadł do samochodu ojca, nie spodziewając się, ile rzeczy się zmieniło w czasie jego nieobecności. Na samym początku drogi trafił na nowiutkie rondo przy supermarkecie Tengelmann w Bad Soden, a wielkie centrum handlowe Main-Taunus Zentrum znacznie się rozrosło. We Frankfurcie też miał wrażenie, że nie zna tego miasta. Dla niedoświadczonego kierowcy – takiego jak on – ruchliwe ulice były ucieleśnieniem sennego koszmaru. Kiedy w końcu znalazł dom o podanym numerze, miał już czterdzieści pięć minut spóźnienia.

– Wjedź windą na ostatnie piętro – z głośnika domofonu popłynął radosny głos Nadji.

Rozległ się szum elektrycznego zamka. Tobias pchnął drzwi i znalazł się w eleganckim holu, w którym królowały granit i szkło. Przeszklona winda błyskawicznie zawiozła go na siódme piętro, pozwalając podziwiać przez całą drogę widok wody poniżej i panoramę Frankfurtu, który przez ostatnie lata też bardzo się zmienił z powodu nowych wieżowców.

– No proszę, w końcu dotarłeś! – Nadja czekała na niego przy windzie i powitała szerokim uśmiechem. Niezgrabnie podał jej bukiet w szeleszczącym celofanie, który kupił po drodze na stacji benzynowej.

– Naprawdę, nie trzeba było! – Wzięła kwiaty, złapała go za rękę i pociągnęła za sobą do mieszkania.

Znów zaparło mu dech w piersiach. Apartament robił nieprawdopodobne wrażenie. Potężne panoramiczne okna sięgały od sufitu do błyszczącego parkietu, oferując spektakularny widok na wszystkie strony. W kominku wesoło trzaskał ogień, z ukrytych głośników sączył się zmysłowy głos Leonarda Cohena, eleganckie lampy dbały o dyskretne oświetlenie, a płonące świece dodawały charakteru i tak już zachwycającemu pomieszczeniu. Przez krótką chwilę Tobias walczył z pokusą, by obrócić się na pięcie i uciec. Nikomu niczego nie zazdrościł, jednak na widok tego przepychu

i bogactwa opanowało go poczucie, że jest żalonym nieudacznikiem, który nic w życiu nie osiągnął. W gardle momentalnie wyrosła mu klucha. Jej świat i jego dzieliła przepaść nie do pokonania. Czego w ogóle od niego chciała? Była sławna, bogata i przepiękna – bez wątpienia mogła spędzać wieczory w towarzystwie innych majątnych i pięknych osób, mogła bawić się i konwersować z inteligentnymi ludźmi, zamiast spotykać się ze skazańcem, który dopiero co odzyskał wolność.

– Daj kurtkę, odwieszę – poprosiła.

Zdjął okrycie i natychmiast poczuł wstyd, że podaje jej taki tani, znoszony ciuch. Nadja z dumną miną zaprowadziła go do wielkiej kuchni z wyspą pośrodku. W pomieszczeniu królowały granit i stal nierdzewna, a wszystkie sprzęty nosiły dumnie logo luksusowej firmy Gaggenau. W powietrzu unosił się wspaniały zapach pieczonego mięsa, a on poczuł, że burczy mu w brzuchu. Przez cały dzień harował w obejściu i sortował śmieci, a na jedzenie praktycznie nie znalazł czasu. Nadja wyjęła z lśniacej chromem lodówki butelkę Moët & Chandon i wyjaśniła, że kupiła ten apartament tylko po to, żeby mieć gdzie spać, kiedy odwiedza Frankfurt przy okazji kręcenia jakichś scen. A hoteli nienawidzi. Tak się jednak złożyło, że zamieszkała tu na stałe. Rozlała szampana do dwóch kryształowych kieliszków i podała mu jeden.

– Tak się cieszę, że mnie odwiedziłeś. – Uśmiechnęła się do niego.

– A ja bardzo dziękuję za zaproszenie – odparł Tobias.

Otrząsnął się już z pierwszego szoku i udało mu się nawet uśmiechnąć się w odpowiedzi.

– Za twoje zdrowie. – Nadja uniosła dłoń i trąciła jego kieliszek.

– O nie, za twoje – zaprotestował poważnie Tobias. – Dziękuję. Dziękuję za wszystko.

Ależ była piękna! Jej niemal androgyniczna, jasna twarz upstrzona słodkimi piegami, która wcześniej mimo regularnego kształtu wydawała się nieco kanciasta, nabrała miękkości. Jasne oczy błyszczały radością, niesforne kosmyki blond włosów wysunęły się z koka i opadły na delikatną, opaloną szyję. Była szczupła, ale nie chuda. Między rozchylonymi, pełnymi wargami widać była równiutkie białe zęby – to dzięki znieawidzonemu aparatowi, który nosiła jako nastolatka. Uśmiechali się do siebie. Upili jeszcze kilka łyków szampana, aż nagle twarz Nadji zniknęła przykryta wspomnieniem oblicza innej kobiety. Tak, dokładnie tak wyobrażał sobie życie ze Stefanie, już po tym, jak ukończy medycynę i zostanie świetnie zarabiającym lekarzem. Wtedy jeszcze święcie wierzył, że znalazł w niej miłość swojego życia i marzył o wspólnej przyszłości, o dzieciach...

– Co się dzieje? – Głos Nadji wyrwał go z zamyślenia.

Otrząsnął się i zobaczył, jak uważnie go obserwuje.

– Nic, a dlaczego?

– Nagle zrobiłeś taką minę, jakby cię coś przestraszyło.

– Wiesz, od jak dawna nie miałem w ustach szampana? – Zmusił się do uśmiechu, choć wciąż

czuł ból na wspomnienie Stefanie.

Po tylu latach nadal nie potrafił przestać o niej myśleć. Ułuda wiecznego szczęścia z nią u boku trwała raptem cztery tygodnie, a zakończyła się straszną tragedią. Potrząsnął głową, żeby odegnąć od siebie natrętne myśli, i przysiadł na brzegu kuchennego stołu, który Nadja pięknie udekorowała na jego przyjście. Na kolację przygotowała tortelloni nadziewane ricottą ze szpinakiem, wspaniale wysmażoną wołowinę w sosie winnym z Barolo, sałatkę z rukoli posypaną tartym parmezanem, a do tego wyśmienite piętnastoletnie Pomerol. Tobias z zadowoleniem stwierdził, że mimo wszystkich obaw świetnie im się rozmawiało. Nadja opowiadała mu o swojej pracy, o śmiesznych i niesamowitych zdarzeniach i spotkaniach, i to w sposób całkowicie naturalny, ani przez chwilę nie dając mu poczucia, że chwali się swoimi sukcesami. Tobias poczuł działanie alkoholu, kiedy wychylił trzeci kieliszek wina. Przenieśli się wtedy z kuchni do salonu i usiedli na skórzanej kanapie, on na jednym końcu, ona na drugim. Jak para starych dobrych przyjaciół. Nad kominkiem wisiał oprawiony w ramki plakat pierwszego filmu, w jakim Nadja zagrała – jedyny znak, że odniosła gigantyczny sukces w świecie kina.

– To naprawdę niesamowite, ile udało ci się osiągnąć – stwierdził Tobias z zadumą. – Jestem tak cholernie dumny!

– Dzięki, to bardzo miłe. – Zaśmiała się i przysiadła na nodze. – Ale masz trochę racji. Kto by wówczas przypuszczał, że to w ogóle możliwe? Brzydka Nathalie zostanie gwiazdą filmową.

– Co ty opowiadasz, przecież nigdy nie byłaś brzydka! – Tobias zaprotestował zaskoczony tym, że w ogóle mogła tak o sobie myśleć.

– Ty w każdym razie nigdy nie zwracałeś na mnie uwagi.

Po raz pierwszy tego wieczoru ich rozmowa zbliżyła się niebezpiecznie do tematu, którego dotychczas oboje ostrożnie unikali.

– Zawsze byłaś moją najlepszą przyjaciółką – odparł Sartorius. – Pozostałe dziewczyny były zazdrosne, że tyle czasu spędzamy razem.

– Może i tak, ale nigdy mnie nie pocałowałaś...

I chociaż powiedziała to przekornym tonem, Tobias zrozumiał, że wówczas musiała to bardzo boleśnie przeżywać. Żadna dziewczyna nie chce być tylko przyjaciółką przystojnego i popularnego chłopaka, nawet jeśli w jego rozumieniu to wielkie wyróżnienie. Tobias spróbował sobie uświadomić, czemu nigdy się w niej nie podkochiwał. Może dlatego, że zawsze traktował ją jak młodszą siostrę? Wychowali się razem, bawili się w jednej piaskownicy, chodzili potem do tego samego przedszkola i podstawówki. Jej obecność była tak oczywista, że w ogóle się nad nią nie zastanawiał. Ale teraz wszystko się zmieniło. Nadja się zmieniła. Na kanapie obok nie siedziała już Nathalie, przyjaciółka, której mógł zawsze zaufać, która zawsze była uczciwa, lojalna i oddana. Obok siebie miał dzisiaj nadzwyczaj pociągającą, przepiękną kobietę, która, jak się zdążył

zorientować, wysyłała mu całkowicie jednoznaczne sygnały. Czy to możliwe... by chciała od niego czegoś więcej niż tylko przyjaźni?

– Dlaczego nie wyszłaś za mąż? – zapytał prosto z mostu.

Jego głos stał się chrapliwy.

– Bo nigdy nie spotkałam odpowiedniego faceta – wyjaśniła Nadja i wzruszyła ramionami. Nachyliła się po butelkę i nalała czerwonego wina. – Taką mam pracę, że żaden związek nie wytrzyma próby. Poza tym większość facetów nie może znieść kobiet sukcesu. A próżni, zadufani w siebie i leniwi koledzy po fachu w ogóle mnie nie interesują. Taki związek nie miałby przyszłości. Tak jak jest teraz, bardzo mi odpowiada.

– Śledziłem twoją karierę. W więzieniu człowiek ma kupę czasu na czytanie gazet i oglądanie telewizji.

– Które z moich filmów najbardziej ci się spodobały?

– Sam nie wiem.. – zamyślił się Tobias. – We wszystkich świetnie wypadłaś.

– Ty pochlebco – przekrzywiła głowę. Niesforny kosmyk włosów zsunął się jej na czoło. – Wiesz, że tak naprawdę wcale się nie zmieniłaś?

Zapaliła papierosa, zaciągnęła się głęboko, a potem wsunęła go Tobiasowi w usta, jak dawniej. Ich twarze znalazły się bardzo blisko siebie. Tobias uniósł dłoń i dotknął policzka Nadji. Poczł na skórze ciepło jej oddechu, a potem jej usta na swoich. Oboje się zawahali.

– Jeżeli ktoś się dowie, że spotykasz się z byłym więźniem, to może to zaszkodzić twojej karierze – wyszeptał Tobias.

– Wyobraź sobie, że nic mnie nie obchodzi, co myślą o mnie inni – odparła zachrypniętym głosem. Wyjęła mu z ust papierosa i niedbale wrzuciła go do popielniczki. Oboje mieli zaczerwienione policzki i błyszczące oczy. Czł jej podniecenie niczym echo własnego. Przyciągnął ją do siebie. Przesunął dłonią po jej udzie i złapał za biodra. Serce waliło mu coraz szybciej, a jego ciałem wstrząsnęła fala pożądania, kiedy wsunęła mu język w usta. Kiedy po raz ostatni spał z kobietą? Nie potrafił sobie nawet przypomnieć. *Stefanie... czerwona kanapa...* jej pocałunki były gorące i pożądliwe. Bez słowa zerwali z siebie ubrania i kochali się, szybko i gwałtownie. Na czułość i delikatność przyjdzie jeszcze czas.

PONIEDZIAŁEK 10 LISTOPADA 2008

Claudius Terlinden stał przy oknie i pił kawę, spoglądając na dom sąsiadów. Jeśli się pospieszy, pomyślał, być może uda mu się znów podwieźć ją na przystanek autobusowy. Kiedy Arne Fröhlich, prokurent w jednej z jego firm, przedstawił mu kilka miesięcy wcześniej swoją córkę z pierwszego małżeństwa, nie od razu to zauważył. Kolczyki na twarzy, szalona fryzura i dziwaczne, czarne ciuchy zupełnie nie przypadły mu do gustu, podobnie jak jej nieustannie naburmuszona mina i odpychające zachowanie. Jednak wczoraj, w Czarnym Rumaku, kiedy się do niego uśmiechnęła i kiedy to zauważył, miał wrażenie, jakby trafił go piorun. Amelie była niepokojąco podobna, ba, była niemal kopią Stefanie Schneeberger. Taka sama delikatna, symetryczna twarz, wydęte usta, ciemne, inteligentne oczy – wprost nie do wiary!

– Królowna Śnieżka – wymamrotał pod nosem. Śniła mu się ostatniej nocy; nieprzyjemny koszmar, w którym współczesność mieszała się z przeszłością w sposób, którego nie potrafił zrozumieć. Kiedy obudził się pośrodku nocy, był cały skąpany w pocie i potrzebował dłuższej chwili, by uświadomić sobie, że to tylko sen. Naraz usłyszał za sobą kroki. Odwrócił się. W drzwiach do kuchni stała jego żona. Mimo wczesnego poranka miała starannie ułożoną fryzurę.

– Bardzo wcześnie wstałaś. – Podeszedł do zlewu, odkręcił ciepłą wodę i opłukał filiżankę. – Masz jakieś plany na dzisiaj?

– O dziesiątej umówiłam się w mieście z Veroną.

– To baw się dobrze. – Nic a nic nie interesowało go, co jego żona zamierza robić cały dzień.

– Znów to samo – powiedziała z poważną miną. – Kiedy nareszcie zaczęło się układać, a stare rany się zabiły, wszystko rusza od nowa.

– Nie rozumiem? – Terlinden rzucił jej poirytowane spojrzenie.

– Pewnie byłoby lepiej, gdyby Sartorius wyprowadził się stąd na stałe.

– A dokąd miałby pójść, co? Takie sprawy ciągną się za człowiekiem do końca życia.

– Mimo wszystko. Zobaczysz, będą przez to problemy. Ludzie we wsi już sobie ostrzą na niego zęby.

– Tego się właśnie obawiam. – Claudius Terlinden wstawił filiżankę do zmywarki. – A tak przy okazji, Rita w piątek miała poważny wypadek. Jest w ciężkim stanie. Policja twierdzi, że ktoś zrzucił ją z kładki nad drogą wprost pod jadący samochód.

– Słucham? – Christine Terlinden wytrzeszczyła oczy. – Skąd wiesz?

– Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Tobiasem.

– Ty... rozmawiałeś... co?! Dlaczego nic mi o tym nie wspomniałeś? – Popatrzyła z niedowierzaniem na męża. Christine Terlinden miała pięćdziesiąt jeden lat, lecz mimo wieku wciąż była piękną kobietą. Włosy w kolorze naturalnego blondu ułożone w modną fryzurę, niewysoka,

filigranowa... nawet w szlafroku wyglądała elegancko.

– Bo się wczoraj wieczorem nie widzieliśmy.

– Zupełnie cię nie rozumiem... Rozmawiasz z tym mordercą, odwiedzasz go w więzieniu, pomagasz jego rodzicom... Zapomniałeś już, że próbował wciągnąć cię wtedy w tę sprawę?

– Nie, nie zapomniałem – odparł Claudius i spojrzał na kuchenny zegar na ścianie. Piętnaście po siódmej. Za dziesięć minut Amelie wyjdzie z domu. – Tobias powtórzył w czasie śledztwa policjantom tylko to, co słyszał. I, prawdę mówiąc, lepiej, że tak wyszło, niż... – przerwał na chwilę. – Powinnaś się cieszyć, że to się tak skończyło, jak się skończyło. W przeciwnym razie Lars byłby w zupełnie innym miejscu, niż jest teraz.

Terlinden pocałował żonę w policzek; nie z czułości, ale z poczucia obowiązku.

– Muszę lecieć. Pewnie późno wrócę.

Christine Terlinden stała bez ruchu, aż usłyszała trzaśnięcie drzwiami. Z szafki wyjęła filiżankę, postawiła na tacce i wybrała opcję podwójnego espresso. Potem, z kawą w dłoni, podeszła do okna i obserwowała, jak ciemny mercedes męża powoli toczy się w stronę wyjazdu. Chwilę później auto zatrzymało się pod domem sąsiadów. W ciemności wczesnego poranka wyraźnie widziała czerwone światła hamulców. Miała wrażenie, że córka sąsiada już tam na niego czekała. Od razu wsiadła do samochodu i zatrzasnęła drzwi. Christine nabrała głęboko powietrza i zacisnęła palce na filiżance. Powinna była to przewidzieć, kiedy po raz pierwszy zobaczyła Amelie Fröhlich. Natychmiast dostrzegła niepokojące podobieństwo. Nie była zadowolona, że dziewczyna zaprzyjaźniła się z Thiesem. Już wówczas wiele musiała poświęcić, by utrzymać niepełnosprawnego syna z daleka od biegu wydarzeń. Czy dzisiaj znów wszystko miało się powtórzyć? Niemal zapomniane uczucie bezradności i zwątpienia ponownie zawładnęło jej myślami.

– Nie, dobry Boże, tylko nie to – wymamrotała. – Boże, proszę, tylko nie jeszcze raz to samo!

*

FOTOGRAFIA, KTÓRĄ Ostermannowi udało się wyciąć z nagrania z kamery na peronie, była co prawda czarno-biała i ziarnista, jednak dość wyraźnie widać było uwiecznionego na niej mężczyznę w czapce z daszkiem. Niestety, obiektyw miał zbyt mały kąt, by nagrać zajście na kładce nad torami. Tutaj w sukurs przychodziły wiarygodne zeznania naocznego świadka, czternastoletniego Niklasa Bendera. Wystarczyły bowiem, by postawić zarzuty sprawcy, kiedy tylko zostanie odnaleziony i aresztowany. Bodenstein i Pia wyruszyli do Altenhain, żeby pokazać zdjęcie Tobiasowi i Hartmutowi. Kiedy dotarli na miejsce, mimo wielokrotnego dzwonienia nikt im nie otworzył.

– Chodźmy może do sklepu. Tam pokażemy fotografię i zobaczymy, czy ktoś go tutaj zna – zaproponowała policjantka. – Mam niejasne przeczucie, że napad na tę kobietę ma związek ze sprawą jej syna.

Bodenstein kiwnął głową. Pia miała równie niesamowitą intuicję jak jego siostra, a jej przypuszczenia zadziwiająco często znajdowały potem potwierdzenie. Cały poprzedni wieczór Bodenstein spędził na rozmyślaniach dotyczących rozmowy z Theresą i daremnym oczekiwaniu, że Cosima sama mu powie, z kim rozmawiała ukryta w bramie na dziedzińcu. Być może, przekonywał sam siebie, ta rozmowa była tak bez znaczenia, że żona o niej po prostu nie pamiętała. Wiele rozmawiała przez telefon, dzwoniła do innych i odbierała masę połączeń od swoich współpracowników, nawet w niedzielę. Rano przy śniadaniu postanowił, że nie będzie przywiązywać do tej sprawy zbyt wielkiej wagi i że postara zachowywać się całkowicie normalnie. Pogodna i roześmiana powiedziała mu o swoich planach na dzisiaj: chciała spędzić dzień na montażu materiału, spotkać się z lektorem, który będzie czytał ścieżkę dźwiękową, a obiad zje z całym zespołem w Moguncji. Wszystko w jak najlepszym porządku. Na pożegnanie pocałowała go, jak prawie każdego ranka przez ostatnie dwadzieścia pięć lat. Nie, niepotrzebnie się zadreślał.

Wchodząc do niewielkiego sklepiku, rozkołysali drzwiami podwieszony dzwonek, który obwieścił ich przybycie. Między regałami kręciło się kilka kobiet z koszykami i rozmawiało przytłumionymi głosami. Pia była przekonana, że wymieniają się najnowszymi plotkami.

– Ty się tym zajmij – mruknęła do Bodensteina, który swoimi nienagannymi manierami, pociągającą powierzchownością i urokiem Cary’ego Granta w jednej chwili potrafił owinąć sobie każdą niewiastę dookoła palca. Ale dziś szef nie był w formie.

– Chyba lepiej zostawię to tobie – odpowiedział.

Przez otwarte drzwi na zaplecze widać było placyk za sklepem, gdzie silnie zbudowany, siwy mężczyzna akurat wyładowywał z ciężarówki skrzynki z owocami i warzywami. Pia wzruszyła ramionami i podeszła wprost do kobiet robiących zakupy.

– Dzień dobry – przywitała się i pokazała legitymację. – Policja kryminalna, Hofheim.

Nieufne, ciekawskie spojrzenia.

– W piątek wieczorem była żona pana Hartmuta Sartoriusa padła ofiarą brutalnej napaści. – Pia celowo dobierała słowa w ten sposób, by brzmiały jak najbardziej dramatycznie. – Domyślam się, że znacie pani Ritę Cramer?

Kobiety potaknęły.

– Mam zdjęcie mężczyzny, który zrzucił ją z kilku metrów wprost pod jadący samochód.

Brak gwałtownej reakcji na jej słowa mógł świadczyć jedynie o tym, że wieść o wypadku dotarła do wsi przed policją. Pia wyjęła zdjęcie i podsunęła je kobiecie w białym kitlu, najpewniej właścicielce sklepu.

– Czy rozpoznaje pani tego mężczyznę?

Kobieta przyjrzała się fotografii, mrużąc oczy, po czym podniosła wzrok i potrząsnęła głową.

– Nie – odpowiedziała i dodała z udawanym żalem: – Niestety. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

Pozostałe kobiety również jedna po drugiej potrząsały bezradnie głowami, jednak Pia zauważyła ukradkowe spojrzenia, jakie wymieniły z właścicielką sklepu.

– Jesteście panie całkowicie pewne? Proszę jeszcze raz przyjrzeć się tej fotografii. Jakość nie jest za dobra.

– Nie znamy tego człowieka – powtórzyła zdecydowanie kobieta w białym kitlu, oddała jej zdjęcie i bez mrugnięcia okiem popatrzyła policjantce w oczy. Kłamała. Pia nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Szkoda – westchnęła i się uśmiechnęła. – Mogę poprosić panią o nazwisko?

– Richter. Margot Richter.

W tej samej chwili do sklepu wtoczył się mężczyzna z zaplecza, dźwigając trzy skrzynki owoców. Odstawił je z hałasem na ziemi.

– Lutz, państwo są z policji kryminalnej – ostrzegła go Margot, zanim Pia zdążyła otworzyć usta.

Mężczyzna podszedł bliżej. Był wysoki, masywnie zbudowany, a jego dobrotliwa twarz o wielgachnym nosie zaczerwieniła się od chłodu i wysiłku. Sposób, w jaki żona na niego spoglądała, mógł świadczyć jedynie o tym, kto w tym związku nosił spodnie. Lutz był pantoflarzem i nie miał nic do gadania. Ujął fotografię między grube paluchy, ale zanim zdążył się jej przyjrzeć, Margot mu ją wyrwała.

– Mąż też nie zna tej osoby.

Pię ogarnęło współczucie dla tego mężczyzny, który nie miał zapewne łatwego życia.

– Pani pozwoli. – Odebrała zdjęcie pani Richter i ponownie pokazała je jej mężowi, zanim kobieta zdążyła zaprotestować. – Czy widział go pan już wcześniej? Ten mężczyzna wyrzucił pana dawną sąsiadkę z mostu wprost pod pędzące samochody. Rita Cramer, bo ona padła jego ofiarą, od piątku leży na intensywnej terapii. Jest w śpiączce farmakologicznej i nie ma pewności, czy w ogóle przeżyje.

Richter zawahał się, jakby rozważał, jakiej odpowiedzi udzielić. Nie był dobrym kłamcą, ale też wolał nie sprzeciwiać się żonie. Spojrzał na nią niepewnie.

– Nie – odparł w końcu. – Nie znam go.

– No dobrze. Mimo wszystko dziękuję za pomoc. – Pia zmusiła się do uśmiechu. – Miłego dnia, do widzenia.

I wyszła ze sklepu, a Bodenstein ruszył za nią.

– Wszyscy go znają.

– Tak, też to zauważyłem. – Bodenstein spojrzał na ulicę. – Tam naprzeciwko jest salon

fryzjerski. Chodźmy, może się czegoś dowiemy.

Przeszli kawałek wąskim chodnikiem, lecz kiedy weszli do niewielkiego zakładu, fryzjerka, wyraźnie skonsternowana, odwieszała słuchawkę.

– Dzień dobry. – Pia uśmiechnęła się i wskazała głową na telefon. – Domyślam się, że pani Richter powiadomiła o naszym przybyciu. Zatem mogę sobie oszczędzić zadawania pytań.

Kobieta zbaraniała. Popatrzyła na Pię, potem przeniosła wzrok na Bodensteina i znieruchomiła, nie mogąc oderwać oczu od jego twarzy. Gdyby tylko szef był w lepszej formie, biedna fryzjerka nie miałaby najmniejszych szans, pomyślała Pia.

– Hej, co się z tobą dzieje? – zapytała poirytowana, kiedy minutę później stali na chodniku przy głównej ulicy. – Przecież wystarczyło, żebyś się do niej uśmiechnął, a ta głupia kaczką własnoręcznie zapisała by imię, nazwisko, adres i telefon naszego sprawcy!

– Wybacz – przeprosił Bodenstein słabym głosem. – Jestem dzisiaj nie w sosie. Przepraszam.

Drogą przejechał pędem samochód osobowy, potem następny, a za nimi ciężarówka. Musieli oprzeć się plecami o ścianę domu, żeby wozy nie zahaczyły ich lusterkami wstecznymi.

– Ja w każdym razie przyjrę się jeszcze dzisiaj aktom sprawy Sartoriusa – oznajmiła policjantka. – Dam sobie głowę uciąć, że to wszystko jest jakoś powiązane.

Z podobnym skutkiem zapytali jeszcze o mężczyznę ze zdjęcia w kwiaciarni, przedszkolu i w sekretariacie szkoły podstawowej. Margot Richter zdążyła rozpuścić wici, a mieszkańcy wsi spełnili swój kolektywny obowiązek i w iście sycylijskim, mafijnym stylu zawiązali zмовę milczenia, żeby chronić jednego ze swoich.

*

AMELIE LEŻAŁA W HAMAKU, który Thies rozwiesił specjalnie dla niej między dwiema potężnymi palmami w donicach. Kołysała się leniwie i myślała. Deszcz bębnił o szyby i ściekał po częściowo przeszklonym dachu oranżerii skrytej za potężną wierzbą płaczącą na końcu rozległego parku Ter Lindenów. Było ciepło i przytulnie, a w powietrzu unosił się zapach farb olejnych i terpentyny, bo Thies urządził swoje atelier w długim, jasnym budynku, w którym wrażliwe śródziemnomorskie rośliny z parku spędzały zimę. Wzdłuż ścian stały setki zamalowanych płócien, poustawianych według wielkości, a w pustych słojach znajdowała się niezliczona ilość pędzli. Thies we wszystkim, co robił, zachowywał staranność i dokładność. Tuż obok siebie, ustawione według wielkości, stały donice z oleandrami, palmami, lantanami, pomarańczami i cytrynami. Nic tutaj nie znajdowało się przypadkiem. Każdy najdrobniejszy przedmiot miał swoje wyznaczone miejsce. Narzędzia i maszyny, z których korzystał przy pielęgnacji parku, wisały starannie uporządkowane na ścianie albo stały według ustalonego klucza na podłodze. Czasem Amelie specjalnie coś przestawiała albo rzucała niedopałek na podłogę, tylko po to, żeby zdenerwować przyjaciela. Thies natychmiast przywracał porządek. Od razu zauważał, kiedy w tajemnicy zamieniała rośliny miejscami.

– To naprawdę niesamowite – powiedziała dziewczyna. – Chciałabym się bardzo dowiedzieć czegoś więcej, ale nie wiem jak.

Nie oczekiwała odpowiedzi, a jednak nie potrafiła nie spojrzeć na Thiesa. Chłopak stał przy sztalugach i malował w skupieniu. Jego obrazy były najczęściej abstrakcyjne i utrzymane w ciemnych, wręcz ponurych barwach. Na pewno nie nadawały się do mieszkania ludzi o skłonnościach do depresji, pomyślała Amelie, kiedy je zobaczyła. Chłopak nie wyglądał na osobę upośledzoną i gdyby jego twarz nie była niczym kamienna maska, uchodziłby za całkiem przystojnego mężczyznę. Miał proporcjonalne rysy, wąski, prosty nos i miękkie, pełne usta. Nie dało się przeoczyć podobieństwa do pięknej matki. Odziedziczył po niej gęste blond włosy i wielkie, błękitne oczy otoczone długimi, ciemnymi rzęsami. Ale Amelie najbardziej lubiła jego ręce. Thies miał delikatne, smukłe dłonie pianisty, którym nie szkodziła nawet ciężka praca w ogrodzie. Kiedy się denerwował, zaczynały żyć własnym życiem, drżały i poruszały jak wystraszone ptaki w klatce. Teraz jednak były spokojne, jak prawie zawsze, kiedy malował.

– Zastanawiam się – Amelie mówiła dalej, zamyślona – co Tobias z nimi zrobił. Z tymi dziewczynami. Dlaczego nigdy nie puścił pary z ust? Dostałby przecież niższą karę albo w ogóle nie poszedłby do więzienia? Dziwaczne, prawda? Ale wiesz, ten facet mi się podoba. Lubię go. Jest zupełnie inny niż pozostali goście w tej dziurze.

Skrzyżowała ręce za głową, zamknęła oczy i przeciągnęła się wygodnie.

– Myślisz, że pociął je na kawałki? Może nawet zalał ich ciała betonem gdzieś na swojej posesji.

Thies zdawał się nie zwracać uwagi na jej słowa i beznamiętnie pracował przy sztalugach. Na palecie mieszał ciemnozieloną farbę z rubinowoczerwoną, lecz niezadowolony z wyniku dodał jeszcze odrobinę białego. Amelie przestała się kołysać.

– Uważasz, że jestem ładniejsza, jak zdejmę większość piercingu z twarzy?

Chłopak milczał. Amelie zeskoczyła ostrożnie z hamaka i podeszła do przyjaciela. Spojrzała mu przez ramię. Kiedy zobaczyła efekt dwugodzinnej pracy, z wrażenia otworzyła buzię.

– Cholera – powiedziała jednocześnie zaskoczona i pod wrażeniem. – To jest niesamowite.

*

CZTERNAŚCIE PODNISZCZONYCH skoroszytów przesłanych z archiwum policyjnego komendy głównej policji we Frankfurcie stało teraz rzędem obok biurka Pii. W 1997 roku okręg Men-Taunus nie posiadał własnego wydziału terroru kryminalnego i zabójstw K11, zajmującego się rozpracowywaniem najcięższych przestępstw. Do czasu reformy administracyjnej heskiej policji przypadki morderstw, gwałtów czy zabójstw przejmował K11 z Frankfurtu. Tymczasem akta musiały jeszcze chwilę poczekać, bo na szesnastą doktor Nicola Engel zwołała całkowicie niepotrzebną odprawę w celu omówienia stanu dochodzenia. Przełożona uwielbiała takie spotkania.

W sali odpraw było gorąco i duszno. Przez cały dzień nie wydarzyło się nic spektakularnego, więc wśród funkcjonariuszy panowały rozluźnienie i nuda. Za oknem padał deszcz, niebo było zachmurzone i robiło się już ciemno.

– Zdjęcie osoby podejrzanej o dokonanie napadu na panią Cramer trafi dzisiaj do lokalnej prasy – zarządziła radczyni kryminalna. – Ktoś go powinien zidentyfikować i się do nas zgłosić.

Andreas Hasse, który do pracy przyszedł znowu blady, osłabiony i bardzo milczący, kichnął głośno.

– Dlaczego nie zostałeś w domu? Wszystkich nas pozarazasz – zwrócił mu uwagę Kai Ostermann, który siedział dokładnie naprzeciwko. Był wyraźnie zły. Hasse nie odpowiedział.

– Czy jest jeszcze coś do omówienia? – Doktor Nicola Engel przesunęła uważnym wzrokiem po twarzach zebranych, lecz podwładni skutecznie unikali jej spojrzenia, bo kiedy patrzyła komuś w oczy, delikwent miał wrażenie, że zagląda mu prosto do głowy. Jej intuicja była czulsza niż niejeden sejsmograf i bez problemu wyczuła, że atmosfera między jej ludźmi jest wyjątkowo napięta. Starła się teraz ustalić przyczynę takiego stanu rzeczy.

– Zamówiłam z archiwum akta sprawy Tobiasa Sartoriusa – odezwała się Pia. – Cały czas mam niejasne przeczucie, że atak na panią Cramer może być bezpośrednio powiązany z wyjściem jej syna na wolność. Byliśmy dzisiaj w Altenhain popytać o osobę ze zdjęcia. Mieszkańcy go rozpoznali, ale kłamali. Wyraźnie chcą go chronić.

– Pan też tak uważa? – Nicola Engel spojrzała w stronę Bodensteina, który od początku zebrania milczał i wpatrywał się gdzieś przed siebie, jakby był nieobecny duchem.

– Tak, to całkiem prawdopodobne. – Bodenstein pokiwał głową. – Reakcja ludzi była co najmniej zastanawiająca.

– Dobrze. – Nicola Engel przeniosła wzrok na Pię. – W takim razie proszę się zająć aktami, ale niech pani nie marnuje na to więcej czasu, niż to naprawdę konieczne. Czekamy teraz na wyniki badań szkieletu z instytutu medycyny sądowej. Kiedy do nas dotrą, ta sprawa ma priorytet.

– Tobias Sartorius ma w Altenhain śmiertelnych wrogów. Nienawidzą go tam – dodała Pia. – Ktoś wymalował sprayem obraźliwe hasła na domu jego ojca, a kiedy przyjechaliśmy z nim porozmawiać, na chodniku przed podjazdem stały miejscowe kobiety i obrzucały go obelgami.

– Znam tego gościa, pamiętam go z procesu. – Hasse zaniósł się kaszlem. – Ten cały Sartorius to cyniczny morderca. Arogancki, zadufany w sobie przystojniaczek, który przez całe dochodzenie wmawiał wszystkim, że urwał mu się film i nie pamięta, co robił. Przy czym ślady i poszlaki były całkowicie jednoznaczne. Łgał, żeby wykpić się od kicia.

– Niemniej jednak odsiedział swoje. Ma prawo do powrotu do społeczeństwa – odparła Pia. – A zachowanie ludzi z Altenhain działa mi na nerwy. I frapuje. Po co kłamią? Kogo chcą chronić?

– I wydaje ci się, że w tych starych szpargałach znajdziesz odpowiedzi? – Hasse potrząsnął głową. – Ten facet zamordował swoją dziewczynę, bo właśnie z nim zerwała, a że jego była zobaczyła, co zrobił, pobił ją na śmierć.

Pię zastanowiło nadzwyczajne zaangażowanie, z jakim flegmatyczny i obojętny na wszystko kolega podchodzi do tej akurat sprawy.

– Przecież nie mówię, że jest niewinny – zaprotestowała. – Tylko że został skazany i dziesięć lat spędził w więzieniu. Może w protokołach z przesłuchań uda mi się trafić na kogoś, kto miał powód, żeby zrzucić Ritę Cramer z mostu.

– Tylko co chcesz z tym... – zaczął Hasse, jednak Nicola Engel energicznie zakończyła ich wymianę zdań.

– Koleżanko Kirchhoff, pani zajmie się aktami do czasu, kiedy otrzymamy wyniki badań szkieletu.

Nie pozostało już nic do omówienia, więc odprawa została zakończona. Nicola Engel wróciła do swojego gabinetu, a wydział K11 rozszedł się do swoich biur.

– Muszę wracać – powiedział nagle Bodenstein, patrząc na zegarek. Pia również uznała, że najwyższy czas jechać do domu, ale postanowiła wziąć ze sobą część starych akt. Na komendzie i tak już nic ciekawego się nie wydarzy.

*

– POMÓC ZANIEŚĆ WALIZKĘ, panie ministrze? – zapytał szofer, kiedy Gregor Lauterbach wysiadł z samochodu. Mężczyzna potrząsnął głową.

– Nie, dziękuję. Dam sobie z tym radę sam – zaśmiał się. – Niech pan teraz wraca do domu i sobie odpocznie. Jutro będę potrzebował samochód dopiero na ósmą rano.

– Oczywiście, zrozumiałem. W takim razie życzę miłego wieczoru, panie ministrze. Do widzenia.

Lauterbach odpowiedział mu skinieniem głowy i złapał uchwyt niewielkiej walizki. Od trzech dni był poza domem: najpierw miał kilka ważnych spotkań w Berlinie, potem uczestniczył w konferencji ministrów edukacji krajów związkowych w Stralsund, w czasie której koledzy z Badenii-Wirtembergii i Nadrenii Północnej-Westfalii ostro się pokłócili, usiłując wypracować jednolite zasady wynagradzania pracowników oświaty. Zamykając za sobą drzwi, usłyszał dzwonek telefonu, ale najpierw musiał wyłączyć system alarmowy. Włączył się aparat zgłoszeniowy, jednak osoba po drugiej stronie nie nagrała wiadomości. Gregor Lauterbach postawił walizkę przy schodach na piętro, włączył światło i wszedł do kuchni. Przejrzał szybko pocztę ułożoną starannie na kuchennym stole. Gospodyni zawsze dbała, by osobno posegregować listy do niego i do jego żony. Danieli nie było jeszcze w domu. O ile dobrze pamiętał, dzisiejszego wieczoru wygłaszała referat na kongresie lekarskim w Marburgu. Lauterbach przeszedł do salonu i przez chwilę stał niezdecydowany przed kredensem, wodząc wzrokiem po butelkach. W końcu zdecydował się na czterdziestodwuletnią

whisky Black Bowmore. Prezent od kogoś, kto chciał mu się podlizać. Odkręcił korek i nalał do szklanki złocistego trunku na dwa palce. Od kiedy został ministrem edukacji i pracował w Wiesbaden, on i Daniela spotykali się niemal jedynie przez przypadek. Od dziesięciu lat spali w osobnych łóżkach. Lauterbach miał jeszcze mieszkanie w Idstein, o którym prawie nikt nie wiedział. Raz w tygodniu spotykał się w nim z dyskretną kochanką. Już na samym początku ich związku dał jej do zrozumienia, że nie ma zamiaru – ani teraz, ani w przyszłości – rozwodzić się z żoną, więc ten temat nie psuł im upojnych spotkań. Nie miał pojęcia, czy Daniela miała kochankę, czy nie, i nie zamierzał jej o to pytać. Rozluźnił krawat, zdjął marynarkę, rzucił ją niedbale na oparcie sofy. Upił łyk szkockiej. Znow rozdzwonił się telefon. Trzy sygnały, po których rozległ się sygnał automatu.

– Gregor. W tonie męskiego głosu, który wydobywał się z aparatu, było coś naglącego. – Wiem, że jesteś w domu. Odbierz proszę. To naprawdę ważne!

Lauterbach przez chwilę nie mógł się zdecydować. Znał ten głos. Wszyscy uważali swoje sprawy za cholernie ważne. W końcu westchnął i odebrał. Dzwoniący nie bawił się w grzeczne formułki. Gregor mu nie przerywał, a słuchając go, czuł, jak na karku jeżą mu się włosy. Odruchowo odwrócił się i rozejrzał. Opanowało go poczucie zagrożenia, jakby był dzikim zwierzęciem.

– Dzięki, że zadzwoniłeś – powiedział zachrypniętym głosem i się rozłączył.

Jak skamieniały stał w mroku obok stolika z telefonem. Szkielet znaleziony w Eschborn. Tobias Sartorius wyszedł z więzienia i wrócił do Altenhain. Jego matka napadnięta przez nieznanego sprawcę i zrzucona z mostu. A jakaś ambitna policjantka z wydziału zabójstw w Hofheim zaczęła kwerendę starych akt. Droga whisky zrobiła się nagle gorzka. Odstawił szklankę i pospiesznie wszedł na piętro, do sypialni. To jeszcze nie musiało niczego oznaczać. Czysty przypadek, starał się uspokoić. Ale na próżno. Usiadł na łóżku, bez rozwiązywania zsunął buty i padł na plecy. Przez jego głowę popłynął potok niechcianych obrazów. Jak to możliwe, że jedna błaha decyzja mogła mieć tak katastrofalne skutki? Zamknął oczy. Poczł zmęczenie. Przestał zastanawiać się nad teraźniejszością, a jego myśli zaczęły dryfować w stronę zapomnianych ścieżek w krainę snów i wspomnień. *Biała jak śnieg, rumiana jak krew, czarna jak heban...*

WTOREK 11 LISTOPADA 2008

– Znaleziony szkielet należał do kobiety. Śmierć nastąpiła między piętnastym a osiemnastym rokiem życia. – Doktor Henning Kirchhoff wyraźnie się spieszył.

Musiał zdążyć na samolot do Londynu, dokąd zaproszono go w charakterze biegłego przy jakiejś skomplikowanej sprawie. Bodenstein usiadł przy biurku i uważnie słuchał, podczas gdy Kirchhoff wyjmował z teczki potrzebne papiery i omawiał stopień zrostu szwów czaszkowych, rozwoju stawów biodrowych i innych cech, na podstawie których patologowie określali wiek ofiary.

– Jak długo leżała w tym zbiorniku? – przerwał mu w końcu.

– Od dziesięciu do maksymalnie piętnastu lat. – Naukowiec podszedł do ekranu świetlnego i przyłożył do niego zdjęcie rentgenowskie. – Popatrzcie tutaj. Dziewczyna miała kiedyś złamanie przedramienia. Wyraźnie widać miejsce zrostu.

Bodenstein wpatrywał się w negatyw. Na czarnym tle bieleły się kości.

– No tak, jeszcze jedna sprawa. Tak naprawdę to jest najbardziej interesujące... – Kirchhoff nie należał do ludzi, którzy łatwo dzielili się wiedzą. Nawet pośpiech nie mógł mu odebrać przyjemności potęgowania napięcia. Zaczął przekładać kolejne zdjęcia, przyglądał się im pobieżnie, podstawiając pod rozświetlony ekran, aż w końcu znalazł właściwe i zawiesił obok pierwszego, z kością przedramienia. – O, proszę, tutaj. Dziewczynie usunęli zęby przedtrzonowe po prawej i lewej stronie górnej szczęki, prawdopodobnie po to, żeby zrobić miejsce dla pozostałych.

– Co to oznacza?

– To, że odwaliliśmy za was całą robotę. – Kirchhoff spojrzał na Bodensteina i unióśł brwi. – Kiedy wprowadziliśmy te dane do kartotek policyjnych, żeby sprawdzić, co wyplują komputery, otrzymaliśmy tylko jedno trafienie. Dziewczyna od 1997 roku znajduje się w spisie osób zaginionych. Porównaliśmy szybko nasze zdjęcia ze zdjęciami zaginionej, do których mieliśmy dostęp – i proszę tutaj popatrzeć... – Do ekranu świetlnego przypiął kolejne zdjęcie. – Na tym widać złamanie przedramienia, wtedy jeszcze całkiem świeże.

Bodenstein usiłował nie stracić cierpliwości, choć od kilku chwil domyślał się, czyj szkielet znaleźli robotnicy na starym lotnisku w Eschborn. Ostermann przygotował listę dziewcząt i młodych kobiet, które zaginęły w ostatnich piętnastu latach i nie zostały odnalezione. Na jej samym szczycie umieścił nazwiska ofiar Tobiasa Sartoriusa.

– Tkanki miękkie uległy całkowitemu rozkładowi – ciągnął dalej patolog – przez co nie było możliwości przeprowadzenia sekwencjonowania DNA, ale udało nam się wyodrębnić mitochondrialne DNA i na tej podstawie potwierdziliśmy przypuszczenia. Dziewczyna znaleziona w zbiorniku na paliwo, to...

Zamilkł, obszedł stół i zaczął czegoś szukać w wyłożonych papierach.

– Laura Wagner albo Stefanie Schneeberger. – Bodenstein dokończył za niego. Kirchhoff drgnął, popatrzył na niego i uśmiechnął się kwaśno.

– No i zepsuł mi pan zabawę – pokręcił głową. – Za karę za wchodzenie mi w paradę powinniście teraz poczekać na wyniki, aż wrócę z Londynu, ale jeśli będzie pan tak miły i podrzuci mnie na dworzec, uznam, że odpokutował pan ten czyn i zdradzę po drodze, o którą z nich chodzi.

*

PIA SIEDZIAŁA PRZY BIURKU i rozmyślała. Wczoraj do późnej nocy tkwiła nad aktami sprawy Sartoriusa i znalazła w nich kilka niezgodności. Fakty oczywiście były klarowne, dowody przeciwko niemu na pierwszy rzut oka też. Kłopot w tym, że tylko na pierwszy rzut oka. Już w czasie lektury protokołów z aresztowania Pia zaczęła zadawać sobie pytanie, jak to możliwe, że nikt tego nie wyłapał w czasie dochodzenia? Tobias Sartorius miał dwadzieścia lat, kiedy został skazany na najwyższą karę, na jaką mógł zostać skazany, biorąc pod uwagę jego wiek i brak wcześniejszych wyroków. W procesie uznano go za winnego śmiertelnego pobicia siedemnastoletniej Stefanie Schneeberger i zamordowania również siedemnastoletniej Laury Wagner. Zgodnie z zeznaniem jednego z sąsiadów, późnym wieczorem szóstego września 1997 roku obie dziewczyny przybyły do domu należącego do rodziców Tobiasa, jedna po drugiej w odstępie kilku minut. Następnie wywiązała się gwałtowna kłótnia między oskarżonym a jego byłą dziewczyną, Laurą Wagner. Ich krzyki słychać było na ulicy. Wcześniej cała trójka spędzała czas na festynie, w czasie którego, zgodnie z zeznaniami świadków, obficie raczyli się alkoholem. Sąd uznał za dowiedzione ponad wszelką wątpliwość, że Tobias Sartorius zabił w afekcie Stefanie Schneeberger, uderzając ją wielokrotnie lewarkiem samochodowym, a następnie zamordował również jedyne świadka zbrodni, swoją byłą dziewczynę, Laurę Wagner. Oceniając na podstawie śladów krwi Laury, które zostały zabezpieczone w całym domu, na ubraniu Tobiasa Sartoriusa i w bagażniku jego samochodu, sprawca dokonał tego czynu z wyjątkową brutalnością. W czasie przeszukania śledczy znaleźli plecak Stefanie Schneeberger w pokoju oskarżonego, w kuchni mlecznej, pod zlewem, łańcuszek należący do Laury Wagner i w końcu również udało się zabezpieczyć narzędzie zbrodni. Lewarek samochodowy, którym dokonał morderstwa, został ukryty w przyzbie nawozu za stodołą. Argumentacja obrony podnoszącej, jakoby Stefanie w wyniku kłótni zapomniała wziąć plecak z pokoju byłej sympatii, została przez sąd odrzucona. Świadców widzieli później Tobiasa, krótko po dwudziestej trzeciej, jak opuszczał samochodem Altenhain. Ale o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć jego przyjaciele Jörg Richter i Felix Pietsch rozmawiali z nim przy drzwiach jego domu! Był cały zalany krwią i odmówił dalszego uczestnictwa w zabawie.

Pia nie wiedziała, co począć z podanymi godzinami. Sąd wyszedł z założenia, że Tobias wywiózł ciała obu dziewcząt w bagażniku samochodu. Tylko co mógł z nimi zrobić, mając zaledwie

czterdzieści pięć minut? Upiła łyk kawy i zamyślona oparła głowę na dłoniach. Funkcjonariusze prowadzący wówczas sprawę Sartoriusa byli bardzo dokładni i przesłuchali niemal wszystkich mieszkańców Altenhain, a mimo to Pia miała przeczucie, że coś musieli przeoczyć.

Drzwi do biura otworzyły się i w progu stanął Hasse. Był blady i miał nos zaczerwieniony od ciągłego wycierania.

– Cześć – przywitała go Pia. – Jak się czujesz? Trochę lepiej?

Zamiast odpowiedzi Hasse kichnął dwa razy pod rząd, a potem z bulgotem nabrał powietrza i wzruszył ramionami.

– Człowieku, uciekaj do domu, do łóżka. – Policjantka pokręciła głową. – Wskakuj pod kołdrę, weź lekarstwa i odpocznij. Nic się nie dzieje, weź sobie wolne.

– Udało ci się coś znaleźć w tych szpargałach? – Kiwnął głową w stronę pudeł z aktami, które stały rzędem obok biurka Pii. – Jakies odkrycia?

Znów zaskoczył ją swoim zainteresowaniem. Pewnie boi się, że poproszę go o pomoc, pomyślała.

– To zależy – odparła. – Na pierwszy rzut oka wszystko wydaje się w jak najlepszym porządku i dokładnie zweryfikowane. Ale mimo wszystko mam pewne wątpliwości. Coś mi po prostu nie gra. Wiesz może, kto kierował śledztwem?

– Wiem. Nadkomisarz Brecht z K11 we Frankfurcie – wyjaśnił. – Jeśli chciałabyś z nim pogadać, to się nieco spóźniłaś. Zmarł zeszłej zimy. Byłem nawet na jego pogrzebie.

– Szkoda.

– Rok po przejściu na emeryturę, rozumiesz? Poszedł państwu na rękę. Oni by tak chcieli. Najpierw harujesz jak dziki osioł do sześćdziesiątego piątego roku życia, a zaraz potem lądujesz na cmentarzu.

Pia nie zwróciła uwagi na gorzki ton w jego głosie, bo zdążyła się do niego przyzwyczaić. Poza tym Hasse na pewno nie należał do grupy tych biedaków, którzy by się zaharowywali, oczekując na emeryturę.

*

KIEDY BODENSTEIN wysadził doktora Kirchhoffa przy stacji kolejowej obok stadionu, skręcił w ulicę dojazdową prowadzącą do węzła obwodnicy autostradowej Frankfurtu. Rodzice Laury Wagner w końcu dowiedzą się, co się stało z ich córką. Miał nadzieję, że to przyniesie im ulgę. Po zakończeniu dochodzenia pochowają szczątki dziecka i w końcu zyskają możliwość, by się z nią właściwie pożegnać. Był tak zamyślony, że dopiero po kilku sekundach dostrzegł numery rejestracyjne ciemnego BMW X5, które jechało tuż przed nim. Ciekawe, co Cosima robiła we Frankfurcie? Przecież jeszcze rano narzekała, że resztę tygodnia spędzi w studiu telewizyjnym w Moguncji, bo prace montażowe przy jej nowym filmie nie posuwały się tak, jakby sobie tego

życzyła. Bodenstein wybrał jej numer. Mimo słabej widoczności, przez zalane deszczem szyby widział, jak kobieta w aucie przed nim odbiera telefon. Uśmiechnął się, słysząc znajomy głos. Chciał krzyknąć: *Popatrz w lusterko!*, ale jakiś niezrozumiały impuls kazał mu się przed tym powstrzymać. W głowie rozbrzmiewały mu słowa siostry. Powinien sprawdzić, czy Cosima mówi prawdę, i w końcu się przekonać, że jego podejrzenia były całkowicie bezzasadne.

– Cześć, co robisz? – zapytał.

Jej odpowiedź odebrała mu mowę.

– Jestem w Moguncji. Dzisiaj wszystko szło na opak – odpowiedziała głosem, który w normalnych warunkach nie wzbudziłby w nim najmniejszego niepokoju. Tymczasem kłamstwo żony wywołało w nim taki szok, że zaczął się trząść. Zacisnął dłonie na kierownicy, zdjął nogę z pedału gazu, żeby ktoś go wyprzedził. Kłamała! Okłamała go! Brnęła w to! Włączyła migacz i skręciła na A5, opowiadając mu, że musieli zmienić cały plan ujęć, przez co na razie wstrzymali produkcję.

– A studio mieliśmy zarezerwowane tylko do południa – zakończyła. Bodensteinowi szumiało w uszach. Świadomość, że Cosima – jego żona! – tak beznamiętnie i bezczelnie kłamie, była nie do wytrzymania. Najchętniej wykrzyczałby, żeby natychmiast przestała, bo przecież jedzie za nią i wszystko widzi, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. Mruknął coś niezrozumiale i się rozłączył. Jak w transie dojechał na komendę. Zaparkował przy hali garażowej, w której stały samochody służbowe, wyłączył silnik i nie ruszał się z auta. Deszcz stukał o dach jego bmw i spływał strumieniami po szybach. Jego świat rozpadł się właśnie na kawałki. Dlaczego, do licha ciężkiego, okłamała go? Potrafił to wyjaśnić jedynie tym, że robiła coś, o czym nie miał się dowiedzieć. Takie rzeczy zdarzały się innym, ale przecież nie jemu! Przez piętnaście minut musiał zbierać się w garść, zanim wreszcie gotów był wysiąść i wejść do budynku.

*

W STRUGACH DESZCZU Tobias załadował całą przyczepę traktora, żeby potem wywieźć wszystko do pojemników ustawionych obok osuszonego już dołu na gnojówkę. Osobno drewno, papier, plastik, szkło. Facet z firmy zajmującej się wywozem dał mu wyraźnie do zrozumienia, że jeśli zlekceważy wyznaczony podział, słono go ta zabawa będzie kosztowała. Po złom przyjechał przed południem właściciel punktu skupu i kiedy tylko wtoczył się ciężarówką na podwórze, oczy zaświeciły mu się na widok pieniędzy, jakie miał zaraz zarobić. Z dwoma pomocnikami załadowali wszystko na pakę, zaczynając od zardzewiałych łańcuchów, którymi niegdyś były wiązane krowy na pastwiskach, aż do zepsutych maszyn ze stodoły i stajni. Handlarz zapłacił mu od ręki czterysta pięćdziesiąt euro i obiecał wrócić za tydzień, żeby odebrać resztę złomu. Tobias wiedział, że każdy jego krok uważnie obserwował skryty za żywopłotem sąsiad, stary Paschke. Staruszek trwał nieruchomo na posterunku

i tylko od czasu do czasu Sartorius widział, jak zagląda przez szparę. Nie zwracał na niego uwagi. Kiedy ojciec wrócił o wpół do piątej z pracy, po hałdach śmieci na wewnętrznym podwórzu nie było już śladu.

– Ale nasze krzesła! – Hartmut Sartorius popatrzył na syna z wyrzutem. – One były w całkiem dobrym stanie. Wystarczyło je pomalować i jeszcze by się nam przydały...

Tobias popchnął ojca w stronę domu, a sam zapalił papierosa i rozkoszował się pierwszą od rana, ciężko zapracowaną przerwą. Usiadł na najwyższym stopniu schodów i z zadowoleniem spoglądał na uporządkowane podwórze, na którym pozostał tylko stary kasztanowiec. Nadja. Po raz pierwszy pozwolił sobie powrócić myślami do przedwczorajszego wieczoru. Może i miał te trzydzieści lat, ale w sprawach seksu był całkowitym nowicjuszem. W porównaniu z tym, co robił z Nadją, jego wcześniejsze doświadczenia wydały mu się bardzo dziecinne. Nie miał ich z czym porównać, więc, w samotnych fantazjach hołubił je niczym coś wspaniałego i wyjątkowego; ale teraz, po latach zamknięcia, wreszcie mógł skonfrontować je z rzeczywistością. Dziecinada, pomyślał. Wstydlive, szybkie ruchy na niepościelonym łóżku, ze spodniami i bielizną owiniętą wokół kolan, i ciągłe nerwowe zerkanie na drzwi, czy rodzice nie będą chcieli wejść bez pukania, bo w drzwiach od zawsze brakowało klucza.

– Phi – westchnął i się zamyślił.

Może i brzmiało to pompatycznie, ale dopiero Nadja uczyniła z niego mężczyznę. Po pierwszym pospiesznym zbliżeniu przeszli do sypialni, a on sądził, że to już wszystko. Leżeli objęci, pieścili się i rozmawiali. Nadja wyznała mu wtedy, że już wcześniej się w nim kochała. Zrozumiała, jakim uczuciem go darzy, kiedy zniknął z jej życia. Przez następnych dziesięć lat każdego mężczyznę, który stanął na jej drodze, podświadomie porównywała właśnie z nim. Takie wyznanie z ust przepięknej nieznajomej, która w niczym nie przypominała nieśmiałej przyjaciółki z podstawówki, jednocześnie go zdenerwowało i przepełniło szczęściem. Udało się jej wycisnąć z niego siódme poty i zmotywować do rzeczy, które dotychczas wydawały mu się niemożliwe. Miał wrażenie, że wciąż jeszcze czuje jej smak, zapach i dotyk. Czuł się jak w niebie. Wspaniale. Niewiarygodnie. Seksownie. Tobias był tak głęboko pogrążony w rozmyślaniach i wspomnieniach, że nie usłyszał cichych kroków. Kiedy zza rogu nieoczekiwanie wyłoniła się czyjaś postać, podskoczył przestraszony.

– Thies? – zapytał z niedowierzaniem.

Wstał, ale nie wykonał najmniejszego ruchu w stronę syna sąsiada; nie podszedł, nie wyciągnął dłoni ani go nie objął. Thies Terlinden nigdy nie lubił takiego spoufalania się. Chłopak nie patrzył mu w oczy, tylko stał tam, nieruchomo, milcząco, z ramionami zwieszonymi sztywno wzdłuż ciała. Tak jak dziesięć lat temu, tak i dziś na pierwszy rzut oka nie dało się dostrzec oznak jego upośledzenia. Tobias przyjrzał mu się uważnie. Lars też musiał podobnie wyglądać. Lars. Dwie minuty młodszy

bliźniak Thiesa, który może przez chorobę brata, wbrew swojej woli awansował na dziedzica i spadkobiercę dynastii Terlindenów. Po pamiętnym dniu we wrześniu 1997 roku Tobias nigdy już nie zobaczył najlepszego przyjaciela. Dopiero teraz zwrócił uwagę na to, że kiedy był z Nadją, nie poruszyli jego tematu, choć całe dzieciństwo byli jak rodzeństwo. Mówili na siebie Kalle, Anders i Ewa-Lotta, rycerze Białej Róży, jak w książkach Astrid Lindgren. Nagle Thies ruszył w jego kierunku i sam z siebie wyciągnął rękę otwartą dłonią do góry. Tobias zrozumiał, o co mu chodziło – tak się wcześniej witali, trzy razy przybijając sobie piątkę. Z początku traktowali to jako tajny sygnał tylko dla członków bandy, a potem zwyczaj, który chcieli zachować. Na twarzy Thiesa pojawił się delikatny uśmiech, bo Tobias, mimo zaskoczenia, przybił mu trzy razy piątkę.

– Cześć, Tobi – powiedział Thies głuchym i monotonnym głosem. – Świetnie, że do nas wróciłeś.

*

AMELIE WYTARŁA DO CZYSTA długi bar. Główna sala Czarnego Rumaka na razie świeciła pustkami, bo było jeszcze za wcześnie na piwo ze znajomymi. Wciąż była zaskoczona, że zmiana wyglądu nie stanowiła dla niej najmniejszego problemu. Czyżby miało się okazać, że matka miała rację, kiedy twierdziła, że gotycki metal, czarne ciuchy i kolczyki nie były sensem jej życia – za co jeszcze niedawno dałaby się pokroić – ale tylko przemijającą fazą protestu, czymś normalnym dla okresu dojrzewania? W Berlinie doskonale się czuła ubrana w luźne, czarne ciuchy, obwieszona biżuterią, umalowana i z dziwaczną fryzurą. Jej znajomi wyglądali bardzo podobnie i na ulicy nikt się za nimi nie oglądał, kiedy sunęli watahą przez miasto i głanami kopali latarnie czy grali w piłkę koszami na śmieci. Miała w głębokim poważaniu uwagi nauczycieli i innych czepialskich, tym bardziej że nawet nie udawała, że słucha, co mają do powiedzenia. Dziwaczne postaci, które bezsensownie poruszają ustami i wydają niezrozumiałe dźwięki. A teraz nagle wszystko się zmieniło. Podobały się jej pełne uznania spojrzenia mężczyzn, którzy w niedzielę nie mogli oderwać oczu od jej figury i głębokiego dekoltu. Nie, nie tylko podobały. Więcej. Była wniebowzięta, kiedy dotarło do niej, że w Czarnym Rumaku nie było nikogo, kto nie wodziłby wzrokiem za jej pupą, kiedy wracała do kuchni. Nie wyłączając Claudiusa Terlindena i Gregora Lauterbacha. Czowała się wspaniale. Z kuchni wytoczyła się krągła Jenny Jagielski. Gumowe podeszwy jej butów zaskrzypiały na wypastowanej podłodze. Nie mogła ukryć zaskoczenia na widok nieletniej pracownicy.

– No proszę, proszę. Co za metamorfoza. Od stracha na wróble do wampa – zakpiła. – Ale co mi do tego, jak to się komuś podoba.

Następnie krytycznym wzrokiem sprawdziła wyniki pracy Amelie, przesunęła palcem po wytartym do czysta barze, obejrzała go i uśmiechnęła się zadowolona.

– Możesz jeszcze pozmywać kufle i szklanki – oznajmiła. – Mojemu bratu jak zwykle nie udało się dotrzeć do tego etapu.

Na zmywaku stała cała bateria użytych w czasie obiadu szklanek i czekała na swoją kolej. Amelie było obojętne, jakie dostaje zadania do wykonania. Liczyło się tylko to, że za każdy przepracowany wieczór dostawała własne pieniądze. Jenny wdrapała się na stołek barowy i mimo zakazu zapaliła papierosa. Często to robiła, kiedy była sama i miała dobry humor, a najwyraźniej dzisiaj była zadowolona. Amelie zorientowała się, że to doskonała okazja, i postanowiła ją wykorzystać, żeby zapytać o Tobiasa Sartoriusa.

– Oczywiście, że go pamiętam – odparła Jenny. – Tobi był kumplem mojego brata i często u nas bywał.

Westchnęła ciężko i potrząsnęła głową.

– Mimo wszystko byłoby lepiej, gdyby do nas nie wracał. Do Altenhain, ma się rozumieć.

– Dlaczego?

– Dziecko, zastanów się przecież. Jak myślisz, co czują Manfred i Andrea, kiedy spotykają na ulicy mordercę swojej córki?

Amelie osuszyła ręcznikiem pierwszą partię wymytych szklanek i zabrała się za ich polerowanie.

– A co się wtedy wydarzyło? – zapytała, udając obojętność, choć nie musiała drażnić, bo szefowa była w nastroju do plotek.

– Najpierw Tobi i Laura byli parą, ale potem pojawiła się Stefanie i to z nią się związał. W ogóle, to ta dziewczyna była nowa w Altenhain. Obie zniknęły w dzień jarmarku. We wsi był festyn i wszyscy świętowali w wielkim namiocie. Ja miałam wtedy czternaście lat i uważałam, że to świetnie, że rodzice pozwolili mi zostać pół nocy z dorosłymi. Prawdę mówiąc, niewiele wtedy rozumiałam z tego, co się wydarzyło. Dopiero następnego ranka, kiedy we wsi pojawiła się policja z psami, helikopterami i masą ludzi, dotarło do mnie, że Stefanie i Laura zniknęły.

– Głowę dałabym sobie obciąć, że w takich dziurach jak ta nie zdarzają się podobne superhistorie – oznajmiła Amelie.

– Nie wiem, czy ta jest taka super – odparła Jenny i w zamyśleniu obserwowała papierosa, którym się bawiła między serdelkowatymi palcami. – Wiem za to na pewno, że od tamtej sprawy wieś już nie jest taka sama. Wcześniej każdy był z każdym zaprzyjaźniony. Teraz jest inaczej. Ojciec Tobiasa prowadził karczmę Pod Żółtym Kogutem. Tam to się dopiero działo. Każdego wieczoru jakaś chryja, znacznie więcej niż tutaj. Mieli jeszcze jedną wielgachną salę, w której organizowali bale karnawałowe i takie tam. Czarny Rumak wtedy jeszcze nie istniał, a mój mąż pracował wcześniej jako kucharz w Żółtym Kogucie.

Zamilkła, zanurzając się we wspomnieniach. Amelie podsunęła jej popielniczkę.

– Pamiętam jeszcze, że policja godzinami przesłuchiwała Jörga i jego kumpli. – Po dłuższej przerwie Jenny mówiła dalej. – Nikt nic nie wiedział. Wtedy wyszło, że Tobi je obie zamordował.

Policja znalazła krew Laury w jego samochodzie i rzeczy Stefanie schowane pod jego łóżkiem. A lewarek, którym ją zatłukł, leżał w ich gnojowniku.

– Niesamowite. Naprawdę. Znała pani Laurę i Stefanie?

– Stefanie nie, ale Laurę tak. Ona należała do paczki, do której należał też mój brat. I jeszcze Felix, Micha, Tobi, Nathalie i Lars.

– Nathalie? Lars?

– Lars Terlinden. I Nathalie Unger. Ona została znaną aktorką. Dzisiaj używa nazwiska Nadja von Bredow. Pewnie widziałas ją nieraz w telewizji. – Jenny spoglądała przed siebie. – Tym dwojgu udało się w życiu. Lars ma superposadę w jakimś banku. Chociaż nikt nie wie dokładnie w jakim, ani co tam robi. Nigdy już nie wrócił do Altenhain. Wiesz, ja też zawsze marzyłam o dalekim, wielkim świecie. Ale czasem jest inaczej, niż człowiek sobie zaplanuje...

Amelie nie potrafiła sobie wyobrazić swojej tłustej, wiecznie nadętej i obrażonej szefowej jako wesołej czternastolatki. Może dlatego właśnie była taka złośliwa i nigdy nie miała dobrego humoru? Może to przez to, że chciała wyrwać się z tej dziury, a utknęła w niej na dobre, z trójką wiecznie wyjących dzieci i mężem, który poniżał ją przy kolegach złośliwymi żartami na temat tuszy?

– A Stefanie? – zapytała, bojąc się, że jeśli Jenny pogrzeży się w myślach, niczego więcej się od niej nie dowie. – Jaka ona była?

– Hm. – Jenny popatrzyła pustym wzrokiem gdzieś daleko przed siebie. – Piękna, oj była przepiękna. Miała skórę białą jak śnieg, usta czerwone jak krew i włosy czarne niczym heban.

Spojrzała na Amelie. Jasne oczy Jenny o blond rzęsach skojarzyły się dziewczynie z oczami świni.

– Wiesz, trochę jesteś do niej podobna. – W ustach Jenny nie zabrzmiało to jak komplement.

– Serio? – Amelie przerwała pracę.

– Stefanie to była zupełnie inna bajka niż tutejsze dziewczyny – kontynuowała Jenny. – Dopiero co się tu sprowadziła. Ledwie Tobi ją zobaczył, od razu się w niej zakochał i zerwał z Laurą. – Kobieta zachichotała pogardliwie. – Wtedy mój brat dostrzegł swoją szansę. Bo musisz wiedzieć, że chłopaki ze wsi szalały za Laurą. Ona też była naprawdę ładna. Ale trochę humorzasta. Wpadła w furję, jak na Miss Jarmarku wybrali Stefanie.

– Dlaczego rodzice Stefanie się stąd wyprowadzili?

– A ty chciałabyś zostać i mieszkać we wsi, gdzie twojemu dziecku stało się coś tak straszego?

Wytrzymali jeszcze jakieś trzy miesiące od zabójstwa i pewnego dnia po prostu zniknęli.

– Aha. A Tobi? Jaki on był?

– Niesamowity. Wszystkie dziewczyny się w nim podkochiwały. Ja zresztą też. – Jenny zachichotała, tęsknie przypominając sobie czasy, kiedy jeszcze była młoda, szczupła i miała głowę pełną marzeń. – Wyglądał bosko i był... no był po prostu wspaniały. I mimo wszystko nigdy się nie

wywyższał jak inne chłopaki. Jak jechali na basen, nie miał nic przeciwko, żebym jechała z nimi. Inni robili miny, że smarkule, że dzieci powinny zostawać w domu i tak dalej... Nie, on był słodki. I do tego skromny. Wszyscy byli przekonani, że pewnego dnia zostanie kimś. No i wszyscy się pomylili. Potem wydarzyło się to, o czym już wiesz. Alkohol na niektórych bardzo źle działa. Zmienia ich. Kiedy wypił, przestawał być sobą...

Drzwi do baru odskoczyły i do środka weszło dwóch mężczyzn. Jenny błyskawicznie zgasiała papierosa, a Amelie zabrała się za ustawianie umytych szklanek. Kiedy skończyła, wzięła karty dań i podała je gościom. W drodze powrotnej sięgnęła po gazetę, pozostawioną na jednym ze stolików. Jej wzrok padł na stronę z wiadomościami lokalnymi. Policja szukała mężczyzny, który zrzucił z mostu matkę Tobiasa.

– O jasna cholera... – wymamrotała i wytrzeszczyła z wrażenia oczy.

Mimo że zdjęcie z kamery przemysłowej było ziarniste i niewyraźne, nie miała najmniejszych problemów z rozpoznaniem sprawcy.

*

BODENSTEIN BAŁ SIĘ CHWILI, w której będzie musiał skonfrontować Cosimę ze swoimi podejrzeniami. Siedział teraz w biurze i myślał; tak długo, aż nic już do siebie nie pasowało. Kiedy wrócił do domu, była w łazience na piętrze. Słyszając plusk wody, domyślił się, że leżała w wannie. Z opuszczonymi rękoma stał pośrodku kuchni. Nagle jego wzrok padł na torebkę, którą zostawiła przewieszoną przez oparcie krzesła. Przez całe wspólne życie ani razu nie sprawdzał jej rzeczy. Tak samo nigdy nie przyszło mu do głowy, żeby przejrzeć jej biurko – przede wszystkim dlatego, że zawsze jej ufał i wychodził z założenia, że nic nie będzie ukrywała. Tym razem było inaczej. Przez chwilę walczył ze sobą, ale w końcu sięgnął do jej torebki. Przez moment szukał telefonu, a kiedy jego palce trafiły na znajomy kształt, serce zaczęło walić mu jak szalone. Wyjął aparat i uniósł klapkę. Był włączony. Bodenstein zdawał sobie sprawę, że to, co robi, jest ogromnym naruszeniem zaufania, ale nie mógł już się wycofać. Wszedł w menu, znalazł skrzynkę odbiorczą i otworzył listę otrzymanych wiadomości. Wczoraj wieczorem za dwanaście dziesiąta dostała krótką wiadomość, wysłaną spod nieznanego numeru. *Jutro, dziewiąta trzydzieści? To samo miejsce?* Minutę później wysłała odpowiedź. Kim był nieznajomy? Jak to się stało, że nie zauważył, że odpisała mu *Pewnie, super. Cieszę się!!!* Trzy wykrzykniki. Poczł pieczenie w żołądku i ból brzucha. Obawy, które dręczyły go przez cały dzień, zdawały się właśnie znajdować potwierdzenie. Trzema wykrzyknikami nie kończy się niezobowiązujących potwierdzeń wizyty u fryzjera czy dentysty. Poza tym taka okazja nie wywołałaby u niej wielkiej radości, szczególnie w poniedziałek o dwudziestej drugiej! Bodenstein słuchał uważnie odgłosów z góry, jednocześnie przeszukując telefon pod kątem innych podejrzanych wiadomości. Cosima musiała niedawno go wyczyścić, bo niczego nie znalazł. Na

wszelki wypadek przepisał tylko do swojej komórki telefon nieznanego mężczyzny, który we wtorkowy poranek spotkał się z jego małżonką i, jak wynikało z wiadomości, zrobił to nie po raz pierwszy. Kiedy skończył, zamknął jej telefon i odłożył do torebki. Zrobiło mu się niedobrze i poczuł zawroty głowy. Cosima miałaby go zdradzać, okłamywać – nie, nie mógł tego znieść! On nigdy jeszcze jej nie okłamał. Przez ponad dwadzieścia pięć lat – ćwierć wieku! – ich małżeństwa ani razu tego nie zrobił. Prostolinijność i szczerłość nie zawsze były najwygodniejszym rozwiązaniem, jednak kłamstwo i łamanie obietnic stały w sprzeczności z jego charakterem i z zasadami, według których został wychowany. Nie wiedział, czy powinien natychmiast pójść na górę i zapytać o rzeczy, których się właśnie dowiedział, a także poprosić, by wyjaśniła, dlaczego skłamała. Przesunął dłońmi po włosach i westchnął. Nie, zdecydował. Na razie nic jej nie powie. Przez jakiś czas podtrzyma pozór zgodnego i przykładowego małżeństwa. Może i była to oznaka tchórzostwa, ale nie czuł się jeszcze gotowy, by wziąć całe życie w ręce i roztrzaskać na kawałeczki. Jeszcze tliła się w nim nikła nadzieja, że to nie tak, jak myśli.

*

PRZYCHODZILI DWÓJKAMI albo małymi grupkami. Do kościoła wpuszczano ich tylnym wejściem na umówione hasło. Nie dostali pisemnych zaproszeń, stąd takie zabezpieczenie miało duże znaczenie. Chciał mieć pewność, że na spotkaniu znajdą się tylko ci, którzy powinni tam trafić. Ostatnie podobne zebranie zwołał przed jedenastoma laty i dzięki temu udało mu się zapobiec jeszcze większej tragedii. Nadszedł czas, by sięgnąć do sprawdzonych środków, zanim sytuacja wymknie się spod kontroli. Stał obok organów, na chórze, skryty za drewnianą balustradą i z rosnącym zdenerwowaniem obserwował, jak ławki w nawie głównej powoli zapełniają się ludźmi. Od migotliwego światła kilku świec ustawionych na ołtarzu na ściany i łukowe sklepienie kościoła padały dziwaczne, ruchome cienie. Włączone oświetlenie elektryczne mogłoby wzbudzić niepotrzebną ciekawość, bo nawet gęsta mgła oblewająca kościół od zewnątrz nie ukryłaby rozświetlonych okien. Odchrząknął i zatarł spocone ze zdenerwowania ręce. Szybkie spojrzenie na zegarek; już czas. Wszyscy byli na miejscu. Powoli zszedł drewnianymi schodami, po omacku szukając w ciemności kolejnych stopni. Pod jego ciężarem wyschnięta konstrukcja skrzypiała niemiłosiernie. Kiedy wynurzył się z mroku i stanął pośród migotliwego blasku ognia, umilkły prowadzone półgłosem rozmowy. W tej samej chwili zegar na wieży wybił dwudziestą trzecią – doskonała choreografia. Ruszył przejściem między ławkami, stanął na przodzie i rozejrzał się po znajomych twarzach. To, co zobaczył, dodało mu odwagi. Oczy wszystkich były skierowane na niego; dostrzegał w nich to samo zdecydowanie i determinację co wtedy. Rozumieli, o jaką stawkę toczy się gra.

– Dziękuję, że przybyliście – rozpoczął swoje przemówienie, nad którym długo pracował.

Mimo że mówił cichym głosem, nawet najdalej siedzący goście słyszeli każde jego słowo.

Akustyka kościoła była tak doskonała, że siedząc w kącie pod chórem, nie trzeba było wyęczać słuchu. Wiedział o tym z prób śpiewów przed nabożeństwami.

– Sytuacja jest nie do wytrzymania, od kiedy on wrócił do wsi. Poprosiłem was o przybycie tu dziś wieczorem, żebyśmy mogli wspólnie podjąć decyzję, co dalej robić z tą sprawą.

Nie był wprawnym mówcą, a na dodatek drżał cały ze zdenerwowania, choć starał się to ukryć. Czuł tremę, kiedy przemawiał. Udało mu się jednak streścić w kilku słowach sytuację swoją i całej wioski. Nikomu z obecnych nie musiał tłumaczyć, dlaczego określone decyzje były nieodzowne, i nikomu nie drgnęła powieka, kiedy o nich mówił. Po ostatnim słowie zapadła głucha cisza. Ktoś odkaszlnął. Czuł na plecach strużki potu. Był absolutnie pewny, że dla niektórych działań nie było żadnej alternatywy, a jednak dręczyła go świadomość, że przecież stoi w kościele i wzywa do popełnienia morderstwa. Jeszcze raz przesunął wzrokiem po znajomych twarzach trzydziestu czterech osób. Każdego z zebranych znał osobiście i to od kiedy tylko pamiętał. Nikt z nich nie piśnie słówka. Wtedy, przed jedenastoma laty również wszyscy milczeli. Czekał w napięciu.

– Ja pójdę – odezwał się ktoś z trzeciego rzędu.

Znów zapanowała cisza. Brakowało jeszcze jednego. Musiało ich być przynajmniej trzech.

– Na mnie też możesz liczyć – zgłosił się w końcu trzeci ochotnik.

W kościele rozległo się westchnienie ulgi.

– Wspaniale. – Jemu też kamień spadł z serca. Przez chwilę się obawiał, że wszyscy się wycofają. – Na razie damy mu ostrzeżenie. Jeśli po tym, co go spotka, nie odejdzie stąd z własnej woli, zajmiemy się nim na poważnie.

ŚRODA 12 LISTOPADA 2008

Doktor Nicola Engel spoglądała z niezadowoleniem na swoich zdziesiątkowanych podwładnych. Na porannej odprawie pojawiło się tylko czterech funkcjonariuszy. Poza Behnkiem brakowało dzisiaj też Kathrin Fachinger. Gdy Ostermann zdawał sprawozdanie z nikłego odzewu na ogłoszenia o poszukiwaniu sprawcy napadu na Ritę Cramer, Bodenstein siedział z nieobecną miną i mieszał kawę. Wygląda jak po ciężkiej nieprzespanej nocy, pomyślała Pia. Co się z nim działo? Od kilku dni sprawiał wrażenie, jakby nie był sobą. Możliwe, że miał jakiś poważniejszy problem. Kłopoty rodzinne. W maju dwa lata wcześniej zamartwiał się o zdrowie Cosimy. Podejrzywał, że dzieje się coś poważnego, ale na szczęście okazało się, że to fałszywy alarm – nie miał pojęcia, że jest w ciąży.

– No dobrze. – Doktor Engel zabrała głos po chwili daremnego oczekiwania na podsumowanie ze strony Bodensteina. – Jeśli chodzi o szkielet znaleziony na lotnisku w Eschborn, mamy do czynienia ze szczątkami zaginionej we wrześniu 1997 roku Laury Wagner z Altenhain. Wyniki DNA dały efekt pozytywny, świadczy też o tym zrośnięte złamanie przedramienia, co potwierdzają zdjęcia rentgenowskie zrobione za życia.

Pia i Ostermann zapoznali się wcześniej z wynikami autopsji, ale cierpliwie słuchali słów przełożonej i czekali, aż skończy swoje wystąpienie. Pia podejrzewała, że doktor Engel do tego stopnia nudzi się w pracy, że musi się wtrącać. Doktor Nierhoff, jej poprzednik, pokazywał się w biurze tylko co pewien czas, zazwyczaj po to, by ogrzać się w świetle fleszy, kiedy akurat rozwiązywali jakąś spektakularną sprawę.

– Cały czas się zastanawiam – odezwała się Pia, dopiero kiedy Nicola Engel zamilkła – jak Tobiasowi Sartoriusowi udało się w czterdzieści pięć minut dojechać z Altenhain do Eschborn, wejść na strzeżony wtedy teren bazy wojskowej i ukryć zwłoki w podziemnym zbiorniku. A potem jeszcze wrócić do domu.

W sali zapanowała cisza; poza Bodensteinem wszyscy spoglądali na nią wyczekująco.

– Zgodnie z wynikami śledztwa, Sartorius zamordował obie dziewczyny u siebie w domu – wyjaśniła policjantka. – Sąsiedzi widzieli, jak wchodził do środka z Laurą Wagner, a niedługo potem otworzył drzwi i wpuścił do środka Stefanie Schneeberger. Przed północą widzieli go koledzy, którzy przyszli go namówić, żeby wrócił z nimi na festyn.

– Do czego pani zmierza? – Doktor Engel uniosła brwi.

– Zastanawiam się, czy Tobias Sartorius na pewno jest sprawcą zbrodni, za które został skazany.

– Oczywiście, że tak – zaprotestował momentalnie Hasse. – Sama mówiłaś, że został za nie skazany, prawda?

– Owszem, ale w procesie poszlakowym. Na dodatek, przeglądając akta, znalazłam kilka

sprzeczności. Za kwadrans jedenasta wieczorem sąsiad miał widzieć, jak Stefanie Schneeberger przysłała do domu Tobiasa Sartoriusa, a pół godziny później dwóch świadków widziało jego samochód w Altenhain.

– No właśnie – potaknął Hasse. – Zamordował obie dziewczyny, wsiadł w samochód i wywiózł ciała. Dokładnie tak zrekonstruowano przebieg zdarzeń.

– Tylko że w czasie śledztwa policja wyszła z założenia, że ciała ukrył gdzieś w pobliżu. Dzisiaj natomiast wiemy, że to był błąd. Poza tym, jak się dostał na teren strzeżonej bazy wojskowej?

– Młodzież zawsze miała swoje sposoby i nieraz były zgłoszenia, że robili tam imprezy. Pewnie znał jakieś tajne wejście i tyle.

– To niedorzeczne. – Pia potrząsnęła energicznie głową. – Zastanów się, jak podпиты nastolatek miałby tego dokonać? I kolejne pytanie, co zrobił z drugim ciałem? W zbiorniku znaleziono tylko jeden szkielet! Jestem pewna, że tutaj coś nie gra z czasem. Czterdzieści pięć minut to stanowczo za mało!

– Koleżanko Kirchhoff. – Doktor Engel uznała, że najwyższy czas przywołać Pię do porządku. – Chciałabym pani przypomnieć, że nie prowadzimy śledztwa w tej sprawie. Sprawca został zatrzymany, osądzony, skazany i odsiedział już wyrok. Proszę pojechać do rodziców Laury Wagner i poinformować ich o odnalezieniu szczątków córki. I to wszystko.

*

– I TO WSZYSTKO. – Pia przedrzeźniała szefową, robiąc głupie miny. – Nie zostawię tak tej sprawy. Na pierwszy rzut oka widać, że w tamtym śledztwie popełniono paskudne błędy, a wnioski są wysane z palca. Nie wiem dlaczego. Ale bardzo chciałabym wiedzieć!

Bodenstein wyjątkowo oddał jej kierownicę. Ułożył nogi pod niewygodnym kątem, żeby zmieścić się w ciasnym wnętrzu służbowego opla, zamknął oczy i przez całą drogę nie powiedział ani słowa.

– Hej, Oliver, powiesz mi w końcu, co się z tobą dzieje? – Pia nie wytrzymała. – Nie mam najmniejszej ochoty przez cały dzień obwozić cię jak trupa – dodała ze złością.

Bodenstein otworzył jedno oko i westchnął ciężko.

– Cosima mnie wczoraj okłamała.

Aha. Czyli jednak miała rację. Problemy rodzinne.

– No i? Znasz może kogoś, kto jeszcze nigdy nie skłamał?

– Owszem, znam. To ja. – Tym razem uniósł drugą powiekę i spojrzał na nią. – Nigdy jeszcze nie okłamałem żony. Powiedziałem Cosimie prawdę nawet w sprawie Kaltensee.

Odchrząknął, poprawił się w fotelu i opowiedział Pii, co się wczoraj wydarzyło. Wysłuchała go w milczeniu, czując coraz większy dyskomfort. Szef miał rację, to nie wyglądało dobrze. Ale nawet teraz jego arystokratyczne pojmowanie honoru i przyzwoitości zmuszało go do strasznych wyrzutów

sumienia, bo w tajemnicy sprawdził wiadomości w telefonie żony.

– Słuchaj, nie denerwuj się na zapas. – Pia pokręciła głową. – Pewnie to wszystko ma całkiem proste wyjaśnienie – dodała, choć sama w to nie wierzyła.

Cosima von Bodenstein była piękną, żywiołową kobietą o ogromnym temperamencie. Pracowała jako producentka filmowa, dzięki czemu była niezależna finansowo i nie miała zbyt dużo czasu. Ostatnio coraz częściej zdarzały się między nimi tarcia, o czym Pia dowiadywała się w codziennych rozmowach, lecz Bodenstein twierdził, że to nic poważnego. Całkowicie w jego stylu, pomyślała. A teraz siedział niemal ogłuszony swoim odkryciem. Wydawało mu się, że skoro jest uczciwy i dobry, to wszyscy będą tacy wobec niego. Tym dziwniejsze, że tragedie i problemy innych ludzi szalenie go fascynowały, a miał sporo przykładów takich zachowań w związku ze sprawami, którymi zajmował się na co dzień. W przeciwieństwie do Pii wyjątkowo rzadko angażował się emocjonalnie w pracę. Zachowywał zdrowy, bezpieczny dystans, którego mu zazdrościła. Czy mógł myśleć, że jest ponad tym? Że nie dotyczą go takie przyziemne problemy, a prostacka zdrada małżeńska w jego przypadku nie wchodzi w rachubę? Naprawdę wierzył, że Cosima będzie zachwycona, że może zostać w domu z małym dzieckiem i czekać grzecznie, aż wróci z pracy? Jeśli tak, to się mylił. Ona była przyzwyczajona do zupełnie innego życia.

– A jeśli ma kogoś na boku? Okłamuje mnie, mówiąc, że jest zupełnie gdzie indziej, rozumiesz? Tutaj nie ma mowy o pomyłce – zaprotestował. – Nie ma mowy. Co powinienem zrobić? Jak się zachować?

Pia nie odpowiedziała od razu. Gdyby znalazła się w jego sytuacji, zrobiłaby wszystko, by poznać prawdę, i to niezależnie od tego, jaka by była. Z krzykiem, łzami i wyrzutami poszłaby do partnera i natychmiast zażądała wyjaśnień. Nie potrafiłaby żyć, udając, że nic się nie stało.

– Zapytaj ją wprost – zaproponowała. – Przecież nie będzie kłamać w żywe oczy.

– Nie – powiedział zdecydowanie.

Pia jęknęła w duchu. Oliver von Bodenstein żył według innych zasad niż pozostali ludzie na ziemi. Możliwe, że chcąc zachować pozory szczęścia, dla dobra rodziny będzie gotów zaakceptować gacha żony i cierpieć w milczeniu. Jeśli chodzi o samokontrolę, szef zasługiwał na ocenę celującą. Z wyróżnieniem.

– Zapisalesz numer komórki, z którego dostała tego SMS-a?

– Tak.

– Daj go. Zadzwonię ze swojego telefonu, bo mam ukryty numer.

– Nie, nie rób tego. Nie chcę.

– Co to znaczy? Nie chcesz wiedzieć, jak jest naprawdę?

Bodenstein się zawahał.

– Posłuchaj – zaczęła Pia. – To cię będzie zżerać od środka. Musisz się dowiedzieć, co się

dzieje.

– Cholera jasna! – wyrwało się Bodensteinowi. – Ile bym dał, żeby jej wczoraj nie spotkać! I po co w ogóle zatelefonowałem!

– Nie ma sensu gdybać. Zatelefonowałeś, ona cię okłamała.

Mężczyzna nabrał głęboko powietrza i przesunął dłońmi po głowie. Pia nie pamiętała, żeby kiedykolwiek widziała go w takim stanie. Tak źle nie było, nawet kiedy dowiedział się, że córka Very Kaltensee odurzyła go narkotykami i wykorzystała, żeby potem móc go szantażować. A przecież tamta sprawa ogromnie dużo go kosztowała.

– Co będzie, jak się okaże... jak się okaże, że mnie zdradza?

– Hej, uważaj, bo już raz źle oceniłeś jej zachowanie. – Pia przypomniała mu sprawę z ciążą.

Miała nadzieję, że to go trochę uspokoi.

– Tym razem jest zupełnie inaczej. – Pokręcił głową. – Chciałabyś znać prawdę, gdybyś podejrzewała zdradę?

– Absolutnie tak. Bez wahania.

– A jeśli... – Bodenstein zamilkł.

Pia też nic więcej nie powiedziała. Zatrzymała samochód pod warsztatem stolarskim Manfreda Wagnera. Mężczyźni, pomyślała. Wszyscy tacy sami. W pracy trudne decyzje podejmują bez wahania. Ale kiedy chodzi o uczucia i związki, nie są już tacy odważni.

*

AMELIE ODCZEKAŁA, aż macocha wyjdzie z domu. Barbara uwierzyła, że wypadła jej pierwsza lekcja i idzie później do szkoły. Uśmiechnęła się pod nosem. Macocha była tak łatwowierna, że okłamywanie jej stawało się nudne. Zupełnie inaczej niż z podejrzliwą do przesady matką. Mama z zasady nie wierzyła w ani jedno jej słowo, więc Amelie, na przekór jej, kłamała w każdej możliwej sprawie. Czasem mama prędzej była gotowa uwierzyć w łgarstwo niż w prawdę.

Amelie poczekała, aż ubrana w czerwoną mini macocha zapakuje dwójkę swoich dzieci do samochodu i odjedzie. Kiedy została sama, wymknęła się na dwór i podbiegła do tylnej bramy gospodarstwa Sartoriusów. Panowała jeszcze poranna ciemność, a ulice były puste. Thies też pewnie siedział w domu. Serce waliło jej jak szalone, kiedy przekradała się przez puste podwórze. Zgarbiona prześliznęła się obok stodoły, a potem ruszyła wzdłuż długiego budynku starej stajni, w której od dawna nie mieszkały żadne zwierzęta. Niemal szurała plecami o mur. Kiedy minęła narożnik, omal nie dostała zawału serca, bo z ciemności niespodziewanie wyrosły przed nią dwie postaci w kominiarkach. Zanim zdążyła krzyknąć, jeden z mężczyzn zasłonił jej dłonią usta, brutalnie wykręcił ramię i pchnął na ścianę. Ból był tak silny, że nie mogła oddychać. Co im odbiło, żeby tak mocno ją krzywdzić? Poza tym, czego tutaj szukali przed ósmą rano? Amelie kilka razy w życiu

znalazła się w niebezpiecznych sytuacjach i zawsze wychodziła z nich obronną ręką, więc i tym razem po pierwszym szoku nie poczuła strachu, tylko złość. Zażarcie walczyła z uściskiem. Wierzyła na oślep, wrywała się i usiłowała ściągnąć napastnikowi kominiarkę. Z wysiłkiem udało jej się uwolnić usta spod kneblującej ją dłoni. Nagle zobaczyła tuż przed oczyma kawałek odkrytej skóry jednego z napastników i zrozumiała, że to jej jedyna szansa. Natychmiast ugryzła go najsilniej, jak potrafiła. Mężczyzna wydał przytłumiony krzyk i pchnął ją brutalnie na ziemię. Najwyraźniej nie liczyli się z tak zażartą obroną. Drugi z mężczyzn wziął zamach i kopnął ją w żebra. Amelie pociemniało przed oczyma. Straciła oddech. Chwilę potem poczuła jeszcze uderzenie pięścią w twarz. Przed oczyma zobaczyła gwiazdy i tylko instynkt podpowiedział jej, żeby zamiast krzyczeć, zamknęła buzię na kłódkę i udawała martwą. Kroki nieznajomych zaczęły się szybko oddalać i chwilę później zapanowała cisza. Amelie słyszała tylko swój ciężki oddech.

*

WARSZTAT STOLARSKI i dobudowany do niego dom sprawiały wrażenie, jakby w połowie prac zabrakło pieniędzy. Nieotynkowane ściany, podwórze tylko częściowo wyłożone kostką, a w pozostałej części niedbale położony asfalt – w gruncie rzeczy przypominało podwórze Tobiasa Sartoriusa. Sterty kawałków drewna, jakieś deski, część już zmurszała i pokryta mchem, jakby nikt od lat ich nie ruszał.

Pia zadzwoniła do domu, a potem do drzwi z napisem biuro. Nikt nie otwierał. W warsztacie widać było światło, więc odważnie złapała za klamkę i weszła do środka. Bodenstein ruszył za nią. W powietrzu unosił się zapach świeżych trocin.

– Halo? – krzyknęła.

Przeszli przez halę warsztatową zawałoną elementami mebli, maszynami i śmieciami, aż w końcu, za stertą desek, znaleźli młodego chłopaka ze słuchawkami na uszach. Potrzęsając głową w rytm muzyki, jedną ręką lakierował drewnianą płytę, a drugą strząsał akurat popiół z papierosa. Bodenstein podszedł i klepnął go w ramię. Pracownik podskoczył ze strachu i momentalnie zerwał słuchawki z głowy. Miał minę, jakby zrobił coś złego.

– Proszę natychmiast zgasić papierosa – poleciła mu Pia, a on nie próbował oponować. – Szukamy pana Wagnera albo jego żony. Czy zastaliśmy któreś z nich?

– Tak, proszę sprawdzić w biurze, tam z tyłu – odpowiedział chłopak. – Powinien tam być.

– Dziękuję.

Pia oszczędziła mu wykładu na temat przepisów przeciwpożarowych i ruszyła na poszukiwanie właściciela, któremu najwyraźniej na niczym już nie zależało. Manfreda Wagnera znaleźli w małym, pozbawionym okien pomieszczeniu, tak zawałonym różnymi rzeczami, że z trudem zmieściliby się tam w trójkę. Mężczyzna odłożył słuchawkę obok telefonu i czytał gazetę. Najwyraźniej nie był zainteresowany rozmowami z kimkolwiek. Kiedy Bodenstein chrząknął głośno

i zapukał, żeby zwrócić na siebie uwagę, uniósł głowę i obdarzył ich niechętnym spojrzeniem.

– Tak? – Manfred miał pięćdziesiąt kilka lat i mimo wczesnego ranka roztaczał wokół siebie woń alkoholu.

Ciemnoszary kombinezon roboczy sprawiał wrażenie, jakby od tygodni nawet nie leżał w pobliżu pralki.

– Pan Wagner? – Pia przejęła inicjatywę. – Policja kryminalna Hofheim. Chcielibyśmy porozmawiać z panem i pańską żoną.

Mężczyzna zrobił się śmiertelnie blady, a jego przekrwione, wodniste oczy miały ten sam wyraz co oczy królika zahipnotyzowanego przez węża, który zaraz miał go pożreć. W tym samym momencie na podwórze wjechał samochód i rozległo się trzaśnięcie drzwiami.

– To... moja... żona... przyjechała... – wyjąkał Wagner.

Do warsztatu wmaszerowała Andrea Wagner. Na betonowej posadzce zastukały jej obcasy. Miała krótkie włosy przefarbowane na blond i była bardzo szczupła. Wcześniej musiała być piękną kobietą, ale teraz niewiele zostało z tej urody. Troska, zgorzknienie i niepewność co do losu córki odbiły swoje piętno na jej twarzy, pokrywając zwiotczałą skórę siatką głębokich zmarszczek.

– Chcieliśmy się z państwem spotkać, żeby osobiście przekazać wiadomość o odnalezieniu szczątków państwa córki Laury – powiedział spokojnie Bodenstein, kiedy pani Wagner zjawiała się w biurze. Przez chwilę panowała cisza. Manfred Wagner zaczął płakać. Po jego nieogolonych policzkach popłynęły łzy, więc skrył twarz w dłoniach. Jego żona pozostała niewzruszona i spokojna.

– Gdzie? – zapytała krótko.

– Na terenie dawnej wojskowej bazy lotniczej w Eschborn.

Andrea Wagner westchnęła głęboko.

– Nareszcie...

W tym jednym słowie słysząc było ulgę, której lepiej nie dałoby się opisać nawet w kilku zdaniach. Ile dni i nocy czekali na nią – bezradnie i daremnie? Jakie to życie, kiedy na każdym kroku czyhają na człowieka upiory przeszłości? Rodzice drugiej dziewczyny wyprowadzili się z Altenhain, ale Wagnerowie mieli tutaj warsztat, który stanowił podstawę ich egzystencji. Musieli zostać i żyć dalej, choć z każdym dniem nadzieja na powrót córki była coraz mniejsza. Jedenaście lat niepewności musiało być prawdziwym piekłem. Możliwość pożegnania i pochowania córki mogła przynieść im ulgę.

*

– NIE, ZOSTAW, PROSZĘ – broniła się Amelie. – Nie jest źle, będę żyła. Rany, zwykły siniak, nic takiego.

Jeśli myślał, że się przy nim rozbierze i pokaże, gdzie kopnął ją zamaskowany idiota, to się grubo

mylił. I tak paskudnie się czuła, siedząc przed nim wytarzana w błocie i krwi.

– Tak czy inaczej, powinnaś pójść na pogotowie, żeby założyli ci szwy.

– Nic mi nie jest, mówiłam już.

Zadzwoiła do drzwi krótko po wpół do ósmej, a kiedy Tobias otworzył, miał wrażenie, że zobaczył ducha. Brudna i zakrwawiona powiedziała, że przed chwilą została napadnięta przez zamaskowanych mężczyzn. I to gdzie? Na jego ziemi! Zaprowadził ją szybko do kuchni, posadził na taborecie i ostrożnie wytarł twarz. Zatał krew z nosa, ale rozcięcie łuku brwiowego, które zabezpieczył dwoma plastrami, wciąż krwawiło.

– Świetnie dajesz sobie radę z opatrywaniem ran. – Uśmiechnęła się krzywo i sięgnęła do kieszeni po papierosa.

Wciąż jeszcze się trzęsła, a serce waliło jej jak dzikie; lecz to akurat nie miało nic wspólnego z napadem, tylko z jego bliskością. Z tej odległości i w świetle dziennym wyglądał na jeszcze przystojniejszego. Wystarczyło, że czuła jego dotyk, a przez jej ciało przechodził prąd. No i to spojrzenie błękitnych oczu – niedowierzające i pełne troski... tego było dla niej za wiele. Nic dziwnego, że wszystkie dziewczyny się w nim kochały.

– Jestem bardzo ciekawa, czego tu szukali – powiedziała głośno, kiedy Tobias uruchamiał ekspres do kawy. Rozejrzała się po kuchni. W tym domu, pomyślała, doszło do dwóch brutalnych morderstw. Laura i Królowa Śnieżka straciły tutaj życie.

– Pewnie czekali, aż wyjdę z domu. Zaczaili się na mnie, ale weszłaś im w drogę – odparł, stawiając na stole dwie filiżanki. Podsunął jej cukierniczkę i otworzył lodówkę, żeby wyjąć z niej mleko.

– I mówisz o tym tak spokojnie? Jakby nic się nie stało? Nie boisz się, że cię dopadną?

Tobias stanął obok szafek, oparł się o blat i skrzyżował ramiona na piersiach.

– No dobrze, to powiedz mi, co miałbym zrobić? – zapytał, przekrzywiając głowę. – Ukryć się? Uciec? Nie, na to niech nie liczą. Nie dam im tej satysfakcji.

– Wiesz może, kto to mógł być?

– Nie, nie wiem. Ale mogę się domyślać.

Amelie czuła, że pod jego spojrzeniem cała płonie. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżyła! Co się z nią działo? Bała się spojrzeć mu w oczy, bo mógłby zauważyć, jaką karuzelę uczuć w niej wywołuje. Ekspres zabułgotał niezdrowo i zaczął pluć parą.

– Musisz go odkamienić – stwierdziła rzeczowo.

Na ponurej twarzy mężczyzny pojawił się delikatny uśmiech, który zmienił go nie do poznania. Amelie znów wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Nagle ogarnęła ją fala czułości, zupełnie niezrozumiała i nieoczekiwana. Za wszelką cenę chciała go chronić.

– Ekspres może jeszcze trochę poczekać. Teraz są ważniejsze rzeczy – wyjaśnił z uśmiechem. –

Najpierw muszę posprzątać podwórze.

W tej chwili rozległ się dzwonek. Ktoś stał pod drzwiami. Tobias podszedł do okna i wyjrzał. Uśmiech zniknął z jego twarzy w ułamku sekundy.

– Znowu gliny – powiedział poirytowany. – Lepiej będzie, jeśli pójdiesz. Nie chcę, żeby ktoś cię tu zobaczył.

Potaknęła ze zrozumieniem i wstała. Poprowadził ją przez korytarz do drzwi na tyłach domu.

– Tędy przejdiesz kuchnią mleczną do stajni. Dasz sobie radę sama?

– No pewnie, nie musisz się bać. Teraz, jak jest jasno, nikt nie będzie się czał za rogiem – odpowiedziała ze spokojem.

Na chwilę ich spojrzenia się spotkały i Amelie opuściła głowę.

– Dzięki – powiedział Tobias szeptem. – Jesteś bardzo odważną dziewczyną.

Amelie machnęła lekceważąco dłonią i otworzyła drzwi, ale wtedy gospodarzowi coś przyszło do głowy.

– Poczekaj – zatrzymał ją.

– Tak?

– Nie powiedziałaś mi, co robiłaś na moim podwórzu?

– Widziałam w gazecie zdjęcie człowieka, który zrzucił twoją matkę z mostu. Rozpoznałam go. To jest Manfred Wagner. Ojciec Laury.

*

– ZNOWU ZAWRACACIE MI GŁOWĘ. – Tobias Sartorius nie próbował ukrywać, że nie przepada za policją. – Mam mało czasu. O co tym razem chodzi?

Pia pociągnęła nosem. W powietrzu unosił się zapach świeżej kawy.

– Ma pan gości? Może przeszkadzamy? – zapytała.

Bodenstein również gotów był przysiąc, że przez kuchenne okno dostrzegł sylwetkę jeszcze jednej osoby, kobiety o ciemnych włosach.

– Nie, jestem sam. – Tobias stał w progu i ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma spoglądał na funkcjonariuszy. Nie zaprosił ich do środka, choć padało coraz mocniej.

– Musiał pan pracować jak szalony – stwierdziła Pia, oglądając się za siebie, po czym uśmiechnęła się do niego przyjaźnie. – Kawał świetnej roboty.

Serdeczność i uznanie w jej głosie nie przyniosły oczekiwanego rezultatu. Tobias Sartorius był odporny na pochlebstwa, a z jego twarzy i postawy emanowała wręcz wrogość.

– Przyjechaliśmy zawiadomić pana, że znaleźliśmy szczątki Laury Wagner – oznajmił Bodenstein.

– Gdzie?

– Pan powinien to wiedzieć najlepiej, nieprawdaż? – zauważył chłodno policjant. – W końcu to

pan szóstego września 1997 roku ukrył jej ciało w swoim samochodzie i wywiózł je.

– Nie, to nie ja. – Tobiasz zmarszczył czoło, ale udało mu się zapanować nad głosem. – Laurę widziałem po raz ostatni, kiedy wybiegła ode mnie z domu. Potem już nie. Ale to powtarzałem już setki razy, tylko że nikt mnie nie słuchał.

– Szkielet Laury został znaleziony przez przypadek w czasie prac budowlanych na terenie byłej bazy lotniczej w Eschborn – wyjaśniła Pia. – W jednym z podziemnych zbiorników.

– Na lotnisku – powtórzył szeptem, jakby do siebie. – Na to nigdy bym nie wpadł.

Cała wrogość, jaką dotąd przejawiał, zniknęła jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Mężczyzna sprawiał wrażenie skonsternowanego i jednocześnie wstrząśniętego. Pia pomyślała, że miał przecież jedenaście lat na przygotowanie się do chwili, kiedy będzie musiał stanąć twarzą w twarz ze swoimi czynami. Nie mógł zakładać, że nikt nigdy nie znajdzie ciał zamordowanych dziewcząt. A może to była wyćwiczona reakcja? Może długo myślał, jak powinien się zachować, i uczył się, jak udawać? Z drugiej strony – po co miałyby to robić? Odsiedział swoje, wyszedł z więzienia i powinno mu być obojętne, czy ciała się odnajdą, czy nie. Wtedy przypomniała sobie, jak opisał go Hasse – jako pyszałka, aroganta i pozbawionego uczuć zabójcę. Tylko... czy naprawdę taki był?

– Najbardziej chcielibyśmy się dowiedzieć, czy Laura jeszcze żyła, kiedy wrzuciłeś ją do tego zbiornika? – zapytał Bodenstein.

Pia przyglądała się twarzy Tobiasza. Mężczyzna był blady i drżały mu kąciki ust, jakby zaraz miał się rozpłakać.

– Na to pytanie nie mogę udzielić panu odpowiedzi – powiedział głucho.

– A kto mógłby, jak nie pan? – włączyła się Pia.

– Nie wiem. Sam od jedenastu lat łamię sobie nad tym głowę. Dzień w dzień, noc w noc. – Tym razem słysząc było, że ledwie nad sobą panuje. – I nie obchodzi mnie, czy mi ktoś uwierzy, czy nie. Przyzwyczaiałem się, że wszyscy traktują mnie jak zło wcielone.

– Być może pana matka byłaby dzisiaj cała i zdrowa, gdyby już wtedy pan zdradził, co się stało z ciałami ofiar – zauważył Bodenstein.

Tobiasz wcisnął dłonie w kieszenie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że znaleźliście skurwysyna, który zrzucił ją z mostu?

– Nie, na razie jeszcze nie – wyjaśnił Bodenstein. – Ale wychodzimy z założenia, że to musiał być ktoś ze wsi.

Tobiasz roześmiał się krótko i chrapliwie, po czym popatrzył na nich poważnie.

– No to szczerze gratuluję. Nie spodziewałem się po policji aż takiej przenikliwości – stwierdził z kpina. – Mógłbym nawet pomóc wam posunąć tę sprawę naprzód, bo wiem, kto to był. Tylko proszę mi wyjaśnić, dlaczego miałbym to zrobić?

– Bo ten ktoś popełnił przestępstwo – odpowiedział Bodenstein. – Musi nam pan powiedzieć, co pan wie.

– Gównu muszę. – Tobias Sartorius potrząsnął zdecydowanie głową. – Może i jesteście lepsi niż wasi koledzy jedenaście lat temu. Bo wiecie co? Gdyby wówczas policja pracowała jak należy i złapała mordercę tych dziewczyn, moja matka byłaby dzisiaj cała i zdrowa.

Pia chciała powiedzieć coś, co załagodziłoby napiętą atmosferę, ale Bodenstein ją ubiegł.

– No oczywiście. – Jego głos wręcz ociekał sarkazmem. – Zapomniałem, że pan jest przecież niewinny. Znamy to, oj znamy! Nasze więzienia są pełne niewinnych.

Tobias popatrzył na niego z zaciętą miną. W jego oczach migotały isierki z trudem powstrzymanej złości.

– Wy, gliny, jesteście wszyscy tacy sami – zarozumiali i leniwi! – syknął z pogardą. – Nie macie bladego pojęcia, co się tutaj dzieje. A teraz wynocha. Dajcie mi w końcu spokój.

I zanim Pia zdążyła cokolwiek powiedzieć, zatrzasnął im drzwi przed nosem.

– Mogłeś sobie oszczędzić tej uwagi o niewinności. – Kiedy wracali do samochodu, popatrzyła z wyrzutem na szefa. – Nastawiłeś go przeciwko nam. Teraz już nie mamy szans, żeby się czegokolwiek od niego dowiedzieć.

– Powiedziałem prawdę, nic więcej! – Bodenstein zatrzymał się gwałtownie. – Zwróciłaś uwagę na jego oczy? Ten chłopak nie zawaha się przed niczym. Jeśli naprawdę wie, kto zrzucił jego matkę z mostu, to ten ktoś jest w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

– Jesteś do niego uprzedzony – zaprotestowała Pia. – Pomyśl sobie, że facet wyszedł po dziesięciu latach z więzienia, w którym, co całkiem możliwe, siedział zupełnie niepotrzebnie, bo jest niewinny. Wraca do domu i dowiaduje się, że wszystko się tu zmieniło. Matka się wyprowadziła, a na dodatek została napadnięta i umiera w szpitalu, życzliwi sąsiedzi malują mu na domu obraźliwe hasła... Dziwisz się, że jest wściekły?

– Pia, przesadzasz! Naprawdę, ale tak szczerze, z ręką na sercu jesteś gotowa przyjąć, że gość został skazany za podwójne morderstwo, którego nie popełnił?

– Na razie jeszcze nie. Ale mówiłam ci już, że w aktach z procesu trafiłam na sporo niezgodności. Ujmijmy to tak: mam poważne wątpliwości.

– Ten gość jest skurczybykiem bez serca. A jeśli chodzi o reakcję ludzi ze wsi, to wyobraź sobie, że ich nawet rozumiem.

– Czekaj, chyba nie pochwalasz tego, że ktoś maluje mu po ścianach, a pozostali kryją sprawcę przestępstwa, co? – Pia pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Nic takiego nie powiedziałem – odparł Bodenstein.

Stali w bramie na ulicę i sprzeczali się jak stare małżeństwo. I tak bardzo byli zajęci swoją

kłótnią, że nie zauważyli, jak Tobias Sartorius wyszedł z domu i zniknął na podwórzu, zмирzając w stronę tylnego wyjścia.

*

ANDREA WAGNER nie mogła zasnąć. Policja odnalazła ciało jej córki – a właściwie to, co z niego zostało. Nareszcie. Okropna niepewność należała więc do przeszłości. W końcu wiedziała. Już od dawna przestała wierzyć, że zdarzy się cud. Z początku czuła jedynie bezgraniczną ulgę, ale później przyszedł smutek i żal. Przez jedenaście długich lat nie pozwalała sobie na łzy i żalobę; okazywała siłę, żeby wspierać męża, który po stracie ukochanego dziecka całkowicie się rozsypał. Ona nie mogła sobie na to pozwolić. Nie mogła się załamać. Mieli warsztat, który musiał działać, żeby mogli spłacać kredyty w banku. Poza tym młodsze dzieci miały prawo do posiadania matki. A jednak, nic nie było tak jak dawniej. Manfred stracił energię i chęć do życia. Stał się dla niej kulą u nogi i balastem, bo zamiast pracować, użalał się nad sobą i wpadł w alkoholizm. Gardziła przez to jego słabością i nim samym. Tymczasem on ułatwił sobie przeżywanie tragedii, przekuwając ją na nienawiść do rodziny Sartoriusów.

Andrea Wagner otworzyła drzwi do pokoju Laury. Od jedenastu lat nic się w nim nie zmieniło. Manfred uparł się, że tak musi zostać, a ona to zaakceptowała. Włączyła światło, wzięła z biurka ramkę ze zdjęciem córki i usiadła na łóżku. Czekwała na łzy, lecz te nie nadchodziły. Wspomnieniami wracała do tej chwili przed jedenastoma laty, kiedy do ich domu zapukała policja i oznajmiła, że po dokładnej analizie śladów mają pewność, że Tobias Sartorius zamordował ich córkę.

Tobias? Dlaczego akurat on? Była zdezorientowana i zaskoczona. Bez zastanowienia mogłaby podać nazwiska dziesięciu innych osób, które miały więcej powodów, by zemścić się na Laurze. Ale on? To bez sensu. Andrea Wagner zdawała sobie sprawę, że jej córka była obiektem wielu nieprzyjaznych plotek we wsi. Ludzie mówili, że jest puszczańska, że lafirynda, wyrachowana kanalia, która zrobi wszystko, byle tylko osiągnąć cel, i że ma wybujałe ambicje. Manfred ubóstwiał najstarszą córkę. Kochał ją bezkrytycznie i zawsze znajdował usprawiedliwienie dla jej błędów czy niewłaściwych zachowań. Andrea też ją kochała, ale była na tyle obiektywna, że potrafiła dostrzec jej złe nawyki i przywary. Miała jedynie nadzieję, że z biegiem czasu Laura z nich wyrośnie. Tylko że nie dostała szansy. Dziwne, że jeśli chodzi o Laurę, musiała się bardzo natrudzić, żeby przywołać dobre i radosne wspomnienia. Znacznie żywsze obrazy w jej pamięci dotyczyły nieprzyjemnych spraw, których było niemało. Laura nie szanowała ojca. Czuła do niego pogardę i wstydziała się go. Żalowała, że nie jest kimś takim jak Claudius Terlinden, który umiał się znaleźć w towarzystwie i miał władzę. Mówiła mu to prosto w oczy, niezależnie od okoliczności. Manfred znosił te obelgi i odrzucenie bez słowa sprzeciwu. Miłość, którą darzył swoją piękną córkę, była silniejsza niż poczucie własnej godności. Andrea natomiast przeżyła szok, uświadomiwszy sobie, jak mało ją znała. Najwyraźniej popełniła jakiś błąd wychowawczy. Jednocześnie pamiętała strach, co by było,

gdyby dziewczyna się dowiedziała, że ona ma romans ze swoim szefem, Claudiusem?

Całymi miesiącami leżała noc w noc, nie mogąc zasnąć, i rozmyślała o córce. Przez kilka lat miała znacznie więcej powodów do zmartwień, niż mogła się spodziewać, bo Laura często zmieniała chłopaków. W końcu trafiła na Tobiasa. I wtedy nagle, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki się zmieniła. Stała się zadowolona, spokojna i radosna. Ten związek dobrze jej zrobił. On bez wątpienia był kimś wyjątkowym. Świetnie wyglądał, przystojny, wzorowy uczeń i sportowiec, cieszył się wielkim autorytetem wśród pozostałych chłopaków we wsi. Był dokładnie tym kimś, o kim Laura śniła. Blask wyśnionego królewicza z bajki spływał też na nią. I przez pół roku wszystko było dobrze – aż do chwili, kiedy we wsi pojawiła się Stefanie Schneeberger. Laura natychmiast uznała ją za konkurentkę i żeby uniknąć zagrożenia, chciała zostać jej przyjaciółką. Nadaremnie. Tobias zakochał się w Stefanie i zerwał z Laurą. Mało brakowało, a nie podniosłaby się po takim ciosie. Andrea nie miała pojęcia, co się działo tamtego lata między młodymi ludźmi, jednak miała podstawy, by podejrzewać córkę o igranie z ogniem, kiedy podburzała pozostałych przeciwko Stefanie. Zaskoczyła raz Laurę w biurze, przy kserokopiarce, z całym plikiem odbitek. Córka ją zauważyła, złapała kartki i chciała wybiec, nie pozwalając jej spojrzeć, co robiła. Matka nastawała, wymiana zdań przerodziła się w dziką kłótnię i skutek był taki, że nastolatka uciekła, ale zapomniała o kartce pod pokrywą kopiarki. Adrea ją wyjęła. Na białym tle widniało tylko kilka słów zapisanych czarną czcionką. ŚNIEŻKA MUSI UMRZEĆ. Natychmiast zmięła ją w dłoniach i wyrzuciła. Nie wspomniała o kartce ani mężowi, ani policji. Świadomość, że jej dziecko mogło komuś innemu życzyć śmierci, było torturą nie do zniesienia. Może Laura padła ofiarą własnej intrygi? Trzymała buzię na kłódkę, pozwoliła sprawom toczyć się ich naturalnym biegiem i każdego wieczoru wysłuchiwała, jak Manfred idealizuje Laurę.

– Lauro – mruknęła, gładząc delikatnie buzię na zdjęciu. – Coś ty narobiła?

I wtedy, nagle, po jej policzkach potoczyła się łza. Po chwili kolejna. Zamrugła i wytarła twarz wierzchem dłoni. Nie, to nie żal sprawił, że zaczęła płakać. Łzy kapały z powodu wyrzutów sumienia, że tak naprawdę nigdy swojej córki nie kochała.

*

DOCHODZIŁO WPÓŁ DO DRUGIEJ, kiedy stanął przed jej drzwiami. Przez trzy godziny kręcił się bez celu po okolicy. Tak wiele się dziś wydarzyło, że nie mógł sobie poradzić z myślami i emocjami. Najpierw w progu jego domu stanęła brudna i zakrwawiona Amelie. Przeżył szok na jej widok. I to nie krew ani rany były powodem, dla którego serce waliło mu przez chwilę tak, jakby zaraz miało rozerwać klatkę piersiową. Nie, to było jej niewiarygodne podobieństwo do Stefanie. Identyczna, a jednocześnie całkiem inna. Nie była próżną małą pięknoscią, która go otumaniła, uwiodła i owinęła sobie wokół palca, tylko po to, by go zaraz porzucić. Amelie robiła niesamowite wrażenie. I, zdaje

się, nie uznawała żadnych zakazów.

A potem pojawiła się policja. Odnaleziono zwłoki Laury. Deszcz lał się z nieba strumieniami, więc nie próbował nawet pracować na podwórzu. Złość chciał wyładować, sprzątając swój pokój. Zerwał ze ścian idiotyczne plakaty, zawartość szafek i większości szuflad zapakował do niebieskich worków na śmieci... byle się tego wszystkiego pozbyć! Naraz w ręce wpadła mu płyta CD. *Time to say goodbye* Sarah Brightman i Andrei Bocellego. Dostał ją od Stefanie, bo przy tej piosence po raz pierwszy się pocałowali. Pamiętał to jeszcze. Czerwiec, bal maturalny. Włożył płytę do odtwarzacza i włączył. Nie spodziewał się uczucia pustki, które wraz z pierwszymi taktami muzyki złapało go swoimi szponami i do tej chwili nie chciało puścić. Nigdy jeszcze nie był tak samotny i bezradny. Nigdy, nawet w więzieniu. Tam zresztą mógł marzyć o lepszych czasach, które miały nadejść. Teraz wiedział jednak, że nie nadejdą. Jego życie nie miało już sensu.

Minęło kilka chwil, zanim Nadja wpuściła go do środka. Zaczął się nawet bać, że nie ma jej w domu. Nie przyszedł, żeby zaciągnąć ją do łóżka – nawet nie przeszło mu to przez myśl. Teraz jednak, kiedy ujrzał ją przed sobą, zasną, z rozpuszczonymi, błyszczącymi włosami spływającymi z ramion, słodką i ciepłą, nie potrafił zapanować nad pożądaniem. Podniecenie zalało go falą, której nie potrafił powstrzymać.

– Co... – chciała zapytać, widząc go w progu, lecz reszta jej słów utonęła w pocałunku, którym zamknął jej usta.

Przyciągnął ją do siebie, niemal oczekując, że będzie się bronić i że go odepchnie. Ale stało się inaczej. Ściągnęła mu z ramion mokrą skórzaną kurtkę, rozpięła guziki koszuli i podniosła koszulkę, którą miał pod spodem. W następnej chwili znaleźli się na podłodze. Wszedł w nią natychmiast, poczuł jej język w swoich ustach i dłonie na pośladkach, jakby chciała go coraz szybciej i mocniej. Wcześniej, zbyt wcześnie poczuł falę rozkoszy i gorąca. Zlany potem zawisł na niej, uspokojony i zadowolony, że jego jęk przerodził się w głuchy krzyk. Przez kilka sekund leżał na niej i, wsłuchując się w dzikie walenie serca, zastanawiał się, co też zrobił. Potem osunął się na bok i z zamkniętymi oczyma przewrócił się na plecy. Otwartymi ustami łapał powietrze, niczym ryba wyjęta z wody. Uniósł powieki dopiero, kiedy usłyszał jej cichy śmiech.

– Co takiego? – wyszeptał zaskoczony.

– Chyba musimy trochę potrenować – odparła.

Zwinnym ruchem gibkiego ciała podniosła się z ziemi i podała mu dłoń. Złapał ją, dał sobie pomóc wstać i ruszył za nią do sypialni, uprzednio zdejmując buty i ściągając spodnie. Koszmary przeszłości odeszły. Przynajmniej na razie.

CZWARTEK 13 LISTOPADA 2008

Wczoraj była u mnie policja. – Tobias dmuchał na gorącą kawę, którą Nadja podała mu w filiżance. Poprzedniej nocy nie chciał poruszać tego tematu, ale teraz nadeszła chwila, kiedy musiał jej o wszystkim opowiedzieć. – Na starym lotnisku w Eschborn znaleźli szczątki Laury. W podziemnym zbiorniku.

– Słucham? – Nadja zamarła z filiżanką w połowie drogi do ust.

Wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczyma. Siedzieli przy stole z szarego granitu w kuchni jej mieszkania, przy którym zjedli wcześniej wspólną kolację. Dopiero minęła siódma rano, a za panoramicznym oknem panowała jeszcze głęboka ciemność. Nadja musiała zdążyć na ósmą na lotnisko, skąd leciała do Hamburga. Czekają ją zdjęcia do nowych odcinków serialu, w którym grała policjantkę.

– Kiedy... – W końcu odstawiła filiżankę. – To znaczy... jak... skąd w ogóle wiesz, że to Laura?

– Nie mam zielonego pojęcia. – Tobias potrząsnął głową. – Niczego więcej nie chcieli mi powiedzieć. Zresztą z początku nie chcieli nawet zdradzić, gdzie była. Ważniejszy z tej dwójki powiedział tylko, że przecież doskonale wiem.

– Boże... – wyjąkała Nadja. Była zszokowana.

– Nadju. – Nachylił się w jej stronę i położył dłoń na jej dłoni. – Powiedz mi, proszę, czy mam zniknąć z twojego życia?

– Ale dlaczego... dlaczego miałbyś to zrobić?

– Przecież widzę, że na mój widok ogarnia cię przerażenie.

– Nie gadaj głupstw.

Cofnął dłoń, wstał i odwrócił się do niej plecami. Przez chwilę walczył sam ze sobą. Pół nocy leżał, czekając na sen, który nie przychodził, i wsłuchiwał się w jej miarowy oddech. Zastanawiał się, czy nadejdzie chwila, kiedy zbrzydnie jej jego obecność. Już teraz bał się dnia, w którym pojawią się pełne zakłopotania wymówki. Zacznie go unikać i przestaną sobie wierzyć. A wiedział, że to tylko kwestia czasu. Nie był dla niej właściwym facetem. Nigdy nie będzie pasował ani do niej, ani do jej świata.

– Wiesz doskonale, że ten temat prędzej czy później musi się pojawić – powiedział w końcu głuchym głosem. – Zostałem skazany za popełnienie dwóch morderstw i odsiedziałem dziesięć lat w więzieniu. Nie możemy udawać, że nic się nie stało, że nie jestem kryminalistą i że znów mamy po dwadzieścia lat.

Odwrócił się i spojrzał na nią.

– Nie mam pojęcia, kto jest odpowiedzialny za śmierć Laury i Stefanie. Nie mogę wykluczyć, że ja. Ale gdybym rzeczywiście to zrobił, to przecież musiałbym cokolwiek pamiętać! A do dzisiaj nie

znajduję w pamięci najmniejszego szczegółu tamtych zdarzeń! Nic... kiedy próbuję, trafiam na... czarną dziurę. Psycholożka, która zeznawała przed sądem, stwierdziła, że ludzki umysł posiada taką właściwość, że na szok reaguje czasem amnezją. Ale nie sądzisz, że mimo amnezji powinienem pamiętać jakieś szczegóły? Urywki tego, co się wtedy działo? Jak pakuję Laurę do bagażnika, jak z nią jadę albo ukrywam ciało? Tymczasem niczego sobie nie przypominam. Sam nie wiem... nic już nie wiem. Ostatnia rzecz, jaką pamiętam, to jak Stefanie mi mówi, że... że ona... że ona mnie już nie kocha. A następnie widzę Jörga i Feliksa, jak dużo później stoją przed moimi drzwiami. Wypiłem wtedy całe morze wódki i było mi strasznie niedobrze. I znów przerwa, a następne wspomnienie to gliny wszędzie dookoła. Nakładają mi kajdanki i mówią, że jestem aresztowany pod zarzutem zabójstwa Laury i Stefanie!

Nadja wyprostowała się i spojrzała na niego uważnie swymi wielkimi, nefrytowozielonymi oczyma.

– Zrozum mnie, Nadju – jęknął błagalnym tonem. Znów czuł ten sam ból w sercu, tyle że znacznie mocniej. Zbyt wiele miał do stracenia. Nie chciał pozwolić sobie na zaangażowanie się w związek, bo wiedział, że skończy się wielkim rozczarowaniem. – To nie daje mi żyć. Nie ma gorszej tortury, niż nie wiedzieć, co się wtedy naprawdę stało. Czy jestem mordercą? Może jestem niewinny?

– Tobie – powiedziała cicho. – Kocham cię. Od kiedy tylko pamiętam. To wszystko, o czym mówisz, jest dla mnie bez znaczenia. Nawet jeśli rzeczywiście byłeś sprawcą.

Tobiasz zrobił zrezygnowaną minę. Ona go po prostu nie rozumiała. Akurat teraz, kiedy tak bardzo potrzebował kogoś, kto by mu uwierzył. Kto uwierzyłby w niego. Nie był człowiekiem, który potrafiłby prowadzić życie wyrzutka. To go prędzej czy później zabije.

– Ale dla mnie to ma znaczenie. I to ogromne – odparł z naciskiem. – Straciłem dziesięć lat życia. Nie mam przed sobą żadnej przyszłości. Ktoś mi ją odebrał i zniszczył. Nie mogę udawać, że to wszystko już się skończyło.

– Co w takim razie zamierzasz?

– Chcę poznać prawdę. Nawet jeśli miałyby się okazać, że to byłem ja. Jestem na to gotowy.

Nadja odsunęła stołek i wstała. Lekkim krokiem podeszła bliżej, objęła go w pasie i spojrzała w oczy.

– Ja ci wierzę – zapewniła cichym głosem. – Jeśli tylko będziesz chciał, we wszystkim ci pomogę. Mam tylko jedną prośbę. Nie wracaj już do Altenhain. Nigdy. Proszę.

– A dokąd miałbym pójść?

– Zostań tutaj. Albo przenieś się do mojego domu w Tessin. Albo do Hamburga. – Uśmiechnęła się nagle, zadowolona z tego pomysłu. – No właśnie! Poleć ze mną do Hamburga. Zobaczysz, spodoba ci się mój dom. Jest nad samą wodą.

Tobias się zawahał.

– Nie, nie mogę zostawić ojca samego. Nie teraz. Mama też mnie potrzebuje. Dopiero jak się poczuje lepiej, będę mógł podjąć taką decyzję.

– Stąd masz do domu piętnaście minut samochodem. – Wielkie zielone oczy Nadji dzieliły centymetry od jego twarzy.

Czuł zapach jej skóry i woń szamponu. Połowa mężczyzn w kraju marzyła o tym, by Nadja von Bredow zaproponowała im wspólne mieszkanie. Co go więc powstrzymywało?

– Tobi, proszę! – Położyła mu dłonie na policzkach. – Tak bardzo się o ciebie boję. Nie chcę, żeby i tobie się coś stało. Kiedy pomyślę, że ci goście w kominiarkach mogliby dopaść ciebie, a nie tę nastolatkę...

Amelie! No tak, w ogóle o niej nie pomyślał! Została w Altenhain, czyli tam, gdzie była ukryta prawda o tragicznych wydarzeniach sprzed jedenastu lat.

– Będę uważał – zapewnił ją. – Nie bój się, dam sobie radę.

– Kocham cię, Tobi.

– Ja ciebie też – odparł z przekonaniem i przyciągnął ją do siebie.

*

– SZEPIE? – Kai Ostermann stał w otwartych drzwiach biura i wymachiwał kilkoma wydrukami.

– O co chodzi? – zapytał Bodenstein.

– Właśnie przyszło faksem. – Ostermann podał mu kartki, uważnie przyglądając się twarzy przełożonego. Nie dostrzegł jednak żadnej reakcji.

– Dziękuję – powiedział Bodenstein i z łomoczącym sercem wrócił do swojego pokoju.

Dokumenty, które trzymał w dłoni, zawierały dane lokalizacyjne telefonu komórkowego Cosimy, pokazujące miejsca, które odwiedziła w ostatnich dwóch tygodniach. Przedwczoraj zamówił je oficjalną drogą u operatora sieci, w której Cosima miała telefon. Po raz pierwszy w życiu wykorzystał możliwości, jakie oferowała jego praca, do celów innych niż zawodowe. Pragnienie, by poznać prawdę, było silniejsze niż wyrzuty sumienia z powodu prywaty, którą ktoś złośliwy mógłby uznać za nadużycie władzy. Usiadł za biurkiem i przygotował się wewnętrznie na to, co za chwilę miał zobaczyć. Lektura danych odarła go z resztek nadziei. Żona była w Moguncji dwa razy, dokładnie wtedy, kiedy się umawiała. Czas też się zgadzał. Za to osiem razy spędziła przedpołudnie we Frankfurcie. Bodenstein oparł się łokciami o blat biurka, zacisnął pięści i oparł na nich brodę. Przez chwilę siedział nieruchomo i intensywnie myślał. Potem sięgnął po słuchawkę i wykręcił numer do biura żony. Po dwóch sygnałach odebrała Kira Gasthuber, sekretarka, asystentka i dziewczyna do wszystkiego. Nie, Cosimy akurat nie było na miejscu. Tak, ma przy sobie komórkę, niech próbuje ją złapać.

Żeby mnie znów okłamała, ty mała idiotko?, pomyślał Bodenstein. I już chciał się rozłączyć, kiedy w tle usłyszał radosny głosik młodszej córki. W jego głowie natychmiast włączył się alarm. Zazwyczaj Cosima brała Sophię ze sobą. Dlaczego więc tym razem zostawiła maleństwo w biurze? Kira zapewniła błyskawicznie, że szefowa wyszła tylko na chwilę i zaraz wróci, a Sophia świetnie się bawi, bo zajmują się nią we dwójkę z René. Bodenstein odłożył słuchawkę i przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo przy biurku. W głowie miał karuzelę myśli. Telefon Cosimy pięciokrotnie logował się do stacji bazowych w Nordend, jednej z dzielnic Frankfurtu, między Glauburgstrasse, Oeder Weg i Eckenheimer Landstrasse. Na mapie wydawało się, że to niewielki obszar, jednak w rzeczywistości stało tam kilkaset domów, a w nich kilka tysięcy mieszkań. Cholera jasna. Po co tam chodziła? Co robiła? I, przede wszystkim, z kim się spotykała? Nie miał pojęcia, jak zareaguje, jeśli się okaże, że rzeczywiście go zdradzała. A tak swoją drogą, to skąd się brało jego przekonanie, że miała powód, by znaleźć sobie kogoś na boku? No dobrze, to prawda, że po narodzinach Sophii ich życie seksualne nie było tak intensywne jak wcześniej, ale to chyba normalne, kiedy w rodzinie pojawia się niemowlak. Poza tym Cosima nie miała na co narzekać. A może jednak? Ze wstydem uświadomił sobie, że nie pamięta, kiedy po raz ostatni poszli do łóżka. Zaczął szperać w pamięci i coraz dalej cofał się w czasie. Ha! Proszę bardzo, to był wieczór, kiedy nieco pod wpływem i w świetnym humorze wrócili razem z urodzin znajomego. Bodenstein otworzył szybko kalendarz i sprawdził daty. Im więcej kartek musiał przetrząsnąć, tym silniejsze stawało się nieprzyjemne uczucie, które ścisnęło mu żołądek. Czyżby zapomniał zaznaczyć dzień imprezy u Bernharda? Nie, nie zapomniał. Bernhard miał pięćdziesiąte urodziny dokładnie dwudziestego sierpnia. Na zamku Johannisberg w Rheingau. Nie, to niemożliwe! Policzył dni i tygodnie i zawstydził się jeszcze bardziej. Dwa miesiące. Od dwóch miesięcy się nie kochali. Czy to znaczyło, że sam jest temu winny? Że sam pchnął ją w ramiona kochanka? Rozległo się pukanie do drzwi i w progu jego biura stanęła Nicola Engel.

– Coś się stało? – zapytał.

– Zdradzisz mi – przełożona zmierzyła go lodowatym spojrzeniem – kiedy zamierzałeś mnie poinformować, że nadkomisarz Behnke podjął pracę w jakiejś spelunie w Sachsenhausen bez informowania wydziału i bez naszej zgody?

Cholera jasna! Przez osobiste problemy całkowicie wypadło mu to z głowy. Wolał nie pytać, skąd ma tę informację, i zrezygnował z prób usprawiedliwiania się.

– Chciałem sam z nim pogadać, zanim sprawa stanie się oficjalna – wyjaśnił. – A dotychczas nie miałem po prostu okazji.

– Będiesz miał dzisiaj wieczorem o wpół do siódmej. Wezwałam go do biura. Ma się stawić, nawet jeśli rzeczywiście jest umierający. Zobaczymy, jak sobie poradzisz.

TELEFON KOMÓRKOWY zaczął dzwonić, jeszcze zanim minął kontrolę graniczną i ruszył w stronę wyjścia z lotniska. Lars Terlinden przełożył aktówkę do drugiej ręki i odebrał. Przez cały dzień musiał tłumaczyć się przed zarządem w Zurychu z transakcji, za którą dzisiaj wszyscy chcieli go ukrzyżować, choć jeszcze kilka miesięcy temu skakali z radości, że w ogóle doszła do skutku. Niech to wszyscy diabli, przecież nie był jasnowidzem! Skąd miał wiedzieć, że doktor Markus Schönhausen w rzeczywistości nazywa się Matthias Mutzler, że nie pochodzi z Poczdamu, a tylko z jakiejś wiochy w Jurze Szwabskiej i że jest cholernym oszustem? Poza tym, to nie jego problem, że dział prawny jego banku nie popisał się przenikliwością. I to delikatnie mówiąc! Za tę sprawę poleciało już kilka głów, a jego pewnie będzie następna, jeśli nie wymyśli sposobu, by zrównoważyć stratę w wysokości kilkuset milionów euro.

– Za dwadzieścia minut będę w biurze – poinformował sekretarkę, kiedy tylko przeszedł przez automatyczne drzwi z mlecznego szkła. A miał dopiero trzydzieści lat. Nie potrafił zasnąć, nie nałykawszy się uprzednio tabletek. Miał też problemy z jedzeniem, i tylko picie mu pozostało. Lars Terlinden zdawał sobie sprawę, że jest na najlepszej drodze do zostania alkoholikiem, jednak uznał, że tym problemem zajmie się później. Najpierw musiał poradzić sobie z bagnem w pracy. A na razie nie widział światełka w tunelu. Gospodarka światowa trzęsa się w posadach i nawet największe amerykańskie banki sypały się jak domki z kart. Lehman Brothers to dopiero początek. Jego pracodawca, jeden z największych szwajcarskich banków, tylko w zeszłym roku zwolnił pięć tysięcy pracowników na całym świecie. W biurach i na korytarzach czuć było panikę i strach o własną egzystencję. Telefon znów się rozdzwonił. Nie patrząc na ekran, schował go do kieszeni. Sześć tygodni wcześniej całkowicie zaskoczyła go wiadomość o upadku giganta na rynku nieruchomości, imperium Schönhausena, tym bardziej że dwa dni wcześniej w hotelu Adlon w Berlinie jadł z nim obiad. Schönhausen musiał już wtedy doskonale wiedzieć, że lada chwila będzie musiał ogłosić niewypłacalność. Śmierdzący, kłamliwy skurwysyn. Policja i Interpol już go szukają, bo zniknął, kiedy zaczęły się kłopoty. Lars Terlinden zorganizował naprędce pokaz siły dla swojego szefostwa i na szczęście mu się udało, bo błyskawicznie dokonał sekurytyzacji większej części portfela kredytowego, ale, tak czy inaczej, został na koniec stratny na trzysta pięćdziesiąt milionów euro.

Jakaś kobieta stanęła mu na drodze. Spieszyło mu się, więc, nie podnosząc wzroku, chciał ją ominąć, lecz ona też się przesunęła i coś powiedziała. Dopiero wtedy rozpoznał matkę, której nie widział od ośmiu lat.

– Lars – powtórzyła kobieta błagalnym tonem. – Lars, proszę, poczekaj!

Wyglądała tak jak zawsze. Zadbana, elegancka, z doskonale ułożoną fryzurą. Nierzucający się w oczy makijaż, na opalonym dekolcie sznur pereł. Uśmiechała się nieśmiało, wyprowadzając go

z równowagi.

– Czego chcesz? – zapytał oschle. – Mąż cię przysłał?

Słowo ojciec i tak nie przeszłoby mu przez usta.

– Nie, Lars. Sama przysłałam. Nie odchódź, proszę. Wysłuchaj mnie.

Przewrócił oczami, ale posłuchał. Jako dziecko ubóstwiał ją. Kochał nade wszystko i otaczał nabożną czcią. Zżerała go tęsknota, kiedy wyjeżdżała na kilka dni albo na kilka tygodni, bo i tak się zdarzało. Zostawał wówczas sam z bratem pod opieką gospodyni. Ale wybaczał jej. Wszystko jej wybaczał, bo szalał z miłości. Tylko że nie dostawał w zamian niczego poza pięknymi słowami, pustymi uśmiechami i obietnicami. Dopiero wiele lat później pojął, że nie mogła mu nic więcej dać, bo niczego więcej nie posiadała. Christine Terlinden była próżnym naczyniem – bezduszną piękną pozbawioną osobowości. Jej jedynym celem i ambicją było stać się perfekcyjną reprezentacyjną małżonką przedsiębiorcy i biznesmena Claudiusa Terlindena. I to wszystko.

– Wspaniale cię widzieć, synku. Chociaż jesteś bardzo wychudzony. – Nic się nie zmieniła.

Po tylu latach rozłąki stać ją było tylko na wygłaszanie truizmów. Lars Terlinden zaczął nią gardzić, kiedy tylko się zorientował, że przez całe życie go oszukiwała.

– Czego ode mnie chcesz? – powtórzył nieprzyjemnym tonem.

– Tobiasz wyszedł z więzienia – wyjaśniła półgłosem. – A policja odnalazła szkielet Laury. Leżał zasypany na starym lotnisku w Eschborn.

Zacisnął zęby. Niespodziewanie jego życie cofnęło się z prędkością bolidu do czasów dzieciństwa. Nieprzyjemne uczucie pieczenia w żołądku, którego nie mógł się pozbyć od hali przylotów na lotnisku, w jednej chwili zamieniło się w paniczny strach dziesięcioletka. Laura! Nigdy nie zapomni jej twarzy, jej śmiechu, optymizmu i apetytu na życie, tego wszystkiego, co tak wcześniej i brutalnie zostało przerwane. Od tamtej chwili nie zamienił z Tobiaszem ani jednego słowa. Ojciec zadziałał błyskawicznie i wysłał go do posiadłości znajomego w najbardziej odludnej części Oxfordshire. *Pomyśl o przyszłości, chłopcze! Trzymaj się od tego z daleka i buzia na kłódkę. Zobaczysz, że nic złego cię nie spotka.* Oczywiście bez wahania go posłuchał. Trzymał się z daleka i milczał. Kiedy dotarła wiadomość o wyroku Tobiasza, było już za późno. Przez ostatnich jedenaście lat robił wszystko, byleby tylko nie musieć myśleć o tamtym strasznym wieczorze, o swoim przerażeniu i o panice. Jedenaście cholernych, przespanych lat! Rzucił się w wir pracy i niemal nie wychodził z biura; żeby tylko zapomnieć. A teraz zatrzymuje go na korytarzu matka, ubrana w elegancką futrzaną narzutkę i rozdrapuje ledwie co zabliznione rany.

– Nic mnie to nie obchodzi – warknął. – Nie mam z tym nic wspólnego.

– Ale... – zaczęła, lecz on nie dał jej dokończyć.

– Zostaw mnie w spokoju! – syknął jadowicie. – Słyszysz? Nie chcę cię widzieć. Nie życzę sobie, żebyś się ze mną kontaktowała. Nigdy! Trzymaj się z dala od mojego życia, tak jak dotychczas.

Po tych słowach odwrócił się i, nie patrząc za siebie, ruszył w stronę ruchomych schodów, które prowadziły na podziemny przystanek.

*

STALI W GARAŻU i pili piwo prosto z butelek. Zupełnie jak dawniej. Tobias czuł się trochę nieswojo, ale nie on jedyny. Pozostałym też brakowało nieco swobody. Właściwie po co w ogóle przyszedł? Ku jego zaskoczeniu po południu zadzwonił kolega z podstawówki, Jörg, i zaprosił na piwko. Miał być on, Felix i jeszcze kilku starych kumpli. Odkąd sięgał pamięcią, spotykali się w hali garażowej należącej do wujka Jörga. Z początku przyjeżdżali rowerami, potem skuterami, wreszcie samochodami. Jörg był bardzo utalentowanym mechanikiem i jako młody chłopak marzył o karierze kierowcy wyścigowego. Garaż pachniał tak samo jak we wspomnieniach – olejem silnikowym, lakierem, skórą i woskiem. Siedzieli na tej samej starej ławce, na odwróconych skrzynkach po piwie i na oponach. Tutaj nie widać było mijającego czasu. Tobias nie włączał się do rozmowy, która z jego powodu raczej się nie kleiła i brzmiała wymuszenie. Wprawdzie wszyscy podali mu rękę na powitanie, ale widać radość z jego powrotu nie była bezgraniczna. Po jakimś czasie tak się złożyło, że Tobias, Jörg i Felix znaleźli się sami, z dala od reszty towarzystwa. Felix został dekarzem i pracował w warsztacie ojca. Już jako nastolatek był potężnym chłopakiem, a ciężka fizyczna praca przez ostatnie jedenaście lat i jego uwielbienie dla piwa zmieniły go w prawdziwego kolosa. Kiedy się śmiał, jego łagodna i dobroduszna twarz zniknęła niemal całkowicie pod grubą warstwą tłuszczu. Tobias patrzył na niego i nie mógł oprzeć się skojarzeniu z bułką mleczną z rodzynkami. Za to Jörg prawie nic się nie zmienił i tylko zakola na głowie sięgały coraz wyżej.

– A co porabia Lars? – zapytał Tobias.

– Na pewno nie to, co chciał jego staruszek. – Felix zarechotał ze złośliwą satysfakcją. – Widać nawet bogacze mają problemy z dziećmiakami. Jeden szurnięty, a drugi nie chce go znać.

– Lars zrobił karierę w finansach – wyjaśnił Jörg. – Matka mi mówiła, a ona wie to od jego matki. Inwestycje, papiery i takie tam. Wielka kasa. Ma żonę, dwójkę dzieci, a kiedy wrócił z Anglii, kupił sobie odstrzeloną willę w Glashütten.

– Zawsze myślałem, że Lars wylądaje na teologii. Chciał zostać księdzem. – Tobias pokręcił głową.

Myśl, że jego najlepszy kumpel tak nagle i w dodatku bez słowa pożegnania zniknął z jego życia, do dzisiaj sprawiała mu ból, choć wciąż się temu dziwił.

– Wiesz, ja na przykład wcale nie chciałem być dekarzem. – Felix otworzył zapalniczką kolejną butelkę piwa. – Ale w wojsku mnie nie chcieli, do policji też się nie dostałem, zrezygnowałem ze szkolenia na piekarza, a zaraz potem... eee... no, sami wiecie...

Przerwał zakłopotany i spuścił wzrok.

– A ja po wypadku musiałem sobie odpuścić starty w wyścigach samochodowych – dodał Jörg pospiesznie, zanim milczenie stało jeszcze bardziej przykre. – Dlatego nie jestem teraz w Formule 1, tylko w Czarnym Rumaku. Wiesz, że moja siostra wyszła za Jagielskiego, prawda?

Tobias potaknął.

– Tak. Od ojca.

– Sam widzisz. – Jörg uniósł butelkę i pociągnął solidny łyk piwa. – Wygląda na to, że żadne z nas nie osiągnęło tego, o czym kiedyś marzyliśmy.

– Nathalie się udało – poprawił go Felix. – A przypomnijcie sobie, ile się z niej naśmiewaliśmy, jak opowiadała, że zostanie sławną aktorką!

– No, ona tak. Zawsze wiedziała, czego chce, i robiła wszystko, żeby to osiągnąć. – Jörg zgodził się z kumplem i pokiwał głową. – Rozstawiała nas czasem po kątach! Ale mimo to żaden z nas nie przypuszczał, że zajdzie aż tak daleko.

– Święta racja. – Tobias uśmiechnął się lekko. – Z drugiej strony ja też nigdy bym nie pomyślał, że w kiciu zostanę ślusarzem i korespondencyjnie zrobię ekonomię.

Jego dawni przyjaciele zawahali się, nie wiedząc, jak zareagować, ale w końcu zaczęli się śmiać. Spożyty alkohol nieco ich rozluźnił. Po piątej butelce piwa Feliksowi rozwiązał się język.

– Do dzisiaj nie mogę sobie wybaczyć, że wtedy, jak gliny zaczęły nas przepytywać, powiedziałem im, że byliśmy potem u ciebie, stary – powiedział i położył mu ciężko rękę na ramieniu.

– Niepotrzebnie. Powiedziałeś przecież prawdę. – Tobias wzruszył ramionami. – Nikt nie mógł się domyślać, jak to się wszystko skończy. No ale jestem już z powrotem i naprawdę się cieszę, że mnie nie unikacie. Większość ludzi we wsi traktuje mnie jak powietrze.

– Bez sensu. – Jörg klepnął go w drugie ramię. – Poza tym jesteście przecież ziomami, stary! Pamiętasz jeszcze, jak zarżnęliśmy mojemu wujkowi opla, którego przez całe lata remontował? Cholera, tylko na złom się potem nadawał! Ale wtedy było!

Tobias pamiętał, Felix również. W ten sposób rozmowa zesłała na wspominki wszystkich numerów, które niegdyś wywinęli. Impreza u Terlindenów, w czasie której dziewczyny się porozbierały, a potem wyciągnęły matce Larsa futra z szafy i tak biegały po domu. Urodziny Michy, przerwane przez gliny. Próby odwagi na cmentarzu. Wycieczka do Włoch z jakąś organizacją kościelną. Ognisko w czasie festynu miejskiego, które wymknęło się spod kontroli, bo Felix jako rozpałki użył kanistra z benzyną. Niekończący się korowód wspomnień. Śmiechom nie było końca. Jörg chichotał tak mocno, że po policzkach popłynęły mu łzy.

– Chłopaki! – Wytarł twarz dłonią. – A pamiętacie, jak moja siostra zwinęła staremu pęk kluczy do bramy na lotnisko, a myśmy pojechali do starego hangaru i zrobiliśmy w środku wyścigi? Cholera,

ale się wtedy działo!

*

AMELIE SIEDZIAŁA przy biurku i przeglądała Internet, kiedy rozległ się dzwonek do drzwi. Błyskawicznie zamknęła laptop i zerwała się z krzesła. Za piętnaście jedenasta wieczorem! Cholera! Czy starzy nie mogliby pamiętać o kluczach? Na paluszkach zbiegła ze schodów, żeby jak najszybciej im otworzyć, bo kolejny dzwonek mógłby obudzić maluchy, które godzinę wcześniej położyła do łóżek. A usypianie przyrodniego rodzeństwa kosztowało ją zawsze wiele wysiłku i samozaparcia. Odruchowo spojrzała na ekran wideodomofonu, który pokazywał obraz z kamer po obu stronach wejścia. W niewyraźnej, szarej plamie rozpoznała młodego mężczyznę o jasnych włosach. Amelie otworzyła drzwi i niemal podskoczyła ze strachu. W progu stał Thies. Od kiedy się poznali, jeszcze nigdy nie podszedł tak blisko jej domu, a już w ogóle nie potrafiła wyobrazić go sobie dzwoniącego do drzwi. Początkowe niedowierzanie ustąpiło miejsca trosce, bo dziewczyna zauważyła, w jakim stanie był jej przyjaciel. Nigdy jeszcze nie widziała go tak podenerwowanego. Drżały mu dłonie, kołysał się w przód i w tył, mrugał rozbieganymi oczami i dygotał.

– Co się stało? – zapytała szeptem. – Coś niedobrego? Potrzebujesz pomocy?

Thies nie odpowiedział, tylko podał jej rulon papierów, obwiązany starannie szeroką wstążką. Dziewczyna wybiegła na dwór boso, więc poczuła, jak jej stopy zmieniają się w sople lodu. Jednak nie zwracała na to uwagi, bo troska o przyjaciela była silniejsza.

– Wejdiesz?

Młody Terlinden potrząsnął głową i rozejrzał się strachliwie, jakby się obawiał, że ktoś go śledzi.

– Tych obrazów nie wolno oglądać – odezwał się nagle dziwnym, zachrypniętym głosem. – Musisz je dobrze ukryć.

– Pewnie – uspokoiła go. – Zaraz je schowam.

Przez wieczorną mgłę przebiły się reflektory samochodu, który toczył się ulicą w ich stronę. Kiedy auto skręciło na podjazd Lauterbachów, jasne światło omiotło dziewczynę. Garaż sąsiadów znajdował się kilka metrów od miejsca, w którym stała Amelie – i to sama, jak się nagle zorientowała. Thies zapadł się pod ziemię. Daniela Lauterbach wyłączyła silnik i wysiadła.

– Witaj, Amelie! – zawołała przyjaźnie.

– Dobry wieczór, pani doktor! – odparła dziewczyna.

– Coś się stało, że stoisz na schodach? Drzwi się zatrzasnęły i nie możesz wejść?

– Nie, dopiero co wróciłam z pracy. – Amelie wyjaśniła pospiesznie, choć sama nie miała pojęcia, dlaczego okłamała sąsiadkę.

– To dobrze. Pozdrów rodziców! Dobrej nocy! – Daniela Lauterbach pomachała jej, uruchomiła pilotem podwójną bramę do garażu, wjechała i zamknęła za sobą.

– Thies? – szepnęła Amelie. – Gdzie jesteś?

Podskoczyła ze strachu, kiedy chłopak wychynął bezszelestnie zza wielkiego cisa, który rósł niedaleko drzwi.

– O co chodzi? – zapytała go. – Dlaczego...

Na widok twarzy Thiesa słowa uwięzły jej w gardle. W jego oczach czaił się paniczny strach – tylko czego tak bardzo się bał? Przerazona jego stanem pogłaskała go uspokajająco po ramieniu. Cofnął się.

– Musisz ich pilnować – mówił z przerwami, chrapliwie, jakby miał gorączkę. Nie przestawał się rozglądać. – Nikt nie może ich zobaczyć. Ty też nie! Przysięgnij, że nie będziesz ich oglądać.

– Dobrze, jak chcesz. Przysięgam, okej? Ale dlaczego...

Jednak zanim zdążyła dokończyć pytanie, Thies rozpląnął się w ciemności. Amelie stała jeszcze przez chwilę przed drzwiami i z niedowierzaniem kręciła głową. Nie potrafiła sobie wytłumaczyć, co sprowokowało przyjaciela do takiego zachowania. No cóż, pomyślała. Thies jest, jaki jest. I nie da się tego zmienić.

*

COSIMA LEŻAŁA na kanapie w salonie. Zasnęła głębokim i twardym snem, a pies wykorzystał sytuację i zwinął się w kłębek w zagięciu jej kolan. Kiedy Bodenstein wszedł do pokoju, zwierzę nie podniosło nawet głowy, tylko delikatnie poruszyło końcówką ogona. Oliver zatrzymał się i przez chwilę spoglądał na ten sielankowy obraz. Cosima delikatnie chrapała. Okulary zsunęły jej się z nosa, a książka, którą wcześniej czytała, leżała rozłożona na piersi. Każdego innego dnia podszedłby do niej, przyklęknął obok i obudził delikatnym pocałunkiem; ostrożnie, by jej nie przestraszyć. Dziś jednak wyrósł między nimi mur, którego nie mógł i nie chciał przekraczać. Czułość, która wypełniała go zawsze na widok żony, tym razem – ku jego zaskoczeniu – w ogóle się nie pojawiła. Nadszedł chyba czas, by zagrać w otwarte karty, bo, prędzej czy później, konfrontacja była nieunikniona, jeśli nie chciał, by nieufność zniszczyła małżeństwo. Tak naprawdę powinien ją złapać za ramiona, szarpnięciem wyrwać ze snu i zapytać, dlaczego go okłamała. Jednak przeszkodą okazało się jego tchórzliwe pragnienie spokoju i strach przed poznaniem prawdy, której prawdopodobnie nie potrafiłby znieść. Odwrócił się na pięcie i wyszedł do kuchni. Pies uznał, że to oznaka zbliżającego się posiłku i zeskoczył z kanapy. Nagły ruch zbudził Cosimę. Kobieta stanęła w progu kuchni i zaspanymi oczyma przyglądała się, jak Bodenstein wyjmuje jogurt z lodówki.

– Cześć – powiedział, kiedy ją zauważył.

– Zasnęłam, czytając – odpowiedziała.

Zamieszał jogurt, obserwując ją ukradkiem. Zupełnie nieoczekiwanie zauważył zmarszczki na jej twarzy. Wcześniej nie zwrócił na nie uwagi. Na dodatek skóra na szyi wyraźnie traciła sprężystość,

a pod oczyma robiły jej się worki. Wyglądała na swoje czterdzieści pięć lat. Czyżby wraz ze zburzonym zaufaniem odszedł sposób, w jaki na nią patrzył?

– Dlaczego dzwoniłeś na stacjonarny do biura, a nie prosto na komórkę? – zapytała niby mimochodem, sama szukając w lodówce czegoś dla siebie.

– Nie wiem, tak jakoś wyszło – skłamał, starannie wyskrobując jogurt z kubeczka. – Pewnie odruchowo wybrałem zły numer, a potem już o tym nie myślałem. To nie było nic ważnego.

– W porządku. Akurat wtedy wyskoczyłam do centrum handlowego po kilka rzeczy. – Cosima zamknęła lodówkę i ziewnęła. – Kira zajęła się małą. Wiesz, bez Sophii zakupy idą znacznie sprawniej.

– Święta racja – potaknął i wyrzucił pusty kubeczek. Chwilę później pomyślał, że może powinien ją zapytać, co takiego kupiła, bo nie wierzył w ani jedno słowo, jakie wypowiedziała. I nagle zrozumiał, że już nigdy jej nie uwierzy.

*

AMELIE UKRYŁA rulon z obrazami Thiesa w szafie na ubrania, po czym z powrotem usiadła przed komputerem. Tyle że nie mogła się skupić na tym, co robiła wcześniej, bo miała wrażenie, jakby obrazy wołały do niej z zamknięcia: Obejrzyj nas! No chodź, rozwiń papier i nas obejrzyj! Wyjmij nas stąd!

Odwróciła się na krześle i wbiła wzrok w szafę. Opanowały ją wyrzuty sumienia. Na dworze rozległ się trzask zamykanego samochodu.

– Jesteśmy! – krzyknął ojciec z korytarza.

Amelie zeszła na kilka chwil na parter, żeby przywitać się z ludźmi, u których mieszkała. Mimo że Barbara i jej dwa małe szkraby przyjęły ją bardzo serdecznie, do dzisiaj nie mogła się przemóc, by choć w myślach nazywać ich swoją rodziną. Potem wróciła na górę do swojego pokoju i położyła się na łóżku. Myślała. Gdzieś obok usłyszała szum splukiwanej wody. Co mogły przedstawiać te obrazy? Thies malował zazwyczaj abstrakcyjne rzeczy. Z wyjątkiem tego superportretu, który widziała dwa dni temu, jego obrazy były raczej niezrozumiałe. No dobrze, dlaczego w takim razie chciał, żeby je koniecznie schowała? Zachowywał się, jakby to było dla niego cholernie ważne. Wciąż słyszała w głowie jego nalegania, że ma je ukryć i za żadne skarby nikomu nie pokazywać. Już samo to było wyjątkowe i dziwne.

Amelie poczekała, aż w domu zapanuje cisza. Potem wstała, podeszła do szafy i wyjęła z niej obrazy. Rulon był dość ciężki, co oznaczało, że zawierał nie jedno czy dwa płótna, a dużo więcej. Nie pachniały już świeżą farbą. Ostrożnie rozplątała kilkanaście supełków. Wewnątrz znajdowało się osiem stosunkowo niewielkich obrazów. Wszystkie były całkowicie inne niż dotychczasowe prace Thiesa, zupełnie w innym stylu. Postaci zostały przedstawione wyjątkowo starannie, ze wszystkimi detalami i... Amelie znieruchomiała. Dopiero po dłuższej chwili ochłonęła na tyle, żeby

przyjrzeć się uważniej pierwszemu z nich. Niespodziewanie poczuła ciarki na plecach i zimne dreszcze wstrząsnęły jej ciałem. Serce zaczęło walić jak oszalałe. Przed wielką stodołą z szeroko otwartymi wrotami dwóch chłopaków nachylało się nad leżącym na ziemi ciałem młodej dziewczyny o blond włosach z głową w kałuży krwi. Inny chłopiec z ciemnymi lokami stał obok, a jeszcze jeden biegł, jakby wprost na nią, a jego twarz wykrzywiało paniczne przerażenie. Tym czwartym chłopakiem był... Thies! Pospiesznie przerzuciła pozostałe malunki.

– O Boże... – wyszeptała pobladłymi wargami.

Stodoła z otwartymi wrotami, obok nieco niższa stajnia o płaskim dachu, te same postaci. Thies siedzi obok stodoły, chłopiec z ciemnymi lokami stoi w otwartych drzwiach stajni i zagląda do środka budynku. Jeden z chłopaków gwałci blondynkę, drugi ją przytrzymuje. Znow stodoła. Inna dziewczyna, ma długie czarne włosy i krótką sukienkę w kolorze błękitu nieba. Całuje się z dorosłym mężczyzną. On trzyma dłoń na jej piersi, a ona nogą obejmuje jego udo. Obraz jest nieprawdopodobnie realistyczny. W tle widać ciemną stodołę, a w jej cieniu schowany chłopiec z lokami, którego widziała na poprzednich obrazach. Malunki przypominały fotografie; Thies oddał na nich każdy szczegół, kolory ubrań, łańcuszek dziewczyny, napisy na koszulkach... niesamowite! Amelie uświadomiła sobie, że uwiecznione na nich sceny musiały rozegrać się na podwórzu domu Sartoriusów. I... i musiały mieć miejsce we wrześniu 1997 roku. Dziewczyna rozprostowała ostatni obraz i zamarła. W domu panowała taka cisza, że słyszała szum krwi w żyłach. Obraz przedstawiał mężczyznę, który całował się z czarnowłosą dziewczyną z poprzednich malunków. Znała go. Bardzo dobrze go znała.

PIĄTEK 14 LISTOPADA 2008

Dzień dobry. – Gregor Lauterbach skinieniem głowy przywitał sekretarkę Ines Schürman Liedtke i przestąpił próg przestronnego gabinetu w siedzibie ministerstwa oświaty przy Luisenplatz w Wiesbaden. Pobieżna lektura kalendarza zapowiadała na dziś bardzo napięty plan. O ósmej spotkanie z sekretarzem stanu, na dziesiątą wystąpienie, na którym planował przedstawić projekt budżetu na kolejny rok. W południe wygoszparował godzinę na obiad z delegacją nauczycieli z Winsconsin, amerykańskiego stanu partnerskiego Hesji. Na biurku czekała już poczta w kolorowym skoroszycie, jak zwykle starannie posortowana według wagi spraw, których dotyczyła. Na początek pisma, które czekały na jego podpis. Lauterbach rozpiął marynarkę i usiadł za biurkiem, by szybko załatwić najważniejsze sprawy. Za dwadzieścia ósma. Sekretarz stanu pojawi się jak zwykle punktualnie.

– Pańska kawa, panie ministrze. – Ines Schürmann-Liedtke weszła do gabinetu i postawiła przed nim filiżankę parującego naparu.

– Dziękuję. – Uśmiechnął się do niej. Ines była nie tylko inteligentną i wyjątkowo sprawną sekretarką, ale mogła się też pochwalić wyjątkowo miłą powierzchownością: długie, ciemne włosy, wielkie oczy i gładka, jasna skóra. Trochę przypominała mu Daniellę, jego żonę. Czasem pozwalał sobie na nieprzyzwoite marzenia, w których Ines grała jedną z głównych ról, lecz nigdy nie posunął się do nieprzyzwoitych zachowań wobec podwładnej. Kiedy przed dwoma laty obejmował urząd ministra, miał prawo do wymiany całej obsady biura i zastąpienia jej swoimi ludźmi, lecz akurat ona przypadła mu do gustu. Zachowanie stanowiska spłacała absolutną lojalnością i niewiarygodną pracowitością.

– Wspaniale dzisiaj pani wygląda, Ines – powiedział i upił łyk kawy. – W zielonym jest pani do twarzy.

– Dziękuję, panie ministrze. – Uśmiechnęła się zadowolona z komplementu, ale szybko odzyskała profesjonalny spokój.

Przeczytała mu listę dzwoniących, którzy prosili o kontakt, a Lauterbach słuchał jej jednym uchem, jednocześnie podpisując przygotowane wcześniej listy. Słyszając kolejne nazwiska, potakiwał lub kręcił przecząco głową. Kiedy skończyli, Ines podsunęła mu posegregowaną korespondencję i zostawiła samego. Minister zabrał się za jej przeglądanie. Spośród wszystkich kopert jedynie cztery zostały zaadresowane bezpośrednio do niego i tych sekretarka nie otworzyła. Podniósł z biurka nóż do listów i rozciął je. Pierwszy odłożył na bok po przeczytaniu kilku linijek, podobnie drugi. Ale kiedy spojrzał na treść trzeciego, niemal się zakrztusił: *Jeśli dalej będziesz trzymał gębę na kłódkę, nic się nie stanie. A jeśli nie, policja się dowie, co zgubiłeś wtedy w stodole – tam, gdzie posuwałes nieletnią uczennicę. Serdeczne pozdrowienia od Królowy Śnieżki.*

Lauterbachowi zabrakło tchu i nagle zaschło mu w gardle. Patrzył przerażony na drugą kartkę, która wysunęła się z koperty. Było to zdjęcie, na którym rozpoznał pęk kluczy. W jednej chwili krew w jego żyłach zmieniła się w lód, a czoło pokryło potem. To nie był dowcip. Myśli gnały w jego głowie jak oszalące. Kto mógł to napisać? Kto mógł wiedzieć o chwilach słabości? O tym, że uległ pokusie? I dlaczego, do jasnej cholery, otrzymał ten list akurat teraz?! Gregor Lauterbach miał wrażenie, że serce zaraz połamie mu żebra. Przez jedenaście długich lat udawało mu się wypierać z głowy tamte wspomnienia. A teraz wróciły wbrew jego woli, świeże i wyraźne, jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj. Wstał i podszedł do okna. Wyjrzał na zewnątrz, na pusty plac poniżej. Robiło się coraz jaśniej, choć zapowiadał się kolejny ponury listopadowy dzień. Nabrał głęboko powietrza i powoli je wypuścił. Żeby tylko nie dać się sprowokować! W jednej z szuflad trzymał zużyty notatnik, w którym od lat zapisywał numery telefonów. Kiedy sięgał po słuchawkę, zauważył ze złością, że trzęsą mu się ręce.

*

SEKATY STARY DĄB stał w przedniej części dużego parku, niecałe pięć metrów od muru otaczającego posesję. Wcześniej ani razu nie zwróciła uwagi na ukryty wśród gałęzi drewniany domek, pewnie dlatego, że latem korona drzewa ukryta była w liściach. Wejście do środka w sukience mini i w pończochach nie należało do najłatwiejszych zadań, tym bardziej że omszałe szczeble były śliskie od padającego przez kilka ostatnich dni deszczu i nie budziły zaufania. Miała nadzieję, że Thiesowi nie przyjdzie do głowy akurat teraz wychodzić z atelier. Natychmiast by się zorientował, po co tu przyszła. W końcu dotarła do końca drabinki i na czworakach weszła do domku, przypominającego myśliwską ambonę. Potem ostrożnie wstała z kolan i rozejrzała się po wnętrzu. Pod jedną ze ścian dostrzegła drewnianą ławkę. Usiadła na niej i wyjrzała przez frontowe okno. Bingo! Z kieszeni wydobyła iPoda, uruchomiła go i wyświetliła na ekranie zdjęcia obrazów Thiesa, które sfotografowała jeszcze poprzedniej nocy. Perspektywa zgadzała się w stu procentach. Z miejsca, w którym siedziała, roztaczała się wspaniała panorama obejmująca połowę wsi, w tym górną część gospodarstwa Sartoriusów, włącznie ze stodołą i stajnią. Gołym okiem widziała wszystkie szczegóły. Jeśli jeszcze wziąć pod uwagę, że drzewo przy tylnej bramie jedenaście lat temu musiało być znacznie niższe, nie miała wątpliwości, że siedzi na tym samym miejscu, z którego autor obrazów obserwował tamte sceny. Zapaliła papierosa i oparła nogi o drewnianą ścianę. Kto to był? Nie Thies, bo przecież rozpoznała go na trzech obrazach. Może ktoś, kto tu siedział, zrobił zdjęcia, a on je znalazł i dopiero na ich podstawie zaczął malować? Jeszcze bardziej intrygowało ją pytanie, kim były pozostałe osoby na malunkach. Laura Wagner i Stefanie „Królowna Śnieżka” Schneeberger na pewno. Nie miała też wątpliwości, że znała mężczyznę, który w stodole obściskował się ze Stefanie. A pozostali? Zamyślona zaciągnęła się głęboko papierosem. Nie wiedziała, jak

powinna teraz postąpić. Co zrobić z tą wiedzą? Policja nie wchodziła w rachubę. Wolała nie pamiętać o przykrych doświadczeniach z kontaktów z nimi w przeszłości; funkcjonariusze mieli swój udział w zesłaniu jej do tej zapyziałej dziury, do biologicznego ojca, z którym przez ostatnie dwanaście lat łączyły ją tylko kartki na Boże Narodzenie i urodziny. Inne wyjście? Powiedzenie o tym rodzicom równało się zgłoszeniu sprawy na policję, bo zaraz by tam pobiegli. Czyli oni też odpadają. Nagle jej uwagę przyciągnął ruch w obejściu Sartoriusów. Tobias wszedł do stodoły i niewiele później rozległo się terkotanie starego traktora. Pewnie chce wykorzystać lepszą pogodę, żeby dokończyć sprzątanie. A co by się stało, gdyby o obrazach powiedziała... właśnie jemu?

*

MIMO ŻE NADINSPEKTOR Engel kilkakrotnie dała jej do zrozumienia, że nikt nie zamierza otwierać na nowo sprawy podwójnego morderstwa sprzed jedenastu lat, Pia nie przerwała przeglądania akt zgromadzonych w szesnastu skoroszytach. Miała nadzieję, że taka praca pozwoli jej oderwać myśli od złowroźnie brzmiącego pisma z nadzoru budowlanego. Oczywiście wyobraźni widziała już swój nowy dom i urządziła wnętrza, by uczynić z niego przytulne, ale gustowne gniazdko, o którym zawsze marzyła. Wiele mebli, które Christoph miał dotychczas u siebie, doskonale wkomponowywało się w jej dekoratorską wizję: podniszczony wiekowy stół, przy którym bez najmniejszego problemu mogło zasiąść dwanaście osób, miękka skórzana sofa z zimowego ogrodu, antyczna szafonierka, filigranowy szeslong... Pia westchnęła. Może jeszcze wszystko potoczy się w dobrym kierunku, urząd wyda zgodę na rozbudowę, a ona będzie mogła zacząć realizować swoje marzenie.

Skoncentrowała się na leżących przed nią aktach. Przejrzała pobieżnie raport i wynotowała sobie z niego dwa nazwiska. Ostatnie spotkanie z Tobiasem Sartoriusem pozostawiło w niej dziwne uczucie. Czy to możliwe, że przesiedział jedenaście lat w więzieniu za kogoś innego? Czy to w ogóle możliwe, że cały czas mówił prawdę, kiedy się zarzekał, że nie on zamordował te dziewczyny? Takie odkrycie byłoby brzemiennie w skutki. Nie dość, że prawdziwy morderca mógłby pozostawać wciąż na wolności, to niesprawiedliwy wyrok kosztował Tobiasa dziesięć lat życia, a jego ojcu odebrał wszystko, do czego doszedł. W notatniku, obok nazwisk i swoich przemyśleń, zaczęła szkicować plan wioski. Kto gdzie mieszkał? Kto z kim się przyjaźnił, a kogo nie lubił? Na pierwszy rzut oka Tobias Sartorius i jego rodzice byli bardzo poważanymi ludźmi. Jednak wystarczyło poczytać zeznania innych mieszkańców, by zauważyć zawiść wyczierającą spomiędzy linijek. Tobias był wyjątkowo przystojnym młodym mężczyzną, a przy tym nie brakowało mu inteligencji, zapału i życzliwości. Wszystko to wróżyło mu wspaniałą przyszłość. Nikt nie potrafił powiedzieć o nim złego słowa – był najlepszy w klasie, miał osiągnięcia sportowe i wyjątkowe powodzenie u dziewcząt. Pia znalazła kilka zdjęć. Ciekawe, jak mogli się czuć jego zupełnie przeciętni koledzy, z wyłupiastymi oczami i pryszczami na nosie? Musieli się wciąż z nim porównywać. Bezustannie w jego cieniu; nimi nie zainteresowała się nigdy żadna dziewczyna, chyba że wcześniej uznała, że jest bez szans u Tobiasa.

Czy to nie powodowało ich zazdrości? Może z czasem stali się wręcz zawistni? A potem nieoczekiwanie los się do nich uśmiechnął i dał szansę na odpłacenie za te wszystkie przemilczane krzywdy: *...tak, Tobiasz bywał strasznym raptusem...* – zeznał jeden z jego najlepszych kumpli. *Szczególnie kiedy sobie wypił. Wtedy naprawdę mu odbijało.*

Wychowawca scharakteryzował Tobiasza jako wzorowego, ambitnego ucznia, który wiedzę przyswajał z łatwością, ale jednocześnie wypracował w sobie ogromną samodyscyplinę w nauce trudniejszych rzeczy. Samiec alfa, tak pewny siebie, że aż czasem zarozumiał. Do tego szalenie i raptus, bardzo dojrzały jak na swój wiek. Jedynak ubóstwiany przez rodziców. Ale jednocześnie ktoś, kto nie bardzo umie sobie radzić z porażkami i współzawodnictwem. O do diabła, gdzie widziała tę uwagę? Kto tak zeznał? Pia zaczęła z coraz większym zdziwieniem przerzucać kolejne tomy akt. Nigdzie nie mogła znaleźć protokołu z przesłuchań nauczyciela Tobiasza z czasów, kiedy doszło do zaginięcia dwóch nastolatków. Nie było go i już. Odszukała na zawałonym biurku notatki z poprzedniego tygodnia i porównała zapisane wtedy nazwiska ze sporządzoną dzisiaj listą.

– Ale numer... – powiedziała cicho.

– Co takiego? – Ostermann wyjrzał zza swojego monitora, nie przestając przeżuwać.

– W aktach brakuje protokołów z przesłuchań Gregora Lauterbacha w sprawie zaginięcia Stefanie Schneeberger i Laury Wagner – odpowiedziała, dalej kartkując zgromadzone papiery. – Jak to możliwe?

– Pewnie masz je w innym skoroszytcie. – Ostermann wrócił do pracy i do swoich pączków. Niemal bezustannie objadał się tymi słodkimi, tłustymi ciastkami, a Pia od lat nie mogła wyjść z podziwu, jak to możliwe, że wciąż jest szczupły i normalnie się porusza. Ostermann musiał mieć niewiarygodnie sprawną przemianę materii, żeby przetrwać bez szkody dla organizmu te tysiące kalorii, które codziennie trafiały do jego żołądka. Gdyby ona pozwoliła sobie na takie obżarstwo, dawno by już się turlała z miejsca na miejsce, zamiast chodzić.

– Nie – potrząsnęła zdecydowanie głową. – Ich po prostu nie ma. Zniknęły.

– Pia – odezwał się Ostermann z wyjątkową cierpliwością w głosie. – Jesteśmy z policji, a to jest komisariat. Tutaj nikt nie może tak po prostu wejść i ukraść akt przesłuchań z jakiegoś starego skoroszytu!

– Wiem przecież. Ale faktów nie nagniesz, a te wyglądają tak, że protokoły zniknęły. W zeszłym tygodniu je czytałam, a dzisiaj nie ma po nich śladu. – Pia zmarszczyła czoło.

Kogo mogłaby zainteresować taka stara sprawa? Nie widziała najmniejszego powodu, dla którego ktoś miałby kraść zupełnie nieważne stare dokumenty. W tym momencie odezwał się telefon na jej biurku. Podniosła słuchawkę i przez chwilę milczała. W okolicach Wallau z trasy wypadła furgonetka, dachowała kilka razy, a potem zajęła się ogniem. Kierowca był w ciężkim stanie, ale żył,

natomiast w spalonym wraku samochodu znaleziono dwa całkowicie zwięglone ciała. Westchnęła ciężko, zamknęła skoroszyt, poskładała swoje notatki i schowała je do szuflady. Perspektywa dłuższego oglądania miejsca wypadku przy takiej pogodzie nie nastrajała jej optymistycznie.

*

WIATR HULAŁ po wnętrzu stodoły, gwizdał między nieszczelnymi dachówkami i potrząsał bramą, jakby bardzo chciał dostać się do środka. Tobias Sartorius nie zwracał na to wszystko uwagi. Zadzwonił wcześniej do agenta nieruchomości, z którym umówił się na spotkanie w środę w przyszłym tygodniu, żeby przyszedł i dokonał wyceny. Do tego czasu stodoła, obejście i stare stajnie musiały lśnić czystością. Wziął zamach i wrzucił na przyczepę traktora kolejną starą oponę. Do załadowania miał ich jeszcze kilkadziesiąt, starannie ułożonych w narożniku jedna na drugiej. Ojciec używał ich niegdyś do obciążania plandek na słomianych balotach. Dziś nie było już balotów, nie mówiąc o słomie i zwierzętach, więc i stare opony nie przydawały się na nic.

Przez cały dzień prześladował go cień jakiegoś wspomnienia. Tobias niemal odchodził od zmysłów, byleby tylko przypomnieć sobie, co to takiego, lecz za każdym razem zostawał z niczym. Któryś z jego dawnych kolegów rzucił wczoraj wieczorem uwagę, która momentalnie przywołała jakieś skojarzenia, jednak wspomnienie z nimi związane tak skutecznie zaginęło w jego głowie, że choć wiedział, że tam jest, za nic nie potrafił go przywołać. Zdyszany zatrzymał się na chwilę i rękawem otarł pot z czoła. Na plecach i karku poczuł chłodny powiew, a kątem oka zauważył za sobą jakiś ruch. Odwrócił się i drgnął ze strachu. Do stodoły wślizgnęli się trzej ubrani na czarno mężczyźni. Ostatni zamknął bramę i zasunął ciężką, żelazną sztabę. Teraz stali obok siebie i w milczeniu obserwowali go przez szparki kominiarek. W dłoniach w czarnych rękawiczkach trzymali kije bejsbolowe, które nie pozostawiały złudzeń co do celu ich wizyty. Tobias poczuł nagłe uderzenie adrenaliny. Fala gorąca przetoczyła się przez jego ciało. Nie miał wątpliwości, że dwaj z nich wcześniej pobili Amelie, a teraz wrócili, żeby zrobić to, w czym ona im przeszkodziła. Czyli dopaść Tobiasa Sartoriusa. Cofnął się o krok i zaczął gorączkowo myśleć, jak mógłby uciec trójce napastników. W stodole nie było żadnych okien ani nawet tylnego wejścia! Była za to drabinka, prowadząca na górne piętro, przeznaczone do składowania słomy. W niej upatrywał swojej jedynej szansy. Pilnował się, by za żadne skarby nie spojrzeć w stronę drabinki, bo napastnicy zaraz by się zorientowali, co planuje. Mimo rosnącej paniki udało mu się zachować spokój. Musiał dopaść do drabiny, zanim oni dopadną jego. Kiedy dzieliło ich już tylko pięć metrów, puścił się biegiem. W sekundę dopadł pierwszych szczebelków i najszybciej, jak potrafił, zaczął się wspinać. Wtedy kij bejsbolowy trafił go po raz pierwszy. Nie poczuł bólu, jednak lewa noga niemal odmówiła posłuszeństwa. Zaciskając zęby, wspinał się jednak dalej. Zanim zdążył uciec, jeden z napastników złapał go za stopę. Tobias objął drabinę i drugą nogą zaczął kopać na oślep. W końcu usłyszał przytłumiony okrzyk bólu i chwyt zelżał. Wyrwał się prześladowcy i znów ruszył w górę. Nagle jego

dłoń trafiła w próżnię i o mało nie runął na klepisko. Brakowało trzech stopni! Spojrzał w dół. Czuł się jak kot, który na pionowym pniu szuka schronienia przed trzema żądnymi krwi rottweilerami. Jakimś cudem sięgnął do kolejnego szczebelka, podciągnął się i złapał następny stopień. Uderzona noga kołysała się bezwładnie, całkowicie nieprzydatna. W końcu wciągnął się jakoś na platformę do składowania słomy. Dwóch prześladowców wspinało się za nim. Trzeciego nie mógł dojrzeć. Tobiasz rozglądał się gorączkowo. Drabina była przykręcona śrubami do belek, więc nie mógł jej przewrócić! Jak najszybciej pokuśtykał w kierunku miejsca, gdzie dach opadał najniżej, i silnym uderzeniem wybił dachówkę, a potem następną. Co rusz oglądał się przez ramię. Nad krawędzią platformy pojawiła się głowa pierwszego z napastników. Cholera! Otwór w dachu był zbyt wąski, żeby mógł się przez niego wydostać na zewnątrz. Kiedy zrozumiał bezcelowość swoich wysiłków, ruszył biegiem w kierunku otworu w podłodze, przez który widział stojącą kilka metrów niżej przyczepę ze starymi oponami. Nie mając innej drogi ucieczki, odważył się na skok. Jeden z zamaskowanych mężczyzn natychmiast zawrócił, dopadł do drabiny i niczym wielki, czarny pająk zaczął schodzić na dół. Tobiasz zsunął się ze sterty opon na klepisko i po omacku zaczął szukać czegoś, czym mógłby się bronić. W myślach przeklinał swój zapal do porządkowania obejścia, bo w pobliżu nie zostało się nic, co dałoby się użyć przeciwko napastnikom! Serce waliło mu jak oszalałe. Przez ułamek sekundy wagił swoje szanse, po czym postawił wszystko na jedną kartę, zerwał się na równe nogi i rzucił się biegiem.

Dopadli go w chwili, kiedy łapał za rygiel. Uderzenia spadły na ramiona, barki i krzyż. Nogi się poddały i padł na ziemię. Zwinął się w kłębek, by ochronić głowę przed kolejnymi razami. Uderzali go i kopali, nie wydając przy tym żadnych dźwięków. W końcu złapali go za ramiona, przemocą rozłożyli je na boki i zerwali mu z pleców sweter i koszulę. Tobiasz zacisnął zęby, żeby nie jęczeć i nie błagać o litość. Zobaczył, jak jeden z nich wiąże sznurek do wieszania prania i robi z niego pętlę. Jednak niezależnie od tego, jak bardzo się bronił, oni mieli przewagę. Związali mu ręce, nogi, a następnie połączyli więzy za jego plecami. Spętanego w kołyskę przeciągnęli brutalnie gołą klatką piersiową po klepisku i rzucili na przeciwległą ścianę. Potem wcisnęli mu do ust śmierdzącą szmatę i zawiązali oczy. Dusząc się, leżał na podłodze, a serce waliło mu jak oszalałe. Pętla na szyi, przywiązana do nadgarstków i kostek, zaciskała się przy każdym ruchu, utrudniając oddychanie. Tobiasz nasłuchiwał uważnie, ale docierało do niego jedynie wycie wiatru, który ze zdwojoną siłą napierał na ściany i dach stodoły. Czy to znaczyło, że już z nim skończyli? Nie przyszli tu po to, żeby go zabić? Może już ich w ogóle nie ma? Napięcie minimalnie ustąpiło, a mięśnie zwiotczały. Ale ulga, którą poczuł, była złudna. Nagle usłyszał syk i poczuł zapach farby w sprayu. W tym samym momencie czyjaś pięść trafiła go prosto w twarz. Kość nosowa pękła z obrzydliwym trzaśnięciem, które w jego głowie zadudniło niczym strzał z pistoletu. Z oczu popłynęły łzy, a nos wypełniła krew.

Znów poczuł panikę, ale tysiąc razy silniejszą niż poprzednio, bo teraz nic nie widział. Napastnicy zasypali go razami i kopniakami, a w kolejnych sekundach, które ciągnęły się coraz bardziej, zmieniając w godziny, dni i tygodnie, pojawiła się pewność, że przyszli tu po to, żeby z nim skończyć.

*

W GOSPODZIE Pod Czarnym Rumakiem niewiele się działo. Przy stoliku dla stałych gości wciąż były wolne miejsca; brakowało nawet Jörga Richtera, co doprowadzało jego siostrę do szewskiej pasji. Tego wieczoru Jenny Jagielski powinna siedzieć z innymi rodzicami na zebraniu w przedszkolu, ale z powodu nieobecności brata nie mogła się przemóc, by zostawić karczmę na barkach podwładnych – tym bardziej że Roswitha zgłosiła wcześniej, że jest chora. W ten sposób ona i Amelie były jedynymi osobami obsługującymi gości. Zbliżało się wpół do dziesiątej, kiedy w drzwiach do gospody pojawił się Jörg i jego stały kompan, Felix Pietsch. Zdjęli przemoczone kurtki i usiedli przy jednym z bocznych stolików; krótko potem przyłączyło się do nich dwóch innych mężczyzn, których Amelie widywała już nieraz w towarzystwie brata swojej szefowej. Jenny z chmurną miną ruszyła w stronę Jörga, lecz ten odprawił ją kilkoma krótkimi słowami. Korpulentna kobieta zacisnęła usta, obróciła się na pięcie i czerwona ze złości wróciła za bar.

– Przynieś nam cztery piwa i cztery wódki! – zwrócił się Jörg Richter do Amelie.

– Nic mu nie dawaj! – warknęła Jenny Jagielski, nie panując nad sobą. – Ani mi się waż! Co za leniwy gnojek!

– On może tak, ale pozostała trójka to przecież goście – zauważyła trzeźwo Amelie.

– Goście, goście... a zapłacili ci? – syknęła Jenny, a kiedy dziewczyna pokręciła przecząco głową, dodała: – To tacy właśnie z nich goście. To są darmozjady i nic więcej!

Nie minęły nawet dwie minuty, kiedy za bar wmaszerował Jörg Richter i osobiście nalał cztery kufle piwa. Był w złym humorze, jak jego siostra, a ich ostrą, choć prowadzoną szeptem wymianę zdań słychać było z kilku kroków. Amelie męczyła ciekawość, co takiego się wydarzyło. Atmosfera była gęsta od agresji, która zdawała się udzielać wszystkim na sali. Gruby Felix Pietsch był czerwony jak burak, a dwójka pozostałych miała ponure miny. Pojawienie się reszty obsady stolika dla stałych gości wyrwało Amelie z zamyślenia, bo jeszcze w drodze na swoje miejsca zamówili rumsztyki z pieczonymi ziemniakami i jasne piwo. Zdjęli mokre kurtki i płaszcze i usiedli między kompanami. Jeden z nich, Lutz Richter, natychmiast zaczął coś opowiadać. Mężczyźni nachylili się ku sobie i uważnie słuchali. Kiedy dziewczyna zjawiła się w przy stoliku z napojami, Lutz Richter zamilkł i nie powiedział ani słowa, dopóki nie znalazła się poza zasięgiem słuchu. Amelie nie zwróciła jednak uwagi na dziwaczne zachowanie gości, bo jej myśli wciąż krążyły wokół obrazów Thiesa. Może ostatecznie najlepszym rozwiązaniem było zrobić to, o co ją poprosił, i przynajmniej przez pewien czas trzymać buzię na kłódkę?

*

OTWORZYŁ DRZWI i wszedł do środka. Jeszcze w wiatrołapie zdjął przemoczoną kurtkę i zabłocone buty. W lustrze przy wejściu dostrzegł swoje odbicie i odruchowo odwrócił głowę. To, co zrobili, nie było dobre. Nie, w żadnym razie. Jeśli Terlinden się o tym dowie, polecą głowy. Jego pierwsza, a potem pozostałej dwójki. Wszedł do kuchni i otworzył lodówkę. Na półeczce w drzwiach znalazł ostatnią butelkę piwa. Bolały go mięśnie, a jutro na ramionach i nogach pojawiały się siniaki. Chłopak się bronił. Rozpaczliwie się bronił. I wszystko na nic. We trzech mieli po prostu przewagę. Usłyszał kroki.

– I? – Za jego plecami rozległ się głos żony. – Jak wam poszło?

– Zgodnie z planem. – Nie odwrócił się do niej. Z szuflady wyjął otwieracz do butelek i usiadł przy stole. Z syknięciem i głośnym pyknięciem korek zeskoczył z butelki i spadł na podłogę. Przeszedł go dreszcz. Dźwięk był identyczny jak trzask kości nosowej Tobiasa Sartoriusa pod jego pięścią.

– Czy on...? – Specjalnie nie dokończyła zdania.

Odwrócił się i popatrzył na nią uważnie.

– Pewnie tak – odparł. Stary kuchenny stołek zaskrzypiał, kiedy się obracał. Upił łyk piwa. Nie smakowało dobrze. Było zwietrzałe. Pozostali daliby się chłopakowi udusić, ale on tak nie potrafił. Ukradkiem wrócił i wyjął knebel z ust nieprzytomnego. – A nawet jeśli nie, to na pewno dostał solidną nauczkę.

Kobieta uniosła brwi i odwróciła głowę.

– Nauczkę. Ależ jesteście niesamowici! – prychnęła pogardliwie.

Myślał o tym, jak Tobias zareagował na ich widok, bo na jego twarzy pojawił się strach przed śmiercią w najczystszej postaci. Dopiero kiedy zawiązali mu oczy, odważył się przyłączyć do kopania i uderzania. A teraz... wstydził się tego. Nie, to nie było tak, jak powinno być. To było złe!

– Mięczaki i słabeusze – dodała jego żona.

Z wielkim trudem zapanował nad rosnącą wściekłością. Czego od niego oczekiwała? Że go zabije? Sąsiada? Ostatnia rzecz, jaka mogłaby się im tutaj przydać, to tabun węszących wszędzie gliniarzy z tymi ich dziwacznymi pytaniami. Zbyt wiele mieli we wsi tajemnic... tajemnic, które nigdy nie powinny wyjść na jaw.

*

HARTMUT SARTORIUS przebudził się krótko po północy. Telewizor wciąż grał – na ekranie toczyła się akcja jakiegoś horroru – przerażona młodzież biegła w kółko, uciekając przed zamaskowanym psychopata, który i tak ich dopadał i co chwila ciął kolejną ofiarę siekierą lub piłą łańcuchową. Hartmut odszukał po omacku pilota i wyłączył film. Kiedy wstał, rozbolały go kolana.

W kuchni paliło się światło, a na kuchence stała patelnia z kotлетem i ziemniakami. Jedzenie było nietknięte. Spojrzał na zegar i dopiero wtedy uświadomił sobie, jak jest późno. W garderobie brakowało kurtki syna, ale kluczyki do samochodu były na swoim miejscu, na półeczce pod lustrem. Zatem nigdzie nie pojechał. Chłopak przemęcza się tym ciągłym sprzątaniami, pomyślał. Miał ambicję, by gospodarstwo lśniło, kiedy w przyszłym tygodniu pojawi się agent nieruchomości. Hartmut zgadzał się z każdą propozycją syna, lecz wiedział, że koniecznie będzie musiał porozmawiać na ten temat z Claudiuszem, bo sprawa agenta dotyczyła właściwie jego. Koniec końców, to Terlinden był jedynym właścicielem całej ziemi i domu, niezależnie od tego, czy Tobias to akceptował, czy nie. Hartmut Sartorius poszedł do łazienki, a potem usiadł w kuchni przy stole i zapalił kolejnego papierosa. Tymczasem zrobiło się za dwadzieścia pierwsza. Kiedy skończył palić, westchnął ciężko i wyszedł do przedpokoju. Włożył starą kurtkę i otworzył drzwi, po czym wyszedł na dwór, w ciemną, deszczową noc. Ku jego zaskoczeniu nie działał reflektor na narożniku domu, mimo że Tobias ledwie trzy dni wcześniej zamontował tam czujnik ruchu. Przeszedł przez podwórze, rozglądając się uważnie. W stajni i stodole również panowała ciemność. Samochód i traktor stały na swoim miejscu. Czyżby Tobias wyszedł spotkać się z przyjaciółmi? Po omacku odnalazł włącznik światła w stajni. Lampy się nie zapaliły, a jego ogarnęło dziwne uczucie. Miał nadzieję, że nic złego nie spotkało syna, kiedy on wygodnie sobie spał w domu przed telewizorem! Szybko przeszedł do kuchni mlecznej, gdzie były zamontowane szafki z bezpiecznikami. Tam światło działało, bo było podłączone pod obwód domowy. Otworzył skrzynkę. Wskoczyły zabezpieczenia trzech linii. Wcisnął je z powrotem i na dworze momentalnie zrobiło się jasno – zapłonęły reflektory nad wejściem do stajni i do stodoły. Hartmut przemierzył szybkim krokiem podwórze, klnąc pod nosem, kiedy stopą w domowym kapciu natrafił na kałużę.

– Tobias? – krzyknął i zatrzymał się, nasłuchując. Dookoła panowała cisza. Stajnia była pusta i nigdzie nie mógł dostrzec nawet śladu syna. Wiatr targał jego włosami i wciskał lodowate palce pod wątlą kurteczkę. Hartmut drżał. Wcześniejsza burza rozerwała grubą powłokę chmur zasłaniających niebo, a ich pojedyncze strzępki przesuwały się na tle gwiazd gnane porywistym wiatrem. W bladym świetle księżycy trzy duże pojemniki na śmieci ustawione jeden obok drugiego sprawiały wrażenie wrogich czołgów gotowych do ataku. Przeczucie, że coś jest nie w porządku, wzmoгло się, a widok otwartych drzwi do stodoły, którymi wiatr szarpał tam i z powrotem, nie pozostawił złudzeń. Podszedł i spróbował je złapać i zatrzymać, lecz potężny podmuch tchnął w nie życie i nie dały się ujarzmić. W końcu udało mu się wejść do środka i zamknąć drzwi za sobą. Kilka sekund później zgasł reflektor na ścianie, ale to mu nie przeszkadzało, bo znał na pamięć każdy centymetr swojego gospodarstwa. Po ciemku podszedł do włącznika.

– Tobias!

Świelówki zabuczały i zamigotały, a on w tym samym momencie ujrzał czerwone litery

wymalowane sprayem na ścianie. KTO NIE CHCE SŁUCHAĆ, MUSI POCZÓĆ. Najpierw zwrócił uwagę na błąd ortograficzny w napisie, a dopiero później jego wzrok padł na postać zwiniętą na podłodze. Ogarnęło go tak ogromne przerażenie, że zaczął dygotać. Przebiegł przez środek stodoły, padł na kolana i trzęsącymi się dłońmi zaczął sprawdzać, co się wydarzyło. Łzy same popłynęły mu z oczu. Ktoś związał Tobiasowi nadgarstki i kostki razem, a potem połączył je z pętlą na szyi, tak ciasno zadzierzgniętą, że wpijała się w ciało. Syn miał zasłonięte oczy, a jego twarz i nagie ciało nosiły ślady niehumanitarnego pobicia. Musiał tak leżeć od kilku godzin, bo krew z ran i nosa zdążyła zakrzepnąć.

– O Boże! Tobi! Boże... – Drżącymi palcami zaczął rozplątywać więzy. Na nagich plecach syna ktoś tą samą czerwoną farbą wymalował słowo MORDERCA. Dotknął jego skóry i zbladł z przerażenia. Ciało syna było lodowate.

SOBOTA 15 LISTOPADA 2008

Gregor Lauterbach krążył nerwowo po salonie. Wychylił już trzy szklaneczki whisky, lecz tym razem alkohol nie podziałał uspokajająco. Przez cały dzień udawało mu się odsuwać od siebie myśli o anonimie w porannej pocztce, jednak ledwie przekroczył próg domu, dopadł go paniczny strach. Daniela już dawno położyła się do łóżka, więc nie chciał jej przeszkadzać. Przez chwilę rozważał, czy nie zadzwonić do kochanki, by umówić się na spotkanie w ich tajnym mieszkaniu, lecz zaraz porzucił ten pomysł. Sam musiał zmierzyć się z tym wszystkim. Połknął tabletkę nasenną i położył się do łóżka, jednak już o pierwszej ze snu wyrwał go dzwonek telefonu. Rozmowy o tej porze nigdy nie wróżyły niczego dobrego. Przerażony skrył się pod kołdrą. Złany potem i drżąc na całym ciele, odczekał, aż sygnał ucichnie. Daniela odebrała w swojej sypialni, a niedługo potem wymknęła się z domu, po cichu, żeby go nie budzić. Dopiero kiedy usłyszał szcęk drzwi, odważył się wstać i zejść na dół. Zdarzało się już nieraz, że nocą musiała jechać do nagłego przypadku. Nie pamiętał grafiku jej dyżurów. Spojrzał na zegar. Właśnie minęła trzecia nad ranem, a on znalazł się na skraju załamania nerwowego. Wciąż męczyła go zagadka, kto mógł być autorem tego listu? Kto wiedział o nim i jego romansie z Królową Śnieżką? I o zgubionych kluczach! Boże! Tutaj na szali leżała cała jego kariera, szacunek... jego całe życie! Gdyby taki list – albo podobny – wpadł w niewłaściwe ręce, byłby skończony. Prasa tylko czekała na jakąś grubszą aferę. Gregor Lauterbach wytarł spocone dłonie w szlafrok. Nalał sobie kolejną porcję whisky, tym razem potrójną, i usiadł ze szklanką na kanapie. Światło paliło się jedynie w holu wejściowym; w salonie panowała ciemność. Nie mógł powiedzieć Danieli o anonimowym liście. Tak naprawdę już wtedy powinien był trzymać buzię na kłódkę. To ona przed siedemnastoma laty zbudowała dom, w którym mieszkali, i to ona za niego zapłaciła. Ze swoją żalostną pensyjką nauczyciela gimnazjum nigdy nie oszczędziłby dość pieniędzy, żeby wystarczyło na taką willę. W jakiś sposób bawiło ją to, że wzięła pod swoje skrzydła wiejskiego pedagoga i wprowadziła go na salony, między biznesmenów i polityków. Daniela była świetną lekarką, a w Königstein i okolicach mieszkało wielu jej bogatych i bardzo wpływowych prywatnych pacjentów, którzy szybko poznali się na politycznym talencie jej męża. I zaczęli go wspierać. Wszystko, co osiągnął, zawdzięczał żonie. Bolesnie to odczuł, kiedy przed laty niewiele brakowało, a cofnęłaby swoje wsparcie. Nie posiadał się z radości, kiedy mu wybaczyła. Poczuł wtedy bezkresną ulgę. Chociaż miała pięćdziesiąt osiem lat, nadal wyglądała kwitnąco – wciąż się o to martwił. Mimo że od tamtego czasu nie sypiali już ze sobą, kochał Danielę z całych sił. Wszystkie inne kobiety, które przewinęły się przez jego życie i łóżko, nie miały żadnego znaczenia. To były znajomości o charakterze czysto cielesnym. Nie chciał stracić Danieli. Nie, nie mógł sobie pozwolić, by ją stracić! Pod żadnym pozorem! Zbyt wiele wiedziała o nim, o jego słabościach, jego kompleksie niższości i napadach panicznego strachu, nad którymi zapanował

dopiero niedawno. Lauterbach skulił się, kiedy w zamku drzwi wejściowych szczęknął klucz. W końcu wstał i powłócząc nogami, wyszedł żonie na spotkanie.

– Nie śpisz – stwierdziła ze zdziwieniem.

Była bardzo spokojna, niemal rozluźniona; jak zawsze zresztą. On natomiast czuł się jak żeglarz na rozkołysanym morzu, który gdzieś daleko dostrzegł światło latarni.

Popatrzyła na niego uważnie i pociągnęła nosem.

– Piłeś. Czy coś się stało?

Jak dobrze go znała! Nigdy jeszcze nie udało mu się jej zwieść. Usiadł na najniższym schodku.

– Nie mogłem zasnąć – odpowiedział, nie próbując nawet wyjaśnić dlaczego. Zupełnie nagle i z intensywnością, która go przerażała, uświadomił sobie swoją tęsknotę za jej ciepłą, matczyną miłością, za jej dotykiem i pocieszeniem.

– Jak chcesz, podam ci lorazepam – zaproponowała.

– Nie! – Gregor Lauterbach wstał, zatoczył się lekko i wyciągnął ręce w jej kierunku. – Nie chcę łykać żadnych tabletek... chcę tylko... – Przerwał, bo dostrzegł w jej oczach zdziwienie. Naraz poczuł się strasznie żałośnie.

– Tak? Chcesz tylko...?

– Chciałbym dzisiaj w nocy spać obok ciebie, Dani – wyszeptał nieśmiałym głosem. – Proszę...

*

PIA OBSERWOWAŁA KOBIETĘ, która siedziała naprzeciwko niej, po drugiej stronie kuchennego stołu. Odwiedziła Andreę Wagner, by przekazać, że Instytut Medycyny Sądowej zakończył badania szczątków jej córki i wydał zgodę na pochówek. Matka zaginionej sprawiała wrażenie osoby na tyle opanowanej i pogodzonej z faktami, że Pia postanowiła zadać jej kilka pytań dotyczących Laury i jej związku z Tobiasem Sartoriusem.

– Dlaczego to panią interesuje? – Kobieta spojrzała na nią nieufnie.

– Przez ostatnie kilka dni poświęciłam dość dużo czasu na zapoznanie się z aktami tej sprawy – odparła Pia. – I nie mogę się oprzeć wrażeniu, że prowadzone wówczas śledztwo mogłoby być staranniejsze. Kiedy powiedziałam Tobiasowi Sartoriusowi o odnalezieniu ciała Laury, zrobił taką minę, jakby rzeczywiście nie miał o niczym zielonego pojęcia. Tylko proszę mnie źle nie zrozumieć, bo w żadnym razie nie chcę powiedzieć, że uważam go za niewinnego.

Andrea Wagner zamrugła, ale nic nie powiedziała. Przez kilka chwil panowała cisza.

– Przestałam już o tym wszystkim myśleć – odezwała się w końcu. – Dość trudno mieszkać i żyć tu dalej, na oczach całej wioski. Pozostała dwójka moich dzieci musiała wychowywać się w cieniu zmarłej siostry. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, by zapewnić im w miarę normalne dzieciństwo. Ale proszę mi uwierzyć, że to nie jest takie proste, kiedy ich ojciec dzień w dzień upija

się do nieprzytomności w Czarnym Rumaku, bo do dzisiaj nie potrafi zaakceptować tego, co się wydarzyło.

W jej głosie nie było zgorzknienia – mówiła rzeczowo, jakby stwierdzała zwykłe fakty. – Nie zajmuję się tym tematem i nie chcę o tym myśleć. Inaczej już dawno bym zwariowała i musielibyśmy zwinąć interes. – Wskazała dłonią na stos papierów na biurku. – Niezapłacone rachunki, ponaglenia... jeżdżę do pracy do supermarketu w Bad Soden, żeby nie dopuścić do zlicytowania domu albo stolarni. Albo żeby nie skończyć jak stary Sartorius. Jakoś muszę dawać sobie radę i patrzeć w przyszłość. Nie mogę sobie pozwolić na rozpamiętywanie tego, co było. Mój mąż niestety tym się zajmuje.

Pia nie odpowiedziała. Nie po raz pierwszy widziała, jak jakieś tragiczne wydarzenie zmienia życie całej rodziny, niszczy równowagę i wszystko, co dotychczas zbudowali jej członkowie. Ile siły musieli mieć w sobie ludzie pokroju Andrei Wagner, by dzień po dniu wstawać rano i zmagać się z rzeczywistością, bez nadziei na poprawę? Czy w jej życiu pozostało cokolwiek, co by ją cieszyło?

– Tobiasa znam praktycznie od urodzenia – mówiła dalej Andrea Wagner. – Przyjaźniliśmy się z jego rodzicami, bo dawniej cała wieś była bardzo zżyta. Mój mąż był dowódcą sekcji w ochotniczej straży pożarnej i trenerem w młodzieżowym klubie sportowym, a Tobias najlepszym napastnikiem w jego drużynie. Manfred zawsze powtarzał, że jest z niego bardzo dumny. – Przez jej bladą, wymęczoną twarz przemknął słaby uśmiech, ale natychmiast zgasł. Westchnęła ciężko. – Nikt by nie uwierzył, że jest zdolny do czegoś takiego. Ja z początku też nie wierzyłam, że to on. Ale nie da się zajrzeć komuś innemu do głowy i zobaczyć, co się tam dzieje, prawda?

– Święta racja, to niemożliwe – potaknęła Pia.

Rodzina Wagnerów przeżyła potworną tragedię, a ona za żadne skarby nie chciała rozdrapywać zabliznionych już ran. Tak na dobrą sprawę, nie miała nawet podstaw, by zadawać pytania na temat tamtych wydarzeń. Tylko że nie potrafiła wyzbyć się dręczących ją wątpliwości.

Pożegnała się grzecznie i wyszła z domu. Przecięła zaniedbane podwórze i ruszyła w stronę samochodu zaparkowanego przy krawężniku. Z wnętrza warsztatu dobiegał ryk piły do drewna. Pia zatrzymała się w pół kroku, po czym zawróciła i weszła do środka. Uznała, że również Manfredowi Wagnerowi powinna przekazać informację o wydaniu zgody na oddanie rodzicom odnalezionych szczątków córki, by mogli w końcu ją pochować i zamknąć ten rozdział życia. Może to mu pomoże dźwignąć się na nogi? Stał tyłem do niej przy pile tarczowej i ciął jakąś deskę. Kiedy silnik maszyny przestał wyć, Pia chrząknęła głośno. Mężczyzna nie używał słuchawek ochronnych, na głowie miał starą, brudną czapkę z daszkiem, a w kąciku ust trzymał niedopałek. Spojrzał na nią nieprzychylnie, po czym sięgnął po kolejną deskę. Kiedy się schylił, luźne spodnie zjechały mu do połowy pośladków, narażając policjantkę na niechciany widok niezbyt estetycznego, owłosionego przedłużenia męskich pleców.

– Czego pani chce? – warknął. – Mam robotę.

Manfred Wagner nie golił się od czasu, kiedy była tu po raz ostatni, i zapewne też nie mył, bo jego ubranie rozsiewało nieprzyjemny smród zastałego potu. Pia zadrżała z obrzydzenia i odruchowo cofnęła się o krok. Co musiała czuć jego żona, zmuszona do dzielenia życia z kimś tak niechlujnym? Znajdowała w sobie coraz więcej współczucia dla Andrei Wagner.

– Dzień dobry, właśnie rozmawiałam z pana żoną, ale uznałam, że najlepiej będzie, jeśli osobiście przekazę panu tę wiadomość – zaczęła policjantka.

Wagner wyprostował się i spojrzał na nią.

– Instytut Medycyny Sądowej... – zaczęła i zamilkła. Czapka z daszkiem! Broda! Nie miała najmniejszych wątpliwości. Mężczyzna, którego miała przed sobą, był osobą ze zdjęć z kamery monitoringu na stacji kolejowej.

– Co jest? – Patrzył na nią z mieszaniną obojętności i agresji, jednak po chwili zbladł jak ściana. Pia miała wrażenie, że jakimś cudem dotarło do niego, o czym myślała. Cofnął się niezgrabnie, a na jego twarzy odmalowały się żal i wyrzuty sumienia.

– To był... to był wypadek – wymamrotał i uniósł obie ręce, jakby chciał się przed czymś obronić. – Przysięgam, że tego nie chciałem... nie chciałem, żeby spadła. Chodziło mi tylko o rozmowę... naprawdę!

Pia nabrała głęboko powietrza. Okazało się zatem, że miała rację: musiał istnieć związek między sprawą zepchnięcia Rity Cramer z mostu a wydarzeniami sprzed jedenastu lat!

– Ale... ale... to było tak, że kiedy usłyszałem, że ten... że ten zaszary morderca wychodzi na wolność i ma chęć wrócić tutaj, do Altenhain... to wtedy wszystko zaczęło się we mnie kotłować. Ritę przecież dobrze znałem. Byliśmy przyjaciółmi... zanim to się stało. Wcześniej. Chciałem tylko z nią porozmawiać... wytłumaczyć... miała zadbać, żeby chłopak zniknął stąd jak najszybciej... ale jak zacząłem mówić, to ona uciekła... a na górze mnie uderzyła i kopnęła... a potem nie wytrzymałem i się strasznie wkurzyłem...

Przerwał.

– Czy pana żona wiedziała? – zapytała Pia.

Wagner potrząsnął milcząco głową i skrył głowę w ramionach.

– Na początku nie. Ale potem zobaczyła zdjęcie...

Andrea Wagner musiała rozpoznać męża – tak samo jak każdy w Altenhain. Ale wszyscy milczeli, żeby go chronić. W końcu był mężem, sąsiadem i znajomym, który w strasznych okolicznościach stracił córkę. Może inni uważali, że to w jakiś wypaczony sposób rodzinę Sartoriusów spotkała sprawiedliwość, a los wyrównał krzywdy, których sprawcą był ich syn.

– I naprawdę wydawało się panu, że ujdzie to panu na sucho, bo pozostali mieszkańcy będą

milczeć? – Momentalnie straciła dla niego całe współczucie.

– Nie – wyszeptał. – Ja... ja chciałem pójść na policję...

Nagle poczuł strach i złość. Z całej siły wyrznął pięścią w deskę, którą zamierzał pociąć.

– Ten pieprzony morderca odsiedział swoją karę, a moja Laura jest martwa! I nigdy już nie będzie żywa! Kiedy próbowałem porozmawiać z Ritą, nie chciała mnie słuchać. Wtedy straciłem panowanie nad sobą... a poręcze były takie niskie...

*

ANDREA WAGNER stała na podwórzu i z ramionami skrzyżowanymi na piersiach przyglądała się, jak dwóch umundurowanych policjantów prowadzi jej zakutego w kajdanki męża w kierunku radiowozu. Jej twarz nie wyrażała żadnych uczuć. Spojrzenie, jakim go pożegnała, zdradzało, co naprawdę myślała. Tych dwojga nie trzymało już razem nawet przyzwyczajenie, nie wspominając o miłości. Mieszkali pod jednym dachem jedynie ze względu na dzieci, podział codziennych obowiązków i problemy związane z rozwodem. I właściwie nic więcej. Andrea Wagner gardziła swoim małżonkiem, który smutki topił regularnie w alkoholu, zamiast ją wspierać. Pia uważała, że tej bardzo doświadczonej przez życie kobiecie należy się szczerze współczucie. Na dodatek przyszłość rodziny Wagnerów wyglądała tak samo ponuro jak jej przeszłość. Poczekała, aż z podwórza odjedzie radiowóz. Wcześniej o aresztowaniu poinformowała Bodensteina, a szef obiecał, że nieco później wpadnie na komisariat i porozmawia z Manfredem.

Pia wsiadła do samochodu, zapięła pasy i zawróciła. Jechała przez okolicę, gdzie pełno było warsztatów rzemieślniczych, nad którymi górował wielki zakład należący do Terlindena. Za wysokim płotem rozciągał się teren zabudowany halami produkcyjnymi, porozdzielanymi trawnikami i parkingami. Żeby dostać się do głównego budynku, wysokiego biurowca o szklanej fasadzie, trzeba było pokonać szlaban i budkę ze strażnikiem. Na wjazd na teren firmy czekała kolejka ciężarówek. Jedna stała już w środku i była właśnie kontrolowana. Ktoś na nią zatrąbił, bo stanęła przed skrzyżowaniem w kierunku Hofheim. Dźwięk klaksonu wyrwał ją z zamyślenia. W ostatniej chwili zdecydowała się odwiedzić jeszcze rodzinę Sartoriusów. Włączyła drugi migacz i skręciła w lewo.

Po porannej mgle nie został nawet ślad, a dzień był ciepły i słoneczny, jak wspomnienie lata w środku listopada. W Altenhain panował bezruch. Jadąc przez wymarłą wieś, Pia dostrzegła tylko jedną kobietę, akurat wyprowadzającą psy, a potem jeszcze starszego mężczyznę, który opierając się o bramę, rozmawiał z jakąś staruszką. Minęła karczmę Pod Czarnym Rumakiem, puste miejsca parkingowe i kościół, skręciła w prawo i zaraz musiała zahamować, bo wąską ulicą kroczył dostojnie szary kocur. Przed nieczynną już karczmą Hartmuta Sartoriusa parkowało srebrne, nowiutkie porsche cayenne na frankfurckich numerach. Pia zatrzymała się obok, wyłączyła silnik i przez otwartą bramę weszła na podwórze. Po pryzmach śmieci i górach porzewiałego złomu nie pozostał nawet ślad, a i szczury wyprowadziły się w miejsca, gdzie łatwiej było o pożywienie.

Weszła schodkami na podest przed drzwiami do domu i zadzwoniła. Otworzył jej Hartmut Sartorius. Obok niego stała młoda blondynka. Pia nie mogła uwierzyć własnym oczom, kiedy w kobiecie rozpoznała Nadję von Bredow, aktorkę, której twarz stała się popularna w całym kraju i to nie tylko za sprawą ostatniej roli w serialu kryminalnym, gdzie grała młodą i bezkompromisową policjantkę. Ciekawe, co tu robiła?

– Tak, teraz już sobie poradzę – powiedziała aktorka i skinęła na pożegnanie głową, a Hartmut obok tej wysokiej, eleganckiej kobiety wydawał się mniejszy i bardziej złamany przez życie niż w rzeczywistości. – Jeszcze raz dziękuję za telefon. Do zobaczenia.

Spojrzała przelotnie na Pię i odeszła bez słowa. Zaskoczona policjantka odprowadziła ją wzrokiem, po czym zwróciła się do ojca Tobiasa.

– Nathalie jest córką naszych sąsiadów – wyjaśnił Hartmut niepytany, widząc niedowierzanie na twarzy policjantki. – Wychowała się razem z Tobiasem. Razem szaleli w piaskownicy i chodzili do szkoły, a w czasie, kiedy siedział w więzieniu, była jedyną osobą, która cały czas utrzymywała z nim kontakt. Tylko ona.

– Aha... – Pia pokiwała głową. W sumie nawet wielkie aktorki musiały się gdzieś urodzić i wychować, więc dlaczego nie w Altenhain?

– Co mogę dla pani zrobić?

– Zastałam pana syna?

– Nie, poszedł na spacer. Ale proszę, niech pani wejdzie.

Pia ruszyła za Hartmutem Sartoriusem. Zaprowadził ją do kuchni, która, podobnie jak podwórze, sprawiała znacznie lepsze wrażenie niż w czasie ostatniej wizyty. Właściwie ciekawe, dlaczego policjantów zawsze zaprasza się do kuchni?

*

AMELIE SPACEROWAŁA leśną dróżką. Szła zamyślona, z rękoma głęboko w kieszeniach kurtki. Po wczorajszej burzy i całonocnym deszczu dzień był przyjemny i ciepły. Nad sadami owocowymi unosiła się delikatna mgiełka, a spomiędzy chmur wyglądało słońce, malując las jesiennymi barwami. Ostatnie liście, które jeszcze nie opadły na ziemię, mieniły się żółciami, czerwienią i brązem, w powietrzu unosił się zapach żołądki, mokrej ściółki i dymu ogniska, które ktoś rozpałił na jednej z leśnych polan. Dziewczyna, dziecko miasta, rozglądała się zauroczona okolicą i głęboko wdychała świeże, czyste powietrze. Rzadko kiedy czuła się tak wspaniale jak właśnie teraz i z zaskoczeniem musiała przyznać, że życie na wsi miało też swoje dobre strony. W dolinie poniżej wyrastały zabudowania Altenhain. Z daleka miejscowość wyglądała tak miło i spokojnie! Ulicą przejechał czerwony samochód, który z tej odległości przypominał biedronkę, by po chwili zniknąć wśród ciasno stojących domów. Na drewnianej ławce obok starego przydrożnego krzyża siedział

mężczyzna. Kiedy podeszła bliżej, rozpoznała Tobiasza.

– Cześć – powiedziała zaskoczona. Uniósł głowę, a kiedy dostrzegła jego twarz, zaskoczenie ustąpiło miejsca przerażeniu. Prawe oko i policzek zlewały się w jedną wielką granatową kluchę siniaków, opuchnięty nos przypominał rozbitą ziemniak, a rozcięty łuk brwiowy spinał rząd szwów.

– Hej – odpowiedział. Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu. Jego piękne, błękitne oczy błyszczały szkliście, nie mogąc ukryć cierpienia. – Dopadli mnie w końcu. Wczoraj wieczorem. W stodole.

– Nieźle, nie ma co... – Amelie usiadła obok.

Znów przez chwilę panowała całkowita cisza.

– Chyba powinieneś się przemóc i pójść z tym na policję – dodała w końcu.

W jej głosie nie było jednak przekonania.

– Mowy nie ma – zachnął się lekceważąco. – Masz fajki?

Dziewczyna sięgnęła do plecaka i wygrzebała z niego zmietoszoną paczkę i zapalniczkę. Zapaliła dwa papierosy, podała mu jednego, a drugim sama się zaciągnęła.

– Wczoraj wieczorem brat Jenny Jagielski i jego kumpel, taki grubas, Felix, bardzo późno pojawili się w Czarnym Rumaku. Usiedli z dwoma innymi typami przy stoliku w rogu i dziwacznie się zachowywali – wyjaśniła, nie patrząc w stronę Tobiasza. – A jak przy stoliku dla stałych gości zaczęli grać w skata, brakowało starego Pietscha, Richtera i Dombrowskiego. Przyszli dopiero kwadrans przed dziesiątą.

– Hm – mruknął Sartorius tylko i zaciągnął się dymem.

– Może któryś z nich brał w tym udział?

– Raczej na pewno, a nie może – odparł Tobiasz, ale w jego głosie słyhać było obojętność.

– No to... skoro wiesz, kto to był... albo przynajmniej podejrzewasz... – Amelie uniosła głowę i ich oczy się spotkały. Szybko odwróciła wzrok. Znacznie łatwiej było z nim rozmawiać, nie widząc jego spojrzenia.

– Dlaczego w ogóle jesteś po mojej stronie? – zapytał niespodziewanie. – Przez dziesięć lat siedziałem w więzieniu, bo zamordowałem dwie niewinne nastolatki.

Tym razem w jego głosie nie było słyhać zgorzknienia, a tylko zmęczenie i rezygnację.

– A ja spędziłam trzy tygodnie w policyjnej izbie dziecka, bo skłamałam dla znajomego. Jak gliny znalazły skręta, to powiedziałam, że to mój – wyjaśniła dziewczyna.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że nie wierzę, że zamordowałeś.

– To bardzo miło z twojej strony. – Tobiasz pochylił się i, wykrzywiając twarz z bólu, oparł łokcie na kolanach. – Ale muszę ci przypomnieć, że miałem proces, w czasie którego prokuratura

przedstawiła cały szereg dowodów.

– Wiem. Czytałam o tym. – Amelie wzruszyła ramionami.

Zaciągnęła się głęboko dymem, strzepnęła popiół na ziemię i rzuciła niedopałek na łąkę po drugiej stronie szutrowej drogi. Koniecznie musiała mu powiedzieć o obrazach! Nie wiedziała tylko, jak zacząć. Od czego? W końcu zdecydowała się na mały wybieg.

– Czy jak to się stało, we wsi mieszkali już Lauterbachowie? – zapytała.

– Tak. – Tobias potaknął, wyraźnie zaskoczony. – Dlaczego cię to interesuje?

– Bo wiesz, jest taki obraz... – powiedziała Amelie. – A właściwie to nawet nie jeden, tylko kilka. Widziałam je wszystkie i na trzech rozpoznałam Lauterbacha.

Tobias spojrzał uważnie. Był zbity z tropu, ale jednocześnie bardzo zainteresowany.

– No więc chodzi o to, że był ktoś, kto widział wszystko, co się wydarzyło – mówiła dalej dziewczyna po krótkim zastanowieniu. – Thies dał mi obrazy, które...

Niespodziewanie zamilkła. Wąską wyboistą drogą pędził w ich stronę srebrny terenowy samochód. Drobne kamyki strzelały na boki spod szerokich opon, a w następnej sekundzie zazgrzytał żwir i auto zahamowało ostro tuż obok nich. Zza kierownicy wysiadła piękna kobieta o blond włosach. Amelie zerwała się na równe nogi i zarzuciła plecak na ramię.

– Poczekaj! – Tobias zwrócił się w jej stronę i wstał, krzywiąc z bólu twarz. – Co to za obrazy? Co na nich jest? I co Thies ma z nimi wspólnego? Nadja to moja najlepsza przyjaciółka, przy niej możesz mówić całkowicie otwarcie.

– Nie, lepiej nie. Potem pogadamy. – Dziewczyna otaksowała nieznajomą sceptycznym wzrokiem. Kobieta była bardzo szczupła i sprawiała wrażenie wyjątkowo eleganckiej. Obcisłe dżinsy, sweter z szerokim, zwijanym kołnierzem i do tego beżowa marynarka z kłującym w oczy logo drogiego projektanta miały podkreślić to wrażenie. Lśniące jasne włosy nosiła związane w kok, a na gładkiej, symetrycznej twarzy rysował się wyraz zaskoczenia.

– Cześć – przywitała się, podchodząc bliżej. Nieufnym wzrokiem otaksowała Amelie, ale nie poświęciła jej zbyt wiele uwagi, bo szybko dostrzegła, w jakim stanie był Tobias.

– O Boże! Kochanie! Co oni ci zrobili! – Czule pogłaskała go dłonią po policzku. Jej gest sprawił, że dziewczyna poczuła ukłucie zazdrości i niemal natychmiast uznała Nadję za antypatyczną postać.

– Muszę już lecieć. Pogadamy później – pożegnała się pospiesznie i zostawiła ich samych.

*

PIA PO RAZ DRUGI tego dnia zajęła miejsce przy kuchennym stole i grzecznie podziękowała, kiedy zaproponowano jej kawę, po czym opowiedziała Hartmutowi Sartoriusowi o tym, jak Manfred Wagner przyznał się do tego, co zrobił, i na koniec o jego aresztowaniu.

– Jak się czuje pańska była żona? – zapytała na koniec.

– Bez zmian – odparł mężczyzna. – Lekarze nie chcą mówić wprost, więc nawet nie wiem, jakie są rokowania.

Policjantka przyjrzała się jego zmęczonej twarzy o zapadniętych policzkach. Ojciec Tobiasa cierpiał niewiele mniej niż rodzice Laury Wagner, a pewnie nawet bardziej – bo gdy rodzice ofiar mogli liczyć na współczucie, solidarność i wsparcie, rodzice sprawcy byli sekowani wśród lokalnej społeczności i karani za czyn, który popełnił ich syn, a nie oni. Milczenie stało się nieznośne. Pia sama nie wiedziała, dlaczego właściwie zdecydowała się tu przyjechać. Czego oczekiwała po spotkaniu z Sartoriusem?

– Czy przynajmniej teraz ma pan trochę spokoju? Ludzie przestali was nękać? – zapytała, by przerwać ciszę. Hartmut Sartorius parsknął z goryczą. Potem wstał, z szuflady kuchennej komody wyjął pogniecioną karteczkę i podał ją Pii.

– To znalazłem rano w skrzynce na listy. Tobias wyrzucił ją do śmieci, ale ja stwierdziłem, że lepiej chować takie rzeczy.

– *Morderco* – przeczytała Pia. – *Spieprzaj stąd, zanim stanie się coś złego.* Pogrożki – stwierdziła rzeczowo. – Założę się, że nikt się nie podpisał. Mam rację?

– Tak, to oczywiście anonim. – Sartorius wzruszył ramionami i usiadł z powrotem przy stole. – Wczoraj wieczorem Tobias został napadnięty, kiedy pracował w stajni. Strasznie go pobili. – Głos staruszka zadrżał. Mężczyzna walczył, by się nie załamać, lecz łzy i tak wypełniły jego oczy.

– Kto? – natychmiast zapytała Pia.

– Wszyscy. Nie wiem. – Sartorius uniósł bezradnie ręce. – Nie wiem. Tobias mówi, że byli w maskach i bili go kijami do bejsbola. Kiedy... kiedy znalazłem go w stajni, myślałem... na początku byłem pewny, że już go... że nie żyje.

Zagryzł usta i spuścił głowę.

– Dlaczego nie zadzwoniliście natychmiast na policję?

– To by przecież i tak nic nie dało. Tak będzie już zawsze. – Staruszek potrząsnął głową, a jego twarz wyrażała mieszaninę rezygnacji i bezsilności. – Tobias robi wszystko, żeby doprowadzić dom i obojście do jak najlepszego stanu. Ma nadzieję, że uda mu się znaleźć kupca.

– Wie pan – Pia nie wypuszczała z dłoni listu z pogroźkami – dokładnie zapoznałam się z aktami sprawy pańskiego syna i, prawdę mówiąc, zauważyłam w nich kilka nieścisłości. Cały czas łamię sobie głowę, dlaczego adwokat Tobiasa nie złożył wtedy apelacji?

– Z tego, co wiem, to chciał, ale sąd ją odrzucił, albo w ogóle nie rozpatrywał. Zeznania świadków, dowody... wszystko jednoznacznie wskazywało na winę Tobiasa. Nikt nie miał wątpliwości. – Mężczyzna otarł twarz dłonią. Widać było, że brak mu już sił do walki.

– No tak, ale ciało Laury zostało odnalezione – Pia nie dawała za wygraną – a ja wciąż zadaję sobie pytanie, jak pański syn poradził sobie w czterdzieści pięć minut z wyniesieniem jej zwłok z domu, zapakowaniem do bagażnika, przejazdem do Eschborn na nieczynne lotnisko wojskowe i ukryciem ich w podziemnym zbiorniku.

Hartmut uniósł głowę i przyjrzał się jej uważnie. W jego oczach koloru wyblakłego błękitu na ułamek sekundy błysnął promyk nadziei, lecz zgasł równie szybko, jak się pojawił.

– Nie, to na nic. To nie są żadne nowe dowody. Ale nawet jeśli o czymś świadczą, to niczego nie zmieniają, bo dla tutejszych mieszkańców Tobias już na zawsze pozostanie mordercą.

– Może pański syn powinien rozważyć opuszczenie Altenhain? – zasugerowała Pia. – Przynajmniej do czasu po pogrzebie Laury Wagner, kiedy nastroje się nieco uspokoją?

– A niby dokąd miałyby się wyprowadzić? Ja nie mam pieniędzy, żeby mu dać. Tobias też szybko pracy nie znajdzie. Nikt nie zatrudni kryminalisty, nawet jeśli ma ukończone studia.

– Na jakiś czas mógłby się przenieść do mieszkania matki – zaproponowała Pia, ale Hartmut Sartorius zdecydowanie potrząsnął głową.

– Tobias ma trzydzieści lat – wyjaśnił. – Wiem, że chce pani jak najlepiej, ale ja nie mogę mu rozkazywać.

*

– PRZED CHWILĄ miałam prawdziwe déjã vu, kiedy zobaczyłam was razem na ławce. – Nadja potrząsnęła z niedowierzaniem głową.

Tobias usiadł i ostrożnie dotknął palcami opuchniętego nosa. Wspomnienie przerażającego strachu, że to już koniec, ani na chwilę nie opuszczało go od wczorajszego wieczoru i niczym złowróbnny cień zasłaniało słońce. Kiedy zamaskowani napastnicy w końcu zostawili go w spokoju, zaczął żegnać się z życiem. Gdyby jeden z nich nie wrócił i nie wyjął mu z ust knebla, rzeczywiście by się udusił. Wiedział, że nie żartowali. Tobias nie mógł przestać myśleć o tym, jak niewiele dzieliło go wczoraj od śmierci. Obrażenia były wprawdzie bardzo bolesne i wyglądały naprawdę przerażająco, ale nie zagrażały życiu. Ojciec natychmiast zadzwonił do doktor Lauterbach. Lekarka wsiadła w samochód i przyjechała go opatrywać. Zaszyla rozcięty łuk brwiowy i zostawiła opakowanie silnych środków przeciwbólowych. Wydawała się zupełnie nie pamiętać, że w czasie procesu jego słowa wplątały w całą sprawę jej męża.

– Ty nie miałeś takiego wrażenia? – Z zamyślenia wyrwał go głos Nadji.

– Jakiego wrażenia? – zapytał trochę nieprzytomnie.

Jakaż ona była piękna i jak bardzo się o niego troszczyła. Dzisiaj miała być na planie serialu w Hamburgu, ale najwyraźniej uznała, że on jest ważniejszy. Przyjechała, kiedy tylko się dowiedziała. Tak, tak właśnie zachowują się prawdziwi przyjaciele.

– To, że ta mała wygląda jak bliźniaczka Stefanie. Podobne jak dwie krople wody! Niesamowite – wyjaśniła i ujęła go za rękę. Delikatnie, wręcz czule pogłaskała go po wierzchu dłoni. W innej sytuacji byłby zachwycony takim dotykiem, lecz akurat teraz coś sprawiało, że mu przeszkadzał.

– Tak, rzeczywiście... Amelie jest wyjątkowa – odparł spokojnie. – Niesamowicie odważna i dzielna.

Zastanawiał się, jak Amelie udało się przejść do porządku dziennego nad napadem, który przeżyła w jego gospodarstwie. Każda inna dziewczyna uciekłaby zalana łzami i natychmiast powiedziała o wszystkim w domu albo, co jeszcze bardziej prawdopodobne, na policji. Ale nie ona. Nie Amelie. Tylko o czym chciała mu teraz opowiedzieć? I jaki to miało związek z Thiesem?

– Podoba ci się? – Nadja nie przestawała drążyć tematu.

I gdyby nie był tak pogrążony w myślach, jego odpowiedź brzmiałaby bardziej dyplomatycznie.

– Tak – pokiwał głową. – Bardzo ją lubię. Jest taka... inna.

– Inna niż kto? Niż ja?

Wtedy Tobias uniósł głowę i spojrzał na Nadję. Jej mina wyrażała konsternację. Niewiele brakowało, a by się roześmiał, lecz bolesna opuchlizna pozwoliła mu tylko wykrzywić twarz.

– Jest inna niż tutejsi ludzie. Tylko to miałem na myśli. – Ścisnął mocniej jej dłoń. – Amelie ma dopiero siedemnaście lat. Jest dla mnie jak młodsza siostra.

– Więc uważaj, żebyś tymi swoimi błękitnymi oczami nie zawrócił młodszej siostrze w głowie. – Nadja cofnęła dłoń i założyła nogę na nogę, po czym przekrzywiła głowę i przyjrzała mu się uważnie. – Czasem sobie myślę, że nie masz zielonego pojęcia, jak działasz na kobiety.

Jej słowa przypomniały mu o życiu przed więzieniem. Dlaczego wtedy nie zauważył, że u podstaw jej kąśliwych uwag o innych dziewczynach leżała zazdrość?

– Oj, daj spokój – mruknął i machnął lekceważąco ręką. – Amelie pracuje w Czarnym Rumaku i co nieco tam usłyszy przez przypadek. Na przykład natychmiast rozpoznała zdjęcie Manfreda Wagnera na liście poszukiwanych przez policję. Okazało się, że to on zepchnął moją matkę z mostu.

– Słucham?!

– Manfred Wagner zrzucił moją matkę z mostu. To był on. A Amelie twierdzi, że wczoraj napadli na mnie Pietsch, Richter i Dombrowski. Spóźnili się na partię skata i dziwnie się zachowywali.

Nadja patrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Chyba nie mówisz poważnie...

– Wręcz przeciwnie, całkowicie poważnie. Ale posłuchaj dalej. Amelie mówi, że jest ktoś, kto widział wtedy coś, co może przemawiać na moją korzyść. Akurat jak przyjechałaś, opowiadała mi o Thiesie, Lauterbachu i o jakichś obrazach.

– Jeśli to prawda, to... byłoby to... sama nie wiem, po prostu przerażające! – Nadja zerwała się

gwałtownie z ławki i zrobiła kilka kroków w stronę samochodu. Potem odwróciła się i spojrzała na Tobiasa wyraźnie podenerwowana. – Tylko dlaczego ten ktoś tak długo milczał? Dlaczego tyle lat siedział cicho?

– Gdybym tylko wiedział. – Tobias wzruszył ramionami, oparł się i wyciągnął ostrożnie nogi. Każdy ruch poobijanego ciała sprawiał mu straszny ból, i to mimo tabletek. – Amelie musiała na coś trafić... Stefanie wspomniała mi wtedy, że coś ją łączyło z Lauterbachem. Pamiętasz go, prawda?

– Oczywiście, że tak. – Nadja pokiwała zdecydowanie głową, ani na chwilę nie spuszczając z niego oczu.

– Na początku myślałem, że Stefanie to sobie wymyśliła, żeby się popisać, ale tamtego wieczoru, na odpuście, widziałem ich razem, jak stali za namiotem. Właśnie dlatego rzuciłem wszystko w diabły i pojechałem prosto do domu. Byłem... – przerwał, szukając właściwych słów, którymi mógłby opisać, jakie uczucia nim targały, gdy zobaczył tych dwoje razem. Stali wtuleni w siebie, jakby sklejeni, a Lauterbach trzymał dłoń na jej pośladku. Nagła świadomość, że Stefanie zdradzała go z innymi mężczyznami, trafiła go jak grom z jasnego nieba.

– Wściekły? – podsunęła Nadja.

– Nie, nie wściekły – zaprzeczył Tobias. – Nie. Poczułem się raczej... zraniony i smutny. Wiesz, że ja ją naprawdę kochałem?

– A ty wiesz, co by się stało, gdyby to wyszło na jaw? – Nadja zaśmiała się cicho i trochę złowieszczo. – Już widzę te tytuły w gazetach! Minister edukacji pedofilem!

– Naprawdę... naprawdę sądzisz, że byli tak... blisko?

Nadja raptownie przestała się śmiać. W jej wzroku czaiło się coś, czego nie potrafił jednoznacznie zinterpretować. Po chwili wzruszyła ramionami.

– Z pewnością bym tego nie wykluczyła. Ta Królowna Śnieżka totalnie zawróciła mu w głowie. Dał jej przecież główną rolę, choć nie miała za grosz talentu! Wystarczyło, że na nią popatrzył, a już zaczynał się ślinić.

W ten sposób nagle zaczęli roztrząsać temat, którego dotychczas tak starannie unikali. Kiedy Stefanie dostała główną rolę w przedstawieniu, Tobias w ogóle nie był zaskoczony. Już z wyglądu pasowała idealnie do postaci, którą miała zagrać. Przypomnił sobie moment, kiedy po raz pierwszy przyszło mu to do głowy. Dziewczyna wsiadała akurat do jego samochodu. Miała na sobie letnią białą sukienkę, na ustach czerwoną szminkę, a ciepły wiatr poruszał jej włosami. Biała jak śnieg, rumiana jak krew, czarna jak heban – sama tak o sobie powiedziała i roześmiała się radośnie. Dokąd pojechali tamtego wieczoru? Kiedy sobie przypomniął, poczuł drżenie, jakby poraził go prąd. To była właśnie ta myśl, która od kilku dni go prześladowała, a której nie mógł wyraźnie przywołać! *A pamiętacie, jak moja siostra zwinęła staremu pęk kluczy do bramy na lotnisko, a myśmy pojechali do starego hangaru i zrobiliśmy w środku wyścigi?* Te słowa wypowiedział Jörg

w czwartek wieczorem, kiedy pili razem piwo w garażu. Oczywiście, że pamiętał! Tamtego wieczoru też byli razem, a Stefanie namawiała go, żeby jechał szybciej, bo chciała mieć go przez chwilę tylko dla siebie. Ojciec Jörga, Lutz Richter pracował w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w jednostce łączności na wojskowym lotnisku. Potem też odwiedzał te tereny i czasem zabierał ze sobą Jörga i jego siostrę, żeby się pobawili na opuszczonym terenie. Później, kiedy podrośli, urządzali tam w tajemnicy wyścigi samochodowe i imprezy. I właśnie tam zostały znalezione szczątki Laury. Czy to mógł być przypadek?

*

WYRÓSŁ PRZED nią jakby spod ziemi, akurat w momencie, kiedy odwróciła się po raz ostatni, żeby jeszcze raz spojrzeć z oddali na Tobiasa i tę blond zdziwę w drogich ciuchach.

– Cholera, Thies! – krzyknęła przestraszona i ukradkiem otarła dłonią łzy z policzków. – Musisz mnie zawsze straszyć?

Czasem, kiedy uświadamiała sobie, że Thies potrafi pojawiać się i znikać niemal całkowicie bezgłośnie, czuła się naprawdę nieswojo. Dopiero teraz zauważyła, że przyjaciel nie wygląda dobrze. Miał podkrążone, szkliste oczy, trząsł się cały i nerwowo przyciskał ramiona do piersi. Pomyślała, że po raz pierwszy naprawdę wygląda jak wariat, i natychmiast się zawstydzila, że coś takiego w ogóle przyszło jej do głowy.

– Co się z tobą dzieje, Thies? – zapytała.

Chłopak nie odpowiedział, ale też nie przestał rozglądać się nerwowo. Oddychał szybko, chrapliwie, jakby dopiero co przestał biec. Nagle opuścił ramiona, a potem złapał Amelie za rękę, wprowadzając ją w stan osłupienia; nigdy jeszcze czegoś takiego nie zrobił. Nienawidził, gdy ktoś go dotykał; wiedziała, że się tym brzydził.

– Nie obroniłem Królowy Śnieżki – powiedział zachrypniętym, drżącym głosem. – Ale ciebie będę lepiej chronił.

Thies patrzył nerwowo na boki i raz po raz gwałtownie odwracał głowę w stronę lasu, jakby spodziewał się, że właśnie z tamtej strony może nadejść niebezpieczeństwo. Amelie przebiegł dreszcz. Wszystkie części puzzli ułożyły się w jej głowie jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– Widziałeś, co się wtedy wydarzyło, prawda? – wyszeptała.

Chłopak nie odpowiedział. Odwrócił się gwałtownie i pociągnął za sobą, ani na chwilę nie puszczając jej dłoni. Dziewczyna, chcąc nie chcąc, podążyła za nim, potykając się na nierównościach i zahaczając o gałęzie. Kiedy w końcu dotarli do lasu, chłopak zwolnił nieco, lecz nie na tyle, by Amelie poczuła się swobodniej. Za dużo paliła i uprawiała za mało sportu, by za nim nadążyć. Mężczyzna trzymał ją w żelaznym uścisku; wystarczyło, by się potknęła, a natychmiast podrywał ją z powrotem na nogi, zanim zdążyła upaść. Szli pod górkę. Pod ich stopami z trzaskiem strzelały suche

gałązki, a wysoko nad głowami wiatr kołysał czubkami świerków. Nagle Thies stanął. Amelie rozejrzała się, ciężko dysząc, i między drzewami dostrzegła w oddali czerwoną dachówkę willi Terlindenów. Czują, jak pot ścieka jej po twarzy, a każdy oddech wywołuje palenie w płucach. Dlaczego Thies poprowadził ją dookoła posiadłości rodziców? Droga na wprost byłaby przecież znacznie łatwiejsza i na dodatek krótsza. Dopiero teraz ją puścił i ruszył w stronę zardzewiałej wąskiej furtki, ukrytej między drzewami. Kiedy ją otworzył, stare zawiasy zaskrzypiały przeraźliwie. Wszedł do środka, a ona podążyła za nim. Znajdowali się na tyłach oranżerii. Thies znów chciał ją złapać za rękę, lecz tym razem nie pozwoliła.

– Dlaczego biegasz po lesie jak wariat?

Nagle opanowało ją uczucie niepewności. Starła się je przegonić, ale nie mogła, bo Thies zachowywał się zupełnie inaczej niż dotychczas. Zniknęła jego flegma i spokój, którego wcześniej nigdy nie tracił, a kiedy spojrzał jej prosto w oczy, co samo w sobie było wyjątkowe, w jego wzroku było coś przerażającego.

– Jeśli przyrzekniesz, że nikomu nic nie powiesz – odezwał się cichym głosem – pokażę ci moją tajemnicę. Chodź!

Podszedł do oranżerii, spod wycieraczki wydobył klucz, otworzył drzwi i wszedł do środka. Amelie biła się z myślami, czy rozsądniej nie byłoby uciec. Z drugiej strony Thies był przyjacielem i ufał jej. Uznała, że nie ma powodu, by nie miała zachować się tak samo. Weszła do pomieszczenia, które tak dobrze знаła. Starannie zamknął za nią drzwi i się rozejrzał.

– Możesz mi w końcu wyjaśnić, co tu się w ogóle dzieje? – zapytała. – Coś się stało, że się tak zachowujesz?

Thies nie odpowiedział. Przeszedł na drugą stronę oranżerii i odsunął wielką donicę z palmą, po czym uniósł kawał sklejki, na której stała. Amelie, wiedzona ciekawością, podeszła bliżej i z zaskoczeniem dostrzegła ukryte w podłodze wejście. Chłopak otworzył je i odwrócił się do niej.

– Idź! – polecił.

Amelie ruszyła wąskimi, pordzewiałymi schodami, które stromo opadały w ciemność poniżej. Thies ruszył za nią i zamknął drzwi. Po kilku sekundach rozjarzyła się słaba żarówka. Przecisnął się obok dziewczyny, podszedł do masywnych, stalowych drzwi i otworzył je. Uderzyła ich fala ciepłego i suchego powietrza z pomieszczenia, które skrywały. Dziewczyna weszła do środka i się rozejrzała. Nie spodziewała się tak wielkiej piwnicy. Podłogę przykrywał jasny dywan, a ściany miały wesoły, pomarańczowy kolor; pod jedną z nich stał wysoki regał pełen książek, pod drugą kanapa. Tylną część skrywał parawan. Amelie poczuła serce w przetyku. Thies ani razu nie dawał jej do zrozumienia, że oczekuje czegoś więcej niż przyjaźni. Myśl, że miałby ją teraz napaść i zgwałcić, wydała się jej nieprawdopodobna. Poza tym, w razie czego, wystarczyło kilka szybkich kroków i znalazłaby się na schodach, a stamtąd bez problemu uciekłyby na zewnątrz.

– Chodź! – Thies przywołał ją gestem i odsunął parawan.

Oczom Amelie ukazało się staromodne, drewniane łóżko z wysokim, rzeźbionym wezglowiem. Na ścianie ponad nim wisiały idealnie równo rozmieszczone fotografie. Zupełnie w stylu Thiesa, pomyślała.

– Chodź bliżej. Królowa Śnieżka wiele o tobie słyszała.

Dziewczyna zrobiła kilka ostrożnych kroków i z wrażenia zaparło jej dech w piersiach. Z mieszaniną przerażenia i fascynacji spojrzała w twarz mumii.

*

– NIE ROZUMIEM? Co to oznacza? – Nadja podeszła bliżej, przykucnęła i ostrożnie oparła dłonie na jego udach, lecz Tobias odsunął ją zniecierpliwionym gestem i wstał. Przekuśtykał kilka metrów, po czym się zatrzymał. Podejrzenie, które właśnie zrodziło się w jego głowie, było niesłychane!

– Ciało Laury leżało schowane w podziemnym zbiorniku na terenie dawnego lotniska wojskowego w Eschborn – wyjaśnił głuchym głosem. – Musisz pamiętać to miejsce, bo nie raz i nie dwa jeździliśmy tam robić imprezy. Ojciec Jörga miał klucze do bramy.

– Czyli? Co to znaczy? – Nadja ruszyła za nim.

Nic nie rozumiała.

– To, że to nie ja wrzuciłem Laurę do tego zbiornika! Nie ja! – odparł Tobias, wyraziście akcentując każde słowo, a potem zagryzł zęby tak mocno, że aż zazgrzytały. – Cholera! Cholera jasna! – Zacisnął pięści. – Naprawdę chciałbym wiedzieć, co takiego się wtedy wydarzyło! Rodzice stracili wszystko, co mieli, ja przesiedziałem dziesięć lat w pierdłu, a na koniec ojciec Laury zepchnął jeszcze moją matkę z mostu! Więcej już naprawdę nie wytrzymam! – wykrzyczał jej w twarz.

Nadja stała przed nim jak oniemiała.

– Tobi, wyjedź stąd ze mną. Proszę!

– Nie! – odpowiedział ostro. – Jeszcze nic nie rozumiesz? Te skurwysyny tego właśnie by chciały!

– Wczoraj tylko cię napadli i pobili. Co będzie, jak wrócą i wezmą się za ciebie na poważnie?

– Na poważnie, czyli co? Że mnie zamordują? – Tobias spojrzął jej w oczy.

Dolna warga Nadji drżała, jakby kobieta zaraz miała się rozpłakać, a jej wielkie zielone oczy wypełniły łzy. Nie, nie zasłużyła sobie, żeby na nią krzyczał. Jako jedyna trwała przy nim, kiedy siedział w więzieniu. Gdyby jej nie zabronił, odwiedzałyby go. W jednej chwili przeszła mu złość, a jej miejsce zajęły wyrzuty sumienia.

– Przepraszam, nie chciałem... – odezwał się cicho i wyciągnął do niej dłoń. – Nie powinienem był krzyczeć, wybacz.

Objęła go i przytuliła twarz do jego piersi, a on otoczył ją ramionami.

– Pewnie masz rację – wyszeptał, wtulając usta w jej włosy. – Tak czy inaczej, czasu już nie cofnę.

Uniosła głowę i popatrzyła na niego. W jej oczach dostrzegł głęboką troskę.

– Boję się o ciebie, Tobi... – Głos jej drżał. – Nie chcę stracić cię po raz kolejny, nie zaraz po tym, kiedy cię w końcu odzyskałam!

Tobias wykrzywił twarz. Zamknął oczy i przytulił policzek do jej policzka. Gdyby tylko miał pewność, że między nimi zawsze będzie się układało! Nie chciał przeżywać kolejnego rozczarowania. Jeśli miałoby im się nie udać, wołał do końca życia zostać sam.

*

MANFRED WAGNER siedział przy stole w pokoju przesłuchań i wyglądał jak kupka nieszczęścia. Kiedy do środka weszli Bodenstein z Pią, podniósł bojaźliwie wzrok i popatrzył na nich zaczerwienionymi, wodnistymi oczyma.

– Poważnie naruszył pan prawo, i to nie w jednej sprawie, a w kilku – poinformował go Bodenstein zdecydowanym głosem, wcześniej uruchomiwszy dyktafon, by załączyć później nagranie z przesłuchania do protokołu. – Uszkodzenie ciała, napad, spowodowanie katastrofy komunikacyjnej i w zależności od decyzji prokuratury, nieumyślne spowodowanie śmierci albo zabójstwo.

Manfred Wagner zbladł jeszcze bardziej, jeśli to było w ogóle możliwe. Nieprzytomnie patrzył to na Bodensteina, to na Pię i głośno przełykał ślinę.

– Ale... ja... Rita przecież żyje! – wydukał w końcu.

– Tak, zgadza się. – Bodenstein potaknął. – Ona tak, jednak kierowca, na którego samochód spadła, dostał zawału i zmarł na miejscu. Na razie jeszcze ani słowem nie wspomniałem o szkodach materialnych i uszkodzonych autach, które brały udział w wypadku. Jakkolwiek by spojrzeć, ta sprawa będzie miała dla pana wyjątkowo bolesne i dotkliwe konsekwencje. I zachował się pan w najgorszy możliwy sposób, nie zgłaszając się natychmiast na policję.

– Chciałem się zgłosić – zaczął zapewniać płaczącym tonem Wagner. – Tylko że... że wszyscy mi to odradzali.

– Wszyscy? Czyli kto? – zainteresowała się Pia.

Całkowicie straciła współczucie dla tego mężczyzny. Owszem, przeżył ogromną i bolesną stratę, jednak to w żaden sposób nie usprawiedliwiało ataku na matkę Tobiasa.

Wagner wzruszył ramionami, ale nie uniósł wzroku.

– No... wszyscy – wyjaśnił wymijająco.

Tak samo jak kilka godzin wcześniej Hartmut Sartorius zapytany o to, kto mógłby stać za pogrózkami przysyłanymi jego synowi, pomyślała Pia.

– Rozumiem... Zawsze robi pan to, co panu każą wszyscy? – Pytanie zabrzmiało ostrzej, niż

miało, jednak najwyraźniej przemówiło Wagnerowi do wyobraźni.

– Nie macie pojęcia, jak to jest! – wrzasnął. – Moja Laura była wyjątkowa. Zaszłaby w życiu bardzo daleko. Była taka piękna! Czasem, kiedy na nią patrzyłem, nie mogłem uwierzyć, że to moje dziecko. A mimo to musiała umrzeć. Została wyrzucona jak śmieć! Byliśmy szczęśliwą rodziną, akurat przeprowadziliśmy się do nowego domu, na własnej działce, a mój zakład stolarski świetnie prosperował. W Altenhain żyło się nam dobrze i spokojnie, wszyscy wszystkich znali i byli dla siebie serdeczni. Potem... potem zniknęła, ona i jej koleżanka. Okazało się, że zamordował je Tobias Sartorius, kanalia bez serca! Błagałem go, żeby tylko mi zdradził, dlaczego to zrobił, dlaczego mi ją odebrał, dlaczego zniszczył nam życie! Ale on nie pisał słowa.

Zgarbił się i zaczął szlochać. Bodenstein chciał wyłączyć dyktafon, ale Pia dała mu znak, by tego nie robił. Interesowało ją, czy Wagner płacze z bólu po stracie córki, czy tylko uzala się nad sobą?

– Dobra, niech pan skończy już z tym teatrykiem, bo i tak się nie nabierzemy! – powiedziała.

Głowa Manfreda Wagnera podskoczyła gwałtownie do góry, a w jego oczach pojawiło się niedowierzanie.

– Straciłem dziecko... – zaczął trzęsącym się głosem, jednak Pia nie dała mu skończyć.

– Wiem przecież – weszła mu w słowo. – I może mi pan wierzyć, że bardzo panu współczuję. Ale ma pan jeszcze dwójkę dzieci i żonę. Oni wszyscy pana potrzebują. Nie przyszło panu do głowy, co dla pańskiej rodziny będzie oznaczał napad na Ritę Cramer?

Wagner zamilkł, a potem nagle grymas wykrzywił mu twarz.

– Nie macie pojęcia, co przeżywałem przez ostatnie jedenaście lat! – wrzasnął z wściekłością.

– Wiem za to, co musiała przeżywać pańska żona – odparła lodowato Pia. – Straciła dziecko, ale też męża, który potrafił tylko uzalać się nad sobą i upijać do nieprzytomności. I to codziennie! Przez bitych jedenaście lat była pozostawiona samej sobie. Pańska żona walczyła o przeżycie i o byt rodziny! A pan co?

Oczy Wagnera płonęły ze złości. Widać było, że Pia trafiła w czuły punkt.

– Czego pani ode mnie chce, do cholery?

– Kto odradzał panu pójście na policję?

– Przyjaciele.

– Ci sami przyjaciele, którzy nawet nie kiwnęli palcem, kiedy pan zapijał się do nieprzytomności w Czarnym Rumaku? Ci sami, którzy nie reagowali, kiedy rujnował pan życie sobie i swojej rodzinie?

Wagner otworzył usta, ale nie odpowiedział. Za to wściekłość i nienawiść w jego wzroku ustąpiły nagle niepewności. Spuścił głowę.

– Nie dam się wam zastraszyć – oznajmił trzęsącym się głosem. – Bez prawnika nie powiem ani słowa więcej.

Skrzyżował ramiona na piersi i spuścił głowę. Wyglądał jak naburmuszone dziecko. Pia spojrzała na szefa i uniosła znacząco brwi. Bodenstein wyłączył dyktafon.

– Niech pan lepiej jedzie do domu – powiedział.

– To znaczy... że nie jestem... aresztowany? – wychrypiął z niedowierzaniem Wagner.

– Nie, nie jest pan – potwierdził Bodenstein. – Wiemy, gdzie pan mieszka. Prokurator zajmie się panem w odpowiednim czasie, więc tak czy inaczej przyda się panu adwokat.

Powiedziawszy to, otworzył drzwi.

Wagner minął go niepewnym krokiem, wyprowadzany przez dwóch policjantów, którzy byli na miejscu przez całe przesłuchanie. Bodenstein odprowadził ich wzrokiem.

– Przez tę swoją rozlazłość rzeczywiście może w niektórych wzbudzać litość – mruknęła Pia. – Ale tylko w niektórych.

– Dlaczego tak ostro na niego naskoczyłaś? – zainteresował się szef.

– Bo mam przeczucie, że to nie wszystko. W tej sprawie jest drugie dno, którego na razie nie dostrzegamy – wyjaśniła Pia. – Tam się dzieją jakieś dziwne rzeczy, i to nieprzerwanie, od czasu zamordowania Laury i Stefanie. Jestem tego pewna.

NIEDZIELA 16 LISTOPADA 2008

Bodenstein nie miał zbyt wielkiej ochoty na kolejne rodzinne uroczystości, jednak dał się w końcu przekonać, a to głównie dlatego, że zapraszonych było niewielu gości, a przyjęcie miało się odbyć w domu – z okazji dwudziestych piątych urodzin Lorenza. Poprzedniego wieczoru syn z liczną paczką znajomych udał się na imprezę do klubu, którego właściciela znał jeszcze z czasów, kiedy pracował jako didżej. Świątowanie skończyło się wcześniej rano, a niedzielę chciał poświęcić jedynie rodzinie, więc wszystkich zaprosił na wieczór. Przyjechała matka Cosimy z Bad Homburg, rodzice Bodensteina i Quentin z trzema córkami – Marie-Louise była zajęta w restauracji. Pojawiła się także matka Thordis, jego dziewczyny, doktor weterynarii Inka Hansen. Wszyscy goście siedzieli teraz wokół nakrytego białym obrusem stołu, przybranego ze smakiem jesiennymi kwiatami. Maître St. Clair dał swojej najlepszej pracownicy wolne, więc Rosalie przejęła we władanie domową kuchnię i z czerwonymi policzkami, na skraju załamania nerwowego, doglądała swego królestwa, strzegąc go jednocześnie przed intruzami. Efekty jej pracy okazały się fantastyczne: na początek na stół powędrowały pieczone gęsie wątróbki w kremie migdałowym z limonką i krem z rukwi wodnej z marynowanymi owocami morza i przepiórczymi jajami. Natomiast przy daniu głównym Rosalie przeszła samą siebie: comber sarni duszony w groszku, nadziewane chrupiące cannelloni i piure marchewkowe z imbirem były tak doskonałe, że jej szef nie zrobiłby smaczniejszych. Goście przy stole nie szczędzili jej pochwał i zachwyconych spojrzeń, a Bodenstein wziął swoją najstarszą córkę w ramiona, zmęczoną pracą i wyzwaniem, jakiego się podjęła, i przytulił mocno.

– Wiesz, pomyślałem sobie, że jednak cię nie wypuścimy z domu – zażartował i pocałował ją w głowę. – To było coś niesamowitego.

– Dzięki, tato – odparła zmęczonym głosem dziewczyna. – Teraz chętnie napiłabym się czegoś mocniejszego!

– Hm, biorąc pod uwagę, że świętujemy, pozwolę ci na wódkę – zaśmiał się. – Komuś jeszcze nalać...

– My raczej wolelibyśmy szampana – przerwał mu Lorenz i puścił oko do siostry.

Rosalie otworzyła usta, jakby przypomniała sobie o czymś, i popędziła do kuchni, a za nią wymknął się jej brat z Thordis. Bodenstein usiadł na swoim miejscu i wymienił spojrzenia z Cosimą. Przez całe przedpołudnie starał się ją dyskretnie obserwować. Rosalie wyprosiła ich grzecznie z domu około dziesiątej rano, więc pojechali razem w góry Taunus, by, korzystając z ostatnich słonecznych dni, trochę pospacerować. Cosima zachowywała się zupełnie normalnie i wzięła go nawet za rękę, tak jak dawniej. Bodenstein miał coraz większe wątpliwości, czy przypadkiem się nie pomylił, podejrzewając ją o zdradę. Jednak przez cały dzień nie znalazł odwagi, by zapytać żonę o to

wprost.

Rosalie, Lorenz i Thordis wrócili do salonu, niosąc tacę zastawioną kieliszkami z szampanem, i obeszlili stół, podając je biesiadnikom. Nie ominęli nawet trzech nastoletnich kuzynek, co wywołało ich delikatne rumieńce i nerwowe śmiechy. Quentin, pod nieobecność ich surowej matki, przymknął na to oko.

– Kochani – zaczął Lorenz uroczystym głosem. – Wykorzystując okazję, że udało się was tutaj wszystkich zebrać, chcieliśmy z Thordis podzielić się z wami wiadomością, że zamierzamy się pobrać!

Po tych słowach objął narzeczoną ramieniem, spojrzał jej w oczy i oboje uśmiechnęli się z zadowoleniem.

– Właśnie, jeszcze jedna sprawa, tato. – Lorenz spojrzał szybko na ojca i uśmiechnął się szeroko. – Nie musimy się pobierać. To z własnej nieprzymuszonej woli.

– Gratulacje! – krzyknął Quentin.

Zaszurały odsuwane krzesła i wszyscy rzucili się składać młodym życzenia. Bodenstein pierwszy wziął w ramiona syna i przysłał synową. Informacja o ślubie nie była dla niego wielkim zaskoczeniem, jednak nie mógł przestać się dziwić, że chłopak dotrzymał tajemnicy. W pewnej chwili zorientował się, że Cosima patrzy w jego stronę, więc podszedł do niej. Kobieta otarła łzy wzruszenia.

– Widzisz – powiedziała i się uśmiechnęła. – Nawet on w końcu dorósł i się zeni.

– Oj, daj spokój. Prawie osiwiąłem przez jego dotychczasowy styl życia. – Bodenstein pokręcił głową.

Po maturze Lorenz zrobił sobie niepokojąco długą przerwę, zajmując się miksowaniem muzyki w klubach tanecznych i dorywczymi zajęciami w radiu i telewizji. Bodenstein nieraz miał ochotę skorzystać z przywileju należnego ojcu i przemówić mu do rozsądku, lecz Cosima skutecznie hamowała go w tych zapędach, przekonana, że syn pewnego dnia znajdzie swoje miejsce w życiu. I rzeczywiście tak się stało, przynajmniej częściowo, bo obecnie Lorenz moderował trzygodzinny program w prywatnej rozgłośni radiowej, dodatkowo zarabiając bardzo przyzwoite pieniądze jako prowadzący gale, wydarzenia sportowe i różne inne imprezy w całym kraju.

Po chwili wszyscy wrócili na swoje miejsca, a wokół stołu zapanowały radosna atmosfera i odprężenie. Nawet Rosalie opuściła w końcu kuchnię i przysiadła się do gości, sącząc szampana.

– Oliverze. – Matka Bodensteina nachyliła się w jego stronę. – Byłbyś tak dobry i przyniósł mi szklankę wody mineralnej?

– Oczywiście. – Odsunął krzesło, wstał i wyszedł do kuchni, którą jego pracowita córka zdążyła nawet posprzątać.

W spiżarni znalazł skrzynkę, wyjął z niej dwie butelki i ruszył z powrotem. W tym momencie rozległ się sygnał komórki, pozostawionej w kieszeni żakietu na wieszaku obok wyjścia do garażu. Bodenstein znał ten dźwięk. To wiadomość tekstowa w telefonie Cosimy! Przez chwilę walczył z sobą, lecz w końcu nie wytrzymał i tym razem górę wzięła nieufność. Szybko wsunął jedną z butelek pod ramię i zaczął przeszukiwać kieszenie marynarki, którą żona miała wcześniej na sobie. W końcu znalazł jej telefon, otworzył go i odczytał nową wiadomość: **MÓJ SKARBIE, CAŁY DZIEŃ O TOBIE MYŚLAŁEM! OBIAD JUTRO? TAM GDZIE ZAWSZE? TA SAMA GODZINA? JUŻ SIĘ NIE MOGĘ DOCZEKAĆ!** Litery zaczęły rozmazywać mu się przed oczyma i ugięły się pod nim kolana. Rozczarowanie zadziało jak potężny cios w brzuch. Jak ona mogła? Jak mogła być tak fałszywa? Przecież jeszcze dzisiaj trzymała go za rękę i uśmiechała się do niego w czasie wspólnego spaceru! Na pewno się zorientuje, że ktoś odczytał jej SMS-a, bo z ekranu zniknął symbol wiadomości, a w skrzynce odbiorczej pojawiła się kolejna otwarta kopertka. Niemal miał nadzieję, że zapyta go, i w końcu będą musieli porozmawiać. Odłożył telefon do kieszeni żakietu, poczekał, aż serce przestanie mu walić jak szalone i wrócił do salonu. Cosima siedziała przy stole z Sophią na kolanach. Śmiała się i żartowała, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Przez chwilę walczył z chęcią wykrzyczenia jej w twarz, że przed chwilą przeczytał wiadomość od jej kochanka, ale kiedy jego wzrok padł na Lorenza, Thordis i Rosalie, rozmyślił się. To byłoby zbyt egoistyczne, uznał, zniszczyć ich piękny dzień niepotwierdzonymi jeszcze podejrzeniami. Nie pozostało mu nic innego, jak robić dobrą minę do złej gry.

*

TOBIAS Z WYSIŁKIEM uniósł powieki i jęknął. Dudniło mu w głowie i ledwie się poruszył, zebrało mu się na wymioty. Wychylił się przez krawędź łóżka i wszystko, co miał w żołądku, momentalnie wylądowało w wiadrze, które ktoś przezornie ustawił w pobliżu. Wymiociny cuchnęły obrzydliwie żółcią. Opadł z powrotem na plecy i wierzchem dłoni otarł usta. Ledwie poruszał obolałym językiem, a szalona karuzela w jego głowie nie chciała zwolnić. Co się wydarzyło? Gdzie był? W domu? Przed oczyma widział szereg niewyraźnych obrazów. Pamiętał Jörga, Feliksa i jeszcze kilku starych znajomych, garaż, wódkę i red bulla. Tak, było z nimi kilka dziewczyn, które bezustannie rzucały mu wyraźnie ukradkowe spojrzenia, szeptały między sobą i chichotały. Czuł się jak zwierzę w zoo. Kiedy to było? Która jest teraz godzina?

Z trudem usiadł na łóżku, a potem przesunął nogi nad krawędzią materaca i oparł stopy na podłodze. Pokój zawirował. Amelie też tam była – czy jednak nie? Coś chyba pomieszał. Tobiasz wstał i natychmiast musiał się czegoś przytrzymać, bo inaczej by się przewrócił. Powoli doczłapał do drzwi, otworzył je i ruszył korytarzem. Tak gigantycznego kaca nie miał chyba jeszcze nigdy! W łazience musiał usiąść na klozecie, bo nie dałby rady załatwić się na stojąco. Krótka koszulka,

którą miał na sobie, cuchnęła papierosami, potem i rzygowinami. Okropieństwo. Wstał i podszedł do umywalki. Spojrzał w lustro i przeraził się swojego odbicia. Sińce spod oczu przemieściły się w dół policzków, nadając nieogolonej skórze nieprzyjemnie fioletową barwę. Wyglądał jak zombie i dokładnie tak się czuł. Usłyszał czyjeś kroki na korytarzu, a potem pukanie do drzwi.

– Tobias? – pytanie zadał ojciec.

– Tak, wejdź proszę. – Odkręcił kran, nabrał pełne dłonie zimnej wody i wypił kilka łyków.

Smakowała paskudnie. Drzwi się otworzyły, a w progu stanął Hartmut i spojrzał na niego z troską.

– Jak się czujesz?

Tobias usiadł z powrotem na klozecie.

– Do dupy – odparł i zmusił się, by choć trochę unieść głowę. Widział ojca, ale nie mógł skupić na nim wzroku. W jednej chwili wydawało mu się, że staruszek stoi blisko, a w drugiej słyszał go gdzieś z bardzo daleka. – Która godzina?

– Wpół do czwartej. Jest niedziela po południu.

– O Boże. – Tobias podrapał się po głowie. – Ale się załatwiłem.

Nagle powróciły wspomnienia, a przynajmniej ich część: najpierw był z Nadją. Stali na skraju lasu i rozmawiali. Potem odwiozła go do domu i musiała jechać dalej, na lotnisko, bo miała już bilet na samolot. Tylko co robił później? Jörg. Felix. Garaż. Alkohol. Dziewczyny. Nie czuł się tam dobrze. Dlaczego nie? I po co w ogóle tam pojechał?

– Przed chwilą dzwonił ojciec Amelie Fröhlich – oznajmił nagle ojciec.

Amelie! Tak, po głowie kołatała mu się myśl, że ją też powinien pamiętać. Oczywiście! Przyszła, żeby powiedzieć mu o czymś ważnym, ale kiedy zaczęła, niespodziewanie pojawiła się Nadja i dziewczyna uciekła.

– Wczoraj wieczorem nie wróciła do domu. – Nuta napięcia i oczekiwania w głosie ojca kazała mu się zastanowić, dlaczego w ogóle padły te słowa. – Jej rodzice bardzo się martwią i chcą zgłosić sprawę na policję.

Tobias z niedowierzaniem wpatrywał się w ojca. Potrzebował jeszcze kilku chwil, żeby pojąć, do czego zmierza. Amelie nie było w domu. Nie wróciła wczoraj. A on pił alkohol, i to bardzo dużo nawet. Tak samo jak wtedy. Serce zamarło mu w piersi.

– Chyba... chyba nie sądzisz, że mam... że ja... że coś mnie łączy z jej... – przerwał i przełknął ciężko ślinę.

– Doktor Lauterbach jechała nocą obok przystanku autobusowego przed kościołem. Wracała z jakiegoś pilnego wezwania. Tam cię znalazła. Było wpół do drugiej. To ona przywiozła cię do domu. Mieliśmy wielkie kłopoty, żeby wyciągnąć cię z samochodu i zataścić do pokoju. A ty przez cały czas mówiłeś o Amelie.

Tobias zacisnął powieki i ukrył twarz w dłoniach. Próbował sobie przypomnieć, co się

wydarzyło, lecz nadaremno. W głowie miał pustkę. Nic nie pamiętał. Znajomi w garażu, chichoczące, szepczące dziewczyny. Czy Amelie była gdzieś wśród nich? Nie. A może jednak? Nie. Błagam, tylko nie to. Nie, tylko nie to!

PONIEDZIAŁEK 17 LISTOPADA 2008

Wszyscy członkowie wydziału K11 zebrali się w sali odpraw. Poza Hassem nie brakowało nikogo. Pojawił się nawet Behnke, choć w jeszcze gorszym nastroju niż normalnie.

– Przepraszam, już jestem – przywitała się Pia i ruszyła w stronę jedyne wolnego miejsca. Po drodze zdjęła kurtkę. Nicola Engel spojrzała demonstracyjnie na zegarek.

– Jest już dwadzieścia po ósmej – powiedziała nieprzyjemnym tonem. – Nie pracuje pani w straży miejskiej tylko w policji! Proszę na przyszłość tak organizować prace w zagrodzie, żeby nie kolidowały z pani obowiązkami służbowymi!

Pia poczuła pieczenie w policzkach. Wiedziała, że robi się czerwona. Co za głupie babsko!

– Po drodze wskoczyłam jeszcze do apteki po coś przeciwko przeziębieniu – odparła równie ostro. – Na przyszłość sobie daruję, jeśli woli pani, żebym poszła na zwolnienie.

Obie kobiety mierzyły się przez chwilę groźnym wzrokiem.

– Skoro wszyscy są już obecni – odezwała się w końcu Nicola Engel, radczyni kryminalna i szefowa wydziału, nie próbując nawet przeprosić za niesprawiedliwe podejrzenie – mamy zaginioną nastolatkę. Wiadomość przyszła do nas dzisiaj rano, z komisariatu w Eschborn.

Pia rozejrzała się po obecnych. Behnke siedział rozwalony na krześle i nerwowo żuł gumę. Co i rusz rzucał Kathrin złe spojrzenia, lecz kobieta nie dawała się sprowokować. Mimo to w jej wzroku widać było wyraźną wrogość. Pia przypomniała sobie, że pod koniec zeszłego tygodnia doktor Engel zmusiła Bodensteina do rozmowy z Behnkiem. Ciekawe, co z tego wyszło? Wyglądało na to, że Behnke doskonale wie, że to Kathrin zreferowała szefowi ich spotkanie w restauracji w Sachsenhausen. Nie dało się nie zauważyć napięcia między nimi. Bodenstein siedział nieruchomo na końcu stołu i wpatrywał się tępo w blat. Jego twarz była pozbawiona wyrazu, jednak cienie pod oczyma i pionowa zmarszczka na czole mówiły wyraźnie, że coś jest nie tak. Co ciekawe, nawet Ostermann był wyjątkowo ponury, ale cóż w tym dziwnego, skoro znalazł się między młotem a kowadłem? Behnke był jego starym kolegą; zawsze brał go w obronę i starał się tłumaczyć jego błędy, lecz ostatnio miał coraz większe problemy z tą trudną przyjaźnią, bo nie potrafił pogodzić się z bezczelnością, z jaką wykorzystywana była jego gotowość do pomocy. Ostermann świetnie rozumiał się z też z Kathrin Fachinger – pytanie tylko, po czyjej stronie?

– Czy Wallau zostało wyjaśnione? – zapytała Nicola Engel.

Pia potrzebowała kilku sekund, żeby uświadomić sobie, że pytanie było skierowane bezpośrednio do niej.

– Tak – odpowiedziała i wykrzywiła boleśnie usta, kiedy przypomniała sobie wielką ekipę techników od zabezpieczania śladów i policyjnych patologów, którzy błyskawicznie stawili się na

miejscu wypadku. – Znaleźliśmy co prawda dwa ciała, jednak nie było z nimi zbyt wiele roboty.

– A to dlaczego?

– W aucie jechały dwa pieczone prosiaki, które firma cateringowa miała dostarczyć na jakąś imprezę – wyjaśniła Pia. – Po wypadku samochód się zapalił i doszczętnie spłonął, bo oprócz jedzenia wieźli też kilka butli gazowych. Kiedy się zrobiło gorąco, doszło do eksplozji.

Nicola Engel zachowała kamienny wyraz twarzy.

– To jeszcze lepiej. Sprawa Rity Cramer została już przekazana do prokuratury. – Spojrzała na Bodensteina. – Wy w takim razie możecie zająć się zaginioną nastolatką, chociaż zakładam, że sama szybko pojawi się z powrotem. Statystyki mówią, że dziewięćdziesiąt osiem procent zaginionych nieletnich wraca do domów w ciągu kilku godzin do kilku dni.

Bodenstein odchrząknął.

– Pozostaje jeszcze te dwa procent – pokręcił głową.

– Porozmawiajcie z jej rodzicami, przepytajcie znajomych i sąsiadów – doradziła przełożona. – Dobrze, to by było na tyle. Zaraz mam ważne spotkanie, ale proszę informować mnie na bieżąco.

Wstała, pożegnała się skinieniem głowy i wyszła.

– Okej, co o niej wiemy? – Bodenstein spojrzał na Ostermanna, kiedy za szefową zamknęły się drzwi.

– Amelie Fröhlich, siedemnaście lat, z Bad Soden – odpowiedział policjant. – Wczoraj wieczorem rodzice zgłosili jej zaginięcie. Po raz ostatni widzieli ją w sobotę przed południem. Wcześniej mieli z nią problemy wychowawcze i zdarzało się, że znikła na jakiś czas z domu, więc i tym razem woleli poczekać z włączeniem policji.

– Dziękuję. – Bodenstein skinął głową. – Pojedziemy z Pią porozmawiać z jej rodzicami. Frank, ty i koleżanka Fachinger...

– O nie! – przerwała mu Kathrin. – Mowy nie ma. Nigdzie z nim nie jadę.

– Ja mogę pojechać z Frankiem. – Pospiesznie zaproponował Ostermann.

Przez chwilę w sali odpraw panowała całkowita cisza. Behnke żuł gumę i uśmiechał się z zadowoleniem.

– O co chodzi? Czy mam was dobierać w pary, biorąc pod uwagę wrażliwość każdego z osobna? – zapytał Bodenstein, a pionowa zmarszczka na jego czole niebezpiecznie się pogłębiła. Wyglądało na to, że jest naprawdę zły, co w jego przypadku zdarzało się wyjątkowo rzadko. Kathrin wydeła usta. Wyraźnie wymawiała mu posłuszeństwo.

– Dobra, starczy tej dziecinady – mówił szef przerażająco spokojnym głosem. – Mam głęboko w dupie, kto z kim się akurat pokłócił. Mamy do wykonania pracę, która sama się nie robi, a ja oczekuję, że moje polecenia będą realizowane. Może dotychczas byłem zbyt łagodny, ale nie dam

sobie skakać po głowie! Koleżanko Fachinger, pojedzie pani z kolegą Behnke do szkoły zaginionej i porozmawia z jej nauczycielami, koleżankami i kolegami. Kiedy skończycie, zabierzecie się za sąsiadów jej rodziców. Czy wyraziłem się jasno?

Uparte milczenie miało mu wystarczyć za odpowiedź. Ale najwyraźniej nie starczyło, bo nagle zrobił coś, co nigdy wcześniej się nie zdarzyło. Wyrznął pięścią w stół.

– CZY WYRAZIŁEM SIĘ JASNO?

– Tak – odparła lodowato Kathrin Fachinger, po czym wstała i zdjęła z oparcia kurtkę i torebkę. Zaraz potem z krzesła podniósł się Behnke. Kiedy tylko zniknęli na korytarzu, Ostermann wycofał się do swojego biura i zamknął za sobą drzwi.

Bodenstein odetchnął głęboko i spojrział na Pię.

– Cholera – westchnął i uśmiechnął się krzywo. – To było super.

*

– ALTENHAIN? – zapytała Pia zdziwionym głosem. – Ostermann mówił przecież coś o Bad Soden?

– Waldstrasse 22 – Bodenstein wskazał na ekran nawigacji GPS w swoim bmw. Ślepo ufał tej elektronicznej zabawce, choć wcześniej zdarzyło się kilka razy, że docierał w zupełnie inne miejsce, niż sobie zaplanował. – To jest w Altenhain, ale administracyjnie podlega Bad Soden.

Pię ogarnął niepokój. Altenhain. Tobias Sartorius. Za żadne skarby by się nie przyznała, ale odczuwała do tego młodego mężczyzny coś w rodzaju sympatii.

Tymczasem znów zaginęła nastolatka. Mogła jedynie żywić nadzieję, że Tobias nie był w to zamieszany. Nie miała jednak żadnych złudzeń, jak tę sprawę ocenią mieszkańcy wioski i to niezależnie, czy miał na ten czas alibi, czy nie. Niedobre przeczucie stało się jeszcze mocniejsze, kiedy dotarli pod adres, pod którym mieszkali Arne i Barbara Fröhlichowie. Ich dom znajdował się zaledwie kilka kroków od tylnej bramy obejścia Sartoriusów. Bodenstein zaparkował samochód przed uroczą willą z elewacją z klinkierowej cegły i kopertowym dachem z kilkoma lukarnami. Rodzice zaginionej już na nich czekali. Arne Fröhlich był poważnym mężczyzną około czterdziestu pięciu lat, z łysiną ciągnącą się od czoła aż na czubek głowy i w okularach w drucianych oprawkach. Jego twarz wyróżniała się absolutną przeciętnością. Brak cech charakterystycznych przejawiał się w całym jego wyglądzie, bo mężczyzna nie był ani wysoki, ani niski, ani gruby, ani chudy – właśnie ta niesamowita przeciętność czyniła go wyjątkowym. Natomiast jego żona, która mogła mieć trzydzieści kilka lat, stanowiła jego przeciwieństwo. Była bardzo atrakcyjną kobietą, nosiła średnio długie blond włosy, miała wyraziste, wielkie oczy, regularne rysy twarzy, szerokie usta i lekko zadarty nos. Ciekawe, co takiego w nim widziała?

Oboje wyglądali na zatroskanych, lecz najwyraźniej panowali nad sobą, bo nie zachowywali się histerycznie, a to nie jest przecież regułą w wypadku rodziców zaginionych. Barbara Fröhlich podała policjantce fotografię Amelie. Dziewczyna również była wyjątkowo ładna, choć zupełnie nie w typie

matki: wielkie, ciemne oczy mocno podkreślone tuszem do rzęs i ciemnym makijażem, kolczyki w brwiach, dolnej wardze i na brodzie. Ciemne włosy nosiła natapirowane i ułożone w taki sposób, by sterczały pionowo w górę. Niezależnie od tego, Amelie była śliczną dziewczyną.

– Już wcześniej zdarzało jej się zniknąć z domu. – Ojciec zaginionej odpowiadał na pytanie Bodensteina o przyczynę późnego zgłoszenia zaginięcia. – Amelie jest moją córką z pierwszego małżeństwa i... no cóż... jest trochę problemowym dzieckiem. Przeprowadziła się do nas pół roku temu. Wcześniej mieszkała z matką w Berlinie. Miała tam spore kłopoty... z policją.

– Kłopoty z policją? Co ma pan na myśli? – zapytał Bodenstein. Arne Fröhlich wyraźnie nie miał ochoty mówić o problemach córki.

– Kradzieże w sklepach, narkotyki, naruszenie miru domowego i włóczęgostwo – wyliczył ze smutną miną. – Zdarzało się, że nie wracała przez kilka tygodni. Moja była żona zupełnie sobie z nią nie radziła, więc poprosiła, żebym wziął ją na jakiś czas do siebie. Właśnie przez to, co wyprawiała wcześniej, woleliśmy poczekać i obdzwonić najpierw kogo się dało.

– Ale potem zauważyłam, że nie wzięła ze sobą żadnych ubrań – dodała Barbara Fröhlich. – Okazało się, że nie zabrała nawet pieniędzy, które zarobiła jako kelnerka w karczmie Pod Czarnym Rumakiem. Powiem szczerze, że to wydało mi się bardzo dziwne. No i na koniec znalazłam jeszcze jej dokumenty. Też zostały w domu.

– Czy Amelie była z kimś w konflikcie? Miała wrogów? Problemy w szkole? Może pokłóciła się ze znajomymi? – Bodenstein za jednym zamachem zadał większość standardowych w takich sytuacjach pytań.

– Nie, powiedziałabym, że wręcz przeciwnie – odparła macocha Amelie. – Ostatnio odniosłam wrażenie, że zaczęła się zmieniać. Na lepsze oczywiście. Zmieniła fryzurę na bardziej naturalną i pożyczła ode mnie normalne ubrania, chociaż wcześniej nosiła jedynie czarne ciuchy. Tymczasem zupełnie niespodziewanie zobaczyłam ją w ładnej sukience i bluzce... – zamilkła.

– Czy za tą nagłą zmianą może stać znajomość z jakimś chłopcem? – próbowała się domyślić Pia. – Może poznała kogoś w Internecie, a potem uciekła z domu, żeby do niego pojechać?

Arne i Barbara wymienili bezradne spojrzenia, a potem wzruszyli ramionami.

– Staraliśmy się zapewnić jej maksymalnie dużo wolności – wyjaśnił ojciec Amelie. – Od jakiegoś czasu mogłem jej ufać. Mój szef, pan Terlinden, załatwił jej pracę w Czarnym Rumaku. Została tam kelnerką, bo potrzebowała pieniędzy na własne wydatki.

– Co z problemami w szkole?

– Nie miała zbyt wielu koleżanek – odparła Barbara Fröhlich. – Nie przepada za tłumem, woli być sama. Niewiele rozmawialiśmy o szkole, ale też dopiero niedawno się do niej przeniosła. Jediną osobą, z którą utrzymywała stały kontakt, jest syn naszych sąsiadów, Thies Terlinden.

Arne odruchowo zacisnął usta, lecz nie uszło to uwagi Pii. Widać było, że nie jest zadowolony z przyjaźni łączącej jego córkę z synem szefa.

– Co pan o tym sądzi? – Pia postanowiła pójść tym tropem. – Czy to możliwe, żeby byli parą?

– Nie! – odpowiedziała macocha dziewczyny i pokręciła zdecydowanie głową. – Thies jest... hm... inny. Cierpi na autyzm. Mieszka z rodzicami i zajmuje się ogrodem.

Następnie na prośbę Bodensteina macocha zaginionej zaprowadziła ich do pokoju dziewczyny. Pomieszczenie było przestronne, jasne i bardzo przyjazne, a to głównie za sprawą dwóch dużych okien, z których jedno wychodziło na ulicę przed domem. Na ścianach nie wisiały żadne plakaty ani obrazki, choć Pia wiedziała, że dziewczęta w tym wieku często obwieszają swoje pokoje podobiznami gwiazd czy przystojnymi aktorami. Barbara Fröhlich wyjaśniła, że Amelie czuła się trochę tak, jakby w ich domu była tylko przejazdem.

– Planuje powrót do Berlina natychmiast, kiedy osiągnie pełnoletność i będzie mogła sama decydować – wytłumaczyła macocha, a w jej głosie słychać było szczery żal.

– Jak układały się pani stosunki z pasierbicą? – Pia weszła do pokoju, rozejrzała się, a potem otworzyła szufladę biurka.

– Dobrze się rozumiemy. Bardzo ograniczyłam kontrolowanie i narzucanie zasad. Na surowość Amelie reaguje raczej wycofaniem się i zamknięciem niż głośnym protestem. Wydawało mi się, że przez czas, jaki z nami mieszka, udało mi się zdobyć jej zaufanie. Bywała czasem opryskliwa dla przyrodniego rodzeństwa, ale dzieciaki bardzo ją polubiły. Kiedy mnie nie ma w domu, Amelie potrafi bawić się z nimi przez kilka godzin albo czyta im książeczki.

Pia skinęła głową.

– Przysłemy techników, żeby zabrali jej komputer – powiedziała. – Czy Amelie prowadzi pamiętnik?

Mówiąc to, przesunęła laptopa i dostrzegła coś, co potwierdziło jej najgorsze przypuszczenia. Na papierowej podkładce na biurko narysowane było serce, a w jego środku ozdobnymi literkami napisano imię Tobias.

*

– MARTWIĘ SIĘ O THIESA – wyjaśniła Christine Terlinden, kiedy jej mąż zapytał poirytowanym głosem, co takiego się stało, że musiała wywołać go z ważnego spotkania i ściągnąć do domu. – Jest bardzo... nieswój.

Claudius Terlinden pokręcił głową i zbiegł schodami do sutereny. Kiedy otworzył drzwi i zajrzał do środka, momentalnie się zorientował, że sytuacja jest znacznie poważniejsza, niż wynikało ze słów żony. Thies klęczał pośrodku równego okręgu ułożonego z zabawek. Był całkowicie nagi, wpatrywał się tępo przed siebie i metodycznie, raz za razem, uderzał się pięścią w twarz. Krew

płynęła mu z nosa na podbródek, a w pokoju śmierdziało moczem. Widok syna przeraził Terlindena, bo przypominał mu o smutnych i bolesnych czasach, które – miał nadzieję – bezpowrotnie odeszły. Przez wiele lat nie potrafił się pogodzić z faktem, że jego syn jest inny. Za nic nie chciał usłyszeć diagnozy, w której niechybnie padłby termin autyzm. Przerazało go, że chłopak dziwacznie się zachowuje, ale jeszcze trudniejsze do zaakceptowania były jego odrażające przyzwyczajenia: nie dość, że wszystko niszczył, to na dodatek znajdował upodobanie w smarowaniu siebie i całego domu ekskrementami. Razem z żoną znaleźli się w sytuacji osób całkowicie bezradnych, szukających rozpaczliwie rozwiązania, które przecież nie istniało. Uznali, że najlepsze, co mogą zrobić, to całkowicie odizolować Thiesa od świata zewnętrznego, a przede wszystkim od jego brata Larsa. Jednak im chłopak był starszy, tym stawał się bardziej agresywny i samowolny, aż w końcu nie mogli już dłużej przemykać na to oczu. Chcąc nie chcąc, Claudius Terlinden musiał zmierzyć się z chorobą syna. W rozmowie z lekarzami dowiedział się, że przypadłość Thiesa jest nieuleczalna. Daniela Lauterbach, sąsiadka, pomogła mu za to zrozumieć, czego chłopiec potrzebuje, by w miarę możliwości nauczyć się żyć z tą chorobą. Najważniejsze było zapewnienie mu przebywania w miejscu, które doskonale znał. Najlepiej nie zmieniać niczego w domu i ogrodzie, by nie wróciły napady, które wcześniej przeżywali. Równie ważne było nieingerowanie w świat utartych schematów, niemal rytuałów, który Thies sobie zbudował i w którym żył. Przestrzegając tych zasad, dojrnęli bezboleśnie do dwunastych urodzin bliźniaków i akurat tamtego dnia wydarzyło się coś, co całkowicie wytrąciło Thiesa z równowagi. Wpadł w taki szał, że omal nie zabił brata. Claudius uznał, że tym razem miarka się przebrała – krzyżący, wrywający się chłopiec trafił do zamkniętego dziecięcego szpitala psychiatrycznego, w którym spędził kolejne trzy lata. W ośrodku leczono go środkami uspokajającymi, dzięki czemu poczuł się znacznie lepiej. Wykonano tam też kilka testów psychologicznych, które wykazały, że chłopak jest ponadprzeciętnie inteligentny. Niestety, nie potrafił wykorzystać swoich zdolności, bo żył niczym więzień w hermetycznie zamkniętym świecie, który sam sobie stworzył. Kompletnie nie zauważał istnienia innych ludzi.

Po trzech latach pobytu w placówce Thies po raz pierwszy został wypuszczony na zewnątrz, w odwiedziny do rodzinnego domu. Był bardzo spokojny i przyjacielski, jednak zachowywał się, jakby stracił słuch. Zszedł do sutereny i zaczął układać zabawki z dzieciństwa. Przez kilka godzin zajmował się tylko tym, ponownie wzbudzając w rodzicach niepokój. Jednak dzięki lekom ani razu nie doszło do powtórnego napadu szału. Thies w końcu nawet się nieco otworzył. Pomagał ogrodnikowi i zaczął malować. Siadał z całą rodziną przy stole i choć używał sztucców dla dzieci i talerzyka z misiami, jadł i pił jak wszyscy inni. Lekarze byli bardzo zadowoleni z jego postępów i doradzili Terlindenom, by wzięli go na stałe do domu. Od tego czasu, a więc mniej więcej od piętnastu lat, Thies ani razu nie miał napadu. Bez problemów poruszał się po całej wiosce, jednak większość czasu spędzał w ogrodzie rodziców, który bez niczyjej pomocy zmienił w piękny,

symetryczny park ze starannie przyciętymi żywopłotami z bukszpanu, rabatami kwiatowymi i śródziemnomorskimi roślinami. Do tego malował – czasem od sztalug odchodził całkowicie wyczerpany. Jego obrazy na ogromnych płótnach robiły wielkie wrażenie – bardzo oryginalne, niepokojąco mroczne i paraliżujące przekazy z czeluści jego samotnego autystycznego świata. Chłopak nie miał nic przeciwko wystawianiu jego dzieł, a dwukrotnie towarzyszył nawet rodzicom w czasie wernisażu. Wbrew obawom ojca nie miał też problemu z rozstawianiem się ze swoimi malunkami.

Thies zatem malował, dbał o ogród i powodziło mu się całkiem dobrze – do tego stopnia, że przestał być obojętny na otoczenie. Od czasu do czasu wypowiadał po kilka słów naraz. Wydawało się, że znalazł się na najlepszej drodze, by w końcu otworzyć drzwi swojego świata, choćby i odrobinę. A teraz to! Co za porażka! Claudius Terlinden wpatrywał się w milczeniu w swego syna, a to, co widział, sprawiało mu niewysłowny ból.

– Thies! – odezwał się łagodnym głosem, a nie mogąc doczekać się żadnej reakcji, powtórzył jego imię nieco ostrzej.

– Przestał brać lekarstwa – szepnęła Christina zza jego pleców. – Imalda znalazła całą stertę tabletek w toalecie.

Claudius wszedł do pokoju i przyklęknął obok syna, ale na zewnątrz kręgu z zabawek.

– Thies – powiedział półgłosem. – Co się dzieje?

– Cosiecieje – powtórzył chłopak bezdźwięcznie, ani na chwilę nie przestając uderzać się rytmicznie pięścią w twarz. – ...Cosiecieje... cosiecieje... cosiecieje... cosiecieje...

Terlinden zauważył, że Thies trzyma coś w dłoni. Kiedy spróbował uchwycić jego ramię, ten wpadł w szal i skoczył na ojca, kopiąc i bijąc pięściami na oślep. Claudius Terlinden był do tego stopnia zaskoczony atakiem, że dopiero po chwili spróbował się bronić. Jednak Thies nie był już małym chłopcem, lecz dorosłym mężczyzną, z mięśniami wyćwiczonymi przez lata ciężkiej pracy w ogrodzie. Miał dzikie spojrzenie, z ust kapąła mu ślina, a z nosa krew. Claudius siłował się z synem. Krztusząc się i dysząc ciężko, jak przez mgłę słyszał dobiegające z oddali histeryczne krzyki żony. W końcu udało mu się rozewrzeć palce syna i, nie patrząc co to, wyjąć mu coś z dłoni, a potem na czworakach wycofać się w stronę drzwi. Thies go nie gonił; skowycząc rozpaczliwie, zwinął się w kłębek pośrodku kręgu z zabawek i znieruchomiał.

– Amelie – wymamrotał. – Amelie... Amelie... Amelie... Amelie... Cosiecieje... cosiecieje... cosiecieje... tata... tata...

Dyszając ciężko, Claudius Terlinden wstał z podłogi. Drżał na całym ciele. Żona wpatrywała się w niego, przyciskając dłonie do ust. Z oczu kapąły jej łzy. Terlinden rozprostował odebrany synowi kawałek papieru, spojrzął na niego i niewiele brakowało, a dostałby ataku serca. Z pogniecionej

fotografii uśmiechała się do niego Stefanie Schneeberger.

*

ARNE FRÖHLICH z żoną i dziećmi pojechali w sobotnie przedpołudnie odwiedzić przyjaciół, a do domu wrócili dopiero późnym wieczorem. Amelie pracowała tego dnia w gospodzie; kiedy ojciec o północy zorientował się, że jeszcze nie wróciła, zadzwonił do Czarnego Rumaka i zapytał, co się z nią dzieje. Wzburzona szefowa wyjaśniła krótko, że wyszła z pracy za dziesięć dziesiątą, choć roboty zostało jeszcze tyle, że nie wiadomo było, w co włożyć ręce. On i Barbara wyszukali wszystkie telefony do znajomych ze szkoły, jakie Amelie sobie zapisała, i zaczęli dzwonić. Na próżno. Tego dnia nikt jej nie widział i nikt z nią nie rozmawiał.

Bodenstein i Pia przepytali Jenny Jagielski, szefową karczmy Pod Czarnym Rumakiem, która potwierdziła to, czego dowiedzieli się wcześniej od ojca dziewczyny. Amelie przez cały wieczór dziwnie się zachowywała, sprawiała wrażenie nieobecnej i kiedy tylko przekraczała próg kuchni, zaraz usiłowała się do kogoś dodzwonić. Około dziesiątej ktoś do niej zatelefonował, a ona po prostu urwała się z pracy. A w niedzielę nie pojawiła się w ogóle. Nie, nie miała pojęcia, czyj telefon skłonił ją do ucieczki z miejsca pracy. I nie, nikt z personelu również nie wie, kto to mógł być, bo w sobotę wieczorem mieli tu prawdziwe urwanie głowy.

– Podjedź pod ten sklep, w którym już raz byliśmy – poprosiła Pia Bodensteina. – Nie zaszkodzi wpaść i pogadać. Może dowiemy się czegoś ciekawego.

Okazało się, że jeśli chodzi o podsłuchanie miejscowych plotek, nie mogli trafić na lepszy czas. Niewielki sklepik Margot Richter stał się w poniedziałkowe późne przedpołudnie kwaterą główną dla większości kobiet z Altenhain, które tym razem okazały się znacznie bardziej rozmowne niż poprzednio.

– Jedenaście lat temu zaczęło się dokładnie tak samo – oznajmiła fryzjerka Inge Dombrowski, a wszyscy pozostali przytaknęli, jakby nie mieli najmniejszych wątpliwości. – Nie chcę nic sugerować, ale Willi Paschke powiedział, że widział tę całą Amelie na posesji Sartoriusów.

– Ja też ostatnio widziałam, jak wchodziła do nich do domu. – Inna kobieta pokiwała głową, a potem wyjaśniła, że mieszka kawałek dalej, po drugiej stronie ulicy i z okna ma widok na podwórze sąsiada.

– Na dodatek cały czas się włóczy z naszym wioskowym idiotą. – Do rozmowy włączyła się kobieta stojąca przy skrzynkach z owocami.

– Racja. – Trzy pozostałe pokiwały głowami.

– Czyli z kim? – dopytywała Pia.

– No, z Thiesem Terlindenem – wyjaśniła fryzjerka. – On ma nierówno pod sufitem, mówię pani. Łazi nocami po wiosce i po lesie. Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby to on coś jej zrobił.

Pozostałe kobiety były oczywiście tego samego zdania, czemu dały wyraz, potakując głowami.

Najwyraźniej w Altenhain podejrzania były na porządku dziennym. Ani Bodenstein, ani Pia nie skomentowali tego w żaden sposób. Pia uznała, że dowie się więcej i znacznie ciekawszych rzeczy, jeśli pozwoli im mówić. I miała rację, bo kobiety przestały zwracać uwagę na obecność policji, szafując coraz poważniejszymi oskarżeniami.

– Terlindenowie już dawno powinni byli zamknąć tego dzieciaka u czubków! – podkreślała się jedna z kobiet. – Ale tutaj nikt nie odważy się zwrócić staremu uwagi.

– No pewnie, że nie. Dzisiaj każdy boi się o pracę.

– Ostatnią osobą, która się mu przeciwstawiła, był Albert Schneeberger. I pamiętacie, co się stało? Zniknęła jego córka, a krótko potem się wyprowadzili.

– A nie dziwiło was, że Terlinden od początku pomagał Sartoriusowi? Może wtedy obaj chłopcy maczali w tym palce?

– Może... w końcu Lars też zniknął i nigdy nie wrócił do Altenhain.

– Ostatnio słyszałam, że Terlinden zaproponował nawet pracę temu mordercy! Wyobrażacie sobie? To się po prostu nie mieści w głowie! Zamiast go stąd pogonić, ten mu daje pracę!

Na moment zapadła cisza. Każdy rozmyślał, jakie wnioski wyciągnąć z tych słów. A potem nagle wszystkie kobiety zaczęły gadać jedna przez drugą. Pia wolała udawać, że nie orientuje się w lokalnych układach.

– Przepraszam! – przerwała im podniesionym głosem, by zwrócić na siebie uwagę. – Kto to właściwie jest ten Terlinden? Bo mówią panie o nim tak, jakbym powinna wiedzieć?

Kobiety nagle się opamiętały i uświadomiły sobie, że nie są same. Jedna po drugiej ruszyły do wyjścia i, tłumacząc się nieprzekonująco, szybko opuściły sklep, a większość z nich nie zrobiła nawet zakupów. Margot Richter wróciła za kasę. Dotychczas nie brała udziału w rozmowie i jak przystało właścicielce sklepu, nie zajmowała stanowiska, lecz cały czas przysłuchiwała się, co w trawie piszczy.

– Przepraszam, nie chciałam przeganiać pani klientek – uśmiechnęła się Pia.

– Niech się pani nie przejmuję, jeszcze tu wrócą – odparła kobieta spokojnym głosem. – A Claudius Terlinden jest szefem firmy Terlinden. Mają wielką siedzibę i hale w Altenhain, na terenie przemysłowym. Są tutaj już przeszło sto lat, a bez nich niewiele by się u nas działo.

– Co ma pani na myśli?

– Terlindenowie są bardzo hojni. Wspierają lokalne kluby, kościół, szkołę podstawową i bibliotekę miejską. U nich to taka tradycja rodzinna. Poza tym połowa mieszkańców Altenhain pracuje w ich firmie. Syn, o którym Christa powiedziała, że ma nierówno pod sufitem, to Thies. Bardzo miły i grzeczny chłopiec. Muchy by nie skrzywdził, więc nie potrafię sobie wyobrazić, żeby był w stanie zrobić coś tej dziewczynie.

– No właśnie, skoro już o niej mowa: zna panie Amelie Fröhlich?

– Oczywiście, że znam. – Sklepiarka uśmiechnęła się niezbyt życzliwie. – Z jej stylem ubierania się trudno byłoby ją przeoczyć. Poza tym pracuje u mojej córki w Czarnym Rumaku.

Pia potaknęła i zapisała coś w notesiku. Bodenstein znów zostawił ją z całą pracą, a sam stał obok i z nieobecną miną wpatrywał się gdzieś przed siebie.

– Ma pani jakieś podejrzenia, co jej się mogło przytrafić?

Margot Richter zawahała się na moment i nic nie powiedziała, jednak odruchowo spojrzała w prawo. Pia nie potrzebowała dodatkowych wyjaśnień. Natychmiast się zorientowała, kogo kobieta podejrzewa, bo zza sklepowej kasy widać było jak na dłoni budynek, w którym mieściła się karczma Pod Żółtym Kogutem. Syn Terlindenów zszedł na dalszy plan. Tak naprawdę Pia nie miała wątpliwości, że wszyscy mieszkańcy Altenhain podejrzewali Tobiasa Sartoriusa, który w końcu już raz dopuścił się czegoś podobnego.

– Nie mam pojęcia, co się z nią mogło stać – odpowiedziała Margot Richter wymijająco. – Pewnie niedługo sama wróci.

*

– UWAŻAM, że Tobias Sartorius znajduje się w niebezpieczeństwie. Ludzie ze wsi mogą chcieć go zlinczować – powiedziała Pia z troską w głosie, kiedy wracali do biura. – W piątek wieczorem, kiedy pracował w stodole, ktoś na niego napadł i pobił, jego ojciec dostaje anonimowe pogróżki, a życzliwi znajomi malują mu na domu obraźliwe hasła.

Ostermann zabrał się tymczasem za laptopa Amelie i za sprawdzanie jej pamiętnika, jednak, co wprawilo go w zły nastrój, dziewczyna zapisywała wszystko jakimś tajnym szyfrem, którego nie potrafił złamać. Kathrin Fachinger i Frank Behnke wrócili na komendę niemal równo z Pią i Bodensteinem, lecz bez wiadomości, które mogłyby być w jakikolwiek sposób pomocne. Amelie nie miała żadnych bliższych koleżanek, nie mówiąc już o przyjaciółkach, zazwyczaj trzymała się z boku, a z dwiema dziewczętami, które również mieszkały w Altenhain, rozmawiała jedynie w autobusie. Jednak, jak powiedziała jedna z nich, Amelie ostatnio przejawiała ogromne zainteresowanie Tobiasem Sartoriusem i tragedią sprzed jedenastu lat. Wypytywała o to wszystkich, którzy mogli coś wiedzieć. Zgodnie z tym, czego się dowiedzieli, Amelie miała rozmawiać z samym sprawcą. I to nieraz.

Ostermann wszedł do sali odpraw z faksem w dłoni.

– Przyszedł spis połączeń z komórki Amelie Fröhlich – oznajmił. – Po raz ostatni dzwoniła w sobotę wieczorem o dwudziestej drugiej jedenaście. Wybrała wtedy numer telefonu stacjonarnego, zarejestrowanego w Altenhain. Sprawdziłem oczywiście, czyj to numer.

– Sartoriusa? – zgadywał Bodenstein.

– W rzeczy samej. Połączenie trwało jedynie siedem sekund, co oznacza, że najwyraźniej nie rozmawiali. Wcześniej dwanaście razy wybierała ten numer i natychmiast się rozłączała. Po dwudziestej drugiej jedenaście jej telefon został wyłączony. Nie dało się sporządzić śladu triangulacyjnego, bo sygnał odbierała jedna jedyna stacja przekaźnikowa w Altenhain, która obsługuje obszar w promieniu pięciu kilometrów.

– Chcesz powiedzieć, że nie dostaliśmy listy połączeń przychodzących? – upewnił się Bodenstein, na co Ostermann potrząsnął przecząco głową.

– Co wiemy z jej komputera?

– Na razie nic, bo jeszcze nie udało mi się przejść hasła dostępowego. – Ostermann zrobił niezadowoloną minę. – Ale za to przejrzałem jej pamiętnik, a przynajmniej te miejsca, które byłem w stanie odcyfrować. Często przewijają się w nim Tobias Sartorius, Claudius i Thies.

– W jakim kontekście?

– Wygląda na to, że interesowała się Tobiasem i Claudiusem, ale na razie nie potrafię jeszcze powiedzieć, w jaki sposób i dlaczego.

– No dobrze. – Bodenstein rozejrzał się po zebranych. Wróciło jego zdecydowanie, do którego wszyscy byli przyzwyczajeni. – Dziewczyna zniknęła niemal czterdzieści godzin temu. Znacnie procedury, trzeba natychmiast wdrożyć wszystkie punkty: przynajmniej dwustu ludzi do przeszukiwania okolicy, psy i helikopter z kamerą termowizyjną. Kolega Behnke zajmie się zorganizowaniem specjalnego zespołu. Każdego policjanta, który będzie mógł się przyłączyć, chcę zobowiązać do przepytывania mieszkańców wioski. Koleżanka Fachinger zajmie się sprawdzaniem autobusów i korporacji taksówkowych. Trzeba dotrzeć do wszystkich kierowców, którzy byli w okolicach. Czas, który nas interesuje, to cztery godziny między dwudziestą drugą w sobotę wieczorem a drugą w niedzielę nad ranem. Jakies pytania?

– Powinniśmy pojechać porozmawiać z Thiesem i jego ojcem – zaproponowała Pia. – A potem weźmiemy się za Tobiasa Sartoriusa.

– Święta racja. Pojedziesz ze mną i razem się tym zajmiemy. – Bodenstein popatrzył po swoich ludziach. – Jeszcze jedna sprawa. Ostermann: prasa, radio, telewizja... czyli to, co zawsze. Informacje o zaginionej i telefony na policję. O osiemnastej spotykamy się tu ponownie na odprawie.

*

GODZINĘ PÓŹNIEJ w Altenhain zaroilo się od policjantów. W drodze na miejsce były też specjalne samochody przystosowane do przewożenia przewodników z psami, które potrafiły podjąć nawet czterotygodniowy trop. Kilkuset policjantów ściągniętych w trybie awaryjnym przeczesywało lasy i łąki wokół wsi, podzielone na równe kwadraty. Nad wierzchołkami drzew unosił się helikopter wyposażony w kamerę termowizyjną, a policjanci z wydziału kryminalnego włączeni do grupy

operacyjnej „Amelie” chodzili od drzwi do drzwi, wypytyjąc o zaginioną. Zaangażowani w poszukiwania byli zmotywowani i pełni nadziei, że odnajdą dziewczynę możliwie szybko i całą i zdrową zwrócą rodzicom. Jednocześnie każdy wiedział, jak wielkie są oczekiwania i presja, by szybko wyjaśnić sprawę. Telefon Bodensteina praktycznie nie przestawał dzwonić. Zamienił się z Pią na miejsca i teraz już z fotela pasażera skupiony koordynował akcję poszukiwawczą. Ustawić blokady na ulicy, na której mieszkają rodzice zaginionej, i nie dopuszczać prasy i ciekawskich. Przewodnicy z psami mają rozpocząć poszukiwania od ostatniego miejsca, w którym widziano Amelie, a więc od Czarnego Rumaka. Tak, do Fröhlichów można wpuszczać koleżanki. I tak, księdza też. I sprawdzić zdjęcia zrobione tamtej nocy przez fotoradary w okolicy. Nie, nie włączać cywilów w akcję poszukiwawczą. W chwili kiedy się zatrzymali przed Żółtym Kogutem, do Bodensteina zadzwoniła doktor Engel i zażądała informacji o stanie poszukiwań.

– Kiedy tylko będę miał jakieś informacje warte przekazania, panią pierwszą o tym poinformuję – oznajmił policjant i się rozłączył.

Na dzwonek zareagował Hartmut Sartorius, lecz nie otworzył drzwi, tylko uchylił je na łańcuszku i wyjrzał przez szparę.

– Dzień dobry, chcielibyśmy porozmawiać z pańskim synem – przywitał się Bodenstein. – Możemy wejść?

– Będziecie go podejrzewali za każdym razem, kiedy w okolicy zaginie jakaś nastolatka? – Słowa Sartoriusa zabrzmiały niegrzecznie, wręcz agresywnie.

– Zatem słyszał pan już o tym?

– Tak, słyszałem. Takie wieści szybko się rozchodzą.

– Nie podejrzewamy Tobiasa – odparł Bodenstein, zachowując profesjonalny spokój. Widział zdenerwowanie Hartmuta Sartoriusa i nie chciał potęgować tego stanu. – Jednak Amelie trzynastcie razy wykrecała pana stacjonarny numer w dniu, w którym zaginęła.

Drzwi się zamknęły, lecz sądząc po chrobocie łańcucha jedynie po to, by zaraz się otworzyć na całą szerokość. W progu stał Hartmut Sartorius. Staruszek wyprostował się, spoglądając na nich poważnie. Jego syn nie wyglądał najlepiej. Tobias siedział na kanapie w salonie, zapadnięty w sobie, zgarbiony, z twarzą pokrytą siniakami. Wchodzących funkcjonariuszy przywitał słabym skinieniem głowy.

– Gdzie pan był między dwudziestą drugą w sobotę wieczorem a niedzielą rano? – brzmiało pierwsze pytanie Bodensteina.

– Czyli jednak go podejrzewacie! – wykrzyknął ze złością ojciec Tobiasa. – Cały wieczór spędził w domu. A dzień wcześniej napadnięto go i pobito w stodole, na terenie naszego gospodarstwa! Niewiele brakowało, a dzisiaj byście nie mogli z nim już rozmawiać!

Policjant nie dał się wyprowadzić z równowagi.

– W sobotę, jedenaście po dziesiątej wieczorem, Amelie wybrała numer pana telefonu stacjonarnego. Połączenie zostało odebrane, jednak trwało tak krótko, że najprawdopodobniej nikt nic nie powiedział. Wcześniej dzwoniła pod ten numer kilkanaście razy.

– Mamy telefon z automatyczną sekretarką, która się szybko włącza – wyjaśnił Hartmut Sartorius.
– To przez te wszystkie anonimowe telefony z groźbami i obelgami.

Pia nie spuszczała wzroku z twarzy Tobiasa. Mężczyzna wpatrywał się tępo przed siebie i sprawiał wrażenie, jakby rozmowa ojca z policją wcale go nie interesowała. Musiał się domyślać, co to wszystko dla niego oznacza.

– Jaki mogła mieć powód, żeby do pana dzwonić? – zapytała go prosto z mostu.

Wzruszył ramionami.

– Niech pan mnie uważnie posłucha – powiedziała spokojnie. – Zaginęła nastolatka, która nie tylko mieszka z panem po sąsiedzku, ale też jest pana znajomą. Czy pan tego chce, czy nie, jest pan w jakiś sposób powiązany z tą sprawą. Nam zależy tylko na tym, żeby pomóc.

– No pewnie. – Hartmut wszedł jej w słowo. – Dokładnie to samo mówili pani koledzy jedenaście lat temu – dodał z gorzkim wyrzutem. – Chłopcze, my chcemy ci tylko pomóc. Chłopcze, pokaż, gdzie ukryłeś zwłoki! Ale nikt mu wtedy nie wierzył. Nikt! A teraz proszę zostawić nas już w spokoju. Cały sobotni wieczór Tobias spędził w domu. Koniec, kropka.

– Nie denerwuj się, tato. – Tobias nieoczekiwanie włączył się do rozmowy. Wykrzywił z bólu twarz, po czym wyprostował się z trudem. – Wiem, że chcesz mnie bronić. Dziękuję.

Spojrzał na Pię. Miał czerwone, przekrwione oczy.

– W sobotę w południe przypadkowo się spotkaliśmy... to znaczy Amelie i ja. W lesie, za wsią. Koniecznie chciała mi o czymś powiedzieć. Z tego, co się zorientowałem, dowiedziała się czegoś na temat tamtych wydarzeń. Ale zanim zdążyła mi wszystko zrelacjonować, podjechała Nadja i Amelie sobie poszła. Pewnie z tego powodu chciała się później ze mną skontaktować. Nie mam telefonu komórkowego, dlatego dzwoniła na numer stacjonarny.

Pia przypominała sobie sobotnie popołudnie i spotkanie z Nadją von Bredow w srebrnym porsche cayenne. Mógł mówić prawdę.

– Co zdążyła panu powiedzieć? – zapytał Bodenstein.

– Niestety, niewiele. – Tobias pokręcił głową. – Amelie stwierdziła, że był ktoś, kto wtedy widział wszystko, co się stało. Pamiętam jedynie, że w tym kontekście wymieniła imię Thiesa i wspomniała coś o obrazach, na których widać było Lauterbacha.

– Kogo?

– Gregora Lauterbacha.

– Tego Lauterbacha? Ministra oświaty?

– Tego samego. Mieszka w domu zaraz obok rodziców Amelie. Był nauczycielem Laury i Stefanie.

– Pańskim też, prawda? – Pia przypomniała sobie o protokołach ze śledztwa, które zdążyła przeczytać, zanim niespodziewanie zniknęły z akt.

– Tak, moim też. – Tobias potwierdził skinieniem głowy. – Uczył literatury.

– Co takiego odkryła Amelie? I co on miał z tym wspólnego?

– Nie mam zielonego pojęcia. Powiedziałem przecież, że kiedy pojawiła się Nadja, Amelie zamilkła i sobie poszła. Obiecała, że później mi o wszystkim opowie.

– Co pan zrobił, kiedy dziewczyna zostawiła was samych?

– Siedziałem jeszcze jakiś czas w tym samym miejscu i rozmawiałem z Nadją. Potem wsiedliśmy w jej samochód, przyjechaliśmy tutaj i jeszcze jakieś pół godziny spędziliśmy w kuchni. Potem Nadja musiała jechać, bo spieszyła się na samolot do Hamburga. – Tobias Sartorius wykrzywił twarz i przesunął dłonią po zmierzwionych włosach. – Wieczorem wyszedłem z domu spotkać się ze znajomym. Było tam więcej ludzi. Piliśmy. Całkiem sporo nawet.

Podniósł wzrok. Jego twarz nie wyrażała niczego.

– Niestety, potem niewiele pamiętam. Nie wiem ani kiedy, ani jak wróciłem do domu. Mam dwudziestoczwierogodzinną lukę w pamięci.

Hartmut Sartorius potrząsnął głową. W jego oczach widać było rozpacz. Wyglądał, jakby zaraz miał zalać się łzami. W pokoju zapanowała całkowita cisza, przzerwana nagle sygnałem wibracyjnym komórki Bodensteina. Policjant odebrał połączenie, przez chwilę słuchał, co jego rozmówca ma do powiedzenia, po czym kiwnął głową. Spojrzał znacząco na Pię.

– Kiedy pański syn wrócił do domu? – zwrócił się do Hartmuta Sartoriusa zdecydowanym, ale spokojnym tonem.

Staruszek się zawahał.

– Tato, powiedz im prawdę. – W głosie Tobiasa słychać było zmęczenie.

– Około wpół do drugiej nad ranem – wyjawiał w końcu Hartmut. – Przywiozła go do nas doktor Lauterbach, nasza lekarka rodzinna. Powiedziała, że zauważyła go, kiedy wracała do domu z jakiegoś pilnego wezwania.

– Gdzie?

– Siedział na ławce na przystanku autobusowym pod kościołem.

– Czy używał pan wczoraj samochodu? – Bodenstein popatrzył poważnie na Tobiasa.

– Nie, wszędzie chodziłem piechotą.

– Poda nam pan nazwiska znajomych, z którymi pił pan w sobotę wieczorem? – Pia wyjęła notatnik i długopis, po czym zapisała wszystkich, których Tobias jej podyktował.

– Później jeszcze będziemy chcieli z panem porozmawiać. – Bodenstein był wyjątkowo poważny.
– Proszę nigdzie nie wyjeżdżać.

*

SZEF ZESPOŁU poszukiwawczego zadzwonił do Bodensteina i poinformował go o odnalezieniu plecaka Amelie. Leżał w krzakach między parkingiem Czarnego Rumaka a kościołem – niedaleko przystanku autobusowego, z którego w niedzielę nad ranem doktor Lauterbach zabrała pijanego Tobiasa Sartoriusa.

– Poprzednim razem było tak samo. – Pia pokiwała w zamyśleniu głową, kiedy ruszyli na miejsce znalezienia plecaka. – Tobias pił alkohol, a potem urwał mu się film. Ostatnim razem sąd i prokuratura mu nie uwierzyły.

– A ty mu wierzysz? – zapytał Bodenstein. Pia się zastanowiła. Miała wrażenie, że Tobias Sartorius mówił prawdę. Lubił córkę swoich sąsiadów. Ale lubił też dziewczyny, które zamordował przeszło dziesięć lat temu. Z pewnością. Tyle że wtedy w grę wchodziła jeszcze zazdrość i urażona duma, a w wypadku Amelie nie mogło być o tym mowy. Czyżby dziewczyna rzeczywiście znalazła coś, co wiązało się bezpośrednio z tamtymi wydarzeniami, czy może Tobias tylko to sobie wymyślił?

– Trudno mi cokolwiek powiedzieć o tamtych wydarzeniach – odparła. – Ale jestem przekonana, że dzisiaj Tobias mówił prawdę. On rzeczywiście wyglądał, jakby nic nie pamiętał.

Bodenstein nie odpowiedział. Z czasem nauczył się ufać intuicji koleżanki, bo przez lata wiele razy prawidłowo odczytywała wszystkie poszlaki i wskazówki. Tymczasem jego intuicja wielokrotnie wyprowadzała go na manowce. Mimo wszystko wciąż tkwiło w nim przekonanie, że zarówno w wypadku dwóch wcześniejszych morderstw, jak i w obecnym zaginięciu Tobias musiał mieć swój udział. I choć Pia wydawała się przekonana, on nie potrafił przyjąć jej punktu widzenia.

W plecaku został portfel Amelie, iPod, przybory do makijażu i cała masa innych drobiazgów, ale niestety, nie znaleźli w nim komórki. Jeden wniosek nasuwał się sam – dziewczyna nie uciekła z domu z własnej woli; coś musiało się stać. Pies tropiący doprowadził przewodnika do parkingu i zgubił ślad, po czym stanął zadowolony z siebie i machając ogonem, czekał na nowe zadanie, bo dla niego takie poszukiwania były wyśmienitą zabawą. Dzięki swojemu wcześniejszemu rysunkowi Pia rozmawiając z policjantami gromadzącymi się powoli na parkingu, cały czas miała przed oczyma plan wioski. Akcja przepytывania mieszkańców w ich domach nie przyniosła żadnych pomocnych informacji.

– Pies podjął ślad na skraju lasu, wzdłuż ulicy, w okolicach domu jej rodziców, w ogrodzie sąsiadów i w okolicach ich oranżerii – raportował szef pieszej grupy poszukiwawczej.

– Jak nazywają się ich sąsiedzi? – zapytała Pia.

– Terlinden – odparł policjant. – Kobieta, którą zastaliśmy, wyjaśniła, że Amelie często

odwiedzała ich syna. To by, niestety, oznaczało, że ślady nie wnoszą niczego nowego. – Mężczyzna zrobił rozczarowaną minę. Nic nie deprymowało bardziej niż poszukiwania bez rezultatów.

*

KAI OSTERMANN złamał w końcu hasło dostępu do komputera Amelie i zaczął sprawdzać historię przeglądarki, by się dowiedzieć, jakie strony dziewczyna odwiedzała w ciągu kilku ostatnich dni. Wbrew oczekiwaniom okazało się, że zaginiona z rzadka tylko logowała się na portalach społecznościowych, takich jak Facebook czy Myspace; miała co prawda założone na nich konta, ale nie aktualizowała swoich profili ani nie miała zbyt wielu znajomych. Wyszło natomiast, że ostatnio bardzo intensywnie poszukiwała wiadomości o sprawie nastolatków zamordowanych w 1997 roku oraz o procesie i skazaniu Tobiasa Sartoriusa. Poza tym najwyraźniej interesowała się również mieszkańcami Altenhain, bo w różnych wyszukiwarkach wpisywała ich nazwiska. Szczególnie wiele takich zapytań dotyczyło rodziny Terlindenów. Ostermann był rozczarowany. Kiedy zaczynał, miał nadzieję znaleźć archiwum rozmów z jakimś znajomym z Internetu albo ślady innych podejrzanych kontaktów – cokolwiek, co pomogłoby pchnąć naprzód poszukiwania. Zwołana pośpiesznie odprawa, którą Bodenstein zarządził na samym początku, również nie przyniosła przełomu, choć przybyło na nią dwadzieścia pięć osób zaangażowanych w akcję. Wraz z zapadnięciem ciemności przerwano działania operacyjne. Za pomocą kamery termowizyjnej udało się zlokalizować jedynie parę kochanków w aucie zaparkowanym na odludnej polanie oraz umierającą sarnę, która trafiona przez myśliwego miała jeszcze dość sił, żeby uciekać. Na ślady zaginionej jednak nie trafiono. Przepytany został kierowca autobusu 803 z Bad Soden do Königstein, który szesnaście po dziesiątej wieczorem zatrzymał się na przystanku w Altenhain przy kościele. Drugi kierowca, jadący w przeciwnym kierunku, również musiał odpowiedzieć policji na kilka pytań; żaden z nich nie przypominał sobie ciemnowłosej nastolatki. W centralach korporacji taksówkowych też nie natrafiono na jej ślad, bo żaden z taksówkarzy nie wiózł w sobotę wieczorem dziewczyny pasującej do opisu. Jeden z policjantów zaangażowanych w poszukiwania, który na co dzień pracował w wydziale K23, znalazł mieszkańca wioski, który zeznał, że wyszedł nocą z psem na spacer i mniej więcej pół godziny po północy zobaczył na ławce na przystanku jakiegoś mężczyznę.

– Powinniśmy zarządzić przeszukanie posesji Sartoriusów – zaproponował Behnke.

– Niby dlaczego? Nie ma ku temu żadnych powodów. – Pia natychmiast zaprotestowała, choć wiedziała, że nie do końca ma rację.

Dotychczas zebrane fakty przemawiały niestety jednoznacznie na niekorzyść Tobiasa Sartoriusa. Znajomi, których nazwiska podał, zeznali, że dołączył do nich około dziewiętnastej. Wieczorem zadzwonił do niego Jörg Richter i zaprosił na niewielką imprezę. Tobias miał trochę wypić, jednak nie tyle, żeby alkohol usprawiedliwił całkowitą utratę świadomości. Przed dwudziestą drugą nieoczekiwanie wyszedł z hali garażowej, w której odbywało się spotkanie. Z początku wszyscy

myśleli, że poszedł tylko na stronę, ale koniec końców nie wrócił już do towarzystwa.

– Co proszę?! Nie ma powodu? Zaginęła siedemnastoletnia dziewczyna, która utrzymywała kontakty towarzyskie ze skazanym mordercą nastolatek – zdenerwował się Behnke. – Mam córkę w jej wieku i potrafię sobie wyobrazić, co muszą teraz czuć jej rodzice!

– Uważasz, że koniecznie trzeba mieć dzieci, żeby sobie wyobrazić, co czują? – odparowała Pia. – Jeśli już jesteśmy przy załatwianiu nakazów przeszukania, to dlaczego od razu nie wystawić nakazu na dom Terlindenów? Tam psy znalazły całą masę śladów zaginionej!

– To by się zgadzało. – Bodenstein uznał, że najwyższy czas włączyć się do tej wymiany zdań, żeby nie dopuścić do wybuchu gwałtowniejszej kłótni. – Jednak macocha Amelie twierdzi, że dziewczyna często bywała tam jako gość. Stąd mam duże wątpliwości, czy te ślady mają dla nas jakieś znaczenie.

Pia zamilkła. Tobiasz poprosił ojca, by powiedział prawdę, choć musiał sobie zdawać sprawę, że wszystko będzie świadczyć przeciwko niemu. Mógł milczeć albo wykorzystać alibi podane przez Hartmuta Sartoriusa. Dlaczego z tego zrezygnował?

– Uważam, że Amelie zniknęła, bo trafiła na coś, co miało związek z morderstwami sprzed jedenastu lat – powiedziała po chwili. – Mam wrażenie, że bardzo wielu ludziom zależy na zachowaniu w tajemnicy, co się wtedy naprawdę wydarzyło.

– Bez sensu. – Behnke potrząsnął w zamyśleniu głową. – Ten chłopak po alkoholu traci panowanie nad sobą. Powiem wam, jak było: wyszedł pijany z imprezy, wpadł na Amelie i dziewczyna musiała zapłacić za to, że znalazła się w złym miejscu o złym czasie.

Pia uniosła brwi. Behnke szedł jak zwykle po linii najmniejszego oporu.

– W takim razie co zrobił z ciałem? Przypominam, że był piechotą.

– Tak w każdym razie twierdzi. – Behnke wskazał głową na tablicę. – Przypatrzcie się uważnie zdjęciu zaginionej.

Głowy zebranych jak na komendę zwróciły się w stronę dużej fotografii Amelie.

– Wygląda kropka w kropkę jak dziewczyna z 1997. Ten gość ma nierówno pod sufitem.

– No dobrze – zdecydował Bodenstein. – Koleżanko Fachinger, niech się pani wystara o nakaz rewizji domu, samochodu i posesji Sartoriusów. Kai, ty pracuj dalej nad pamiętnikiem. Pozostali mają być gotowi na wezwanie niezależnie od pory. Spotykamy się jutro o ósmej rano i ruszamy dalej z poszukiwaniami. Tym razem zatoczmy szersze koło.

W ten sposób zakończona została odprawa, a następnie rozległo się szuranie krzeseł. Wśród funkcjonariuszy wciąż jeszcze panował umiarkowany optymizm. Większość z nich podzielała zdanie Behnkego, mając nadzieję, że przeszukanie w domu Sartoriusów przyniesie przełom. Pia czekała, aż wszyscy wyjdą z pokoju odpraw, bo chciała porozmawiać z Bodensteinem o swoich zastrzeżeniach,

jednak zanim zdążyła otworzyć usta, do sali weszła doktor Nicola Engel, prowadząc ze sobą dwóch mężczyzn w garniturach i pod krawatami.

– Jedna chwilka – zwróciła się do Behnkego, który zmierzał do wyjścia.

Pia spojrzała porozumiewawczo na Kathrin Fachinger i razem wyszły na korytarz.

– Koleżanko Fachinger, proszę się nigdzie nie oddalać – oznajmiła doktor Engel, po czym zamknęła drzwi.

– Proszę, proszę. – Kathrin popatrzyła na Pię. – Teraz to naprawdę jestem ciekawa, co z tego wyjdzie.

– A kim są ci goście? – Pia była wyraźnie zaskoczona.

– Wydział wewnętrzny. – Kathrin wydawała się całkiem zadowolona. – Mam nadzieję, że dobiorą się temu gnojkwowi do dupy.

Dopiero w tym momencie Pia skojarzyła relację Kathrin ze spotkania z Behnkiem w knajpie i jej późniejsze wzbranianie się przed partnerowaniem mu.

– Jak się dzisiaj zachowywał wobec ciebie? – zapytała.

Kathrin uniosła jedynie brwi.

– Chyba nie muszę ci mówić, co? – odparła. – Był absolutnie ohydny. Ochrzaniał mnie przy wszystkich, jak jakąś głupią nowicjuszkę. Ale mu nie odpowiadałam. Jednego możesz być pewna – jeśli sprawa rozejdzie się po kościach, a on nie poniesie żadnej odpowiedzialności, składam podanie o przeniesienie. Nie mam zamiaru dalej użerać się z tym typem.

Pia potaknęła. Potrafiła ją zrozumieć. Miała też przecucie, że tym razem Frank Behnke nie spadnie na cztery łapy, bo Nicola Engel nosiła w sobie jakiś zadawniony uraz, jeszcze z czasów wspólnej służby w K11 we Frankfurcie. Nadęty dupek, pomyślała. Wcale nie było jej go żal.

WTOREK 18 LISTOPADA 2008

Na biurku leżała rozłożona gazeta. W Altenhain znów zaginęła nastolatka, i to niedługo potem, jak odnaleziono szkielet Laury Wagner. Lars Terlinden zdawał sobie sprawę, że przez szklane ściany gabinetu widzi go sekretarka i ludzie z działu handlowego. Powstrzymał się i nie ukrył twarzy w dłoniach. Po co w ogóle wracał do kraju?! Idiotyczna decyzja! Żądza coraz większych pieniędzy skłoniła go przed dwoma laty do porzucenia świetnie opłacanej posady maklera w londyńskim City i zamiany jej na jeszcze lepiej opłacaną posadę we Frankfurcie, w zarządzie jednego z wielkich szwajcarskich banków. To był bardzo głośny transfer. Napisano o nim kilka artykułów, bo miał wówczas ledwie dwadzieścia osiem lat. „Cudownemu dziecku”, jak określił go „Wall Street Journal”, wszystko się udawało. Obserwatorzy odnosili wrażenie, że czegokolwiek dotknął, zamieniał w złoto – aż sam w końcu uwierzył, że jest najlepszy. A potem zderzył się brutalnie z rzeczywistością i nie miał innego wyjścia, jak spojrzeć na swoją przeszłość i uznać swoje tchórzostwo wraz z jego wszystkimi konsekwencjami. Lars Terlinden westchnął ciężko. Jego jedynym i brzemennym w skutki przewinieniem była decyzja, by pobiec wtedy za nimi. Gnało go bezsensowne pragnienie, by dogonić Laurę i wyznać, jak bardzo ją kocha. Ile dałby dzisiaj za to, by wówczas zostać w tłumie! Gdyby tylko... potrząsnął głową, zdecydowanym ruchem zmiął gazetę i wrzucił ją do kosza na śmieci. Nic nie mogło go rozpraszać, bo problemy, które czekały na rozwiązanie, wymagały pełnej koncentracji. Zbyt wiele ryzykował, by nie dawać z siebie wszystkiego. Miał na utrzymaniu rodzinę i całą masę zobowiązań finansowych, które pozaciągał jeszcze przed wybuchem kryzysu – już wtedy z trudem je regulował. Na spłatę czekała ogromna willa w górach Taunus i apartament wakacyjny na Majorce, a raty leasingowe za ferrari i wóz terenowy żony trzeba było uiszczać każdego miesiąca... Tak, wpadł w błędne koło; zupełnie jak wówczas. I coraz wyraźniej, i boleśniej odczuwał, że się pogrąża. Niech diabli porwą Altenhain!

*

OD TRZECH GODZIN siedział na ławce przed apartamentowcem i wpatrywał się w ciemną plamę starego doku portowego. Nie przeszkadzało mu ani nieprzyjemne zimno, ani pełne dezaprobaty spojrzenia mieszkańców domu, którzy z nieufnością spoglądali na jego zdemolowaną twarz. U siebie nie mógł już dłużej wytrzymać, a poza Nadją nie przyszła mu do głowy żadna osoba, z którą mógłby porozmawiać. A musiał rozmawiać. Bał się, że eksploduje, jeśli nie powie wszystkiego, co go dręczy. Amelie zniknęła, a w Altenhain roiło się od policji, która prowadziła gigantyczną akcję poszukiwawczą: podobnie jak poprzednim razem, zaglądali pod każdy kamień. I podobnie jak poprzednio, czuł się niewinny, a jednak zwątpienie drobnymi krokami zakradało się do jego duszy. Ten przekłety alkohol! Nigdy więcej nie weźmie już kropli wódki do ust! Usłyszał zbliżający się stukot obcasów. Uniósł głowę i rozpoznał Nadję. Kobieta szła, rozmawiając przez komórkę. Nagle

ogarnęły go wątpliwości, czy w ogóle się ucieszy, gdy go zobaczy. Jej widok wzmógł w nim poczucie słabości i małości, które opanowywało go zawsze, ilekroć znalazł się blisko niej. W starej, wytartej skórzanej kurtce i ze zmasakrowaną twarzą czuł się jak skończony żebrak. Może nie powinien był w ogóle jej obciążać swoją obecnością... może powinien zniknąć i już nigdy się nie pojawiać...

– Tobi! – Nadja schowała telefon do torebki i z zatroskaną miną ruszyła w jego stronę. – Co ty tu robisz w taki mróz?

– Amelie zniknęła – odpowiedział. – Policja mnie przesłuchiwała.

Wstał z wysiłkiem. Nogi miał skostniałe z zimna, a plecy bolały niemiłosiernie.

– Dlaczego? Dlaczego akurat ciebie?

Chuchnął w dłonie i zaczął je rozcierać, żeby się rozgrzać.

– Jak to dlaczego? Raz skazany za morderstwo na zawsze będzie już mordercą. Poza tym nie mam alibi na czas, kiedy ona zaginęła.

Nadja stała nieruchomo i wpatrywała się w niego.

– Chodź, wejdziemy do środka. – Wyjęła klucze i otworzyła drzwi.

Ruszył za nią na zeszywniałych nogach.

– Gdzie byłaś? – zapytał, kiedy jechali przeszkloną windą do jej apartamentu na ostatnim piętrze.

– Czekam na ciebie już od paru godzin.

– Byłam w Hamburgu, mówiłam ci przecież. – Potrząsnęła głową i dotknęła delikatnie jego dłoni.

– Najwyższy czas, żebyś kupił sobie telefon komórkowy.

Dopiero teraz sobie przypomniał, że w sobotę Nadja poleciała do Hamburga na plan swojego serialu. Pomogła mu zdjąć kurtkę, a potem pchnęła delikatnie w kierunku kuchni.

– Usiądź – poprosiła. – Jesteś zmarznięty. Zaparzę ci kawę, żebyś się rozgrzał. Boże, biedaku!

Sama dopiero teraz zdjęła płaszcz i przerzuciła go przez oparcie krzesła. Nagle rozległ się polifoniczny dzwonek jej komórki, lecz ona nie zwróciła na niego uwagi. Podeszła do ekspresu i zaczęła przygotowywać kawę.

– Naprawdę bardzo się martwię o to, co się mogło stać Amelie – powiedział Tobias. – Nie mam pojęcia, co wie o tamtych wydarzeniach, z kim rozmawiała. Jeśli coś jej się stało tylko dlatego, że chciała mi pomóc, to ja będę wszystkiemu winny.

– Zaraz, spokojnie. Przecież nie zmuszałeś jej, żeby gmerała w przeszłości, prawda? – zaprotestowała Nadja. Postawiła na stole dwie filiżanki kawy, z lodówki wyjęła mleko i usiadła naprzeciwko. Była bez makijażu i miała lekko podkrążone oczy; wyglądała na zmęczoną.

– No, już dobrze. – Położyła dłoń na jego dłoni. – Napij się teraz. Coś ciepłego dobrze ci zrobi. Potem mogę napuścić gorącej wody do wanny. Weźmiesz kąpiel i odtajesz.

Dlaczego nie chciała go zrozumieć? Dlaczego nie widziała, co się z nim dzieje? Nie chciał ani pieprzonej kawy, ani choleryjnej kąpieli! Chciał usłyszeć, jak mówi, że wierzy w jego niewinność i że razem pomyślą, co mogło spotkać Amelie. Tymczasem ją obchodziło tylko picie i ciepła woda, jakby to było najważniejsze na świecie!

Ponownie rozdzwoniła się jej komórka, a chwilę później telefon stacjonarny. Westchnęła ze znużeniem, wstała i podniosła słuchawkę. Tobias wpatrywał się w nią, nie ruszając się z miejsca. Mimo że szef gliniarzy, który z nim rozmawiał, nie ukrywał, że mu nie wierzy, znacznie bardziej martwił się o Amelie niż o siebie. Po chwili Nadja się rozłączyła i podeszła do niego od tyłu. Objęła go ramionami, musnęła ustami ucho i pocałowała w nieogolony policzek. Tobias musiał ze sobą walczyć, by jej nie odepchnąć. Nie w głowie były mu teraz czułości, naprawdę tego nie widziała? Dostał gęziej skórki, kiedy przesunęła opuszką wskazującego palca wzdłuż blizny, którą na jego szyi zostawiła linka do suszenia prania. Kiedy skończyła, złapał ją za nadgarstek, nie wstając z krzesła, odsunął się od stołu i szarpnięciem posadził sobie na kolanach.

– W sobotę wieczorem byłem z chłopakami w garażu wujka Jörga – powiedział szeptem. – Najpierw piliśmy piwo, potem wódkę z red bullem. To mnie totalnie rozwaliło. Obudziłem się dopiero w niedzielę po południu. Miałem strasznego kaca i nic nie pamiętałem.

Jej oczy znalazły się blisko jego twarzy. Popatrzyła na niego uważnie.

– Hm – mruknęła jedynie.

Domyślał się, co chciała przez to powiedzieć.

– Wątpisz we mnie – zarzucił jej i odsunął ją trochę. – Uważasz, że to ja... że mogłem Amelie... że ją zamordowałem, jak wcześniej Laurę i Stefanie? Tak?!

– Nie! Oczywiście, że nie! – zapewniła go. – Dlaczego miałbyś cokolwiek jej zrobić? Przecież chciała ci pomóc!

– Tak. Chyba tak. Ja już nic nie rozumiem.. – Wstał, podszedł do lodówki, oparł się i przeczesał dłonią włosy. – Niestety, rzeczywistość wygląda tak, że nie pamiętam niczego, co się działo między wpół do dziesiątej wieczorem w sobotę i czwartą po południu w niedzielę. Czyli wychodzi na to, że teoretycznie mogłem to zrobić i z takiego założenia wychodzą gliny. A do tego jeszcze Amelie kilkanaście razy usiłowała się do mnie dodzwonić. Ojciec twierdzi, że o wpół do drugiej nad ranem wróciłem z doktor Lauterbach. Znalazła mnie pijanego na przystanku autobusowym przed kościołem.

– Cholera... – mruknęła Nadja i usiadła przy stole.

– Sama widzisz. – Tobias uspokoił się nieco, sięgnął po paczkę papierosów, która leżała na stole, i zapalił jednego. – Policja zabroniła mi wyjeżdżać. Mam się stawiać na każde wezwanie.

– Niby dlaczego?

– Bo jestem podejrzany, to chyba oczywiste!

– Ale... ale przecież nie mają prawa tak robić – zaczęła Nadja.

– Mają prawo. – Tobias wszedł jej w słowo. – Już raz z tego prawa skorzystali. I wiesz co? Zapłaciłem za to dziesięć latami w pudle.

Zaciągnął się głęboko dymem i popatrzył zamyślony na Nadję, a potem przeniósł wzrok dalej, na okno. Skończyła się przyjemna, ciepła pogoda i listopad pokazał swoje prawdziwe, nieprzyjemne oblicze. Gęsty deszcz wylewał się z nisko wiszących chmur i spływał po sięgających podłogi szybach. W strugach wody ledwie było widać zarys mostu poniżej.

– Musi być ktoś, kto zna prawdę – stwierdził Tobias i unióś filiżankę kawy.

– Kto? Co masz na myśli? – Nadja przechyliła głowę i nie spuszczała z niego wzroku. Tobias zamrugał. Denerwowało go jej zachowanie. Dlaczego była tak spokojna i opanowana?

– Mówię o Amelie – odparł i zauważył, że na dźwięk tego imienia Nadja uniosła na chwilę brwi. – Jestem pewien, że dowiedziała się czegoś, przez co znalazła się w niebezpieczeństwie. Dostała od Thiesa jakieś obrazy. Nie zdążyła mi powiedzieć, co dokładnie na nich było, ale to widać wystarczyło, by ktoś poczuł się zagrożony.

*

WYSOKA BRAMA uwieńczona złotym szpicem blokowała wjazd na teren posesji rodziny Terlindenów, jednak nikt nie reagował na dzwonienie. I tylko niewielka kamera z błyskającą czerwoną diodą śledziła każdy ich ruch. Pia wzruszyła ramionami, by dać znać szefowi, który siedział w samochodzie z telefonem przy uchu, że nikt nie otwiera. Wcześniej chcieli porozmawiać z biznesmenem w jego firmie, lecz pocałowali kłamkę, bo okazało się, że z powodu problemów rodzinnych nie pojawił się w pracy.

– Dobra, to jedziemy do Sartoriusa. – Bodenstein uruchomił silnik i na wstecznym biegu wyjechał na ulicę, żeby zawrócić. – Terlinden nam nie ucieknie...

W drodze na główną ulicę minęli tylne wejście na teren posesji Hartmuta Sartoriusa, na której wręcz roiło się od policji. Nakaz przeszukania obejmował wszystkie nieruchomości zarejestrowane na jego nazwisko. Kathrin Fachinger poprzedniego dnia wieczorem poinformowała o tym Pię, choć w rzeczywistości wykorzystwała to jako pretekst, by opowiedzieć, jak zakończyła się sprawa dochodzenia wydziału wewnętrznego przeciwko Behnkemu. Okazało się, że nagle ustała nadzwyczajna pobłażliwość i nic tego zmienić nie mogło – nawet gdyby Bodenstein osobiście się za nim wstawił. Jako że Behnke podjął pracę, której nawet nie zgłosił w policji, nie mówiąc już o uzyskaniu pozwolenia, musiał się liczyć z postępowaniem dyscyplinarnym, naganą z wpisem do akt, a i całkiem prawdopodobne, że czekała go degradacja. Na dodatek doktor Engel poinformowała go dość dosadnie, że jeśli jeszcze raz zachowa się niewłaściwie wobec Kathrin Fachinger, albo, nie daj Boże, będzie próbował jej grozić, musi się liczyć z natychmiastowym zawieszeniem i wydaleniem ze

służby. Pia raczej nie zdecydowałaby się na złożenie oficjalnej skargi przeciwko niemu. Ciekawe, czy to z powodu tchórzostwa, czy źle pojętej lojalności? Najwyraźniej młodsza koleżanka miała w sobie więcej odwagi niż którekolwiek z nich przypuszczało. Podziwiała ją za to. Najwyraźniej nie doceniała Kathrin.

Pusty dotychczas parking przed Żłotym Kogutem był zastawiony policyjnymi autami. Na chodniku przed karczmą mimo padającego deszczu zebrał się tłumek gapiów – sześć czy siedem osób, które akurat nie miały nic lepszego do roboty. Pia i Bodenstein wysiedli z samochodu. Hartmut Sartorius zajęty był szorowaniem napisu, który ktoś wymalował czerwonym sprayem na ścianie dawnej karczmy. Syzyfowa praca. Graffiti głosiło: TUTAJ MIESZKA MORDERCA DZIECI!

– Wodą z mydłem i zwykłą szczotką pan tego nie zmyje – odezwał się Bodenstein.

Mężczyzna się obejrzał. W oczach miał łzy. W przemoczonym niebieskim kitlu i z mokrymi włosami wyglądał jak kupka nieszczęścia.

– Dlaczego nie dadzą nam spokoju? – zapytał ze smutkiem i rezygnacją. – Wcześniej byliśmy sąsiadami. Lubiliśmy się. Nasze dzieci razem się bawiły. A teraz? Tylko nienawiść!

– Może wejdziemy porozmawiać do domu – zaproponowała Pia delikatnie. – Podeślemy kogoś, kto to usunie.

Sartorius wrzucił szczotkę do wiadra.

– Wasi ludzie przewracają mi dom do góry nogami. – W jego głosie słychać było skargę. – Cała wieś tylko tym żyje. Czego chcecie od mojego syna?

– A zastaliśmy go?

– Nie. – Wzruszył ramionami. – Nie wiem, dokąd pojechał. Nic już nie wiem.

Popatrzył na Pię, potem na Bodensteina, a potem gdzieś dalej. Nagle zapłonął złością, której nikt się po nim nie spodziewał; złapał kubeł z mydlinami i pobiegł przed parking. Wydawało się, że na powrót stał się tym mężczyzną, którym był wcześniej.

– Wynoście się! Zostawcie nas w spokoju, cholerni idioci! – ryknął i rzucił wiadrem przez ulicę, w stronę gapiów, którzy nie schodzili z posterunku. – Odwalcie się! Zostawcie nas!

Po tych słowach głos mu się załamał. Wyglądał, jakby za chwilę miał się rzucić na ciekawskich z pięściami. Bodenstein złapał go za ramię. Wtedy fala energii, która go napędzała, odpłynęła równie szybko, jak się pojawiła. Hartmut Sartorius zapadł się w sobie i wsparł się na policjancie. Był jak balon, z którego nagle uszło powietrze.

– Przepraszam – powiedział szeptem, a potem uśmiechnął się słabo. – Już dawno powinienem był to zrobić.

*

W DOMU trwało przeszukanie prowadzone przez zespół techników. Hartmut zaprowadził Bodensteina i Pię do tylnego wejścia do karczmy, otworzył drzwi i wpuścił ich do wielkiego

pomieszczenia utrzymanego w rustykalnym stylu. Sala dla gości, choć od lat nieużywana, wyglądała jakby została zamknięta tylko na chwilę. Krzesła stały odwrócone na stołach, na podłodze nie było ani śladu kurzu, a oprawione w sztuczną skórę karty dań leżały starannie ułożone na barze, tuż obok kasy. Drewniana lada błyszczała, starannie wypastowana, podobnie jak dystrybutory do piwa i nogi stołków barowych, w równym rzędzie czekających na gości. Pia rozejrzała się i poczuła ciarki na plecach. Miała wrażenie, że znalazła się w miejscu, w którym czas się zatrzymał.

– Codziennie tutaj przychodzę – wyjaśnił Sartorius. – Gospodę Pod Żłotym Kogutem prowadzili już moi dziadkowie, a potem rodzice. Nie potrafiłbym tego tak po prostu zlikwidować.

Podszedł do okrągłego stolika niedaleko baru, zdjął z niego krzesła i gestem zaprosił Pię i Bodensteina, żeby usiedli.

– Nalać coś do picia? Może kawę?

– Tak, kawę z przyjemnością – odparł Bodenstein i uśmiechnął się uprzejmie.

Sartorius sprężystym krokiem wszedł za bar, zdjął z półeczki filiżanki i nasypał kawy do ekspresu. Pewne ruchy, wyuczone na pamięć tysiącami powtórzeń, wracały mu utraconą pewnością siebie. Nie przerywał przy tym barwnej opowieści o czasach, kiedy karczma jeszcze działała: sam opracował mięso na posiłki, gotował i sam robił nalewki.

– Przyjeżdżali do nas ludzie z samego Frankfurtu! – powiedział, a w jego głosie słychać było prawdziwą dumę. – Tylko po to, żeby napić się mojego wina jabłkowego. I to nie byle kto! Sławne osobistości u nas bywały! Na górze, w większej sali, co tydzień organizowane były jakieś przyjęcia. Wcześniej, w czasie kiedy moi rodzice tu rządzą, organizowali pokazy kinowe, walki bokserskie... ale żeby tylko! Co tu się nie działo! Ludzie nie mieli jeszcze samochodów, to i więcej ich przychodziło.

Bodenstein i Pia wymienili spojrzenia. Tutaj, w swoim królestwie, Hartmut Sartorius wciąż był szefem, kierownikiem i kucharzem, któremu zależy na zadowoleniu gości. Zniknął gdzieś przygarbiony, zniszczony życiem staruszek, w jakiego zamieniło go życie. Dopiero teraz Pia zrozumiała rozmiar straty, jaka spadła na jego barki. Ogarnęło ją wielkie współczucie. Chciała zapytać, dlaczego nie zdecydował się opuścić Altenhain, ale zanim cokolwiek powiedziała, uświadomiła sobie, że zna odpowiedź. Hartmut Sartorius był związany z tym miejscem równie mocno jak stojący w ogrodzie kasztan. Tutaj od pokoleń mieszkała jego rodzina.

– Pięknie wysprzątałicie podwórze – zagaił niezobowiązująco rozmowę Bodenstein. – To musiał być ogrom pracy.

– To nie ja, tylko Tobias. On sam wszystko uprzątnął. Chce, żebym sprzedał gospodarstwo – odparł staruszek. – I pewnie ma rację, bo tutaj już nigdy nie będzie tak jak dawniej. Ale jest jeden problem, bo gospodarstwo nie należy do mnie.

– Doprawdy? A do kogo?

– Potrzebowaliśmy pieniędzy na prawników. Bardzo dużo pożyczaliśmy – wyjaśnił Sartorius otwarcie. – W końcu spłata długów przerosła nasze możliwości, tym bardziej że już wcześniej wzięliśmy kredyty na nową kuchnię w karczmie, traktor do gospodarstwa i jeszcze kilka innych rzeczy. Przez trzy lata udawało się jakoś to wszystko uciągnąć, ale potem... potem goście przestali przychodzić. Musiałem zamknąć interes. Gdyby nie Claudius... z dnia na dzień wylądowalibyśmy na ulicy.

– Claudius Terlinden? – powtórzyła Pia i zaczęła kartkować swój notatnik.

Nagle zrozumiała, co miała na myśli Andrea Wagner, kiedy powiedziała, że nie chciała znaleźć się w takiej sytuacji jak Sartorius. Wolała iść do pracy, niż popaść w zależność od Claudiusa Terlindena.

– Tak, zgadza się. Claudius był jedyną osobą, która zdecydowała się nam pomóc. Przede wszystkim wynajął adwokata dla Tobiasa, a później regularnie odwiedzał go w więzieniu.

– Rozumiem...

– Terlindenowie mieszkają we wsi równie długo jak moja rodzina. Pradziadek Claudiusa był kowalem, ale kiedyś dokonał wynalazku, dzięki któremu otworzył warsztat ślusarski. Dziadek Claudiusa przemienił go w prawdziwą firmę i za zarobione pieniądze zbudował tę ich willę pod lasem – tłumaczył dalej. – Terlindenowie byli zawsze nastawieni bardzo przyjaźnie i wspierali lokalną społeczność. Zrobili wiele dobrego dla naszej wsi, dla swoich pracowników i dla ich rodzin. Dzisiaj w nic nie musieliby się angażować, ale Claudius jest inny. On każdego wysłucha i jeśli ktoś naprawdę potrzebuje pomocy, nigdy nie zostawi takiego kogoś samemu sobie. Bez jego wsparcia kluby i stowarzyszenia działające we wsi nie miałyby szans. Kilka lat temu podarował straży pożarnej nowy wóz gaśniczy, działa w zarządzie klubu sportowego i sponsoruje dwie pierwsze drużyny. No i oczywiście boisko ze sztuczną nawierzchnią to też jego zasługa.

Przez chwilę patrzył przed siebie i rozmyślał, a Bodenstein i Pia nie chcieli mu przerywać. Nagle ożywił się i zaczął mówić dalej:

– Claudius zaproponował Tobiasowi pracę u siebie. Powiedział, że może go zatrudnić, dopóki nie znajdzie czegoś na stałe. Lars był najlepszym przyjacielem mojego syna. Bardzo często u nas bywał. Wchodził i wychodził, kiedy chciał, a my traktowaliśmy go jak własne dziecko. Tobias u Terlindenów też czuł się jak w domu.

– Lars – przerwała mu Pia – to ten upośledzony umysłowo syn Terlindena, tak?

– Nie, nie! Mówi pani o Thiesie. – Sartorius potrząsnął przecząco głową. – Thies jest bratem Larsa. Poza tym nie jest upośledzony umysłowo, tylko choruje na autyzm.

– Z tego, co pamiętam – zaczął Bodenstein, który dzięki wsparciu Pii dość dobrze orientował się

w szczegółach sprawy sprzed lat – Claudius Terlinden też znalazł się w kręgu podejrzanych w trakcie śledztwa? Pana syn stwierdził, że coś go łączyło z Laurą, prawda? Jeśli mam być szczery, dla mnie byłby to powód, żeby nieszczęśliwie mieć ochotę wam teraz pomagać.

– Nie sądzę, żeby cokolwiek było między Terlindenem a tą nastolatką – odparł Hartmut po krótkim namyśle. – Dziewczyna była naprawdę ładna, ale trochę taka kokietka. Jej matka pracowała u Terlindenów jako gosposia i często brała córkę ze sobą. Opowiadała Tobiasowi, że Claudius ją podrywa, bo chciała wzbudzić jego zazdrość. Bardzo źle zniosła zerwanie. Dostała kosza, kiedy Tobias spotkał Stefanie. Zakochał się w niej po uszy i Laura nie miała najmniejszych szans. Ta Stefanie to była zupełnie inna liga. Prawdziwa kobieta. Piękna, inteligentna i bardzo pewna siebie.

– Królowa Śnieżka – wtrąciła Pia.

– Tak, tak na nią zaczęli mówić, kiedy dostała tę rolę.

– Jaką rolę? – zdziwił się Bodenstein.

– W przedstawieniu szkolnego teatru. Pozostałe dziewczyny bardzo jej zazdrościły wyróżnienia. Stefanie była w końcu nowa, a mimo wszystko dostała główną rolę.

– Ale Laura i Stefanie chyba się przyjaźniły? – drążyła temat Pia.

– Tak, one obie i Nathalie chodziły do jednej klasy. Świetnie się rozumiały i należały do tej samej paczki. – Sartorius znów znalazł się myślami w przeszłości, w czasie, który był jeszcze szczęśliwy i wolny od zmartwień.

– Kto jeszcze był w tej paczce?

– Laura, Nathalie, chłopcy – Tobias, Jörg, Felix, Michael i pozostali. Nie pamiętam już wszystkich imion. Kiedy do Altenhain sprowadzili się rodzice Stefanie, ona bardzo szybko do nich dołączyła.

– I to z jej powodu Tobias zerwał z Laurą.

– Tak, właśnie dla niej.

– A potem to Stefanie zerwała z nim. Dlaczego do tego doszło?

– Nie mam pojęcia. – Sartorius wzruszył bezradnie ramionami. – Poza tym, kto by tam wiedział, co się dzieje w głowach młodzieży? Słyszałem tylko plotki, że zakochała się w nauczycielu ze szkoły i że to przez niego.

– W nauczycielu? Czyli w Gregorze Lauterbachu?

– Tak. – Hartmut się zasępił. – W czasie procesu wykorzystano to jako argument przeciwko mojemu synowi. Ponoć Tobias miał być zazdrosny o nauczyciela, więc żeby się zemścić... zamordował Stefanie. Ale to bzdura.

– Kto dostał główną rolę w przedstawieniu po Stefanie?

– O ile dobrze pamiętam, to wybrali Nathalie.

Pia spojrzała znacząco na Bodensteina.

– Nathalie, czyli Nadja – wyjaśniła. – Ona jako jedyna trwała przy pana synu. Jak pan myśli, dlaczego?

– Ungerowie to nasi sąsiedzi zza płotu – wyjaśnił Hartmut Sartorius. – Nathalie była dla Tobiasa niczym młodsza siostra, a później, jak dorastali, zmieniła się w najlepszego przyjaciela. Była jakby jego kumplem. Taka trochę chłopczyca, nie robiła min i w ogóle się nie obrażała. Można było z nią konie kraść. Tobias i jego koledzy traktowali ją jak chłopaka, bo robiła to, co oni, i tak samo się zachowywała. Jeździła z nimi na skuterach, wspinała się na drzewa i, kiedy była młodsza, biła się jak wszyscy.

– No dobrze, a wracając jeszcze na chwilę do Claudiusa Terlindena – zaczął Bodenstein, ale w tym samym momencie do sali wmaszerował Behnke, prowadząc za sobą dwóch funkcjonariuszy. Rankiem szef powierzył mu kierowanie przeszukaniem. Zatrzymał się przy stole, a mundurowi stanęli za nim niczym gwardia przyboczna.

– W pokoju pańskiego syna znaleźliśmy coś wyjątkowo interesującego – oznajmił, patrząc na staruszkę.

Pia zauważyła, że oczy kolegi z wydziału połyskują tryumfem, a na ustach błąka się pełen wyższości uśmieszek. Widać było, że rozkoszuje się władzą, jaką dawała mu policyjna odznaka. Cecha charakteru obnażająca słabość. Pia szczerze brzydziła się takim zachowaniem.

Hartmut Sartorius, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, znów zapadł się w siebie i zgarbił.

– To mianowicie – oznajmił Behnke, nie spuszczając go z oczu – było w tylnej kieszeni spodni Tobiasa – zakończył tryumfalnie, a z podniecenia aż drżały mu płatki nosa. – Czy to należy do pana syna? Hę? Nie sądzę! Bo na tylnej klapce ktoś zapisał wodoodpornym pisakiem inicjały właściciela. Proszę, niech się pan dobrze przyjrzy!

Bodenstein odchrząknął znacząco, po czym wyciągnął otwartą dłoń i dał znak, że Behnke ma na niej położyć znaleźisko. Pia najchętniej rzuciłaby mu się na szyję i wycalowała. Wiele wysiłku kosztowało ją pilnowanie, by nie wyszczerzyć zębów w uśmiechu. Bez użycia dosadnych słów Bodenstein wskazał Behnkemu jego miejsce w szeregu – na dodatek w obecności techników z ekipy. Byłaby gotowa przysiąc, że usłyszała, jak poniżony kolega zgrzyta głośno zębami, oddając niechętnie plastikowy worek ze zdobyczą.

– Dziękuję – oznajmił szef, nie podnosząc wzroku. – Możecie wracać do przeszukania.

Szczupła twarz Behnkego pokryła się straszną bladością, by w następnej chwili spurpurowieć z wściekłości. Nie tego się spodziewał! Biada, jeśli ktoś nieopatrznie wszedłby mu teraz w drogę! Złym wzrokiem zmierzył Pię, lecz na szczęście udało się jej zachować całkowicie obojętny wyraz twarzy. Bodenstein przestał zwracać na niego uwagę i oglądał uważnie przedmiot w torbce.

Zmarszczył brwi.

– Wygląda na to, że pański syn miał przy sobie telefon komórkowy Amelie Fröhlich – odezwał się poważnym głosem, kiedy Behnke z pozostałymi wyszli z sali. – W jaki sposób mógł wejść w jego posiadanie?

Hartmut Sartorius zbladł i, trzęsąc się, pokręcił głową.

– Ja... nie mam pojęcia – wyszeptał. – Naprawdę...

*

ROZDZWONIŁ SIĘ telefon komórkowy Nadji. Kobieta podniosła go, spojrzała na wyświetlacz i czym prędzej odłożyła.

– Nie przejmuj się mną, odbierz. – Tobias nie mógł już wytrzymać sygnału przychodzącego połączenia. – Jak nie odbierzesz, nie będziemy mieli chwili spokoju.

Nadja sięgnęła po słuchawkę i odebrała.

– Witaj, Hartmut – przywitała się i spojrzała znacząco na Tobiasa. Mężczyzna odruchowo wyprostował się na krześle. Czego jego ojciec mógł chcieć od Nadji?

– Tak?... aha... tak, rozumiem. – Przez chwilę słuchała, nie spuszczając Tobiasa z oczu. – Nie... niestety. Nie ma go u mnie... nie, nie wiem, gdzie jest... dopiero co wróciłam z Hamburga... tak, oczywiście. Przekażę mu, jeśli tylko go zobaczę.

Rozłączyła się. Przez chwilę panowała cisza.

– Skłamałaś – stwierdził Tobias. – Dlaczego?

Nadja zawahała się i nie od razu odpowiedziała. Spuściła wzrok i westchnęła ciężko. Kiedy znów na niego spojrzała, miała łzy w oczach.

– Trwa przeszukanie waszego domu. Policja sprawdza wszystkie pomieszczenia – wyjaśniła zduszonym głosem. – Chcą z tobą rozmawiać.

Przeszukanie? Policja w domu? Dlaczego? Tobias podniósł się gwałtownie. Nie, nie miał prawa zostawiać ojca samego w takiej sytuacji. To, co się działo, przekraczało granice zdrowego rozsądku.

– Proszę! Tobi! – Nadja popatrzyła na niego błagalnie. – Nie jedź tam! Nie możesz... ja... ja nie pozwolę, żeby znów cię aresztowali!

– A kto powiedział, że mnie aresztują? I za co? – Tobias uniósł brwi ze zdziwienia. – Pewnie chcą mi zadać kilka standardowych pytań, nic więcej.

– Nie! – Kobieta zerwała się na równe nogi. Krzesło, na którym siedziała, przewróciło się na granitową posadzkę. Nadja miała smutną i bezradną minę, a z oczu kapały jej łzy.

– Nic już nie rozumiem... Wyjaśnisz mi, o co chodzi?

Zarzuciła mu ręce na szyję i się przytuliła. Nie wiedział, czym wytłumaczyć jej dziwaczne zachowanie. Pogłaskał ją po plecach i objął mocno.

– W kieszeni twoich dżinsów znaleziono komórkę Amelie – mówiła przytłumionym głosem

Nadja, wtulona w jego szyję.

Tobiasowi odjęło mowę. Ogłuszony odsunął ją od siebie. To jakaś pomyłka! Ktoś musiał zrobić błąd! Jak komórka dziewczyny miała się znaleźć w jego spodniach?

– Nie jedź tam – błagała Nadja. – Ucieknijmy gdzieś razem! Gdzieś daleko, bardzo daleko! Poczekamy, aż to szaleństwo się samo wyjaśni!

Tobias patrzył tępo przed siebie. Z całych sił starał się odzyskać kontrolę. Raz za razem zaciskał pięści i prostował palce. Co mogło się wydarzyć przez te kilka godzin, których nie pamiętał?

– Aresztują cię! – stwierdziła Nadja. Doszła już do siebie po pierwszym szoku. Patrzyła na niego, wycierając łzy z policzków. – Wiesz przecież, że to zrobią! A wtedy nie będziesz już miał żadnych szans, żeby się obronić.

Tak, miała rację. Wiedział o tym. Miał wrażenie, że powtarzają się wydarzenia sprzed lat, w tym samym tempie i kolejności. Wtedy przecież też znaleźli u niego łańcuszek Laury i uznali, że to obciążający dowód. Poczł, jak wzbiera w nim panika. Przerażony opadł ciężko na kuchenne krzesło. Dla policji był doskonale wygodnym podejrzanym. Jeśli odda się w ich ręce, ukręcą mu stryczek z faktu, że miał przy sobie komórkę zaginionej, i bez litości nałożą mu go na szyję. Nagle poczuł ten sam ból, który dręczył go i ostatnim razem, kiedy zatruwało go zwątpienie, czy to jednak mogła być prawda? Morderca, morderca, morderca! Tak długo powtarzano mu to prosto w twarz, że w końcu zaczynał wierzyć, że mają rację. Podniósł wzrok i spojrział na Nadję.

– Dobrze – wyszeptał chrapliwie. – Nie pojedę do Altenhain. Ale... co będzie, jeśli naprawdę to zrobiłem?

*

– ANI SŁOWA PRASIE i osobom spoza śledztwa o telefonie! – rozkazał Bodenstein. Wszyscy funkcjonariusze zaangażowani w przeszukanie domu zgromadzili się w bramie, pod daszkiem. Na dworze lało strumieniami, a na dodatek przez ostatnią dobę temperatura spadła o ponad dziesięć stopni. Między kroplami deszczu błądziły mokre płatki śniegu.

– Dlaczego nie? – zaprotestował Behnke. – Gość nam zwieje. Zorientował się, że go mamy, i postanowił uciec, a my będziemy kręcili się w miejscu jak idioci!

– Nie chcę dopuścić do polowania na czarownice, a tym bardziej do linczu – odparł szef. Atmosfera we wsi jest już dostatecznie podminowana. Macie absolutny zakaz rozmawiania z prasą. Nikt nie może puścić pary z ust, rozumiano? Najpierw muszę osobiście pogadać z Tobiasem Sartoriusem. Jasne?

Zebrani funkcjonariusze potaknęli ze zrozumieniem i tylko Behnke skrzyżował ramiona na piersi i ze złą miną pokręcił głową. Poniżenie, którego doświadczył wcześniej, tliło się w nim niczym zapalony lont, a Bodenstein doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Na dodatek w końcu zrozumiał,

co oznaczało oddelegowanie do kierowania zespołem przeszukującym dom: to była degradacja. Kara. Przez poprzednich dwanaście lat Bodenstein zawsze przychodził mu z pomocą i wyciągał go z kłopotów, w które co i rusz pakował się przez swój wybuchowy charakter. Ale od teraz, jak mu wyraźnie oznajmił, koniec z tym. Tak poważnego naruszenia zasad obowiązujących w policji nie dało się usprawiedliwić problemami rodzinnymi. Bodenstein miał nadzieję, że Behnke potrafi się opanować i zacznie normalnie funkcjonować, bo w przeciwnym razie nikt go nie uratuje przed końcem kariery, wiszącym już nad nim niczym miecz Damoklesa. Bodenstein odwrócił się i ruszył za Pia, która czekała już przy samochodzie.

– Zbierz dane o Tobiasie Sartoriusie i roześlij do wszystkich jednostek. Niech go szukają. – Uruchomił silnik, ale nie ruszył z miejsca. – Cholera, byłem święcie przekonany, że znajdziemy u niego jeszcze jakiś ślad tej dziewczyny!

– Uważasz, że to jego wina, prawda? – Pia wyjęła telefon z torebki i wybrała numer Ostermanna. Wycieraczki przesuwają się z cichym skrzypieniem po zalanej deszczem szybie, a wentylator ogrzewania pracował na najwyższym biegu. Bodenstein zagryzł dolną wargę i się zamyślił. Jeśli miałby być szczerzy, nie zastanawiał się, kto jest winien, a kto nie, bo ilekroć usiłował się skupić na sprawie, przed oczyma pojawiał mu się obraz nagiej żony w ramionach obcego mężczyzny. Czy wczoraj znów się z nim spotkała? Kiedy późnym wieczorem wrócił do domu, Cosima już spała. Wykorzystał okazję, żeby przejrzeć jej telefon. Okazało się, że wykasowała większość wykonanych i odebranych połączeń. Zniknęły też SMS-y ze skrzynki odbiorczej. Tym razem nie dręczyły go wyrzuty sumienia, nawet później, kiedy zabrał się za przetrząsanie torebki i kieszeni płaszcza. Niewiele brakowało, a po raz kolejny zwątpiłby w zasadność swoich podejrzeń, lecz w jej portfelu znalazł dwie prezerwatywy, schowane między kartami kredytowymi.

– Oliver! – Z zamyślenia wyrwał go głos Pii. – Kai znalazł w pamiętniku zaginionej zapisek, z którego wynika, że jej sąsiad każdego ranka czeka, żeby zaoferować podwiezienie na przystanek.

– No i?

– Obok niej mieszka Claudius Terlinden.

Bodenstein nie od razu pojął, do czego zmierza partnerka. Nie miał głowy to takich spraw. Poza tym miał zbyt wiele obowiązków związanych z prowadzeniem tej sprawy, żeby jeszcze tworzyć jakieś hipotezy.

– Musimy z nim porozmawiać – oznajmiła policjantka, nie kryjąc zniecierpliwienia. – Wciąż jeszcze za mało wiemy o środowisku i zwyczajach zaginionej dziewczyny. Na razie byłabym ostrożna ze wskazywaniem Tobiasa Sartoriusa jako sprawcy.

– Tak, masz rację. – Bodenstein pokiwał głową, włączył wsteczny bieg i wyjechał tyłem na ulicę.

– Uważaj! Autobus! – ryknęła Pia, ale było już za późno. Zapiszczały hamulce i rozległ się zgrzyt metalu trącego o metal, a bmw wyskoczyło do przodu, pchnięte siłą zderzenia. Bodenstein walnął

głową w boczną szybę.

– Super – mruknęła Pia, odpięła pas i wysiadła. Bodenstein, wciąż jeszcze oszołomiony, obejrzał się i przez zalane deszczem szyby dostrzegł zarys wielkiego pojazdu. Coś ciepłego ściekało mu po twarzy. Dotknął policzka i spojrzał zaskoczony na palce. Dopiero wtedy zrozumiał, co się przed chwilą wydarzyło. Zrobiło mu się niedobrze na samą myśl, że będzie musiał wysiąść na zimno i deszcz, żeby porozmawiać z wkurzonym kierowcą autobusu. Miał wszystkiego dość. Nagle otworzyły się drzwi od jego strony.

– Cholera, krwawisz! – W głosie Pii usłyszał strach i troskę, ale po chwili zaczęła się śmiać. Za jej plecami, na ulicy, zrobiło się zbiegowisko. Mimo deszczu niemal każdy z funkcjonariuszy, którzy brali udział w przeszukaniu, podbiegł, żeby osobiście ocenić straty.

– Co się tak cieszysz? Bawi cię to? – zapytał Bodenstein i popatrzył na Pię zmęczonym wzrokiem.

– Wybacz. – Ostatnie kilka godzin napięcia i nerwów znalazły w końcu ujście w napadzie histerycznego chichotu. – Nie wiem dlaczego, ale zawsze myślałam, że będziesz krwawił na błękitno, a nie na czerwono.

*

PANOWAŁA JUŻ niemal ciemność, kiedy Pia podjechała solidnie obitym, ale wciąż zdatnym do jazdy bmw pod bramę posiadłości Ter Lindenów. Tym razem wjazd był otwarty.

Przez czysty przypadek na miejscu kolizji zatrzymała się doktor Lauterbach, która wracała ze swojej filii w Altenhain, jak to nazywała. Normalnie przyjeżdżała do gabinetu w ratuszu tylko raz w tygodniu na konsultacje, jednak dzisiaj musiała wpaść po akta któregoś z pacjentów i, wracając, zobaczyła zamieszanie. Opatrzyła ranę na głowie Bodensteina i poradziła, żeby położył się do łóżka, bo nie mogła wykluczyć wstrząśnienia mózgu. Policjant zdecydowanie odrzucił taką możliwość. Pia, która szybko opanowała wybuch niekontrolowanej wesołości, domyślała się, co trapi jej przełożonego, mimo że ani razu nie wspomniał o swoich problemach z Cosimą.

Ruszyli szerokim podjazdem, wzdłuż którego rzędem stały niewysokie latarnie. Droga prowadziła przez zadbane park ze starodrzewem i wypielęgnowanymi krzakami. W końcu zza zakrętu wyłonił się zatopiony w wieczornej mgle dom – wielka willa z szachulcowymi ścianami, spadzistym dachem, kilkoma wykuszami, wieżyczką i ciepło oświetlonymi oknami. Pia wjechała na wewnętrzny podwórzec i zatrzymała się dokładnie naprzeciwko niewysokich schodków prowadzących do drzwi wejściowych. Powitała ich kolekcja dyni powycinanych na Halloween, ustawionych pod masywnymi drewnianymi kolumnami, na których opierało się zadaszenie. Pia zadzwoniła. Ze środka rozległo się szczekanie psów. Przez staromodne, mleczne szyby w drzwiach dało się dostrzec zgraję ujadających zwierząt. Najwyżej skakał niewielki terier jack russel, który zachowywał się jak niespełna rozum.

Lodowaty wiatr zaciął kroplami deszczu, wśród których z każdą chwilą przybywało drobnych kryształków lodu. Pia ponownie nacisnęła dzwonek, wzbudzając wśród psów prawdziwą histerię.

– Może w końcu ktoś raczy podejść i otworzyć – mruknęła, stawiając kołnierz kurtki.

– Prędzej czy później ktoś nas usłyszy. – Bodenstein oparł się o drewnianą balustradę. Miał kamienną twarz. Pia popatrzyła na niego ze złością. Czasem ten jego stoicki spokój naprawdę działał jej na nerwy. W końcu usłyszeli zbliżające się kroki. Psy umilkły i zniknęły, jakby ktoś rzucił na nie zaklęcie. Drzwi się otworzyły, a w progu stanęła delikatna blondynka o dziewczęcej urodzie, ubrana w podbitą futrem kamizelkę, golf, spódniczkę do kolan i modne pantofle z czubeczkami. Na pierwszy rzut oka Pia oceniła ją na nie więcej niż dwadzieścia pięć lat. Miała gładką twarz, na której na próżno by szukać oznak starzenia się, i wielkie, błękitne oczy, którymi z uprzejmą obojętnością przyglądała się intruzom.

– Pani Terlinden? – Pia zaczęła przetrząsać kieszenie marynarki, a potem kurtki, w poszukiwaniu odznaki policyjnej, podczas gdy Bodenstein stał za nią, nieruchomy i niemy, jakby zapomniał języka w gębie. Kobieta potaknęła. – Witam. Nazywam się Kirchhoff, a to mój partner, Oliver Bodenstein. Jesteśmy z policji, wydział K11 w Hofheim. Czy zastaliśmy pani męża?

– Nie, bardzo mi przykro. – Kobieta podała im na powitanie dłoń, z której dało się odczytać jej prawdziwy wiek. Kilka lat temu musiała skończyć pięćdziesiątkę. Pii wydało się teraz, że jej młodzieżowe ubranie w rzeczywistości było przebraniem. – W czym mogłabym pomóc?

Nie próbowała nawet zaprosić ich do środka. Mimo to policjantka zajrzała do wnętrza domu i dostrzegła szerokie, paradne schody ze stopniami wyłożonymi bordowym dywanem, wielki hol z marmurową posadzką w szachownicę i posępne obrazy olejne na wysokich ścianach pokrytych szafranową tapetą.

– Z całą pewnością słyszała już pani, że w sobotę wieczorem zaginęła córka państwa sąsiadów – zaczęła Pia. – Psy tropiące doprowadzały nas za każdym razem w pobliże pani domu. Zastanawiamy się dlaczego.

– Nie ma w tym nic zaskakującego. Amelie bardzo często u nas bywała. – Głos pani Terlinden brzmiał jak świergot ptaków, a spojrzenie wędrowało z szefa na nią i z powrotem. – Przyjaźni się z naszym synem, Thiesem.

Nieświadomie przesunęła dłonią po starannie ufryzowanej głowie i popatrzyła lekko poirytowana na Bodensteina, który od początku rozmowy stał krok z tyłu i się nie ruszał. Plaster na jego skroni wyraźnie odcinał się od ciemniejszej skóry.

– Przyjaźni? Czy to znaczy, że Amelie jest jego dziewczyną?

– Nie, nie, to nie tak. Doskonale się rozumieją – odparła pani Terlinden, wciąż wycofana i oficjalna. – Ona nie ma uprzedzeń i nie daje mu odczuć, że jest... że jest inny.

Mimo że całą rozmowę prowadziła Pia, spojrzenie pani Terlinden co i rusz wędrowało

w kierunku Bodensteina, jakby spodziewała się z jego strony jakiegoś wsparcia. Pia znała ten typ kobiet; te doskonale wystudiowane spojrzenia i gesty, mieszaninę kobiecej bezradności i kokieterii, które niemal w każdym mężczyźnie budzą instynkt obrońcy... bardzo niewiele kobiet ma naprawdę taką naturę. Zdecydowana większość przyjmuje tę rolę jako najskuteczniejszą metodę manipulowania innymi.

– Jeśli to możliwe, chcielibyśmy porozmawiać z pani synem. Może mógłby powiedzieć nam coś o Amelie.

– To niestety też niemożliwe. – Christine Terlinden skubała delikatnie palcami golf wokół szyi, by po chwili znów przesunąć dłonią po blond włosach. – Thies nie czuje się dobrze. Wczoraj miał napad, musieliśmy wezwać lekarkę.

– Jaki napad? – Pia drążyła temat. Jeśli pani Terlinden miała nadzieję, że uda jej się spławić policję kilkoma wymijającymi odpowiedziami, to była w błędzie. A pytania funkcjonariuszki zdawały się nieprzyjemnie jej dotykać.

– No cóż. Thies jest bardzo wrażliwy. Nawet niewielkie zmiany w otoczeniu mogą całkowicie wytrącić go z równowagi.

Tym razem jej słowa zabrzmiały, jakby cytowała wyuczoną na pamięć formułkę, a najbardziej w oczy rzucał się brak jakiegokolwiek współczucia i obojętność. Najwyraźniej nie interesowała się tym, co przydarzyło się córce sąsiadów. Nawet przez grzeczność nie raczyła o to zapytać. Dziwne. Pia przypomniawszy sobie przypuszczenia kobiet w sklepie, które tworzyły różne historie bez żadnych zahamowań, a poza tym uważały Thiesa za prawdopodobnego sprawcę zaginięcia dziewczyny.

– Co porabia pani syn? Czym się zajmuje? – zapytała. – Chodzi gdzieś do pracy?

– Nie. Nie potrafiłby sobie poradzić z obcymi ludźmi – odparła Christine Terlinden. – Dbam o nasz ogród i o ogrody kilku sąsiadów. Jest świetnym ogrodnikiem.

Pia przypomniawszy sobie wtedy piosenkę Reinharda Meyera, którą napisał, parodiując filmy Edgara Wallace'a z lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Mordercą jest zawsze ogrodnik. Czyżby sprawa miała być aż tak prosta? Czy Terlindenowie wiedzieli więcej, niż chcieli powiedzieć, a Thiesa ukryli, żeby go chronić?

*

DESZCZ PRZESZEDŁ W KOŃCU W ŚNIEG. Delikatna biała pierzynka leżała wszędzie dookoła i przykrywała cieniutką warstwą asfalt ulicy. Pia musiała włożyć wiele wysiłku w podjechanie ciężkim samochodem na letnich oponach pod bramę siedziby firmy Claudiusa Terlindena.

– Najwyższy czas zmienić opony na zimowe – skarciła szefa.

– Słucham? – Bodenstein musiał myśleć o czymś innym, bo spojrzał na nią zaskoczony i zmarszczył czoło. Rozdzwoniła się jego komórka.

– Witam, pani doktor. – Odebrał, sprawdziwszy uprzednio na ekranie, kto dzwoni.

– Opony. Zimowe. Zmienić – mruknęła Pia, opuściła szybę w drzwiach i pokazała portierowi odznakę. – Do pana Terlindena. Jesteśmy umówieni.

Nie było to do końca zgodne z prawdą, jednak mężczyzna kiwnął tylko głową i pospiesznie wrócił do swojej ogrzewanej budki, by podnieść szlaban. Pia dodała delikatnie gazu, żeby nie wpaść w poślizg, i wjechała na opustoszały parking przed biurowcem ze szklaną fasadą. Bezpośrednio naprzeciwko wejścia stał zaparkowany czarny mercedes klasy S. Pia zatrzymała się za nim i wysiadła. Czy Bodenstein nie mógłby skrócić rozmowy z doktor Engel? Czują, jak marzną jej stopy, bo przejazd spod domu Claudiusa Terlindena do jego firmy trwał zbyt krótko, by ogrzewanie samochodu zaczęło właściwie działać. Padał coraz gęstszy śnieg. Ciekawe, jak miała potem wrócić bmw szefa do Hofheim, nie lądując po drodze gdzieś w rowie przez letnie opony? Jej wzrok zatrzymał się na paskudnym wgnieceniu na tylnym lewym błotniku luksusowego mercedesa. Uważnie obejrzała uszkodzenie. Nie mogło być stare, bo na odkrytym metalu nie pojawiła się jeszcze rdza.

Zza pleców dobiegło trzaśnięcie drzwiami. Odwróciła się i zobaczyła Bodensteina, jak podchodzi do wejścia i wpuszcza ją przodem. Znaleźli się w holu. Za wysoką ladą z polerowanego orzechowego drewna siedział młody mężczyzna, a na białej ścianie za jego plecami błyszcząły dumnie złote metalowe czcionki ułożone w nazwę firmy TERLINDEN. Wyglądało to skromnie, a jednocześnie robiło wrażenie. Pia wyjaśniła mężczyźnie, po co przyszli. Po krótkim telefonie portier zaprowadził ich do windy ukrytej w tylnej części holu. W milczeniu wjechali na czwarte piętro, gdzie czekała na nich zadbana kobieta w wieku czterdziestu kilku lat. Najwyraźniej wpadli z wizytą akurat w momencie, kiedy szykowała się do wyjścia, bo miała już na sobie płaszcz, szal i torebkę przewieszoną przez ramię. Posłuszna swoim obowiązkom, zaprowadziła ich z uśmiechem do gabinetu szefa.

Po wszystkim, co dotychczas usłyszała o Claudiusie Terlindenie, Pia spodziewała się zobaczyć jowialnego, serdecznego starszego pana. Kiedy więc weszła do jego biura, poczuła się rozczarowana, bo czekał na nich całkowicie przeciętny mężczyzna w krawacie i garniturze, ukryty za pełnym papierów biurkiem. Podniósł się, kiedy wchodzili, zapiął marynarkę i podszedł, by się przywitać.

– Dobry wieczór. – Bodenstein przebudził się z letargu. – Proszę wybaczyć nam tak późną i nieoczekiwaną wizytę, jednak dzisiaj nie raz i nie dwa usiłowaliśmy się z panem skontaktować.

– Dobry wieczór – odparł Claudius Terlinden z uśmiechem. – Sekretarka przekazała mi oczywiście wiadomość. Jutro z samego rana sam bym zatelefonował.

Zbliżał się już do sześćdziesiątki, a jego gęste, ciemne włosy powoli nabierały na skroniach popielatej barwy. Z bliska w żadnym razie nie wygląda przeciętnie, pomyślała Pia. Claudius

Terlinden nie był przystojnym mężczyzną. Miał zbyt wielki nos, kanciastą szczękę, usta zbyt pełne jak na mężczyznę, a mimo to promieniował czymś, co budziło fascynację.

– Wielki Boże, ależ ma pani zimne dłonie! – wykrzyknął, kiedy się z nią witał.

Pia drgnęła pod dotykiem jego suchej, ciepłej skóry. Miała wrażenie, jakby poraził ją prąd. Terlinden przez ułamek sekundy wyglądał na zaskoczonego jej reakcją, ale błyskawicznie się opanował.

– Napije się pani kawy, czy może mógłbym zaproponować gorące kakao, które znacznie lepiej rozgrzewa?

– Nie, dziękuję. Naprawdę, nie jest mi zimno – odparła Pia.

Zrobiło się jej bardzo nieswojo. Czuła intensywność jego wzroku, a na dodatek zaczęły ją piec policzki. Mierzyli się wzrokiem nieco dłużej niż to konieczne. Co takiego wydarzyło się przed sekundą? Czy chodziło o zwykłe, wytłumaczalne rozładowanie sytuacji, czy też było to coś zgoła innego?

Zanim ona albo jej szef zdążyli zadać pierwsze pytanie, Terlinden zapytał, co się dzieje z Amelie.

– Bardzo się o nią martwię – wyznał z powagą. – Amelie jest córką mojego prokurenta, dobrze ją znam.

Pia przypomniała sobie, jaką strategię zaplanowała na tę rozmowę. Chciała z miejsca ostro na niego wsiąść, otwarcie mu zarzucając, że interesuje się młodymi dziewczętami. Teraz wiedziała, że nic z tego.

– Niestety, nie mamy żadnych nowych wiadomości – odpowiedział Bodenstein i, nie czekając na dalsze pytania, przeszedł do rzeczy.

– Powiedziano nam, że odwiedzał pan Tobiasa Sartoriusa w więzieniu. Dlaczego pan to robił? I dlaczego zdecydował się pan pokryć długi jego rodziny?

Pia wsunęła dłonie w kieszenie i spróbowała sobie przypomnieć, o co chciała go zapytać, jednak w głowie miała całkowitą pustkę, jakby jej mózg został sformatowany jak twardy dysk w komputerze.

– Hartmut i Rita spotykali się z ogromnym ostracyzmem ze strony mieszkańców Altenhain – odparł Claudius Terlinden. – Traktowano ich jak trędowatych. Ja nie noszę w sobie chęci rewanzu. To, co miał zrobić Tobias, nie powinno obciążać ich, bo nawet jako rodzice nic nie mogli poradzić.

– Zdecydował się pan na taki krok, mimo że Sartorius wskazał pana jako podejrzanego, który może mieć coś wspólnego z zaginięciem obu dziewcząt? Przez jego oskarżenia miał pan przecież spore problemy.

Terlinden pokiwał głową i wsunął dłonie do kieszeni spodni. Mimo że Bodenstein przewyższał go o głowę, nie tracił ogromnej pewności siebie.

– Nie miałem i nie mam mu tego za złe. Znajdował się w potwornie trudnym położeniu

i wszelkimi dostępnymi metodami chciał się z niego wydobyć. A Laura rzeczywiście dwukrotnie postawiła mnie w bardzo kłopotliwej sytuacji. Jako córka naszej gospodyni często bywała u nas w domu. W pewnym momencie ubzdurała sobie, że się we mnie zakochała.

– Co ma pan na myśli? Jakie to były sytuacje? – Bodensteina zainteresowało jego wyznanie.

– Za pierwszym razem położyła się do mojego łóżka, kiedy brałem kąpiel – odparł Claudius rzeczowym tonem. – Za drugim razem zaskoczyła mnie w salonie i rozebrała się do naga. Mojej żony nie było akurat w domu i ona o tym wiedziała. Bardzo jednoznacznie i prosto z mostu wyjawiała mi, że chce się ze mną przespać.

Z jakiegoś niewytłumaczalnego powodu jego słowa działały Pii na nerwy. Odwróciła wzrok, żeby na niego nie patrzeć, i spróbowała się skupić na wyposażeniu biura. Potężne biurko z litego drewna miało na bokach imponujące płaskorzeźby przedstawiające lwy. Zapewne było też potwornie drogie i bardzo stare, jednak Pia uznała, że nadzwyczaj rzadko widuje się równie paskudne przedmioty. Poza biurkiem w gabinecie stał antyczny globus, a na ścianach wisiały ekspresjonistyczne obrazy w mrocznych, niepokojących barwach. Wszystkie oprawione w proste, złote ramy, przypominające te, które widziała przez uchylone drzwi w rezydencji Terlindenów.

– Co się wtedy wydarzyło? – zapytał policjant.

– Kiedy jej stanowczo odmówiłem, załapała się łzami i wybiegła z pokoju. Dokładnie w tym samym momencie wszedł tam mój syn.

Pia odchrząknęła. Uspokojona odzyskała nad sobą kontrolę.

– Często zapraszał pan Amelie Fröhlich do swojego samochodu – stwierdziła. – Opisała to w swoim pamiętniku. Odnosiła wrażenie, że specjalnie pan na nią czeka.

– Nie, nie czekałem na nią – zaśmiał się Claudius Terlinden. – Ale to prawda, kilka razy ją podwiozłem na przystanek autobusowy i kilka razy, po przypadkowym spotkaniu, ze wsi do nas, na górę.

Mówił bardzo spokojnym głosem, był nieporuszony i nie sprawiał wrażenia, żeby miał cokolwiek na sumieniu.

– Załatwił jej pan pracę kelnerki w gospodzie Pod Czarnym Rumakiem. Dlaczego?

– Amelie chciała zarabiać pieniądze, a w Czarnym Rumaku szukali kelnerki. – Wzruszył ramionami. – Widzi pani, ja znam tu, w Altenhain, dosłownie każdego. I jeśli mogę komuś pomóc, zawsze zrobię to z przyjemnością.

Pia przyjrzała mu się uważnie. W pewnym momencie ich oczy się spotkały, a on nie odwrócił głowy. Ona zadawała pytania, on na nie odpowiadał. Jednocześnie działo się między nimi coś, czego nie rozumiała. Co to było? Na czym polegało to dziwne przyciąganie? Czy to jego ciemne oczy tak działały? Przyjemny, głęboki głos? Aura spokojnej pewności siebie, którą roztaczał? Nic dziwnego,

że potrafił zrobić wrażenie na nastolatce takiej jak Amelie, jeśli nawet dorosłą, doświadczoną kobietę potrafił wyprowadzić w ten sposób z równowagi.

– Kiedy widział pan Amelie po raz ostatni? – wtrącił się Bodenstein.

– Nie wiem. Nie pamiętam dokładnie.

– A pamięta pan, gdzie pan był w sobotę wieczorem? Interesuje nas kilka godzin między dwudziestą drugą a drugą nad ranem w niedzielę.

Claudius Terlinden wyjął ręce z kieszeni i skrzyżował na piersi. Na wierzchu lewej dłoni miał czerwone, podbiegnięte krwią zadrapanie, które wyglądało całkiem świeżo.

– Wieczorem pojechałem z żoną na obiad do Frankfurtu – odparł po krótkim namyśle. – Christine bardzo rozboleła głowa, więc odwiozłem ją do domu, a sam przyjechałem do firmy odłożyć jej biżuterię do sejfu.

– O której wrócił pan z Frankfurtu?

– Około wpół do jedenastej.

– To oznacza, że dwukrotnie musiał pan przejeżdżać obok Czarnego Rumaka – stwierdziła Pia.

– Tak, zgadza się. – Terlinden spoglądał na nią skoncentrowany niczym uczestnik konkursu w telewizji na chwilę przed usłyszeniem decydującego pytania. Tymczasem na pytania Bodensteina odpowiadał ze spokojem graniczącym z flegmą. Bardzo ją to zirytowało, kiedy uświadomiła sobie różnicę w traktowaniu jej i szefa. Bodenstein również zdawał się ją dostrzegać.

– Zauważył pan coś dziwnego? Niecodziennego? – zapytał. – Widział pan może kogoś na ulicy? Jakiegoś spacerowicza?

– Nie, nic niepokojącego nie zauważyłem – odparł Claudius i się zamyślił. – Z drugiej strony przejeżdżam tamtędy przynajmniej kilka razy dziennie i nie zwracam już uwagi na otoczenie.

– Skąd ma pan zadrapanie na dłoni?

Twarz Terlindena spochmurniała. Przestał się uśmiechać.

– Mieliśmy niewielkie nieporozumienie z synem.

Thies – no oczywiście! Pia prawie zapomniała, co ich tu właściwie sprowadziło. Również Bodenstein zdawał się już o tym nie myśleć, jednak teraz, słysząc słowa Claudiusa, zwinnie poszedł za ciosem.

– Racja, pański syn – pokiwał głową. – Rozmawialiśmy z pańską żoną. Powiedziała, że Thies miał wczoraj wieczorem atak.

Claudius Terlinden zawahał się, ale w końcu potaknął.

– Co to za atak? Może nam pan to przybliżyć? Chodzi o atak epilepsji?

– Nie. Thies nie cierpi na padaczkę, tylko na autyzm. Żyje w swoim własnym świecie i każdą zmianę, jaka dotyczy jego najbliższego otoczenia i ustalonych rytuałów, odbiera jako bezpośrednie zagrożenie. Wczoraj zareagował wybuchem autoagresji. – Terlinden westchnął. – Obawiam się, że

przyczyną takiego stanu rzeczy było zniknięcie Amelie.

– We wsi mówią, że Thies mógł mieć z tym coś wspólnego – rzuciła Pia.

– To kompletne brednie – zaprzeczył Claudius, jednak bez oburzenia. Sprawiał raczej wrażenie obojętnego, jakby przyzwyczyił się do takiego gadania. – Thies bardzo ją lubił. Bardzo. Ale niektórzy mieszkańcy Altenhain są zdania, że jego miejsce jest w zamkniętym zakładzie. Oczywiście nikt nie powie mi tego prosto w oczy, ale możecie mi wierzyć, że wiem, co ludzie uważają.

– Jeśli to możliwe, chcielibyśmy z nim porozmawiać.

– Niestety, to niemożliwe. – Terlinden potrząsnął głową z miną wyrażającą żal. – Był w takim stanie, że musieliśmy go odwieźć do szpitala psychiatrycznego.

– Co się tam z nim stanie? – zapytała Pia, mając przed oczyma ponure obrazy z filmów, gdzie jako najlepszą metodę leczenia stosowano elektrowstrząsy.

– Lekarze postarają się go uspokoić.

– Jak długo to potrwa? Kiedy będzie szansa, że uda się nam zamienić z nim kilka słów?

Claudius Terlinden wzruszył ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia. Thies od lat nie miał tak silnego ataku. Obawiam się, że przez to, co się stało, cofnął się bardzo w swojej chorobie. To prawdziwa katastrofa. I dla niego, i dla nas.

Obiecał powiadomić Bodensteina albo Pię, jak tylko lekarze syna wydadzą zgodę na rozmowę. Odprowadził ich do windy i podał na pożegnanie dłoń. Znów się uśmiechał.

– Bardzo miło było mi państwa poznać – oznajmił.

Tym razem jego dotyk nie zadziałał na Pię niczym porażenie prądem, a jednak, kiedy drzwi windy zamknęły się za jej plecami, czuła się dziwnie oszołomiona. Przez całą drogę na dół starała się odzyskiwać nad sobą kontrolę.

– No, muszę powiedzieć, że facet nie mógł oderwać od ciebie wzroku – stwierdził Bodenstein. – Ty chyba też coś do niego poczułaś? – W jego głosie słychać było delikatną kpinę.

– Nie gadaj bzdur! – zaprzeczyła Pia i zapięła kurtkę po samą szyję. – Staralam się go rozpracować, to wszystko.

– No i? Do jakich wniosków doszłaś?

– Wydaje mi się, że nie kręcił i był szczery.

– Doprawdy? Bo ja odniosłem wrażenie, że było zupełnie na odwrót.

– Dlaczego? Bez wahania odpowiadał na wszystkie nasze pytania, włącznie z tymi niezbyt przyjemnymi. Nie musiał nam opowiadać o tym, że Laura postawiła go dwa razy w takiej sytuacji.

– Akurat to uważam za świetny trik, żeby nas zmylić – wyjaśnił jej szef. – Czy to nie jest zadziwiający przypadek, że syn Terlindena schodzi z linii strzału akurat w momencie, kiedy znika ta dziewczyna?

Winda zatrzymała się na parterze.

– Ani trochę nie posunęliśmy się naprzód – stwierdziła Pia, nagle trzeźwiejąc. – Nikt jej nie widział.

– Albo nikt jej nie widział, albo nikt nie chce się do tego przyznać – zaprzeczył Bodenstein. Przecięli hol, kiwnęli na pożegnanie młodemu mężczyźnie za ladą i wyszli na dwór. W twarze uderzył ich podmuch lodowatego wiatru. Pia otworzyła pilotem samochód.

– Koniecznie musimy jeszcze raz porozmawiać z żoną Terlindena.

Bodenstein zatrzymał się przy drzwiach pasażera i spojrzał nad dachem auta.

– To znaczy, że jednak podejrzewasz Thiesa i jego ojca?

– Trochę na wyrost, ale ich nie wykluczam. Thies mógł jej coś zrobić, a ojciec chce teraz wszystko zatuszować, i żeby nic się nie stało synowi, ukrywa go w zakładzie psychiatrycznym.

Wsiadli do auta. Pia uruchomiła silnik i, chronieni przed podmuchami nieprzyjemnego wiatru, ruszyli w stronę bramy. Śnieg natychmiast zasypał przednią szybę, lecz automatyczne czujniki uruchomiły wycieraczki.

– Muszę wiedzieć, jaki lekarz zajmuje się Thiesem. – Bodenstein pokiwał w zamyśleniu głową. – I czy Terlindenowie naprawdę pojechali w sobotę wieczorem do restauracji we Frankfurcie.

Pia potaknęła. Spotkanie z biznesmenem pozostawiło w niej dziwne uczucie rozbicia. Zazwyczaj nie dawała się nikomu tak łatwo zwodzić, jednak ten mężczyzna zrobił na niej piorunujące wrażenie. Koniecznie chciała się dowiedzieć, z czego to wynikało.

*

KIEDY PIA wchodziła do budynku komendy o wpół do dziesiątej wieczorem, nie było w nim już nikogo poza portierem. Na wysokości Kelkheim śnieg z powrotem zmienił się w deszcz, a Bodenstein uparł się, że mimo rany na głowie sam pojedzie do domu. Pia też chciała zakończyć pracę i jechać do siebie; Christoph już na nią czekał. Jednak spotkanie z Claudiusem Terlindenem nie dawało jej spokoju. Na szczęście ustalili w domu, że czasami będzie musiała dłużej popracować.

Pustymi korytarzami dotarła do swojego biura, włączyła światło i usiadła przy biurku. Kiedy Christine Terlinden podała im nazwisko lekarki, która od lat zajmowała się ich synem, wcale nie była zaskoczona, że to nikt inny, tylko doktor Daniela Lauterbach. Chodziło w końcu o wieloletnią sąsiadkę, która, gdy było trzeba, mogła natychmiast zjawić się z pomocą.

Pia uruchomiła komputer i wpisała hasło dostępowe. Od kiedy opuściła biuro Claudiusa Terlindena, powtarzała w myślach całą rozmowę, starając się wyłowić jakieś znaczenia ukryte za poszczególnymi słowami, sformułowaniami i subtelnymi aluzjami. Skąd u Bodensteina pojawiło się tak silne przekonanie, że Terlinden jest zamieszany w zniknięcie Amelie, podczas gdy ona odniosła wręcz przeciwne wrażenie? Czy miało to związek z tym, jak oddziaływała na nią jego obecność?

Czyżby wpłynął na jej obiektywizm?

W wyszukiwarce wpisała nazwisko Claudiusa i nacisnęła enter. Po chwili pojawiła się lista kilku tysięcy trafień. Przez następne pół godziny zebrała co nieco informacji o nim samym, jego rodzinie i firmie. Dowiedziała się, jakim był wspaniałym społecznikiem i jak angażował się w życie lokalne. Był członkiem kilkudziesięciu rad nadzorczych, zarządów stowarzyszeń i organizacji i fundował stypendia dla uzdolnionej młodzieży z gorzej sytuowanych rodzin. Terlinden robił wiele dobrego dla młodych ludzi. Dlaczego? Jego oficjalne wyjaśnienie brzmiało zawsze tak samo – że jako osoba szczególnie hojnie obdarowana przez los chce podzielić się tym, co ma, ze społeczeństwem. Bardzo szlachetny motyw, któremu nie dało się nic zarzucić. Ale czy mogło coś jeszcze pchać go w stronę takiej aktywności? Twierdził, że dwukrotnie odrzucił zaloty Laury Wagner, kiedy składała mu niedwuznaczne propozycje. Czy to mogła być prawda? Pia otworzyła jedno ze zdjęć, jakie znalazła w wyszukiwarce, i przyjrzała się człowiekowi, który wzbudzał w niej tak gwałtowne uczucia. Czy jego żona wiedziała, że interesuje się młodymi dziewczynami? Czy właśnie dlatego ubierała się przesadnie młodzieżowo? Czy mógł skrzywdzić Amelie za to, że odrzucała jego awanse? Pia przygryzła dolną wargę. Nie mogła w to uwierzyć. W końcu wyłączyła przeglądarkę, by uruchomić system policyjny. W rejestrze osób poszukiwanych i zgłoszonych wpisała jego nazwisko. Nic. Nigdy nie był karany, nigdy nie miał problemów z prawem. Nagle jej wzrok padł na łącze na dole ekranu, po prawej stronie. Ustawiła na nim kursor i kliknęła. W niedzielę szesnastego listopada 2008 roku ktoś zgłosił skargę na Claudiusa Terlindena. Pia kliknęła dalej i otworzyła raport. W trakcie czytania serce zaczęło jej coraz szybciej bić.

– No proszę, proszę... kto by się spodziewał... – wymamrotała.

ŚRODA 19 LISTOPADA 2008

Budzik zadzwonił jak co dzień, punktualnie o wpół do siódmej. Dzisiaj, podobnie jak w ostatnich dniach, zupełnie nie potrzebował jego sygnału. Gregor Lauterbach od dłuższego czasu już nie spał. Strach, że Daniela mogłaby zacząć zadawać pytania, nie pozwalał mu zamknąć oczu. Minister usiadł i zsunął nogi z łóżka. Całkowicie mokry od potu czuł się, jakby przez pół nocy był łamany kołem. Przerazała go perspektywa oczekującego go dnia, pełnego spotkań i pracy. Jak miał się teraz na czymkolwiek skoncentrować, gdy w jego głowie, niczym bomba z opóźnionym zapłonem krążyło wspomnienie kolejnego listu z pogrózkami? Wczoraj otrzymał następny anonim, którego treść jeszcze bardziej wyprowadziła go z równowagi.

Ciekawe, czy jeszcze da się odczytać twoje odciski palców z lewarka, który wyrzuciłeś do gnojownika? Policja z pewnością ustali, jak było naprawdę, i już po tobie!

Kto wiedział o takich szczegółach? Kto w ogóle przysyłał do niego te listy? I dlaczego dopiero teraz? Dlaczego dopiero po jedenastu latach? Gregor wstał i, powłócząc nogami, przeszedł do sąsiadującej z sypialnią łazienki. Dłonie oparł na umywalce i spojrzął w lustro, z którego spozierała zmęczona, nieogolona twarz. Może dobrym rozwiązaniem byłoby przesłanie zwolnienia lekarskiego? Zaszyć się gdzieś w bezpiecznym miejscu i poczekać, aż przejdzie burza, która zbierała się na horyzoncie? Nie, to niestety nie wchodziło w rachubę. Musiał dalej normalnie funkcjonować, jakby nigdy nic. I na pewno nie może dać się zastraszyć. Jego ambicje nie kończyły się na stanowisku ministra oświaty kraju związkowego. O nie! Miał potencjał, by osiągnąć znacznie, znacznie więcej... oczywiście, jeśli nie da się zdeprymować cieniem przeszłości. Nie mógł dopuścić, by jedyne przewinienie, jedyny raz, kiedy złamał prawo – a miało to miejsce jedenaście lat temu! – zniszczyło jego obecne życie. Lauterbach wyprostował się i popatrzył na siebie zdeterminowanym wzrokiem. Na stanowisku, które piastował, miał do dyspozycji środki i możliwości, o których wówczas nie mógł nawet marzyć. I był zdecydowany, by z nich skorzystać.

*

PANOWAŁA JESZCZE poranna ciemność, kiedy Pia nacisnęła dzwonek przy wjeździe na posiadłość Terlindenów. Mimo bardzo wczesnej pory już po chwili z głośniczka popłynął głos żony Claudiusa. Skrzydła bramy drgnęły i bezgłośnie rozsunęły się na boki. Pia usiadła na miejscu pasażera cywilnego wozu policji, którym kierował Bodenstein. Za nimi na podjazd wtoczyły się jeszcze dwa radiowozy i laweta do przewozu samochodów. W drzwiach Willi czekała na nich uśmiechnięta przyjaźnie Christine Terlinden, co w obecnej sytuacji było całkowicie bez sensu, podobnie zresztą jak serdeczne powitanie, którego Pia sobie oszczędziła. Tym bardziej że dla jej męża dzień nie zapowiadał się wcale dobrze.

– Chcielibyśmy porozmawiać z pani mężem.

– Dałam już mu znać, że państwo przyjechaliście. Zaraz do nas zjeździe. Tymczasem zapraszam do środka.

Pia kiwnęła jedynie głową, a jej szef nawet nie mruknął. Wczoraj wieczorem zadzwoniła do niego, a potem przez pół godziny wisiała na telefonie z odpowiedzialnym prokuratorem, który odmówił co prawda wystawienia nakazu aresztowania, jednak zgodził się na przeszukanie samochodu Terlindena i wysłał natychmiast stosowny wniosek do sędziego. Pia i Bodenstein znaleźli się we wspaniale urządzonym holu willi Terlingenów. Pani domu gdzieś zniknęła, a zza zamkniętych drzwi któregoś z pomieszczeń słychać było szczekanie psów.

– Dzień dobry!

Oboje unieśli wzrok. Claudius pojawił się na szczycie schodów i ruszył w ich stronę. Nienagannie uczesany, w garniturze i krawacie. Tym razem jego wzrok zmroził Pię.

– Bardzo wczesnie zaczynacie państwo pracę. – Stał przed nimi z uprzejmym uśmiechem, lecz nie wyciągnął dłoni na powitanie.

– W jaki sposób powstało wgniecenie na błotniku pana mercedesa? – zapytała Pia prosto z mostu.

– Słucham? – Zaskoczony uniośł brwi. – Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– W takim razie pozwoli pan, że trochę odświeżę panu pamięć. – Pia nie spuszczała go z oczu. – W niedzielę nad ranem jeden z mieszkańców Feldstrasse zgłosił stłuczkę, po której sprawca wypadku zbiegł z miejsca zdarzenia. Mężczyzna ten zostawił swoje auto przed domem za dziesięć jedenasta wieczorem i przypadkowo trzy minuty po wpół do pierwszej w nocy wyszedł na balkon zapalić papierosa. Wtedy usłyszał uderzenie. Okazało się, że widział też samochód, który spowodował stłuczkę i zapamiętał numer rejestracyjny: MTK-T 801.

Terlinden milczał. Uśmiech zniknął z jego twarzy jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaczerwienił się.

– Następnego ranka ktoś do niego zatelefonował. – Pia wiedziała już, że trafiła w dziesiątkę, więc bez litości kontynuowała: – To pan do niego dzwonił. zaproponował mu pan, żeby całą sprawę załatwić bez zbędnej biurokracji. On się oczywiście na to zgodził i wycofał zgłoszenie. Na pana nieszczęście wycofane zgłoszenia nie znikają jednak z policyjnych baz danych.

Claudius Terlinden wpatrywał się w nią z kamienną twarzą.

– Czego w takim razie ode mnie chcecie? – zapytał, z najwyższą trudnością panując nad złością.

– Okłamał nas pan – odparła Pia i uśmiechnęła się serdecznie. – Chyba nie muszę panu tłumaczyć, gdzie dokładnie znajduje się tamta ulica, prawda? W takim razie ponownie zadam panu to samo pytanie: czy wracając ze swojej firmy, przejeżdżał pan obok Czarnego Rumaka, czy wybrał pan inną trasę, a konkretnie lokalną polną drogę, a następnie Feldstrasse?

– Nie rozumiem, do czego pani zmierza? – Terlinden spojrział na Bodensteina, jednak ten milczał.

– Czego pani ode mnie chce? Oskarża mnie pani o coś?

– Tamtej nocy zaginęła Amelie Fröhlich – odparła Pia. – Po raz ostatni była widziana w Czarnym Rumaku, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy jechał pan do swojej firmy, czyli przed wpół do jedenastej. Dopiero dwie godziny później, o wpół do pierwszej, wrócił pan do Altenhain i to z zupełnie innej strony, niż utrzymywał pan w czasie naszej wczorajszej rozmowy.

Terlinden wysunął dolną szczękę i przyjrzał się jej, mrużąc oczy.

– I tylko na tej podstawie usiłuje mi pani zarzucić, że czyhałem na córkę jednego z moich pracowników, wciągnąłem ją do samochodu i zamordowałem?

– Czy to przyznanie się do winy? – zapytała Pia lodowatym głosem.

– Bynajmniej – odparł.

– W takim razie może będzie pan tak miły i wyjaśni, co robił pan między wpół do jedenastej a wpół do pierwszej w nocy? A może to nie było nawet wpół do jedenastej, tylko kwadrans po dziesiątej?

– To było wpół do jedenastej. A ja byłem w tym czasie w swoim biurze.

– Potrzebował pan dwóch godzin, żeby schować biżuterię żony w sejfie? – Pia potrząsnęła głową. – Ma pan nas za idiotów?

Tym razem sytuacja wyglądała zupełnie inaczej. Claudius Terlinden został zepchnięty do defensywy i wiedział, że przegrywa. Ale nawet teraz potrafił zachować spokój.

– Z kim spędziliście wieczór? – zapytała Pia. – I gdzie dokładnie?

Uparte milczenie. Wtedy Pia przypomniała sobie o kamerach nad bramą prowadzącą na teren firmy Terlindena, które zauważyła niedawno, wracając z wizyty u Wagnerów.

– Może moglibyśmy obejrzeć nagrania z kamery przemysłowej przy wjeździe do pana firmy – zaproponowała. – W ten sposób dostarczyłby pan dowody, że rzeczywiście był pan tam wtedy. I że powiedział pan prawdę.

– Sprytnie. – Terlinden pokiwał głową. – To mi się naprawdę podoba. Niestety, telewizja przemysłowa na terenie zakładu od czterech tygodni nie działa.

– A kamery przed bramą na posesję?

– Te z kolei nie nagrywają obrazu.

– No cóż, to tylko pogarsza pana sytuację. – Pia pokręciła głową, udając troskę. – Nie ma pan alibi na czas zniknięcia Amelie Fröhlich, a na dłoniach ma pan ślady walki.

– Rozumiem. – Claudius Terlinden uniósł brwi. – Co teraz? Aresztujecie mnie, bo wróciłem do domu inną drogą?

Pia nie zareagowała na jego wyzywające spojrzenie. Był kłamcą, a możliwe, że i przestępcą,

jednak doskonale zdawał sobie sprawę, że nie ma ona żadnych dowodów na podparcie swoich przypuszczeń, więc aresztowanie nie wchodzi w rachubę.

– Nie, nie jest pan aresztowany. Natomiast na jakiś czas musimy pana zatrzymać. – Udało jej się uśmiechnąć. – Ale nie dlatego, że pojechał pan inną drogą, tylko dlatego, że nas pan okłamał. Kiedy tylko przedstawi nam pan niepodważalne alibi na czas, o który pytaliśmy, będzie pan znów wolny.

– Dobrze. – Claudius Terlinden wzruszył leniwie ramionami. – Tylko proszę nie nakładać mi kajdanek. Jestem uczulony na nikiel.

– Spokojnie, nie będzie pan skuty. Nie podejrzewam pana o próbę ucieczki – odparła Pia oschle. – A tak dla pana wiadomości: nasze kajdanki nie zawierają niklu. W całości są wykonane z nierdzewnej stali szlachetnej.

*

TELEFON NA BIURKU zadzwonił akurat w chwili, kiedy zbierał się do wyjścia z biura. Lars Terlinden czekał niecierpliwie na odpowiedź jednego z maklerów Credit Suisse, z pomocą którego swego czasu udało mu się sprzedać większą część portfela kredytów dla tego hochsztaplera Mutzlera, zanim jeszcze podpadł zarządowi. Odłożył szybko teczkę i podniósł słuchawkę.

– Lars, to ja – usłyszał głos matki.

Najchętniej od razu by się rozłączył.

– Nie teraz – burknął. – Dajcie mi spokój. Nie mam czasu.

– Dzisiaj rano policja zatrzymała twojego ojca.

Lars poczuł, że robi mu się najpierw zimno, a potem zalewa go fala gorąca.

– Lepiej późno niż wcale – odparł gorzko. – W końcu okazało się, że nie jest wszechmocnym Bogiem, który rządzi Altenhain, jak mu się żywnie podoba, tylko dlatego, że ma więcej pieniędzy niż inni. Właściwie to te jego gierki i tak zbyt długo uchodziły mu na sucho.

Podszedł do biurka, odsunął fotel i usiadł.

– Ale Lars! Pomyśl! On zawsze chciał dla ciebie jak najlepiej!

– Nieprawda! – odparł lodowatym tonem. – Jemu zależało tylko i wyłącznie na powodzeniu firmy i swoim. Wtedy też wykorzystał sytuację w taki sam sposób, w jaki wykorzystywał każdą inną okazję. Zmusił mnie do pracy, jakiej nigdy z własnej woli nie chciałem wykonywać. Mamo, uwierz mi, mam głęboko w dupie, co się z nim stanie.

Nagle znów znalazł się w centrum tego, przed czym miał nadzieję uciec. W jego życie jeszcze raz wkroczył ojciec i zaczął je niszczyć – i to akurat teraz, kiedy potrzebował wszystkich sił i pełnej koncentracji, żeby uratować siebie, swoją posadę i przyszłość! Czuł, jak wzbiera w nim złość. Dlaczego nie mógł dać mu w końcu spokoju? Dlaczego? Obrazy już dawno wypchnięte ze świadomości zaczęły wracać i natarczywie wirowały przed oczyma; niechciane, nachalne i straszne. Ale nic nie mógł na to poradzić. Wobec wspomnień i odczuć, jakie im towarzyszyły, był całkowicie

bezradny. Wiedział, że jego ojciec sypiał z matką Laury, która w tamtym czasie pracowała u nich jako gosposia. Czekał tylko, kiedy Christine gdzieś wyjdzie, i zabierał ją do pokoju gościnnego. Ale w końcu i ona przestała mu wystarczać. Musiał jeszcze posiąść córkę swojej poddanej – poddanej, bo tak właśnie postrzegał pracowników i całą resztę mieszkańców wioski – jako swoją własność, jako poddanych. *Ius primae noctis*, jak pan feudalny w średniowieczu!

Ze słuchawki sączył się pełen smutku głos jego matki, lecz on jej nie słuchał, bo myślał o tamtym strasznym wieczorze. Wrócił akurat z zajęć dodatkowych do domu i w korytarzu omal nie zderzył się z Laurą. Dziewczyna minęła go z przerażoną miną i wybiegła na zewnątrz. Nie rozumiał, co się właściwie wydarzyło, dopóki z salonu nie wypadł za nią ojciec, w pędzie wsuwając koszulę za pasek od spodni. Miał zaczerwienioną twarz i potargane włosy. Co za świnia! Laura skończyła wtedy zaledwie czternaście lat! Dopiero dużo, dużo później Lars zarzucił ojcu, że przespał się z jego koleżanką, lecz ten wszystkiemu zaprzeczył. Stwierdził, że dziewczyna ubzdurała sobie, że go kocha, lecz odrzucił jej awanse. A on oczywiście mu uwierzył. W końcu jaki siedemnastolatek chciałby źle myśleć o ojcu? Teraz nie ufał już jego zapewnieniom, że jest niewinny. Zbyt wiele razy dał mu się okłamać.

– Lars? – zapytała nagle matka. – Jesteś jeszcze?

– Powinienem być powiedzieć policji prawdę! – odparł, z najwyższym trudem panując nad wściekłością. – Ale mój rodzony ojciec zmusił mnie do kłamstwa, tylko dlatego, że nie chciał zbrukać swojego nazwiska! Co się tym razem wydarzyło? Znow przeleciał jakąś nastolatkę? Może tę, która zaginęła?

– Jak możesz tak mówić o własnym ojcu? – W głosie matki słyszał zaskoczenie.

Christine Terlinden była mistrzynią w okłamywaniu samej siebie. Czego nie chciała słyszeć lub widzieć, omijała po prostu, jakby nigdy nie istniało.

– Powinnaś w końcu przejrzeć na oczy! – odpowiedział nieprzyjemnym tonem. – Mógłbym powiedzieć jeszcze wiele znacznie gorszych rzeczy, ale oszczędzę ci tego. Wiesz dlaczego? Bo dla mnie ta część życia już jest zamknięta, rozumiesz? To minęło. A teraz muszę kończyć. I nie dzwoń do mnie więcej.

*

RESTAURACJA, W KTÓREJ Claudius Terlinden z żoną i przyjaciółmi spędził sobotni wieczór, znajdowała się na Guiolettstrasse, dokładnie naprzeciwko bliźniaczych wież ze szklaną elewacją, w których mieściła się siedziba Deutsche Banku. Poprzedniego dnia Christine Terlinden wyjaśniła Pii dokładnie, jak tam dojechać.

– Wysadź mnie przed wejściem i dołącz, jak zaparkujesz – zdecydował Bodenstein, kiedy Pia robiła trzecie kółko przez Guiolettstrasse. Parkowanie przed eleganckim Ebony Club było zakazane,

więc przy krawężniku czekali pracownicy w uniformach żywcem zapożyczonych z Wielkiej Brytanii, by przejąć samochód i zaparkować go na podziemnym parkingu, skąd na żądanie natychmiast podstawią go gościowi z powrotem. Pia podjechała do krawężnika i się zatrzymała. Bodenstein wysiadł i zasłaniając głowę przed deszczem, podbiegł do drzwi. Nikt go nie zatrzymał, kiedy minął tablicę z napisem po angielsku *Please wait to be seated*. Portier i połowa obsługi krzątała się gorączkowo po sali, usiłując znaleźć wolne miejsce dla jakiegoś celebryty, który przyszedł bez rezerwacji w porze obiadowej. Najwyraźniej kryzys finansowy nie psuł też apetytu menedżerom okolicznych banków. Bodenstein rozejrzał się z ciekawością. Wiele słyszał o tym miejscu; Ebony Club, urządzone w stylu kolonialnym, należał do najdroższych i jednocześnie najmodniejszych knajp we Frankfurcie. Naraz jego wzrok padł na parę siedzącą przy podwójnym stoliku na galerii. Poczł, że nie może nabrać oddechu. Cosima. Jak zaczarowana wpatrywała się w nieprzyzwoicie przystojnego młodego mężczyznę, który obszernymi, pełnymi temperamentu gestami starał się podkreślić coś, o czym właśnie mówił. Sposób, w jaki siedziała: lekko nachylona, z łokciami na stole i brodą wspartą na splecionych dłoniach, natychmiast uruchomił w jego głowie syreny alarmowe. Kobieta odsunęła z twarzy niesforne pasemko włosów, roześmiała się, słysząc coś, co powiedział jej towarzysz, i położyła dłoń na jego dłoni. Bodenstein stał jak zamurowany. Dookoła niego biegali pracownicy restauracji, ale nie zauważali go, jakby był niewidzialny. Jeszcze rankiem tego dnia Cosima rzuciła mimochodem, że cały dzień znów spędzi w studiu w Moguncji, bo ma tam bardzo dużo pracy. Czyżby w ostatniej chwili zmieniła plany? Czy może... okłamała go celowo? Ale dlaczego miałaby kłamać? Przecież nie mogła przypuszczać, że jedno ze śledztw zaprowadzi go w porze obiadowej do najdroższej i najbardziej obleganej restauracji we Frankfurcie!

– Czy mogłabym panu pomóc? – zapytała młoda kobieta, stając przed nim z uśmiechem wyrażającym delikatne ponaglenie.

Jego serce znów zaczęło bić, lecz teraz uderzało z siłą młota kowalskiego. Trząsł się cały i zbierało mu się na wymioty.

– Nie – odpowiedział krótko, ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Cosimy i jej towarzysza. Kelnerka spojrzała na niego nieprzychylnie, lecz on nie zwracał już na nic uwagi. Niecałe dwadzieścia metrów dalej w towarzystwie mężczyzny siedziała jego żona, która radość ze spotkania z nim wyrażała aż trzema wykrzyknikami! Bodenstein skupił się na tym, żeby znów zacząć spokojnie oddychać. Żałował, że nie potrafi do nich podejść i strzelić mu po prostu w mordę, tak, właśnie tak, bez ostrzeżenia, wkładając w to całą swoją wściekłość. Ale opanowanie i maniery, które wpajane były mu przez całe dzieciństwo, nie pozwoliły na taki krok. Stał więc tylko i patrzył. Natychmiast zwrócił uwagę na bliskość i niewidzialną nić, która ich łączyła, a którą wyrażał sposób, w jaki spotykały się ich oczy i jak się do siebie nachylali. Kątem oka dostrzegł, że kobieta, która przed chwilą chciała mu pomóc, podeszła do szefa sali. Najwyraźniej mężczyzna upchnął gdzieś w końcu

sprawcę wcześniejszego zamieszania i mógł wrócić do innych spraw. Bodenstein miał teraz tylko dwa wyjścia – mógł albo podejść do Cosimy i mężczyzny, z którym siedziała, albo odwrócić się na pięcie i wyjść. A że nie czuł się gotowy na takie spotkanie, wybrał drugą możliwość. Niczym pijany wypadł na zewnątrz, zatrzymał się i, dysząc ciężko, popatrzył na budynki po drugiej stronie ulicy, po czym ruszył chodnikiem przed siebie. Serce waliło mu jak oszalałe i wciąż walczył z odruchem wymiotnym. Widok Cosimy z obcym mężczyzną utrwalił mu się pod powiekami niczym odcisnięty rozpalonym żelazem. W końcu stało się to, czego tak bardzo się obawiał: zyskał pewność, że Cosima go zdradza.

Nagle ktoś zastąpił mu drogę. Chciał skrócić, lecz kobieta z parasolem natychmiast zrobiła krok w bok i znów stanęła naprzeciwko. Musiał się zatrzymać.

– Już skończyłeś? – Przez mgłę, w której się znalazł, przedarł się głos Pii Kirchhoff. Niespodziewanie wrócił do rzeczywistości. – I co się okazało? Terlinden był tam w sobotę czy nie?

Terlinden! Zupełnie o nim zapomniał.

– Ja... nie zapytałem o niego – powiedział cicho.

– Hej, coś się stało? Dobrze się czujesz? – Pia popatrzyła na niego z troską. – Jesteś blady, jakbyś zobaczył ducha.

– Tam była Cosima – wyjaśnił głucho. – Z jakimś mężczyzną. A dzisiaj rano mówiła, że cały dzień będzie...

Zaciął się i słowa uwięzły mu w gardle. W ustach poczuł suchość, nogi odmówiły mu posłuszeństwa i przewróciłyby się, gdyby nie usiadł na mokrych stopniach prowadzących do drzwi najbliższego domu. Pia milczała i patrzyła, jak mu się wydawało, ze współczuciem. Spuścił głowę.

– Masz papierosy? – zapytał zachrypniętym głosem.

Pia sięgnęła do torebki i bez słowa wyjęła paczkę papierosów i zapalniczkę. Sześć od piętnastu lat nie palił i nie ciągnęło go już do tytoniu. Dziś jednak głód nikotyny zbudził się w nim falą, której nie potrafił się przeciwstawić.

– Samochód zostawiłam na Kettenhofweg, zaraz przy skrzyżowaniu z Brentanostrasse. – Pia podała mu kluczyki. – Lepiej nie siedź na mokrym betonie, bo złapiesz wilka.

Bodenstein w żaden sposób nie zareagował i z całkowitą obojętnością znosił zaciekawione spojrzenia przechodniów. Było mu wszystko jedno. Mimo że od dawna podejrzewał, co się święci, wciąż się łudził, wynajdując jakieś wytłumaczenia dla kłamstw i SMS-ów żony. Ani trochę nie był przygotowany na to, co zobaczył. Łapczywie przystawił papierosa do ust i zaciągnął się głęboko. Zrobiło mu się niedobrze, jakby palił skręta, a nie marlboro. Karuzela rozszalałych myśli i nachalnych obrazów powoli zaczęła zwalniać, aż w końcu się zatrzymała. W jego głowie zapanowały cisza i spokój. Pustka. Siedział na schodkach w centrum miasta i czuł się cholernie

samotny.

*

LARS TERLINDEN gwałtownie odłożył słuchawkę i przez kilka chwil siedział nieruchomo w fotelu. Piętro wyżej czekał na niego cały zarząd banku. Członkowie rady nadzorczej specjalnie pofatygowali się z Zurychu, żeby wysłuchać jego propozycji odzyskania trzystu pięćdziesięciu milionów euro, które stracili. Niestety, nie miał dla nich dobrych wieści. Wiedział też, jak będzie; wysłuchają go, a potem z fałszywie przyjaznymi uśmiechami rozerwą na strzępy. Aroganccy idioci. A jeszcze rok temu poklepywali go po ramieniu na wieść o doskonałym interesie, który zrobił. Znow zadzwonił telefon na biurku. Linia wewnętrzna. Lars Terlinden odwrócił wzrok. Otworzył najwyższą szufladę biurka, wyjął z niej kartkę opatrzoną firmowym nagłówkiem i pióro wieczne Montblanc – prezent od szefa, przypominający mu o dawnych, dobrych czasach. Używał go jedynie do podpisywania umów. Przez dobrą minutę wpatrywał się w papier, aż w końcu otworzył pióro. Potem, nie czytając tego, co napisał, złożył list, wsunął go do koperty i zakleił ją. Na kopercie umieścił adres. Wstał, sięgnął po teczkę i płaszcz, po czym wyszedł z biura.

– To się musi znaleźć dzisiaj na poczcie – poinformował sekretarkę, rzucając list na jej biurko.

– Oczywiście – odparła urażonym głosem. Wcześniej pracowała jako asystentka zarządu i wciąż jeszcze uważała, że bycie sekretarką szefa wydziału jest poniżej jej godności. – Pamięta pan o spotkaniu?

– Oczywiście – odpowiedział, idąc dalej.

Nawet na nią nie spojrział.

– Bo jest pan już siedem minut spóźniony!

Wyszedł na korytarz. Dwadzieścia cztery kroki do windy, która czekała na niego z przyjaźnie otwartymi drzwiami. Wyżej, na dwunastym piętrze od siedmiu minut siedział cały zarząd. Na szali leżała jego przyszłość, jego opinia... tak, gra toczyła się o jego życie. Do kabiny wsiadły jeszcze dwie kobiety. Znał je z widzenia. Kiwnął głową na powitanie. Uśmiechnęły się i odpowiedziały tym samym. Drzwi zasunęły się bezgłośnie. Przestraszył się, kiedy zobaczył twarz w lustrze. Zapadnięte oczy, przestraszony wzrok. Czuł się zmęczony; śmiertelnie zmęczony i wypalony.

– Dokąd jedziemy? – zapytała brunetka. – Na górę czy na dół?

Jej dłoń ze starannie zrobionymi tipsami znieruchomiała przy tablicy z przyciskami. Lars Terlinden nie mógł uwolnić się od spojrzenia mężczyzny z lustra.

– Na dół – odparł. – Na samo dno.

*

PIA KIRCHHOFF weszła do restauracji Ebony Club i skinęła grzecznie odźwiernemu, który otworzył jej drzwi, zanim zdążyła złapać za klamkę. Całkiem niedawno była tu z Christophem, Henningiem i Miriam na obiedzie. Henning zapłacił za jedzenie pół tysiąca euro, co uznała za

zdecydowaną przesadę. Pia nie darzyła szczególnym uwielbieniem modnych miejsc, w których karty dań trzeba było przeglądać ze słownikiem, a cena za pojedynczą butelkę wina mogła mieć i cztery cyfry. Sama przy wyborze alkoholi kierowała się nie etykietkami, lecz tym, co jej smakowało, więc do szczęścia i udanego wieczoru wystarczyły jej chianti albo bardolino wypite w pizzerii za rogiem.

Pracownik odpowiedzialny za witanie i sadzanie gości zerwał się z krzesła i ruszył w jej stronę, uśmiechając się promiennie. Pia bez słowa podsunęła mu pod nos odznakę policji kryminalnej. Radosny wyraz twarzy momentalnie ustąpił miejsca niechęci. Policja kryminalna nigdzie nie była ciepło witana, a już na pewno nie w luksusowej restauracji w godzinach największego ruchu.

– Mogę zapytać, o co chodzi? – odezwał się mężczyzna, siląc się na grzeczność.

– Nie – odparła Pia oschle. – Nie może pan. Gdzie jest menedżer?

Pracownik restauracji przestał ukrywać swoje niezadowolenie i udawać grzeczność.

– Proszę tu poczekać – rzucił i ruszył w głąb sali. Pia rozejrzała się ostrożnie. Rzeczywiście, przy jednym ze stolików siedziała Cosima von Bodenstein z mężczyzną młodszym przynajmniej o dziesięć lat. Nieznajomy miał na sobie sportowy garnitur i koszulę bez krawata, rozpiętą pod szyją. Sposób, w jaki siedział, świadczył o ogromnej pewności siebie. Gęste ciemnoblonde włosy opadały falami na ramiona, a kanciasta twarz z agresywnie wystającą szczęką, pięciodniowym zarostem i wydatnym, rzymskim nosem była ogorzała i zniszczona słońcem i wiatrem. I zapewne alkoholem, pomyślała złośliwie Pia. Cosima von Bodenstein mówiła coś i patrzyła na niego zafascynowana. Z całą pewnością nie był to obiad w sprawach służbowych czy przypadkowe spotkanie dwojga starych znajomych – erotyczna więź między nimi nie mogła ujść uwagi nawet przypadkowego obserwatora. Albo wstali z łóżka i przyjechali prosto tutaj, albo planowali coś zjeść i odsunąć moment, aż znajdą się razem pod kołdrą, by oczekiwaniem jeszcze bardziej pobudzić pożądanie. Pia z całego serca współczuła szefowi, a mimo to znajdowała w sobie troszeczkę zrozumienia dla Cosimy, która po dwudziestu pięciu latach małżeńskiej rutyny zapragnęła przeżyć przygodę.

Z zamyślenia wyrwał Pię szef restauracji, który niespodziewanie zmaterializował się obok niej. Miał trzydzieści kilka lat, lecz przerzedzone, piaskowe włosy i zmęczona twarz sprawiały, że wyglądał starzej.

– Nie chcę zajmować panu zbyt wiele czasu, panie... – zaczęła policjantka i spojrzała wyczekująco na potężnego mężczyznę, który nie zdobył się nawet na tyle grzeczności, by podać jej dłoń.

– Jagielski – dokończył za nią menedżer i gburowatym ruchem ręki odesłał pracownika na miejsce, żeby witał nowych klientów. – Słucham. O co chodzi? Jeśli pani nie zauważyła, mamy akurat godziny szczytu.

Jagielski. To nazwisko obudziło natychmiast jakieś odległe skojarzenia. Musiała je już słyszeć.

– Jak rozumiem, pan sam gotuje, a ja pozbawiam ludzi posiłku? – zapytała ze złośliwą ironią.

– Nie. – Jagielski wydał usta, co chwila spoglądając z poirytowaniem na pełną salę. Nagle odwrócił się, złapał jakąś młodą kelnerkę za ramię i wypowiedzianą szeptem uwagą sprawił, że spłonęła jak cegła.

– Cholernie trudno znaleźć dobrych pracowników – wyjaśnił Pii, nawet na chwilę się nie uśmiechając. – A dzisiejsza młodzież to prawdziwa katastrofa. Nie mają podejścia ani chęci do pracy.

Tarasowali przejście nowym gościom, którzy akurat weszli do restauracji. Nagle przypomniała sobie, gdzie słyszała już to nazwisko. Tak się nazywała szefowa karczmy Pod Czarnym Rumakiem w Altenhain. Kolejne pytanie potwierdziło jej przypuszczenia, że nie był to zbieg okoliczności. Andreas Jagielski był menedżerem Czarnego Rumaka, Ebony Club i jeszcze jednej restauracji we Frankfurcie.

– No dobrze, ale o co właściwie chodzi? – zapytał.

Grzeczność na pewno nie była jego mocną stroną. Dyskrecja również nie, bo wciąż stali pośrodku foyer.

– Chciałam zapytać, czy w zeszłą sobotę wieczorem był tutaj Claudius Terlinden z żoną.

Mężczyzna uniósł brwi.

– A dlaczego policja chce to wiedzieć?

– A dlatego, że to policję interesuje. – Jego pełne protekcyjnej wyższości zachowanie zaczynało działać Pii na nerwy. – Był czy nie?

Jagielski wahał się przez chwilę, ale w końcu pokiwał głową.

– Tak, był tu na kolacji.

– Czy był sam z żoną?

– Nie wiem, nie pamiętam.

– Może ten pan od rezerwacji sobie przypomni? Na pewno ma książkę z zapisanymi nazwiskami, prawda?

Jagielski z nieukrywaną niechęcią zawołał pracownika i kazał mu pójść po księgę rezerwacji. Bez słowa poczekał, aż mężczyzna wróci do swojego pulpitu i przyniesie rejestr. Potem polizał palec i powoli przerzucił kilka kartek.

– No proszę, już mam – powiedział w końcu. – Byli tutaj we czwórkę. Teraz już nawet sobie przypominam.

– We czwórkę? A kto był z nimi? Poproszę nazwiska – zażądała Pia.

Grupa gości zaczęła przepychać się do wyjścia, a wtedy Jagielski w końcu odprowadził ją na bok.

– Nie rozumiem, co to panią obchodzi – powiedział ściszym głosem.

– To niech pan lepiej posłucha. – Pia traciła cierpliwość. – Prowadzę śledztwo w sprawie zaginięcia pańskiej kelnerki, Amelie Fröhlich, którą po raz ostatni widziano w sobotę wieczorem, właśnie w Czarnym Rumaku. Szukamy świadków, którzy mogli widzieć ją również po tym, jak stamtąd wyszła.

Jagielski wpatrywał się w nią przez chwilę nieruchomym wzrokiem, ale w końcu znów potaknął głową, najwyraźniej uznawszy, że podanie samych nazwisk nie będzie złamaniem żadnej tajemnicy.

– Zjedli kolację z państwem Lauterbach – wyrzucił z siebie.

Pia zaniemówiła. Dlaczego Claudius Terlinden przemilczał fakt, że był na kolacji z sąsiadami? W biurze, poprzedniego dnia wieczorem, wspomniął jedynie o sobie i żonie. Dziwaczne.

Towarzysz Cosimy von Bodenstein zapłacił rachunek; musiał zostawić sowity napiwek, bo twarz kelnerki rozjaśnił szeroki uśmiech. Mężczyzna wstał i obszedł stół, żeby pomóc Cosimie odsunąć krzesło. Nawet jeśli z wyglądu nie przypominał Bodensteina, maniery miał równie dobre.

– Zna pan może nazwisko towarzysza tej rudej kobiety? – zapytała Jagielskiego, wskazując głową kierunek.

Menedżer restauracji nie musiał nawet patrzeć w tamtą stronę, by zorientować się, o kogo pyta. Pia odwróciła się, żeby Cosima nie zobaczyła jej, wychodząc.

– Tak, oczywiście. – W jego głosie pojawiła się nuta niedowierzania, jakby nie mieściło mu się w głowie, że ktoś może nie znać tego człowieka. – To jest przecież Alexander Gawrilow. Czy on też jest zamieszany w tę sprawę?

– Kto wie – odparła Pia i uśmiechnęła się szeroko. – Dziękuję za pomoc.

*

BODENSTEIN SIEDZIAŁ w tym samym miejscu, gdzie go zostawiła, i palił papierosa. Na chodniku między jego stopami uzbierała się już kupka niedopałków. Przez chwilę Pia stała obok szefa i milczała, nie wiedząc, jak poradzić sobie z niecodzienną sytuacją.

– I? – Uniósł wzrok.

Był bardzo blady.

– Wyobraź sobie, że Terlindenowie byli tutaj, ale nie sami. Zjedli kolację z Lauterbachami – oznajmiła. – A menedżerem Ebony Club jest szef Czarnego Rumaka w Altenhain. No i powiedz, czy to nie dziwny zbieg okoliczności?

– Nie, jakoś mi się nie wydaje.

– Poważnie? To co byłoby dla ciebie dziwnym zbiegiem okoliczności? – nastroszyła się Pia.

– Widziałaś... ją?

– Tak, widziałam. – Schyliła się i podniosła pudełko z papierosami, które Bodenstein zostawił na

schodkach koło siebie. Wyjęła jednego i zapaliła. – Chodź. Nie mam zamiaru sterczeć na deszczu, bo się jeszcze przeziębę.

Bodenstein wstał, wyprostował się, zaciągnął po raz ostatni dymem i do stosu niedopałków dorzucił kolejny. W drodze do samochodu Pia spoglądała raz po raz ukradkiem na szefa. Nie wiedziała, czy znów nie zacznie szukać sposobu, by spotkanie żony z nieznanym przystojniakiem wyjaśnić w możliwie niewinny sposób.

– Alexander Gavrilow – powiedziała nagle na głos i się zatrzymała. – To ten polarnik, podróżnik i himalaista!

– Słucham? – Szef spojrzał na nią zaskoczony.

– Mówię o mężczyźnie, z którym siedziała Cosima – wyjaśniła Pia i w myślach dodała: „I z którym na sto procent wylądowała już w łóżku”.

Bodenstein przesunął dłonią po twarzy.

– No tak, oczywiście – wyszeptał, bardziej do siebie niż do Pii. – Od razu wydał mi się znajomy, ale nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie go widziałem. Cosima kiedyś mi go przedstawiła, chyba na premierze jednego z jej filmów. Przed laty planowali wspólny projekt, z którego potem nic nie wyszło.

– Może w takim razie spotkali się tylko w sprawach zawodowych? – zapytała Pia wbrew temu, co naprawdę myślała. – Chcą na przykład wskrzesić tamten projekt albo zacząć nowy, o którym nie powinieneś wiedzieć, bobyś się zbyt mocno martwił?

Bodenstein popatrzył na partnerkę i uniósł brwi. W jego oczach na chwilę zapłonęły złośliwe ogniki, ale zniknęły równie szybko jak kpiący uśmiech.

– Daj spokój, przecież wiem, co widziałem – zaprzeczył. – Nie jestem ślepy. Moja żona sypia z tym gościem, i to Bóg jeden wie, od jak dawna. Tak chyba zresztą jest lepiej, bo już się nie będę dłużej łudził.

Zdecydowanym krokiem ruszył przed siebie, a Pia musiała niemal biec, żeby za nim nadążyć.

*

THIES WIE O WSZYSTKIM, a policja jest strasznie wścibska. Powinieneś dopilnować, żeby nic się nie wymknęło spod kontroli. Pamiętaj, że masz sporo do stracenia.

Litery na ekranie komputera rozmywały mu się przed oczyma. Ten mejl przyszedł na oficjalną skrzynkę ministerstwa! Wielki Boże, co by było, gdyby przeczytała go sekretarka! Kobieta z samego rana zazwyczaj drukuje wszystkie mejle i segreguje je na jego biurku – dziś jedynie przez przypadek spóźniła się do pracy. Gregor Lauterbach przygryzł dolną wargę i kliknął na szczegóły wiadomości. Wiadomość została wysłana spod adresu krolewnasniezka1997@hotmail.com. Kto za tym stał? Kto? Kto? Kto? Od pierwszego listu nie potrafił przestać o tym myśleć. Dzień i noc męczyło go pytanie,

kto mu to wszystko robi? Paraliżował go strach.

Rozległo się pukanie i skrzypnęły drzwi. Podskoczył na fotelu jak oparzony. Ines Schürmann-Liedtke chciała się grzecznie przywitać, jednak widok szefa pozbawił ją na chwilę mowy.

– Dobrze się pan czuje? Mogę jakoś pomóc? – zapytała z troską.

– Nie – wycharczał Lauterbach i opadł z powrotem na fotel. – Chyba bierze mnie grypa.

– Odwołać pana dzisiejsze spotkania?

– A mam dzisiaj coś naprawdę ważnego?

– Nie, na szczęście nic. Nic pilnego w każdym razie. Zaraz zadzwonię po kierowcę, żeby odwiózł pana do domu.

– Wspaniale, dziękuję, Ines. – Lauterbach skinął głową i zakasłał.

Sekretarka wyszła. Znow popatrzył na wiadomość. Królowna Śnieżka. Myśli w jego głowie pędziły jak szalone. Zdecydowanym ruchem myszki usunął mejla i dodał nadawcę do blokowanych.

*

BARBARA FRÖHLICH siedziała przy kuchennym stole i bez powodzenia usiłowała skupić się na rozwiązywaniu krzyżówki. Po trzech dniach i nocach niepewności miała całkowicie zszargane nerwy. W niedzielę odwiozła dzieci do rodziców w Hofheim, a Arne poszedł w poniedziałek do pracy, choć szef zaproponował mu, żeby wziął wolne. Tyle że co miałby robić w domu? Od zaginięcia Amelie dni ciągnęły się niemiłosiernie. Wciąż nie natrafiono na żaden ślad. Matka dziewczyny trzy razy dzwoniła z Berlina, lecz, sądząc po głosie, bardziej z obowiązku niż potrzeby serca. Przez pierwsze dwa dni odwiedzały ją kobiety ze wsi, żeby udzielić jej wsparcia, pomóc w domu i dodać otuchy, lecz ledwie się znały, więc siedziały tylko w kuchni, atmosfera była sztuczna, a rozmowy wymuszone. Wczoraj wieczorem pokłóciła się z mężem. Była to taka najprawdziwsza kłótnia, jaka im się nigdy wcześniej nie zdarzyła. Pierwsza, od kiedy się znali. Zarzuciła mu brak zainteresowania losem najstarszej córki i wściekła wykrzyczała, że byłby pewnie szczęśliwy, gdyby się nie odnalazła. Może jednak nie była to prawdziwa kłótnia, bo Arne siedział tylko i patrzył na nią bez słowa. Jak zawsze zresztą.

– Policja na pewno ją znajdzie – powiedział jedynie i poszedł do łazienki.

Ona natomiast wróciła do kuchni, bezradna, załamana i samotna. I wtedy nagle uświadomiła sobie, że nie patrzy na Arne tak jak wcześniej. Jej mąż tchórzliwie uciekał w codzienność i obowiązki. Czy zachowywałby się inaczej, gdyby zaginęła Jana albo Tim, a nie Amelie? Arne obawiał się jedynie tego, że ktoś mógłby się na niego obrazić. Od tego czasu nie zamienili ze sobą ani słowa. W milczeniu położyli się do łóżka, a dziesięć minut później sypialnię wypełniło jego chrapanie. Spał jak dziecko, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Nigdy jeszcze nie czuła się tak samotna i porzucona jak właśnie tamtej, ciągnącej się bez końca nocy.

Rozległ się dzwonek. Barbara Fröhlich drgnęła i wstała. Miała nadzieję, że to nie kolejna wizyta

kobiet ze wsi, które, udając współczucie, zakradały się do jej życia, by później w spożywczym obnosić się z najnowszymi plotkami. Otworzyła. Na dworze stała nieznajoma kobieta.

– Dzień dobry – przywitała się. Miała krótkie, ciemne włosy, bladą, poważną twarz i niebieskie kolczyki, a na nosie kanciaste okulary. – Nadkomisarz Maren König, K11, policja kryminalna – przedstawiła się, podsuwając jej pod nos odznakę policyjną. – Czy mogę wejść?

– Tak, oczywiście. Zapraszam. – Barbara poczuła, że ogarnia ją przerażenie. Ktoś, kto wygląda tak poważnie i smutno jak ta policjantka, może przynosić jedynie złe wiadomości. – Wiadomo cokolwiek o Amelie?

– Nie, niestety niczego nowego nie mamy. Ale dowiedzieliśmy się, że Amelie otrzymała od swojego przyjaciela, Thiesa, kilka obrazów. Jednak nie znaleźliśmy ich w jej pokoju.

– Pierwsze słyszę o tych obrazach. Wcześniej nie było o nich mowy. – Barbara pokręciła bezradnie głową. Była rozczarowana, że funkcjonariuszka nie ma dla niej żadnych wiadomości.

– Czy mogłabym rozejrzeć się dokładniej w jej pokoju? – zaproponowała Maren König. – Jeśli te obrazy rzeczywiście istnieją, pewnie okażą się bardzo ważne dla poszukiwań.

– Tak, oczywiście. Proszę za mną.

Barbara Fröhlich zaprowadziła ją na piętro i otworzyła drzwi. W czasie kiedy policjantka gruntownie przeszukiwała każdy zakamarek pomieszczenia, sama stała w progu i przyglądała się jej pracy. Maren König sprawdziła regały na książki, szafki, na czworakach zajrzała pod łóżko i pod biurko, a na koniec odsunęła komodę.

– No proszę, tutaj są drzwiczki – stwierdziła i popatrzyła na właścicielkę domu. – Czy mogę je otworzyć?

– Oczywiście. Nawet nie wiedziałam, że tam jest jakiś schowek.

– W wielu domach ze skośnymi dachami wykorzystuje się przestrzenie pod skosami, stawiając ścianki działowe – wyjaśniła policjantka i po raz pierwszy uśmiechnęła się delikatnie. – Jest to szczególnie częste, kiedy w domu nie ma spiżarni.

Przykucnęła, otworzyła drzwiczki i na czworakach weszła do niewielkiego schowka między ścianką a izolacją. Chwilę później wróciła do pokoju, tym razem niosąc w ręku gruby zwój owinięty w papier i zawiązany czerwoną wstążką.

– O Boże! – szepnęła Barbara Fröhlich. – Odnalazła je pani! Miała pani rację!

Nadkomisarz Maren König wyprostowała się i strzepnęła kurz ze spodni.

– Zabieram obrazy na komendę. Jeśli pani chce, wystawię pokwitowanie.

– Nie, to naprawdę zbyteczne – zapewniła ją Barbara Fröhlich. – Jeśli mogą pomóc w odnalezieniu jej, proszę je jak najszybciej zbadać.

– Dziękuję. – Policjantka podeszła i położyła jej dłoń na ramieniu. – I proszę się przesadnie nie

martwić. Robimy wszystko, co w naszej mocy, żeby Amelie jak najszybciej wróciła do domu. Mogę pani przysiąc, że nie spoczniemy.

W jej głosie było tyle współczucia i zrozumienia, że Barbara musiała walczyć ze łzami, które zaczęły wypełniać jej oczy. Bez słowa skinęła głową. Czuła wielką wdzięczność. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna zadzwonić do Arne i poinformować go o obrazach, ale wciąż jeszcze była zbyt dotknięta jego zachowaniem. Dopiero później, kiedy zrobiła herbatę i usiadła przy kuchennym stole, uświadomiła sobie, że z tego wszystkiego zapomniała obejrzeć odnalezione malunki.

*

TOBIAS KRAŻYŁ niespokojnie po salonie w apartamencie Nadji. Wielki telewizor na jednej ze ścian był włączony, jednak ściszył go do zera. W związku z zaginięciem siedemnastoletniej Amelie F. policja rozesłała za nim listy gończe, jak przeczytał na czerwonym pasku pod obrazem. Pół nocy rozmawiał z Nadją, poszukując możliwości wyjścia z tej sytuacji. Nie wiedział, co powinien zrobić. Nadja wpadła na pomysł, żeby poszukać tych obrazów. Zasnęła chwilę przed północą, a on leżał dalej w ciemności i usiłował sobie cokolwiek przypomnieć. Jednego był pewien – jeśli zgłosi się na policję, natychmiast wsadzą go do aresztu. Nie potrafił w żaden logiczny sposób wyjaśnić, jak telefon Amelie znalazł się w jego kieszeni, i wciąż nie mógł sobie przypomnieć, co się z nim działo w nocy z soboty na niedzielę.

Amelie musiała dowiedzieć się czegoś o wydarzeniach z 1997 roku – czegoś, co dla kogoś mogło okazać się bardzo niebezpieczne. Ale kim był ten ktoś? Jego myśli wciąż krążyły wokół Claudiusa Terlindena. Przez jedenaście długich lat spędzonych w więzieniu uważał go za swojego jedynego sprzymierzeńca i obrońcę. Cieszył się na jego odwiedziny i czekał każdej rozmowy jak kania dżdżu. Jakim był idiotą! Terlinden miał w tym interes i tylko to go obchodziło! Nie, nie był winien zaginięcia Laury i Stefanie, jednak bez najmniejszych wątpliwości cynicznie wykorzystał położenie jego rodziców, żeby dostać to, czego chciał – ich działkę. A jak już przejął ją za grosze, postawił na niej siedzibę swojej firmy.

Tobias zapalił papierosa. Popielniczka na stoliku kawowym kipiała niedopałkami. Podeszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, na ciemne wody toczące przez rzekę Men. Minuty wlokły się i rozciągały w godziny. Jak długo jej już nie było? Trzy godziny? Cztery? Oby tylko jej się udało! Plan, jaki mu zaprezentowała, stał się dla niego jedyną deską ratunku i miał nadzieję, że wypali. Jeśli obrazy, o których Amelie usiłowała mu powiedzieć, rzeczywiście istniały, może mógł z ich pomocą udowodnić swoją niewinność i odnaleźć sprawcę zniknięcia dziewczyny? Czy jeszcze żyła? Czy... Tobias zwiesił głowę i potrząsnął nią ze złością, jednak nie mógł przepędzić natrętnej myśli. Czy psychologowie, psychiatrzy i biegli sądowi mogli mieć rację? Co będzie, jeśli się nie pomylili i było tak, jak zeznali przed sądem w czasie jego procesu? Czy pod wpływem alkoholu mógł zmieniać się

w potwora bez skrupułów? Prasa natychmiast im uwierzyła. Już wcześniej zauważał u siebie agresywne zachowania. Źle znosił porażki. Dostawał to, co chciał, i z czasem stało się to dla niego oczywistością. Wszystko miało się udawać. Dobrze stopnie, sport, dziewczyny... Z rzadka jedynie potrafił spojrzeć na siebie z dystansu. Poza tym był ulubieńcem wszystkich, najjaśniejszym punktem paczki. A może tylko to sobie ubzdurał? Może w swoim przerośniętym egocentryzmie nie zauważył, że jest inaczej?

Ponowne spotkanie z Jörgiem, Feliksem i pozostałymi znajomymi sprawiło, że zaczął sobie przypominać jakieś drobnostki, które wydarzyły się o wiele lat wcześniej. W każdym razie wtedy, kiedy miały miejsce, uważał je za głupstwa bez znaczenia. Laurę odbił wówczas kumplowi, Michaelowi, i nie miał wyrzutów sumienia. Dziewczyny były tylko trofeami, którymi podbudowywał swoją próżność. Ileż razy ranił bezmyślnie uczucia innych? Ile razy sprawiał im ból? Tak naprawdę pojął to dopiero w momencie, kiedy Stefanie z nim zerwała. Nie chciał tego zaakceptować – ukląkł nawet przed nią i błagał, żeby nie odchodziła, ale ona go wyśmiała. Co wtedy zrobił? Co zrobił teraz Amelie? W jaki sposób jej komórka znalazła się w jego spodniach?

Tobias usiadł ociężale na kanapie, przycisnął dłonie do skroni i ponownie spróbował poukładać strzępki wspomnień w jakiś logiczny ciąg. Lecz im bardziej się starał, tym gorzej mu szło. Miał wrażenie, że zaraz zwariuje.

*

MIMO ŻE poczekalnia gabinetu pękała w szwach, doktor Daniela Lauterbach nie pozwoliła Pii i Bodensteinowi długo na siebie czekać.

– Boli pana głowa? – zapytała z miłym uśmiechem.

– Nie, nie czuję żadnych dolegliwości. – Policjant odruchowo uniósł dłoń i dotknął palcami plastra. – Może troszkę pobolewa, ale tylko czasami i słabo.

– Jeśli pan chce, mogę jeszcze raz obejrzeć ranę.

– Nie, dziękuję, nie ma takiej potrzeby. Poza tym nie chcemy zajmować pani czasu.

– W takim razie nie będę nalegała. W razie czego wie pan, gdzie mnie szukać.

Bodenstein potaknął z uśmiechem i pomyślał, że może powinien zmienić lekarza. Daniela Lauterbach podpisała szybko trzy recepty, które przygotowała jej sekretarka na ladzie przy recepcji, a potem wskazała Pii i jej partnerowi drogę do swojego gabinetu. Pod ich nogami zaskrzypiał drewniany parkiet. Lekarka uprzejmym gestem zaprosiła ich do zajęcia miejsc naprzeciwko biurka, a sama usiadła w fotelu.

– Przyszliśmy w sprawie Thiesa Terlindena – wyjaśnił Bodenstein, siadając.

Pia stanęła za nim.

Daniela Lauterbach spojrzała na niego uważnie.

– Co chcielibyście o nim wiedzieć?

– Jego matka twierdzi, że miał napad i że musiał zostać przetransportowany do zamkniętego ośrodka.

– Tak, to niestety prawda – potwierdziła kobieta. – Niewiele więcej mogę powiedzieć na jego temat, bo, jak zapewne państwo wiecie, obowiązuje mnie tajemnica lekarska. Thies jest moim pacjentem.

– We wsi słyszeliśmy, że Thies chodził cały czas za Amelie – odezwała się Pia.

– Nie chodził za nią, ale chodził z nią – poprawiła ją lekarka. – Thies bardzo ją lubi, a to, jak się wobec niej zachowuje, to jego sposób okazywania przywiązania i sympatii. Swoją drogą Amelie od samego początku potrafiła to docenić. Jest bardzo wrażliwą dziewczyną, nawet jeśli ubiera się trochę niecodziennie. Dla Thiesa to prawdziwe szczęście.

– Ojciec chłopaka ma całe ręce poharatane po jakimś nieporozumieniu z nim – stwierdziła Pia. – Czy Thies przejawia gwałtowne albo agresywne zachowania?

Daniela Lauterbach zaśmiała się delikatnie, ale z wyraźną troską.

– Tutaj zbliżamy się do spraw, o których nie powinnam właściwie mówić – odparła. – Ale z naszej rozmowy wnioskuję, że podejrzewacie Thiesa, iż mógł mieć coś wspólnego ze zniknięciem Amelie. Otóż uważam taką ewentualność za wykluczoną. Thies jest autystą, przez co zachowuje się inaczej. Nie potrafi okazywać uczuć i generalnie bardzo mało mówi. Od czasu do czasu zdarzają mu się te... wybuchy. Ale wyjątkowo rzadko. Naprawdę. Rodzice bardzo się o niego troszczą i fantastycznie się nim zajmują. Na dodatek przyjmuje odpowiednie lekarstwa, które dobrze znosi i które działają.

– Czy według pani Thies jest upośledzony umysłowo?

– Nie, w żadnym wypadku! – Daniela Lauterbach potrząsnęła zdecydowanie głową. – Thies jest bardzo inteligentny i wybitnie uzdolniony artystycznie. Zapewne wiecie, że maluje obrazy.

Mówiąc to wskazała na abstrakcyjne, wielkie płótna zdobiące ściany jej gabinetu. Pia uświadomiła sobie, że były podobne do dzieł w domu Terlindenów i w firmie Claudiusa.

– Thies je namalował? – zapytała, przyglądając się im z nieukrywanym zaskoczeniem. Na pierwszy rzut oka nie rozumiała, co przedstawiają, lecz teraz, po chwili patrzenia, zaczęła rozróżniać poszczególne elementy. Zadrżała, dostrzegając na nich ludzkie twarze, powykrzywiane, bezwolne, pełne strachu i cierpienia. I przerażenia. Intensywność przedstawianych odczuć była przytłaczająca. Jak można było codziennie znosić ich widok?

– Poprzedniego lata mój mąż zorganizował mu wernisaż w Wiesbaden. Wystawa okazała się ogromnym sukcesem. Wszystkie czterdzieści trzy prace zostały sprzedane.

W jej głosie słychać było dumę. Daniela Lauterbach lubiła syna swoich sąsiadów, jednak na

szczęście zachowywała dostatecznie dużo zawodowego dystansu, by obiektywnie mówić o swoim pacjencie.

– Claudius Terlinden bardzo szczerze wspierał rodzinę Sartoriusów w czasie procesu i po wyroku na Tobiasa. – Bodenstein zmienił temat. – Zapłacił za adwokata, z tego, co wiem, bardzo dobrego adwokata. Czy uważa pani, że mogły powodować nim wyrzuty sumienia?

– Słucham? Dlaczego miałby odczuwać wyrzuty sumienia? – Daniela Lauterbach przestała się uśmiechać.

– Może dlatego, że Thies miał coś wspólnego z zaginięciem tamtych nastolatek?

Przez moment w gabinecie panowała całkowita cisza, aż słychać było przytłumiony dzwonek telefonu z recepcji.

Lekarka zmarszczyła brwi.

– Cóż, nigdy tak na to nie patrzyłam – zastanowiła się. – Faktem jest, że Thies oszalał na punkcie jednej z nich, Stefanie Schneeberger. Spędzał z nią bardzo dużo czasu, tak samo jak dzisiaj z Amelie...

Przerwała, kiedy uświadomiła sobie, co Bodenstein sugerował. Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Mój Boże! – powiedziała z przerażeniem. – Nie, to niemożliwe! Nie mogę w to uwierzyć!

– Musimy koniecznie porozmawiać z Thiesem – odezwała się Pia, akcentując każde słowo. – Uważamy, że tym tropem możemy dotrzeć do Amelie.

– Rozumiem... ale to bardzo skomplikowane. Obawiałam się, że może zrobić sobie krzywdę, więc skierowałam go do zamkniętego ośrodka psychiatrycznego. – Daniela Lauterbach złożyła dłonie i w zamyśleniu dotknęła wskazującymi palcami ust. – Tak naprawdę nie mam możliwości załatwienia widzenia z Thiesem.

– Ale jeśli Thies ją w jakiś sposób uprowadził, to grozi jej wielkie niebezpieczeństwo! – podkreśliła Pia. – Możliwe, że jest gdzieś uwięziona i nie może się sama uwolnić.

Lekarka popatrzyła na policjantkę. Była wyraźnie zmartwiona i przejęta.

– Ma pani rację – powiedziała zdecydowanie. – Zaraz zadzwonię do ordynatora psychiatrii w Bad Soden.

– Jeszcze jedna sprawa – dodała Pia, udając, że coś jej się właśnie przypomniało. – Tobias Sartorius powiedział, że Amelie wspomniała o pani mężu w związku z wydarzeniami z 1997 roku. Chodziły wówczas plotki, że obsadził Stefanie Schneeberger w głównej roli ze względu na to, że ją, hm, bardzo lubił.

Lekarka trzymała już w dłoni słuchawkę, lecz na dźwięk słów policjantki powoli ją odłożyła.

– W czasie śledztwa i procesu Tobias oskarżał każdego – odparła. – Starał się uratować przed więzieniem, co jest w jakimś stopniu zrozumiałe. Proszę jednak pamiętać, że dochodzenie oczyściło

wszystkie pomówione przez niego osoby. A mój mąż, który wtedy prowadził szkolną grupę teatralną, był oczarowany talentem Stefanie Schneeberger. Nigdy tego nie ukrywał. Do tego trzeba pamiętać, że dziewczyna idealnie nadawała się do roli dzięki temu, jak wyglądała. Istna Królowa Śnieżka.

Znów sięgnęła po słuchawkę.

– O której godzinie wyszłicie państwo z Ebony Club w sobotę wieczorem? – zapytał Bodenstein. – Pamięta pani?

Na twarzy kobiety pojawił się wyraz zaskoczenia.

– Tak, oczywiście. Nawet bardzo dokładnie – odpowiedziała. – Niemal dokładnie o wpół do dziesiątej.

– I wszyscy państwo, razem z Claudiusem Terlindenem, wróciliście do Altenhain?

– Nie. Ja miałam tamtej nocy dyżur ambulatoryjny, dlatego byłam swoim samochodem. I właśnie o wpół do dziesiątej dostałam wezwanie do wypadku samochodowego w Königstein.

– Rozumiem. A Terlindenowie i pani mąż? O której zaczęli się zbierać?

– Christine pojechała ze mną. Bardzo martwiła się o Thiesa, który leżał z grypą. Wysadziłam ją na przystanku autobusowym niedaleko domu, a sama pojechałam dalej, do Königstein. Do domu wróciłam około drugiej nad ranem. Mąż już spał.

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Ze słów lekarki wynikało, że Claudius Terlinden skłamał również na temat przebiegu sobotniego wieczoru. Tylko dlaczego?

– Kiedy wracała pani z wezwania, nie pojechała pani prosto do domu, prawda? – pytał dalej policjant.

Kobieta nie wydawała się zaskoczona.

– Nie. Z Königstein wyjechałam krótko po pierwszej w nocy – westchnęła. – Na przystanku autobusowym zobaczyłam leżącego mężczyznę. Zatrzymałam się. Dopiero wtedy dostrzegłam, kto to jest. – Potrząsnęła głową, a jej oczy wyrażały współczucie. – Tobias był w sztok pijany. I wychłodzony. Wymiotował. Dziesięć minut zajęło mi zapakowanie go do samochodu. Potem z Hartmutem zaciągnęliśmy go jakoś do pokoju i położyliśmy do łóżka.

– Czy coś mówił? – zapytała Pia.

– Nie – odparła lekarka. – Nic nie mówił i nie rozumiał, co się mówiło do niego. Z początku myślałam nawet nad wezwaniem karetki, żeby zabrali go do szpitala, ale pomyślałam, że tego by nie chciał.

– Dlaczego? Skąd mogła pani to wiedzieć?

– Kilka dni temu opatrywałam go po brutalnym pobiciu. Jacyś ludzie napadli go, kiedy pracował w stodole, i strasznie skatowali. – Nachyliła się i spojrzała Bodensteinowi prosto w oczy, a w jej wzroku było tyle przekonania, że mężczyźnie zrobiło się gorąco. – Temu człowiekowi naprawdę

można współczuć, niezależnie, co zrobił. Niektórzy mówią, że dziesięć lat to stanowczo za mało, ale ja uważam, że jego kara będzie trwała do końca życia.

– Istnieją przesłanki, które każą podejrzewać, że miał coś wspólnego z zaginięciem Amelie – zakończył Bodenstein. – Zna go pani znacznie lepiej niż pozostali. Czy uważa pani, że to możliwe?

Daniela Lauterbach opadła na oparcie fotela i milczała przez pełną minutę, ani na chwilę nie odrywając wzroku od policjanta.

– Naprawdę chciałabym móc z pełnym przekonaniem powiedzieć, że nie – odezwała się w końcu. – Ale niestety, nie mogę tego zrobić.

*

ZDJĘŁA Z GŁOWY PERUKĘ z krótkimi włosami i rzuciła ją na ziemię. Ręce drżały jej do tego stopnia, że nie mogła rozwiązać supełka na czerwonej wstążce, którą owinięty był rulon płócien. W końcu sięgnęła po nożyczki. Z dziko walącym sercem położyła obrazy na biurku i rozwinęła je. Osiem sztuk. Kiedy zobaczyła, co przedstawiają, przerażenie zaparło jej dech w piersiach. Ten cholerny gnojek z fotograficzną precyzją zapamiętał wydarzenia z szóstego września 1997 roku, a potem przeniósł na płótna. Nie brakowało żadnego, nawet najdrobniejszego szczegółu. Dało się rozpoznać nawet idiotyczny napis i stylizowaną podobiznę Królowny Śnieżki na ciemnozielonej krótkiej koszulce! Zagryzła usta, a w uszach zaszumiała krew. Wspomnienie tamtych zdarzeń nagle ożyło jej przed oczyma. Przypomniała sobie ohydny smak porażki i satysfakcję na widok Laury, która dostała to, na co zasłużyła; przemądrzała, wyniosła zdzira! Po kolei wyjmowała obrazy i gładziła je obiema dłońmi. Tak samo jak wtedy poczuła wzbierającą panikę. Niedowierzenie, bezradność, wściekłość. Wyprostowała się i spróbowała spokojnie oddychać. Raz, dwa trzy. Spokojnie. Zaczynj myśleć! To nie była katastrofa. Znacznie gorzej. Ziszczał się najgorszy z możliwych scenariuszy. Jej starannie dopracowany plan mógł spalić na panewce, a na to nie mogła pozwolić! Trzęsącymi się dłońmi zapaliła papierosa. Nie próbowała nawet sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby te obrazy wpadły w ręce policji. Poczowała mdłości. Co teraz? Jaki powinien być jej następny krok? Czy to na pewno wszystkie obrazy, czy Thies mógł coś jeszcze przenieść na płótno? Nie chciała ryzykować, bo gra toczyła się o zbyt wysoką stawkę. Nerwowymi haustami wypaliła papierosa do samego filtra, a kiedy skończyła, wiedziała, co robi. Zawsze wszystkie decyzje musiała podejmować w pojedynkę. Z ponurym zdecydowaniem sięgnęła po nożyczki, a potem, jeden po drugim, pocięła obrazy na małe kawałki. Na koniec przepuściła je przez niszczarkę do dokumentów, wyrzuciła worek ze skrawkami i wzięła torebkę. Jeśli teraz nie spanikuje, wszystko się uda.

*

NADKOMISARZ KAI OSTERMANN musiał uznać swoją porażkę, kiedy po kolejnych godzinach starań nie poradził sobie ze złamaniem szyfru, którym posługiwała się Amelie Fröhlich. Z początku wydawało mu się, że zadanie będzie bułką z masłem, ale teraz wiedział już, że nie da rady. Nie

znalazł żadnej prawidłowości, żadnego klucza, nic. Najwyraźniej dla tych samych liter używała kilku różnych symboli, a to czyniło jej kod niemożliwym do złamania. Do pokoju wszedł Behnke.

– No i? – zapytał Ostermann

Bodenstein zlecił Behnkemu przesłuchanie Claudiusa Terlindena, który od rana siedział w policyjnej izbie zatrzymań.

– Ani pary z ust. Co za arogancki dupek. – Behnke usiadł ciężko na krześle i westchnął, sfrustrowany, a potem oparł się wygodnie i założył ręce za głowę. – Nie wiem, co szef sobie wyobrażał. Gdybym miał cokolwiek, żeby gościa przycisnąć! Tylko co? Próbowałem go prowokować, byłem przyjazny, groziłem mu i nic! Siedzi i się uśmiecha. Najchętniej strzeliłbym go w mordę.

– Jeszcze ci tego brakowało. – Ostermann spojrzał ostro na kolegę.

Behnke się zirytował.

– Sam wiem, że siedzę po uszy w gównie, okej?! – wrzasnął i łupnął pięścią w biurko, aż klawiatura podskoczyła. – Bo wiesz, jak jest? Stary chce mnie zmusić, żebym odszedł! To jest już mobbing!

– Nie opowiadaj głupot. Poza tym przecież nie kazał ci go złamać, tylko zmiękczyć, a to dwie różne rzeczy.

– Dokładnie. Nie widzisz tego? Ja mam odwalać ciężką robotę, a on sobie przylezie ze swoją cholerną księżniczką i bez wysiłku zgarną całą śmietankę! – Behnke był purpurowy z wściekłości.

Ostermann współczuł koledze. Znali się jeszcze ze szkoły policyjnej. Razem pracowali najpierw w prewencji, potem w oddziałach antyterrorystycznych, aż Ostermann w jednej z akcji stracił gołęń i przeniósł się za biurko. Behnke spędził jeszcze kilka lat w oddziałach specjalnych, przeniósł się do policji kryminalnej i krótko potem dostał przydział do K11. Był świetnym policjantem. Był. Dopóki nie posypało mu się życie prywatne. Behnke ukrył twarz w dłoniach i jęknął.

Naraz otworzyły się drzwi i do pokoju weszła Kathrin Fachinger. Była czerwona ze złości.

– Czy ty masz dobrze w głowie? – naskoczyła na Behnkego. – Co to za pomysł, żeby zostawić mnie z nim sam na sam? Co to w ogóle miało być?

– Przecież i tak umiesz wszystko lepiej! – odparł policjant z sarkazmem.

Ostermann nie odzywał się, tylko patrzył raz na jedno, raz na drugie.

– Mieliśmy ustaloną strategię! – przypomniała mu kobieta. – A ty nagle sobie wychodzisz! Wyobraź sobie, że ze mną zdecydował się rozmawiać! – dodała tryumfalnie.

– No i super. To teraz pędź do szefa i pochwal mu się, jaka jesteś cudowna, durna krowo!

– Coś ty powiedział? – Kathrin stanęła przed Behnkem i rozłożyła z niedowierzaniem ręce.

– Durna krowo! Powiedziałem, że jesteś durną krową! – powtórzył mężczyzna podniesionym

głosem. – A teraz wytłumaczę ci to jeszcze jaśniej: jesteś cholerną intrygantką i egoistyczną świnią! Zakablowałaś mnie i nigdy ci tego nie zapomnę!

– Frank! – Ostermann podniósł się z miejsca.

– Czyli grozisz mi? – Kathrin nie dała się zastraszyć. Zaśmiała się. – Nie boję się ciebie! Mielesz tylko ozorem! Jeszcze trochę takich wyskoków i możesz sobie szukać innej pracy. Nie ma się co dziwić, że żona cię rzuciła! Swoją drogą ciekawe, jak ją zmusiłeś, żeby za ciebie wyszła?

Behnke spurpurowiał i zacisnął pięści.

– Hej! Ludzie! – zawołał Ostermann, widząc, co się święci. – Przestańcie!

Ale było już za późno. Behnke nie wytrzymał ciśnienia i od dawna tłumiona złość znalazła w końcu ujście. Zerwał się na równe nogi, przewrócił krzesło i pchnął Kathrin. Kobieta poleciała na szafkę i spadły jej okulary. Behnke celowo stanął na nich stopą. Rozległ się chrzęst szkła. Kathrin się podniosła.

– Proszę – powiedziała i wykrzywiła twarz. – Wiesz, co to znaczy.

Wtedy Behnke całkowicie stracił panowanie nad sobą i zanim Ostermann zdążył mu przeszkodzić, doskoczył do Kathrin i zamachnął się, żeby uderzyć ją pięścią w twarz. Kobieta popisała się ogromnym refleksem, bo błyskawicznie uniosła kolano, miażdżąc przeciwnikowi krocze. Trafiła go, Behnke jęknął i otworzył usta, jakby chciał nabrać powietrza, po czym padł na ziemię. W tym samym momencie do pokoju wszedł Bodenstein. Spojrzał na Kathrin Fachinger i Behnkego.

– Czy ktoś mógłby mi wyjaśnić, co się tutaj dzieje? – zapytał, z trudem zachowując spokój.

– Zaatakował mnie, zmiażdżył mi okulary i chciał mnie uderzyć w twarz – odparła kobieta, wskazując na zniszczone oprawki na ziemi. – Ja się tylko broniłam.

– Czy to prawda? – Szef spojrział na Ostermanna, który stał i bezradnie trzymając się za głowę, spoglądał na kolegę.

W końcu potaknął.

– No dobrze – stwierdził Bodenstein. – Starczy tej dziecinady. Behnke, proszę wstać.

Frank Behnke wykonał polecenie. Miał twarz wykrzywioną bólem i nienawiścią. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale szef nie dał mu dojść do słowa.

– Pamięta pan chyba, co powiedziała doktor Engel? – zapytał lodowato. – Zostaje pan zawieszony ze skutkiem natychmiastowym.

Behnke popatrzył na niego tępo. W końcu ruszył się, podszedł do biurka i złapał marynarkę.

– Odznakę i broń służbową proszę zostawić w biurze – rozkazał Bodenstein.

Policjant odpiął kaburę i odznakę i rzucił na biurko.

– Pocałujcie mnie w dupę – powiedział, minął Bodensteina i wyszedł.

Przez chwilę panowała całkowita cisza.

– Czy Terlinden powiedział coś w czasie przesłuchania? – zwrócił się szef do Kathrin, jakby

przed chwilą nic się nie wydarzyło.

– Terlinden jest właścicielem restauracji Ebony Club we Frankfurcie – odparła kobieta. – I Czarnego Rumaka w Altenhain. I jeszcze jednej restauracji, w której Jagielski też jest menedżerem.

– I? To wszystko?

– Niczego więcej nie udało się z niego wyciągnąć. Ale to przecież sporo wyjaśnia, prawda?

– Niby co?

– To, że Claudius Terlinden nie musiałby wspierać Sartoriusów, gdyby nie wpędził ich w ruinę, otwierając konkurencyjnego Czarnego Rumaka – odparła Kathrin. – Uważam, że on wcale nie jest miłosiernym samarytaninem. Najpierw zniszczył Hartmuta Sartoriusa i pozwolił mu zbankrutować, ale w ostatniej chwili nie pozwolił mu wyjechać z Altenhain i zapobiegł utracie gospodarstwa. Założę się, że ma w garści nie tylko jego. Na przykład ten Jagielski, którego zrobił menedżerem swoich restauracji. To mi przypomina trochę metody mafijne – on ich chroni, a oni w zamian za to trzymają buzię na kłódkę.

Bodenstein zamyślił się i pokiwał głową.

– Świetna robota. – Popatrzył na nią z uznaniem. – Naprawdę świetna.

*

TOBIAS PODSKOCZYŁ jak porażony prądem, kiedy otworzyły się drzwi mieszkania. Do środka weszła Nadja. W jednej dłoni trzymała plastikową torebkę, a drugą usiłowała zdjąć z siebie płaszcz.

– No i? – Podbiegł i pomógł jej się rozebrać, a potem odwiesił nakrycie do garderoby. – Znalazłaś coś? – Po tych wszystkich godzinach oczekiwania i napięcia nie posiadał się z niecierpliwości.

Nadja przeszła do kuchni, położyła torebkę na stole, a sama usiadła na krześle.

– Nic. – Potrząsnęła głową, zdjęła gumkę z włosów ściągniętych w koński ogon i przeczesła je dłonią. – Przeszukałam cały dom. Cały. Jestem przekonana, że wymyśliła je sobie.

Tobias stał nieruchomo i nie odrywał od niej wzroku. Czuł potworne rozczarowanie.

– To niemożliwe! – wykrzyknął w końcu. – Niby po co miała to zrobić?

– Nie mam zielonego pojęcia. Może chciała zwrócić na siebie uwagę? – Nadja wzruszyła ramionami. Wyglądała na wyczerpaną i miała cienie pod oczami. Pomyślał, że równie trudno jak on znosi tę sytuację.

– Zjedzmy coś – powiedziała i sięgnęła po plastikową torbę. – Kupiłam po drodze coś chińskiego.

Mimo że Tobias od rana nic jeszcze nie jadł, smakowity zapach świeżego posiłku unoszący się z kartonowych pudełek nie sprawił, że poczuł głód. Jak mógłby zresztą w ogóle myśleć teraz o jedzeniu? Amelie nie wymyśliła sobie tych obrazów – nigdy, przenigdy! Była inna – nie należała do

dziewcząt, które za wszelką cenę chcą zwracać na siebie uwagę. Nadja się myliła. W milczeniu obserwował, jak sięga po kartonik, otwiera go, wyjmuje drewniane pałeczki i zaczyna jeść.

– Policja mnie szuka – powiedział cicho.

– Wiem – odparła z pełnymi ustami. – Robię, co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

Tobiasz zagryzł usta. Cholera, nie mógł jej mieć niczego za złe. Najchętniej wróciłby natychmiast do Altenhain, żeby poszukać Amelie na własną rękę. Tyle że wtedy natychmiast zostałby aresztowany. Nie pozostawało mu nic innego, jak pozostać u Nadji i cierpliwie czekać.

*

BODENSTEIN ZATRZYMAŁ SIĘ po drugiej stronie ulicy i wyłączył silnik, ale nie wysiadł z samochodu. Z miejsca za kierownicą swojego bmw widział jasno rozświetlone kuchenne okna i Cosimę, która coś przygotowywała. W pracy musiał odbyć jeszcze jedną poważną rozmowę z przełożoną, doktor Engel, w sprawie zawieszenia Behnkego. Wiadomość o wydarzeniach po przesłuchaniu Terlindena rozeszła się po komisariacie z prędkością pożaru na stepie. Nicola Engel zatwierdziła natychmiast jego decyzję, lecz największym problemem Bodensteina były teraz braki kadrowe. Nie tylko Behnke, także Hasse przestał przychodzić do pracy.

W drodze do domu zastanawiał się, jak powinien zachować się wobec Cosimy. Czy miał wejść do domu, spakować się bez słowa i wyjść? Nie, koniecznie musiał usłyszeć prawdę z jej ust. Nie czuł złości, tylko potężne, wszechogarniające rozczarowanie. Po kilku minutach bezruchu wysiadł z samochodu i wolnym krokiem przeciął moką od deszczu ulicę. Dom, który dawno temu wybudowali, w którym spędził dwadzieścia szczęśliwych lat i w którym znał każdy zakamarek, nagle wydał mu się zimny i obcy. Każdego wieczoru aż do dziś cieszył się, kiedy do niego wracał: cieszył się, że zobaczy Cosimę, dzieci, że przywita go pies i że latem będzie mógł pracować w ogrodzie; dziś jednak bał się otworzyć drzwi. Od jak dawna Cosima, leżąc obok niego w łóżku, tęskniła w tajemnicy za innym mężczyzną? Jak długo myślała o kimś, kto ją pieścił i całował? Wolałby nie zobaczyć jej dzisiaj z tym człowiekiem! Ale stało się. W głowie słyszał wciąż te same pytania – dlaczego? Od kiedy? Jak? Gdzie?

Nawet w najgorszych koszmarach nie wyobrażał sobie, że znajdzie się w takiej sytuacji. Jego małżeństwo było przecież udane... no dobrze, wszystko się układało do czasu narodzin Sophii. Wtedy Cosima zaczęła się zmieniać. Nigdy nie potrafiła usiedzieć na miejscu, jednak wyprawy w najdalsze zakątki ziemi zaspokajały jej głód wolności i przygody w stopniu pozwalającym na normalne funkcjonowanie przez pozostałą część roku, którą spędzała w domu. Wiedział o tym i bez słowa sprzeciwu akceptował wyjazdy, choć nienawidził tak długiej rozłąki. Od narodzin Sophii Cosima była cały czas na miejscu. Od dwóch lat nie brała udziału w żadnej wyprawie. Ani razu nie dała mu odczuć, że jest niezadowolona. Teraz jednak uświadomił sobie, że pewne sygnały świadczyły o tym, że nie wszystko było w porządku. Wcześniej nigdy się nie kłócili, a tymczasem od niedawna

awantury im wręcz spowszedniały. I zawsze chodziło o jakieś głupoty. Robili sobie wyrzuty, krytykowali się nawzajem i wytykali błędy. Bodenstein stał już przed drzwiami z kluczem w dłoni, kiedy niespodziewanie poczuł w sobie złość. Przez kilka tygodni ukrywała przed nim ciążę. To ona, sama, w tajemnicy, zdecydowała się na dziecko. Postawiła go przed faktem dokonanym. A musiała przecież zdawać sobie sprawę, że przy dziecku przynajmniej na jakiś czas będzie musiała skończyć ze swoim cygańskim życiem.

Otworzył drzwi. Pies zerwał się ze swojego posłania i przybiegł radośnie go powitać. W drzwiach do kuchni pojawiła się Cosima, a on poczuł serce w gardle.

– Witaj – uśmiechnęła się promiennie. – Późno wracasz. Jesteś głodny?

I stała tak przed nim, w tym samym zielonym swetrze z kaszmiru, w którym widział ją dzisiaj w Ebony Club, i wyglądała tak samo jak zawsze.

– Nie – pokręcił głową. – Nie jestem głodny.

– Jeśli zmienisz zdanie, w lodówce są frykadunki i sałatka z makaronem.

Odwróciła się i chciała wrócić do kuchni.

– Nie byłeś dzisiaj w Moguncji – powiedział z naciskiem. Cosima zatrzymała się i odwróciła. Nie chciał, żeby zaczęła kłamać, więc mówił dalej, nie dając jej dojść do słowa. – Widziałem cię w restauracji. W Ebony Club. Byłeś z Alexandrem Gavrilowem. Proszę, nie zaprzeczaj.

Skrzyżowała ramiona i popatrzyła na niego. W domu zapanowała całkowita cisza. Nawet psa opuściło radosne podniecenie i położył się potulnie na swoim miejscu.

– Przez ostatnich kilka tygodni praktycznie ani razu nie byłeś w Moguncji – mówił dalej Bodenstein. – Przed kilkoma dniami wracałem z Instytutu Medycyny Sądowej i przez przypadek zobaczyłem twój samochód. Zadzwoiłem do ciebie i zobaczyłem, jak odbierasz telefon. Powiedziałaś mi wtedy, że jesteś akurat w Moguncji.

Zamilkł. Gdzieś, w najgłębszym zakątku serca wciąż miał nadzieję, że się roześmieje i wyjaśni, jak mogło dojść do takiej pomyłki. Ale nie zaśmiała się i nie zaprzeczyła. Stała naprzeciwko, z ramionami założonymi na piersi, i nie okazywała jakichkolwiek wyrzutów sumienia.

– Proszę, bądź ze mną szczerą. – Nawet on miał wrażenie, że to, co mówi, jest godne politowania. – Czy ty... czy... czy sypiasz z Gavrilowem?

– Tak – odparła po prostu i ze spokojem.

W jednej chwili Bodensteinowi świat zawalił się na głowę i tylko cudem udało mu się zachowywać dalej równie spokojnie jak ona.

– Dlaczego? – pytał dalej, choć wiedział, że to będzie go bolało.

– Oliverze... powiedz mi, co chciałbyś, żebym powiedziała?

– Najlepiej prawdę.

– Latem spotkałam go przypadkowo na jakimś wernisażu w Wiesbaden. Ma biuro we Frankfurcie, akurat zajmował się nowym projektem i szukał sponsorów. Kilka razy rozmawialiśmy przez telefon. Wpadł na pomysł, że mogłabym nakręcić film o jego ekspedycji. Wiedziałam, że to ci się nie spodoba, więc najpierw chciałam z nim porozmawiać, żeby dowiedzieć się, co dokładnie wymyślił. Dlatego ci nie powiedziałam, że się spotykamy. No tak. I wtedy... to się po prostu stało. Nie wiem jak. Myślałam, że to tylko raz, incydent, ale potem... – przerwała i potrząsnęła głową.

Nie mógł pojąć, jak to było możliwe, że jego żona spotykała się z jakimś mężczyzną i wdała się z nim w romans, a on niczego nie podejrzewał. Czy naprawdę był takim durniem? A może zbyt mocno jej zaufał? Za bardzo zajmował się sobą? Przypomniawszy sobie kilka wersów piosenki, którą Rosalie puszczała na pełny regulator w czasach największego buntu. *Co ma on, czego nie mam ja? Powiedz prawdę, choć to już nie czas. Już za późno, ale wiedzieć chcę, czego było ci brak.* Idiotyczna piosenka, a jednak prawdziwa. Bodenstein zostawił Cosimę w progu kuchni i wbiegł po schodach na piętro, do sypialni. Gdyby został z nią jeszcze chwilę dłużej, nie wytrzymałby. Zacząłby krzyczeć. Powiedziałby jej prosto w twarz, co myśli o takich ludziach jak Gawrilow, którzy uwodzą cudze żony i matki małych dzieci. Był przekonany, że szukał kochanek, gdziekolwiek pojechał. Pootwierał szafki i szuflady. Z garderoby wyjął walizkę i na oślep wrzucił do niej trochę bielizny, koszul i krawatów, a na wierzch położył dwa garnitury. Potem w łazience spakował kosmetyczkę. Po niecałych dziesięciu minutach zszedł na dół. Cosima wciąż stała w tym samym miejscu, w którym ją zostawił.

– Dokąd idziesz? – zapytała cicho.

– Jak najdalej stąd – odparł, nie patrząc nawet w jej stronę, a potem otworzył drzwi i zniknął w ciemnościach nocy.

PIĄTEK 21 LISTOPADA 2008

Kwadrans po szóstej rano sygnał komórki wyrwał Bodensteina ze snu. Otumaniony zaczął po omacku szukać lampy i dopiero po chwili przypomniał sobie, że nie jest w domu, w swoim łóżku. Źle spał i miał dziwaczne sny. Materac był zbyt miękki, a kołdra zbyt ciepła, przez co raz się pocił, a zaraz potem marzł. Telefon dzwonił dalej. Wyłączył się na chwilę, lecz tylko po to, by odezwać się jeszcze natrętniej. Bodenstein wstał z łóżka i ruszył po ciemku przed siebie. Kilka sekund później zaklął pod nosem, bo uderzył dużym palcem o nogę od stołu. W końcu dotarł do drzwi i znalazł włącznik światła. Wtedy już bez trudu trafił do marynarki, w której zostawił telefon.

Na parkingu leśnym między Ruppertshain i Königstein leśniczy znalazł zwłoki w samochodzie. Technicy jechali już na miejsce zabezpieczyć ślady. Czy też ma ochotę przyjechać osobiście się rozejrzeć? Oczywiście, że tak. Czy miał cokolwiek innego do roboty? Z twarzą wykrzywioną bólem dokuśtykał do łóżka i usiadł. Wczorajsze wydarzenia jawiły mu się dzisiaj niczym koszmar senny. Przez godzinę jeździł bez celu po okolicy, aż w końcu, przez przypadek, zobaczył szyld wskazujący dojazd do dworu. Rodzice nie zadawali mu pytań, kiedy krótko przed północą zapukał do ich drzwi i zapytał, czy mógłby zostać na noc. Matka przygotowała mu pokój gościnny na poddaszu. Musiała zauważyć jego wyraz twarzy i wiedziała, że nie przyjechał ot tak sobie. Był im wdzięczny za dyskrecję i wrażliwość. Nie potrafiłby mówić o Cosimie i mężczyźnie, z którym go zdradzała.

Westchnął, wstał i z walizki wyjął kosmetyczkę, a potem wyszedł na korytarz i pomaszerował do łazienki. Pomieszczenie było maleńkie i lodowate; przywodziło na myśl nieprzyjemne wspomnienia z dzieciństwa i młodości, kiedy brakowało im jakichkolwiek wygod. Rodzice oszczędzali na czym tylko mogli, bo wciąż mieli problemy z pieniędzmi. W majątku, w którym dorastał, tylko dwa pomieszczenia były ogrzewane zimą, a pozostałe pokoje jedynie „przewietrzane”, jak mawiała jego matka: pilnowała, by temperatura nigdy nie przekraczała w nich osiemnastu stopni. Bodenstein zdjął krótką koszulkę i zmarszczył nos. Ze strachem popatrzył na prysznic. Tęsknie pomyślał o ogrzewaniu podłogowym w swoim domu i o miękkich, pachnących lenorem ręcznikach. Z brodzika wyszedł w rekordowym tempie. Wytarł się szorstkim, spranym ręcznikiem i, drżąc z zimna, ogolił się w migotliwym świetle starej świetlówki nad lustrem. Na dole spotkał ojca, który siedział przy rozchwianym drewnianym stole i, popijając kawę, czytał gazetę.

– Dzień dobry. – Uniósł wzrok i skinął synowi na powitanie. – Kawy?

– Dzień dobry. Tak, chętnie. – Bodenstein usiadł.

Ojciec wstał, wyjął z szafki filiżankę i nalał mu. Ani razu nie zapytał, jak to się stało, że zjawia się u nich w środku nocy i śpi w pokoju gościnnym. Rodzice oszczędnie używali również słów. I dobrze, bo za piętnaście siódma rano Bodenstein nie miał najmniejszej ochoty rozprawiać o swoich problemach małżeńskich. I tak oto ojciec z synem zasiedli przy jednym stole i, zgodnie milcząc,

wypili kawę. Od kiedy tylko Oliver pamiętał, w domu nawet na co dzień piło się i jadło, używając porcelany miśnieńskiej – również z oszczędności. Zastawa stanowiła część rodzinnego majątku i nie było powodu, by jej nie używać albo, co gorsze, zupełnie niepotrzebnie kupić drugi komplet. Serwis miałby zapewne gigantyczną wartość, gdyby nie to, że przez lata używania praktycznie każda jego część była wielokrotnie rozbijana i klejona. Również filiżanka, z której pił kawę, miała dwa obicia i przyklejone uszko. Wstał, kiedy skończył, po czym odstawił ją do zlewu i podziękował. Ojciec skinął głową i wrócił do lektury, którą z grzeczności odłożył na bok na czas obecności syna.

– Weź klucz do drzwi – powiedział zupełnie naturalnie. – Ten z czerwonym breloczkiem, wisi z innymi.

– Dzięki. – Bodenstein zdjął go z haczyka. – Do zobaczenia.

Najwyraźniej dla ojca jego wieczorny powrót nie był niczym nadzwyczajnym.

*

REFLEKTORY I MIGAJĄCE POLICYJNE ŚWIATŁA radiowozów rozświetlały poranną mgłę, kiedy Bodenstein skręcił w leśną drogę. Zaparkował samochód, wysiadł i dalej ruszył piechotą. Od zapachu mokrej ziemi, ziół i gnijących liści zakręciło mu się w nosie i wrócił fragment jednego z niewielu wierszy, które znał na pamięć: *Kto teraz sam jest, długo pozostanie sam, i będzie (...) błędził w alejach, gdy wiatr liście pędzi*^[1]. Dopadło go poczucie samotności. Musiał zacisnąć zęby i przestać o tym myśleć. Musiał skupić się na pracy, choć najchętniej zaszyłby się gdzieś i w milczeniu przeżywał swoją tragedię.

– Witam – przywitał Christiana Krögera, szefa zespołu techników kryminalistycznych, którzy zabezpieczali ślady. Mężczyzna akurat rozpakowywał aparat. – Co my tu mamy?

– Wiadomość poszła na otwartym policyjnym kanale, a potem było już z górki. – Kröger uśmiechnął się i potrząsnął głową. – Jak dzieci! Naprawdę, jak chłopcy z podstawówki!

– Czyli co? Bo nie łapię? – Bodenstein nic nie rozumiał, choć rzeczywiście, zdziwiła go liczba funkcjonariuszy i radiowozów. Mimo wczesnej godziny przy leśnej drodze parkowało pięć samochodów, a szósty właśnie skręcał w ich kierunku. Już z daleka słychać było gwar podnieconych rozmów. Zobaczył tłumek kilkunastu podekscytowanych mężczyzn, część w białych kombinezonach techników, część w mundurach i kilku w cywilu.

– Ferrari! – oznajmił jeden z mundurowych i aż zaświeciły mu się oczy. – 599 GTB Fiorano! Takie widziałem tylko raz i to na targach samochodowych!

Bodenstein przepchnął się w pobliże auta. Rzeczywiście! Na końcu leśnego parkingu, w jaskrawym świetle reflektorów stało wściekle czerwone ferrari. Zebranych policjantów znacznie bardziej interesowała pojemność silnika, moc, opony, felgi i moment obrotowy niż trup za kierownicą. Od chromowanej, grubej jak ramię rury wydechowej do okna prowadził wąż, a szparę

uchylonego ktoś starannie uszczelnił srebrną taśmą.

– Ta maszyna kosztuje ze dwieście pięćdziesiąt tysięcy euro. – Jeden z młodych funkcjonariuszy pokiwał głową. – Szaleństwo!

– Przez noc jej wartość na pewno spadła – odparł Bodenstein oschle.

– Dlaczego?

– Być może pan nie zauważył, ale na siedzeniu kierowcy znajdują się czyjeś zwłoki. – Bodenstein nie należał do osób, na których widok supersportowego auta robiłby jakiegokolwiek wrażenie. – Czy ktoś sprawdził numery rejestracyjne?

– Tak – zgłosiła się młoda policjantka, stojąca za plecami kolegów, która najwyraźniej podzielała obojętność Bodensteina. – Samochód jest zarejestrowany na jeden z banków we Frankfurcie.

– Hm. – Bodenstein przyglądał się, jak Kröger zaczyna robić zdjęcia, a po obfotografowaniu samochodu z zewnątrz zabiera się za otwarcie drzwi.

– Pierwsza ofiara kryzysu – zażartował ktoś, na co rozgorzała dyskusja o tym, ile trzeba zarabiać, żeby można było sobie pozwolić na comiesięczną ratę za takie ferrari. Bodenstein dostrzegł kolejny radiowóz, za którym toczyły się dwa cywilne samochody.

– Proszę zabezpieczyć teren i zamknąć dostęp przy samym wjeździe na parking – polecił młodej policjantce. – I proszę odesłać stąd wszystkich, którzy nie mają tu nic do roboty.

Młoda kobieta potaknęła i energicznie zabrała się do pracy. Kilka minut później teren parkingu opustoszał. Bodenstein zbliżył się do otwartych drzwi auta, przykucnął i przyjrzał się zwłokom. Samobójca był młodym mężczyzną o blond włosach. Mógł mieć nie więcej niż trzydzieści kilka lat. Nosił elegancki garnitur z krawatem, a na nadgarstku połyskiwał drogi zegarek. Głowa nieboszczyka była lekko przechylona, przez co sprawiał wrażenie, jakby tylko spał.

– Witam. – Bodenstein usłyszał za plecami znajomy głos. Odwrócił się.

– Dzień dobry, doktorze. – Wstał i skinął głową.

– Pia też tu jest?

– Nie, dzisiaj jestem sam – odparł z ironią. – A co, stęsknił się pan?

Kirchhoff zmusił się do wymęczonego uśmiechu, lecz w żaden inny sposób nie skomentował tej uwagi. Nie był w nastroju do sarkastycznych docinków. Miał zaczerwienione oczy i poszarzałą twarz, jakby w ogóle nie spał. Bodenstein odsunął się, robiąc mu miejsce. Podszedł do Krögera, który sprawdzał zawartość teczki denata. Aktówka leżała na siedzeniu pasażera.

– Jest coś ciekawego? – zapytał.

Kröger podał mu portfel mężczyzny. Bodenstein wyjął z niego dowód osobisty i zamarł. Potem jeszcze raz przeczytał nazwisko. Czy można było mówić o przypadku?

SZEFOWA ODDZIAŁU psychiatrycznego opowiedziała Pii wszystko, co mogła na temat stanu Thiesa, a przemilczała jedynie te szczegóły, na których ujawnienie nie pozwalała jej przysięga lekarska. Policjantka nie mogła się doczekać spotkania z młodym Terlindenem. Zdawała sobie sprawę, że nie może się po nim zbyt wiele spodziewać. Najprawdopodobniej, jak wyjaśniła lekarka, Thies nie będzie odpowiadał na żadne pytania. Pia przez dłuższą chwilę obserwowała go przez szybkę w drzwiach. Był wyjątkowo przystojnym mężczyzną o gęstych blond włosach i delikatnych ustach, a jego wygląd w żaden sposób nie zdradzał tego, z jakimi demonami przyszło mu walczyć. I tylko z jego obrazów dało się wyczytać historię tych zmagani. Siedział na krześle w jasnym i przytulnie urządzonej sypialni i z zacięciem coś malował. Mimo że lekami udało się go uspokoić, ze względów bezpieczeństwa lekarze nie pozwolili mu używać żadnych ostrych przedmiotów, takich jak drewniane ołówki czy pędzelki. Dostał za to pudełko kredek świecowych, co zdawało się mu nie przeszkadzać. Kiedy Pia i lekarka weszły do pomieszczenia, nie zwrócił na nie najmniejszej uwagi. Kobieta przedstawiła policjantkę i spokojnie wyjaśniła, dlaczego go odwiedza i o czym chciałyby z nim porozmawiać. Thies schylił się jeszcze niżej nad swoim malunkiem, by w następnej sekundzie wyprostować się gwałtownie i odłożyć kredki na blat; każda znajdowała się na swoim miejscu, jak żołnierze na musztrze. Pia usiadła na krześle naprzeciwko i popatrzyła na Thiesa.

– Nic nie zrobiłem Amelie – powiedział dziwnie monotonnym głosem, zanim policjantka zdążyła zadać pytanie. – Przysięgam. Nic nie zrobiłem. Nie zrobiłem. Nie zrobiłem.

– Nikt nie twierdzi inaczej. – Pia uśmiechnęła się przyjaźnie.

Dłonie Thiesa zaczęły drżeć. Mężczyzna kołysał się w przód i w tył. Ani na chwilę nie odrywał wzroku od obrazka, który leżał przed nim na stole.

– Bardzo ją pan lubi, prawda? Często przebywaliście razem?

Potaknął gwałtownie.

– Uważałem na nią. Bardzo uważałem.

Pia spojrzała na siedzącą nieco z boku lekarce. Thies znów sięgnął po kredkę, nachylił się i wrócił do rysowania. W sali zapanowała cisza. Pia nie wiedziała jeszcze, jakie pytanie powinna teraz zadać. Przed spotkaniem z młodym Terlindenem lekarka poradziła jej, żeby rozmawiała całkowicie swobodnie, a nie jak z małym dzieckiem. Tyle że to nie było takie proste.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

Thies nie zareagował. Odłożył jedną kredkę i sięgnął po inny kolor.

– O czym rozmawialiście?

To przesłuchanie wyglądało całkowicie inaczej niż dotychczasowe. Z twarzy Thiesa nie dało się niczego wyczytać; neutralna mina i brak jakiegokolwiek mimiki nie zdradzały, co działo się w jego głowie. Nie odpowiadał na żadne pytania. W końcu Pia zamilkła. Mijały minuty. Ludzie dotknięci

autyzmem nie mają poczucia czasu, wyjaśniła wcześniej lekarka. Oni żyją w swoim świecie. Pia musiała cierpliwie czekać. Ale o jedenastej na cmentarzu w Altenhain miał się odbyć pogrzeb Laury Wagner. Umówiła się tam z Bodensteinem. Kiedy rozczarowana wynikiem spotkania chciała wstać i wyjść, Thies Terlinden przemówił.

– Widziałem ją tamtego wieczoru, z bazy.

Mężczyzna mówił cicho, pełnymi zdaniami i całkowicie zrozumiale. Brakowało w nich jedynie intonacji. Pia miała wrażenie, jakby słuchała syntezy mowy.

– Stała na dworze, przed stodołą. Chciałem ją zawołać, ale wtedy przyszedł ten... mężczyzna. Rozmawiali i śmiali się, a potem poszli do stodoły, żeby nikt nie widział, co robili. Ale ja wszystko widziałem.

Pia spojrzała na lekarkę. Kobieta bezradnie wzruszyła ramionami. Baza? Stodoła? I kim był ten tajemniczy mężczyzna, o którym mówił Thies?

– Nikomu nie mogę o tym powiedzieć – kontynuował monotonnym głosem. – Bo mnie zamkną w zakładzie. I zostanę tam do śmierci.

Nagle podniósł głowę i rozejrzał się, a w jego błękitnych, jasnych oczach było tyle smutku i zwątpienia, co na obrazach w gabinecie doktor Lauterbach.

– Nie mogę o tym mówić – powtórzył. – Nie mówić. Nic nie mówić. Bo pójdę do zakładu.

Po blacie stołu przesunął obrazek, który rysował.

– Nic nie mówić. Nie wolno mi mówić.

Pia przyjrzała się mu i zadrżała. Przedstawiał dziewczynę z długimi, ciemnymi włosami. I mężczyznę, który uciekał. Kolejny mężczyzna uderzał ciemnowłosą dziewczynę w głowę.

– To nie jest Amelie, prawda? – zapytała cicho.

– Nie mogę mówić – powtórzył zachrypniętym głosem. – Nie mogę mówić. Tylko malować.

Serce policjantki zaczęło walić jak szalone, bo uświadomiła sobie, co Thies usiłował jej przekazać. Ktoś zabronił mu mówić o tym, co widział. A nie chodziło wcale o Amelie! Obrazek nie przedstawiał zaginionej kilka dni temu nastolatki, tylko Stefanie Schneeberger i jej mordercę!

Thies znów przestał zwracać na nią uwagę. Sięgnął po kolejną kartkę i schylony nad kredkami skupił się na obrazku. Wyglądał, jakby całkowicie odciął się od świata zewnętrznego. Zamknął się w sobie i mimo że wciąż był spięty, nie kiwał się już na krześle. Pia zaczęła rozumieć, co mężczyzna z malunku robił przez ostatnie lata. Szantażował Thiesą. Zagroził mu, że jak zacznie opowiadać, co widział, pójdzie do zakładu. I chłopak milczał – przez jedenaście lat. Tylko kto to mógł być? Nagle dotarło do niej, w jakim niebezpieczeństwie znalazł się młody Terlinden. Jeśli ten ktoś się dowie, co powiedział policji... Musiała go chronić. Nawet przed lekarką musiała udawać, że nic z tego nie rozumiała.

– No cóż – mruknęła, wzruszając ramionami. – Tak czy inaczej, dziękuję za poświęcony czas.

Wstała, a lekarka zrobiła to samo.

– Powiedzieli, że Śnieżka musi umrzeć – zdradził Thies. – Ale nikt już jej nie skrzywdzi. Bo ja na nią uważam.

*

MŻAWKA I MGŁA nie powstrzymała nikogo z mieszkańców Altenhain przed wzięciem udziału w uroczystościach pogrzebowych Laury Wagner; tłumnie stawili się na cmentarzu, by towarzyszyć jej w ostatniej drodze. Parking przed Czarnym Rumakiem nie mógł pomieścić wszystkich samochodów. Pia zatrzymała się po prostu przy krawężniku i kierując się żałobnym biciem dzwonów, szybkim krokiem ruszyła w stronę kościoła. W przedsionku czekał na nią Bodenstein.

– Okazuje się, że przed laty Thies był świadkiem tamtych wydarzeń – wyrzuciła z siebie nowinę. – Naprawdę namalował te obrazy. Amelie nie zmyślała, kiedy mówiła o nich Tobiasowi. Ktoś go szantażuje. Ma pójść do zamkniętego zakładu, jeśli komukolwiek powie, co widział.

– Mówił o Amelie? – zapytał Bodenstein zniecierpliwionym tonem, co świadczyło tylko o tym, że sam również trafił na coś doniosłego.

– Nic. Zaklinał się tylko, że nic jej nie zrobił. Ale mówił za to o Stefanie. Narysował ją nawet. Pia wyjęła z torebki złożoną kartkę i podała ją szefowi.

Policjant rzucił na nią okiem i zmarszczył brwi, a potem wskazał na przedmiot, którym mężczyzna uderzał w głowę ciemnowłosą dziewczynę.

– To jest przecież lewarek. Narzędzie zbrodni.

Pia potaknęła.

– Jak myślisz, kto mu groził? Może ojciec?

– Całkiem możliwe. Na pewno byłoby mu nie w smak, gdyby jego syn był zamieszany w taką zbrodnię.

– Mylisz się. Thies nie jest w nią zamieszany – zaprzeczyła natychmiast. – On ją tylko obserwował.

– Spokojnie, nie mówię o Thiesie – odparł Bodenstein. W tym momencie dzwon uderzył po raz ostatni i zamilkł. – Dzisiaj rano zostałem wezwany na miejsce samobójstwa. Ktoś zatrzymał się na parkingu w lesie i odebrał sobie życie. Nie zgadniesz kto. To był brat Thiesa, Lars Terlinden.

– Słucham? – Pia sprawiała wrażenie, jakby go nie zrozumiała.

– No właśnie. – Bodenstein potaknął. – Jak myślisz, czy to możliwe, że Lars zamordował Stefanie Schneeberger, a przypadkowym świadkiem był jego brat?

– Właściwie natychmiast po zniknięciu Stefanie i Laury Lars wyjechał na studia do Wielkiej Brytanii. – Pia wzruszyła ramionami, usiłując przypomnieć sobie chronologię zdarzeń z września 1997 roku. W aktach sprawy ani razu nie pojawiło się jego imię.

– Może Claudius chciał w ten sposób uchronić syna przed dochodzeniem i procesem. A drugiego syna zastraszył, żeby trzymał buzię na kłódkę. – Policjant myślał na głos.

– Jak myślisz, co miałyby znaczyć ostatnie zdanie, które do mnie powiedział? Mianowicie, że nikt już nie skrzywdzi Śnieżki, bo on bardzo na nią uważa.

Bodenstein wzruszył ramionami. Cała sprawa, zamiast zmierzać do rozwiązania, stawała się coraz bardziej zagmatwana. Obeszli kościół i znaleźli się na cmentarzu. Żałobnicy chowali się pod parasolami i tłoczyli wokół przygotowanego grobu. Grabarze opuszczali do wykopanego dołu białą trumnę, na której ktoś położył bukiet białych goździków. Po chwili mężczyźni wycofali się dyskretnie na bok, a głos zabrał duchowny.

Manfred Wagner dostał przepustkę z aresztu śledczego, by mógł uczestniczyć w pogrzebie córki. Stał teraz w pierwszym rzędzie, między żoną i dwójką prawie dorosłych dzieci, i z kamienną miną wpatrywał się w świeżą ziemię. Dwóch strażników, którzy mu towarzyszyli, stało dyskretnie z tyłu. Bodensteina i Pię minęła kobieta na cienutkich, wysokich obcasach. Nie zaszczyciła ich nawet krótkim spojrzeniem. Jasnoblond włosy miała spięte w skromny, ale elegancki kok. Ubrana była w dopasowany czarny kostium, a na nosie, mimo chmur i mżawki, miała ciemne okulary.

– To jest Nadja von Bredow – wyjaśniła Pia. – Wychowała się tutaj i przyjaźniła z Laurą.

– Aha. – Bodenstein kiwnął głową, choć myślami był zupełnie gdzie indziej. – Od doktor Engel dostałem potwierdzenie, że zajmie się Gregorem Lauterbachem. Minister edukacji czy nie, był w sobotę wieczorem na kolacji z Terlindenem, a potem odjechał z nim samochodem.

Nagle zadzwoniła komórka Pii. Kobieta sięgnęła pośpiesznie do kieszeni, odebrała połączenie, żeby uciszyć sygnał, i szybko ukryła się za narożnikiem kościoła, nie chcąc ściągać na siebie pełnych dezaprobaty spojrzeń żałobników.

– Cześć, Pia, to ja – odezwał się Ostermann. – Słuchaj, przypomniałem sobie, że niedawno wspominałaś coś o zaginięciu starych protokołów przesłuchań, prawda?

– Tak, zginęły z akt.

– No właśnie. Co prawda trudno mi o tym mówić, ale uświadomiłem sobie, że Andreas bardzo się nimi interesował. I tamtego wieczoru, kiedy powinien być na zwolnieniu, przyszedł do biura, a ja...

Reszty słów Kaia Ostermanna nie usłyszała, bo nagle odezwała się syrena zamontowana na dachu karczmy Pod Czarnym Rumakiem.

Pia zatkała palcem drugie ucho i poprosiła kolegę, żeby mówił głośniej. Na dźwięk sygnału trójka gości pogrzebowych zostawiła swoich bliskich i rzuciła się biegiem w kierunku parkingu.

– ... dziwiłem się... receptę... był w biurze... – słyszała jedynie strzępki informacji. – ... zielonego pojęcia... zapytałem... się dzieje?

– Alarm pożarowy – wyjaśniła Pia. – Gdzieś się pali. Dobra, to o co w końcu chodzi z Andreaselem?

Ostermann powtórzył, a ona słuchała i nie wierzyła własnym uszom.

– Zabiłeś mnie tym – mruknęła. – Dzięki. Do zobaczenia później.

Schowała komórkę do kieszeni i zamyślona podeszła do Bodensteina.

*

TOBIAS SARTORIUS minął stodołę i wszedł do stajni, w której dawniej stały krowy. Wszyscy mieszkańcy Altenhain byli w tej chwili na cmentarzu, więc nie bał się, że ktoś go zobaczy – nawet stara pani Paschke, która niczym strażniczka wiecznie tkwiła w oknie. Nadja zostawiła go przy tylnej bramie i pojechała dalej, żeby wziąć udział w pogrzebie Laury. Tobias zamknął za sobą drzwi i przez mleczną kuchnię wszedł do domu. Przytłaczała go świadomość, że musi się ukrywać. Nie nadawał się do takiego życia. Kiedy chciał wejść na piętro, w drzwiach kuchni pojawił się ojciec.

– Tobias! Niech Bogu będą dzięki! – krzyknął wzruszony. – Tak strasznie się o ciebie martwiłem! Gdzie byłeś?

– Tato. – Tobias przytulił staruszkę. – Nadja zaoferowała mi schronienie. Policja i tak by nie uwierzyła, że nie mam z tym nic wspólnego i natychmiast wyładowałbym w więzieniu.

Hartmut pokiwał głową.

– Przyszedłem tylko po trochę ubrań. Nadja pojechała na pogrzeb. Wracając, ma mnie odebrać.

Dopiero teraz zwrócił uwagę na to, że ojciec powinien być akurat w pracy, a nie w domu.

– Zwolnili mnie. – Hartmut wzruszył obojętnie ramionami. – Znaleźli jakiś błahy powód, byle tylko się mnie pozbyć. Wiesz, moim szefem jest zięć Dombrowskiego.

Tobias doskonale go rozumiał. Stał i ze ściśniętym gardłem myślał, że tylko on jest winien zwolnieniu ojca.

– Nie przejmuj się – pocieszył go staruszek. – I tak chciałem odejść. Chciałbym znowu naprawdę gotować, a nie tylko odgrzewać mrożone posiłki i nakładać je na talerze – wyjaśnił, a potem nagle zrobił minę, jakby o czymś sobie przypomniał. – Przyszedł do ciebie jakiś list.

Odwrócił się i zniknął w kuchni. Tobias ruszył za nim. Na kopercie nie było nadawcy. Przez chwilę walczył z odruchem, by bez czytania wyrzucić go do śmieci. Pewnie kolejne pogrożki, pomyślał. Usiadł przy stole, rozerwał kopertę i rozłożył pojedynczą kartkę, która była w środku. Z niedowierzaniem spoglądał na papeterię wielkiego szwajcarskiego banku. W końcu zaczął czytać odręczne pismo. I już pierwsze linijki podziały na niego jak uderzenie obuchem.

– Od kogo to? – zapytał ojciec.

Ulicą przed domem przejechał wóz straży pożarnej na sygnale. Od ryku syren i wycia silnika zadzwoniły szyby w oknach. Tobias przełknął ciężko i uniósł wzrok.

– Od Larsa – wychrypiał. – Od Larsa Terlindena.

*

BRAMA POSESJI Terlindenów stała otworem. Mimo pozamykanych szyb do auta wdzierał się duszący swąd spalenizny. Wozy strażackie przejechały przez wilgotny trawnik, wygniatając kołami głębokie bruzdy. Jednak to nie willa stanęła w płomieniach, a budynek z tyłu, prawie na końcu parku. Pia zaparkowała na podjeździe i dalej ruszyli piechotą. Strażacy zdążyli już opanować płomienie. Nie było widać ognia i tylko gęsty, czarny dym zasnuwał niebo, wydostając się przez pozbawione szyb otwory okienne. Christine Terlinden była ubrana na czarno; albo wróciła z pogrzebu, albo akurat się tam wybierała, kiedy zauważyła dym i płomienie. Przerażonym wzrokiem obserwowała sceny rozgrywające się w jej ogrodzie, plątaninę węży z wodą i bieganinę strażaków, którzy, nie patrząc pod nogi, zdeptywali rabaty z kwiatami i niszczyli trawnik. Towarzyszyła jej sąsiadka, Daniela Lauterbach. Na jej widok Bodenstein przypomniał sobie dziwaczne sny z poprzedniej nocy. Miał wrażenie, że usłyszała jego myśli, bo odwróciła się i ruszyła w jego stronę.

– Dzień dobry – przywitała się chłodnym głosem, w którym nie było śladu uśmiechu. Jej ciemnobrązowe, błyszczące oczy dzisiaj przywodziły na myśl mrożoną czekoladę. – Czy spotkanie z Thiesem przyniosło rezultaty?

– Nie, żadnych – odparła Pia. – Co tu się stało? I co było w budynku, który się pali?

– Oranżeria. I atelier. Christine bardzo się martwi, jak Thies zareaguje, kiedy się dowie, że spłonęły jego obrazy.

– Niestety, my też nie przynosimy jej dobrych wiadomości. – Bodenstein pokręcił głową.

Daniela Lauterbach uniosła idealnie wyregulowane brwi.

– Nie sądzę, żeby mogło być znacznie gorzej, niż jest – zauważyła dość ostrym tonem. – Słyszałam, że Claudius nie dostał zgody na opuszczenie aresztu. Dlaczego?

Bodenstein miał już na końcu języka prośbę o wyrozumiałość, lecz na szczęście Pia go ubiegła.

– Widać mamy swoje powody, skoro go nie wypuszczamy – powiedziała. – Dziś musimy jej przekazać wiadomość o samobójczej śmierci syna.

– Słucham?! Thies nie żyje? – Doktor Lauterbach popatrzyła na nią z niedowierzaniem, a Pia nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że przez ułamek sekundy dostrzegła w jej oczach ulgę, która dopiero po chwili ustąpiła miejsca smutkowi. Dziwaczne, pomyślała.

– Nie, nie chodzi o Thiesa – wyjaśniła. – Samobójstwo popełnił Lars.

Bodenstein wolał zostawić tę rozmowę podwładnej. Irytowało go, że tak bardzo zależało mu na zrozumieniu i akceptacji Daniela Lauterbach. Nie wiedział, skąd to się brało. Czy to przez promieniującą od niej serdeczność, czy pomoc, jakiej mu udzieliła? Chyba po prostu coś sobie ubzdurał. W każdym razie nie potrafił oderwać wzroku od jej twarzy i wbrew zdrowemu rozsądkowi

miał nadzieję, że w końcu się do niego uśmiechnie.

– Zatrął się spalinami w samochodzie – wyjaśniła Pia. – Dziś rano znaleźliśmy jego ciało.

– Lars? Mój Boże...

Kiedy Daniela Lauterbach dowiedziała się, jaką wiadomość przynieśli jej przyjaciółce, lód w jej oczach momentalnie stopniał. Przez chwilę na jej twarzy zagościł wyraz bezsilności, lecz w końcu wzięła się w garść i wyprostowała ramiona.

– Ja jej to przekażę – powiedziała zdecydowana. – Tak będzie lepiej. Zajmę się nią. Później proszę o telefon.

Odwróciła się i skierowała w stronę przyjaciółki, która stała jak zahipnotyzowana i nie potrafiła oderwać wzroku od płonącego budynku. Daniela Lauterbach objęła ją i zaczęła szeptać. Chwilę później Christine Terlinden wydała pojedynczy okrzyk bólu i gdyby lekarka jej nie trzymała, przewróciłyby się na ziemię.

– Dobra, nic tu po nas – zdecydowała Pia. – Dadzą sobie radę.

Bodenstein oderwał wzrok od zrozpaczonej kobiety i ruszył za partnerką przez pusty park. Kiedy dotarli do samochodu, podeszła do nich kobieta, której twarzy w pierwszym momencie nie skojarzył.

– Dzień dobry, pani – przywitała Pia macochę Amelie. – Jak się pani czuje?

– Niezbyt dobrze. – Kobieta potrząsnęła głową. Była bardzo blada, jednak panowała nad sobą. – Przyszłam zapytać sąsiadki, pani Terlinden, co się u niej stało, ale zobaczyłam pani samochód. Pojawiły się jakieś nowe wiadomości? Obrazy pomogły posunąć śledztwo naprzód?

– Jakie obrazy? – zapytała zaskoczona Pia.

Barbara Fröhlich zamrugnęła i spojrzała na Bodensteina, a potem z powrotem na Pię.

– Jak to... jakie? Wczoraj odwiedziła mnie policjantka – wyjąkała. – Powiedziała... że ją przysłaliście... w sprawie obrazów, które Thies podarował Amelie...

Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia.

– Nie, nikogo do pani nie wysyłaliśmy. – Pia pokręciła głową i zmarszczyła czoło.

Ta sprawa zdawała się jeszcze dziwniejsza, niż sądziła.

– Ale ona powiedziała przecież... – zaczęła macocha Amelie, ale zamilkła bezradnie.

– Widziała pani obrazy? – zainteresował się Bodenstein.

– Nie... przeszukała cały pokój, aż w końcu znalazła skrytkę za komodą. Były tam. Ale nie wiem, co przedstawiały. Chciała nawet dać mi pokwitowanie.

– Jak wyglądała? – zapytała Pia.

Do Barbary Fröhlich powoli docierało, jak wielki popełniła błąd. Nagle się zgarbiła i upadłaby, gdyby nie oparła się o błotnik auta. Przycisnęła dłoń do ust. Pia podeszła szybko i złapała ją za ramię.

– Miała... odznakę... – wyszeptała kobieta, walcząc z łzami. – Była... taka delikatna i przyjazna...

Ona... powiedziała, że dzięki tym obrazom uda się znaleźć Amelie. Tylko to się dla mnie liczyło.

– Niech sobie pani nie robi wyrzutów. – Pia próbowała ją pocieszyć. – Proszę sobie przypomnieć, jak wyglądała?

– Ciemne, krótkie włosy. Okulary. Szczupła. – Barbara Fröhlich wzruszyła ramionami. W jej oczach pojawiła się panika. – Czy... czy wierzycie, że Amelie jeszcze żyje?

– Tak, na pewno – zapewniła ją policjantka, choć nie dałaby za to głowy. – I znajdziemy ją. Proszę się nie zamartwiać.

*

– JESTEM PEWNA, że obrazy Thiesa przedstawiały prawdziwego sprawcę tamtych morderstw – stwierdziła Pia, kiedy siedzieli już z Bodensteinem w samochodzie i zmierzali w kierunku Neuenhain. – Oddał je Amelie na przechowanie. Ale Amelie popełniła błąd i komuś o nich opowiedziała.

– Chyba masz rację – potaknął szef ponuro. – Powiedziała o nich Tobiasowi. A on wysłał kogoś do Fröhlichów, żeby je odzyskać. Mogę się założyć, że natychmiast zostały zniszczone.

– A co to dla niego za różnica, co było na obrazach? – zaprzeczyła Pia. – On już swoje odsiedział. Niezależnie od tego, co by na nich było, jemu już nie powinno zależeć. Nie, na pewno nie. To musiał być ktoś inny. Ktoś, kto miał interes, żeby obrazy nigdy nie wypłynęły.

– Czyli kto?

W pierwszej chwili Pia miała problem, by wypowiedzieć na głos swoje podejrzenia. Zrozumiała bowiem, że pierwsze wrażenie, jakie odniosła, spotykając Claudiusa Terlindena, nie mogło być bardziej mylne.

– Ojciec Thiesa – powiedziała.

– No dobrze, to akurat jest możliwe – zgodził się Bodenstein. – Ale też całkiem prawdopodobne, że to ktoś, kogo dotychczas w ogóle nie łączyliśmy z tą sprawą, bo go nie znamy. Dobra, tutaj skręć w lewo.

– Dokąd właściwie jedziemy? – Pia włączyła lewy migacz, poczekała na lukę między samochodami jadącymi z naprzeciwka i zjechała z głównej drogi.

– Do Hassego – odparł szef. – Mieszka w ostatnim domu po lewej stronie. Pod samym lasem.

Kiedy Pia opowiedziała mu o telefonie od Ostermanna, Bodenstein zachował kamienną twarz. Okazało się, że postanowił gruntownie wyjaśnić tę sprawę. I to natychmiast. Kilka chwil później Pia zaparkowała przed niewielkim domkiem z malutkim ogródkiem. Wiedziała, że Hasse wszystko tak zaplanował, by spłacić go praktycznie w dniu przejścia na emeryturę. Często o tym wspominał, dając w ten sposób do zrozumienia, jak mizerne – jego zdaniem – są pensje w policji. Wysiedli i podeszli do drzwi. Bodenstein zadzwonił. Otworzył im Hasse. Na ich widok zrobił się śmiertelnie błydy

i spuścił głowę. Ostermann musiał więc mieć rację. Niesamowite.

– Możemy wejść? – zapytał szef.

Wpuścił ich do ciemnego przedsionka z wytartym linoleum na podłodze. W powietrzu unosiła się mieszanina zapachów jedzenia i dymu papierosowego. W tle grało radio. Hasse zamknął drzwi do kuchni. Nawet przez chwilę nie usiłował kłamać. Natychmiast się do wszystkiego przyznał.

– Przyjaciół poprosił mnie o przysługę – powiedział nieśmiało. – Pomyślałem, że nie zrobię nikomu krzywdy.

– Cholera, człowieku, odbiło ci? – Pia omal nie wyszła z siebie. – Ukradłeś protokoły przesłuchań z akt sprawy?!

– Nie mogłem wiedzieć, że to będzie miało jeszcze jakiegokolwiek znaczenie – odpowiedział słabo. – To znaczy, no... sama wiesz. Śledztwo już dawno skończone, sprawa zamknięta... – Zamilkł, kiedy się zorientował, co powiedział.

– Chyba zdaje pan sobie sprawę, co to dla pana oznacza. – Bodenstein popatrzył na niego poważnie. – Zawieszam pana i będę zmuszony rozpocząć postępowanie dyscyplinarne. Gdzie są te papiery?

Hasse machnął bezradnie rękoma.

– Zniszczyłem je.

– Co? – Pia nie mogła uwierzyć własnym uszom. Czy Hasse naprawdę myślał, że nikt się nie zorientuje?

– Pia, zastanów się. Sartorius zamordował dwie nastolatki, a potem oskarżał wszystkich dookoła. Nawet przyjaciół i nauczyciela! Pamiętam go z procesu i dochodzenia. Od samego początku we wszystkim uczestniczyłem. Tak bezdusznego gnojka, całkowicie pozbawionego sumienia, nie widziałem nigdy, ani wcześniej, ani później. A teraz usiłuje na powrót rozgrzebać tę całą historię i...

– To nieprawda! – Pia weszła mu w słowo. – To ja nabrałam wątpliwości, co się wtedy naprawdę wydarzyło. Tobias Sartorius nie ma i nie miał z tym nic wspólnego!

– Jak się nazywa ten znajomy, który poprosił pana o przysługę? – zapytał Bodenstein. Hasse zgarbił się jeszcze bardziej.

– Gregor Lauterbach – wyznał w końcu i zwiesił głowę.

*

KARCZMA POD CZARNYM RUMAKIEM pękała w szwach. Mieszkańcy Altenhain przybyli tłumnie na stypę, która miała się odbyć zaraz po pogrzebie. Tyle że pijąc kawę i zajadając się kanapkami, nikt nie mówił o Laurze Wagner, a o pożarze w posiadłości Terlindenów. Między ludźmi krążyły najdziwsze przypuszczenia i spekulacje. Michael Dombrowski był szefem ochotniczej straży pożarnej w Altenhain i kierował akcją gaśniczą. W drodze powrotnej do remizy kazał się wysadzić pod Czarnym Rumakiem i wszedł do środka, rozsiewając wokół siebie woń dymu i spalenizny, jaką

przesiąkły jego włosy i ubranie.

– Policja uważa, że to było podpalenie – oznajmił przyjaciołom, Feliksowi Pietschowi i Jörgowi Richterowi. – A ja ciągle nie mogę dojść, po co ktoś miałby podpalać takie coś?

Dopiero wtedy dostrzegł markotne miny kolegów.

– Hej, co jest? Skąd taki podły humor?

– Musimy znaleźć Tobiego – wyjaśnił Jörg. – I zakończyć tę sprawę raz na zawsze.

Felix pokiwał głową na znak, że jest tego samego zdania.

– Zakończyć? Czyli co zrobić? – Michael popatrzył na niego z niedowierzaniem.

– Nie widzisz, że to się znowu dzieje? Dokładnie tak samo jak wtedy. – Jörg Richter odłożył nadgryzioną kanapkę na talerz i potrząsnął głową. – Drugi raz już tego nie wytrzymam.

– Ja też nie. – Jörg przyznał mu rację. – Wydaje mi się, że nie mamy innego wyjścia.

– Jesteście pewni? – Michael popatrzył niepewnie na jednego, a potem na drugiego. – Wiecie przecież, co to dla nas oznacza, prawda? Dla każdego z nas.

Felix i Jörg potaknęli. Spodziewali się, co się wydarzy, kiedy zrobią to, co zaplanowali.

– A co na to Nadja?

– Jej zdanie już się nie liczy. – Jörg nabrał głęboko powietrza. – Nie możemy dłużej czekać, bo znów wydarzy się jakieś nieszczęście.

– Lepszy koniec z odrobiną strachu niż strach bez końca – zauważył Felix sentencjonalnie.

– Cholera! – Michael potarł dłońmi twarz. – Ja tak nie mogę. Ja... to znaczy... to zdarzyło się przecież tak dawno... nie możemy zostawić wszystkiego tak, jak jest?

Jörg wpatrywał się w niego nieugiętym wzrokiem, a potem potrząsnął głową.

– Nie, nie możemy. Rozmawiałem z Nadją, kiedy spotkaliśmy się na cmentarzu. Powiedziała, że Tobie jest w domu. Pojadę teraz do niego i zakończę sprawę.

– Poczekaj, jadę z tobą! – zawołał Felix.

Michael zawahał się, a potem zaczął intensywnie myśleć nad wyjściem, które pozwoliłoby mu trzymać się od tego z daleka.

– Ja nie mogę – powiedział w końcu. – Wieczorem muszę jeszcze raz sprawdzić miejsce pożaru – orzekł.

– Jak tam chcesz. Tak czy inaczej, trzymaj się – odparł Jörg. – Niedługo wracamy, to zajmie tylko chwilę.

*

DANIELA LAUTERBACH skrzyżowała ręce na piersi i popatrzyła na męża z mieszaniną niedowierzania i pogardy. Kiedy wróciła od sąsiadki, zastała go siedzącego przy kuchennym stole. Był szary na twarzy i wyglądał, jakby postarzał się o kilka lat. Zaczął mówić, zanim zdążyła zdjąć

kurtkę. Powiedział jej o anonimowych pogroźkach, które otrzymywał pocztą, o mejlach i zdjęciach. Mówił i mówił; zgorzkniały i bezradny, rozczulał się nad sobą i nie krył, że się boi. W milczeniu i z coraz większą konsternacją słuchała jego słów. Nie przerywała. Zakończył prośbą, niemal dosłownie zwalając ją z nóg. Przez chwilę nie mogła wydusić z siebie słowa. W kuchni zapanowała cisza.

– Czekaj, czego ty ode mnie oczekujesz? – zapytała w końcu lodowato. – Kiedy mnie ostatnio potrzebowałeś, zrobiłam więcej, niż powinnam.

– Dzisiaj szczerze żałuję, że mi wtedy pomogłaś – odparł zrezygnowany. A ona, słysząc jego słowa, poczuła złość; gorącą wściekłość, która przez te wszystkie lata kipiała gdzieś w głębi niej. Wszystko by dla niego zrobiła, dla tego żalostnego, pozbawionego zasad słabeusza, tego mięczaka, który nie potrafił nic poza udawaniem dorosłego mężczyzny i wygłaszaniem porywających przemówień! Kiedy wpadał w kłopoty, płaszczył się przed nią i błagał o pomoc. Już dawno zauważyła, że słuchał rad i prosił o pomoc, ilekroć znalazł się w trudnej sytuacji. Był jej przystojnym uczniem i czerpała z niego energię młodości – był jej dziełem. Przy pierwszym spotkaniu, przeszło dwadzieścia lat wcześniej, natychmiast dostrzegła w nim wielki talent. Sama była wówczas już znaną lekarką. Dwie dekady starsza, ze sporym majątkiem, odziedziczonym po krewnych. Z początku traktowała go jedynie jako łóżkową rozrywkę, ale z czasem zmieniła podejście i sfinansowała studia biednemu jak mysz kościelna chłopcu z robotniczej rodziny, wprowadziła w świat sztuki i kultury, a potem polityki. Dzięki swoim znajomościom załatwiła mu pracę nauczyciela w gimnazjum i wskazała drogę kariery; urząd ministra edukacji był jej ukoronowaniem. Ale po tym, co wydarzyło się jedenaście lat temu, powinna była wyrzucić go z domu. Nie był nic wart. Niewdzięczny mięczak, który do dziś nie potrafił właściwie docenić jej starań i inwestycji, jakie musiała ponieść, by znalazł się tam, gdzie był teraz.

– Gdybyś mnie wtedy posłuchał i zakopał lewerek gdzieś w lesie, zamiast chwytać go gołymi rękoma i wyrzucać do gnojownika Sartoriusów, nic by się nie wydarzyło – powiedziała. – Ale ty oczywiście usiłowałeś być mądrzejszy. Przez ciebie Tobiasz poszedł do więzienia. Przez ciebie, a nie przeze mnie!

Skrył głowę w ramionach, jakby mógł w ten sposób uciec przed krytyką.

– Popęlniłem błąd, Dani! Wiem! Boże, byłem w takim stresie, że nie wiedziałem, co robię!

– Przespałeś się z nieletnią i na dodatek swoją uczennicą – przypomniała mu lodowato. – A teraz przychodzisz tutaj i prosisz mnie, żebym zajęła się naocznym świadkiem tamtych wydarzeń, który nie dość, że jest moim pacjentem, to jeszcze synem naszych sąsiadów! Jakim ty jesteś człowiekiem, co?

– Nie, to nie tak! Nie chcę, żebyś mu zrobiła krzywdę – wyszeptał Gregor Lauterbach. – Chcę tylko z nim porozmawiać. Nic więcej. Musi dalej trzymać gębę na kłódkę. Jesteś jego lekarką, zobaczysz, tobie pozwolą się z nim spotkać.

– Nie. – Daniela Lauterbach potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie zrobię tego. Zostaw chłopaka w spokoju, on ma dostatecznie trudne życie. Poza tym najlepiej by było, gdybyś na jakiś czas zniknął. Ulotnił się. Pojedź na kilka dni do Deauville, a jak się uspokoi, to wrócisz.

– Policja aresztowała Claudiusa! – wyjącał Gregor Lauterbach.

– Myślisz, że nie wiem? – potrząsnęła głową. – Cały czas się tylko zastanawiam dlaczego. Coście robili w sobotę wieczorem? Byłeś z nim wtedy, prawda?

– Dani, błagam – jęczał dalej. Zsunął się z krzesła i ruszył w jej stronę na kolanach. – Pozwól mi porozmawiać z Thiesem!

– Nie odpowie ci na żadne pytanie.

– Może jednak. Jeśli będziesz ze mną.

– Wtedy to już na pewno się nie odezwie. – Spojrzała z góry na małżonka, który płaszczył się przed nią na kolanach, drżąc z przerażenia jak małe dziecko. Zakłamanym i bezdusznym. Nic się nie zmienił. Jeszcze przed ślubem przyjaciele ostrzegali, że dojdzie do takiej sytuacji. Gregor miał dwadzieścia lat mniej, wyglądał oszałamiająco, był utalentowanym mówcą i posiadał charyzmę. Dziewczeta i kobiety uwielbiały go, bo widziały w nim kogoś, kim nie był. I tylko ona wiedziała, jakim okazał się słabeuszem. Z jego podporządkowania i zależności czerpała siłę. Przebaczyła mu, pod warunkiem że nie pozwoli, by coś takiego się jeszcze kiedykolwiek zdarzyło. Romans z uczennicą był czymś absolutnie wykluczonym. Tabu. Zupełnie nie interesowały jej liczne kochanki Gregora; więcej, nawet ją śmieszyły. Tylko ona, jedna jedyna, znała jego słabości i kompleksy. Znała go znacznie lepiej niż siebie samą.

– Proszę! – Nie przestając jęczeć, patrzył na nią błagalnie. – Dani, pomóż! Nie zostawiaj mnie teraz! Wiesz przecież, co mam do stracenia!

Daniela Lauterbach westchnęła. Powzięte postanowienie, by tym razem się w to nie mieszać, rozplynęło się w powietrzu jak kamfora. Jak zwykle zresztą. Nie potrafiła się na niego gniewać. Poza tym wiedziała, że tym razem gra toczy się o naprawdę dużą stawkę. Miał rację. Nachyliła się, pogłaskała go po głowie i zanurzyła palce w jego gęstych włosach.

– No dobrze – powiedziała w końcu. – Zobaczą, co mogę dla ciebie zrobić. Ale teraz idź proszę spakować swoje rzeczy i zniknij na parę dni. Pojedź do Francji i poczekaj, aż się tutaj uspokoi, dobrze?

Popatrzył na nią z wdzięcznością, złapał za rękę i pocałował.

– Dziękuję – wyszeptał. – Dziękuję, Dani. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobił.

Zaśmiała się. Już nie czuła złości. Jej miejsce zajęła głęboka, spokojna radość. Wszystko znów wróciło do równowagi. Bez problemów usuną zagrożenie – o ile Gregor nauczy się w końcu doceniać, co dla niego robi.

– MINISTER EDUKACJI? – Pia spodziewała się usłyszeć zupełnie inne nazwisko, więc zamarła z rozdziawioną buzią. – On? Skąd w ogóle go znasz?

– Nasze żony są kuzynkami – wyjaśnił Andreas Hasse. – Co i rusz spotykamy się na jakichś rodzinnych uroczystościach. Poza tym obaj należymy do chóru męskiego w Altenhain.

– Świetnie – mruknął Bodenstein. – Nawet pan się nie domyśla, jak bardzo jestem rozczarowany tym postępkiem.

Andreas Hasse popatrzył na niego, zamrugał oczyma i wysunął przekornie brodę.

– Doprawdy? – zapytał roztrzęsionym głosem. – Nawet się nie spodziewałem, że ktoś taki jak ja może być powodem pana rozczarowania, bo dotychczas raczej mnie pan nawet nie był łaskaw zauważać.

– Słucham? – Bodenstein uniósł brwi.

Wtedy w Andreasie pękła jakaś tama. Wiedział, że nie ma nic do stracenia, bo z policji tak czy inaczej będzie musiał odejść.

– Nigdy nie zamienił pan ze mną nawet kilku słów. To ja miałem być szefem zespołu w K11, ale wtedy z Frankfurtu przysłali pana. Aroganta i zarozumialca. I pan zaczął wprowadzać swoje porządki, przewracając wszystko do góry nogami, jakby to, co wcześniej osiągnęliśmy, nie miało najmniejszego znaczenia, no bo w końcu co my, wiejscy stróże prawa, możemy wiedzieć o policyjnej robocie, prawda? Nic pana nie obchodzimy, nic a nic! Głupi funkcjonariusze, których szlachetnie urodzony pan von Bodenstein łaskawie toleruje, ale nic ponadto! – Hasse prawie krzyczał. – Ale to się jeszcze obróci przeciwko panu. Zobacz pan. Już się nad panem zbierają ciemne chmury.

Bodenstein patrzył na Andreasa Hasse w taki sposób, jakby ten przed chwilą napluł mu w twarz. Pia pierwsza otrząsnęła się z zaskoczenia.

– Popieprzyło cię? – naskoczyła na kolegę.

Hasse zaśmiał się gorzko.

– Ty też lepiej uważaj. Wszyscy przecież wiedzą, że między wami coś jest. A romans między pracownikami komendy to złamanie regulaminu! Swoją drogą, wcale nie mniejsze naruszenie zasad niż praca Franka, o której szlachetny pan von Bodenstein niby nie miał zielonego pojęcia!

– Zamknij się lepiej – warknęła Pia.

Hasse wyszczerzył zęby.

– Od początku wiedziałem, że ze sobą kręcicie. Pozostali się zorientowali dopiero, jak przeszliście na ty.

Bodenstein odwrócił się na pięcie i wyszedł bez pożegnania. Pia rzuciła jeszcze kilka mało przyjaznych uwag i podążyła za szefem. Oliver nie wrócił do samochodu. Ruszyła wzdłuż ulicy

i dopiero po chwili znalazła go na skraju lasu, na starej drewnianej ławce. Siedział zgarbiony, z twarzą ukrytą w dłoniach. Pia zawahała się, ale usiadła obok, choć deski były całkiem mokre od porannej mgły.

– Tylko nie przywiązuj wagi do pieprzenia starego sfrustrowanego idioty – poradziła. Bodenstein nie odpowiedział.

– Czy ja w ogóle cokolwiek robię dobrze? – mruknął po chwili. – Hasse kręci jakieś machloje z ministrem edukacji i kradnie akta, Behnke od lat pracuje w spelunie, a ja nic o tym nie wiem, żona od miesiący mnie zdradza...

Uniósł głowę, a Pia zadrżała, gdy zobaczyła wyraz jego twarzy.

– Dlaczego mnie to w ogóle spotyka? Naprawdę jestem przemądrzałym dupkiem? Wywyższam się? Poza tym, jak ja w ogóle mam dobrze pracować, skoro nie potrafię nawet zadbać o swoje życie?

Pia przypatrywała się jego twarzy i bardzo mu współczuła. To, co Hasse – ale może też i inni – nazwał arogancją i wywyższaniem się, nie było niczym złym ani celowym. On po prostu taki był. Nie wtrącał się w nic, nie narzucał się i nikogo nie trzymał za rękę. I nawet jeśli dręczyła go ciekawość, nigdy nie zadawał pracownikom niedyskretnych pytań. To nie miało nic wspólnego z obojętnością.

– Ja też nie miałam pojęcia, że Behnke miał jakąś fuchę na boku – odezwała się Pia półgłosem. – To, że Hasse ukradł akta, było dla mnie szokiem – dodała, a potem się uśmiechnęła. – Cholera, i nawet nie miałam pojęcia o naszym romansie.

Bodenstein wydał z siebie dziwaczny dźwięk, coś pomiędzy śmiechem a smutnym westchnieniem. W końcu potrząsnął słabo głową.

– Mam wrażenie, że życie wali mi się na głowę. – Wpatrywał się gdzieś w przestrzeń przed sobą. – Nie potrafię myśleć o niczym innym, tylko o tym, że Cosima mnie zdradza. Z jakiego powodu? Czego jej brakowało? Co źle zrobiłem?

Schylił się, oparł głowę na kolanach i założył ręce na karku. Pia zagryzła zęby. Co mogłaby mu powiedzieć? Czy w takiej sytuacji w ogóle dało się go pocieszyć? Po krótkim wahaniu położyła mu dłoń na ramieniu.

– Czasem wszystko idzie nie tak, choć wszystko robiliśmy dobrze – powiedziała. – Ale jeśli w małżeństwie pojawiają się problemy, to nigdy to nie jest wina jednej strony. Zamiast na siłę szukać wyjaśnienia, powinieneś się zastanowić, co robić dalej.

Bodenstein się wyprostował.

– Musiałem sprawdzić w kalendarzu, kiedy po raz ostatni byliśmy razem w łóżku – powiedział nagle gorzko. – Ale przecież przy małym dziecku nie jest tak, że na wszystko starcza czasu i sił.

Pia poczuła się trochę nieswojo. Mimo że przez ostatni rok bardzo się polubili, nie potrafiła swobodnie słuchać, jak mówi o tak osobistych sprawach. Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów i poczęstowała go. Wyjął jednego, zapalił, zaciągnął się głęboko i mówił dalej:

– Jak długo? Ile nocy spałem obok niej jak kompletny frajer, kiedy ona myślała o kimś innym? Ta cholerna niepewność mnie zabija!

No tak, żal przeradzał się w złość. To dobrze, pomyślała Pia i też zapaliła.

– Zapytaj ją wprost – poradziła. – I najlepiej zaraz do niej zadzwoń. Uspokoisz się trochę, jak już będziesz wiedział.

– I co wtedy? Myślisz, że powie mi prawdę? Cholera! Najchętniej bym ją... – przerwał, rzucił niedopałek na ziemię i przydepnął go obcasem.

– Zrobisz, jak uznasz. Ale myślę, że poczułbyś się lepiej, gdybyś posłuchał mojej rady.

– No wiesz? A co to w ogóle są za rady? – Bodenstein popatrzył na nią zaskoczony.

Widać było, że nagle zrobiło mu się weselej.

– Ciesz się, że w ogóle są, bo jak dotąd, to chyba nikt ci na razie nic nie powiedział – odparła Pia. – Miałam kiedyś w szkole chłopaka, który potem ze mną zerwał. Chciałam się powiesić albo zrobić coś głupiego. Byłam strasznie nieszczęśliwa. Ale miałam przyjaciółkę, Miriam. Zmusiła mnie, żebym poszła z nią na jakąś imprezę. Tam spotkałam innego faceta, który przez cały wieczór zasypywał mnie komplementami. No. I zaraz poczułam się lepiej. Wiesz, na świecie jest sporo przystojnych facetów. I ładnych kobiet.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka Bodensteina. Z początku nie odbierał, ale w końcu westchnął ciężko i sięgnął do kieszeni.

– To Kathrin Fachinger – poinformował Pię po chwili rozmowy. – Dzwonił Hartmut Sartorius. Tobias wrócił do domu.

Wstał z ławki i spojrzał na partnerkę.

– Mam nadzieję, że go jeszcze dopadniemy. Sartorius dzwonił przeszło dwie godziny temu, ale na centralę. Dopiero teraz przekazali to naszym.

*

BRAMA NA PODWÓRZE SARTORIUSÓW stała otworem. Weszli do środka i zadzwonili do drzwi, ale nikt nie otworzył.

– Patrz, niezamknięte – stwierdziła Pia, naciskając klamkę.

– Halo? – krzyknęła z progu. – Panie Sartorius? Jest tu ktoś?

Brak odpowiedzi. Weszła do przedpokoju i jeszcze raz krzyknęła.

– Pewnie zdążył zwać. – Rozczarowana odwróciła się do Bodensteina, który czekał na zewnątrz. – Ojca też nie ma. Cholera.

– Wiesz co, sprawdzimy jeszcze z tyłu. – Szef sięgnął po komórkę. – Wezwę posiłki.

Pia ruszyła dookoła domu. Tobias Sartorius wrócił do Altenhain akurat w dniu pogrzebu Laury Wagner. Oczywiście nie był na cmentarzu, a w czasie uroczystości pogrzebowych spłonęło atelier

Thiesa. Nie samo, jak ustaliła policja we współpracy ze strażą pożarną. Ktoś musiał podłożyć ogień. Podejrzanie, że Tobias podpalił oranżerię, a potem zwiął, narzucało się samo.

– ...ale nie na sygnale, rozumiano? Dyskretnie! – Słyszała, jak Bodenstein wydaje polecenia. Poczekala, aż podejdzie.

– Tobias wiedział, że cała wieś zgromadzi się na cmentarzu, a wtedy miałby świetną okazję, żeby podłożyć ogień u Terlindenów – podzieliła się z nim swoimi podejrzeniami. – Nie rozumiem tylko, dlaczego jego ojciec do nas zadzwonił.

– Ja też nie – zgodził się Bodenstein. Rozejrzał się po wewnętrznym podwórzu. W czasie poprzednich wizyt zauważył, że drzwi i brama za każdym razem były starannie zamknięte. Całkiem rozumiała ostrożność w sytuacji, gdy otrzymywali anonimowe pogróżki, a Tobias został nawet napadnięty. Dlaczego w takim razie teraz brama i drzwi były otwarte? Kiedy minęła narożnik domu, nieco dalej zauważyła jakiś ruch. Tylnym wyjściem wymknęło się dwóch mężczyzn. Chwilę później rozległo się trzaśnięcie drzwi samochodu i zawarczał silnik. Pię opanowało niedobre przecucie.

– To nie był Tobias ani jego ojciec. – Sięgnęła pod kurtkę i wyjęła pistolet. – Coś się tutaj nie zgadza.

Ostrożnie otworzyła drzwi do pomieszczeń gospodarczych i zajrzała do środka. Potem podeszła do starej stajni. Zatrzymali się w otwartej bramie i popatrzyli na siebie porozumiewawczo. Pia uniosła broń i weszła do środka. Rozejrzała się szybko i nagle zamarła. W narożniku, na wysokim stołku barowym, z głową opartą o ścianę, siedział Tobias. Miał zamknięte oczy.

– Cholera – wymamrotała. – Chyba się spóźniliśmy.

*

OSIEM KROKÓW od drzwi do ściany. Cztery kroki od ściany do regału. Jej oczy już dawno przyzwyczały się do ciemności, a nos do zatęchłego powietrza przesyconego wonią pleśni. Za dnia przez szparę wpadała odrobina światła. Poza tym okno było zupełnie ciemne, bo ktoś musiał je z zewnątrz czymś zasłonić. Przynajmniej mogła rozróżniać, czy jest dzień, czy nastała już noc. Obie świece dawno się wypaliły, ale nie potrzebowała ich, bo wiedziała, co jest w pudełkach na regale. Zostały jej jeszcze cztery butelki wody. Musiała oszczędzać, bo nie miała pojęcia, jak długo przyjdzie jej tu siedzieć. Zaczynało brakować ciastek, konserw i czekolady. I to wszystko. Przynajmniej trochę schudnę, pomyślała.

Większość czasu czuła się bardzo zmęczona. Tak zmęczona, że zasypiała. Nie mogła się przed tym obronić. Z początku była pobudzona, potem ogarnęło ją zwątpienie, jeszcze później waliła pięściami w drzwi, płakała i wzywała pomocy. I znów popadła w melancholijną obojętność. Godzinami leżała na cuchnącym materacu i usiłowała wyobrazić sobie życie na zewnątrz i twarze Thiesa i Tobiasa. Powtarzała na głos wiersze, których kiedyś się nauczyła, robiła pompki i ćwiczenia tai-chi-chuan. Utrzymywanie równowagi w kompletnych ciemnościach było nie lada wyzwaniem.

I śpiewała na całe gardło piosenki – byle tylko nie zwariować. W końcu ktoś przyjdzie i ją wypuści. Nie miała żadnych wątpliwości. Mocno w to wierzyła. Jakoś nie potrafiła sobie wyobrazić, żeby Bóg zdecydował się pozwolić jej umrzeć praktycznie w przededniu osiemnastych urodzin. Zwinięta w kłębek na materacu spoglądała w ciemność. Na języku miała jeden z ostatnich kawałków czekolady. Pozwoliła mu się powoli rozpuszczać. Pogryźć go i połknąć byłoby strasznym marnotrawstwem. Poczła zmęczenie, które niczym czarna dziura wciągało jej myśli i wspomnienia. Wciąż nie mogła sobie uświadomić, co się właściwie stało? I jak trafiła do tego okropnego miejsca? Ostatnie, co pamiętała, to próba dodzwonienia się do Tobiasa. Ale dlaczego chciała z nim rozmawiać, tego za diabła nie pamiętała.

*

PIA PODSKOCZYŁA, kiedy Tobias Sartorius otworzył niespodziewanie oczy. Nie ruszał się, tylko patrzył na nią tępo. Na jego twarzy zostały tylko cienie po siniakach, ale i tak wyglądał na chorego i zmęczonego.

– Co się stało? – zapytała Pia i schowała broń. – Gdzie się pan ukrywał? Szukaliśmy pana!

Tobias nie odpowiedział. Pod oczyma miał ciemne worki. Bardzo wychudł i zmizerniał, od czasu kiedy widziała go po raz ostatni. Z trudem, jakby kosztowało go to wiele wysiłku, uniósł dłoń i podał jej złożoną kartkę.

– Co to jest?

Nie odpowiedział. Wzięła ją i rozłożyła. Bodenstein zajrzał jej przez ramię i jednocześnie zaczęli czytać odręczne pismo.

Tobi, pewnie się dziwisz, dlaczego po tak długim czasie zdecydowałem się do Ciebie napisać. Przez ostatnich jedenaście lat nie było ani jednego dnia, kiedy bym o Tobie nie myślał i nie czuł się tak cholernie winny. Odsiedziałeś w więzieniu moją karę, a ja na to pozwoliłem. Stałem się karykaturą człowieka, kimś, kim wcześniej bym gardził. Nie służę Bogu, jak zawsze pragnąłem, lecz stałem się niewolnikiem bożków. Jedenaście lat uciekałem, powtarzając sobie, że nie wolno mi się oglądać na Sodomę i Gomorę, które zostawiłem za plecami. Ale teraz się odwróciłem. Moje przekleństwo się wypełniło. Poniosłem klęskę. Zdradziłem wszystkie ideały, które kiedyś były mi drogie. Kłamiąc po raz pierwszy za namową ojca, zawarłem pakt z diabłem. Zdradziłem Ciebie, mojego najlepszego przyjaciela. Zdradziłem i sprzedałem. I przyszło mi za to zapłacić niekończącymi się wyrzutami sumienia. Za każdym razem, kiedy patrzę w lustro, widzę przed sobą Ciebie. Okazałem się tchórzem. To ja zabiłem Laurę. Nie specjalnie, ale faktem jest, że zmarła przy mnie. Potem posłuchałem ojca i milczałem, nawet kiedy już było wiadomo, że Ty zostaniesz za to skazany. Wybrałem złą drogę – i trafiłem do piekła. Nigdy już nie byłem szczęśliwy. Wybacz mi, Tobi, jeśli potrafisz. Bo ja nie potrafię sobie wybaczyć. Niech Bóg mnie osądzi.

Lars

Pia opuściła kartkę. Lars Terlinden napisał swój pożegnalny list dzień wcześniej, na papierze firmowym banku, w którym pracował. Tylko co sprawiło, że w ogóle się na to zdecydował? Co pchnęło go akurat teraz do samobójstwa?

– Lars Terlinden wczoraj odebrał sobie życie – wyjaśnił Bodenstein i odchrząknął. – Dzisiaj rano znaleziono jego zwłoki.

Tobias nie zareagował. Dalej siedział nieruchomo i patrzył gdzieś przed siebie.

– Hm – mruknął policjant i wyjął list z dłoni Pii. – Teraz przynajmniej wiemy, dlaczego Claudius Terlinden spłacił długi pana rodziców i odwiedzał pana w więzieniu.

– Proszę z nami. – Pia złapała Tobiasa za ramię. Miał na sobie tylko cienką koszulkę i dzinsy. Było mu zimno. – Przezięb się pan. Chodźmy do domu.

– Oni zgwałcili Laurę, kiedy wybiegła z domu – powiedział niespodziewanie. – Tutaj. Dokładnie tutaj, w stajni.

Bodenstein i Pia wymienili spojrzenia.

– Kto? – zapytał Bodenstein zaskoczony.

– Felix, Jörg i Michael. Moi kumple. Byli pijani. Laura miała ich przez cały wieczór kokietować. A potem sytuacja wymknęła się spod kontroli. Zaczęła uciekać, wpadła na Larsa, przewróciła się i umarła – mówił Tobias głuchym, pozbawionym emocji głosem.

– Skąd pan to wie?

– Byli tutaj przed chwilą i wszystko mi opowiedzieli.

– Szkoda, że jedenaście lat za późno – zauważyła kobieta.

Tobias jęknął.

– Włożyli jej ciało do bagażnika mojego samochodu i ukryli je na starym lotnisku. Lars uciekł. Nigdy więcej go nie zobaczyłem. Mój najlepszy przyjaciel... a dzisiaj dostałem od niego list...

Spojrzał na Pię. Dopiero teraz sobie uświadomiła, że wbrew wszystkim miała rację, kiedy zaczęła przeczuwać, że Tobias Sartorius jest niewinny.

– A co ze Stefanie? – zapytał Bodenstein. – I gdzie jest Amelie?

Tobias westchnął i potrząsnął głową.

– Nie mam pojęcia. Przysięgam. Nie mam zielonego pojęcia.

Ktoś wszedł do stajni. Bodenstein i Pia odwrócili się jak na komendę. W progu stał Hartmut Sartorius, blady jak ściana. Tylko z największym trudem udawało mu się zachować spokój.

– Lars nie żyje, tato – powiedział Tobias.

Staruszek podszedł do syna, przyklęknął i objął go. Tobias zamknął oczy i oparł głowę na jego ramieniu. Pia poczuła wzruszenie. Czy kiedyś skończy się ich cierpienie? Ciszę przerwał sygnał

komórki szefa. Bodenstein odebrał połączenie i wyszedł na zewnątrz, żeby nie przeszkadzać.

– Czy... czy Tobiasz zostanie aresztowany? – zapytał Hartmut Sartorius niepewnym głosem i popatrzył na Pię.

– Mamy do niego kilka pytań – odparła ze współczuciem. – Niestety, wciąż ciąży na nim podejrzenie o to, że mógł mieć udział w zaginięciu Amelie Fröhlich. I dopóki nie uda nam się tego wykluczyć lub potwierdzić...

– Pia! – Bodenstein wołał ją z podwórza. Odwróciła się i szybko do niego wyszła. Na terenie gospodarstwa zaczęli się zbierać wezwani funkcjonariusze.

– Dzwonił Ostermann – poinformował ją szef, jednocześnie wybierając inny numer. – Udało mu się rozszyfrować dziennik Amelie. W ostatniej notatce napisała, że Thies w piwnicy pod atelier w oranżerii trzyma zasuszone zwłoki Królowej Śnieżki... tak, Bodenstein z tej strony... Kröger, proszę zebrać swoich ludzi i natychmiast jechać do Terlindenów w Altenhain... tak, tam gdzie się dzisiaj paliło. Tak, natychmiast!

Popatrzył na Pię, a ona natychmiast zrozumiała, co mu chodzi po głowie.

– Myślisz, że mógł tam zamknąć Amelie?

Bodenstein potaknął. Był wyraźnie spięty. Po chwili zastanowienia zmarszczył czoło i podrapał się po brodzie.

– Zadzwoń do Behnkego. Niech weźmie kilku mundurowych i dotransportuje na komisariat tę trójkę z Altenhain – polecił Pii. – Poza tym trzeba wysłać radiowóz do Lauterbacha... właściwie to dwa. Jeden do niego do domu, a drugi do biura w Wiesbaden. Jeszcze dzisiaj muszę z nim pogadać. Claudiusa Terlindena też należałoby jeszcze dzisiaj przesłuchać. Na razie nie ma pojęcia o samobójstwie syna. Jeśli pod oranżerią naprawdę jest piwnica, będziemy potrzebować patologa.

– Behnke jest zawieszony. Sam go zawiesiłeś, nie pamiętasz? – zapytała Pia. – Kathrin może się tym zająć. A co z Tobiaszem?

– Powiem naszym ludziom, żeby zawieźli go do Hofheim. Trochę na nas poczeka.

Pia potaknęła i sięgnęła po telefon, żeby wydać odpowiednie dyspozycje. Podyktowała Kathrin nazwiska Feliksa Pietscha, Michaela Dombrowskiego i Jörga Richtera, a potem wróciła do stajni. Przez chwilę przyglądała się, jak Tobiasz wstaje z wysiłkiem, a potem, żeby nie upaść, opiera się na ramieniu ojca.

– Ktoś zaraz zawiezie pana na komendę w Hofheim – powiedziała. – Proszę poczekać przed wejściem.

Tobiasz Sartorius kiwnął tylko głową.

– Pia! – krzyknął Bodenstein. Był wyraźnie zniecierpliwiony. – No chodź już!

– Dobrze, do zobaczenia później. – Pia pożegnała się z nimi skinieniem głowy i wybiegła na zewnątrz.

KIEDY BODENSTEIN z Pią mijali dom Lauterbachów, na podjeździe parkował akurat radiowóz. Nie zatrzymując się, pojechali dalej i skręcili w otwartą bramę posiadłości Terlindenów. Samochód zostawili przed okazałą willą, a sami ruszyli piechotą przez mokry trawnik w kierunku wypalonego budynku, z którego wciąż unosił się dym. Zewnętrzne ściany trzymały się w miarę prosto, lecz połowa dachu runęła do wewnątrz.

– Musimy wejść do środka. – Bodenstein podszedł do jednego ze strażaków, którzy zostali na miejscu, by zabezpieczyć miejsce pożaru.

– Całkowicie wykluczone. – Mężczyzna potrząsnął zdecydowanie głową. – Mury są osłabione przez ogień i w każdej chwili mogą się zawalić. To, co zostało z dachu, też jest niestabilne. Nie mogę pozwolić, by ktokolwiek tam wchodził.

– Musi pan – uparł się Bodenstein. – Mamy podstawy sądzić, że pod budynkiem znajduje się piwnica, a w niej najprawdopodobniej przetrzymywana jest zaginiona nastolatka.

To całkowicie zmieniło sytuację. Strażak podbiegł do kolegów, żeby omówić możliwości, i wyjął telefon. Bodenstein chodził tam i z powrotem, również nie odrywając telefonu od ucha. W pewnym momencie ruszył dookoła spalonej oranżerii. Nie potrafił stać z założonymi rękoma. To przekłete oczekiwanie! Na miejscu pojawiła się ekipa policyjnych techników, którzy mieli zabezpieczyć ślady, zaraz za nimi na trawnik wtoczył się wóz strażacki i ciemnogrnatowa furgonetka wsparcia technicznego. Przez ten czas Pia dowiedziała się od funkcjonariuszy z radiowozu, że u Lauterbachów nikogo nie zastali. Zadzwoiła do Ostermanna, żeby zdobył dla niej numer sekretariatu ministerstwa edukacji w Wiesbaden, a tam z kolei poinformowano ją, że pan minister od trzech dni przebywa na zwolnieniu lekarskim. Skoro tak, to gdzie się podziewał? Przysiadła na błotniku samochodu i zapaliła papierosa, czekając, aż Bodenstein skończy swój maraton telefoniczny. Strażacy i ludzie ze wsparcia technicznego wyskoczyli z samochodów i zabrali się za sprawdzanie, ile jeszcze wytrzyma konstrukcja dachu. Za pomocą ciężkiego sprzętu usunęli większe kawałki gruzu, a potem rozstawili przenośne reflektory, bo zaczęło się robić ciemno.

Kathrin Fachinger zadzwoniła, żeby potwierdzić wykonanie zadania: Felix Pietsch, Jörg Richter i Michael Dombrowski byli już na komisariacie i czekali na przesłuchanie. W czasie aresztowania żaden nie stawiał oporu. Ale to nie wszystko. Policjantka miała jeszcze jedną wiadomość. Ostermann dalej sprawdzał rzeczy zabrane z pokoju Amelie i z jej plecaka. Udało mu się dotrzeć do przeszło pół tysiąca zdjęć, które dziewczyna zapisała na swoim iPodzie, a wśród nich znalazł również fotografie kilku obrazów. Nie miał wątpliwości, że to były malunki, które otrzymała od Thiesa. Pia ruszyła szukać szefa. Przedzierała się przez coś, co kiedyś było trawnikiem, bo ciężkie wozy strażackie zamieniły go w błotnistą pustynię. Bodenstein stał przed wejściem do oranżerii i z posępną miną

dopalał papierosa. W chwili kiedy chciała go poinformować o znalezionych zdjęciach, strażacy pracujący wewnątrz ruiny dali im znać, że mogą wejść. Bodenstein otrząsnął się z otępienia. Rzucił niedopałek na ziemię i, nie gasząc go, wszedł do budynku. Pia deptała mu po piętach. W środku wciąż jeszcze było bardzo gorąco od ognia, który szalał tu przed kilkoma godzinami.

– Coś tu rzeczywiście jest! – poinformował ich strażak, który w zastępstwie szefa zespołu kierował ekipą poszukiwawczą. – Drzwi w podłodze! Otwierają się!

*

ULICA BYŁA SUCHA, a zaraz za węzłem na A5 Frankfurter Kreuz korek rozładował się na tyle, że można było przyspieszyć. Nadja dodała gazu, gdy tylko minęła znak znoszący ograniczenie prędkości, i przyspieszyła do dwustu na godzinę. Tobias siedział na siedzeniu pasażera. Miał zamknięte oczy i od wyjazdu z Altenhain milczał. Zbyt wiele przeżył. Jego myśli jak oszalałe krążyły wokół tego, czego dziś się dowiedział. Felix, Micha i Jörg. A on uważał ich za przyjaciół! I Lars! Lars, który był dla niego jak brat! Zamordowali Laureę i ukryli jej zwłoki na starym lotnisku. I nigdy nic nie powiedzieli. Pozwolili mu przejść przez piekło. Przez jedenaście lat, które spędził w więzieniu, żadnemu nie przyszło do głowy, żeby go uratować. Skąd więc ta nagła decyzja? Skąd pomysł, by wyznać prawdę? Dlaczego akurat teraz? Czuł przeogromne rozczarowanie. Jeszcze kilka dni temu razem pili, śmiali się i wspominali dawne, dobre czasy, a jednocześnie cały czas wiedzieli, co zrobili i jaką krzywdę mu wyrządzili! Westchnął głęboko. Nadja złapała go za rękę i zacisnęła palce. Tobias otworzył oczy.

– Nie mogę uwierzyć, że Lars nie żyje – wyszeptał i odchrząknął kilkakrotnie, żeby pozbyć się kluchy, która wyrosła mu w gardle.

– Tak, to naprawdę okropne – potaknęła. – Pamiętaj, że ja zawsze w ciebie wierzyłam. Wiedziałam, że jesteś niewinny.

Tobias zmusił się do uśmiechu. Niezależnie od ogromnego poczucia krzywdy i kipiącej złości, gdzieś w głębi jego duszy pojawiło się ziarenko nadziei. Może jeszcze wszystko będzie dobrze? Może ułoży się między nimi? Kiedy odejdą w zapomnienie wszystkie cienie przeszłości i prawda ujrzy światło dzienne, zacznie nowe życie.

– Będę miał problemy z policją – stwierdził.

– Daj spokój – mruknęła. – Przecież za kilka dni wrócisz. A twój ojciec ma numer mojej komórki, tak na wszelki wypadek. Chyba każdy zrozumie, że po tym wszystkim chcesz odpocząć i nabrać dystansu.

Tobias potaknął. Troszkę mu ulżyło. Okropny wewnętrzny ból, który bezustannie mu towarzyszył, zaczął słabnąć.

– Dziękuję ci, że jesteś. Bardzo się z tego cieszę. – Spojrzał na nią. – Naprawdę. Jesteś po prostu cudowna.

Uśmiechnęła się, ale tym razem nie odrywała wzroku od ulicy.

– Jesteśmy dla siebie stworzeni. Los tak chciał – odpowiedziała. – Od zawsze to wiedziałam.

Tobias schwycił jej dłoń i uniósł do swoich ust, by czule pocałować. Czekąco go kilka dni spokoju i odpoczynku. Nadja odwołała wszystkie spotkania i zajęcia. W końcu nikt nie będzie im przeszkadzał i nikogo nie będzie musiał się obawiać. Cicha muzyka, przyjemne ciepło, miękka skórzana tapicerka... poczuł, jak ogarnia go przemożne zmęczenie. Z ciężkim westchnieniem zamknął oczy i chwilę później już spał.

*

WĄSKIE, ZARDZEWIAŁE schodki opadały stromo w ciemność. Po omacku zaczął szukać na ścianie włącznika światła. Kilka sekund później rozjarzyła się słabiutka, dwudziestopięciowatowa żarówka, oświetlając niewielkie pomieszczenie. Bodenstein poczuł, jak zaczyna mu walić serce. Musiał odczekać kilka godzin, aż wypalone zgliszcza zostaną zabezpieczone na tyle, by straż wydała pozwolenie na wejście do środka. Koparka sprowadzona przez wsparcie techniczne oczyściła wnętrze z gruzu, a stalowe drzwi wpuszczone w podłogę udało się na szczęście otworzyć bez ciężkiego sprzętu. Jeden z policjantów, ubrany w kombinezon ochronny, zszedł na dół, rozejrzał się i dał znać, że wszystko jest w porządku. Piwnica nie ucierpiała w pożarze naziemnej części oranżerii.

Bodenstein poczekał, aż Pia i Henning Kirchhoff zejną stromymi schodami i dołączą do niego. Dopiero wtedy położył dłoń na klamce ciężkich, stalowych drzwi. Mimo wagi otworzyły się bezszelestnie. Uderzyła ich fala gorącego powietrza, przesycona słodkawym zapachem przekwitłych kwiatów.

– Amelie? – krzyknął Bodenstein. Ktoś za jego plecami włączył latarkę, oświetlając zaskakująco duże, prostokątne pomieszczenie.

– Dawny bunkier – stwierdził Kröger. Znalazł na ścianie włącznik. Po chwili rozległo się ciche pikanie, zamigotała podwieszona pod sufitem świetlówka i zalała piwnicę zimnym światłem. – Zasilanie jest podłączone osobną linią, żeby w razie uszkodzenia budynku na górze piwnica nie pozostała bez prądu.

Pokój był urządzone skromnie i prosto – kanapa, regał z wieżą stereo, a w dalszej części staromodny parawan oddzielający fragment przestrzeni. I ani śladu Amelie. Czyżby przyjechali za późno?

– Rany – mruknął Kröger. – Ale tu gorąco.

Bodenstein ruszył przez pomieszczenie. Pot ściekał mu po twarzy.

– Amelie?

Odsunął parawan na bok. Dostrzegł przed sobą wąskie żelazne łóżko. Głośno przełknął ślinę.

Dziewczyna, która na nim leżała, była martwa. Ktoś ułożył na kształt wachlarza jej długie, czarne włosy. Była ubrana w białą bluzkę i miała dłonie złożone na brzuchu. Czerwona szminka na wyschniętych ustach mumii wyglądała groteskowo. Obok stała para butów. W wazonie na szafce nocnej zwieszały się smętnie zaschnięte kwiaty, a obok nich znaleźli butelkę coli. Dopiero po kilku sekundach uświadomił sobie, że dziewczyna w łóżku to nie Amelie Fröhlich.

– Królowna Śnieżka – powiedziała cicho Pia, stając obok niego. – W końcu cię znaleźliśmy.

*

NA KOMISARIAT dotarli krótko po dziewiątej. Przed wejściem do sali zatrzymał trójka policjantów zmagająca się z pijanym osiłkiem, który, wraz z nie mniej pijaną towarzyszką, próbował się uwolnić i uciec. Zanim Pia weszła na piętro do pokoju odpraw, kupiła w automacie puszkę dietetycznej coli. Bodenstein stał przy stole, zajęty przeglądaniem zdjęć wydrukowanych przez Kathrin. Policjantka siedziała naprzeciwko i w milczeniu przyglądała się szefowi. Ostermann zajął krzesło obok niej i też czekał. Kiedy weszła Pia, Bodenstein uniósł wzrok. Na jego twarzy widać było wyraźnie oznaki wyczerpania i zacięcie świadczące o tym, że wiedział, że nie może teraz pozwolić sobie na odpoczynek. Nie teraz, kiedy znaleźli się tak blisko celu i kiedy mógł swoje prywatne zmartwienia zagłuszyć pracą bez wytchnienia.

– Bierzemy ich wszystkich naraz – zdecydował Bodenstein i spojrzął na zegarek. – Pozostaje potem jeszcze pogadać z Terlindenem. I oczywiście z Tobiasem.

– Sartoriusem? A gdzie on jest? – zapytała zaskoczona Kathrin.

– Z tego, co się orientuję, to na dole, w areszcie?

– Ja w każdym razie nic o tym nie wiem.

– Ja też nic nie wiem, żeby do nas trafił – potwierdził Ostermann.

Bodenstein popatrzył na Pię. Policjantka uniosła brwi.

– A jak staliśmy przed stajnią u Sartoriusów, to nie mówiłeś chłopakom z radiowozów, żeby go zapakowali i przywieźli tutaj?

– Nie. – Bodenstein pokręcił głową. – Kazałem im jechać do Lauterbacha. Byłem pewien, że wezwiesz osobny radiowóz.

– No to mamy problem, bo ja myślałam, że ty się tym zająłeś.

– Proszę natychmiast zadzwonić do nich do domu. – Bodenstein spojrzął na Ostermanna. – Tobias Sartorius ma się natychmiast stawić na komisariacie.

Złapał plik zdjęć i wyszedł z sali odpraw. Pia przewróciła oczyma i pobiegła za nim.

– Mogę zobaczyć te zdjęcia, zanim do nich pójdziemy? – poprosiła.

Bez słowa podał jej plik wydruków, ani na chwilę nie zwalniając kroku. Był wściekły, bo popełnił błąd, a to nie powinno było się zdarzyć. Nieporozumienie. Tak to już jest, kiedy zbyt wiele rzeczy zdarza się naraz. W pokoju przesłuchań nie było jeszcze nikogo. Bodenstein wyszedł na

korytarz, a po chwili wmaszerował z powrotem.

– Tutaj coś jest nie tak. Coś mi nie gra! – warknął rozeźlony.

Pia milczała. Myślała akurat o Thiesie Terlindenie, który przez jedenaście lat trzymał w piwnicy pod atelier zwłoki Stefanie Schneeberger. Dlaczego to robił? Czy to za sprawą ojca? Dostał takie polecenie? A Lars? Co go pchnęło do napisania listu do Tobiasa, a potem do samobójstwa? Dlaczego akurat teraz? Dlaczego spłonęła pracownia Thiesa? Czy poza nim ktokolwiek wiedział, że w piwnicy spoczywa ciało Królowy Śnieżki? A może podpalaczowi chodziło o zniszczenie pozostałych obrazów? Jeśli tak, to całkiem prawdopodobne, że ta sama osoba stała za pożarem i wizytą fałszywej policjantki u Barbary Fröhlich. No i gdzie była Amelie? Thies pokazał jej mumię Królowy Śnieżki, ale potem ją wypuścił, bo przecież jak inaczej mogłaby zapisać wiadomość o tym w swoim pamiętniku? Ile zdążyła powiedzieć Tobiasowi? I dlaczego w ogóle zniknęła? Czy jej zniknięcie mogło nie być związane ze sprawą Tobiasa Sartoriusa?

W jej głowie kłębiły się setki myśli, lecz choćby nie wiem jak się starała, nie potrafiła ich uporządkować i ułożyć w logiczny ciąg. Bodenstein znów rozmawiał przez telefon, tym razem ze swoją szefową, doktor Engel. Niewiele mówił, jeśli już, to rzucał krótkie „tak” i „nie”. Za to kiedy słuchał, miał wyraźnie pochmurną minę. Pia westchnęła. Sprawa zaginięcia Amelie przepoczwarzyła się w jakiś koszmar senny i to nie tylko z powodu samej pracy, ale też o okoliczności, w jakich przyszło im ją wykonywać. Nagle poczuła, że szef na nią patrzy. Podniosła głowę.

– Kiedy rozwiążemy sprawę i skończymy dochodzenie, zabierze się za nas. Tak powiedziała. Chociaż nie, właściwie zagroziła. – Odchylił głowę i niespodziewanie zaczął się śmiać, choć w jego śmiechu nie było słychać wesołości. – Wyobraź sobie, że dzisiaj ktoś do niej zadzwonił ze skargą. Anonimową.

– Aha. – Wszelkie skargi obchodziły Pię mniej więcej tyle co zeszłoroczny śnieg. Jedyne, o czym myślała, to rozmowa z Claudiusem Terlindenem. Koniecznie chciała wy badać, co wiedział. Każda dodatkowa informacja, która nie dotyczyła istoty śledztwa, była dla niej zbędnym obciążeniem.

– Ktoś ją mianowicie poinformował, że mamy romans. – Bodenstein przesunął dłonią po głowie. – Ponoć widziano nas razem.

– Doprawdy, cóż za przenikliwość – odparła Pia oschle. – Dziwne by było, gdyby ktoś nas nie widział razem. W końcu całymi dniami ujeżdżamy jednym samochodem po okolicy.

Ich rozmowę zakończyło pukanie do drzwi. Strażnicy wprowadzili trójkę kolegów Tobiasa Sartoriusa i posadzili ich za stołem. Pia zajęła miejsce naprzeciwko, natomiast Bodenstein stał za nią i przyglądał się uważnie wszystkim po kolei. Dlaczego nagle, po jedenastu latach, poczuli wyrzuty sumienia? Co się naprawdę wydarzyło? Pozwolił Pii poczynić przygotowania do przesłuchania, a kiedy skończyła, położył na stole osiem fotografii. Felix Pietsch, Michael Dombrowski i Jörg

Richter popatrzyli na wydruki i momentalnie pobledli.

– Widzieliście je już wcześniej?

Potrząsnęli głowami.

– Ale domyślam się, że wiecie, co na nich jest?

Potaknięcia.

Bodenstein skrzyżował ramiona na piersi. Sprawiał wrażenie spokojnego i opanowanego, czyli takie jak zawsze. Pia nie potrafiła się nadziwić, w jaki sposób ktoś może do tego stopnia narzucić sobie samodyscyplinę. Nikt, kto nie znałby go tak dobrze jak ona, nie potrafiłby zgadnąć, co się w nim teraz dzieje.

– Powiecie nam, co jest na tych obrazach? I oczywiście kto na nich jest.

Trzej mężczyźni milczeli. Po dłuższej chwili ciszę przerwał Jörg Richter i wymienił po kolei Laurę, Feliksa, Michaela, Larsa i siebie.

– A kim jest ten mężczyzna w zielonej krótkiej koszulce? – zapytała Pia.

Mężczyźni zawahali się i wymienili szybkie spojrzenia.

– To nie jest mężczyzna – wyjaśnił w końcu Jörg. – To jest Nathalie. Czyli Nadja. Wcześniej nosiła krótkie włosy.

Pia podsunęła im cztery wydruki przedstawiające moment przed morderstwem i samo morderstwo na Stefanie Schneeberger.

– A to kto? – Wskazała palcem na osobę, która obejmowała nastolatkę.

Jörg Richter znów się zawahał.

– Całkiem możliwe, że to Lauterbach. Pewnie poszedł za Stefanie.

– Co dokładnie wydarzyło się tamtego wieczoru? – zapytał Bodenstein.

– W Altenhain był odpust i jak zawsze wielki festyn – zaczął Richter. – Przez cały dzień się bawiliśmy. Sporo wypiliśmy. Laura była zazdrosna o Stefanie i o tytuł Miss Odpustu. Wymyśliła, że wzbudzi zazdrość w Tobiasie, jeśli przez cały wieczór będzie z nami flirtowała. Chociaż pewnie źle mówię. Nie flirtowała, ale najnormalniej w świecie nas uwodziła. Tobi pracował w namiocie, na stanowisku z napojami. Razem z Nadją. W pewnym momencie zniknął nam z oczu, bo strasznie się pożarł ze Stefanie. Laura pobiegła go szukać, a my pobiegliśmy za nią.

Przerwał na chwilę.

– Pobiegliśmy do tylnej bramy gospodarstwa rodziców Tobiasa. Jakiś czas siedzieliśmy w stajni, aż nagle przez kuchnię mleczną wpadła Laura. Płakała i leciała jej krew z nosa. Trochę się z nią posprzeczailiśmy. Bardzo się wściekła i spoliczkowała Feliksa. I wtedy... nie wiem, jak to się stało... sprawy zaszły za daleko... naprawdę, nie wiem, dlaczego...

– Zgwałciliście ją – stwierdziła Pia rzeczowym, pozbawionym emocji głosem.

– To nie tak... ona nas cały wieczór prowokowała...

– Do stosunku doszło za obopólną zgodą czy wbrew woli jednej ze stron?

– No cóż... – Richter przygryzł dolną wargę. – To drugie.

– Kto odbył stosunek z Laurą?

– Ja i... Felix.

– Dalej.

– Laura strasznie się szarpała i wierzgała. A potem uciekła. Pobiegiem za nią. I nagle zobaczyłem Larsa. Laura leżała przed nim na ziemi. Była zalana krwią. Chyba jej się wydawało, że on też czegoś będzie od niej chciał, i uciekając, przewróciła się i uderzyła głową o kamień do blokowania wrót. Lars był sparaliżowany z przerażenia. Wymamrotał coś i... zwiął. My też wpadliśmy w panikę. Chcieliśmy uciekać, ale Nadja zachowała spokój. Jak zawsze zresztą. Powiedziała, że Laura musi zniknąć i że nie zostaną żadne ślady.

– A skąd się tam wzięła Nadja? – zapytał Bodenstein.

– Ona... cały czas tam była.

– Słucham? Nadja była na miejscu i przyglądała się, jak gwałcicie Laurę Wagner?

– Tak.

– Nie rozumiem, dlaczego chciała, żebyście ukryli ciało Laury? Przecież jej śmierć była wypadkiem?

– Niby tak, ale myśmy ją przecież... zgwałcili. A potem nagle leżała martwa na ziemi, cała we krwi. Do dzisiaj nie mogę zrozumieć, dlaczego to zrobiliśmy.

– Co wydarzyło się później? Chcę wiedzieć o wszystkim, ze szczegółami.

– Na podwórzu stał golf Tobiasa. Tobi nigdy nie wyjmował kluczyka ze stacyjki, więc nie mieliśmy problemu z uruchomieniem silnika. Felix zapakował Laurę do bagażnika, a ja wymyśliłem, żeby zawieźć ją na stare lotnisko w Eschborn. Miałem jeszcze klucze do bramy, bo byliśmy tam kilka dni wcześniej, żeby ścigać się autami. Zawieźliśmy ją, wrzuciliśmy do zbiornika i wróciliśmy. Nadja czekała na nas na miejscu. W Altenhain nikt się nie zorientował, że nas nie było. Nie ma się co dziwić, bo większość miała solidnie w czubie. A później wróciliśmy do Tobiasa i zapytaliśmy, czy idzie z nami na festyn. Ale nie chciał.

– Co się stało ze Stefanie Schneeberger?

Żaden z trójki zatrzymanych nie miał pojęcia. Na obrazach wyglądało to tak, jakby Nadja uderzyła Stefanie lewarkiem samochodowym.

– Nie wiem, jak to tam było, ale Nadja nienawidziła Stefanie i to jest fakt. – Do rozmowy włączył się Felix Pietsch. – Od kiedy Stefanie się u nas pojawiła, Tobi przestał mieć dla nas czas. Latał za nią jak wariat, nic innego się nie liczyło. A do tego doszła jeszcze główna rola w przedstawieniu, która przeszła Nadji koło nosa...

– Tamtego wieczoru w czasie festynu Stefanie flirtowała z Lauterbachem – przypomniał sobie Jörg Richter. – Zawróciła gościowi w głowie, wszyscy o tym wiedzieli. Nie mógł oderwać od niej wzroku. Tobi wpadł na nich, jak się obściskiwali za namiotem, i się zdenerwował. Dlatego wrócił do domu. Po raz ostatni widziałem ją właśnie z Lauterbachem, za namiotem na festynie.

Felix Pietsch potwierdził jego słowa skinieniem głowy. Tylko Michael Dombrowski siedział dalej nieruchomo i nie reagował. Od samego początku rozmowy nie wypowiedział ani jednego słowa, tylko pobladył wpatrywał się w przesłuchujących policjantów oczyma przepełnionymi strachem i niepewnością.

– Czy Nadja mogła wiedzieć o istnieniu tych obrazów? – zapytała Pia.

– Całkiem możliwe. W zeszłą sobotę Tobi powiedział nam, co odkryła Amelie. Mówił o obrazach Thiesa i o tym, że na jednym z nich widać ponoć Lauterbacha. Skoro powiedział o tym nam, to Nadji tym bardziej.

Zadzwoiła komórka Pii. Policjantka sięgnęła do kieszeni i spojrzała na wyświetlacz. Ostermann.

– Wybacz, że przeszkadzam – zaczął Kai. – Ale obawiam się, że mamy spory problem. Tobias Sartorius zapadł się pod ziemię.

*

BODENSTEIN PRZERWAŁ przesłuchanie i wyszedł. Pia pozbierała wydruki zdjęć, wsunęła je w przejrzystą koszulkę i ruszyła za nim. Czekał na korytarzu, oparty o ścianę. Miał zamknięte oczy.

– Nadja musiała wiedzieć, co jest na tych obrazach – powiedział. – Dzisiaj rano była na pogrzebie Laury Wagner. Dziwnym zbiegiem okoliczności w tym samym czasie spłonęła pracownia Thiesa.

– Ja nawet myślę, że to ona była fałszywą policjantką, która odwiedziła Barbarę Fröhlich i zabrała płótna. – Pia pokręciła głową.

– Też tak sędzę. – Bodenstein otworzył oczy. – Żeby mieć pewność, że nie pojawią się jakieś nowe obrazy, postanowiła spalić je wszystkie. Wykorzystała fakt, że wszyscy byli na pogrzebie, i podpaliła oranżerię Terlindenów.

Odsunął się od ściany i ruszył korytarzem w kierunku klatki schodowej.

– Musiało być jej strasznie nie na rękę, kiedy Amelie odkryła prawdę o zaginięciu Laury i Stefanie – dodała Pia. – Fröhlich ją znała, więc nie miała podstaw, by cokolwiek podejrzewać. Nadja mogła wywołać dziewczynę z Czarnego Rumaka i pod jakimś wymyślonym pretekstem zwabić do samochodu.

Bodenstein pokiwał głową. Niepodparta z początku niczym teoria, że Nadja von Bredow zamordowała Stefanie Schneeberger, a jednaście lat później porwała i być może zamordowała inną nastolatkę, która dowiedziała się o jej udziale w zbrodni, stawała się coraz bardziej

prawdopodobna. Ostermann siedział przy biurku i trzymał słuchawkę przy uchu.

– Rozmawiałem właśnie z ojcem Tobiasa i przed chwilą wysłałem do nich radiowóz. Hartmut Sartorius twierdzi, że jego syn wsiadł dziś po południu do samochodu przyjaciółki, która miała przywieźć go do nas. Najwyraźniej zmieniła jednak zdanie, bo nie dotarli na komendę.

Bodenstein zmarszczył czoło i zaczął się zastanawiać, ale Pia była szybsza.

– Wsiadł do samochodu przyjaciółki, tak? – upewniła się.

Ostermann potaknął.

– Ostatni numer w telefonie to numer Sartoriusa?

– Tak.

Pia obeszła biurko kolegi, sięgnęła po słuchawkę i nacisnęła klawisz powtórzenia ostatniego połączenia, po czym włączyła tryb głośnomówiący. Po trzecim sygnale Hartmut Sartorius podniósł słuchawkę. Nie dała mu dojść do słowa.

– Kim jest przyjaciółka Tobiasa? – zapytała, choć wiedziała, jaka padnie odpowiedź.

– Nadja. Ale... ona przecież chciała...

– Czy ma pan numer do niej? Ewentualnie numery rejestracyjne jej auta?

– Mam numer komórki. Ale dlaczego...

– Proszę nie przedłużać i tylko go podyktować – przerwała mu ostro i spojrzała na Bodensteina.

Tobias Sartorius jechał gdzieś z Nadją von Bredow i nie miał zielonego pojęcia, co zrobiła ani co planowała. Kiedy ojciec Tobiasa skończył, natychmiast się rozłączyła i wybrała zapisany numer.

The person you are trying to reach is temporarily unavailable. Please try again later.

– Dobra, co teraz? – Pia nie winiła szefa, że zamiast odesłać Tobiasa na komendę, wysłał radiowóz do Lauterbachów. Co się stało, to się nie odstanie, i tyle.

– Natychmiast musimy rozesłać wiadomość do wszystkich jednostek z informacją o poszukiwanych – zdecydował Bodenstein. – I trzeba spróbować zlokalizować tę komórkę, o ile to w ogóle możliwe. Gdzie mieszka ta aktorka?

– Zaraz się dowiem. – Ostermann przysunął się do stołu i złapał za telefon.

– Co z Claudiusem Terlindenem? – zapytała Pia.

– Będzie musiał jeszcze trochę poczekać – zdecydował Bodenstein i podszedł do ekspresu do kawy. Sięgnął po dzbanek, w którym był jeszcze gorący napar, i nalał sobie pełen kubek, po czym usiadł przy pustym biurku Behnkego. – Teraz znacznie ważniejszy jest Lauterbach.

Szóstego września 1997 roku Gregor Lauterbach był na festynie odpustowym w Altenhain i całował się ze Stefanie Schneeberger, córką swoich sąsiadów, a potem poszedł z nią do stajni na terenie gospodarstwa Sartoriusów. Jeden z obrazów mógł przedstawiać nie Nadję walczącą ze Stefanie, tylko Stefanie z Lauterbachem w czasie stosunku. Czy to możliwe, że Nadja wszystko widziała, a kiedy nadarzyła się okazja, pozbyła się znieawidzonej rywalki, mordując ją lewarkiem

samochodowym? Thies wszystko widział. Kto z kolei mógł wiedzieć, że chłopak był świadkiem tamtych wydarzeń? Nagle rozdzwonił się telefon Pii. Policjantka spojrzała na wyświetlacz. Henning. Patolog prowadził właśnie sekcję zmumifikowanych zwłok Stefanie Schneeberger.

– Potrzebuję narzędzia zbrodni. – W jego głosie słychać było zmęczenie i napięcie. Pia rzuciła okiem na zegar na ścianie. Mimo że zbliżało się wpół do jedenastej wieczorem, Henning wciąż był w instytucie. Ciekawe, czy wyznał Miriam prawdę?

– Dostaniesz je, słowo – odparła. – Czy dałbyś radę znaleźć i zidentyfikować obce DNA? Dziewczyna krótko przed śmiercią odbyła stosunek płciowy.

– Mogę spróbować, bo zwłoki są świetnie zachowane. Ktoś musiał je tam przechowywać przez całe jedenaście lat, bo praktycznie nie znalazłem oznak rozkładu.

– Jak szybko dałbyś radę dostarczyć nam wyniki? To bardzo ważne – wyjaśniła, choć stwierdzenie, że to bardzo ważne, nie miało zbyt wiele wspólnego z rzeczywistością, bo tak naprawdę to była sprawa życia lub śmierci. Wszyscy dostępni policjanci zostali zaangażowani w poszukiwanie zaginionej nastolatki, a na dodatek okazało się, że są o krok od rozwiązania zagadki sprzed jedenastu lat. Przy czym sprawę starych zabójstw rozgryźli tylko w czwórkę.

– A kiedy robiłem dla was coś nieważnego? – zapytał Henning. – Pospieszę się. Bodenstein dokończył kawę.

– Dobra – spojrzał na Pię. – W takim razie bierzmy się do roboty.

*

BODENSTEIN NIE WYSIADAŁ jeszcze kilka chwil po tym, jak zaparkował przed dworem rodziców. Minęła właśnie północ, był wyczerpany, ale jednocześnie zbyt poirytowany, żeby od razu myśleć o śnie. Zaraz po przesłuchaniu Feliksa Pietscha, Jörga Richtera i Michaela Dombrowskiego zastanawiał się, czy nie wypuścić ich do domów, jednak przyszło mu do głowy znacznie ważniejsze pytanie: czy Laura mogła jeszcze żyć, kiedy wrzucali ją do podziemnego zbiornika? Mężczyźni przez kilka minut milczeli. I właśnie wtedy zrozumiał, że ta sprawa nie dotyczy jedynie gwałtu na nieletniej i nieudzielenia pomocy, ale czegoś znacznie, znacznie gorszego. Pia po chwili zastanowienia uznała, że aby zatrzeć ślady przestępstwa, byli gotowi pozbawić kogoś życia. Wtedy Michael Dombrowski się rozplakał. Bodenstein nie miał już wątpliwości. Poprosił Ostermanna, by jak najszybciej załatwił nakazy aresztowania. To, co trzech zatrzymanych opowiedziało wcześniej, było bardzo ważne dla śledztwa. Nadja von Bredow przez całe lata nie kontaktowała się z kolegami z dzieciństwa, lecz jakiś czas przed wyjściem Tobiasa z więzienia pojawiła się niespodziewanie w Altenhain. Zaaranżowała spotkanie chłopaków z dawnej paczki i szantażem zmusiła ich, żeby trzymali buzie na kłódkę. A że żaden nie widział interesu w tym, by po jedenastu latach prawda ujrzała światło dzienne, bez gadania się jej podporządkowali. I tak by pewnie zostało, gdyby we wsi nie zaginęła

kolejna nastolatka. Odpowiedzialność za skazanie przyjaciela z dzieciństwa i wyrok, który niesłusznie odsiadywał, wywołały w nich straszne wyrzuty sumienia. W Altenhain zaczęła się nagonka na Tobiasa, a tchórzostwo i strach nie pozwoliły im pójść na policję. Bali się konsekwencji, które musieliby w końcu ponieść. Jörg Richter w sobotę wieczorem nie zadzwonił po Tobiasa z czystej przyjaźni czy dawnej sympatii, ale dlatego, że Nadja mu kazała. Chciała, żeby zorganizował jakąś imprezę, na której Tobias miał się upić. To tylko potwierdziło przypuszczenia Bodensteina. Najbardziej zaskoczyła go jednak odpowiedź na pytanie, jak to możliwe, że Nadja von Bredow owinęła sobie trzech dorosłych mężczyzn wokół palca?

– Już wtedy, w dziewięćdziesiątym siódmym miała w sobie coś, co napędzało nam stracha – wyjaśnił Jörg Richter, a pozostali dwaj skwapliwie potaknęli. – Nadja nie zaszła tak daleko przez przypadek. Ona nie ma żadnych oporów i wyrzutów sumienia. Jeśli czegoś chce, to zawsze to dostaje. Albo sama bierze.

Nadja von Bredow musiała uznać Amelie Fröhlich za zagrożenie, więc znów wzięła sprawę w swoje ręce. Fakt, że nie cofnęłaby się przed morderstwem, nie wróżył niczego dobrego.

Bodenstein, zatopiony w rozmyślaniach, wciąż siedział za kierownicą auta. Co za dzień! Najpierw ciało Larsa Terlindena, potem pożar w pracowni jego brata, Hasse z idiotycznymi oskarżeniami i pretensjami, spotkanie z Danielą Lauterbach... Nagle przypomniał sobie, że chciał jeszcze do niej zatelefonować po tym, jak przekaże Christine Terlinden wiadomość o samobójczej śmierci syna. Z kieszeni płaszcza wyjął telefon komórkowy, a potem zaczął szukać jej wizytówki. Kiedy ją znalazł, wybrał numer i z walącym sercem czekał, aż usłyszy głos lekarki. Nadaremnie. Po kilku sygnałach uruchomiła się poczta głosowa. Po sygnale nagrał prośbę o możliwie szybki kontakt, niezależnie od godziny. I gdyby nie kawa, która zmusiła nerki do wytężonej pracy, siedziałby dalej w samochodzie. Westchnął i pomyślał, że tak czy inaczej powinien już iść. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch i omal nie dostał ataku serca, bo ktoś niespodziewanie zapukał w szybę.

– Tato? – Głos należał do Rosalie, najstarszej córki.

– Rosi! – Otworzył drzwi i wysiadł. – Co ty tu robisz?

– Miałam wolny wieczór – powiedziała. – Ale co ty tu robisz? Dlaczego nie jesteś w domu?

Bodenstein westchnął i oparł się o samochód. Był śmiertelnie zmęczony i nie miał szczególnej ochoty mówić córce o swoich problemach. Przez cały dzień udawało mu się myśleć o czymś innym i nie wracać do tematu Cosimy, lecz teraz nie mógł już od niego uciec. Opanowało go poczucie klęski.

– Dziadek powiedział, że już wczoraj wieczorem u nich nocowałeś. Co się stało? – Rosalie spojrzała na niego z troską. W słabym świetle pojedynczej latarni jej twarz wyglądała niezdrowo blado. Właściwie dlaczego nie miałby powiedzieć prawdy? Była dość dorosła, by zrozumieć, co się wydarzyło. Zresztą tak czy inaczej, i tak w końcu by się wszystkiego dowiedziała.

– Twoja matka wyznała mi wczoraj, że ma romans. Dlatego się wyprowadziłem. Chciałem kilka nocy spędzić z dala od domu.

– Co?! – Rosalie popatrzyła na niego z niedowierzaniem. – To... nie... to niemożliwe!

Jej zaskoczenie sprawiło, że Bodenstein poczuł się odrobinę lepiej. Nie potrafiłby znieść myśli, że córka mogła wiedzieć i ukrywać przed nim taką tajemnicę.

– Cóż. – Wzruszył ramionami. – Z początku też tak pomyślałem. Ale okazało się, że to trwa już jakiś czas.

Rosalie westchnęła głęboko i potrząsnęła głową. W jednym momencie przestała być dorosłą, świadomą kobietą i na powrót stała się małą, bezradną dziewczynką, przytłoczoną przez trudną do pojęcia rzeczywistość. On też nie potrafił zrozumieć, co się właściwie stało. Wiedział, że nie może jej pomóc i mówić, że wszystko będzie dobrze. Bo nie będzie. Między nim a Cosimą nigdy nie będzie już jak dawniej. Zbyt mocno go zraniła.

– I co teraz? To znaczy... jak... jak... – Rosalie przerwała.

Z jej twarzy biły bezradność i zagubienie. Nagle po policzkach dziewczyny potoczyły się łzy. Bodenstein wziął ją w ramiona i wtulił usta w jej włosy. Zamknął oczy i głęboko westchnął. Wiele by dał, żeby też umieć się rozplakać – z żalu nad sobą, nad swoją krzywdą i niesprawiedliwością świata.

– Znajdziemy jakieś rozwiązanie – mruknął i pogłaskał ją po głowie. – Muszę to wszystko jeszcze przemyśleć.

– Ale dlaczego to zrobiła? Dlaczego? – szlochała dziewczyna. – Nie rozumiem!

Stali tak przez dłuższą chwilę, po czym Bodenstein ujął jej zapłakaną twarz w dłonie.

– Jedź do domu, skarbie – powiedział cicho. – I staraj się tym nie zamartwiać. Twoja matka i ja jakoś musimy sobie teraz z tym poradzić, dobrze?

– Tato! Nie mogę cię przecież zostawić samego! Tato! I... poza tym niedługo jest Boże Narodzenie, a jak ciebie nie będzie, to to nie będą już rodzinne święta! – mówiła głosem pełnym szczerego uczucia, jak zawsze, kiedy ją coś poruszyło.

Już jako dziecko zawsze czuła się odpowiedzialna za wszystko, co działo się w rodzinie i wśród jej przyjaciół – często przez to cierpiała, bo brała na siebie zbyt wiele, by to udźwignąć.

– Do świąt zostało jeszcze kilka tygodni. A tutaj nie jestem sam – zapewnił ją. – Jest babcia i dziadek, Quentin i Marie-Louise. Naprawdę, nie jest źle.

– Ale musi być ci smutno.

Z takim argumentem próżno byłoby się spierać.

– Zwaliło mi się na głowę tyle do roboty, że nie mam nawet czasu być smutnym.

– Mówisz prawdę? – Jej usta zaczęły drżeć. – Nie potrafiłabym znieść myśli, że zostawiam cię

samego i smutnego.

– Naprawdę, kochanie, nie martw się o mnie. Poza tym możesz do mnie zadzwonić albo wysłać SMS-a. No, a teraz pędź, bo powinnaś się już kłaść. Ja zresztą też. Jutro jeszcze porozmawiamy, dobrze?

Rosalie potaknęła i z nieszczęśliwą miną podniosła wzrok. Potem pocałowała go w policzek, objęła, wsiadła do samochodu i uruchomiła silnik. Bodenstein stał jeszcze przez chwilę na parkingu i odprowadzał wzrokiem tylne światła jej auta, dopóki nie zniknęły za zakrętem. Wtedy westchnął i ruszył w stronę wejścia. Otuchy dodawała mu świadomość, że może liczyć na miłość swoich dzieci i to mimo walącego się małżeństwa.

[1] Fragment wiersza Rainera Marii Rilkego *Dzień jesienny* w tłumaczeniu Mieczysława Jastruna (przyp. tłum.).

SOBOTA 22 LISTOPADA 2008

Poderwała głowę. Serce waliło jej jak oszalałe; miała wrażenie, że słyszy jego bicie. Wytrzeszczając oczy, rozejrzała się po pomieszczeniu. Dookoła panowała ta sama nieprzenikniona ciemność. Co wyrwało ją ze snu? Czy rzeczywiście usłyszała jakieś hałasy, czy je sobie uroiła? Amelie wpatrywała się w mrok i uważnie nasłuchiwała. Nic. Zatem szelesty były wytworem jej wyobraźni. Westchnęła głęboko i usiadła na śmierdzącym materacu. Podkurczyła nogi i zaczęła masować zmarznięte stopy. Wciąż sobie powtarzała, że lada chwila ktoś ją odnajdzie i że przeżyje ten koszmar. Lecz choć nie chciała się do tego przyznać, powoli traciła nadzieję. Kimkolwiek była osoba, która ją tu zamknęła, na pewno nie planowała jej wypuścić. Dotychczas jakoś broniła się przez powracającymi coraz częściej napadami paniki. Teraz jednak straciła odwagę i chęć do walki. Znieruchomiła na materacu i czekała na śmierć. Ileż to razy wykrzykiwała matce w twarz, że najchętniej już by nie żyła! Dopiero teraz zrozumiała, że wcale tego nie chciała. Zaczęła żałować krzywd, które wyrządziła matce przez swoją obojętność i bezmyślność. Jeśli jakimś cudem uda jej się wyjść stąd żywcem, całkowicie zmieni swoje życie. Całkowicie. Będzie lepsza. Nie będzie już wszystkiego kontestować i uciekać z domu. Będzie się starała okazywać wdzięczność.

Nie, teraz też musiało w końcu nadejść szczęśliwe zakończenie. Takie historie zawsze kończyły się szczęśliwie. No dobrze, może nie zawsze, ale przynajmniej prawie zawsze. Zadrżała, kiedy przypomniawszy sobie wszystkie kroniki kryminalne i wiadomości o zaginionych, których nie odnajdywano. Albo odnajdywano martwych. Ciała nastoletnich dziewczynek ukryte w lesie, zakopane w skrzyniach, zgwałconych, zamęczonych na śmierć. Cholera jasna. Cholera, cholera, cholera! Nie mogła umrzeć, nie tutaj, w tej śmierdzącej dziurze w ziemi, nie w ciemności i nie w samotności. Szybka śmierć z głodu jej nie groziła, za to z pragnienia jak najbardziej. Zostało jej bardzo niewiele wody. Racje wydzielala małymi łydkami.

Nagle stężała. Usłyszała jakieś hałasy! Nie wyobraziła ich sobie. Kroki. Ktoś stał na zewnątrz, przed drzwiami. Zbliżał się. Był tuż-tuż. Na chwilę zapadła cisza, a potem szczęknięcie zamka. Amelie chciała zerwać się z łóżka, ale zimno i wilgoć, które od kilku dni musiała znosić, odcisnęły na niej swoje piętno. Miała osłabione i zeszywniałe mięśnie, co skutecznie ją unieruchamiało. Do pomieszczenia wpadła odrobina jaskrawego światła. Dziewczyna zamrugła oślepiona. Nic nie mogła zobaczyć. W następnej sekundzie drzwi się zatrzasnęły, szczęknięcie zardzewiały zamek i kroki zaczęły się oddalać. Rozczarowanie i zawód ścisnęły jej serce niczym żelazną obręczą. Nie dostała wody do picia! Nagle wydało jej się, że słyszy czyjś oddech. Czyżby nie była już sama? Włosy na jej skórze momentalnie stanęły dęba, a serce zaczęło walić jak oszalałe. Kto to był? Człowiek? A może zwierzę? Ogarnął ją tak przemożny strach, że z trudem oddychała. Przywarła plecami do wilgotnej ściany. W końcu zebrała się na odwagę.

– Jest tu kto? – wyszeptała drżącym głosem.

– Amelie?

Sapnęła z niedowierzaniem. Serce zabiło jej jeszcze mocniej, lecz tym razem z radości.

– Thies?! – wyjąkała i, wyciągając przed siebie dłonie, ruszyła wzdłuż ściany. W egipskich ciemnościach wyjątkowo trudno było utrzymywać równowagę, mimo że przecież na pamięć znała każdy milimetr kwadratowy pomieszczenia. Po dwóch krokach zamarła, bo jej palce natrafiły na przeszkodę – ciepłe, ludzkie ciało. Usłyszała nerwowy oddech i złapała Thiesa za ramię. Chłopak, zamiast uciec jak zwykle, też chwycił ją za rękę i znieruchomiał.

– Och, Thies! – Amelie nie potrafiła już dłużej powstrzymać łez. – Thies! Och, Thies! Tak się cieszę! Tak strasznie się cieszę!

Przypadła do niego, objęła ramionami i przestała powstrzymać łzy. Wzruszenie i ulga były po prostu zbyt wielkie. Nogi miała jak z waty, po tylu dniach i nocach mroku nagle przestała być sama. Thies nie uciekał przed jej uściskiem. Więcej. Poczwała, że też ją objął. Ostrożnie i nieporadnie. Ale potem przyciągnął ją do siebie i dotknął ustami jej włosów. I nagle cały strach zniknął.

*

KOLEJNY RANEK z rzędu ze snu wyrwał go sygnał komórki. Tym razem dzwoniła Pia. Bezwzględny ranny ptaszek, pozbawiony ludzkich odruchów, pomyślał. Dwadzieścia po szóstej rano musiała go poinformować, że Thies Terlinden uciekł w nocy z zakładu psychiatrycznego.

– Lekarka oddziałowa zadzwoniła natychmiast, jak się zorientowała – wyjaśniła. – Ja już jestem na miejscu i rozmawiałam z lekarzem dyżurnym i siostrą, która miała dyżur. Ostatni obchód zrobiła wczoraj dwadzieścia siedem po jedenastej wieczorem i wtedy leżał spokojnie w łóżku. Dzisiaj rano zajrzała do niego chwilę po piątej i chłopaka już nie było.

– Jak to tłumaczy? – Bodenstein miał trudności ze zwłeczeniem się z łóżka.

Po trzech godzinach snu czuł się jak po sesji łamania kołem. Ledwie się położył i zamknął powieki, zadzwonił Lorenz, a zaraz potem Rosalie, którą chwilę wcześniej z trudem udało mu się zapakować do samochodu i odesłać do domu. Z przytłumionym westchnieniem usiadł na brzegu łóżka, a potem wstał. Tym razem dotarł do włącznika światła bez nabijania sobie siniaków.

– Nie potrafi. Teren ośrodka został starannie przeszukany, więc tu się nie schował. Drzwi do jego pokoju były zamknięte. Wygląda na to, że po prostu rozpułnął się w powietrzu. Cholera, wiesz co? Mam już dość tej sprawy!

Od wczoraj nie natrafili na żaden ślad, który mógłby ich przybliżyć do Tobiasa Sartoriusa, Gregora Lauterbacha albo Nadji von Bredow. I to mimo ogłoszeń w ogólnokrajowej telewizji, radiu i prasie!

Bodenstein poczłapał do łazienki, w której jeszcze przed położeniem się do łóżka przezornie

odkręcił ogrzewanie i zamknął okno. Spojrzał w lustro. Jego odbicie nie przedstawiało miłego widoku. Słuchając Pii, starał się skupić na wirujących w głowie myślach. Błędnie założył, że Thies Terlinden będzie bezpieczny w zamkniętym ośrodku psychiatrycznym. Nie wziął pod uwagę niebezpieczeństwa, jakie mu groziło. Do diabła, powinien był wysłać tam kogoś, żeby dzień i noc miał na niego oko! To już drugi brzemenny w skutki błąd, który popełnił w ciągu ostatniej doby. Jeśli dalej tak pójdzie, podzieli los Behnkego i skończy zawieszony za zaniedbania. Rozłączył się, zdjął przepoconą krótką koszulkę i majtki, a potem wziął prysznic. Czasu miał coraz mniej. Bał się, że sprawa wymknie się spod kontroli. Na czym się skupić? Który wątek był najważniejszy? Nadja von Bredow i Gregor Lauterbach wydawali się kluczowymi postaciami całej tragedii. Trzeba było ich jak najszybciej znaleźć.

*

CLAUDIUS TERLINDEN przyjął wiadomość o samobójczej śmierci syna, nie okazując gwałtownych uczuć. Po czterech dniach i trzech nocach w policyjnym areszcie śledczym jego spokojny, obojętny sposób bycia ustąpił miejsca upartemu milczeniu. W czwartek jego adwokat złożył zażalenie i zaskarżył decyzję o zatrzymaniu, lecz Ostermannowi udało się przekonać sędziego, że w przypadku wypuszczenia Terlindena zachodziła uzasadniona obawa mataczenia. Tak czy inaczej, nie będą mogli go długo trzymać, jeśli nie znajdą dowodów bardziej przekonujących niż brak alibi na czas zaginięcia Amelie Fröhlich.

– Od początku był mięczakiem – mruknął i to był jego jedyny komentarz. Siedział przed nimi z rozpiętym kołnierzykiem koszuli, kilkudniowym zarostem i zmierzwionymi włosami i bardziej niż charyzmatycznego biznesmena przypominał stracha na wróble. Pia usilnie próbowała sobie przypomnieć, co ją w nim tak fascynowało. Nadaremnie.

– Ale za to pan – powiedziała, nie ukrywając sarkazmu – pan jest twardy, prawda? Pan jest tak twardy, że ma pan gdzieś, co pan narobił swoimi kłamstwami i przemilczeniami. Lars popełnił samobójstwo, bo sumienie nie dawało mu spokoju. Nie mógł znieść poczucia winy, bo wiedział, że skradł Tobiasowi Sartoriusowi jedenaście lat życia. A Thiesa zastraszył pan do tego stopnia, że przez ten cały czas chronił u siebie ciało jednej z zaginionych.

– Nigdy i w żaden sposób nie zastraszałem Thiesa. – Claudius Terlinden po raz pierwszy tego ranka uniósł wzrok i popatrzył na Pię. W jego zaczerwienionych oczach pojawiło się nagle zainteresowanie. – Poza tym, o jakim ciele pani mówi?

– Niechże pan nie robi z nas wariatów, przecież musiał pan wiedzieć! – Potrząsnęła ze złością głową. – Chce mi pan wmówić, że w piwnicy oranżerii przez jedenaście lat leżały czyjeś zwłoki, a pan nie miał o tym pojęcia?

– Nie miałem. Nie wchodziłem tam od dobrych dwudziestu lat.

Pia odsunęła krzesło i usiadła naprzeciwko Claudiusa Terlindena.

– Wczoraj w piwnicy pod pańską oranżerią znaleźliśmy zmumifikowane zwłoki Stefanie Schneeberger.

– Słucham?! – Po raz pierwszy zobaczyła niepewność i dezorientację na jego twarzy. Na fasadzie niewzruszonej pewności siebie pojawiła się pierwsza rysa.

– Thies widział, jak jedenaście lat temu zamordowano obie dziewczyny – mówiła dalej policjantka. – Ktoś musiał się o tym dowiedzieć i zaczął mu grozić, że wyląduje w zamkniętym zakładzie, jeśli puści parę z ust. Jestem szczerze przekonana, że to pana sprawka.

Claudius potrząsnął głową.

– Pański syn był w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym, ale dzisiaj w nocy stamtąd zniknął. Wcześniej jednak wyjawiał mi, kogo wówczas widział.

– Pani kłamie. – Terlinden potrząsnął głową. – Thies nic nie mógł pani powiedzieć.

– Zgadza się. Jego opowieść o byciu świadkiem tamtych zdarzeń nie zawiera słów. Namalował mi obraz, na którym szczegółowo przedstawił przebieg wydarzeń. Ma fotograficzną pamięć.

W końcu Claudius Terlinden zareagował na jej słowa. Jego źrenice gwałtownie się zwężyły, a dłonie zadrżały. Pia prawie podskoczyła z radości. Czyżby w końcu miała szansę na przełom w śledztwie? Przełom, którego tak gwałtownie potrzebowali?

– Gdzie jest Amelie Fröhlich?

– Kto?

– Niechże pan przestanie! Przecież gdyby nie zaginęła córka pana pracownika, Arne Fröhlicha, w ogóle by tu pana nie było!

– No tak, racja. Na chwilę zapomniałem. Nie mam pojęcia, gdzie ona jest. I dlaczego miałoby mnie to interesować?

– Thies pokazał jej zmumifikowane zwłoki Stefanie. A wcześniej dał jej też swoje obrazy, które namalował po tamtych wydarzeniach. Dziewczyna była o krok od zdemaskowania wieloletniej zmowy mieszkańców. Nikt nie będzie miał wątpliwości, że to się panu nie mogło podobać.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi. Zmowa, tajemnice! – Udało mu się przywołać na twarz kpiący uśmiech. – Radzę zrezygnować z oglądania seriali. Poza tym lada chwila będziecie musieli mnie wypuścić. No chyba że macie na mnie coś konkretnego. Ale nie chce mi się w to wierzyć.

Pia nie dała się zbić z tropu.

– W 1997 radził pan synowi, żeby nie wyjawiał, co łączyło go ze śmiercią Laury Wagner, choć z naszych informacji wynika, że najprawdopodobniej chodziło tylko o nieszczęśliwy wypadek. W tej chwili trwa analiza, czy to wystarczy, żeby przedłużyć panu areszt.

– Niby na jakiej podstawie? Za to, że chciałem chronić syna?

– Nie. Za utrudnianie dochodzenia. Za fałszywe zeznania. Znajdziemy pewnie jeszcze kilka

uzasadnień.

– Nawet jeśli, to ta sprawa już dawno uległa przedawnieniu. – Claudius Terlinden zmierzył Pię lodowatym wzrokiem.

Policjantka zaczynała rozumieć, że trafiła na wytrawnego gracza.

– Gdzie pan pojechał, kiedy wyszliście z Gregorem Lauterbachem z Ebony Club?

– To nie pani sprawa. Nie widzieliśmy wtedy dziewczyny.

– Gdzie byliście? Dlaczego po spowodowaniu kolizji zdecydował się pan na ucieczkę z miejsca zdarzenia? – zapytała ostrzejszym głosem. – Był pan przekonany, że nikt was nie widział?

Claudius Terlinden przemilczał odpowiedź. Nie chciał dać się sprowokować, żeby nie palnąć jakiegoś nieprzemyślanego głupstwa. A może naprawdę nie miał w tej sprawie nic na sumieniu? Technicy z laboratorium nie znaleźli w jego samochodzie żadnych śladów, które by wskazywały, że coś go łączyło z Amelie. Kolizja i ucieczka z miejsca zdarzenia nie były powodem, by kogokolwiek przetrzymywać w więzieniu. Niestety, miał też rację, jeśli chodziło o przedawnienie. Cholera.

*

JECHAŁ DOSKONALE znaną trasą. Minął sklep spożywczy Richterów i dawną karczmę Pod Złotym Kogutem, a potem, przy placu zabaw, skręcił w Waldstrasse. Mimo że był dzień, wciąż paliły się latarnie, jakby w obawie, że już do wieczora nie zrobi się widno. Bodenstein żywił nadzieję, że w niedzielny poranek uda mu się zastać Gregora Lauterbacha w domu. Ciekawe, dlaczego namówił Hassego, żeby wykradł i zniszczył protokoły przesłuchań ze starego, zamkniętego już śledztwa? Jaka rolę odegrał we wrześniu 1997 roku? Zatrzymał się na podjeździe i rozeźlony mruknął pod nosem, bo, jak okiem sięgnąć, nie widać było radiowozu ani nawet cywilnego samochodu, z którego funkcjonariusze mogliby obserwować dom poszukiwanego. Zanim zdążył połączyć się z centralą i wyrazić swoje oburzenie, drgnęły drzwi od garażu i powędrowały w górę, a ze środka, na wstecznym biegu, zaczął wyjeżdżać samochód. Bodenstein wysiadł i ruszył w jego stronę. Serce zabiło mu szybciej, kiedy za kierownicą ciemnoszarego mercedesa dostrzegł Danielę Lauterbach. Zatrzymał się i poczekał, aż wysiądzie. Popatrzył na jej twarz i pomyślał, że ostatniej nocy nie zakosztowała zbyt wiele snu.

– Dzień dobry. Co sprowadza pana o tak wczesnej porze?

– Chciałem zapytać, jak się czuje pani Terlinden? Całą noc się martwiłem, jak zniosła tę straszną wiadomość – skłamał, zakładając, że troska skłoni lekarkę do serdeczniejszego spojrzenia.

I nie pomylił się. Jej brązowe oczy rozblęły, a na zmęczonej twarzy pojawił się słaby uśmiech.

– Źle się czuje. Utrata syna, i to w taki sposób, to chyba najgorsze, co się może człowiekowi przydarzyć. Do tego jeszcze pożar w oranżerii i zwłoki w piwnicy... każdy by się chyba załamał. – Potrząsnęła ze smutkiem głową. – Poczekałam na jej siostrę, która się nią zajęła.

– Szczerze podziwiam pani oddanie pacjentom i przyjaciołom. To wyjątkowa cecha. –

Bodenstein uśmiechnął się delikatnie. – Niewiele jest takich ludzi.

Komplement chyba zadziałał, bo na chwilę jej twarz pojaśniała, a na ustach wykwitł ten ciepły, matczyzny uśmiech, który wywoływał pragnienie, by w jej ramionach szukać pocieszenia i otuchy.

– Czasem to dla mnie zbyt trudne – westchnęła. – Ale nie potrafię inaczej. Kiedy ktoś cierpi, nie można zostawiać go samego.

Bodenstein trząśł się z zimna, bo poranek był mroźny i rześki. Natychmiast to zauważyła.

– Marznie pan. Wejdźmy może do domu, oczywiście jeśli chce mi pan zadać jeszcze jakieś pytania.

Poprowadziła go przez garaż, schodami, do dużego holu, którego reprezentacyjna bezużyteczność była typowa dla stylu lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

– Czy zastałem pani męża? – zapytał niby przypadkiem i rozejrzał się ciekawie.

– Nie – odparła, po czym zawahała się, zanim dokończyła odpowiedź. – Wyjechał w sprawach służbowych.

Nawet jeśli skłamała, Bodenstein był gotów to zaakceptować, przynajmniej na razie. Z drugiej strony mogła naprawdę nie wiedzieć, co wyprawiał małżonek.

– Muszę z nim porozmawiać. To bardzo pilne – wyjaśnił. – Dowiedzieliśmy się mianowicie, że przed jedenastoma laty miał romans ze Stefanie Schneeberger.

Serdeczny uśmiech zniknął z twarzy Daniela Lauterbach jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Kobieta odwróciła się.

– Wiem – przyznała. – Gregor wyznał mi swój błąd, choć dopiero po tym, jak się okazało, że ta dziewczyna zaginęła. – Najwyraźniej wciąż jeszcze miała problem, by otwarcie mówić o niewierności męża.

– Obawiał się, że ktoś mógł ich zobaczyć w czasie... tête-à-tête w stodole i posądzić go, że ma coś wspólnego ze zniknięciem dziewczyny – dodała rozgoryczona, patrząc ponurym wzrokiem.

Mimo tylu lat upokorzenie wciąż bolało. Bodenstein uświadomił sobie, że sam jest w podobnej sytuacji. Jedenaście lat temu Daniela Lauterbach wybaczyła mężowi romans, lecz do dziś pamiętała o krzywdzie, jakiej doznała.

– Tylko dlaczego nagle zrobiło się to takie ważne? – zapytała zaskoczona.

– Amelie Fröhlich interesowała się tamtymi wydarzeniami i najpewniej natknęła się na coś, co mogło rzucić na nie nowe światło. Jeśli pani mąż o tym wiedział, mógł uznać ją za zagrożenie.

Daniela Lauterbach popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Chyba nie sądzi pan... że mój mąż mógłby mieć coś wspólnego z zaginięciem Amelie?

– Nie, nie jest podejrzany – zapewnił ją Bodenstein. – Ale mimo wszystko musimy z nim jak najszybciej porozmawiać. Zrobił jeszcze coś, za co może odpowiedzieć przed sądem.

– Mogę zapytać, co to takiego?

– Namówił funkcjonariusza policji do kradzieży protokołów przesłuchań z 1997 roku i zniszczenia ich.

Kobieta musiała przeżyć szok, bo kiedy podniosła oczy, była śmiertelnie blada.

– Nie – potrząsnęła zdecydowanie głową. – Nie. Nie wierzę, że to zrobił. Dlaczego...?

– Sam chętnie bym się tego dowiedział. Właśnie dlatego muszę z nim porozmawiać. No dobrze, gdzie w takim razie mogę go znaleźć? Jeśli nie zgłosi się do nas możliwe szybko, będę zmuszony wystawić za nim list gończy. A tego wolałbym oszczędzić osobie piastującej takie stanowisko.

Daniela Lauterbach pokiwała głową i westchnęła głęboko. Mimo szoku w pełni się kontrolowała. Kiedy znów na niego spojrzała, w jej oczach pojawiło się coś nowego: złość? Strach? A może oba uczucia naraz?

– Zadzwoń i przekażę mu wszystko, o czym pan mówił – wyjaśniła, usilnie starając się, by jej słowa brzmiały swobodnie. – To na pewno jakieś nieporozumienie. Jestem o tym przekonana.

– Też tak sędzę. – Bodenstein przyznał jej rację. – Jednak im szybciej je wyjaśnimy, tym lepiej.

*

OD DAWNA JUŻ nie spał tak głęboko i bez koszmarów. Tobiasz przewrócił się na plecy, ziewnął szeroko i usiadł. Minęło kilka chwil, zanim sobie przypomniał, gdzie jest. Na miejsce dotarli poprzedniego dnia, późno wieczorem. Pośród syjącego śniegu Nadja zjechała z autostrady w Interlaken. Kawalek dalej się zatrzymała i założyli łańcuchy. Wspinali się krętą, stromą górską dróżką, coraz wyżej i wyżej. Kiedy w końcu dotarli do celu, był tak zmęczony, że praktycznie nie zwrócił uwagi na wnętrze chatki, do której go zaprowadziła. Nie czuł też głodu – wspiął się zaraz za nią po drabinie na łóżko zajmujące całą antresolę i usnął, ledwie dotknął głową poduszki. Długi, głęboki sen dobrze mu zrobił.

– Nadja?

Brak odpowiedzi. Tobiasz ukląkł i wyjrzał przez małe okienko nad łóżkiem. Zaparło mu dech w piersiach, kiedy dostrzegł błękitne niebo, śnieg i pasmo górskie w tle. W czasach młodości równie rzadko spędzał wakacje w górach, jak nad morzem. Nagle poczuł, że nie wytrzyma, jeśli zaraz nie dotknie śniegu. Zszedł na dół. Chatka była mała, ale przytulna, miała drewniane ściany i sufit, a w kącie stała narożna ława zastawiona śniadaniem. W powietrzu unosiła się woń kawy, a w kominku wesoło trzaskał ogień. Tobiasz się uśmiechnął. Wciągnął dzinsy, sweter, kurtkę i buty, otworzył drzwi i wyskoczył na dwór. Przez chwilę stał w miejscu, oślepiony lejącym się z nieba blaskiem. W milczeniu nabrał pełne płuca idealnie czystego powietrza. Nagle trafiła go w twarz śnieżka.

– Dzień dobry! – Nadja pomachała mu ze śmiechem.

Aktorka stała niedaleko schodków do domu i promieniała jak słońce. Uśmiechnął się i zeskoczył na ziemię. Momentalnie wpadł po kolana w zaspę. Nadja ruszyła w jego stronę. Miała zaczerwienione policzki i w obszytym futrem kołnierzu wyglądała jeszcze piękniej niż zwykle.

– Tu jest niesamowicie! – krzyknął zachwycony.

– Podoba ci się?

– Tak! Takie widoki znam jedynie z telewizji.

Obszedł dookoła chatkę ze skośnym dachem, która przycupnęła sobie na zboczu. Głęboki, świeży śnieg skrzypiał pod jego stopami. Złapała go za rękę.

– Popatrz – powiedziała. – Tam, przed nami, są najsłynniejsze szczyty Alp Berneńskich – Panna, Olbrzym i Mnich. Kocham ten widok!

Potem wskazała na leżącą poniżej dolinę. A na samym dole, tak daleko, że trudno było cokolwiek dojrzeć gołym okiem, stały domy jednorodzinne, jeden obok drugiego. Nieco dalej błyszczało niebieskawo podłużne jezioro.

– Jak wysoko jesteśmy? – zapytał z zainteresowaniem.

– Tysiąc osiemset metrów nad poziomem morza. Są tylko dwa szczyty wyższe od tych, które widzisz.

Uśmiechnęła się, objęła go za szyję, a potem zaczęła całować zimnymi, miękkimi ustami. Przycisnął ją do siebie i odpowiedział na jej pocałunki. Czuł się tak lekko i swobodnie, jakby wszystkie troski ostatnich lat zostały gdzieś w dolinach poniżej.

*

SPRAWA ZAGINIĘCIA Amelie pochłaniała go do tego stopnia, że nie miał czasu myśleć o swojej krzywdzie. I cieszył się z tego. Dzień w dzień od lat stawał twarzą w twarz z ludzką podłością, okrucieństwem i złem, ale po raz pierwszy w życiu dostrzegł, że sam też może stać się jego ofiarą. Wcześniej tego nie widział. Daniela Lauterbach zdawała się wiedzieć o swoim mężu równie mało jak on o Cosimie. Przerazające, że można żyć z kimś przez ćwierć wieku, spać w jednym łóżku, mieć dzieci, a tak naprawdę nie znać tej osoby. Wcześniej często spotykał się z sytuacjami, w których nieprzeczuwająca niczego rodzina przez lata mieszkała pod jednym dachem z mordercami, gwałcicielami czy pedofilami, a kiedy straszna prawda wychodziła na jaw, nie mogli w nią uwierzyć.

Bodenstein minął dom Fröhlichów, tylną bramę na posesję Sartoriusów i zatrzymał się przed domem Terlindenów. Drzwi otworzyła mu siostra Christine – tak przynajmniej pomyślał, choć kobieta w niczym jej nie przypominała. Była wysoka i szczupła, a sposób, w jaki na niego patrzyła, świadczył o ogromnej pewności siebie.

– Tak? – Spojrzała na niego wyczekująco zielonymi oczyma. Bodenstein przedstawił się

i zapytał, czy mógłby zamienić kilka słów z Christine Terlinden.

– Zaraz ją poproszę – odparła nieznajoma. – Przy okazji, jestem Heidi Brückner. Christine jest moją siostrą.

Musiła być przynajmniej dziesięć lat młodsza od żony Claudiusa i, w przeciwieństwie do niej, zachowywała się i wyglądała całkowicie naturalnie. Błyszczące kasztanowe włosy nosiła spięte w kok, a na gładkiej twarzy o wydatnych kościach policzkowych nie miała makijażu. Wpuściła policjanta do środka i zamknęła drzwi.

– Proszę poczekać – powiedziała i zniknęła.

Nie było jej przez dłuższą chwilę, którą Bodenstein poświęcił na oglądanie obrazów na ścianach. Nie ulegało wątpliwości, że autorem wszystkich musiał być Thies. Przypominały mu stylem dzieła w gabinecie Danieli Lauterbach; miały w sobie tyle samo apokaliptycznego mroku: wykrzywione twarze, rozdziawione usta, spętane dłonie i oczy przepełnione strachem i cierpieniem. Naraz usłyszał zbliżające się kroki. Odwrócił się i zobaczył Christine Terlinden, dokładnie taką, jaką zapamiętał z poprzednich spotkań. Starannie ułożone blond włosy, nieobecny uśmiech i twarz bez zmarszczek.

– Proszę przyjąć wyrazy współczucia – przywitał się i podał jej dłoń.

– Dziękuję. To bardzo miłe z pana strony. – Kobieta zdawała się nie mieć mu za złe, że od kilku dni przetrzymuje jej męża w areszcie.

Miał wrażenie, że samobójstwo syna spłynęło po niej jak woda po kaczce, podobnie jak pożar oranżerii i znalezienie w jej ogrodzie zwłok dziewczyny zaginionej jedenaście lat temu. Zadziwiające. Czyżby Christine Terlinden w mistrzowski sposób opanowała sztukę wypierania nieprzyjemnych wiadomości, czy raczej było to wynikiem ogromnej dawki środków uspokajających?

– Dzisiaj rano dowiedzieliśmy się, że Thies zniknął z ośrodka – poinformował ją. – Chciałem zapytać, czy może wrócił do domu albo kontaktował się z panią?

– Nie. – W jej głosie usłyszał niepokój, ale nie zmartwienie.

Dziwne, że nikt jej jeszcze nie dał znać. Bodenstein poprosił, żeby opowiedziała mu więcej o synu i zapytał, czy może obejrzeć jego pokój. Christine zaprowadziła go do sutereny, a Heidi w milczeniu ruszyła za nimi.

Pokój Thiesa był jasny i przyjazny. Ponieważ dom znajdował się na zboczu wzgórza, z ogromnych okien rozciągał się wspaniały widok na wioskę poniżej. Pod ścianami stały regały pełne książek, a na kanapie siedziały szmaciane zwierzątka. Łóżko było pościelone, nic nie walało się po podłodze. Pokój wyglądał, jakby należał do dziesięciolatka, a nie trzydziestoletniego mężczyzny. Do całości nie pasowały jedynie niesamowite obrazy na ścianach. Thies namalował portrety członków rodziny. Dopiero patrząc na nie, można było stwierdzić, jak wielki talent posiadał. Na płótnach uwiecznił bowiem nie tylko twarze, ale w bardzo subtelny sposób pokazał też osobowość poszczególnych osób. Claudius Terlinden na pierwszy rzut oka uśmiechał się przyjaźnie, lecz sposób,

w jaki trzymał głowę, wyraz jego oczu i kolory tła sprawiały, że całość wywoływała wrażenie zagrożenia. Matka na obrazie była różowa i jasna, lecz jednocześnie płytka i bez wyrazu. Obraz bez głębi dla płytkiej kobiety bez osobowości. Niesamowite. Trzecie płótno Bodenstein uznał za autoportret, lecz po chwili przypomniał sobie, że Thies miał przecież brata bliźniaka. Tutaj Thies zastosował zupełnie odmienną technikę, przedstawiając rozmazanego młodego człowieka z niewyraźnymi rysami twarzy i niepewnymi oczyma.

– Jest nieporadny – stwierdziła Christine Terlinden, odpowiadając na pytanie Bodensteina, jak chłopak radził sobie w życiu. – Sam nie dałby sobie rady, nie mówiąc już o tym, że nigdy nie miał pieniędzy. Nie potrafi prowadzić samochodu. Nie wolno mu było robić prawa jazdy ze względu na chorobę. Ale to nawet lepiej, bo nie potrafi oceniać zagrożenia.

– A ludzi? – zapytał policjant.

– Ludzi? Co ma pan na myśli? – Uśmiechnęła się, zbity z tropu.

– Czy umie oceniać ludzi. Czy potrafi odróżnić, kto jest dla niego dobry, a kto nie?

– Hm... chyba nie potrafię panu odpowiedzieć. Thies praktycznie się nie odzywa. I unika kontaktu z obcymi.

– Thies doskonale wie, kto chce dla niego dobrze, a kto nie – wtrąciła się Heidi Brückner. Kobieta stała dotychczas w wejściu do pokoju i milczała. – Nie jest upośledzony umysłowo. Wy tak naprawdę nie wiecie, co mu dolega. – Spojrzała na siostrę.

Bodenstein zaniemówił, a Christine Terlinden nie odpowiedziała. Stała przy oknie i wyglądała na zewnątrz, na szary listopadowy dzień.

– Autyzm – mówiła Heidi dalej – to bardzo pojemny termin. W pewnym momencie przestaliście go wspierać, zastępując terapię potężną dawką środków farmakologicznych, dzięki którym przestał być dla was problemem.

Christine odwróciła się do nich. Uśmiech na jej niewyraźniającej żadnych uczuć twarzy stał się lodowaty.

– Proszę mi wybaczyć – zwróciła się do policjanta. – Muszę wyprowadzić psy. Już wpół do jedenastej. Najwyższy czas.

Wyszła z pokoju. Przez chwilę słychać było jeszcze oddalający się stukot jej obcasów.

– Ucieka w codzienność i szuka zapomnienia w obowiązkach – stwierdziła Heidi Brückner z rezygnacją w głosie. – Zawsze taka była. I już raczej się nie zmieni.

Bodenstein się zamyślił. Skoro sióstr nie łączyła jakaś wielka zażyłość, to dlaczego w ogóle przyjechała?

– Niech pan podejdzie – poprosiła go. – Chcę coś panu pokazać.

Wyszedł za nią z pokoju i po schodach wspiał się z powrotem do holu. Heidi Brückner

zatrzymała się na chwilę, żeby mieć pewność, że jej siostra sobie poszła, a potem szybkim krokiem podeszła do garderoby i wyjęła torebkę, która w niej wisiała.

– Co prawda planowałam zapytać o to zaprzyjaźnionego farmaceutę – wyjaśniła półgłosem – jednak w tych okolicznościach lepszym rozwiązaniem będzie policja.

– A co to właściwie jest? – Bodenstein nie krył zainteresowania.

– Recepta. – Podała mu złożony kawałek papieru. – Tym wszystkim od lat faszerowali Thiesa.

*

PIA SIEDZIAŁA PRZY BIURKU i z ponurą miną pisała raport z przesłuchania Pietscha, Dombrowskiego i Richtera. Była zła, bo nie miała powodu, żeby przedłużyć areszt Terlindenowi. Jego adwokat ponownie złożył wniosek o zwolnienie klienta. Po rozmowie z doktor Engel Pia nie miała innego wyjścia, jak zarządzić odwrót. Nagle zadzwonił telefon.

– Ktoś rozbił tej dziewczynie głowę. Ślady jednoznacznie pokazują, że zrobił to lewarkiem samochodowym – oznajmił Henning, nie zwracając sobie głowy jakimkolwiek powitaniem. – Poza tym rzeczywiście znaleźliśmy obce DNA w pochwie denatki. Ale na dalsze ustalenia będziecie musieli jeszcze trochę poczekać.

– Nic nie szkodzi – odparła Pia. – Co do tego podnośnika. Myślisz, że dacie radę jeszcze raz przebadać ślady na nim?

– Zaraz sprawdzę, nad czym pracuje nasze laboratorium – przerwał na chwilę. Pia...

– Tak?

– Rozmawiałaś może z Miriam?

– Nie. A powinnam?

– Ta cholerna idiotka zadzwoniła do niej wczoraj i oznajmiła, że spodziewa się mojego dziecka.

– No popatrz, co za pech. I co teraz?

– No właśnie, co teraz – jęknął Henning. – Miriam była bardzo spokojna. Zapytała, czy to możliwe. Musiałem się przyznać, na co ona bez słowa wzięła torebkę i wyszła.

Pia powstrzymała się, żeby nie palnąć mu zaraz kazania o wierności i skokach w bok. Z jego głosu wnioskowała, że mógłby tego nie znieść. I choć to nie była już jej sprawa, współczuła byłemu mężowi.

– A nie pomyślałeś, że ta Löblich cię wrabia? – odparła. – Na twoim miejscu sprawdziłabym kilka faktów. Przede wszystkim, czy naprawdę jest w ciąży? A jeśli tak, to czy ktoś inny nie wchodzi w rachubę jako potencjalny ojciec?

– To nie o to chodzi – odparł. – Zupełnie nie o to.

– O co w takim razie?

Henning zwlekał z odpowiedzią.

– Zdradziłem Miriam – powiedział w końcu. – Zawiodłem ją. Jestem cholernym idiotą, bo ona

nigdy mi nie wybaczysz.

*

BODENSTEIN PRZYJRZAŁ SIĘ recepcie wystawionej przez doktor Danielę Lauterbach i przeczytał, jakie leki się na niej znalazły. Ritalin, Droperidol, Fluphenazin, Fentanyl, Lorazepam. W dzisiejszych czasach nawet laik wiedział, że autyzm nie jest chorobą, którą dałoby się leczyć jakimikolwiek środkami farmakologicznymi czy uspokajającymi.

– Tak jest po prostu łatwiej. Trochę chemii zamiast terapii i problemy z głową. – Heidi Brückner mówiła ściszym głosem, jednak nie dało się nie zauważyć, że była bardzo wzburzona. – Moja siostra przez całe życie szła po linii najmniejszego oporu. Kiedy bliźniaki były jeszcze malutkie, wolała jeździć po świecie, niż się nimi zajmować. Thies i Lars doświadczyli w dzieciństwie porzucenia. Byli zanedbywani przez matkę, a niańką była kobieta z zagranicy, która mówiła tylko w jakimś obcym języku. Nie potrafiła zastąpić im matki.

– Co chce pani przez to powiedzieć?

Siostra Christine Terlinden wydeła usta.

– To, że problem z Thiesem został sztucznie stworzony – odparła. – Szybko się okazało, że chłopak może mieć problemy. Był agresywny, zdarzały mu się napady wściekłości i nikogo nie słuchał. Do czwartego czy piątego roku życia nie mówił. Z drugiej strony, nie miał z kim rozmawiać. Rodziców praktycznie w ogóle nie było w domu. Claudius Terlinden i Christine nigdy nawet nie próbowali mu pomóc żadną terapią. Uważali, że chemia załatwi sprawę. Całymi tygodniami trzymali go na silnych środkach uspokajających, po których zmieniał się w nieobecną kukłę. Jednak ledwie je odstawiali, dzieciak wpadał w szal. Załatwili mu szybko miejsce w zamkniętym ośrodku, w którym został na wiele lat. Dramat. Po prostu tragedia. Thies jest wyjątkowo wrażliwy i bardzo uzdolniony, a musiał mieszkać z upośledzonymi!

– Dlaczego nikt nie zareagował? – zapytał Bodenstein.

– Nie miał kto. – W jej głosie pojawiła się nuta sarkazmu. – Thies nigdy nie miał kontaktu z ludźmi z zewnątrz i nie chodził do szkoły. Nikt nie zdawał sobie sprawy, co się z nim dzieje.

– Twierdzi pani, że to nie jest autyzm?

– Nie, tego nie powiedziałam. Ale autyzm to nie jest jednoznacznie zdefiniowana choroba. To zespół różnych zaburzeń, obejmujących całe spektrum przypadków, od ciężkiego upośledzenia umysłowego do zaburzeń wywołanych przez zespół Aspergera, przy którym chorzy mogą prowadzić samodzielne, choć nieco ograniczone życie. Wielu dorosłych autystów potrafi radzić sobie ze swoją przypadłością. – Pokręciła głową. – Thies jest ofiarą egoistycznych rodziców. Lars też, jak się okazało.

– Doprawdy?

– Lars jako dziecko i nastolatek był wyjątkowo nieśmiałym chłopcem. Praktycznie nigdy się nie odzywał. Był też bardzo, bardzo religijny, do tego stopnia, że chciał zostać księdzem – tłumaczyła Heidi rzeczowym tonem. – Thies nie mógł oczywiście przejąć firmy po ojcu, więc Claudius przejął wszystkie swoje oczekiwania i nadzieje na Larsa. Zabronił mu iść na teologię i wysłał do Anglii, żeby tam studiował ekonomię. Lars nigdy nie był szczęśliwy. A dzisiaj nie żyje.

– Dlaczego pani nie reagowała, skoro posiada pani tak pełną wiedzę? – Bodenstein miał wrażenie, że wciąż czegoś nie rozumie.

– Wręcz przeciwnie! Próbowałam. Wiele lat temu. – Wzruszyła ramionami. – Moja siostra była całkowicie zamknięta na argumenty, więc chciałam porozmawiać z Claudiusiem. W 1994 roku, pamiętam dokładnie, bo akurat wróciłam z południowo-wschodniej Azji, gdzie pracowałam jako wolontariuszka. Wiele się tutaj zmieniło. Wilhelm, starszy brat mojego szwagra, zmarł kilka lat wcześniej, Claudius przejął firmę i wprowadzili się tutaj. Chciałam chwilę z nimi pomieszkać i pomóc Christine.

Prychnęła pogardliwie.

– Claudiusowi bardzo się to nie podobało. Nigdy mnie nie lubił, bo nie dałam mu się zastraszyć. Zostałam z nimi dwa tygodnie i obserwowałam ten dramat. Christine zwiedzała wszystkie okoliczne pola golfowe, a opiekę nad bliźniakami zostawiła jakiejś dziewczynie z wioski i doktor Lauterbach. Pewnego dnia strasznie się starłam z Claudiusiem. Christine była na Majorce. Często tam latała. – Heidi Brückner zaśmiała się krótko. – To było dla niej ważniejsze od dzieci. Poszłam sobie na spacer, a do domu wróciłam przez suterene. Nie mogłam uwierzyć własnym oczom: w salonie zastałam mojego szwagra z córką gosposi. Dziewczyna mogła mieć czternaście, najwyżej piętnaście lat...

Przerwała i potrząsnęła głową. Bodenstein uważnie słuchał jej wspomnień. Opowieść Heidi Brückner pokrywała się z wersją przedstawioną przez Claudiusa, z wyjątkiem jednej ważnej sprawy.

– Kiedy weszłam do środka, podskoczył jak oparzony. Zaczęłam na niego krzyczeć. Dziewczyna uciekła, a Claudius stał tak przede mną, z opuszczonymi spodniami i strasznie czerwoną twarzą. Nie mógł się wyłgać. A potem nagle w progu pojawił się Lars. Nigdy w życiu nie zapomnę jego miny i spojrzenia. Jak pewnie potrafi pan sobie wyobrazić, od tego czasu stałam się w domu mojej siostry persona non grata. Christine nigdy nie zebrała się na odwagę, by postawić się mężowi. Nie uwierzyła też w to, co jej przekazałam przez telefon. Powiedziała, że jestem zazdrosna i że kłamię. Dzisiaj spotkałyśmy się po raz pierwszy od czternastu lat. I jeśli mam być szczerą, to długo tu nie zabawię.

Westchnęła smutno.

– Zawsze starałam się ją usprawiedliwiać – ciągnęła po chwili. – Może tylko po to, żeby uciszyć wyrzuty sumienia? W głębi ducha od dawna się spodziewałam, że pewnego dnia dojdzie do tragedii.

No, ale w najgorszych koszmarach nie przypuszczałam, że będzie tak źle.

– Co teraz?

Heidi Brückner w mig zrozumiała, o co Bodenstein zapytał.

– Dziś w końcu dotarło do mnie, że więzy rodzinne nie są wystarczającym powodem, żeby kogoś chronić. Moja siostra scedowała wszystko na Daniełę, jak zawsze zresztą. Więc co mi pozostało?

– Mam wrażenie, że nie przepada pani za doktor Lauterbach? – zapytał policjant.

– Nie, nie przepadam. Wcześniej myślałam, że coś z nią jest nie tak. Ta jej przesadna empatia, troska o wszystkich dookoła... to, jak matkuje swojemu mężowi – miałam wrażenie, że to dziwaczne i nienormalne. Chore.

Heidi Brückner odsunęła z twarzy niesforny kosmyk włosów. Bodenstein dostrzegł na jej palcu obrączkę. Przez ułamek sekundy poczuł się rozczarowany, a potem zdziwił się, skąd taka absurdalna reakcja. Nie znał jej przecież, a po tym spotkaniu pewnie już się nigdy nie zobaczą.

– Całkowicie przestałam ją lubić w chwili, kiedy zobaczyłam górę leków, którymi faszerowała Thiesa – kontynuowała Heidi. – Nie jestem farmaceutką, ale przez jakiś czas interesowałam się przypadkiem Thiesa, bo chciałam mu pomóc. Mnie nie oszuka, że to dla jego dobra.

– Spotkałyście się rano?

– Tak, wpadła, żeby zająć się Christine.

– O której pani przyjechała?

– Wczoraj wieczorem, około wpół do dziesiątej. Po telefonie siostry wszystko rzuciłam, wsiadłam w samochód i ruszyłam w drogę. Z Schotten jedzie się tutaj nie dłużej niż godzinę.

– To znaczy, że doktor Lauterbach nie spędziła tu nocy? – Bodenstein popatrzył na nią zaskoczony.

– Nie. Daniela wpadła przed wpół do ósmej, została na kawie i pojechała. Dlaczego to pana tak dziwi?

Spojrzała na niego zielonymi oczyma, lecz policjant nie odpowiedział. Poszczególne fragmenty informacji same z siebie zaczęły się układać w sensowny wzór. Daniela Lauterbach go okłamała. I zapewne nie po raz pierwszy.

– Proszę, oto mój numer. – Bodenstein wyjął z portfela wizytówkę. – Dziękuję pani za szczerość. Bardzo mi pani pomogła.

– Nie ma za co. – Heidi Brückner skinęła głową i wyciągnęła dłoń. Miała ciepły, mocny uścisk. Bodenstein zawahał się.

– Gdyby pojawiły się jeszcze jakieś pytania... jak mogę się z panią skontaktować?

Poważną twarz kobiety rozjaśnił na ułamek sekundy delikatny uśmiech.

Wyjęła swoją wizytówkę i podała ją policjantowi.

– Długo tutaj raczej nie zabawię – powiedziała. – Kiedy tylko mój szwagier wyjdzie z aresztu,

natychmiast mnie wyrzuci.

*

PO ŚNIADANIU przez kilka godzin spacerowali w głębokim śniegu i podziwiali cudowną panoramę pokrytych białym puchem alpejskich zboczy i szczytów. W pewnym momencie przyszło załamanie pogody – nic nadzwyczajnego w wysokich górach. W ciągu kilku minut ciężkie chmury zasłoniły błękitne niebo i zaczął padać gęsty śnieg. Trzymając się za ręce, wrócili do swojej chatki, a potem spoceni zrzucili z siebie przemoczone ubrania i nadzy wspięli się po drabince na antresolę. Gorące powietrze unosiło się do góry i zbierało pod sufitem. Wtuleni w siebie leżeli na pościeli, słuchając wycia wiatru, który z zewnątrz atakował chatkę i trząsał niezabezpieczonymi okiennicami. Wpatrywali się w siebie. Ich oczy dzieliło ledwie kilka centymetrów. Tobias czuł jej oddech na skórze. Palcami odgarnął włosy z jej twarzy i zamknął oczy, kiedy naga przywarła do niego jeszcze mocniej i przesunęła językiem po jego ciele. Spływał potem, a mięśnie miał napięte do granic wytrzymałości. Z westchnieniem uniósł powieki i dostrzegł jej pełen pożądania wzrok. Poruszała się coraz gwałtowniej, spragniona, a pot z jej twarzy kapał na jego klatkę piersiową. Naraz poczuł wzbierającą falę szczęścia, która z ogromną mocą uniosła go w górę. Miał wrażenie, że ściany się zakołysały, a ziemia zatrzęsała. Przez chwilę leżeli nieruchomo, wyczerpani, ale szczęśliwi, i, dysząc, czekali, aż serca przestaną im walić jak szalone. Tobias dotknął dłonią twarzy Nadji i pocałował ją czule w usta.

– Byłaś cudowna – wyszeptał.

– Ty też. Tak powinno być już zawsze – odparła zaspanym głosem. – Tylko ty i ja.

Musnęła ustami jego ramię, uśmiechnęła się i przytuliła. Tobias okrył ją kołdrą i zamknął oczy.

Tak, tak powinno być już zawsze. Był odprężony i senny.

Nagle ujrzał przed sobą twarz Amelie. Poczuł się, jakby ktoś zdzielił go obuchem w głowę.

W jednym momencie oprzytomniał. Jak mógł leżeć sobie spokojnie w ciepłej pościeli, kiedy ona mogła gdzieś walczyć o życie?

– Co się stało? – wyszeptała Nadja, nie otwierając oczu.

Tobias pomyślał, że w łóżku nie powinno się wspominać o innych kobietach, lecz przecież ona też martwiła się o los zaginionej nastolatki.

– Przypomniałem sobie o Amelie – odparł szczerze. – Co się z nią dzieje? Mam nadzieję, że nie spotkało jej nic złego.

Nie był przygotowany na taką reakcję. Kobieta stężała w jego ramionach, a potem podniosła się i brutalnie go odepchnęła. Jej piękną twarz wykrzywiła wściekłość.

– Nie, po prostu nie wierzę! – wrzasnęła. – Pieprzysz się ze mną, a potem myślisz o innych kobietach? Ja ci nie wystarczam?

Zacisnęła pięści i uderzyła go w klatkę piersiową z siłą, o jaką jej nie podejrzewał. Był zbyt zaskoczony, żeby się bronić. Krztusił się i nie wiedział, jak zareagować.

– Ty parszywy idioto! – Nadja nie przestawała wrzeszczeć, a z oczu szerokim strumieniem ciekły jej łzy. – Dlaczego ciągle myślisz o innych kobietach? Już wcześniej musiałam wysłuchiwać, co wyprawiałeś albo o czym gadałeś z tymi zdzirami! Nigdy nie pomyślałeś, jak bardzo mnie ranisz? A teraz leżysz obok mnie i gadasz o jakiejś... małej dziwce!

*

GĘSTA, WILGOTNA MGŁA przeredziła się i opadła. Kiedy wyjechali z lasu na B8 za Glashütten, powitało ich radosne słońce. Bodenstein opuścił osłonki.

– Lauterbach się pojawi, zobaczysz – powiedział do Pii. – To polityk i bardzo zależy mu na dobrej opinii. Żona na pewno dała mu znać, że go szukamy.

– Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. – Pia nie podzielała optymizmu szefa. – Tak czy inaczej, Claudius Terlinden musi pozostać pod naszym nadzorem.

Telefony na biurkach w K11, prokuraturze i w sądzie były rozgrzane do czerwoności od chwili, kiedy Jörg Richter przyznał, że Laura Wagner żyła, kiedy wrzucali ją do podziemnego zbiornika. Płakała i błagała o litość do chwili, kiedy ciężkie wieko znalazło się na swoim miejscu. Nie ulegało wątpliwości, że sprawę jej zaginięcia i śmierci należało wznowić, a Tobias Sartorius powinien zostać uniewinniony. Jeśli tylko się pojawi. Bo na razie nie było po nim śladu.

Bodenstein skręcił w lewo, przez niewielką wioskę Kröftel w stronę Heftrich. Niedaleko wschodniego wjazdu do miasta znajdowało się gospodarstwo, które dziesięć lat wcześniej kupili rodzice Stefanie Schneeberger. Spora tablica zachęcała do zrobienia zakupów w lokalnym sklepie, w którym sprzedawano jedynie ekologiczne produkty pochodzące z własnej uprawy. Bodenstein zatrzymał się na niewiarygodnie czystym podwórzu. Wyszli i się rozejrzeli. Żaden ślad nie pozostał po skromnej funkcjonalności osiedleńczych gospodarstw, które wyrastały w tych okolicach w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku jak grzyby po deszczu. Wszystko zostało gruntownie przebudowane i rozbudowane – nowy łącznik, w którym znajdował się sklep, nowe dachy, na których rzędy kolektorów i baterii słonecznych praktycznie nie pozostawiły miejsca na dachówki. Na schodach przed drzwiami wygrzewały się dwa koty, korzystając z rzadkich o tej porze roku promieni słońca. Sklep był jeszcze zamknięty, dom także. Nikt nie otwierał. Bodenstein i Pia weszli do jasnej stajni, w której w obszernych boksach ze świeżą słomą stały krowy z cielakami i żwawo przeżuwały. Wspaniały widok i przyjemna odmiana w porównaniu do ciasnych boksów i kratownicowej podłogi, które zazwyczaj widać w stajniach. Z tyłu, na wewnętrznym podwórzu stały dwie ośmio- albo dziewięcioletnie dziewczynki i razem czyściły konia, który z wyraźnym zadowoleniem akceptował ich zabiegi.

– Dzień dobry! – przywitała się Pia. Dziewczynki były podobne do siebie jak dwie krople wody i bez najmniejszych wątpliwości musiały być siostrami zmarłej Stefanie Schneeberger. Te same ciemne włosy i wielkie, brązowe oczy. – Czy zastaliśmy rodziców?

– Mama jest w stajni – odparła jedna z nich i wskazała na długi budynek za pierwszą stajnią. – A tata pracuje traktorem na polu.

– Dziękuję.

Kiedy Pia i Bodenstein weszli do środka, Beate Schneeberger zamiatała przejście między boksami z końmi. Z początku ich nie zauważyła, a obejrzała się dopiero, gdy zwinnie terier jack russel przerwał polowanie na myszy i zaczął szczekać.

– Dzień dobry! – krzyknął Bodenstein i na wszelki wypadek się zatrzymał.

Piesek nie był duży, ale i takiego przeciwnika nie wolno lekceważyć.

– Proszę podejść. – Kobieta uśmiechnęła się przyjaźnie, nie przerywając pracy. – Bobby tylko hałasuje. W czym mogę państwu pomóc?

Bodenstein powiedział, kim są, na co Beate Schneeberger znieruchomiała, a z jej twarzy zniknął uśmiech. Była piękną kobietą, jednak troski i zgryzota odcisnęły piętno na jej symetrycznej, miłej twarzy.

– Chcieliśmy panią powiadomić, że odnaleźliśmy ciało państwa córki – wyjaśnił Bodenstein.

Kobieta popatrzyła na niego wielkimi, ciemnymi oczyma i pokiwała głową. Podobnie jak matka Laury, pani Schneeberger zareagowała spokojnie i z opanowaniem.

– Proszę, może przejdziemy do domu – powiedziała. – Zaraz zadzwonię do męża. Będzie za kilka minut.

Oparła miotłę o drzwi jednego z boksów i wyjęła z kieszeni komórkę.

– Albert – powiedziała. – Mógłbyś przyjechać zaraz do domu? Jest tu policja. Znaleźli Stefanie.

*

AMELIE OBUDZIŁA SIĘ, bo we śnie wydawało się jej, że słyszy cichy szum wody. Bardzo chciało jej się pić. Bardzo. Straszne, męczące pragnienie. Język lepił się do podniebienia, a usta były wyschnięte na wiór. Kilka godzin wcześniej zjedli z Thiesem ostatnie ciastka i wypili ostatnie krople wody. Nie mieli już nic. Amelie czytała, że ludzie ratowali się czasem przed śmiercią z pragnienia, pijąc własny mocz. Wąska szczelina przy oknie była jasna, co oznaczało, że na dworze jest dzień. W ciemności udało jej się dostrzec zarys regału. Thies leżał obok niej, zwinięty w kłębek, i opierał głowę na jej kolanach. Jak się tutaj dostał? Kto ich tu przetrzymywał? A przede wszystkim, gdzie w ogóle byli? Amelie traciła nadzieję. Najchętniej by się rozpłakała, ale nie chciała obudzić Thiesa, mimo że pod ciężarem jego głowy strasznie ścierpły jej nogi. Przesunęła językiem po wyschniętych ustach. A jednak! Znów usłyszała ciche pluskanie i szum. Gdzieś był odkręcony kran. Postanowiła, że

jeśli kiedykolwiek uda jej się stąd wydostać, już nigdy nie będzie marnowała wody. Wcześniej zdarzało się jej wylać pół butelki coli, kiedy napój był bez gazu. Ileż by teraz mogła dać za jeden łyżeczek ciepłej, pozbawionej bąbelków coli!

Przesunęła wzrokiem po pomieszczeniu i spojrzała na drzwi. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, bo zobaczyła, jak ze szpary nad progiem wypływa woda! Podniecona zrzuciła z nóg głowę Thiesa i zaklęła głośno, bo nie była w stanie wstać. Zsunęła się na podłogę i na czworakach ruszyła w stronę kałuży. Niczym pies przywarła twarzą do zimnego betonu i zaczęła zlizywać wilgoć, śmiejąc się jak wariatka. Bóg wysłuchał jej pełnych zwątpienia modlitw! Nie pozwolił jej umrzeć z pragnienia! Spod drzwi wydostawało się coraz więcej wody, która potem, niczym piękny wodospad, spływała z trzech stopni. Amelie przestała się śmiać.

– Dobry Boże, już wystarczy – wyszeptała głośno, ale Bóg jej nie posłuchał.

Woda płynęła dalej, tworząc coraz większą kałużę na betonowej podłodze. Amelie zaczęła trząść się ze strachu. Jeszcze przed chwilą niczego nie pragnęła bardziej niż wody, a teraz jej marzenie się spełniło, lecz w całkowicie inny sposób, niż oczekiwała. Thies się obudził. Usiadł na materacu, przyciągnął kolana do piersi, objął nogi ramionami i kołysał się w tył i w przód. Dziewczyna myślała gorączkowo. Podeszła do regału i potrząsnęła nim. Był co prawda zardzewiały, ale mimo wszystko stabilny. Ktoś, kto zamknął ją i Thiesa w tym więzieniu, musiał wrócić i odkręcić wodę. Pomieszczenie, w którym siedzieli, znajdowało się niżej niż piwnica, w podłodze brakowało odpływu, a maleńkie okienko umieszczono tuż pod sufitem: jeśli woda nie przestanie lecieć, w końcu wypełni ich celę. Potopią się jak szczury! Amelie rozejrzała się, spanikowana. Cholera! Tak długo udało jej się przeżyć, wciąż jeszcze nie zwariowała, nie umarła z głodu ani z pragnienia, a teraz przyjdzie jej się utopić? Złapała Thiesa za ramię i szarpnęła energicznie.

– Wstawaj! – powiedziała ostro. – Dalej, Thies! Pomóż mi, musimy wstawić materac na regał!

Ku jej zaskoczeniu mężczyzna przestał się kołysać i wstał. Razem udało się im unieść ciężki materac i dźwignąć go na górną półkę. Może woda nie zaleje ich do tej wysokości i się uratują. A z każdą godziną rosło prawdopodobieństwo, że ktoś ich wypuści. Ktoś musiał zauważyć lejącą się wodę – sąsiedzi, pracownicy wodociągów albo jeszcze ktoś inny! Amelie wspięła się ostrożnie na półkę, usiadła i podała dłoń Thiesowi. Modliła się w duchu, żeby stary, zardzewiały mebel wytrzymał ich ciężar. Kilka chwil później siedzieli już we dwojkę. Przez ten czas woda pokryła całą podłogę i ciągle z tą samą prędkością wlewała się przez szparę pod drzwiami. Nie pozostało im nic poza czekaniem. Amelie zmieniła ostrożnie pozycję i wyciągnęła się na materacu.

– I to by było na tyle – mruknęła w przybliżeniu wisielczego humoru. – Trzeba uważać, czego sobie życzymy. Jako dziecko chciałam mieć piętrowe łóżko. No to mam.

*

BEATE SCHNEEBERGER zaprowadziła gości do salonu i wskazała im miejsca przy ogromnym stole,

zaraz obok masywnego pieca kaflowego, dzięki któremu w pomieszczeniu było przyjemne ciepło. Z kilku małych pokojów dawnego wiejskiego domu zrobili jedną przestronną salę, pozostawiając tylko w niektórych miejscach belki konstrukcyjne dawnych ścianek działowych. Całość sprawiała nowoczesne wrażenie, jednocześnie urzekając gości przytulnością.

– Wolałabym poczekać na męża – wyjaśniła pani Schneeberger. – Przygotuję w tym czasie herbatę.

Wyszła do kuchni, również częściowo otwartej na salon. Bodenstein i Pia wymienili spojrzenia. W przeciwieństwie do Wagnerów, którzy po zaginięciu córki całkiem się pogubili, rodzice Stefanie musieli najwyraźniej znaleźć sposób, by powrócić do normalnego – i całkiem szczęśliwego – życia. Bliźniaczki, które spotkali na podwórzu, przyszły na świat już po wyprowadzce z Altenhain.

Niecałe pięć minut później do pokoju wszedł wysoki, szczupły mężczyzna o siwych włosach, w kraciastej flanelowej koszuli wsuniętej w robocze spodnie. Albert Schneeberger podał dłoń najpierw Pii, a potem jej partnerowi. Był równie spokojny i opanowany jak żona. Poczekali, aż pani Schneeberger przygotuje napoje, po czym Bodenstein zreferował im ostrożnie szczegóły odnalezienia zwłok. Albert Schneeberger stał za krzesłem, na którym siedziała jego żona, i trzymał dłonie na jej ramionach. Żaloba, którą oboje odczuwali, była wręcz namacalna, ale jednocześnie widać było ulgę, że w końcu wiedzą, co się stało z ich córką.

– Wiecie może, kto to zrobił? – zapytała Beate Schneeberger.

– Nie, na razie nie mamy jeszcze pewności – odparł Bodenstein. – Wiemy jedynie, że sprawcą na pewno nie był Tobias Sartorius.

– Został skazany, mimo że był niewinny?

– Tak. Wszystko na to wskazuje.

Na chwilę zapanowało milczenie. Albert Schneeberger wyglądał w zamyśleniu przez wielkie okno, za którym stały jego córki i pracownicy czyściły konia.

– Nie powinienem był się dać namówić Terlindenowi na przyjazd do Altenhain. Nigdy – oznajmił niespodziewanie. – Mieliśmy mieszkanie we Frankfurcie, ale szukaliśmy czegoś na wsi, bo w dużym mieście Stefanie miała skłonność do wpadania w złe towarzystwo.

– Skąd znał pan Claudiusa Terlindena?

– Na początku znałem tylko jego starszego brata, Wilhelma. Razem studiowaliśmy, a potem zostaliśmy wspólnikami. Dopiero po jego śmierci poznałem Claudiusa. Moja firma była jego dostawcą. Połączyło nas coś, co ja zinterpretowałem jako przyjaźń, choć teraz wiem, że się myliłem. Terlinden wynajął nam dom obok siebie. Swój dom, nawiasem mówiąc – Albert Schneeberger westchnął głęboko i usiadł na krześle koło żony. – Wiedziałem, że bardzo interesuje się moją firmą. Nasze *know-how* i patenty, które posiadaliśmy, idealnie pasowały do jego pomysłu na biznes.

Byliśmy dla niego ważnym partnerem. Wtedy akurat planował wejść na giełdę. W pewnym momencie złożył mi ofertę. Ale nie on jeden. W tamtych czasach Terlinden miał sporo konkurencji.

Przerwał na chwilę.

– A potem zniknęła nasza córka – mówił rzeczowym tonem, jednak nie dało się nie zauważyć, jak trudno mu było przywoływać tamte wydarzenia z pamięci. – Terlinden z żoną bardzo nam współczuli. Prawdziwi przyjaciele, myślałem wtedy. Nie byłem w stanie zajmować się firmą. Na wszelkie sposoby staraliśmy się odnaleźć Stefanie. Angażowaliśmy się w najprzeróżniejsze inicjatywy, występowaliśmy w radiu i telewizji... Terlinden złożył mi kolejną propozycję, a ja się zgodziłem. Interesy zaczęły mnie coraz mniej obchodzić, bo myślałem tylko o Stefanie. Miałem jeszcze nadzieję, że się odnajdzie.

Odchrząknął i spróbował zapanować nad emocjami. Żona, widząc, w jakim jest stanie, położyła dłoń na jego dłoni i delikatnie ścisnęła palce.

– Wynegocjowaliśmy jedynie, że Terlinden nie będzie zmieniał struktury przedsiębiorstwa i nie zwolni stałych pracowników. – Schneeberger mówił dalej dopiero po dłuższej chwili. – A on zrobił dokładnie odwrotnie. Znalazł słaby punkt umowy. Wszedł na giełdę, rozbił moją firmę, sprzedał wszystko, czego nie potrzebował, i zwolnił osiemdziesięciu ludzi ze stutrzydziestoosobowej załogi. Nie mogłem się bronić... to było... przerażające. Ci wszyscy ludzie... dobrze ich przecież znałem... wszyscy poszli na bezrobocie. Gdyby nie tamte wydarzenia... gdybym mógł wtedy normalnie funkcjonować, nie doszłoby do takiej sytuacji.

Przesunął dłonią po twarzy.

– Postanowiliśmy z Beate wyprowadzić się z Altenhain. Nie potrafiliśmy dłużej mieszkać obok tego... człowieka i codziennie patrzeć na jego fałsz. Jak szantażuje ludzi ze wsi i manipuluje nimi, a wszystko pod płaszczykiem szczodrości i dobroci.

– Czy podejrzewałyby pan Terlindena, że zrobił coś pańskiej córce, żeby przejąć państwa firmę? – zapytała Pia.

– Że on Stefanie... zwłoki znaleziono w końcu na terenie jego posiadłości... w sumie... – Głos Schneebergera zadrżał, zacisnął usta. – Prawdę mówiąc, ani moja żona, ani ja nie potrafiliśmy sobie wyobrazić, że za jej zniknięciem stoi Tobias Sartorius. Ale potem prokurator wystąpił z tymi wszystkimi dowodami i zeznaniami... W pewnym momencie sami już nie wiedzieliśmy, w co powinniśmy wierzyć. Z początku podejrzewaliśmy Thiesa, bo chodził za nią jak cień...

Wzruszył bezradnie ramionami.

– Nie wiem, czy Terlinden posunąłby się aż tak daleko – wyjaśnił. – Z drugiej strony, potrafi wykorzystać każdą sytuację na swoją korzyść i będzie to robił bez mrugnięcia okiem. To paskudny spekulant i kłamca pozbawiony sumienia. Idzie naprzód po trupach, dosłownie i w przenośni. I dostaje to, co chce.

ODEZWAŁ SIĘ telefon Bodensteina. Policjant zajął miejsce pasażera i odebrał, nie patrząc na wyświetlacz. Nie spodziewał się usłyszeć Cosimy, więc drgnął na dźwięk jej głosu.

– Musimy porozmawiać – oznajmiła kobieta. – Poważnie i spokojnie.

– Nie mam teraz czasu – odparł Bodenstein. – Prowadzę ważne dochodzenie. Później zadzwonię. Rozłączył się bez słowa pożegnania. Wcześniej nigdy tak się nie zachowywał.

Kiedy wyjechali z doliny, ciepłe, przyjazne słońce zniknęło, a powitała ich zimna, szara mgła.

Milcząc, przecięli Glashütten.

– Co byś zrobiła na moim miejscu? – zapytał Bodenstein.

Pia nie odpowiedziała. Doskonale pamiętała swoje rozczarowanie, kiedy dowiedziała się o romansie byłego męża z Valerie Löblich. A przecież już wtedy od przeszło roku mieszkali osobno. Ale Henning uparcie zaprzeczał – do czasu, aż Pia nakryła ich in flagranti. I gdyby już wcześniej ich małżeństwo nie legło w gruzach, w tamtym momencie zakończyłaby je definitywnie. Na miejscu Bodensteina już nigdy nie zaufałaby Cosimie. Paskudnie go okłamała. Romans to coś zupełnie innego niż skok w bok, który w określonych warunkach można jeszcze wybaczyć.

– Powinieneś z nią porozmawiać – odpowiedziała w końcu. – Macie małe dziecko. A dwudziestu pięciu lat małżeństwa nie przekreśla się ot tak.

– Dzięki za głęboką radę – zakpił Bodenstein. – Naprawdę, nie posiadam się z wdzięczności. A co myślisz tak naprawdę?

– Serio chcesz wiedzieć?

– No pewnie. Inaczej bym w ogóle nie pytał.

Pia nabrała głęboko powietrza.

– Jeśli coś się zniszczyło, to jest zniszczone. Nawet jak posklejać do kupy wszystkie kawałki, nigdy nie uzyskasz takiego efektu jak wcześniej – powiedziała. – To moje prywatne zdanie. Wybacz, jeśli oczekiwałeś czegoś innego.

– Nie, chciałem, żebyś była szczerą. – Pokiwał głową i ku jej zaskoczeniu uśmiechnął się nawet, choć na pewno nie dlatego, że poczuł się szczęśliwy. – Bardzo sobie cenię twoją prawdomówność.

Ponownie rozdzwonił się jego telefon. Tym razem spojrzął na wyświetlacz, żeby nie dać się zaskoczyć.

– Ostermann – mruknął do Pii i odebrał. Przez kilka chwil słuchał w milczeniu, a potem kiwnął głową. – Niech pan wezwie doktor Engel. Powinna być na miejscu, gdy będziemy z nim rozmawiali.

– Tobiasz?

– Nie. – Bodenstein odetchnął głęboko. – Szanowny pan minister wypełził z kryjówki i czeka na nas w towarzystwie adwokata.

ZEBRALI SIĘ pod drzwiami pomieszczenia, do którego na polecenie Bodensteina wprowadzono Gregora Lauterbacha i jego adwokata, i zaczęli omawiać strategię przesłuchania. Szef nie życzył sobie miłej, przyjacielskiej atmosfery; uważał, że Lauterbach powinien natychmiast zdać sobie sprawę ze swojego położenia i nie oczekiwać specjalnego traktowania.

– Co dokładnie pan planuje? – zapytała doktor Engel.

– Postaram się go od razu przycisnąć – odparł Bodenstein. – Nie mamy czasu do stracenia. Amelie zaginęła tydzień temu, więc jeśli chcemy odnaleźć ją żywą, nie możemy bawić się w dżentelmenów.

Nicola Engel skinieniem głowy wyraziła zgodę. Razem weszli do spartańsko urządzonej sali, której jedną ścianę zajmowało wielkie lustro. Przy stole pośrodku pokoju siedzieli minister Gregor Lauterbach i jego reprezentant. Tego ostatniego Pia i Bodenstein poznali już wcześniej i nie mieli o nim zbyt pochlebnego zdania. Doktor Anders bronił jedynie osób ze świecznika, zaplątanych w morderstwa, zabójstwa lub pozbawienia życia. Nie martwił się zbytnio przegranymi procesami, bo kierowało nim pragnienie oglądania własnego nazwiska na pierwszych stronach gazet, i dążył zawsze do doprowadzenia sprawy do ostatniej instancji, czyli przed Federalny Trybunał Sprawiedliwości.

Gregor Lauterbach rozumiał powagę sytuacji i starał się zachowywać przyjaźnie. Błady i przybity wyjaśniał cichym głosem, co wydarzyło się szóstego września 1997 roku. Tamtego wieczoru spotkał się z jedną ze swoich uczennic, Stefanie Schneeberger, w stodole na terenie gospodarstwa Sartoriusów, ale tylko po to, żeby dać jej do zrozumienia, że nie planuje wikłać się w związek. Potem poszedł do domu.

– Następnego dnia dowiedziałem się, że Stefanie i Laura Wagner zaginęły i nikt nie wie, gdzie są – wyjaśniał dalej. – Ktoś do nas zadzwonił i powiedział, że aresztowano chłopaka Stefanie, Tobiasa Sartoriusa, bo policja podejrzewa go o zamordowanie obu dziewczyn. Żona znalazła w naszym śmietniku zakrwawiony lewarek samochodowy. Ja jej wtedy wyznałem, że poprzedniego wieczoru spotkałem się ze Stefanie, żeby z nią porozmawiać, bo przez cały festyn mnie zaczepiała i flirtowała. Oboje wtedy zrozumieliśmy, że Tobias z zemsty podrzucił nam narzędzie, którym zamordował Stefanie. Daniela bardzo nie chciała, żeby ludzie łączyli mnie z tą sprawą. Doradziła, żebym je gdzieś ukrył. Nie mam pojęcia, dlaczego na to przystałem – pewnie była to reakcja spowodowana paniką – ale wziąłem ten lewarek i wrzuciłem do gnojownika w gospodarstwie Sartoriusów.

Bodenstein, Pia i Nicola Engel słuchali jego zeznań i milczeli. Adwokat, doktor Anders, również nic nie mówił. Siedział z ramionami skrzyżowanymi na piersi i zaciskając usta, zdawał się nie śledzić nawet przebiegu rozmowy, bo wpatrywał się w lustro naprzeciwko.

– Ja... byłem przekonany, że Tobias naprawdę zamordował Stefanie – wyjaśniał dalej minister. –

Widział nas wcześniej razem, a potem ona z nim zerwała... uznałem, że wrzucając zakrwawione narzędzie do mojego pojemnika na śmieci, chciał skierować na mnie podejrzenia. Z zemsty.

Bodenstein popatrzył mu prosto w oczy.

– Pan łyże.

– Nie, naprawdę nie kłamię! – Lauterbach przełknął głośno ślinę. Odwrócił się w kierunku adwokata, lecz ten był zbyt zajęty podziwianiem swojego odbicia, żeby to zauważyć.

– Wiemy już na sto procent, że Tobias Sartorius nie miał nic wspólnego ze śmiercią Laury Wagner. – Bodenstein mówił znacznie ostrzej, niż miał w zwyczaju. – Odnaleźliśmy również zmumifikowane zwłoki Stefanie Schneeberger. Kazaliśmy odszukać w magazynie dowodów lewarek. Zapewne uda się zdjąć z niego odciski palców. Co więcej, nasz patolog ustalił, że w pochwie denatki znajdują się ślady obcego DNA. Nasienie. Jeśli się okaże, że DNA pasuje do pana, wpadnie pan po uszy w gówno.

Gregor Lauterbach kołysał się nerwowo na krześle. W końcu oblizał spierzchnięte usta, ale nic nie powiedział.

– Ile lat miała Stefanie? – zapytał Bodenstein.

– Siedemnaście.

– A pan? Ile miał pan wtedy lat?

– Dwadzieścia siedem – wyszeptał minister. Jego dotychczas blade policzki pokryły się czerwienią. Spuścił głowę.

– Czy szóstego września 1997 roku odbył pan stosunek ze Stefanie Schneeberger, czy nie?

Lauterbach zamarł.

– Blefujecie. – Adwokat ministra w końcu odzyskał poczucie rzeczywistości. – Dziewczyna mogła spać z każdym.

– Jak był pan wtedy ubrany? – Bodenstein nie dał się zbić z tropu i ani na chwilę nie spuszczał wzroku z Lauterbacha. Mężczyzna popatrzył zaskoczony i wzruszył ramionami.

– W takim razie przypomnę panu. Ubrany był pan w dżinsy, jasnoniebieską koszulę, pod spodem miał pan zieloną krótką koszulkę, a na nogach jasnobrązowe buty.

– Tylko co to ma do rzeczy? – zapytał adwokat.

– Proszę. – Bodenstein dalej go ignorował. Z teczki z aktami wyjął plik ze zdjęciami prac Thiesa, wybrał jedno i położył przed Lauterbachem, a potem po kolei ułożył pozostałe. – To obrazy namalowane przez Thiesa Terlindena. Chłopak był świadkiem obu morderstw. W ten sposób postanowił nam o nich powiedzieć.

Po czym wskazał palcem jedną z postaci.

– Kto to jest? – zapytał. Lauterbach popatrzył na zdjęcie i znów wzruszył ramionami. – To jest pan, panie ministrze. Całował się pan ze Stefanie Schneeberger przed wejściem do stodoły, a potem

weszliście do środka i uprawialiście seks.

– Nie... – wymamrotał Lauterbach, blady jak śmierć. – Nie, nie, to nie tak! Musicie mi uwierzyć, ale to nie tak!

– Był pan jej nauczycielem – ciągnął dalej niewzruszony Bodenstein. – Stefanie znajdowała się w stosunku zależności od pana. To, co pan zrobił, jest karalne. I zdawał pan sobie z tego sprawę. Zaczął się pan obawiać, żeby komuś o tym nie powiedziała. Nauczyciel, który prześpi się ze swoją niepełnoletnią uczennicą, jest skończony!

Gregor Lauterbach potrząsnął głową.

– Zamordował ją pan, narzędzie zbrodni wyrzucił do gnojownika, a potem uciekł do domu. Tam wyznał pan wszystko żonie, a ona kazała panu trzymać gębę na kłódkę. Miał pan szansę, żeby uniknąć odpowiedzialności. Tym bardziej że policja uznała Tobiasa za sprawcę obu morderstw. Niewinny chłopak został aresztowany i skazany na więzienie. Ale pojawił się jeden poważny problem – ciało Stefanie Schneeberger zniknęło. A to oznaczało, że ktoś widział was razem i to, co się potem stało.

Lauterbach uparcie potrząsał głową.

– Uznaliście oboje, że świadkiem musiał być Thies Terlinden. Żeby nie pisał nikomu ani słowa, pańska żona, lekarka, otumaniała go przez całe lata lekami, jednocześnie szantażując zamknięciem w ośrodku. Udało się. Thies nic nie mówił. Mechanizm działał przez jedenaście lat, do czasu, kiedy Tobias wyszedł z więzienia. Od Andreasa Hassego, znajomego z wydziału K11, dowiedział się pan, że odkurzyliśmy ten przypadek i zajrzeliśmy do akt. Namówił go pan, żeby wykradł protokoły z przesłuchań.

– To nieprawda – wycharczał Lauterbach szeptem.

Jego czoło pokryło się kroplami potu.

– Kłamie pan. – Do rozmowy włączyła się Pia. – Hasse się przyznał, złożył wyjaśnienia i wyleciał z policji. Gdyby tego nie zrobił, pana by tutaj dzisiaj nie było.

– O co wam właściwie chodzi? – wtrącił się adwokat ministra. – Nawet jeśli mój klient rzeczywiście przespał się ze swoją uczennicą, to ta sprawa już się przedawniła.

– Ale morderstwo jeszcze nie.

– Nie zamordowałem Stefanie!

– Dlaczego nakłonił pan Hassego do kradzieży i zniszczenia dokumentów?

– Bo... bo... bo ja... pomyślałem, że tak będzie lepiej. Nie chciałem, żeby znów przy okazji tej sprawy wypłynęło moje nazwisko – przyznał w końcu. Pocił się tak obficie, że krople ściekały mu po twarzy i kapały na stół. – Mógłbym dostać coś do picia?

Nicola Engel wstała bez słowa i wyszła, by po chwili wrócić z butelką wody i szklanką. Postawiła napój przed Lauterbachem i wróciła na swoje miejsce. Mężczyzna odkręcił nakrętkę, nalał

pełną szklanę i wypił wszystko duszkiem.

– Gdzie jest Amelie Fröhlich? – zapytała Pia. – I gdzie jest Thies Terlinden?

– Skąd mam wiedzieć? – odpowiedział pytaniem Gregor Lauterbach.

– Zdawał pan sobie sprawę, że Thies widział pana szóstego września 1997 roku – odparła Pia. –

Poza tym dotarło jakoś do pana, że Amelie interesowała się wydarzeniami sprzed jedenastu lat. Oboje stanowili dla pana poważne zagrożenie. Stąd już bardzo niedaleko do wniosku, że pan ma coś wspólnego z ich zniknięciem. Pan i Claudius Terlinden znajdowaliście się w miejscu, w którym po raz ostatni widziano Amelie. I w tym samym czasie.

Gregor Lauterbach w świetle jarzeniówek wyglądał jak zombie. Twarz ministra błyszczała od potu. Dłońmi nerwowo pocierał uda, aż w końcu adwokat przytrzymał go za ramię i uspokoił.

– Panie ministrze. – Bodenstein wstał, nachylił się i oparł o blat. Groźna nuta w jego głosie przynosiła efekty. – Porównamy pańskie DNA z DNA znalezionym w pochwie Stefanie Schneeberger. Jeśli próbki wykażą zgodność, odpowie pan za wykorzystanie seksualne niepełnoletniej i to niezależnie, czy pański adwokat będzie się powoływał na przedawnienie, czy też nie. Przy takich zarzutach nie wróżę panu długiej kariery na ministerialnym stołku. Co więcej, zrobię wszystko, żeby postawić pana przed sądem. Ma pan na to moje słowo. A co zrobi z panem prasa i telewizja, kiedy się okaże, że z powodu pana milczenia niewinny nastolatek poszedł siedzieć na jedenaście lat do więzienia, to ja chyba nie muszę panu mówić, prawda?

Zamilkł, czekając, aż do Lauterbacha dotrze znaczenie jego słów. Przesłuchiwany trząśł się jak osika. Trudno było powiedzieć, czego bał się bardziej: kary, jaka go nieuchronnie czekała, czy raczej błyskawicznego skazania przez prasę?

– Dzisiaj wieczorem otrzyma pan ode mnie jeszcze jedną szansę – powiedział Bodenstein spokojnie. – Jeśli pomoże nam pan odnaleźć Amelie i Thiesa, postaram się nie informować o wszystkim prokuratury. Proszę to sobie przemyśleć i omówić z adwokatem. A teraz dziesięć minut przerwy.

*

– ŻAŁOSNA ŚWINIA – stwierdziła Pia, z ponurą miną obserwując Lauterbacha przez weneckie lustro. – To był on. Nie mam wątpliwości, że to on zabił Stefanie. I tak samo teraz zajął się Amelie.

Nie mogli słyszeć, o czym rozmawiał minister edukacji ze swoim adwokatem, bo doktor Anders wyegzekwował wyłączenie mikrofonów.

– Razem z Terlindenem. – Bodenstein zmarszczył czoło i upił łyk wody z kubka. – Ale skąd mógł wiedzieć, że Amelie ma jakieś nowe informacje?

– Nie mam pojęcia. – Pia wzruszyła ramionami. – Może Amelie wspomniała Terlindenowi o obrazach syna? Ale nie, to mało prawdopodobne.

– No właśnie, też w to nie wierzę. Brakuje jeszcze jednego elementu. Musiało wydarzyć się coś,

czego Lauterbach się przestraszył.

– Hasse? – odpowiedziała Nicola Engel, która dotychczas trzymała się nieco z tyłu i milczała.

– Nie, on nie mógł mieć pojęcia o obrazach – zaprzeczyła Pia. – Pierwsze informacje dotarły do nas dopiero wtedy, kiedy już ich nie było.

– Hm. W takim razie rzeczywiście brakuje powiązania.

– Zaraz, zaraz. – Bodenstein podniósł wzrok. – A co z Nadją von Bredow? Była przecież przy gwałcie na Laurze Wagner. I jest namalowana na obrazie, na którym Thies umieścił Stefanie z Lauterbachem.

Nicola Engel i Pia popatrzyły na niego zaskoczone.

– Nadją von Bredow mogła być tam przez cały czas, prawda? Nie pojechała z chłopakami na lotnisko. Poza tym wiedziała o obrazach. Tobias sam jej o tym powiedział.

Doktor Engel i Pia jednocześnie zrozumiwały, do czego zmierzał Bodenstein. Czyżby aktorka szantażowała Lauterbacha, bo wiedziała, co zrobił? Mogła go w ten sposób zmusić do działania.

– Wracamy – zarządził Bodenstein, wyrzucając kubek do śmieci. – Tym razem go mamy.

*

POZIOM WODY RÓŚL, centymetr po centymetrze. Pod koniec dnia, w słabnącym świetle wpadającym przez szparę w oknie, Amelie dostrzegła, że woda sięgała trzeciego stopnia. Próby zatkania szczeliny pod drzwiami grubym wełnianym kocem spełzły na niczym – sposób działał tylko do momentu, kiedy ciśnienie wepchnęło materiał do środka. Teraz panowała już ciemność, lecz szum wody nie ustawał. Na próżno usiłowała wyliczyć, kiedy lodowata tafla sięgnie najwyższego regału. Thies leżał obok; czuła, jak miarowo unosi się jego klatka piersiowa. Co pewien czas pokasływał. Jego skóra była rozpalona, jakby miał gorączkę. Wilgoć i piwniczny chłód na pewno mu nie pomagały. Amelie przypomniała sobie, że już od kilku dni nie wyglądał zdrowo. Czy wytrzyma? Thies był tak wrażliwy! Kilka razy próbowała do niego zagadać, ale ani razu nie odpowiedział.

– Thies – szepnęła. Trudno jej było mówić, bo z zimna szczykała zębami. – Thies, odezwij się!

Nic. Wtedy opuściła ją nadzieja. Jej żelazna samodyscyplina, która przez ostatnie dni i noce uchroniła ją przed utratą zmysłów, w jednej chwili się ulotniła. Zaczęła płakać. Nie mieli żadnych szans. Umrze tutaj. Utopi się. Co za żalosna śmierć! Królowny Śnieżki nie odnaleziono, więc dlaczego ona miałaby mieć więcej szczęścia? Ogarnął ją paralizujący strach. Nagle drgnęła. Za plecami wyczuła jakiś ruch, a potem dotknięcie. Thies objął ją ramieniem, położył nogę na jej nogi i mocno przytulił. Ogrzało ją gorąco promieniujące z jego trawionego gorączką ciała.

– Nie płacz, Amelie – szepnął jej na ucho. – Nie płacz. Jestem przy tobie.

*

– JAK SIĘ PAN DOWIEDZIAŁ o istnieniu tych obrazów?

Bodenstein oszczędził sobie długich wstępów. Zdecydowany wzrok skierował na Lauterbacha, usiłując ustalić, w jakim jest stanie. Minister edukacji nie należał do herosów i zżerał go stres. Wyczerpany wydarzeniami ostatnich kilku dni, był na skraju załamania.

– Otrzymywałem mejlem anonimowe listy – odparł Lauterbach i pełnym rezygnacji ruchem dłoni dał znak adwokatowi, że ma milczeć. – Tamtego wieczoru przed jedenastu laty zgubiłem w stodole klucze, a do jednego z listów ktoś załączył ich zdjęcie. Wtedy zrozumiałem, że nie byliśmy sami ze Stefanie.

– Co tam robiliście?

– Oj, przecież już wiecie. – Lauterbach spojrzał Bodensteinowi w oczy, a policjant nie dostrzegł w nich niczego poza przekonaniem, że to niesprawiedliwe. – Stefanie już od dłuższego czasu mnie prowokowała. Non stop. Ja... nie chciałem z nią... nie chciałem się z nią przespać, ale tak bardzo naciskała, że po prostu... nie mogłem inaczej.

Bodenstein milczał. Czekał, aż Lauterbach podejmie wątek i płaczliwym głosem będzie kontynuował.

– Kiedy... zorientowałem się, że zgubiłem klucze, chciałem wrócić na miejsce i ich szukać. Żona by mnie zabiła, bo miałem też klucze do jej gabinetu!

Spojrzał na policjanta, szukając zrozumienia. Bodenstein musiał się pilnować, żeby wzbierające obrzydzenie ukrywać pod maską obojętności.

– Stefanie powiedziała, żebym lepiej sobie poszedł. Chciała sama poszukać zguby i oddać ją przy okazji.

– Posłuchał jej pan?

– Tak. Pojechałem prosto do domu.

Bodenstein nagle zmienił temat i wrócił do poruszonego wcześniej wątku.

– Twierdzi pan, że ktoś przysyłał panu mejle i listy – powiedział. – Co zawierały?

– Ktoś pisał, że Thies wszystko widział. I że policja o niczym się nie dowie, jeśli będę dalej milczał.

– Milczał? Na jaki temat?

Lauterbach wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Czy ma pan jakieś przypuszczenia, kto mógłby być autorem tych listów?

Ponowne wzruszenie ramionami.

– Niech pan nie opowiada bajek! – Bodenstein nachylił się nad stołem. – Milczenie jest naprawdę jednym z najgorszych rozwiązań w pana sytuacji!

– Ale ja nie mam pojęcia, kto to mógł być! – odparł minister edukacji, bezradny i zrezygnowany. Patrząc na jego twarz, policjant miał pewność, że nie udaje. Zdany na samego siebie, w kryzysowej

sytuacji obnażył prawdziwe oblicze – Gregor Lauterbach był słabym człowiekiem, który bez pomocy i wsparcia żony okazał się karłem pozbawionym kręgosłupa. – Przysięgam, że to wszystko, co wiem! Żona mi powiedziała o obrazach, że ponoć istnieją, ale Thies przecież nie napisałby do mnie mejla, bo nie umie obsługiwać komputera! Listu zresztą też nie potrafiłby wysłać!

– Kiedy panu o tym powiedziała?

– Kiedyś. Nie pamiętam już. – Lauterbach potarł dłonią czoło i pokręcił głową.

– Proszę, niech pan spróbuje sobie przypomnieć – naciskał Bodenstein. – Przed zaginięciem Amelie? I czy pańska żona wspomniała, skąd to wie? Kto mógł jej powiedzieć?

– Boże, Boże! Nie wiem! – jęczał Lauterbach. – Nic już nie wiem!

– Proszę się zastanowić! – Bodenstein opadł na oparcie krzesła. – W sobotę wieczorem, w dniu, kiedy dziewczyna zaginęła, był pan z żoną i Terlindenami w Ebony Club we Frankfurcie. Zjedliście kolację. Pańska żona i Christine wróciły do domu około wpół do dziesiątej, a pan został i pojechał z Claudiusem Terlindenem. Coście robili po wyjściu z restauracji?

Gregor Lauterbach myślał nad czymś w napięciu, aż w końcu musiał pojąć, że policja wie znacznie więcej, niż przypuszczał.

– Tak, teraz sobie przypominam. To było chyba w drodze do Frankfurtu, kiedy żona powiedziała mi, że Thies podarował córce sąsiadów jakieś obrazy, na których ponoć miałem być też ja – przyznał w końcu. – Sama dowiedziała się o tym z anonimowego telefonu. Zadzwoiła do niej jakaś kobieta. Nie mieliśmy potem okazji, żeby porozmawiać. Daniela i Christine wyjechały wcześniej, żeby wrócić do domu. Jak zostaliśmy z Claudiusem sami, zapytałem Andreasa Jagielskiego o tę Amelie Fröhlich, bo ponoć była kelnerką w Altenhain, Pod Czarnym Rumakiem. Jagielski zadzwonił zaraz do żony i powiedział, że Amelie akurat pracuje. Wtedy wsiedliśmy w samochód i wróciliśmy do wioski. Zatrzymaliśmy się na parkingu pod kościołem, żeby poczekać, aż dziewczyna wyjdzie po pracy. Ale ona się nie pojawiła.

– Czego od niej chcieliście?

– Tylko zapytać, czy to ona wysłała do mnie anonimowe listy i mejle.

– No i? Wysłała?

– Nie udało mi się jej o to zapytać. Czekaliśmy w samochodzie. Było już po jedenastej, może wpół do dwunastej. Nagle pojawiła się Nathalie. Nadja, znaczy się. Nadja von Bredow, bo tak się teraz nazywa.

Bodenstein potaknął krótko i spojrzał na Pię.

– Obeszła cały parking – mówił dalej minister. – Zaglądała pod krzaki, aż w końcu zatrzymała się przy przystanku autobusowym. Dopiero wtedy zobaczyliśmy, że tam siedzi jakiś mężczyzna. Nadja próbowała go obudzić, ale nie dała rady. W końcu wsiadła w samochód i odjechała. Claudius zadzwonił z komórki do Czarnego Rumaka i zapytał o Amelie, ale pani Jagielski twierdziła, że już

dawno jej nie ma. Wtedy pojechaliśmy do jego biura. Claudius obawiał się, że niedługo może spodziewać się u siebie policji. Przeszukanie byłoby niepożądane, ale spodziewał się, że może do niego dojść, więc chciał przewieźć kilka gorących dokumentów.

– Jakich dokumentów?

Gregor Lauterbach nastroszył się nieco, ale szybko się opanował. Claudius Terlinden przez całe lata zapewniał sobie pozycję rozdawanymi hojną ręką łapówkami. Co prawda zawsze był zamożnym człowiekiem, jednak do prawdziwego bogactwa doszedł pod koniec lat dziewięćdziesiątych, rozwijając firmę i wprowadzając ją na giełdę. Dzięki temu zapewnił sobie duże wpływy zarówno gospodarcze, jak i polityczne. Najlepsze interesy robił z krajami, które obejmowało oficjalne embargo handlowe, w tym z Iranem i Koreą Północną.

– Tamtego wieczoru chciał te dokumenty usunąć – zakończył Lauterbach. Przez chwilę nie chodziło o niego, więc poczuł się trochę pewniej. – Usunąć, ale nie zniszczyć. Dlatego przewieźliśmy je do mojego mieszkania w Idstein.

– Rozumiem.

– Nie mam absolutnie nic wspólnego ze zniknięciem Amelie i Thiesa – zapewnił powtórnie. – I nikogo nie zamordowałem.

– To się dopiero okaże. – Bodenstein zebrał wydrukowane zdjęcia i schował je do akt. – Może pan wrócić do domu. Pozostanie pan jednak pod policyjnym nadzorem. Pana telefon będzie na podsłuchu. Poza tym proszę być zawsze do naszej dyspozycji i informować mnie, kiedy będzie pan wychodził z domu.

Lauterbach potaknął.

– Czy moglibyście nie podawać mojego nazwiska prasie? – zapytał.

– Mimo najszczerzych chęci nie mogę panu tego obiecać. – Bodenstein wyciągnął dłoń. – Proszę o klucze do mieszkania w Idstein.

NIEDZIELA 23 LISTOPADA 2008

Pia miała za sobą nieprzespaną noc. Już jakiś czas była na nogach, kiedy kwadrans po pięć przyszedł sygnał od grupy obserwacyjnej – Nadja von Bredow pojawiła się u siebie w domu we Frankfurcie. Sama.

– Zaraz będę – powiedziała. – Czekajcie na mnie!

Siano, które przyniosła, wrzuciła do boksu nad drzwiami i schowała komórkę. Nie tylko absorbujące śledztwo spędzało jej sen z powiek: jutro o wpół do czwartej miała spotkanie z przedstawicielami wydziału architektury urzędu miasta we Frankfurcie. Jeśli urzędnicy nie wycofają nakazu rozbiórki, ona, Christoph i zwierzaki zostaną bez dachu nad głową.

Christoph intensywnie pracował nad tą sprawą, poświęcając jej kilka ostatnich dni. Wraz z upływem czasu ulatniał się jego początkowy optymizm. Sprzedawca gospodarstwa przemilczał fakt, że grunt, na którym stał dom, nie jest przeznaczony pod zabudowę ze względu na planowaną w tym miejscu linię energetyczną. Ojciec sprzedającego tuż po wojnie postawił tu stodołę, a potem, z biegiem lat, bez żadnych pozwoleń ją rozbudowywał. I przez ponad pół wieku nikt niczego nie zauważył – do momentu, kiedy Pia, nieświadoma sytuacji prawnej, wystąpiła o pozwolenie na rozbudowę.

Policjantka szybko nakarmiła jeszcze drób, po czym zadzwoniła do Bodensteina. Szef nie odbierał, więc napisała do niego SMS-a i wróciła do domu, który nagle wydał jej się dziwnie obcy. Na paluszkach zakradła się do sypialni.

– Musisz jechać? – zapytał Christoph.

– Tak. Obudziłam cię? – włączyła światło.

– Nie. Nie mogę zasnąć – wyjaśnił, przyglądając się jej. – Pół nocy łamałem sobie głowę, co będziemy mogli zrobić, jak nie cofną decyzji.

– Też o tym myślałam. – Pia przysiadła na brzegu łóżka. – Niezależnie od tego, pozwę gnojka, który sprzedał mi gospodarstwo. Łgał i działał w złej wierze!

– Poczekaj, spokojnie! Najpierw będzie trzeba to udowodnić. – Christoph się zamyślił. – Dzisiaj umówiłem się na spotkanie z jednym znajomym, który zna się na takich sprawach. Nie będziemy podejmowali żadnych kroków, dopóki nie usłyszę jego zdania.

Pia westchnęła.

– Tak się cieszę, że cię mam – powiedziała cicho. – Nie wiem, co bym zrobiła, gdybym była sama.

– Wiesz, gdybym nie pojawił się w twoim życiu, pewnie byś nawet nie występowała o pozwolenie na budowę i nic złego by się nie stało. – Christoph uśmiechnął się smutno. – Nie zwieszaj nosa na kwintę, okej? Rób dalej swoje, a ja zajmę się domem. Zgoda?

– Zgoda. – Pia też się uśmiechnęła, po czym nachyliła się i pocałowała Christopha. – Niestety, nie mam pojęcia, o której będę z powrotem.

– Nie przejmuj się. Dzisiaj mam dyżur w zoo.

*

JUŻ Z DALEKA rozpoznał znajomą sylwetkę. Stała w świetle latarni, obok jego samochodu. Jej rude włosy były jedyną barwną plamą pośród szarości i pluchy. Bodenstein zawahał się przez chwilę, po czym zdecydowanym krokiem ruszył w jej stronę. Cosima nie była kobietą, która pozwoliłaby bezkarnie przerywać połączenia, kiedy dzwoniła. Powinien był się liczyć z tym, że prędzej czy później gdzieś go dopadnie. Mimo to nie spodziewał się spotkania akurat teraz. Nie czuł się przygotowany do rozmowy, już na wstępie oddając jej przewagę.

– Czego chcesz? – zapytał oschle. – Nie mam teraz czasu.

– Nie oddzwoniłeś – odparła Cosima. – Musimy porozmawiać.

– Porozmawiać? A skąd nagle taki pośpiech? – Zatrzymał się i spojrzał na jej bladą, ściągniętą twarz. Serce waliło mu dziko i tylko wielkim wysiłkiem woli utrzymywał nerwy na wodzy. – Jakoś przez ostatnie tygodnie ani razu nie naszała cię ochota na rozmowę. Pogadaj sobie z gachem z Rosji, jeśli znajdziecie w ogóle czas na rozmowy.

Z kieszeni wyjął kluczyki do auta, jednak Cosima nie ruszyła się z miejsca przy drzwiach.

– Chciałam ci wyjaśnić... – zaczęła. Bodenstein nie dał jej dokończyć. Przez całą noc niemal nie zmrużył oka i chciał jak najszybciej przerwać to spotkanie, bo zdarzyło się w najgorszych możliwych okolicznościach.

– Nie chcę niczego słuchać – przerwał jej gniewnie. – A teraz wybacz, naprawdę nie mam czasu.

– Oliver, proszę! Uwierz mi, nie chciałam sprawiać ci bólu! – Cosima wyciągnęła dłoń, ale opuściła ją, bo Bodenstein cofnął się szybko. Jej oddech zamieniał się w chmurę pary. – Nie planowałam posunąć się tak daleko...

– Skończ! – krzyknął nagle. – Sprawiałaś mi ból! Taki ból, jakiego nikt nigdy mi nie sprawił! Nie chcę słuchać przeprosin i wyjaśnień, bo niezależnie od tego, co powiesz, nie zmienisz tego, że zniszczyłaś nasze małżeństwo! Nieodwracalnie! Tak! Ty! Zniszczyłaś wszystko!

Cosima milczała.

– Kto wie, ile razy zdradzałaś mnie wcześniej, bo sądząc po profesjonalizmie, z jakim kłamałaś, miałaś już doświadczenie – ciągnął dalej, zaciskając zęby. – Co wyprawiałaś na tych swoich wyjazdach? W ilu łózkach się tarzałaś, podczas gdy głupkowato ufny i wierny mążonek siedział grzecznie w domu i zajmował się dziećmi, czekając na twój powrót? Pewnie nawet się śmiałaś, że tak ci wierzyłem!

Słowa te wydostawały się z jego wnętrza niczym skażona lawa; w końcu mógł dać upust

wzbierającemu rozczarowaniu. Cosima nie zareagowała na jego wybuch. Stała naprzeciwko i z niewzruszoną miną patrzyła mu w oczy.

– Może Sophia też nie jest moim dzieckiem, tylko któregoś z tych kudłatych filmowców, którymi tak chętnie się otaczasz!

Zamilkł, bo zorientował się, jak straszny był ten zarzut. Teraz jednak, kiedy wypowiedział te słowa na głos, było za późno, by je cofnąć.

– Dałbym sobie rękę uciąć za nasze małżeństwo – dodał przytłumionym głosem. – Ale ty mnie okłamałaś i zdradziłaś. Nigdy nie będę ci ufał!

Cosima się wyprostowała.

– Powinam była przewidzieć, że tak zareagujesz – odparła chłodno. – Egocentrycznie i bezkompromisowo. Patrzysz na to tylko przez pryzmat swojego egoizmu.

– A jak miałbym na to patrzeć, co? Z punktu widzenia twojego rosyjskiego kochanka? Czy jeszcze inaczej? – parsknął. – Jeśli chodzi o egoizm, to z tobą nie mam się co równać! Przez dwadzieścia lat ani razu nie zapytałaś mnie o zdanie, tylko wyjeżdżałaś na wielotygodniowe eskapady. Nie lubiłem tego, ale akceptowałem, bo wiedziałem, że twoja praca jest częścią ciebie. Potem zaszłaś w ciążę. Nie zapytałaś mnie nawet, czy chcę jeszcze jednego dziecka, nie! Woląłeś zdecydować sama, a mnie postawiłaś przed faktem dokonanym. Jednocześnie musiałaś przecież zdać sobie sprawę, że z małym dzieckiem nie będziesz mogła włączyć się po świecie. Z nudów nawiązałaś romans – a teraz chcesz mi wmówić, że to ja jestem egoistą? Gdyby to nie było takie smutne, roześmiałbym się na głos!

– Kiedy Lorenz i Rosie byli jeszcze mali, mogłam pracować. Przejmowałeś sporo obowiązków – wyjaśniła Cosima. – Nie przyszłam tu dyskutować. Zdarzyło się. Popełniłam wielki błąd, ale nie będę się teraz przed tobą korzyć, żebyś mi łaskawie wybaczył.

– Po co w takim razie przyszłaś? – Telefon w kieszeni jego płaszcza zaczął wibrować, ale zignorował połączenie.

– Po świętach wyjeżdżam na cztery tygodnie filmować ekspedycję Gawrilowa na Przejście Północne – oznajmiła bez ogródek. – Ty musisz się przez ten czas zająć Sophią.

Bodensteina zamurowało. Spoglądał na żonę i nie wiedział, co powiedzieć, bo poczuł się, jakby go spoliczkowała. Cosima nie przyszła, żeby go przeprosić! O nie, ona już dawno podjęła decyzję o swojej przyszłości; przyszłości, w której najwyraźniej on miał pełnić rolę niańki. Miał wrażenie, że nogi odmawiają mu posłuszeństwa.

– Chyba żartujesz – wyszeptał.

– Bynajmniej. Umowę podpisałam kilka tygodni temu. Zdawałam sobie sprawę, że ten pomysł ci się nie spodoba. – Wzruszyła ramionami. – Wybacz. Bardzo mi przykro, że tak wyszło, naprawdę. Ale przez ostatnie miesiące dużo myślałam. Do końca życia bym żałowała, gdybym nie zrobiła tego filmu...

Cosima mówiła dalej, ale jej słowa już do niego nie docierały. Pojął za to najważniejsze – wewnątrz porzuciła go dawno temu, przekreślając rodzinę i wspólne życie. Nagle stracił pewność, czy kiedykolwiek mógł jej ufać. Zawsze wierzył, że różnice charakterów sprawiają, że ich związek jest wyjątkowy; teraz przyszło otrzeźwienie i świadomość, że po prostu do siebie nigdy nie pasowali. Serce piekło go z bólu.

Robiła właśnie to samo, co tyle razy wcześniej: podejmowała decyzję, nie oglądając się na niego, i kazała mu ją zaakceptować. To ona wskazywała kierunek. Do niej należały pieniądze, za które kupili działkę w Kelkheim i postawili dom. Jego nigdy nie byłoby stać na taki wydatek. Znów sprawiła mu ból, jednak w ten ponury, mglisty listopadowy poranek po raz pierwszy dostrzegł w Cosimie nie piękną, samodzielną i inteligentną małżonkę, z którą szedł przez życie, ale kobietę, która bezwzględnie forsuje swoją wolę i zmusza do realizacji tylko swoich planów. Ależ był głupcem! Jak mógł przez tyle czasu tego nie zauważyć!

Krew uderzyła mu do głowy. Słyszał tylko szum. Cosima skończyła mówić i patrzyła na niego nieporuszona, jakby czekała na odpowiedź. Zamrugał. Jej twarz, samochód, parking... wszystko zaczęło się rozmazywać i zlewać. Odejdzie z innym mężczyzną. Będzie żyła swoim życiem, w którym nie ma dla niego miejsca. Nagle poczuł straszną zazdrość i nienawiść. Zrobił krok w jej kierunku i złapał za nadgarstek. Przestraszona chciała uciec, ale nie mogła się wyrwać, bo trzymał ją jak w imadle. Jej chłodne wyrachowanie ulotniło się w jednej chwili. Wytrzeszczyła oczy i otworzyła usta do krzyku.

*

O WPÓŁ DO SIÓDMEJ Pia zdecydowała, że sami wchodzi do mieszkania Nadji von Bredow. Bodenstein nie odbierał telefonu i nie reagował na SMS-y, które mu wysyłała. Zanim zdążyła nacisnąć dzwonek, otworzyły się drzwi i z apartamentowca wyszedł jakiś mężczyzna. Pia i dwójka policjantów w cywilu, którzy przez całą noc pilnowali mieszkania, weszli do środka.

– Stać! – Nieznajomy zawrócił i pobiegł za nimi. Był podstarzały, lekko posiwiasty i nosił okulary w rogowej oprawce. – Tutaj nie wolno tak sobie wchodzić! Do kogo państwo się wybierają?

– To nie pana interes – odparła oschle Pia.

– Właśnie, że mój! – Mężczyzna stanął między nią a drzwiami do windy, skrzyżował ręce na piersiach i popatrzył z wyższością. – Jestem przewodniczącym wspólnoty mieszkaniowej właścicieli tego budynku. I powtarzam, tutaj nie wolno wchodzić ot tak sobie, z ulicy.

– Policja kryminalna.

– Doprawdy? A ma pani legitymację?

Pia traciła cierpliwość. Wyjęła odznakę i podsunęła ją nieznajomemu pod nos, a potem bez słowa ruszyła w kierunku schodów.

– Ty czekaj na dole – poleciała jednemu z policjantów w cywilu. – A my idziemy na górę.

W chwili kiedy stanęli przed drzwiami do apartamentu na ostatnim piętrze, te otworzyły się, a w progu stanęła Nadja von Bredow. Na jej twarzy pojawił się wyraz strachu i zaskoczenia.

– Przecież mówiłam, żebyście poczekali na dole! – warknęła nieprzyjemnym tonem. – No dobrze, skoro już jesteście, niech pan weźmie walizkę.

– Wyjeżdża pani? – Pia w mig pojęła, że aktorka jej nie poznała i wzięła za taksówkarę. – Przecież dopiero co pani wróciła?

– A co to panią obchodzi? – Kobieta spojrzała ze złością.

– Trochę mnie to obchodzi. – Pia wyjęła odznakę. – Pia Kirchhoff, policja kryminalna.

Nadja von Bredow przyjrzała się jej uważnie i wydeła usta. Miała na sobie ciemnogrnatową marynarkę firmy Wellensteyn z futrzanym kołnierzykiem, dzinsy i botki. Starannie ułożone włosy i wyrazisty makijaż nie mogły zatuszować zmęczenia wyzierającego z zaczerwienionych oczu.

– Przychodzicie bardzo nie w porę. Spieszę się na lotnisko.

– W takim razie proszę przesunąć lot – odparła Pia. – Musimy zadać pani kilka pytań.

– Nie mam teraz czasu! – Poirytowana nacisnęła guzik windy.

– Gdzie pani była? – zapytała Pia.

– Wyjechałam.

– Rozumiem... A gdzie jest Tobias Sartorius?

Nadja von Bredow popatrzyła na policjantkę, a w jej zielonych oczach pojawiło się zaskoczenie.

– Skąd niby mam to wiedzieć? – Jej głos zabrzmiał całkowicie szczerze, lecz w końcu była najlepiej opłacaną aktorką w kraju, a bez talentu byłoby to niemożliwe.

– Stąd, że po pogrzebie Laury Wagner wzięła go pani do samochodu i odjechała w siną dal, zamiast podrzucić, zgodnie z umową, na komisariat.

– Kto tak twierdzi?

– Ojciec Tobiasa. Więc jak będzie?

Kabina windy zatrzymała się na ostatnim piętrze i otworzyły się drzwi. Nadja von Bredow uśmiechnęła się z politowaniem.

– Mam nadzieję, że nie wierzy pani we wszystko, co ten staruszek opowiada. – Spojrzała na drugiego funkcjonariusza. – Policja chroni i pomaga. Byłby pan może tak uprzejmy i pomógł mi z tą walizką?

Mężczyzna nie zastanawiając się długo, sięgnął po bagaż. Wtedy Pia nie wytrzymała.

– Gdzie jest Amelie? Co jej pani zrobiła?

– Ja? – Nadja von Bredow uniosła brwi. – Nic jej nie zrobiłam! Zupełnie nic! Bo i dlaczego miałabym jej cokolwiek robić?

– Dlatego, że Thies Terlinden podarował Amelie obrazy, które jednoznacznie wskazują na to, że nie tylko była pani świadkiem gwałtu na Laurze Wagner, ale również obserwowała pani z ukrycia, jak Gregor Lauterbach uprawia w stodole seks ze Stefanie Schneeberger. A potem zamordowała ją pani lewarkiem samochodowym.

Ku zaskoczeniu Pii Nadja von Bredow wybuchnęła śmiechem.

– O matko, skąd pani wytrzasnęła takie głupoty?

Policjantka z największym trudem powstrzymywała nerwy na wodzy. Najchętniej złapałaby aktorkę za kark i spoliczkowała.

– Jörg, Felix i Michael, pani koledzy, złożyli zeznania – wyjaśniła. – Kiedy kazała im pani pozbyć się Laury, dziewczyna jeszcze żyła. Potem kiedy okazało się, że Amelie może odkryć prawdę, wpadła pani w przerażenie. Dlatego zależało pani, żeby dziewczyna zniknęła.

– O Boże. – Słowa Pii zdawały się nie robić na Nadji najmniejszego wrażenia. – Tak wydumanych pomysłów nie mają nawet nasi najlepsi scenarzyści. Tak dla pani wiadomości: tę dziewczynę, Amelie, widziałam jeden jedyny raz w życiu i nie mam pojęcia, gdzie jest.

– Kłamstwo. W sobotę była pani na parkingu przed Czarnym Rumakiem. Wrzuciła pani jej plecak w krzaki.

– Doprawdy? – Nadja von Bredow ponownie uniosła brwi, jakby miała już dosyć insynuacji. – Kto tak twierdzi?

– Świadkowie.

– Wie pani, jestem zdolną osobą – odparła z kpiną. – Ale nie potrafię jeszcze przebywać w dwóch miejscach naraz. Bo w sobotę byłam w Hamburgu i mam na to świadków.

– Kogo?

– Mogę podać pani nazwiska i numery telefonów.

– Co pani robiła w Hamburgu?

– Pracowałam.

– To nieprawda. Pani menedżer twierdzi, że nie miała pani wtedy zdjęć.

Nadja von Bredow spojrzała na drogi zegarek i wykrzywiła usta, niezadowolona, że musi marnować czas na takie głupoty.

– Byłam w Hamburgu i z moim kolegą, Torstenem Gottwaldem, prowadziłam uroczystą galę, na której było około czterystu gości. Całość nagrywała ogólnokrajowa telewizja. Co prawda nie potrafiłabym podać pani telefonów do wszystkich obecnych na sali, ale bez problemu skontaktuję panią z reżyserem, Torstenem i jeszcze kilkoma osobami zaangażowanymi w organizację imprezy. Czy to wam wystarczy jako dowód, że nie mogłam w tym samym czasie wałęsać się po jakimś parkingu w Altenhain?

– Może pani oszczędzić sobie sarkazmu – warknęła Pia. – Proszę wskazać walizkę, którą kolega z przyjemnością zanieśie do naszego samochodu.

– No proszę, tego się nie spodziewałam. Policja w roli taksówki. Wspaniale.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – W głosie policjantki nie było nic poza chłodem. – Zawieziemy panią pod samą celę.

– Pani chyba sobie żarty stroi! – Do Nadji von Bredow zaczynało docierać, że tym razem łatwo się nie wywinie. Między starannie wyregulowanymi brwiami pojawiła się głęboka zmarszczka. – Mam bardzo ważne spotkanie w Hamburgu.

– Nie, teraz ma pani ważniejsze spotkanie z nami. Jest pani aresztowana.

– Pod jakim zarzutem, jeśli mogę zapytać?

– Jest pani podejrzana o podżeganie do zabójstwa koleżanki z klasy, Laury Wagner. – Pia wydeła pogardliwie usta. – Na pewno słyszała pani ten zwrot na planie swojego serialu, prawda? To się nazywa współudział w morderstwie.

*

PIA ZAPAKOWAŁA NADJĘ VON BREDOW na tylne siedzenie samochodu zespołu obserwacyjnego i kazała ją odwieźć do Hofheim, po czym wyjęła komórkę i jeszcze raz spróbowała połączyć się z Bodensteinem. O dziwo odebrał.

– Gdzie ty się podziewasz? – zapytała poirytowana. Siedziała już za kierownicą i przyciskając ramieniem telefon do ucha, usiłowała zapiąć pasy. – Od półtorej godziny usiłuję się do ciebie dodzwonić! Jeśli chciałeś jechać do Frankfurtu, to możesz wziąć na wstrzymanie. Aresztowałam już Nadję von Bredow i wysłałam na komisariat.

Bodenstein odpowiedział coś, ale mówił tak niewyraźnie, że nie zrozumiała ani słowa.

– Nic nie słyszę! – warknęła. – Co się z tobą dzieje?!

– ... miałem wypadek... czekam.. pomoc drogowa... zjazd na targi... stacja benzynowa...

– Jeszcze to! Nigdzie się stamtąd nie ruszaj! Już do ciebie jadę!

Zakłęła, rozłączyła się i ruszyła. Miała poczucie, że została sama i to akurat w momencie, kiedy nie mogła pozwolić sobie nawet na najmniejszy błąd. Jedno pozornie niewielkie przeoczenie i całe śledztwo na marne! Przyspieszyła. W sobotni poranek ulice miasta były wymarłe. Na odcinek z dzielnicy Gutleutviertel do Dworca Głównego, a potem w kierunku targów, który w normalny dzień pokonywała w pół godziny, dziś wystarczyło ledwie dziesięć minut. W radiu puszczała piosenkę Amy MacDonald, która z początku nawet jej się podobała. Niestety, prowadzący grali ją raz za razem, aż w końcu zaczęła jej działać na nerwy. Zbliżała się ósma, kiedy na przeciwnym pasie dostrzegła migające żółte światła pomocy drogowej. Pracownicy holownika pakowali na platformę powykręcane pozostałości bmw Bodensteina. Zjechała pierwszym możliwym zjazdem, zawróciła

kawałek dalej i po kilku minutach zatrzymała się przed holownikiem i radiowozem. Poblądły szef siedział na ławce, opierał łokcie na kolanach i wpatrywał się pustym wzrokiem w dal.

– Co się stało? – Pia podeszła do umundurowanego funkcjonariusza i się przedstawiła. Kątem oka obserwowała Bodensteina.

– Z tego, co udało nam się ustalić, usiłował wyminąć jakieś zwierzę, które wskoczyło na jezdnię – odparł policjant. – Samochód już tylko na złom, ale na szczęście kierowcy nic się nie stało. W każdym razie nie musi jechać do szpitala.

– Dziękuję. Ja się nim już zajmę.

Odwróciła się i rozejrzała. Pomoc drogowa akurat odjeżdżała, ale Bodenstein nie zwracał na to uwagi.

– Cześć – przywitała się, stając krok przed nim. Co powinna mu powiedzieć? Na pewno nie będzie chciał jechać do domu, niezależnie od tego, które miejsce określał teraz tym mianem. Na domiar złego, cały czas był potrzebny przy śledztwie. Bodenstein westchnął. Na jego twarzy malowało się zagubienie.

– Wyjeżdża z nim na cały miesiąc na jakąś wyprawę. Zaraz po świętach – powiedział głucho. – Praca jest dla niej ważniejsza niż ja czy nawet dzieci. Umowę podpisała jeszcze we wrześniu.

Pia się zawahała. Zwykłe słowa pocieszenia w rodzaju „jakoś to będzie” czy „głowa do góry!” byłyby tutaj całkowicie nie na miejscu. Na komisariacie czekała na nich Nadja von Bredow, ale nie tylko ona – bo w sali odpraw siedzieli wszyscy funkcjonariusze policji kryminalnej, jakich udało się ściągnąć.

– Oliver, musimy jechać. – Mimo że najchętniej złapałaby go za ramię i zaciągnęła siłą do samochodu, zmusiła się do zachowania cierpliwości. – Nie możemy tutaj siedzieć w nieskończoność.

Bodenstein zamknął oczy i palcami zaczął masować nasadę nosa.

– Wiesz co? Od dwudziestu sześciu lat zajmuję się morderstwami i zabójstwami – powiedział zachrypniętym głosem. – Ale nigdy nie potrafiłem zrozumieć, co może pchnąć człowieka do odebrania życia innemu człowiekowi. Dzisiaj rano po raz pierwszy pojąłem, co to jest. Udusiłbym ją, gdyby w porę nie pojawili się mój ojciec i brat.

Objął się rękoma, jakby było mu zimno, i podniósł przekrwione oczy.

– Nigdy w życiu nie czułem się tak cholernie podle.

*

SALA ODPRAW pomieściła niemal wszystkich funkcjonariuszy, których Ostermannowi udało się ściągnąć przez komendę główną. Bodenstein nie doszedł jeszcze do siebie na tyle, żeby prowadzić odprawę, więc Pia przejęła pałeczkę. Na wstępie poprosiła o ciszę, przedstawiła w skrócie stan dochodzenia, wymieniła i omówiła ustalone fakty i na koniec przypomniała, że najważniejszym zadaniem, jakie przed nimi stoi, jest odnalezienie Amelie Fröhlich i Thiesa Terlindena. Behnke był

nieobecny, więc nikt nie kwestionował jej prawa do kierowania zespołem. Wszyscy uważnie słuchali i nie przerywali. Pia spojrzała na Bodensteina, który siedział z tyłu sali obok doktor Engel i opierał się o ścianę. Jeszcze na stacji benzynowej kupiła mu kubek kawy i wlała do niej małąkę koniaku. Wypił bez słowa protestu i wydawało się, że to trochę pomogło. Nie miała jednak wątpliwości, że wciąż jest w szoku.

– Mamy trzech głównych podejrzanych. Są to Gregor Lauterbach, Claudius Terlinden i Nadja von Bredow – ciągnęła dalej Pia. Podeszła do ekranu, na którym Ostermann wyświetlił mapę Altenhain i okolic. – Ta trójka miała najwięcej do stracenia, gdyby wyszło na jaw, co naprawdę wydarzyło się jedenaście lat temu. Terlinden i Lauterbach w zeszłą sobotę wracali do wsi z tego kierunku. – Wskazała palcem na mapę. – Wcześniej byli w Idstein. Przeszukaliśmy już mieszkanie, które odwiedzili. Teraz koncentrujemy się na karczmie Pod Czarnym Rumakiem. Menedżer i jego żona są bardzo związani z Terlindenem, więc nie wykluczam, że mogli zgodzić się na małą przysługę. Możliwe, że Amelie w ogóle nie opuściła budynku. Poza tym należy jeszcze raz przepytąć wszystkich mieszkańców okolic parkingu. Kai, masz już nakazy?

Ostermann potaknął.

– Świetnie. Jörg Richter, Felix Pietsch i Michael Dombrowski trafią zaraz do aresztu na komisariacie. Kathrin, weź kogoś z prewencji i załatw to, proszę. Dwa dwuosobowe zespoły jednocześnie pojedą aresztować Claudiusa Terlindena i Gregora Lauterbacha. Nakazy mamy już wystawione i zatwierdzone.

– Kto jedzie do Lauterbachów, a kto do Terlindenów? – zapytał jeden z policjantów.

– Lauterbachem zajmą się nadkomisarz Bodenstein i pani nadinspektor Engel – odparła Pia. – Ja wezmę Terlindena.

– Z kim?

Dobre pytanie. Behnke i Hasse już tu nie pracowali. Pia przesunęła wzrokiem po twarzach zebranych i błyskawicznie podjęła decyzję.

– Sven, pojedziesz ze mną.

Wskazany przez nią policjant nie spodziewał się takiego wyróżnienia. Zaskoczony uniósł wzrok i wskazał palcem na siebie, jakby chciał się upewnić. Pia skinęła głową.

– Jakieś pytania?

Nie było żadnych. Odprawa została zakończona i funkcjonariusze rozeszli się pośród szmeru rozmów i stukania odsuwanych krzeseł. Pia precyzyjnie się do Bodensteina i doktor Engel.

– Nie ma pani nic przeciwko, że przydzieliłam panią do realizacji?

– Nie, oczywiście, że nie. – Kobieta skinęła głową, a potem poprosiła ją na stronę.

– Dlaczego zdecydowała się pani na Svena Jansena?

– Bez specjalnej przyczyny. – Pia wzruszyła ramionami. – Słyszałam kilka razy, jak chwalił go szef, to wszystko.

Nicola Engel skinęła głową. W innych okolicznościach nieprzeniknione spojrzenie szefowej skłoniłoby ją do zastanowienia się nad słusnością dokonanego wyboru, lecz teraz nie było już na to czasu. Komisarz Sven Jansen czekał obok. Schodząc do samochodów, Pia przedstawiła pokrótce strategię przesłuchań, jaką zaplanowała, i nakreśliła swoje oczekiwania co do wyników, których się spodziewała. Na parkingu rozeszli się do swoich samochodów, ale wcześniej Bodenstein złapał ją za łokieć i przytrzymał.

– Świetna robota – powiedział jedynie. – I dzięki.

*

BODENSTEIN I NICOLA ENGEL siedzieli w milczeniu w samochodzie i czekali na telefon od Pii, że dotarła z Jansenem przed dom Terlindenów. Dopiero po potwierdzeniu gotowości wysiedli i zadzwonili do drzwi. Pia uczyniła to samo, w tej samej chwili. W progu stanął Gregor Lauterbach. Miał na sobie szlafrok z miękkiej tkaniny frotté, z logo znanej sieci hoteli na piersi.

– Co znowu? – zapytał i popatrzył na nich zmęczonym wzrokiem. – Przecież już wszystko powiedziałem.

– Lubimy zadawać te same pytania po kilka razy – odparł grzecznie Bodenstein. – Czy zastaliśmy pana żonę?

– Nie. Jest na konferencji w Monachium. Dlaczego pan o nią pyta?

– Tak tylko, bez powodu.

Nicola Engel trzymała przy uchu telefon. W pewnym momencie skinęła głową. Pia i Sven weszli do holu willi Terlindenów. Zgodnie z planem Bodenstein miał zadać ministrowi edukacji pierwsze pytanie.

– Chciałbym się jeszcze czegoś dowiedzieć – zaczął – o tym wieczorze, kiedy czekaliście na Amelie przed Czarnym Rumakiem.

Lauterbach skinął niepewnie głową i spojrzał na Nicolę Engel. Wydawał się niezadowolony z faktu, że kobieta rozmawia przez telefon.

– Twierdzi pan, że widział Nadję von Bredow.

Mężczyzna potwierdził skinieniem głowy.

– Jest pan pewien?

– Tak, jak najbardziej.

– Po czym ją pan poznał?

– Ja... właściwie to nie wiem. Znam ją, to ją poznałem.

Przełknął nerwowo, widząc jak Nicola podaje Bodensteinowi aparat. Policjant spojrzał na SMS-

a przesłanego kilka sekund wcześniej przez Svena. Claudius Terlinden – w przeciwieństwie do Gregora Lauterbacha – widział tamtego wieczoru kilka różnych osób, ale nikogo konkretnego. Goście karczmy wchodzili i wychodzili z lokalu i to wszystko. Poza tym ktoś siedział na przystanku autobusowym, ale nie poznał, kto to był.

– Cóż. – Bodenstein westchnął. – Powinniście na przyszłość staranniejsze ustalać wersje do przesłuchań. – Pokiwał głową. – W przeciwieństwie do pana Claudius Terlinden nie widział wtedy nikogo konkretnego.

Lauterbach zrobił się czerwony jak cegła. Przez chwilę się jąkał, jakby nie wiedząc, co powiedzieć, ale w końcu zapewnił ponownie, że widział Nadję von Bredow i że może zeznać to pod przysięgą.

– Tyle że ona była tamtego wieczoru w Hamburgu – uciął jego słowotok Bodenstein. Gregor Lauterbach musiał mieć coś wspólnego z zaginięciem Amelie Fröhlich, a przynajmniej były podstawy, by taki wniosek wysnuć. Lecz w tym momencie znów opanowały go wątpliwości. A jeśli Nadja von Bredow skłamała? Może działali w zмовie i razem usunęli potencjalne zagrożenie? Albo skłamał Claudius Terlinden... Myśli te odbijały się echem w jego głowie, aż nagle, zupełnie nieoczekiwanie, poczuł pewność, że ominęli coś niesłychanie ważnego – jeśli nie decydującego. Spojrzał na doktor Engel. Przełożona uniosła brwi. Nie wiedziała, o co mu chodzi, ale wyczuła, że coś wybiło go z rytmu, więc teraz ona zaczęła zadawać pytania.

– Proszę nie kłamać – powiedziała lodowato. – Dlaczego pomyślał pan, że to akurat Nadja von Bredow? Co pana przekonało?

– Bez adwokata nie powiem ani słowa więcej. – Lauterbach był wykończony nerwowo. Na przemian robił się błydy i czerwony i widać było, że lada chwila może się załamać.

– Ma pan do tego prawo. – Doktor Nicola Engel potaknęła. – Niech go pan wezwie bezpośrednio do Hofheim, bo jest pan aresztowany.

– To niedorzeczne! Nie możecie mnie tak po prostu aresztować! – zaprotestował Lauterbach. – Chroni mnie immunitet!

Odezwał się telefon Bodensteina. Dzwoniła Kathrin Fachinger. Jej głos brzmiał, jakby była na krawędzi wybuchu hysterii.

– ... nie wiem, co robić! On nagle wyciągnął broń i strzelił sobie w głowę! Cholera! Cholera jasna! Jasna cholera! To jakiś dom wariatów!

– Kathrin! Uspokój się! – Bodenstein odwrócił się, żeby nie przeszkadzać Nicoli Engel, która akurat pokazywała Gregorowi Lauterbachowi nakaz aresztowania. – Gdzie pani jest?

W tle słychać było krzyki i straszny rozgardiasz.

– Pojechaliśmy aresztować Jörga Richtera. – Kathrin drżał głos. Sytuacja ją wyraźnie przerosła, a co gorsza, zamieszanie eskalowało. – Był u swoich rodziców. Pokazaliśmy nakaz aresztowania, na

co jego ojciec bez ostrzeżenia podszedł do szuflady, wyjął z niej pistolet, przystawił sobie do głowy i strzelił! A teraz broń trzyma jego matka i nie pozwala aresztować syna! Co mam robić?

Panika w głowie młodej policjantki obudziła Bodensteina z dziwnego letargu, który spowalniał działanie jego mózgu. I nagle znów był sobą.

– Proszę nic nie robić – polecił. – Za kilka minut jesteśmy u pani.

*

GŁÓWNĄ ULICĘ w Altenhain przecinała policyjna blokada. Przed sklepem Richterów stały dwa wozy pogotowia z włączonymi kogutami i kilka radiowozów. Przy policyjnych barierkach tłoczyła się grupka gapiów. Bodenstein znalazł Kathrin Fachinger na podwórzu. Siedziała na schodkach prowadzących do tylnego wejścia do sklepu. Była bardzo blada i nie mogła się ruszyć. Położył jej dłoń na ramieniu i zapytał, czy nie jest ranna. W domu panował nieopisany chaos. Lekarze pogotowia i ratownicy opatrywali Lutza Richtera, który leżał w kałuży krwi na podłodze w korytarzu i nie dawał znaku życia. Inny lekarz zajmował się jego żoną.

– Co tu się stało? – zapytał Bodenstein. – I gdzie jest broń?

– Tutaj. – Umundurowany policjant podał mu plastikowy woreczek z zabezpieczonym pistoletem.

– Broń hukowa. Poszkodowany żyje, a jego żona jest w szoku.

– Gdzie jest Jörg Richter?

– W drodze do Hofheim.

Bodenstein się rozejrzył. Przez ozdobne szybki w drzwiach widział po drugiej stronie rozmazane plamy białego i pomarańczowego koloru, które składały się na mundur sanitariusza. Wszedł do środka i na moment zaniemówił. Widok pokoju, w którym się znalazł, zaparł mu dech w piersiach. Pomieszczenie było zastawione od podłogi po sam sufit: na ścianach wisiały trofea łowieckie i kolekcja broni – szabli, dawnej broni palnej, hełmów i pistoletów – na szafeczkach, otwartym regale, na stoliku przy kanapie, kilku innych stolikach, konsolkach i w końcu na podłodze piętrzyły się cynowe elementy zastawy stołowej, baniaki na wino i tyle różnych rupieci, że nie wiadomo było, na czym zatrzymać wzrok. W miękkim pluszowym fotelu siedziała ze zboląłą miną Margot Richter z podłączoną do ramienia kroplówką. Obok niej stał sanitariusz i trzymał w dłoni zbiorniczek z płynem.

– Można z nią porozmawiać? – zapytał Bodenstein.

Lekarz potaknął.

– Dzień dobry. – Bodenstein przykucnął obok kobiety, co nie było łatwym zadaniem, biorąc pod uwagę ilość śmieci na podłodze. – Co tu się właściwie wydarzyło? Dlaczego pani mąż to zrobił?

– Nie możecie aresztować syna – wymamrotała kobieta. Wydawało się, że jej drobne ciało opuściła cała energia i złość, a oczy zapadły się jeszcze głębiej. – On nic nie zrobił. Nic!

– W takim razie kto?

– Wszystkiemu winien jest mąż. – Jej wzrok błędził po pokoju. Przez chwilę patrzyła na Bodensteina, po czym odwróciła głowę. – Jörg chciał wyciągnąć ją ze zbiornika, ale Lutz powiedział, że nie, bo lepiej będzie tak, jak jest. Potem tam pojechał, przycisnął wieko jakąś betonową płytą i zasypał ziemią.

– Dlaczego to zrobił?

– Żeby w końcu zapanował spokój. Laura zniszczyłaby życie naszym chłopcom. A przecież nic się tak naprawdę nie stało. To była tylko zabawa.

Bodenstein nie wierzył własnym uszom.

– Ta mała zdzira chciała pójść na policję, żeby się zemścić. A sama była sobie winna. Przez cały wieczór ich prowokowała – wyjaśniła, a potem niespodziewanie wróciła do terażniejszości. – Wszystko było w porządku, ale Jörg nie mógł trzymać języka za zębami i opowiadał, co się wtedy wydarzyło. Głupek!

– Nie, nie głupek. Ma po prostu sumienie – odparł Bodenstein oschle i wstał. W jednej chwili przestał starszycie współczuć. – I nic nie było w porządku. Wręcz przeciwnie! To, co zrobił pani syn, to nie wykroczenie. Gwałt i współudział w morderstwie należą do najpoważniejszych przewinień!

– Phi! – Margot Richter machnęła lekceważąco ręką i potrząsnęła głową. – Nikt już nie gadał o tej starej historii – wymamrotała gorzko. – Potem niespodziewanie zaczęło im odbijać, bo do wsi wrócił Tobias. A i tak nic by się nie wydało, gdyby tylko trzymali mordy na kłódkę! Mięczaki!

*

NADJA VON BREDOW wysłuchiwała Pii, która poinformowała, że potwierdziła jej alibi na sobotni wieczór i że wszystko jest w porządku. Aktorka z obojętnym wyrazem twarzy kiwnęła głową.

– Bardzo dobrze. – Spojrzała na zegar. – W takim razie mogę chyba już iść.

– Nie, jeszcze nie. – Pia potrząsnęła głową. – Mamy jeszcze parę pytań.

– No to dalej. Słucham. – Nadja spojrzała na policjantkę znudzonym wzrokiem, zupełnie jakby musiała się powstrzymać, żeby nie ziewać. Nie przejawiała najmniejszych oznak zdenerwowania, jednak Pia nie potrafiła oprzeć się wrażeniu, że gra przygotowaną wcześniej rolę. Jaka była prawdziwa Nathalie, dotychczas starannie ukryta za maską pięknej i opanowanej aktorki Nadji von Bredow? I czy w ogóle coś z niej jeszcze zostało?

– Dlaczego namówiła pani Jörga Richtera, żeby zaprosił Tobiasa na wspólny wieczór przy alkoholu? Po co miał się starać, żeby jak najdłużej przetrzymać go w towarzystwie?

– Martwiłam się o niego – odparła Nadja. – Tobias szczególnie przejął się napadem i pobiciem, mimo że dopadli go tuż obok domu. Zależało mi, żeby był bezpieczny.

– Doprawdy? – Pia otworzyła teczkę z aktami, którą przyniosła ze sobą na przesłuchanie,

i wyszukała między kartkami tłumaczenie, którego dokonał Ostermann, rozszyfrowując notatki Amelie. – Chce pani wiedzieć, co Amelie zapisała w ostatnim wpisie w swoim dzienniku?

– Nieważne, czy chcę, czy nie, bo i tak mi to pani zaraz przeczyta. – Nadja wywróciła oczyma i założyła nogę na nogę.

– Zgadza się. – Pia się uśmiechnęła. – *...ta blondyna dziwacznie się zachowuje w obecności Tobiasa. Rzuciła się na niego jak wariatka. A jak na mnie patrzyła! Z zazdrością, jakby chciała mnie tam zezreć. Thies wpada w panikę, ilekroć wspomnę o Nadji. Coś z nią jest nie tak...*

Pia uniosła wzrok.

– Nie była pani zadowolona, że Tobias jest z nią tak blisko, prawda? – stwierdziła. – Wykorzystała pani Jörga Richtera, żeby zajął Tobiasa, a sama zadbała, żeby Amelie zniknęła.

– Bzdura! – Z twarzy Nadji zniknął obojętny uśmieszek. Jej oczy miały błyskawice. Pia przypomniała sobie, jak Jörg powiedział, że już jako nastolatka miała w sobie coś, co napędzało innym stracha. I określił ją jako osobę pozbawioną skrupułów.

– Zatem była pani zazdrosna. – Pia знаła treść notatek w dzienniku Amelie. – Może Tobias wspomniał pani, że Amelie bywała u niego w domu? To wzbudziło w pani strach, że między nimi może się coś zawiązać... Każdy chyba już zauważył, że Amelie wygląda kropka w kropkę jak Stefanie Schneeberger. A Stefanie była jego największą miłością.

Nadja von Bredow nachyliła się nad stołem.

– Co pani może wiedzieć o wielkiej miłości? – zapytała dramatycznym szeptem i otworzyła szeroko oczy. – Tobiasa pokochałam od razu, kiedy się poznaliśmy. Dziesięć długich lat na niego czekałam. Potrzebował mojej pomocy i mojego uczucia, żeby po wyjściu z więzienia móc znów zacząć normalnie żyć.

– Teraz to coś sobie pani wymyśliła – bo o ile wiem, to pani uczucie jest czysto platoniczne. – Pia spróbowała ją sprowokować i z zadowoleniem zobaczyła, że trafiła w samo sedno. – Skoro nie ma pani dość zaufania, żeby zostawić go samego na dwadzieścia cztery godziny...

Nadja von Bredow zacisnęła usta. Jej piękną twarz na ułamek sekundy zniekształcił paskudny grymas.

– To, co się dzieje między mną a Tobiasem, nie powinno pani interesować – odpowiedziała zdecydowanie. – Poza tym, czego pani ode mnie chce, wpytując o sobotni wieczór? Nie było mnie tam, gdzie była dziewczyna. Koniec. Kropka.

– Gdzie właściwie podziewa się pani wielka miłość? – zapytała złośliwie policjantka.

– Nie mam pojęcia – odparła aktorka, a Pia miała wrażenie, że ani razu nie mrugnęła ogromnymi zielonymi oczyma. – Kocham go, owszem, ale nie jestem jego niańką. Czy mogę już iść?

Pia poczuła rozczarowanie. Nie miała podstaw, żeby dłużej ją przetrzymywać, bo brakowało dowodów, by była zamieszana w zniknięcie nastolatki.

– Pojechała pani do macochy Amelie i podała się za policjantkę. – Do rozmowy włączył się Bodenstein. – To karalne. Ukradła pani obrazy, które zaginiona otrzymała od Thiesa. A później podłożyła pani ogień w oranżerii, żeby mieć pewność, że nie ma więcej niebezpiecznych płócien.

Aktorka nie odwróciła nawet głowy w jego stronę.

– Przyznaję się. Z rekwizytorni wypożyczyłam sobie odznakę policyjną i perukę, żeby udawać policjantkę. Obrazy znalazłam w pokoju dziewczyny. Ale pożar to nie moja sprawa.

– Co zrobiła pani z malunkami?

– Pocięłam je na drobne kawałki i wrzuciłam do niszczarki.

– No tak, mogłam się domyślić. W końcu było na nich widać, że to pani jest morderczynią – stwierdziła Pia i wyjęła z akt wydrukowane zdjęcia.

– Wręcz przeciwnie. – Nadja von Bredow oparła się wygodnie i uśmiechnęła lodowato. – Obrazy dowodzą mojej niewinności. Thies jest doprawdy niesamowitym obserwatorem. W przeciwieństwie do państwa.

– Niby dlaczego?

– Bo dla was zielony to zielony. I tyle. A krótkie włosy to krótkie włosy. Proszę, niech się pani uważnie przyjrzy osobie, która uderza Stefanie. A potem niech pani porówna to z chłopakami, którzy dokonali gwałtu na Laurze Wagner. – Nachyliła się, przez chwilę obserwowała zdjęcia, po czym wskazała na coś palcem. – Proszę, dokładnie tutaj. Osoba obok Stefanie ma wyraźnie ciemne włosy, a przyglądając się uważnie obrazowi z Laurą, zauważycie, że osoba na nim ma jaśniejsze włosy, zwijające się w loki. Przy tym należy pamiętać, że tamtego wieczoru praktycznie wszyscy w Altenhain mieli na sobie okolicznościowe zielone koszule jarmarku. Z tego, co pamiętam, organizatorom bardzo na tym zależało.

Bodenstein przyjrzał się uważnie obu zdjęciom.

– Pani może nawet mieć rację – pochwalił ją. – Jednak w takim razie może wyjawi nam pani, jak się nazywa ta druga osoba?

– Lauterbach – wyjaśniła Nadja von Bredow, potwierdzając to, czego Bodenstein już od jakiegoś czasu się spodziewał. – Czekałam na dworze, za stodołą, bo miałam się spotkać ze Stefanie i porozmawiać z nią poważnie o roli w przedstawieniu. Bardzo chciałam zagrać Królową Śnieżkę, a jej to było obojętne. Przyjęła propozycję Lauterbacha, żeby móc się z nim częściej spotykać.

– Zaraz, zaraz – przerwał jej Bodenstein. – Gregor Lauterbach twierdzi, że tamtego wieczoru po raz pierwszy się z nią przespał.

– W takim razie skłamał. – Nadja parsknęła. – Już wcześniej mieli romans. Całe wakacje ze sobą kręcili, mimo że Stefanie oficjalnie była związana z Tobiasem. Lauterbach stracił dla niej głowę, a jej się to podobało. Dlatego czekałam za stodołą i widziałam, jak Stefanie wyszła od Tobiasa.

Akurat kiedy chciałam ją zawołać, z ciemności wyskoczył Lauterbach. Schowałam się w środku i miałam zamiar poczekać, aż sobie pójdzie, ale potem nie mogłam uwierzyć własnym oczom, bo oni też tam weszli i zaczęli się kochać. A ja stałam niecały metr od nich. Nie miałam jak uciec i musiałam się przez pół godziny przyglądać ich wygibasom. I słuchać, jak obrabiają mi tyłek.

– Tak to panią zdenerwowało, że złapała pani potem lewarek i zamordowała Stefanie – dokończył Bodenstein.

– Nie! Nie powiedziałam ani słowa. Nagle Lauterbach zorientował się, że kiedy tarzali się w sianie, musiał zgubić klucze. Wpadł w histerię i na czworakach zaczął szukać. Prawie się wtedy popłakał. Stefanie go wyśmiała. A on wpadł w amok. – Nadja zaśmiała się z nienawiścią. – Gregor panicznie bał się żony, bo to ona miała pieniądze i dom też należy do niej. On był tylko malutkim, nic nieznaczącym belferkiem, który przed uczniami mógł udawać wielkiego pana, bo nigdzie indziej nie miał nic do gadania.

Bodenstein przełknął głośno. To wszystko wydało mu się nad wyraz znajome. Cosima miała pieniądze, a on nie mógł się niczemu sprzeciwić. Rano, kiedy to sobie uświadomił, niewiele brakowało, a by ją udusił.

– W pewnym momencie Stefanie strasznie się na niego wkurzyła. Zdaje się, że wyobrażała sobie całość nieco bardziej romantycznie. Tymczasem jej kochanek okazał się tchórzem. Zaproponowała, że może podjechać po jego żonę, żeby pomogła im szukać. Oczywiście tylko żartowała, ale on był w takim stanie, że w ogóle nie rozumiał, co się do niego mówi. Stefanie wydawało się chyba, że panuje nad sytuacją. Wciąż go prowokowała i groziła, że wygada się, że mają romans. Wtedy stracił panowanie nad sobą. Stefanie wyszła ze stodoły, a on ją przytrzymał. Walczyła, żeby się uwolnić. Napluła na niego, to ją spoliczkował. Strasznie się wkurzyła i powiedziała, że naprawdę spotka się z jego żoną, na co Lauterbach złapał to, co miał pod ręką, i zaatakował. Uderzył ją trzy razy.

Pia pokiwała głową. Zmumifikowane ciało Stefanie Schneeberger rzeczywiście wykazywało ślady trzech uderzeń w czaszkę. To jednak nie był jeszcze dowód uniewinniający Nadję von Bredow, bo zeznanie nie wykluczało jej uczestnictwa w tym morderstwie.

– Kiedy skończył, rzucił się do ucieczki. Miał tylko zieloną krótką koszulkę, bo w czasie seksu zdjął dzinsową koszulę. Znalazłam pęk kluczy. Wyszłam ze stodoły i zobaczyłam Thiesa, jak klęczy obok Stefanie. Powiedziałam mu, żeby lepiej dobrze pilnował swojej Królowy Śnieżki. Lewarek zaniósłam do śmietnika Lauterbachów. Tak właśnie było. Nic nie zmyślam.

– Zatem wiedziała pani, że Tobias nikogo nie zamordował – stwierdziła Pia. – Jak mogła pani dopuścić, żeby spędził jedenaście lat za kratkami, skoro twierdzi pani, że go kocha?

Nadja nie od razu odpowiedziała. Siedziała przy stole i w milczeniu przyglądała się jednemu z wydruków.

– Byłam wtedy strasznie na niego wściekła – wyjaśniła w końcu półgłosem. – Przez całe lata

musiałam słuchać, co z nimi robił albo o czym rozmawiali, o tym, jak bardzo jest zakochany albo że już się odkochał. Prosił o porady, jak te zdziury zaciągnąć do łóżka albo jak z nimi zerwać. Bo byłam jego najlepszą przyjaciółką! Szlag by to trafił!

Zaśmiała się gorzko.

– Nie interesował się mną jako kobietą. Uważał, że jestem i zawsze będę. Kiedy związał się z Laurą, usłyszałam, że ona nie chce, żebym chodziła z nimi do kina ani na basen czy imprezy. Stałam się piątym kołem u wozu, a on tego w ogóle nie zauważył!

Nadja von Bredow zacisnęła usta, a jej oczy zaszyły łzami. I nagle na powrót stała się tą samą smutną, zazdrosną dziewczynką, która jako przyjaciółka najprzystojniejszego chłopaka w szkole nie miała szans, by kiedykolwiek zdobyć go dla siebie. Mimo wszystkich sukcesów, które odniosła, tamte rozczarowania pozostawiły nieusuwalne blizny na jej duszy i sprawiły, że jej całe życie obracało się jedynie wokół tamtej traumy.

– Potem ni stąd, ni zowąd pojawiła się Stefanie. – Kobieta mówiła spokojnym głosem, lecz dłoń, w której trzymała wydruk, zmieniała się w łapsko o zakrzywionych szponach, co najlepiej oddawało jej wewnętrzny stan. – Przyłączyła się do naszej paczki i owinęła sobie Tobiego wokół małego palca. I wszystko się zmieniło. Lauterbach też stracił dla niej głowę i natychmiast dostała rolę Królowy Śnieżki, którą wcześniej obiecał mi. Z Tobim nie dało się już normalnie rozmawiać. Przestał w ogóle zauważać kogokolwiek poza nią! Dla niego liczyła się już tylko Stefanie!

Twarz Nadji wykrzywiła nienawiść. Potrząsnęła głową.

– Nikt z nas nawet nie przypuszczał, że policja jest tak głupia i że oskarżą o wszystko Tobiego. Na początku byłam pewna, że po kilku tygodniach aresztu wypuszczą go na wolność. Kiedy zorientowałam się, że jednak będzie proces, było już za późno. Zbyt wiele nakłamaliśmy i zbyt wiele przemilczeliśmy. Mimo to nigdy nie zostawiłam go samego. Regularnie pisałam i czekałam. Chciałam mu wszystko wynagrodzić... i chciałam go powstrzymać, żeby nie wracał już do Altenhain. Tylko że on był tak strasznie uparty!

– Nie, pani nie chodziło o to, żeby go uchronić przed powrotem do Altenhain – przerwał jej Bodenstein. – Pani nie mogła do tego dopuścić. Bo istniała szansa, że przejrzy pani gierki. A na to nie mogła pani pozwolić. Dlatego udawała pani przed nim wierną przyjaciółkę.

Nadja von Bredow zaśmiała się lodowato i zamilkła.

– Tobias zdecydował się wrócić i zamieszkać z ojcem – ciągnął Bodenstein. – Nie mogła go pani powstrzymać. Na dodatek pojawiła się jeszcze Amelie Fröhlich, która wyglądała jak Stefanie Schneeberger.

– Ta głupia dziewczucha wtykała nos w nie swoje sprawy – warknęła Nadja ze złością. – Mielibyśmy szansę rozpocząć zupełnie nowe życie. Gdzieś indziej. Mam dosyć pieniędzy. Altenhain

stałoby się złym wspomnieniem i niczym więcej.

– I nigdy by mu pani nie powiedziała, jak było naprawdę? – Pia potrząsnęła głową. – Wspaniały pomysł, żeby budować związek na takim fundamencie.

Nadja nie zaszczyliła jej nawet spojrzeniem.

– Uznała pani, że Amelie zagraża pani planom. – Bodenstein układał kolejne elementy w całość. – Dlatego wpadła pani na pomysł wysyłania anonimowych listów do Lauterbacha. Brała pani pod uwagę, że zacznie działać, żeby nie wyszła na jaw jego tajemnica.

Nadja von Bredow wzruszyła ramionami.

– I wywołała pani wilka z lasu.

– Chciałam zapobiec krzywdzie, jaka mogła się stać Tobiasowi – wyjaśniła. – Dostyc już wycierpiał, więc...

– Niech pani wreszcie przestanie opowiadać te bzdury! – Bodenstein nie mógł opanować wzburzenia. Podszedł do stołu i usiadł naprzeciwko przesłuchiwanej, żeby musiała na niego patrzeć. – Pani zależało tylko na jednym: żeby za żadne skarby się nie dowiedział, co pani wtedy odstawiła. Albo czego pani nie zrobiła. Była pani jedyną osobą, która mogła uratować go przed więzieniem, ale pozwoliła mu pani gnąć przez dziesięć lat w celi! Z urażonej dumy, pychy i gówniarskiej zazdrości. Przyglądała się pani beczynnemu, jak jego rodzina wpada w kłopoty, jak wszyscy się od nich odwracają i w końcu jak tracą cały dobytek. Egoistycznie okradła pani tę swoją wielką miłość z dziesięciu lat życia, tylko po to, żeby pewnego dnia zmusić go, żeby należał do pani. Tylko dlatego nie przejrzałam pani gry wcześniej, że nigdy jeszcze nie spotkałem się z tak niskimi pobudkami!

– Nic nie rozumiecie! – odparła Nadja z goryczą. – Nie macie pojęcia, jak to jest cały czas doświadczać odrzucenia!

– Teraz też panią odrzucił, mam rację? – Bodenstein popatrzył na nią surowym wzrokiem. Twarz aktorki wyrażała mieszaninę nienawiści, złości i żalu. – Myślał co prawda, że jest pani wielkim dłużnikiem, ale to było za mało. Bo on pani nie kocha. Ani wtedy, ani dzisiaj. A pani nie ma możliwości, żeby każdą potencjalną konkurentkę natychmiast usuwać z drogi.

W oczach Nadji von Bredow kipiały wściekłość i nienawiść. Przez chwilę w sali przesłuchań panowała całkowita cisza.

– Co zrobiła pani z Tobiasem Sartoriusem? – zapytał Bodenstein.

– Dostał to, na co zasłużył – odparła. – Skoro ja go nie mogę mieć, nikt inny też go nie dostanie.

*

– ALEŻ ONA ma nawalone we łbie! – Pia pokręciła z niedowierzaniem głową, kiedy kilku policjantów wyprowadziło Nadję von Bredow z sali przesłuchań. Kiedy dotarło do niej, że wraca do celi, zaczęła się szarpać i wrzeszczeć. Bodenstein wystąpił o nakaz tymczasowego aresztowania ze względu na niebezpieczeństwo ucieczki za granicę; Nadja posiadała domy i mieszkania w kilku

krajach.

– Zwykła psychopatka – potwierdził jedynie. – Bez dwóch zdań. W końcu zrozumiała, że Tobias jak jej nie kochał, tak dalej jej nie kocha, i to mimo tego wszystkiego, co dla niego zrobiła. Wpadła w szał i go zamordowała.

– Myślisz, że nie żyje?

– Nie wiem, ale mam złe przeczucia. – Bodenstein wstał, bo strażnik wprowadził do sali Gregora Lauterbacha. Kilka sekund później pojawił się jego adwokat.

– Chciałbym zamienić kilka słów z moim klientem – oznajmił doktor Anders.

– Później będzie na to aż nadto czasu – odparł policjant i zmierzył wzrokiem ministra, który wyglądał jak kupka nieszczęścia. – Witam ponownie. Tym razem rozmawiamy szczerze i nie kręcimy, okej? Nadja von Bredow oskarżyła pana o bardzo poważne przewinienia. Szóstego września 1997 roku zamordował pan Stefanie Schneeberger, uderzając ją kilkakrotnie lewarkiem samochodowym w głowę przed stodołą w gospodarstwie Sartoriusów. Zrobił to pan ze strachu, bo dziewczyna mogłaby poinformować pańską żonę o waszym romansie. Zagroziła tym panu. Co pan na to?

– Pan Lauterbach nie skomentuje tych rewelacji – odparł doktor Anders, uprzedzając swojego klienta.

– Podejrzewał pan, że Thies Terlinden był świadkiem zbrodni i wcześniejszego tête-à-tête, więc zaczął go pan szantażować, żeby milczał.

Rozległ się sygnał komórki. Pia spojrzała na wyświetlacz i odeszła kilka kroków od stołu. Dzwonił Henning. Przeanalizował lekarstwa, które doktor Lauterbach aplikowała Thiesowi przez ostatnie lata.

– Rozmawiałem z kolegą, który jest psychiatrą i przy okazji specjalizuje się w terapii osób z autyzmem – oznajmił. – Był przerażony, gdy zobaczył, co było na recepcie. Te lekarstwa nie mogły chłopakowi pomóc. Powiem więcej, one jedynie pogarszają sytuację osób z zespołem Aspergera.

– Szkodzą? Jak szkodzą? – zapytała Pia, zatykając dłonią drugie ucho, bo Bodenstein mówił coś podniesionym głosem i nie mogła się skupić. Adwokat Gregora Lauterbacha nie pozostawał mu dłużny i wykrzykiwał, że jego klient nie będzie odpowiadał na takie insynuacje. Wczuwał się w swoją rolę, jakby stał właśnie przed sądem i musiał toczyć prawdziwą walkę z oskarżeniami.

– Wygląda to tak: jeśli łączy się benzodiazepiny z innymi środkami farmakologicznymi oddziałującymi na centralny system nerwowy, takimi na przykład jak neuroleptyki czy środki uspokajające, to taka kombinacja wielokrotnie wzmacnia ich działanie. Neuroleptyki, które znajdowały się na recepcie, stosuje się właściwie wyłącznie w przypadku pacjentów z silnymi psychozami, urojeniami i halucynacjami. Wtedy rzeczywiście podaje się środki uspokajające, natomiast benzodiazepiny zapisuje się tylko pacjentom cierpiącym na silne napady lękowe. Te

ostatnie mają jednak jeszcze jedno działanie, które może cię zainteresować. One upośledzają pamięć. To znaczy, że w czasie, kiedy pacjent je przyjmuje, nie potrafi przywoływać wspomnień. Tak czy inaczej, lekarzowi, który usiłuje leczyć autyzm takimi środkami, powinno zostać odebrane prawo wykonywania zawodu, bo w grę wchodzi oskarżenie o ciężkie uszkodzenie ciała.

– Czy ten twój znajomy będzie w razie czego mógł napisać opinię?

– Oczywiście.

Serce Pii zaczęło walić jak szalone, kiedy pojęła, co to oznaczało dla śledztwa. Doktor Lauterbach przez jedenaście lat faszerowała Thiesa środkami psychotropowymi, żeby móc go kontrolować. Jego rodzice wierzyli, że zapisane lekarstwa pomagają, więc nie reagowali. Nagle zrozumiała, dlaczego Daniela to robiła. Chciała chronić męża. Ale wtedy niespodziewanie pojawiła się Amelie, a Thies przestał przyjmować lekarstwa.

Bodenstein otworzył drzwi; Lauterbach ukrył twarz w dłoniach i szlochał jak małe dziecko, podczas gdy doktor Anders pakował swoją teczkę. Do sali wmaszerował jeden ze strażników, złapał ministra pod ramię i odprowadził go do celi.

– Przyznał się. – Bodenstein wyglądał na zadowolonego. – Potwierdził, że zamordował Stefanie Schneeberger. To, czy działał w afekcie, czy nie, to sprawa drugorzędna. Później się tym zajmiemy. Wiemy za to na pewno, że Tobias jest niewinny.

– Wiedziałam. Od początku tak czułam – odparła Pia. – Pamiętaj tylko, że dalej nie mamy pojęcia, gdzie są Amelie i Thies. Za to mam już pewność, komu zależało, żeby oboje zniknęli. Wyobraź sobie, że od początku szukaliśmy w niewłaściwym miejscu!

*

BYŁO ZIMNO. Zimno jak diabli. Lodowaty wiatr wył i wściekle zacinał, a płatki śniegu uderzały jak tysiące maleńkich szpilek, wbijających się boleśnie w jego twarz. Nic nie widział. Otaczała go nieprzenikniona biel, a z oczu ciekły łzy. Miał wrażenie, że oślepl. Stopy, nos, uszy i opuszki palców zmarzły do tego stopnia, że przestał cokolwiek czuć. Zataczał się, tarmoszony zamiecią, i gdyby nie światelka odbłaskowe wzdłuż krawędzi jezdni, już dawno straciłby orientację. Nie miał pojęcia, jak długo jest już w drodze, i stracił nadzieję, że przez przypadek będzie jechał tędy pług śnieżny. Po co w ogóle zmuszał się do wysiłku? Dokąd chciał dojść? Ledwie udawało mu się wyrwać ze śniegu odmrożone stopy w cienkich tenisówkach. Każdy krok kosztował go ogromnie dużo, a walka z szalejącym lodowatym piekłem przekraczała ludzkie siły. Znow upadł. Łzy zamarzały mu na policzkach. Nogi nie wytrzymały ciężaru ciała, osunął się na ziemię i przestał poruszać. Każdy kawałek ciała sprawiał ból. Lewe przedramię, w które uderzyła go pogrzebaczem, w ogóle nie reagowało na sygnały z mózgu. Naskoczyła na niego, jakby postradała zmysły. Biła, kopała i pluła, targana obłędem. Potem wybiegła z chatki, wsiadła w samochód i po prostu odjechała, zostawiając go samego pośrodku szwajcarskich Alp. Nie miał pojęcia, gdzie jest. Kilka godzin leżał nagi na

podłozie. Szok i ból nie pozwalały mu się podnieść. Miał nadzieję i chciał, żeby wróciła, ale też bał się tego. Nie wróciła.

Co się właściwie wydarzyło? Spędzili cudowny dzień na spacerze w śniegu. Razem przyrządzili późny obiad, zjedli i poszli do łóżka. Potem Nadja wpadła w szal. Niespodziewanie. Dlaczego? Przecież była jego przyjaciółką, najlepszą, najbliższą przyjaciółką, jaką kiedykolwiek miał. Nigdy go nie opuściła. Nagle przypomniał sobie, co wyzwoliło w niej amok. Amelie, mruknął zmarzniętymi ustami. Wspominał o nastolatce, bo martwił się, gdzie jest. To wtedy Nadji odbiło. Tobias zacisnął pięści i zmusił się do myślenia. Powoli jego umęczony umysł zaczął układać w całość wszystkie elementy, których przedtem nie zauważał. Nadja już wcześniej się w nim podkochiwała, ale nigdy nie zwrócił na to uwagi. Musiał sprawiać jej straszny ból, opowiadając o każdej ze swoich przygód. Tylko dlaczego nigdy nie dała mu do zrozumienia, że tego nie chce? Dlaczego zawsze służyła mu radą i zachowywała się jak kumpel? Tobias uniósł głowę. Burza nieco zelżała. Przez chwilę walczył z chęcią pozostania w miejscu, w którym upadł, a potem, kaszląc, wstał. Z niedowierzaniem przetarł oczy. Rzeczywiście! W dolinie poniżej widać było światła. Zmusił się do dalszego wysiłku. Nadja była zazdrosna o jego dziewczyny, w tym o Laurę i Stefanie. A kiedy zapytała go, niby przypadkiem, czy uważa, że Amelie jest ładna, odpowiedział, że tak. Ale nie miał przecież niczego złego na myśli. Jak mógłby wpaść na to, że Nadja von Bredow, piękna, sławna aktorka, będzie zazdrosna o jakąś siedemnastolatkę? Czy to ona ją porwała? Boże, pomyślał. Zebrał się w sobie i ruszył dalej, w kierunku doliny. Nadja miała nad nim przewagę całej doby. Jeśli Amelie spotka coś złego, on jeden będzie za to odpowiedzialny, bo mimo próśb dziewczyny zdradził informację o obrazach i o tym, że chciała mu pomóc. Zatrzymał się i krzyknął, pełen bezsilności i złości, a echo powtórzyło jego wołanie. Krzyczał, dopóki nie rozboleło go gardło i już nie mógł wydobyć z siebie głosu.

*

DOKTOR DANIELA LAUTERBACH zapadła się pod ziemię. Sekretarka z jej gabinetu twierdziła, że udała się na konferencję lekarską, lecz wystarczyło kilka telefonów, by ustalić, że tam jej nie było. Miała wyłączony telefon i żaden z radiowozów nie zauważył jej samochodu. Zaczynało się robić gorąco. W ośrodku, w którym trzymano Thiesa, lekarze doszli do wniosku, że Daniela mogła go stamtąd wyprowadzić. Należała do personelu szpitala i nie musiała się nikomu meldować, kiedy wchodziła na teren oddziału. Tamtej soboty nie miała dyżuru. Zmyśliła telefon z wezwaniem do wypadku. Zaczaiła się pod Czarnym Rumakiem i czekała. Amelie ją znała, więc nie musiała jej porywać. Potem, żeby skierować podejrzenie na Tobiasa, Daniela wsunęła mu do kieszeni telefon nastolatki. Plan doskonały. Na dodatek kilka spraw ułożyło się przez przypadek dokładnie po jej myśli. Prawdopodobieństwo, że uda się odnaleźć porwanych żywych, spadło prawie do zera.

Bodenstein i Pia około dziesiątej wieczorem siedzieli w sali odpraw i oglądali wiadomości,

w których nadawano ogłoszenie o poszukiwaniu doktor Danieli Lauterbach oraz informowano o aresztowaniu Nadji von Bredow. Przed komisariatem, przy wozach transmisyjnych, koczowali reporterzy. Dziennikarze byli głodni jakichkolwiek wiadomości o sławnej aktorce.

– Chyba pojedę już do domu. – Pia ziewnęła szeroko i się przeciągnęła. – Podwieźć cię gdzieś?

– Nie, dzięki – odparł Bodenstein. – Wezmę służbowy samochód.

– Wszystko w porządku?

– Tak, w każdym razie lepiej niż rano. – Policjant wzruszył ramionami. – Jakoś to będzie. Jakoś.

Popatrzyła na niego ze smutkiem, po czym sięgnęła po torebkę i kurtkę i wyszła. Bodenstein wstał i otworzył okno. Przez cały dzień niekończący się korowód obowiązków i niespodziewanych zdarzeń nie pozwalał mu myśleć o porannym spotkaniu z Cosimą. Teraz jednak nieprzyjemne wspomnienie wróciło niczym fala zółci. Jak to możliwe, że stracił w ten sposób panowanie nad sobą? Wyłączył światło i powoli ruszył korytarzem do swojego biura. Pokój gościnnie w domu rodziców jawił mu się tak samo atrakcyjnie jak samotna wizyta w knajpie. Równie dobrze mógł spędzić noc za biurkiem. Zamknął za sobą drzwi i zatrzymał się niezdecydowanie pośrodku pomieszczenia. Nie włączył światła – wystarczyła mu poświata lamp z zewnątrz. Czuł, że zawiódł – jako mąż i jako policjant. Cosima wybrała trzydziestopięciolatka, a Amelie, Thies i Tobias najpewniej już od dłuższego czasu nie żyli, bo nie znalazł ich dostatecznie szybko. Jego przeszłość legła w gruzach, a czekająca go przyszłość nie wyglądała wcale lepiej.

*

WYSTARCZYŁO, ŻE SIĘ WYCHYLIŁA i wyciągnęła rękę, a czubkami palców dotykała powierzchni wody. Jej poziom rósł znacznie szybciej, niż się spodziewała; najwyraźniej nigdzie nie było czynnego odpływu. Jeszcze trochę, i nawet ich materac zostanie zalany. Pewnie nie utoną, bo woda zacznie wylewać się przez okno, ale umrą z wychłodzenia. Zrobiło się okropnie zimno. Na dodatek gwałtownie pogarszał się stan Thiesa – mężczyzna drżał, pocił się, a jego ciało trawiła gorączka. Przez większość czasu spał, otaczając ją ramieniem. Kiedy się budził, starał się mówić. To, co powiedział, było tak przerażające, że Amelie z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Powoli, jakby jakaś niewidzialna ręka odsunęła kotarę w jej głowie, wróciły wspomnienia sobotniej nocy i wydarzeń, które zaprowadziły ją do tej piwnicy. Doktor Lauterbach musiała dodać czegoś do wody albo do ciastek. W każdym razie usnęła zaraz po tym, jak się poczęstowała jedzeniem i pić. Teraz wszystko już pamiętała. Daniela zadzwoniła do niej i poczekała na parkingu. Udawała przyjaźń i troskę. Poprosiła, żeby pojechała z nią do Thiesa, bo jest z nim niedobrze. Amelie ani chwili się nie wahała – i wsiadła do samochodu. Potem obudziła się tutaj, w piwnicy. Myślała, że mieszkując w domach przeznaczonych do rozbiórki czy w melinach bezdomnych w szemranych dzielnicach Berlina, widziała już wszystko, co złe na świecie, i że nic jej nie zaskoczy. Tymczasem okazało się, że nawet nie przypuszczała, jak bardzo ludzie potrafią być dla

siebie niegodziwi. W Altenhain, tej idyllicznej wiosce, którą uważała za zagłębienie nudy i obciachu, mieszkali bezduszni i pozbawieni serca oprawcy, kryjący swoje prawdziwe twarze za maskami pozornej serdeczności. Jeśli jakimś zrzędzeniem losu miałyby wyjść stąd żywa, nigdy już nikomu nie zaufa. Jak człowiek mógł wyrządzić innemu człowiekowi tak straszną krzywdę? Jak to się stało, że rodzice Thiesa nie zorientowali się, co miła i serdeczna sąsiadka wyprawia z ich synem? Co sprawiło, że cała wieś w milczeniu przyglądała się, jak młody chłopak marnuje najlepsze dziesięć lat życia w więzieniu, choć jest niewinny, a prawdziwi sprawcy zbrodni cieszą się wolnością? Wykorzystując długie godziny samotności, Thies opowiedział jej wszystko, co wiedział o wydarzeniach sprzed lat. A wiedział sporo. Nic dziwnego, że doktor Lauterbach chciała go zabić. W chwili kiedy przyszło jej to do głowy, zrozumiała, że to samo spotka ją. Daniela nie była głupia. Na pewno zadbała, by nikt ich nie znalazł. A w każdym razie nie dopóki jeszcze żyją.

*

BODENSTEIN OPARŁ GŁOWĘ na rękach i zamarł, wpatrzony w butelkę koniaku. Jak mógł tak bardzo się pomylić w ocenie Daniela Lauterbach? Owszem, Stefanie Schneeberger została zamordowana przez jej męża, ale on działał w afekcie. Tymczasem to właśnie Daniela z lodowatym wyrachowaniem opracowała plan krycia zbrodni, a potem przez całą dekadę zastraszala Thiesa i truła go lekami psychotropowymi. Dopuściła, by Tobias Sartorius trafił do więzienia, a jego rodzice przeszli przez piekło ostracyzmu i samotności. Bodenstein sięgnął po alkohol, który dostał kiedyś w prezencie. Butelka ostatni rok spędziła w szafce. Z zasady odczuwał wstręt do takich specjałów, ale akurat dzisiaj uznał, że ma ochotę na coś mocniejszego. Przez cały dzień nic nie jadł i wypił zbyt wiele kawy. Jednym haustem wychylił trzecią szklaneczkę i wykrzywił usta. Koniak sprawił, że w jego żołądku pojawił się niewielki, ale bardzo przyjemny płomień i stopniowo zaczęły go opuszczać napięcie i stres. Zatrzymał wzrok na ramce ze zdjęciem Cosimy, ustawionym przy telefonie. Uśmiechała się do niego jak przed laty. Miał jej za złe, że przyszła z samego rana i sprowokowała do słów i zachowania, które do niego nie pasowały. Od początku nie mógł sobie wybaczyć, że tak łatwo dał się wyprowadzić z równowagi. Mimo że to ona zniszczyła ich małżeństwo, Bodenstein miał poczucie winy. I to wkurzało go niemal tak samo jak pyszałkowata wiara, że przez te wszystkie lata jego małżeństwo było wzorem dla innych. Cosima zdradziła go z młodszym, bo nie wystarczał jej już jako mężczyzna. Nudziła się u jego boku, więc znalazła sobie kogoś, kto kochał przygody równie mocno jak ona. Zadał tą myślą cios swojej wierze w siebie – tak mocny, że nie wiedział, jak go przeżył. Kiedy wychylał czwartą szklanekę alkoholu, rozległo się pukanie do drzwi.

– Tak?

W szparze pojawiła się głowa Nicoli Engel.

– Przeszkadzam?

– Nie, wejdz – zaprosił ją, masując palcem wskazującym i kciukiem nasadę nosa. Weszła do środka i zamknęła za sobą drzwi.

– Właśnie się dowiedziałam, że przed chwilą uchylony został immunitet Lauterbacha. Sąd zgadza się na wystawienie nakazów aresztowania dla niego i Nadji von Bredow.

Podeszła, zatrzymała się przy biurku i przyjrzała mu się uważnie.

– Boże, wiesz, jak wyglądasz? Tylko nie mów, że tak bardzo wzięłeś sobie tę sprawę do serca!

Nie wiedział, co powinien odpowiedzieć. Był zbyt zmęczony, by błyskawicznie rzucić jakąś przemyślaną i celną uwagę. I wciąż nie potrafił właściwie jej ocenić. Nie wiedział, czy pytała z czysto ludzkiego zainteresowania, czy chciała wykorzystać jego błędy i pomyłki, żeby zadać ostateczny cios i usunąć go ze stanowiska.

– Wykańczają mnie sprawy okołozawodowe – przyznał w końcu. – Behnke, Hasse... te idiotyczne plotki o mnie i o Pii.

– Czyli nie ma w nich ani słowa prawdy?

– Totalne bzdury. – Oparł się wygodnie. Wykrzywił twarz, bo bardzo bolały go plecy. Jej wzrok padł na koniak.

– Masz jeszcze jedną szklanekę?

– W szafce. Z lewej strony na dole.

Odwróciła się, otworzyła drzwiczki, wyjęła szklanekę i usiadła na jednym z krzeseł po przeciwnej stronie biurka. Bodenstein sięgnął po butelkę. Jej nalał odrobinę, sobie prawie do pełna. Nicola Engel uniosła brwi, ale nic nie powiedziała. Wzniósł toast i wychylił wszystko za jednym razem.

– Powiesz mi, co się naprawdę dzieje? – poprosiła. Była bardzo bystrą obserwatorką i dobrze go znała. I to już od dawna. Przez dwa lata byli parą, jeszcze zanim poznał Cosimę i się z nią ożenił. On i Nicola. Właściwie dlaczego miałby coś przed nią ukrywać? Wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą. Najpóźniej, kiedy poda nowy adres.

– Cosima ma kogoś – wyznał, usiłując nadać głosowi spokojny ton i zachowywać się na tyle normalnie, na ile był w stanie. – Od dawna podejrzewałem, że coś się dzieje, ale dopiero kilka dni temu zdobyłem dowody. Przyznała się.

– Aha. – W jej komentarzu nie było złośliwej satysfakcji, jednak nie zmusiła się do wyrażenia współczucia. Ale jemu też na tym nie zależało. Sięgnął po butelkę i nalał sobie kolejną porcję. Nicola przyglądała mu się w milczeniu. Wypił. W pustym żołądku poczuł ciepło alkoholu. Powoli zaczynał rozumieć, dlaczego ludzie w określonych okolicznościach sięgają po trunki i się uzależniają. Problem Cosimy zaczął się oddalać i nie był już tak ważny, podobnie jak sprawa zaginięcia Amelie, Thiesa i pomyłka w ocenie Danieli Lauterbach.

– Nie jestem dobrym policjantem – powiedział w końcu. – I nie jestem dobrym szefem. Powinnaś znaleźć kogoś innego na moje miejsce. Ja się nie nadaję.

– W żadnym razie! – odparła zdecydowanie. – W zeszłym roku, kiedy objęłam nadzór nad wami, przyznaję, chodziło mi to po głowie. Ale przez ten rok miałam szansę obserwować sposób, w jaki pracujesz, jak odnosisz się do ludzi i jak nimi kierujesz. Nie znalazłabym nikogo, kto mógłby ci dorównać.

Nie skomentował jej pochwały. Wolał nalać sobie kolejną szklaneczkę koniaku, jednak kiedy sięgnął po butelkę, zauważył, że jest pusta. Zniechęconym ruchem wrzucił ją do kosza na śmieci, a tuż za nią fotografię Cosimy. Kiedy uniósł głowę, zobaczył, że Nicola przygląda mu się uważnie.

– Chyba powinieneś dać sobie dzisiaj spokój z pracą. – Spojrzała znacząco na zegarek. Jest już północ. Chodź, odwiozę cię do domu.

– Nie mam już domu – przypomniał jej. – Wróciłem do rodziców. Śmieszne, co?

– Dlaczego? Lepsze to niż hotele. Dobra, a teraz wstawaj.

Bodenstein ani drgnął. Nie odrywał oczu od jej twarzy. Nagle przypomniał sobie ich pierwsze spotkanie, dwadzieścia siedem lat wcześniej, na imprezie u kolegi. Cały wieczór spędził z kilkoma kumplami w ciasnej kuchni, na stojąco, z piwem w dłoni. Nie zwracał uwagi na dziewczyny, bo nie otrząsnął się jeszcze z rozczarowania poprzednią miłością, Inką. Nie miał ochoty zaczynać niczego nowego. Przed drzwiami do ubikacji spotkał Nicolę. Przyjrzała mu się przenikliwie, zlustrowała od stóp do głów, po czym powiedziała coś bardzo bezpośredniego, tak jak miała w zwyczaju, skłaniając go do wyjścia z imprezy. Nie pożegnał się nawet z gospodarzem. Wówczas był równie pijany jak teraz i czuł się równie skrzywdzony. Nagle ogarnęła go fala gorąca, która przetoczyła się przez jego ciało, by eksplodować w podbrzuszu.

– Podobasz mi się – powtórzył jej słowa z wtedy. – Masz ochotę na seks?

Nicola popatrzyła na niego zaskoczona, a na jej ustach pojawił się uśmiech.

– W sumie... – Ona też pamiętała każde słowo tamtego krótkiego dialogu. – Tylko skoczę jeszcze do klopa.

PONIEDZIAŁEK 24 LISTOPADA 2008

Hej, wczoraj miałeś na sobie tę samą koszulę i krawat – zauważyła Pia, kiedy Bodenstein dołączył do niej w pustej sali odpraw. – I się nie ogoliłeś.

– Masz fenomenalny zmysł obserwacji, doprawdy – mruknął złośliwie i ruszył w stronę ekspresu do kawy. – Wyprowadzając się, nie miałem ani czasu, ani możliwości, żeby zabrać ze sobą całą garderobę.

– Proszę, proszę. – Pia się uśmiechnęła. – A ja zawsze myślałam, że należysz do ludzi, którzy nawet w okopach codziennie zakładaliby czysty garnitur. Chociaż... czyżbyś skorzystał z mojej rady?

– Błagam, tylko nie wyciągaj zbyt daleko idących wniosków, okej? – Bodenstein zrobił umęczoną minę i dodał mleka do kawy. Pia chciała zapytać go o coś jeszcze, ale w tej samej chwili w progu stanął Ostermann.

– Jakąż to wiadomość nam pan przynosi, panie nadkomisarzu? – zapytał Bodenstein. Ostermann spojrzał na niego zaskoczony, a potem na Pię, ale już z irytacją w oczach. Policjantka wzruszyła ramionami.

– Wczoraj w nocy Tobias Sartorius skontaktował się z ojcem. Leży w szpitalu w Szwajcarii – wyjaśnił. – W sprawie Amelie, Thiesa i doktor Lauterbach nie ma żadnych nowych informacji.

Do sali weszli kolejno Kathrin Fachinger, Nicola Engel i Sven Jansen.

– Dzień dobry – przywitała się szefowa. – Oto wsparcie, o które prosiliście. Komisarz Sven Jansen został tymczasowo oddelegowany do K11. Jeśli oczywiście nikt nie ma nic przeciwko.

– Nie, wszyscy się cieszymy – zapewnił ją Bodenstein i podał rękę młodemu policjantowi, który dotychczas pracował w wydziale zajmującym się ściganiem złodziei, po czym usiadł za stołem. Pia i pozostali poszli za jego przykładem. Nicola Engel potaknęła i tłumacząc się nawałem pracy, wyszła z sali. W progu odwróciła się na chwilę i spojrzała na Bodensteina. – Czy mogłabym poprosić pana jeszcze na dwa słowa? – zwróciła się do niego.

Policjant wstał i wyszedł za nią na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

– Behnke zaskarżył decyzję o wydaleniu go ze służby i zaraz potem poszedł na zwolnienie lekarskie – powiedziała Nicola półgłosem. – Jego reprezentantem jest jakiś prawnik z kancelarii doktora Andersa. Skąd ma na to kasę?

– Anders takie rzeczy robi pewnie za darmo – wyjaśnił Bodenstein. – Dla niego to doskonała reklama.

– No dobrze. W takim razie pozostało nam teraz czekać. Zobaczymy, co z tego wyniknie. Właściwie powinnam była znaleźć jakiś lepszy czas, żeby ci to powiedzieć, ale też nie chciałabym, żeby dotarły jakieś plotki...

Popatrzył na nią uważnie. Po takim wstępie mogła powiedzieć właściwie wszystko, począwszy

od informacji o zawieszeniu go i usunięciu ze stanowiska, aż po przejęcie kierownictwa nad całą policją. Nicola nie miała w zwyczaju zdradzania, co ma w zanadru.

– No, to gratulacje z okazji awansu – uśmiechnęła się. – Panie podinspektorze, równocześnie z awansem oczywiście dostał pan odpowiednią podwyżkę. Co ty na to?

Popatrzyła na niego, czekając na jakąś reakcję.

– Cholera, dlaczego mam teraz poczucie, jakbym dostał ten awans przez łóżko? – odparł.

Nicola uśmiechnęła się szeroko, ale szybko spoważniała.

– Żałujesz tej nocy? – zapytała.

Bodenstein przekrzywił głowę.

– Nie, z całą pewnością tak bym tego nie określił – odparł. – A ty?

– Ja też nie. Chociaż z reguły nie jem odgrzewanych posiłków.

Tym razem to on uśmiechnął się szeroko, a Nicola odwróciła się, żeby odejść.

– Jeszcze jedna sprawa...

Zatrzymała się.

– Może... może moglibyśmy powtórzyć to za jakiś czas?

Znów się uśmiechnęła.

– Pomyślę o tym, panie podinspektorze. Do zobaczenia.

Odprowadził ją wzrokiem, po czym złapał za klamkę. Nagle – i zupełnie nieoczekiwanie – poczuł falę bolesnego szczęścia. Nie dlatego, że zemścił się na Cosimie i też ją zdradził – i to ze swoją szefową, której z całego serca nie znosiła. Ale dlatego, że ogarnęło go poczucie wolności, tak przemożne, jak jeszcze nigdy w życiu. Poprzedniej nocy zobaczył swoją przyszłość w całkowicie nowym świetle; dostrzegł nieskończoną liczbę nowych możliwości, których nie zauważył wcześniej, toczony żalostí, bólem i smutkiem. I nie chodziło o to, że u boku Cosimy czuł się ograniczany – po prostu zrozumiał, że koniec jego małżeństwa nie musi oznaczać końca wszystkiego. A wręcz przeciwnie. Nie każdy dostaje kolejną szansę z pięćdziesiątką na karku.

*

AMELIE NIE CZUŁA już zmarzniętych stóp, a jednocześnie zalewała się potem. Z całych sił starała się nie dopuścić, żeby głowa Thiesa znalazła się pod wodą, która sięgała już czterdzieści centymetrów powyżej ostatniego regału. Gdyby nie siła wyporu, nie udałooby się jej posadzić nieprzytomnego mężczyzny. Na szczęście stalowa konstrukcja była przykręcona do ściany, więc nie groziła im wywrotka. Amelie nabrała głęboko powietrza i spróbowała choć na chwilę rozluźnić mięśnie. Prawym ramieniem cały czas obejmowała Thiesa, a lewe wyciągnęła nad głowę, by sprawdzić, ile jeszcze zostało powietrza. Do sufitu było nie więcej jak pół metra.

– Thies! – szepnęła i potrząsnęła nim lekko. – Obudź się! Thies!

Nie zareagował. Nie mogła podciągnąć go już wyżej, bo brakowało jej sił. Za kilka godzin jego głowa znajdzie się pod wodą. Niewiele brakowało, żeby się poddała. Było jej przeraźliwie zimno. Poza tym strasznie bała się śmierci przez utopienie. Co chwila przypominała sobie sceny z *Titanica*. Oglądała go chyba z dziesięć razy i wypłakiwała sobie oczy za każdym razem, kiedy Leonardo DiCaprio ześlizgiwał się z drzwi, by zniknąć w odmętach. Woda w miejscu katastrofy transatlantyku pewnie nie była wiele zimniejsza niż ta, w której ona miała zginąć.

Nie przestawała mówić do Thiesa, choć usta drżały jej z zimna. Błagała go, potrząsała nim i szarpała za ramię. Ale mężczyzna w żaden sposób nie reagował.

– Nie chcę umierać! – Zaszlochała i oparła głowę o ścianę. – Nie chcę umierać, do cholery jasnej!

Chłód spowalniał jej ruchy i myśli. Ogromnym wysiłkiem woli poruszała pod wodą nogami, ale i z tym zaczynała mieć coraz większe trudności. Byle tylko nie zasnąć! Jeśli przez sen go puści, to się utopi. A ona z nim.

*

CLAUDIUS TERLINDEN oderwał niechętnie wzrok od dokumentów, które leżały przed nim na biurku, bo rozległo się pukanie do drzwi i sekretarka wprowadziła do gabinetu Bodensteina i Pię Kirchhoff.

– Czyżbyście przyszli państwo z wieścią o znalezieniu Thiesa? – zapytał, nie wstając zza biurka. Nawet nie starał się ukrywać swojej niechęci. Z bliska widać było, że wydarzenia ostatnich dni odcisnęły na nim swoje piętno. Miał bladą twarz i cienie pod oczami, lecz starał się zachować pozory. Czyżby uciekał w codzienne obowiązki, byle tylko nie myśleć o kłopotach, w jakich się znalazł?

– Niestety. – Bodenstein pokręcił głową. – Jeszcze nie. Ale wiemy za to, kto go uprowadził z zakładu.

Claudius uniósł pytająco brwi.

– Gregor Lauterbach zamordował Stefanie Schneeberger. Przyznał się – ciągnął Bodenstein. – Jego żona pomogła ukryć zbrodnię, żeby ochronić jego karierę. Wiedziała przy tym, że Thies był świadkiem całego zajścia. Od początku zastraszała pańskiego syna i od lat faszerowała środkami farmakologicznymi, których nie potrzebował. W pewnym momencie doszła do wniosku, że pański syn oraz Amelie stali się zagrożeniem dla jej męża, więc postanowiła zacząć działać. Obawiamy się, że mogło dojść do najgorszego.

Terlinden wpatrywał się w niego zaskoczony.

– A jak pan myślał, kto właściwie mógł zabić Stefanie Schneeberger? – zapytała Pia.

Claudius Terlinden zdjął okulary i ukrył twarz w dłoniach, po czym nabrał głęboko powietrza.

– Szczerze mówiąc, cały czas byłem przekonany, że to naprawdę zrobił Tobiasz – odparł po chwili. – Myślałem, że widział, jak Gregor i ta dziewczyna zabawiali się w jego stodole, a potem odbiło mu z zazdrości. Miałem świadomość, że Thies musiał to wszystko widzieć, ale on praktycznie nic nie mówi, więc nie dowiedziałem się, co zobaczył. Teraz rozumiem, dlaczego Daniela tak bardzo o niego dbała. I dlaczego Thies się jej bał.

– Groziła mu, że go zamknie w zakładzie psychiatrycznym, jeśli komukolwiek piśnie choćby słówko – wyjaśniła Pia. – Ale nawet ona nie miała pojęcia, że Thies trzymał zwłoki Stefanie w piwnicy. Pewnie dopiero Amelie jej powiedziała. I dlatego doktor Lauterbach podłożyła tam ogień. Nie chciała zniszczyć obrazów, tylko mumię.

– Mój Boże! – Terlinden wstał z fotela, podszedł do wielkiego okna i wyjrzał na zewnątrz. Czyżby zdał sobie sprawę, jak kruchy jest lód, po którym się poruszał? Bodenstein i Pia wymienili szybkie spojrzenia. Czekają go oskarżenia o wiele przestępstw i wręczanie łapówek, bo Gregor Lauterbach w tchórzliwej próbie ucieczki przed odpowiedzialnością obciążył przyjaciela. Tyle że Claudius nie mógł jeszcze o tym wiedzieć. Musiał jednak zdawać sobie sprawę z tego, co narobił.

– Wczoraj w czasie aresztowania Jörga Richtera jego ojciec usiłował popełnić samobójstwo – powiedział Bodenstein po chwili. – Z tego, co już wiemy, przed jedenastu laty postarał się, żeby uczestnicy tamtych zdarzeń zawarli coś w rodzaju paktu milczenia, aby ukryć prawdę. Laura Wagner żyła, kiedy jego syn z przyjaciółmi wrzucali ją do podziemnego zbiornika na lotnisku. Richter o tym wiedział, ale nic nie zrobił. A właściwie zrobił – zasypał wejście do zbiornika ziemią.

– Kiedy Tobiasz wyszedł z więzienia, Lutz Richter znów postanowił pomóc losowi i zorganizował napad – dodała Pia. – Wiedział pan o tym? Brał pan w tym udział?

Terlinden odwrócił się od okna.

– Nie. Co więcej, wyraźnie zabroniłem mu podejmowania takiej inicjatywy – odparł zachrypniętym głosem.

– Manfred Wagner zepchnął matkę Tobiasza Sartoriusa z kładki nad torami – dodała Pia. – Czy nie sądzi pan, że zmuszając swojego syna do milczenia, przyczynił się pan do tego wszystkiego? Lars mógłby żyć, rodzina Sartoriusów by nie zbankrutowała, a Wagnerowie może jakoś by sobie poradzili z tą całą sytuacją? Czy zdaje pan sobie sprawę, że pan i tylko pan ponosi odpowiedzialność za cierpienie, jakie stało się ich udziałem? Nie wspominając o pańskiej rodzinie, której zgotował pan piekło swoim tchórzostwem?

– Ja? A dlaczego niby ja? – Terlinden potrząsnął głową i zrobił minę, jakby nic nie rozumiał. – Ja się tylko starałem, żeby możliwie jak najbardziej ograniczyć skutki tamtej tragedii!

Pia nie potrafiła zrozumieć toku jego myślenia. Najwyraźniej już wiele lat temu nauczył się znajdować wymówki, dzięki którym potrafił okłamać nawet siebie samego.

– Doprawdy? A o jakie skutki panu chodzi, jeśli można spytać?

– Nasza lokalna społeczność mogła się zantagonizować – odparł biznesmen. – Moja rodzina od wielu dziesięcioleci, jeśli nie od setek lat, czuje odpowiedzialność za Altenhain i to, co się tutaj dzieje. Musiałem postępować zgodnie z tą zasadą! Chłopcy popełnili wtedy błąd, bo za dużo wypili, ale ona ich prowokowała!

Swoją przemowę zaczął słabym, niepewnym tonem, ale już po chwili mówił z pełnym przekonaniem.

– Myślałem, że to Tobiasz zamordował Stefanie. Tak czy inaczej, trafiłby do więzienia, więc jakie to miało znaczenie, czy będzie siedział za jedno, czy za kilka przewinień? Za to, że uratował w ten sposób czwórkę swoich kolegów, wspierałem cały czas jego rodzinę i dbałem, żeby...

– Starczy! Dość już tych kłamstw! – Bodenstein nie bawił się w uprzejmości. – Jedyńm celem, jaki panu przyświecał, było uchronienie Larsa przed śledztwem i zeznaniami! Walczył pan tylko i wyłącznie o swoje dobre imię! O swój image, który bardzo by ucierpiał, gdyby pański syn został zamieszany w sprawę dwóch morderstw! Prasa na pewno rzuciłaby się na taki kasek. Ci chłopcy i pozostali mieszkańcy wioski byli panu całkowicie obojętni. Tak samo zresztą jak rodzina Sartoriusów, co widać choćby i po tym, że zainwestował pan w Czarnego Rumaka. Co więcej, podkupił pan kucharza ze Złotego Koguta, a potem wydzierżawił mu karczmę.

– Od razu widać, że wykorzystał pan okoliczności tak dalece, jak się tylko dało. – Pia przejęła pałeczkę. – Albert Schneeberger nie zamierzał panu sprzedawać swojej firmy. Już wcześniej odrzucał takie propozycje. Ale jego też postanowił pan wykorzystać, a kiedy już został pan właścicielem, złamał pan umowę, zwolnił pracowników i zlikwidował firmę. Tylko pan i nikt inny skorzystał na tamtej tragedii. I to w każdy możliwy sposób.

Claudius Terlinden wyduł usta i popatrzył na nią z nieukrywaną wrogością.

– Teraz jednak sprawy potoczyły się inaczej, niż pan sobie zaplanował. Tego się pan nie spodziewał, prawda? – Pia nie dała się zdeprymować. – Mieszkańcy Altenhain nie czekali na pańskie pozwolenie, tylko wzięli sprawy w swoje ręce i zaczęli działać. Na dodatek pojawiła się Amelie i z ciekawości zajęła się tamtą sprawą, niechcący przyczyniając do tego, że mieszkańcy wioski przyspieszyli swoje decyzje. Wtedy się okazało, że nie ma pan dość siły, żeby zatrzymać lawinę, którą wywołał powrót Tobiasza.

Terlinden patrzył na nich ponuro. Pia założyła ramiona na piersi i bez strachu spojrzała na niego tak samo poważnym wzrokiem. Wiedziała już, że trafiła w samo sedno.

– Jeśli Amelie i Thies zginą – powiedziała z groźbą w głosie – wtedy będzie pan za to odpowiedzialny.

– Gdzie mogą być? – wtrącił się Bodenstein. – I gdzie jest doktor Lauterbach?

– Nie mam pojęcia. – Terlinden zazgrzytał zębami. – Nie mam, do jasnej cholery, bladego pojęcia!

*

NISKO SKLEPIONE, ciemnoszare chmury zakryły niebo i zasłoniły słońce. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny temperatura spadła o niemal dziesięć stopni. Tym razem śnieg będzie długo leżał, pomyślała Pia, jadąc powoli chodnikiem w Königstein. Nie zwracała uwagi na pełne złości spojrzenia przechodniów. Zaparkowała przed sklepem jubilerskim, nad którym swój gabinet miała doktor Lauterbach. W sekretariacie siedziała tylko pielęgniarka w średnim wieku i z podziwu godną cierpliwością odbierała urywający się co chwila telefon. Zapewniała podenerwowanych pacjentów, że ich dzisiejsze wizyty zostaną przełożone na inny dogodny termin.

– Pani doktor niestety nie ma – odpowiedziała Bodensteinowi. – Nie mogę się nawet do niej dodzwonić.

– Miała być w Monachium, ale tam też jej nie ma.

– Oczywiście, że nie, bo kongres odbył się w weekend. – Kobieta bezradnie rozłożyła ręce, a telefon znów się rozdzwonił. – Mówiła, że dzisiaj wróci do pracy, tymczasem sami państwo widzą, co się tutaj dzieje.

– Mamy podstawy, żeby przypuszczać, że celowo się ukrywa – wyjąwił Bodenstein. – Uważamy, że stoi za zniknięciem dwóch osób i zorientowała się, że wpadliśmy na jej trop.

Pielęgniarka potrząsnęła głową.

– Nie, to przecież niemożliwe! – zaprzeczyła. – Od dwunastu lat dla niej pracuję i wiem, że nigdy nikomu nie zrobiłaby krzywdy! Ja ją... ja ją przecież dobrze znam!

– Kiedy widziała pani doktor Lauterbach po raz ostatni? Czy w ostatnich dniach zachowywała się jakoś dziwnie albo przynajmniej inaczej niż wcześniej? Może częściej wyjeżdżała? – Bodenstein spojrział na plakietkę z nazwiskiem umieszczoną na piersi na białym kitlu pielęgniarki. – Pani Wiesmeier, prawda? Bardzo panią proszę, niech się pani dobrze zastanowi! Pani szefowa mogła popełnić straszny błąd, choć pewnie chciała dobrze. Może jej pani pomóc, jeśli uda nam się zapobiec tragedii.

Sposób, w jaki się do niej zwrócił, wypowiedziane głośno nazwisko i zdecydowany, choć nie władczy ton jego głosu okazały się skuteczne. Waltraud Wiesmeier zaczęła intensywnie myśleć, aż na czole wyszły jej zmarszczki.

– Byłam bardzo zaskoczona, kiedy pani doktor w zeszłym tygodniu odwołała wizytę jakichś ludzi, którzy byli zainteresowani kupnem starej willi po pani Scheithauer – powiedziała po chwili. – Przez kilka miesięcy męczyła się, szukając klienta na tę ruinę, i w końcu ktoś się trafił. Umówili się na czwartek na oglądanie nieruchomości. Ale musiałam do niego zadzwonić, żeby odwołać wizytę.

Mimo że chciał przyjechać już z dwoma bankierami. To było dziwne.

– Gdzie to jest? Ten dom, znaczy się?

– To stara willa przy Grünen Weg, z widokiem na dolinę Woogtal. Pani Scheithauer była przez wiele lat pacjentką pani doktor Lauterbach. Nie miała spadkobierców i kiedy w kwietniu zmarła, okazało się, że zapisała majątek jakiejś fundacji, a dom doktor Lauterbach. – Uśmiechnęła się delikatnie i dodała: – Idę o zakład, że szefowa wolałaby dokładnie odwrotnie.

*

...W CZASIE popołudniowej konferencji prasowej minister edukacji ogłosił zaskakującą decyzję o rezygnacji z zajmowanego stanowiska. Gregor Lauterbach uzasadnił swój krok powodami osobistymi... – mówiła dziennikarka prowadząca wiadomości radiowe, kiedy Pia wjeżdżała w Grünen Weg. Powoli minęła nowe domy na początku i skręciła na podjazd zamknięty wysoką kutą bramą.

Rząd nie ogłosił jeszcze oficjalnego stanowiska w tej sprawie. Rzecznik...

– To musi być tu! – Bodenstein odpiął pas bezpieczeństwa, zanim Pia zdążyła się na dobre zatrzymać. Brama była obwiązana łańcuchem i spięta nową kłódką. Z miejsca, w którym stali, mogli dostrzec jedynie dach budynku. Pia szarpnęła za stalową konstrukcję i się rozejrzała. Mur po obu stronach miał przynajmniej dwa metry wysokości i wieńczyły go metalowe szpikulce.

– Dzwonię po ślusarza i wsparcie! – krzyknął Bodenstein, sięgając po komórkę. Jeśli Daniela Lauterbach ukryła się na terenie willi, trzeba było liczyć się z oporem przy aresztowaniu. Pia ruszyła wzdłuż muru i dość szybko natrafiła na furtkę, lecz i ta była zamknięta na zamek, a na dodatek zarośnięta już krzakami. Kilka minut później na miejsce przyjechał ślusarz i dwa radiowozy patrolowe z Königstein. Policjanci zaparkowali kawałek przed podjazdem i resztę drogi przeszli piechotą.

– Ten budynek od kilku lat stoi pusty – poinformował jeden z funkcjonariuszy. – Starsza pani, która była właścicielką, mieszkała w domu spokojnej starości Rosenhof w Kronbergu. Zmarła w kwietniu tego roku. Miała ponad dziewięćdziesiąt lat.

– A całą posiadłość zapisała swojej lekarce. – Pia pokręciła z niedowierzaniem głową. – Dlaczego jest tak, że tylko niektórzy mają takie cholerne szczęście?

Ślusarz uporał się z kłódką na bramie i chciał już wracać do siebie, jednak Bodenstein poprosił, by jeszcze chwilę poczekał. Kiedy ruszyli w stronę domu długim podjazdem wysypanym drobnym żwirem, w powietrzu zaczęły wirować pierwsze płatki śniegu. Widoczne w oddali ruiny zamku spowijały chmury i Pia miała wrażenie, że wszystko dookoła nagle przestało istnieć. Na wezwanie Bodensteina pojawił się jeszcze jeden radiowóz. Policjanci wjechali na posesję, minęli ich spokojnym tempem i zatrzymali się przed wejściem. Drzwi również były zamknięte na zamek, więc ślusarz zabrał się do roboty.

– Słyszycie? – zapytała Pia. Zawsze się śmiała, że ma wzrok i słuch jak dzikie zwierzę. Bodenstein zamarł i nastawił uszu, lecz poza wyciem wiatru i szumem rozkołysanych, wysokich sosen przed okazałą willą nie słyszał niczego dziwnego. Drzwi w końcu stanęły otworem. Weszli do dużego, ciemnego holu. W domu pachniało stęchlizną i wilgocią.

– Nie, tutaj nikogo nie ma – stwierdził Bodenstein i pokręcił zrezygnowany głową. Pia minęła go, podeszła do włącznika światła i nacisnęła go. Rozległ się huk, z puszek w ścianie wystrzeliły iskry, a policjanci z wezwanego patrolu odruchowo sięgnęli po broń. Bodenstein za to poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła.

– Nic takiego, zwykłe zwarcie – wyjaśniła Pia. – Wybaczcie, nie chciałam nikogo przestraszyć.

Potem obeszlili cały dom, sprawdzając pokój po pokoju. Lakierowane na biało meble stały na swoich miejscach, a okna zasłonięte były ciężkimi zasłonami. Bodenstein wszedł do ogromnego pomieszczenia po lewej stronie od holu wejściowego. Stary, drewniany parkiet trzeszczał pod jego stopami, kiedy zbliżał się do wysokiego okna. Złapał zniszczone, wypłowiałe i przeżarte przez mole zasłony i szarpnięciem je rozsunął, lecz na niewiele się to zdało, bo w środku wciąż było ciemno.

– Poczekajcie, wyraźnie słyszę szum wody! – zawołała Pia, stając w progu. – Proszę o chwilę całkowitej ciszy!

Policjanci znieruchomieli i wstrzymali oddech. I rzeczywiście, Pia miała rację, bo tym razem nawet Bodenstein to usłyszał. W piwnicy szumiała woda. Wyszedł z pokoju i ruszył za Pią, która zdążyła podejść do drzwi pod kręconymi schodami.

– Ma ktoś latarkę? – zapytała i złapała za klamkę. Szarpnęła, ale nic to nie dało. Jeden z policjantów podał jej metalową latarkę.

– Dziwne, nie ma zamka, a mimo wszystko nie da się ich otworzyć. – Pia schyliła się i oświetliła podłogę. – Popatrzcie! Ktoś zakleił je silikonem! Po co robić coś takiego?

Funkcjonariusze z lokalnego patrolu popatrzyli na siebie, po czym jeden z nich wyjął scyzoryk, uklęknął przy drzwiach i zaczął wydłubywać miękką masę. Pia tak długo szarpała za klamkę, aż w końcu pokonała opór resztek silikonu i otworzyła wejście do piwnicy. Szum wody przybrał na sile. W świetle latarki mignęło kilka małych, obłych kształtów.

– Szczury! – krzyknął Bodenstein, kiedy pięć czy sześć przerażonych zwierzątek dostrzegło szansę na ucieczkę i rozbiegło się po domu. Policjant odskoczył przerażony i wpadł na jednego z funkcjonariuszy, który omal nie wylądował na podłodze.

– Szczury to jeszcze nie powód, żeby mnie nokautować – mruknął młody funkcjonariusz. – Niebezpieczeństwo minęło, może pan zejść mi ze stopy.

Pia nie słuchała. Myślami była zupełnie gdzie indziej.

– Dlaczego drzwi do piwnicy były zaklejone silikonem? – zapytała na głos i ruszyła schodami

w dół, oświetlając sobie drogę latarką. Po dziesięciu stopniach się zatrzymała.

– Cholera! – zakląła. Stała po kostki w lodowatej wodzie. – Chyba pękła rura. Pewnie tutaj gdzieś jest skrzynka z bezpiecznikami i stąd to zwarcie.

– Zaraz zadzwonię do wodociągów, żeby kogoś przysłali – zaproponował jeden z lokalnych policjantów. – Oni mają dostęp do głównych zaworów.

– I przy okazji niech pan zawiadomi też straż pożarną – dodał Bodenstein, rozglądając się uważnie w poszukiwaniu szczurów. – Pia, wracaj. Jej tu nie ma.

Ale Pia go nie słuchała. W jej głowie zawyły syreny alarmowe. Dom stał od dawna pusty i należał do Danieli Lauterbach, a ta akurat w zeszłym tygodniu poleciła odwołać wizytę potencjalnego kupca, którego szukała przez długie miesiące. I to wcale nie dlatego, że sama się tu ukryła! Ponieważ i tak miała już mokre buty i spodnie, ruszyła dalej. Im głębiej się zanurzała, tym było jej zimniej.

– Co ty wyprawiasz? – krzyczał Bodenstein. – Natychmiast stamtąd wychodź!

Pia nachyliła się i oświetliła latarką pomieszczenie tuż nad powierzchnią wody, której brakowało raptem niecałego metra, by sięgnąć sufitu piwnicy. Zeszła jeszcze stopień niżej, zaciskając kurczowo palce na poręczy. Zanurzyła się już do pasa.

– Amelie! – krzyknęła, walcząc ze szczękającymi zębami. – Amelie? Jesteś tu?

Wstrzymała oddech i zaczęła uważnie nasłuchiwać. Lodowate zimno sprawiło, że z oczu ciekły jej łzy. Nagle zamarła, a przez jej ciało przetoczyła się fala adrenaliny.

– Pomocy! – Krzyk przebił się przez szum wody. – Pomocy!

*

PIA KRAŻYŁA niecierpliwie po holu. Nie zwracała uwagi na przemoczone buty i spodnie. Była wzburzona i wściekła. Bodenstein zaproponował, by poczekali na zewnątrz, aż strażacy opróżnią zalaną piwnicę na tyle, żeby dało się do niej wejść. Nie potrafił poradzić sobie z myślą, że miałyby czekać w środku domu, w którym czyhała na niego cała armia szczurów. Technicy z wodociągów sprawnie zamknęli główny zawór, odcinając dopływ wody do posiadłości, a strażacy z lokalnego oddziału ochotniczej straży pożarnej natychmiast rozłożyli pompy, rozciągnęli węże i zaczęli wylewać wodę przed dom, do zaniedbanego parku. Dzięki przywiezionemu agregatowi spalinowemu mieli prąd i światło. Na miejsce dotarła też karetka z trzema ratownikami medycznymi, a policja otoczyła budynek i pilnowała dostępu.

– Kratki, przez które woda mogłaby spływać do kanalizacji, zostały zalepione silikonem – zameldował szef oddziału strażaków, który akurat wyszedł z piwnicy. – Wierzyć się nie chce.

Ale to prawda, pomyślała Pia. Ani ona, ani Bodenstein nie mieli najmniejszych wątpliwości, kto to zrobił.

– Możemy wchodzić! – krzyknął w końcu jeden ze strażaków. I on, i jego dwaj koledzy pracujący

w piwnicy mieli na sobie wodoodporne spodnie połączone z butami.

– Poczekajcie, idę z wami! – Pia nie zastanawiając się długo, rzuciła papierosa na drewniany parkiet, zdepnęła go i ruszyła do piwnicy.

– Nie! Ty zostajesz tutaj! – krzyknął za nią Bodenstein. – Przecież możesz się tam zabić!

– Może niech pani wciągnie chociaż gumki – zaproponował szef strażaków. – Proszę poczekać, szybko coś zorganizuję.

Pięć minut później Pia zeszła do piwnicy. Idąc za trzema strażakami, brodziła w wodzie, która wciąż sięgała jej powyżej kostek. Przyświecając sobie latarkami, otwierali po kolei wszystkie drzwi, aż w końcu trafili na właściwe. Policjantka przekręciła klucz w zamku i z całej siły naparła na klamkę. Skrzypnęły zawiasy i powoli droga do zalanej izby stanęła przed nią otworem. Serce waliło jej jak oszalałe, a z radości i ulgi zrobiło się jej słabo, kiedy w świetle jej latarki i latarek strażaków dostrzegła bladą, brudną twarz zaginionej nastolatki. Amelie Fröhlich zamrugła oślepiona. Pia zeskoczyła z kilku stopni na podłogę najniższego pomieszczenia w piwnicy i przytuliła do piersi szlochającą histerycznie dziewczynę.

– Spokojnie – mruknęła i pogłaskała ją po splątanych włosach. – Spokojnie, Amelie. Już wszystko dobrze. Nie musisz się już bać. Już dobrze.

– Ale... ale Thies.... – wyjąkała Amelie. – On... Thies... chyba nie żyje...

*

WSZYSCY FUNKCJONARIUSZE POLICJI z komendy okręgowej odetchnęli z ogromną ulgą. Amelie Fröhlich spędziła dziesięć dni w piwnicy starej willi w Königstein i, o dziwo, mimo osłabienia była w całkiem dobrym stanie fizycznym. Do szpitala trafiła wychłodzona, głodna i śmiertelnie zmęczona, lecz poza ogromną traumą spowodowaną tymi przeżyciami nie wymagała natychmiastowej pomocy. Thies również trafił do szpitala, lecz on był w daleko gorszym stanie niż Amelie. Na dodatek cierpiał z powodu gwałtownego odstawienia leków, od których był uzależniony. Bodenstein i Pia wrócili na komisariat i po odprawie pojechali prosto do szpitala w Bad Soden. Tam czekała ich niespodzianka, bo we foyer spotkali Hartmuta Sartoriusa z synem.

– Moja była żona wybudziła się ze śpiączki – wyjaśnił staruszek. – Nawet udało nam się chwilę porozmawiać. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszła, jest w całkiem dobrym stanie.

– To wspaniale. – Pia uśmiechnęła się, po czym popatrzyła na Tobiasa. Mężczyzna wyglądał, jakby przez ostatnie kilka dni przybyło mu dziesięć lat; był wychudzony, poblądły i miał worki pod oczyma.

– Gdzie się pan podziewał? – zapytał go Bodenstein. – Bardzo się o pana martwiliśmy.

– Nadja zostawiła go samego w chatynce w Alpach Szwajcarskich, gdzieś na odludziu – wyjaśnił Hartmut Sartorius. – Kiedy syn doszedł do siebie, ruszył na piechotę przez śnieg, aż dotarł do

najbliższej wioski.

Mówiąc to, położył Tobiasowi dłoń na ramieniu.

– Wciąż jeszcze nie potrafię uwierzyć, że mogłem się tak bardzo co do niej pomylić.

– Pani von Bredow została aresztowana – poinformował go Bodenstein. – A Gregor Lauterbach przyznał się do zamordowania Stefanie Schneeberger. W ciągu najbliższych dni zwrócimy się do prokuratury w sprawie decyzji o wznowieniu postępowania przeciwko panu. Nie mam wątpliwości, że tym razem zostanie pan uniewinniony.

Tobias Sartorius wzruszył jedynie ramionami. Najwyraźniej nie bardzo go to interesowało. Nawet uniewinnienie nie mogło mu zwrócić dziesięciu lat zmarnowanych w więzieniu i posklejać rozbitej rodziny.

– Kiedy trzech pańskich kolegów wrzuciło Laurę Wagner do podziemnego zbiornika, dziewczyna jeszcze żyła – mówił dalej Bodenstein. – Dość szybko zaczęły ich gnębić wyrzuty sumienia i chcieli wrócić na lotnisko, ale wtedy do sprawy włączył się Lutz Richter i zabronił im tego. Co więcej, sam tam pojechał i zasypał klapę ziemią. Również on jest odpowiedzialny za stworzenie czegoś w rodzaju tajnego sprzysiężenia mieszkańców Altenhain i pilnowania, by nikt nie puścił pary z ust.

Tobias nie zareagował, lecz jego ojciec gwałtownie pobladł.

– Lutz?

– Tak, Lutz Richter. – Bodenstein potaknął. – On jest odpowiedzialny za zorganizowanie napaści na pańskiego syna. Richter z żoną stali też za pomalowaniem pana domu obraźliwymi hasłami i za anonimowymi pogrózkami, które przychodziły pocztą. Kiedy przyjechaliśmy aresztować jego syna, wyciągnął broń i strzelił sobie w głowę. Przeżył, jednak leży w śpiączce. Kiedy się obudzi, zostanie oskarżony.

– A co z Nadją? – wyszeptał Hartmut Sartorius. – Czy ona też była w to zamieszana?

– Niestety tak – odparł policjant. – Była naocznym świadkiem morderstwa popełnionego na Stefanie Schneeberger. Widziała, jak Gregor Lauterbach ją zamordował. Ona też poleciła kolegom Tobiasa, by wrzucili Laurę do podziemnego zbiornika. Ze swoją wiedzą mogłaby uchronić pana syna przed wyrokiem skazującym, jednak zdecydowała się milczeć. Przez jedenaście lat nie zdradziła prawdy. Kiedy Tobias wyszedł z więzienia, starała się nie dopuścić, żeby wrócił do Altenhain.

– Ale dlaczego? – zapytał Tobias zachrypniętym głosem. – Nie rozumiem... Ona... ona pisała do mnie, że cały czas czeka i że...

Zamilkł i pokręcił głową.

– No cóż, Nadja była w panu zakochana – wyjaśniła Pia. – A pan nigdy się nią nie zainteresował. W końcu poszczęściło się jej, bo obie konkurentki zniknęły. Najprawdopodobniej nie spodziewała się, że zostanie pan skazany. Kiedy to się stało, postanowiła czekać, a potem zdobyć pana dla siebie. Tylko że niespodziewanie pojawiła się Amelie. Nadja uznała ją za rywalkę, ale przede wszystkim

widziała w niej poważne zagrożenie, bo dziewczyna dokopała się do informacji, które nie miały ujrzeć dziennego światła. Dlatego von Bredow przebrała się za policjantkę i poszła do jej rodziców, by odnaleźć obrazy przekazane Amelie przez Thiesa.

– Tak, to akurat wiem. Nie znalazła ich. – Tobias pokręcił głową.

– Otóż znalazła je – poprawił go Bodenstein. – Tylko że zaraz zniszczyła, bo gdyby je pan zobaczył, natychmiast by się pan połapał, że od początku kłamała.

Tobias wytrzeszczył oczy i znieruchomiał. Z trudem przełknął ślinę, jakby ciągle jeszcze nie docierał do niego ogrom kłamstwa, do jakiego posunęła się Nadja. To było chyba więcej, niż mógł znieść.

– W Altenhain wszyscy znali prawdę – ciągnęła dalej Pia. – Claudius Terlinden milczał, by chronić swoje nazwisko i trzymać syna z dala od zamieszania. A z powodu wyrzutów sumienia starał się wspierać finansowo zarówno pana, jak i pańskich rodziców. I...

– To nie tylko to. Miał jeszcze inny powód, żeby tak postępować – przerwał jej Tobias. Mężczyzna powoli dochodził do siebie. Spojrzał na ojca. – Teraz za to zaczynam wszystko rozumieć. Jemu chodziło tylko o władzę i o...

– No właśnie, o co jeszcze?

Tobias potrząsnął w milczeniu głową.

Hartmut Sartorius się zachwiał. Prawda o sąsiadach i, jak dotychczas sądził, prawdziwych przyjaciółach była dla niego druzgocząca. Cała wieś milczała, kłamała i z egoistycznych pobudek przyglądała się beczynnemu, jak rozpada się jego małżeństwo, pada jego karczma, traci wszystkie pieniądze i, przede wszystkim, dobre imię. Usiadł ciężko na jednym z plastikowych krzesełek pod ścianą i ukrył twarz w dłoniach. Tobias zajął miejsce obok i objął go ramieniem.

– Ale mamy też dobre wiadomości. – Bodenstein przypomniał sobie, po co właściwie przyjechał z Pią do szpitala. – Przyszliśmy odwiedzić Amelie Fröhlich i Thiesa Terlindena. Dziś po południu udało nam się ich odnaleźć w piwnicy pewnego opuszczonego domu w Königstein. Porwała ich doktor Daniela Lauterbach.

– Amelie żyje? – Tobias wyprostował się gwałtownie, jakby poraził go prąd. – Jak się czuje?

– Całkiem dobrze. Proszę, niech pan do nas dołączy. Jestem przekonana, że ucieszy się na pana widok.

Mężczyzna zawahał się, ale po chwili wstał i się wyprostował.

Również jego ojciec podniósł wzrok i uśmiechnął się nieśmiało. Ale sekundę później jego usta wykrzywił grymas wściekłości i nienawiści. Hartmut Sartorius rzucił się naprzód tak szybko, że nikt nie zdążył zareagować, i popędził w stronę mężczyzny, który akurat wchodził do szpitala.

– Nie! Tato, nie! – Pia usłyszała krzyk Tobiasa i się odwróciła. Dopiero wtedy zauważyła

Claudiusa Terlindena w towarzystwie żony i małżeństwa Fröhlich. Najwyraźniej obie pary przyjechały odwiedzić swoje dzieci. Hartmut dopadł Terlindena i zacisnął palce na jego szyi. Christine, Arne Fröhlich i jego żona stali jak sparaliżowani.

– Ty świnió! – wykrztusił Sartorius z wściekłością. – Ty bezduszna, śmierdząca gnido! Ty kłamco! Masz na sumieniu całą moją rodzinę!

Twarz Claudiusa Terlindena przybrała ciemnopurpurowy kolor. Mężczyzna wymachiwał rękami jak oszalały i próbował się uwolnić. Bodenstein w jednej chwili ocenił sytuację i skoczył mu na ratunek. Pia też chciała pomóc, lecz kiedy ruszyła w ich stronę, zderzyła się z Tobiasem, wpadła z impetem na Barbarę Fröhlich, straciła równowagę i upadła na podłogę. Dookoła zaczęli się zbierać gapie. Tobias dopadł swojego ojca i chciał złapać go za ramię. W tym samym momencie Claudius Terlinden w przyływie nieludzkiej siły, którą wyzwolił w nim strach przed śmiercią, uwolnił się z uścisku i odepchnął napastnika. Pia wstała i teraz oglądała przepychankę, jakby działa się w zwolnionym tempie. Hartmut Sartorius zatoczył się nagle i wyrzwał z impetem o kant otwartych drzwi przeciwpożarowych. Tobias zaczął krzyczeć i przypadł do ojca. Nagle wszędzie było pełno krwi. Pia otrząsnęła się z otępienia; zdecydowanym ruchem zerwała Barbarze Fröhlich szal z szyi, po czym nie zważając na powiększającą się szkarłatną kałużę, padła na kolana i przycisnęła jasnyniebieski kaszmir do rany z tyłu głowy, w rozpaczliwej nadziei, że to coś pomoże. Nogi rannego zaczęły drżeć, a z jego gardła wydobył się bulgot.

– Lekarza! Szybko! – wrzasnął Bodenstein. – Cholera, to jest szpital! Tu musi być jakiś lekarz!

Claudius Terlinden odsunął się na bok i charcząc, usiłował rozmasować sobie gardło. Oczywiście wciąż miał tak wytrzeszczone, jakby miały mu wyskoczyć z oczodołów.

– Ja... nie chciałem... to... – wyjąkał. – To nie było... specjalnie... nie chciałem... To był... wypadek...

Pia usłyszała za sobą czyjeś kroki i krzyk, lecz miała wrażenie, że wszystkie dźwięki dobiegają z oddali. Jej dzinsy, dłonie i kurtka ociekały krwią. Kątem oka dostrzegła białe buty i spodnie.

– Proszę się odsunąć! – krzyknął ktoś. Cofnęła się kawałek i podniosła wzrok. Obok niej stał Bodenstein. Spojrzała mu w oczy; było już za późno. Hartmut Sartorius nie żył.

*

– NIE MOĞŁAM NIC ZROBIĆ. – Pia pokręciła głową. Wciąż jeszcze była w szoku. – Wszystko potoczyło się tak prędko!

Nie potrafiła się uspokoić. Trzęsła się tak mocno, że kiedy Bodenstein podał jej puszkę coli, zachlapała się jej zawartością.

– Nie wyrzucaj sobie tego. Zrobiłaś, co mogłaś – pocieszył ją.

– Cholera, to nic nie znaczy. Gdzie jest Tobias?

– Jeszcze przed chwilą tu był. – Bodenstein rozejrzał się uważnie. Hol szpitala został zamknięty

przez policję, jednak wciąż kręciło się po nim dużo ludzi. Policjanci, lekarze z zatrokanymi i lekko przerażonymi minami i technicy zabezpieczający miejsce zdarzenia, od stóp do głów w białych kombinezonach – wszyscy przyglądali się, jak ciało Hartmuta Sartoriusa jest przekładane do metalowej trumny. Na jakąkolwiek pomoc było już za późno. Kiedy Terlinden go odepchnął, tak nieszczęśliwie uderzył głową, że zgruchotał sobie podstawę czaszki. Nikt i nic by mu już nie pomogło.

– Nie wstawaj. – Bodenstein położył Pii dłoń na ramieniu i podniósł się z siedzenia. – Ja poszukam Tobiasa i zajmę się nim.

Pia pokiwała głową, nie mogąc oderwać wzroku od zaschniętej krwi na rękach. W końcu wyprostowała się i westchnęła głęboko. Powoli wracało jej normalne tętno, serce nie waliło już jak oszalałe, a karuzela myśli w głowie zwalniała. Poszukała wzrokiem Claudiusa Terlindena. Biznesmen siedział zgarbiony na krześle i pustym wzrokiem wpatrywał się w dal. Obok niego stała jakaś policjantka i najwyraźniej usiłowała sporządzić protokół z zajścia. Śmierć Hartmuta Sartoriusa była wypadkiem i nikt nie miał co do tego wątpliwości. Terlinden działał w obronie własnej, bez bezpośredniego zamiaru pozbawienia życia, a mimo to wydawało się, że w końcu zrozumiał, jak wielki ciężar przyjdzie mu dźwigać na barkach. Obok Pii pojawiła się młoda lekarka.

– Mogę podać pani coś na uspokojenie? – zapytała z troską.

– Nie, dziękuję. Nic mi nie jest – odparła policjantka. – Ale mogłabym się gdzieś umyć?

– Oczywiście, proszę za mną. Zaprowadzę panią.

Pia poszła za młodą kobietą do łazienki, choć ledwie stała na nogach. Idąc, rozglądała się w poszukiwaniu Tobiasa, lecz nigdzie nie było po nim śladu. Gdzie się podziewał? Jak zniósł przerażający widok umierającego ojca? W kryzysowych sytuacjach Pia potrafiła zachować spokój i dystans, ale los Tobiasa Sartoriusa wstrząsnął nią do głębi. Przed jedenastoma laty zaczął po kawałku tracić wszystko, co jest ważne dla człowieka, aż dziś nie zostało mu już nic.

*

– TOBI! – Amelie usiadła na łóżku i uśmiechnęła się z niedowierzaniem. Przez ostatnie dni i noce tak często o nim myślała! Wyobrażała sobie, jak rozmawiają, i to, jak będzie wyglądało ich spotkanie. Wspomnienie ciepła płonącego w jego błękitnych oczach dawało jej siłę, by przeżyć i nie zwariować. A teraz stanął przed nią, cały i zdrowy. Serce zabiło jej z radości. – Ojej, nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę, że do mnie przyszedłeś! Mam ci tak wiele do...

Nagle uśmiech zniknął z jej twarzy, bo dostrzegła rozpacz na twarzy Tobiasa. Mężczyzna zamknął za sobą drzwi szpitalnego pokoju i niepewnym krokiem zbliżył się do jej łóżka. Zatrzymał się przy jej nogach, nie mówiąc ani słowa. Wyglądał przerażająco – był blady, miał zaczerwienione oczy. Amelie domyśliła się, że musiało się wydarzyć coś okropnego.

– Co się stało? – zapytała cicho.

– Mój ojciec nie żyje – wyszeptał ochryple. – Właśnie przed chwilą... na dole... w holu... zmarł. Spotkaliśmy Terlindena... mój ojciec... i on...

Zamilkł. Głos uwiązał mu w gardle, a oddech stał się urywany. Przycisnął pięść do ust, walcząc o odzyskanie panowania nad sobą. Na próżno.

– O Boże! – Amelie wpatrywała się w niego zdjęta przerażeniem. – Ale jak? Dlaczego? To znaczy...

Twarz Tobiasa wykrzywiła się w grymasie, a on sam jakby zapadł się w sobie. Cały drżał.

– Tata i ten... ten skurwysyn zaczęli się szarpać – wyjaśnił głuchym głosem. – Popchnął mojego ojca na drzwi...

Przerwał. Nie mógł dłużej powstrzymać łez, które popłynęły nieprzerwanym strumieniem. Amelie odrzuciła kołdrę i wyciągnęła do niego ramiona. Usiadł na brzegu łóżka i nie opierał się, kiedy przyciągnęła go do siebie. Wtulił się w jej szyję, a jego ciałem wstrząsnął szloch, pełen rozpacz i bezradności. Amelie trzymała go mocno. Czuła wielką kluchę w gardle, bo rozumiała, że poza nią Tobias nie ma już nikogo, z kim mógłby dzielić ten straszny głuchy żal.

*

TOBIAS SARTORIUS zniknął bez śladu. Nie było go w szpitalu, więc Bodenstein wysłał szybko radiowóz do domu jego ojca, jednak tam też się na razie nie pojawił. Claudius Terlinden z żoną wrócili do siebie. Biznesmen nie ponosił bezpośredniej winy za śmierć sąsiada. Hartmut zginął w wyniku wypadku – nieszczęśliwego i tragicznego, lecz tylko wypadku. Policjant spojrzał na zegarek. Dziś jest poniedziałek, czyli Cosima pojechała do matki, pomyślał. Brydżowy wieczór w rodzinie Rothkirchów był czymś obowiązkowym – zwyczajem praktykowanym od całych dziesięcioleci – co dawało mu pewność, że się nie spotkają, kiedy pojedzie wziąć czyste rzeczy, zanim wróci na komisariat. Brudny i przepocony potrzebował prysznic.

Kiedy przekonał się, że dom rzeczywiście jest pogrążony w ciemnościach, poczuł ulgę. Palila się tylko jedna mała lampka przed drzwiami. Pies przywitał go z najszczerzą radością. Bodenstein pogłaskał go po grzbiecie i się rozejrzał. Wszystko było tak boleśnie znajome i codzienne – wiedział jednak, że nigdy więcej nie będzie tu u siebie. Ruszył w stronę schodów, żeby nie dać się fali sentymentalnych wspomnień. Zdecydowanym krokiem wszedł na górę, do sypialni. Kiedy włączył światło, dostrzegł Cosimę. Drgnął ze strachu. Żona siedziała w fotelu przy oknie. Przez chwilę serce waliło mu jak dzikie.

– Dlaczego siedzisz po ciemku? – zapytał, kiedy nic lepszego nie przyszło mu do głowy.

– Musiałam w spokoju przemyśleć kilka spraw. – Zamrugła, oślepiona światłem, po czym wstała i stanęła za oparciem, jakby chciała się przed nim schronić.

– Przykro mi, że rano straciłem panowanie nad sobą – powiedział Bodenstein po krótkim wahaniu. – Ale... to wszystko mnie przerosło.

– Rozumiem cię. Sama jestem sobie winna – odparła. Przyglądali się sobie w milczeniu, aż w końcu cisza stała się kłopotliwa.

– Wpadłem tylko po swoje rzeczy – wyjaśnił Bodenstein i wyszedł. Jak to w ogóle możliwe, że po dwudziestu pięciu latach bycia razem w jednej chwili znikają wszystkie uczucia względem drugiej osoby – wszystkie poza niechęcią. Jak to możliwe, że nic już do niej nie czuł? Czyżby tak działał mechanizm samoobronny, czy to raczej oznaka, że jego uczucie do Cosimy już od dawna ustąpiło miejsca wygodnemu przyzwyczajeniu? Każda kłótnia, do jakiej między nimi dochodziło przez ostatnie tygodnie i miesiące, odkruszała kawałki skały, na której zbudowali swój związek. Bodenstein był zaskoczony trzeźwością, z jaką potrafił analizować tę sytuację. Otworzył drzwi szafy w korytarzu i spojrzał na walizki, które w niej stały. Nie chciał brać żadnej z tych, które Cosima miała już ze sobą w podróży, dlatego sięgnął po dwie zakurzone torby, które uważała za zbyt nieporęczne. Mijając pokój Sophii, poczuł ukłucie w sercu i się zatrzymał. Musiał znaleźć czas, żeby choć na chwilę ją zobaczyć. Odłożył walizki i na palcach wszedł do środka. Córeczka spała przy włączonej nocnej lampce. Miała zamknięte oczka, ssała kciuk i oddychała miarowo. Bodenstein popatrzył z czułością na swoją najmłodszą pociechę i westchnął. Nachylił się, wyciągnął dłoń i musnął twarz śpiącego dziecka.

– Wybacz mi, moja słodziutka – wyszeptał. – Ale nawet z miłości do ciebie nie mogę udawać, że nic się nie stało.

*

TOBIAS POMYŚLAŁ, że nigdy już nie zapomni widoku policjantki, która klęczała przy jego ojcu pośrodku ogromnej kałuży krwi. Wiedział, że tata nie żyje, jeszcze zanim ktokolwiek powiedział to głośno. Przez chwilę stał jak skamieniały – nic nie czuł i o niczym nie myślał. Biegący zewsząd lekarze, pielęgniarki i policjanci zepchnęli go na bok. Poczuł, że nie ma w sobie już ani kawałka miejsca na nowe uczucia – nie po tym wszystkim, co musiał przejść. Zupełnie jak na tonącym statku pozamykały się wszystkie wodoszczelne grodzie, by nie wpuścić do środka żywołu, który by go zatopił.

Tobias wymknął się ze szpitala i popędził przed siebie. Nikt nie próbował go zatrzymać. Szybkim krokiem przemierzał pogrążone w mroku ulice, a chłód przywrócił mu trzeźwość umysłu. Znow mógł logicznie myśleć. Nadja, Jörg, Felix, tata. Wszyscy go opuścili, zdradzili albo zawiedli. Nie miał już nikogo, do kogo mógłby się zwrócić. Poczucie przygnębiającej bezradności mieszało się z płonąca wściekłością. Z każdym kolejnym krokiem rosła jego złość na ludzi, którzy zniszczyli mu życie. Dławił się przez to każdym oddechem. Serce domagało się zemsty za wszystko, co spotkało jego

i jego rodziców. Nie miał już nic do stracenia – zupełnie nic! Elementy układanki zaczęły wskakiwać na swoje miejsca, aż w końcu dostrzegł pełny obraz wszystkiego, co się wydarzyło. To miało sens. Zrozumiał, że po śmierci ojca był ostatnią osobą, która знаła tajemnicę Claudiusa Terlindena i Danieli Lauterbach. Zacisnął pięści, kiedy przypomniał sobie wydarzenie sprzed ponad dwudziestu lat – wydarzenie, które jego ojciec pomagał ukryć.

Miał wówczas siedem albo osiem lat i, jak czasem bywało, siedział wieczorem w pokoju przylegającym do karczmy. Matki nie było w domu, więc nikt nie starał się zagonić go do łóżka. W pewnym momencie zasnął na kanapie. W środku nocy coś wyrwało go ze snu. Wstał, podszedł do drzwi i usłyszał rozmowę, której nie zrozumiał. Przy barze siedzieli już tylko Claudius Terlinden i stary doktor Fuchsberger, który praktycznie każdy wieczór spędzał w Złotym Kogucie. Tobias dość często widywał pijanych gości, więc nie miał wątpliwości, że notariusz i dziś nie wylewał za kołnierz.

– Ale co ci zależy, no powiedz, co? – zapytał Claudius Terlinden, dając ukradkiem znak Hartmutowi, żeby nalał notariuszowi jeszcze jedną kolejkę. – Mojemu bratu to żadnej różnicy nie zrobi, bo przecież nie żyje!

– Jeśli to by się wydało – wybełkotał doktor Fuchsberger – to jestem skończony!

– Dlaczego i przede wszystkim jak miałoby się to wydać? Przecież nikt nie wie, że Willi zmienił testament!

– Nie, nie, nie! Po prostu nie mogę – zaskomlał Fuchsberger.

– Niech ci będzie. Podnoszę stawkę – odpowiedział na to Claudius Terlinden. – Albo nie, nie podnoszę. Podwajam. Sto tysięcy. Co ty na to?

Tobias zauważył, że mówiąc to, puścił oko do Hartmuta. Staruszek opierał się jeszcze jakiś czas, ale, koniec końców, poddał się i przyjął ofertę.

– No dobrze – mruknął. – Ale ty zostajesz tutaj. Nie chcę, żeby ktoś cię zobaczył w kancelarii.

Potem ojciec wziął notariusza pod ramię i wyszli z karczmy, a Terlinden czekał na nich przy barze. I Tobias zapewne nigdy by nie zrozumiał, co się wtedy właściwie wydarzyło, gdyby pewnego dnia nie musiał szukać w gabinecie ojca potwierdzenia umowy ubezpieczeniowej. W trakcie przerzucania dokumentów w sejfie trafił na testament. Zdziwił się oczywiście, co ostatnia wola Wilhelma Terlindena robi w szafie pancерnej w gabinecie jego ojca, ale ubezpieczenie, bez którego nie mógł zarejestrować swojego pierwszego samochodu, było znacznie ważniejsze. Przez kolejne lata ani razu nie myślał o tamtym zdarzeniu, aż w końcu całkowicie o nim zapomniał. Jednak śmierć ojca, a właściwie szok, jaki w nim wywołała, otworzyła dawno zamkniętą skrytkę, w której przechowywał to wspomnienie.

– Dokąd jedziemy?

Głos Amelie wyrwał Tobiasa z ponurych rozmyślań. Popatrzył na nią, położył dłoń na jej dłoni

i poczuł, jak robi mu się ciepło na sercu. W jej ciemnych oczach dostrzegł szczerą troskę. Bez tego całego żelastwa, które nosiła na twarzy, i w normalnej fryzurze wyglądała prześlicznie. Była znacznie ładniejsza niż Stefanie. Amelie ani przez chwilę się nie wahała i razem uciekli ze szpitala, kiedy wspomniał jej, że ma do wyrównania rachunki. Jej z pozoru gburowaty i przekorny sposób bycia był jedynie maską, za którą się kryła; zauważył to już przy pierwszym spotkaniu, przy kościele. Po tylu zawodach i rozczarowaniach wciąż nie mógł wyjść z podziwu, że Amelie jest tak bezinteresowna i szczerą.

– Pojedziemy na chwilę do mnie do domu, a potem muszę zamienić kilka słów z Claudiusem Terlindenem – odpowiedział. – Ale ty zostaniesz w samochodzie. Nie chcę, żeby coś ci się stało.

– Mowy nie ma – zaprotestowała. – Nie zostawię cię samego z tym gnojkiem. Jak zobaczy nas razem, nic nie będzie mógł zrobić.

Chcąc nie chcąc, Tobias musiał się roześmiać. Nie dało się odmówić Amelie odwagi. W sercu mężczyzny zapłonął mały płomyk nadziei – słaby jak pojedyncza świeczka na wietrze, która szuka swojego miejsca pośród ciemności. Może kiedy to wszystko się skończy, czekała go jakaś przyszłość?

*

COSIMA NIE RUSZYŁA SIĘ z miejsca. Wciąż stała za oparciem fotela i w milczeniu przyglądała się, jak Bodenstein otwiera i pakuje walizki.

– To też twój dom – powiedziała po chwili milczenia. – Nie musisz się przecież wyprowadzać.

– Muszę czy nie, wyprowadzam się – odpowiedział, nie podnosząc wzroku. – Poza tym to był nasz dom. Nie chcę w nim już mieszkać. Mogę zająć mieszkanie nad powozownią w majątku rodziców. Od jakiegoś czasu stoi puste. I to jest chyba najlepsze rozwiązanie. Kiedy cię nie będzie, Sopią zajmą się moi rodzice albo Quentin i Marie-Louise.

– Szybko ci poszło – zauważyła Cosima z przekąsem. – To znaczy, że definitywnie wszystko przekreśliłeś?

Bodenstein westchnął.

– Nie, nie ja przekreśliłem – odparł. – Ty to zrobiłaś. Ja muszę jedynie zaakceptować twoją decyzję. Jak zawsze zresztą. Teraz pozostaje mi nauczyć się żyć w nowej sytuacji. Uznałaś, że wybierasz innego mężczyznę, a ja nie mogę nic zrobić. Postaram się po prostu jakoś dalej żyć.

Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wspomnieć Cosimie o nocy z Nicole, bo przypomniał sobie złośliwe komentarze, jakie żona wygłaszała pod adresem jego byłej. Wiedziała, że razem pracują w policji i szczerze jej nie lubiła. Uznał jednak, że to byłoby poniżej pewnego poziomu i, w gruncie rzeczy, żałosne.

– Pracuję z Alexandrem – wyjaśniła Cosima. – To nie jest tak, że ja go... wybrałam.

Bodenstein dalej pakował koszule i marynarki.

– Pewnie lepiej do ciebie pasuje. Znacznie lepiej niż ja kiedykolwiek. – Podniósł wzrok. – Dlaczego? Cosima, dlaczego to zrobiłaś? Tak bardzo brakowało ci przygód?

– Nie, to nie to. – Kobieta wzruszyła ramionami. – Nie ma jednego, prostego wyjaśnienia. I nie mam też nic na swoje usprawiedliwienie. Aleksa spotkałam w bardzo trudnej dla mnie chwili. Byłam na ciebie zła za Majorkę.

– Aha. I ze złości wskoczyłaś jakiemuś facetowi do łóżka. Bo się zdenerwowałaś na mnie. – Bodenstein potrząsnął głową i zamknął walizkę. Wyprostował się. – Świetnie.

– Oliver, błagam, nie rezygnuj z tego wszystkiego! – W głosie Cosimy pojawiła się nutka błagania. – Popełniłam błąd, wiem o tym. Jest mi bardzo przykro. Ale przecież tyle rzeczy nas łączy.

– I jeszcze więcej rzeczy nas dzieli. – Pokręcił głową. – Cosima, nigdy już ci nie zaufam. Nigdy. A bez zaufania nie chcę i nie potrafię żyć.

Bodenstein zostawił ją tak, jak stała i poszedł do łazienki. Zamknął za sobą drzwi, rozebrał się i wszedł pod prysznic. Gorąca woda rozluźniła spięte mięśnie i nieco go uspokoiła. Myślami wrócił do poprzedniej nocy i wszystkich kolejnych, jakie miały dopiero nadejść. Już nie będzie musiał leżeć i nie mogąc zmrzyć oka, zastanawiać się, co porabia na kolejnej wyprawie. Nigdy nie wiedział, jak się jej wiedzie i czy nie jest w niebezpieczeństwie. Nie będzie się troszczył, czy nie miała wypadku albo czy niewylądowała z jakimś facetem w łóżku. Zaskoczyła go natomiast myśl, że nie czuje żalu, a jedynie głęboką ulgę. Od teraz nie musiał grać według jej zasad. I, uświadomił sobie nagle, nigdy nie będzie musiał żyć według reguł, które ktoś mu narzuci. Teraz będzie robił tylko to, co sam uzna za właściwie.

*

MIAŁ NADZIEJĘ, że nie przyjechali za późno, ale okazało się, że jeszcze muszą poczekać. Dopiero po piętnastu minutach pojawił się czarny mercedes i stanął przed zamkniętą bramą fabryki Terlindena. Kilka sekund później stalowa konstrukcja drgnęła i odsunęła się na bok. Zgasły światła hamulca i limuzyna wjechała na teren zakładu.

– Teraz! Szybko! – syknął Tobias. Wyskoczyli z samochodu i puścili się biegiem. Dopadli bramy, zanim zdążyła się zamknąć. W budce nie było strażnika. Nocą teren zakładu obserwowały jedynie kamery. Od dłuższego czasu nie było już stróżów – Tobias dowiedział się tego od Michaela, który tu pracował. Teraz trochę odpocznie od pracy, pomyślał Tobias z ponurą satysfakcją. Michael razem z Jörgiem, Feliksem i Nadją trafi do więzienia na dłużej.

Zaczął padać śnieg. W milczeniu szli po śladach opon, które znaczyły trasę przejazdu mercedesa. Tobias trochę zwolnił. Trzymał Amelie za rękę – miała lodowate palce. Dziewczyna bardzo schudła i zmizerniała w czasie porwania. Właściwie nie powinien był jej brać na taką akcję. Ale ona się

uparła i nawet nie chciała słyszeć, że mógłby pójść sam. W milczeniu mijali kolejne hale. Kiedy wyszli zza rogu i stanęli przed budynkiem zarządu, na jednym z górnych pięter zapaliło się światło. Przed głównym wejściem stał czarny mercedes, skąpany w pomarańczowej poświacie nocnych lamp. Tobias pociągnął Amelie za sobą i przemknęli przez opustoszały i pogrążony w mroku parking, by stanąć przed wejściem.

– Drzwi są otwarte – szepnęła dziewczyna.

– Wolałbym, żebyś tu poczekała – odparł Tobias i popatrzył na nią z powagą. Jej wielkie, ciemne oczy odcinały się od bladej twarzy. Energicznie potrząsnęła głową.

– W żadnym razie. Idę z tobą.

– Jak chcesz. – Nabrał głęboko powietrza, przytulił ją mocno i zaraz puścił. – Dzięki, Amelie.

Dziękuję za wszystko.

– Nie chrań – mruknęła opryskliwie. – Idziemy czy będziemy tu tkwili?

Na twarzy Tobiasa pojawił się uśmiech. Kiwnął głową i ruszył. Przemknęli w milczeniu przez hol wejściowy, minęli windę i stanęli przed drzwiami na klatkę schodową. Były otwarte. Claudius Terlinden najwyraźniej nie obawiał się włamywaczy. Zanim dotarli na czwarte piętro, Amelie ledwie łapała powietrze. Ciężko dysząc, złapała się poręczy i stała tak, dopóki nie uspokoiła oddechu. Tobias pchnął ciężkie, szklane drzwi. Otwierając się, lekko zastukały. Sartorius znieruchomiał i popatrzył na korytarz, oświetlony jedynie lampkami ewakuacyjnymi umieszczonymi tuż nad podłogą. Trzymając się za ręce, ruszyli przed siebie. Serce waliło mu z nerwów jak oszalałe. Tobias zatrzymał się nagle, bo przez uchylone drzwi jednego z biur usłyszeli głos Claudiusa Terlindena.

– ...pospieszyć. Jeśli śnieżycy przybierze na sile, samolot nie dostanie pozwolenia na start.

Spojrzał na Amelie. Terlinden musiał rozmawiać przez telefon. Wyglądało więc na to, że dotarli na czas, bo z dobiegających strzępków rozmowy wynikało, że wybierał się gdzieś samolotem. Po chwili nasłuchiwania ruszyli dalej. Nagle usłyszeli głos drugiej osoby. Amelie zadrżała z przerażenia i zamarła, ściskając kurczowo dłoń Tobiasa.

– Co się z tobą dzieje? – zapytała doktor Daniela Lauterbach. – Dlaczego stoisz w miejscu i nic nie robisz?

Drzwi, zza których dobiegała ta rozmowa, otworzyły się szerzej i korytarz zalało światło z wnętrza biura. Tobias w ostatniej chwili przywarł plecami do wejścia do jednego z pomieszczeń, otworzył je i wciągnął za sobą dziewczynę. Otoczyły ich ciemności. Znieruchomieli i z bijącymi szaleńczo sercami nasłuchiwali dalszej wymiany zdań.

– Cholera, co ona tu robi? – wyszeptała Amelie po chwili i potrząsnęła głową. – Przecież ona chciała zabić mnie i jego syna! Terlinden musi o tym wiedzieć!

Tobias potaknął. Był spięty. Myślał gorączkowo, w jaki sposób powstrzymać Claudiusa

i lekarkę, zanim wsiądą do samolotu. Nie mógł dopuścić, żeby uciekli, bo wiedział, że nigdy ich już nie odnajdą. Gdyby był sam, natychmiast wszedłby po prostu do biura. Ale był z Amelie, a jej nie wolno mu było narażać. W końcu zatrzymał wzrok na jednym z biurzek.

– Schowaj się – szepnął, wskazując na mebel. Amelie chciała protestować, jednak Tobias się nie ugiął. Począł, aż wpełźnie pod blat, po czym sięgnął po słuchawkę i przycisnął ją do ucha. W słabej poświacie docierającej z zewnątrz ledwie widział przyciski. Na chybił trafił wybrał klawisz, który, miał nadzieję, był wyjściem na zewnętrzną linię. Miał szczęście, bo z głośniczka popłynął sygnał. Trzęsącym się palcem wybrał numer policji.

*

STAŁ ZAMYŚLONY przed otwartym sejfem i masował obolałą szyję. Patrzył gdzieś w dal, lecz nie zwracał uwagi na to, co widział. Od nieszczęśliwego wypadku w szpitalu był strasznie rozbity. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że jego serce zaraz się zatrzyma i na kilka uderzeń przestanie bić. Nie wiedział, czy to była wina krótkiego niedotlenienia? Sartorius rzucił się na niego jak szaleniec i zacisnął dłonie z siłą, której nikt się nie spodziewał. Po chwili zabrakło mu powietrza i przed oczyma zawirowały czerwone plamy. Pomyślał, że wybiła jego godzina. Nigdy wcześniej nie został zaatakowany fizycznie i nie musiał walczyć. W tamtym momencie dowiedział się, co dosłownie oznacza spojrzeć śmierci w oczy. Nie pamiętał, jak uwolnił się z rąk szaleńca, ale następną rzeczą, jaką zobaczył, był Hartmut na ziemi i błyskawicznie powiększająca się kałuża krwi. Przerazające! Po prostu przerazające! Claudius Terlinden zdawał sobie sprawę, że wciąż jest jeszcze w szoku.

Popatrzył na Danielę, która klęczała obok biurka i z zaciętą miną skręcała obudowę komputera. Schowała do torebki dysk twardy, który podmieniła na nowy. Uparła się, że to zrobi, choć on uważał, że to bez sensu. Nie miał w komputerze niczego, co mogłoby zainteresować policję. Wszystko poszło inaczej, niż zaplanował. Teraz, poniewczasie, Claudius Terlinden musiał przyznać się przed samym sobą, że tuszowanie udziału Larsa w wydarzeniach, które zakończyły się śmiercią Laury Wagner, było koszmarnym i brzemienne w skutki błędem. Nie przewidział, do czego w ten sposób doprowadzi. Zależało mu tylko, by chłopak nie został w to wplątany. Tamta niepotrzebna decyzja zmusiła go potem do podjęcia dziesiątków innych, już koniecznych, kroków. Sieć kłamstw stała się po pewnym czasie tak gęsta i zagmatwana, że pojawiły się nieuniknione ofiary. Gdyby chociaż te wsiowe przygłupki posłuchały go, zamiast działać na własną rękę! Wtedy nic by się nie stało! A tak mała ryska, która pojawiła się, gdy Tobias wrócił do Altenhain, zmieniła się błyskawicznie w potężną wyrwę – czarną otchłań. Jego całe życie: zasady, codzienne rytuały i bezpieczeństwo – to wszystko wpadło w nią i uległo zniszczeniu.

– Co się z tobą dzieje? Dlaczego stoisz i się nie ruszasz?

Głos Daniela wyrwał go z zamyślenia. Stękając, wstała z podłogi i przyjrzała mu się

z pogardliwą miną. Claudius dopiero wtedy się zorientował, że wciąż jeszcze trzyma się za gardło. Odwrócił się. Już od dawna musiała liczyć się z tym, że cały plan weźmie w łeb. Zakładała, że będą musieli uciekać. Dlatego przygotowała plan B – doskonały, dopracowany w najdrobniejszych szczegółach. On natomiast dał się zaskoczyć. Nowa Zelandia! Co miałyby tam niby robić? Tutaj, w Altenhain był na swoim miejscu. Tutaj, we wsi, w zakładzie, ba, tylko w tym gabinecie był u siebie. Nie chciał uciekać, nawet jeśli w najgorszym razie czekało go kilka lat więzienia. Myśl, że miałyby mieszkać w innym kraju, przybierając nową tożsamość, napawała go niepewnością... strachem. Tak, strachem. Tutaj był kimś; tutaj wszyscy go znali i szanowali. A ta cała afera niedługo się uspokoi. W Nowej Zelandii będzie nikim. Zostanie bezimiennym uciekinierem – już na zawsze.

Rozejrzył się po przestronnym gabinecie. Czy naprawdę widzi to wszystko po raz ostatni w życiu? Czy naprawdę nigdy nie będzie mu dane wejść do własnego domu, odwiedzić grobów rodziców i dziadków na miejscowym cmentarzu i podziwiać ulubionych widoków? Na samą myśl o tym poczuł wszechogarniający smutek, a do oczu napłynęły mu łzy. A przecież tak ciężko pracował! Doprowadził dzieło poprzednich pokoleń do prawdziwego rozkwitu – i teraz miałyby to wszystko porzucić?

– Cholera, Claudius! Weź się w garść! – Głos Daniela Lauterbach zabrzmiał jak świst ostrza. – Śnieżycy przybiera na sile! Musimy już iść!

Papiery, których nie zabierał ze sobą, wrzucił z powrotem do sejfu. Przez przypadek dotknął szkatułki, w której leżał pistolet.

Nie chcę odchodzić, pomyślał. Wolałbym popełnić samobójstwo.

Zamarł. Skąd w jego głowie pojawiła się taka myśl? Nigdy nie potrafił zrozumieć, jak można być takim tchórzem, żeby uznać, że samobójstwo to jedyna droga wyjścia z sytuacji! Wszystko się zmieniło, od kiedy śmierć zajrzała mu w oczy.

– Czy jesteśmy tu sami? – zapytała Daniela. – W budynku może być ktoś jeszcze?

– Nie – wykrztusił Terlinden i wyjął z sejfu pudełko z bronią.

– Ale linia zewnętrzna jest zajęta – wyjaśniła, wskazując na centralkę telefoniczną. – Stanowisko 23?

– Tak, to w księgowości. Ale tam nikogo nie ma.

– Zamknąłeś za sobą, jak przyjechaliśmy?

– Nie – otrząsnął się z zamyślenia, otworzył wieczko i spojrzał na beretkę.

*

WSZYSTKIE STOLIKI w restauracji przy ogrodzie zoologicznym były zajęte. W sali panowała lekka duchota, było gorąco i głośno. Pia nie zwracała na nic uwagi. Siedziała z Christophem przy stoliku przy samym oknie i nie potrafiła się skupić ani na tym, co powiedzieli urzędnicy z nadzoru budowlanego, ani na wspaniałej panoramie rozświetlonego Kronbergu czy wyrastających w oddali

wieżowcach centrum Frankfurtu. Na talerzu przed nią leżał pachnący uwodzicielsko stek z przepysznej wołowiny, doskonale wygrillowany i soczysty – ale nie robił na niej wrażenia. Miała ściśnięty żołądek.

Ze szpitala pojechała prosto do domu. Rozebrała się, wrzuciła rzeczy do pralki i weszła pod prysznic. Stała w strugach gorącej wody, dopóki nie zużyła całego bojlera. Mimo to po wyjściu czuła się dalej brudna i zbrukana. Pia przyzwyczała się już do widoku zwłok, ale nie do tego, żeby ktoś umierał jej na rękach; a już na pewno nie, jeśli znała tę osobę i minutę wcześniej z nią rozmawiała. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Może wolałabyś wrócić do domu? – zapytał Christoph. W jego ciemnych oczach widać było troskę. Patrzył na nią i widział, że ledwie nad sobą panuje. Gdzie podziewał się Tobias? Żeby tylko nic mu się nie stało! I żeby nie zrobił niczego głupiego...

– Nie, nie trzeba. Już w porządku. – Zmusiła się do uśmiechu i spojrzała na jedzenie. Widok soczystego mięsa sprawił, że poczuła odruch wymiotny. Odsunęła od siebie talerz. – Bardzo cię przepraszam, niewiele będziesz miał dzisiaj z mojego towarzystwa. Wciąż mam wyrzuty sumienia.

– Nie przejmuj się, doskonale cię rozumiem. Ale pomyśl, przecież nic nie mogłaś zrobić, prawda? – Christoph nachylił się nad stolikiem i dotknął dłonią jej policzka. – Sama powiedziałaś, że wszystko rozegrało się w ułamku sekundy.

– Tak, masz rację. Cholera, to nie tak. Nic nie mogłam, rozumiesz? Nie miałam szans zareagować, a mimo to... – westchnęła ciężko. – W takich sytuacjach nienawidzę tej pracy.

– Kochanie, spokojnie. Chodź, pojedziemy do domu, otworzę butelkę czerwonego wina i...

Zamilkł, bo z kieszeni Pii dobiegł sygnał telefonu. Wiedział, że dzisiaj ma jeszcze dyżur.

– Bardzo mnie zainteresowałaś tym, co miało być po „i”. – Pia uśmiechnęła się słabo, na co Christoph znacząco uniósł brwi. Policjantka wyjęła słuchawkę, zaakceptowała połączenie i się zgłosiła.

– Siedem minut temu na numer alarmowy zadzwonił niejaki Tobias Sartorius – oznajmił dyżurny policjant z centrali na komisariacie. – Twierdzi, że jest w budynku firmy Terlinden w Altenhain i że jest tam też jakaś kobieta o nazwisku Lauterbach. Na wszelki wypadek wysłałem jeden radiowóz...

– O cholera... – przerwała mu Pia. W głowie miała mętlik. Co Daniela Lauterbach robiła z Claudiusem Terlindenem? A Tobias? Skąd on się tam wziął? Czyżby chciał się zemścić? Po tym wszystkim, przez co przeszedł, był bez wątpienia równie groźny jak odbezpieczony granat. Zerwała się z krzesła. – Natychmiast wezwij naszych. Tylko niech nikt nie włącza syren ani świateł! Mają czekać na mnie i Bodensteina.

– Co się stało? – zapytał Christoph. Pia wyjaśniła mu w kilku słowach sytuację, wybierając jednocześnie numer szefa. Ku jej wielkiej uldze Bodenstein odebrał po drugim sygnale. Christoph

podszedł do właściciela restauracji, który znał go jako dyrektora pobliskiego ogrodu zoologicznego, i zapewnił, że wpadnie następnego dnia i zapłaci za wszystko.

– Podrzucę cię – powiedział do Pii. – Poczekaj sekundę, to polecę po nasze kurtki.

Policjantka kiwnęła głową i szybkim krokiem wyszła przed restaurację, gdzie stała pośród padającego śniegu i rozejrzała się niecierpliwie. Dlaczego Tobias zadzwonił na policję? Czyżby coś mu się stało? Boże, żeby tylko dojechać na czas!

*

– CHOLERA! – mruknął Tobias, czując, jak wzbiera w nim złość. Claudius i Daniela wyszli z biura i targając ze sobą walizki i aktówki, zmierzali w kierunku windy. W jaki sposób mógłby ich zatrzymać? I ile czasu potrzebowała policja, żeby zjawić się na miejscu? Cholera, cholera jasna! Odwrócił się i spojrzał na Amelie, która wyjrzała spod stołu.

– Zostań tutaj – polecił jej głosem zachrypniętym z nadmiaru emocji.

– A ty dokąd idziesz?

– Spróbuję wciągnąć ich w rozmowę, dopóki nie pojawi się policja.

– Nie, Tobi! Nie rób tego, błagam! – Dziewczyna wyskoczyła ze swojej kryjówki. W słabym, matowym świetle wpadającym przez duże szyby jej oczy wyglądały jak spodki. – Błagam, pozwól im odejść! Strasznie się o ciebie boję!

– Nie mogę! Nie dam im uciec, nie po tym, co mi zrobili i co zrobili mojej rodzinie. Kto jak kto, ale ty mnie na pewno zrozumiesz – odparł z naciskiem. – Amelie, zostań tu, proszę. Nie wolno ci wychodzić. Przyrzekasz?

Nastolatka przełknęła głośno ślinę, otoczyła się ramionami, jakby jej było zimno, i w końcu kiwnęła głową. Tobias nabrał głęboko powietrza i położył dłoń na klamce.

– Tobi!

– Tak?

Podeszła, uniosła ramię i wnętrzem dłoni pogłaskała go po twarzy.

– Uważaj na siebie – wyszeptała, a po jej policzku stoczyła się łza. Tobias nie mógł oderwać wzroku od jej oczu. Przez chwilę walczył z pokusą, by wziąć ją w ramiona, pocałować i zostać z nią. Ale potem zwyciężyła kotłująca się w nim wściekła żądza zemsty, która go tu sprowadziła. Za wszelką cenę musiał ich zatrzymać!

– Spokojnie, zaraz wracam – wymamrotał i wyskoczył na korytarz, zanim zdążył zmienić zdanie. Pobiegł do windy, ale drzwi były już zamknięte, a kabina jechała na parter. Dopadł do klatki schodowej i przeskakując po trzy, cztery stopnie naraz, rozpoczął dziki pościg. W holu znalazł się w tym samym momencie co uciekinierzy.

– Stać! – wrzasnął, a jego głos odbił się echem w obszernym pomieszczeniu. Oboje zatrzymali się jak rażeni piorunem. Terlinden upuścił walizkę, a Tobias poczuł, że cały drży. I choć najchętniej

rzuciłby się na nich z pięściami, wiedział, że musi się opanować i zachować spokój.

– Tobias! – Claudius pierwszy się opamiętał. – Ja... to znaczy... tak bardzo mi przykro, z powodu... no wiesz... twojego ojca. Naprawdę, musisz mi wierzyć, że nie chciałem...

– Zamknąć się! – wrzasnął Tobias i obszernym łukiem obszedł uciekającą parę, ani na chwilę nie spuszczać z nich wzroku. – Mam już po dziurki w nosie tych kłamstw! To pan jest wszystkiemu winien! Pan i ta... ta pana wiedźma! – Oskarżycielsko wycelował palec w Danielę Lauterbach.

– Przez te wszystkie lata udawał pan współczucie i chęć pomocy, a jednocześnie wiedział pan o wszystkim! Cały czas znał pan prawdę! I mimo wszystko pozwolił pan, żebym przez dziesięć lat gnił w więzieniu! A teraz chcecie razem uciec, tak? Po nas choćby i potop, co? Ale się przeliczyliście. Zadzwoniłem już po policję, zaraz tu będą.

Jego uwagi nie uszło pospieszne spojrzenie, jakie wymienili Daniela i Claudius.

– A teraz posłuchajcie, co o was wiem. A wiem niemało! Mój ojciec nie żyje i nic już nie może powiedzieć, ale na szczęście ja też mam pojęcie o tym, coście zrobili dwadzieścia lat temu!

– Uspokój się. – Daniela Lauterbach posłała mu swój przyjazny uśmiech, którym udawało się jej dotychczas skutecznie zwodzić świat. – O czym w ogóle mówisz?

– Mówię o pani pierwszym mężu. – Tobias podszedł bliżej i stanął dokładnie naprzeciwko. Momentalnie poczuł na sobie chłód świdrującego spojrzenia jej ciemnych oczu. – O Wilhelmie. O wujku Willim, starszym bracie Claudiusa. I o jego testamencie!

– Rozumiem. – Daniela uśmiechnęła się niewzruszona. – A może mi jeszcze wyjaśnisz, dlaczego miałoby to zainteresować policję?

– Dlatego, że otwarty testament nie był prawdziwy – odparł Tobias. – Oryginalny, ostatni testament został podmieniony przez notariusza, doktora Fuchsbergera i przekazany mojemu ojcu. Za zamienienie oryginału na podróbkę Claudius Terlinden zapłacił mu sto tysięcy ówczesnych marek.

Uśmiech stężał na twarzy Danieli Lauterbach.

– Pani pierwszy mąż był śmiertelnie chory, ale mimo to nie pochwalał pani romansu ze swoim młodszym bratem. Dlatego na dwa tygodnie przed śmiercią zmienił swoją ostatnią wolę i wydziedziczył was oboje. Jediną spadkobierczynią uczynił córkę swojego kierowcy, bo niewiele wcześniej dowiedział się, że w maju 1976 roku zaszła z Claudiusem w ciążę, a potem, zmuszana, zgodziła się usunąć dziecko.

– Nie wiem, kto naopowiadał ci takich głupot – wtrącił się Claudius Terlinden. – Naprawdę, większego bezsensu w życiu nie słyszałem.

– Nie! – Tobias ani na chwilę nie spuszczał Danieli Lauterbach z oczu. – Ojciec nie musiał mi niczego mówić. Doktor Fuchsberger dał mu wtedy testament z poleceniem, żeby go zniszczył. Tyle że tego nie zrobił. Ukrył go. I testament pozostawał w ukryciu. Aż do dzisiaj.

Przerwał i rzucił szybkie spojrzenie Claudiusowi Terlindenowi.

– To dlatego tak panu zależało, żeby ojciec nie wyjeżdżał z Altenhain, prawda? Chciał go pan mieć pod kontrolą, bo za dużo wiedział. Gdy uczciwie na to spojrzeć, to ani ta firma, ani dom, w którym pan mieszka, nie należą do pana. Pani Lauterbach też nie otrzymałaby domu ani pieniędzy... zostałyaby z niczym, gdyby uszanować wolę Wilhelma Terlindena. Zgodnie z tym dokumentem wszystko należy do córki kierowcy Wilhelma, Kurta Cramera... – prychnął Tobias. – Szkoda, że mój ojciec nigdy nie zebrał się na odwagę, żeby go upublicznić. Szkoda, bo właściwie...

– Tak, rzeczywiście, wielka szkoda – potwierdziła Daniela Lauterbach. – Szkoda, bo właśnie coś mi przyszło do głowy.

Terlinden i Lauterbach stali plecami do klatki schodowej i nie mogli zobaczyć Amelie, która uchyliła drzwi i weszła do holu. Zauważyli natomiast, że Tobias na chwilę odwrócił wzrok. To Danieli wystarczyło. Sięgnęła po pudło, które Terlinden trzymał pod pachą, i kiedy Sartorius znów na nią spojrzał, zobaczył wylot lufy pistoletu.

– Zapomniałam już o tamtym paskudnym wieczorze i pewnie tak by już zostało, gdybyś mi o nim nie przypomniał. Claudius, ty też pewnie pamiętasz, jak Wilhelm wszedł bez pukania do sypialni i z tego samego pistoletu celował do nas... – Uśmiechnęła się do Tobiasa. – Dziękuję za podpowiedź, bobym na to pewnie nie wpadła. Idioto!

I bez wahania pociągnęła za spust. Ciszę pustego holu rozerwał ogłuszający huk wystrzału. Tobias poczuł potężne uderzenie i miał wrażenie, że eksploduje mu klatka piersiowa. Z niedowierzaniem wpatrywał się w lekarkę, która, jakby nigdy nic, odwróciła się i ruszyła do wyjścia. Usłyszał jeszcze przerażone wołanie Amelie i chciał jej odpowiedzieć, ale nie mógł nabrać powietrza. Potem nogi odmówiły mu posłuszeństwa i padł na ziemię. Tobias Sartorius nie poczuł już, jak uderza w granitową posadzkę. Dookoła niego zapanowała martwa cisza.

*

ZASTANAWIALI SIĘ WŁAŚNIE, jak dostać się na starannie ogrodzony teren zakładu Terlinden-Werke, kiedy od strony budynków zaczął zbliżać się do bramy ciemny samochód. Limuzyna gnała w kierunku bramy, która automatycznie odsunęła się na bok.

– To on! – krzyknęła Pia i dała znak pozostałym. Za kierownicą mercedesa rzeczywiście siedział Claudius Terlinden. Biznesmen musiał ostro hamować, bo tuż przed maskę wyjechały mu dwa radiowozy.

– Jest sam – stwierdził Bodenstein. Pia wyjęła pistolet, podeszła do drzwi kierowcy i dała znak, żeby opuścił szybę. Dwóch funkcjonariuszy osłaniało ją, stając z drugiej strony auta, z bronią gotową do strzału.

– Czego pani chce? – zapytał Terlinden. Siedział sztywny, wyprostowany, jakby połknął kij od

szczotki, i nerwowo ścisnął kierownicę. Mimo chłodu ociekał potem.

– Proszę wysiąść, otworzyć wszystkie drzwi i pokazać, co ma pan w bagażniku – polecił Bodenstein. – Gdzie jest Tobias Sartorius?

– Skąd mam wiedzieć?

– A pani Lauterbach? Gdzie ona jest? Niech pan mówi!

Terlinden nie drgnął. Siedział bez ruchu, z rękoma na kierownicy, a w jego wytrzeszczonych oczach czaiła się panika.

– Nigdzie nie wysiada – rozległ się z tylnej kanapy kobiecy głos. Przyciemnione szyby w drzwiach uniemożliwiły zobaczenie pasażerki wcześniej. Bodenstein nachylił się i zajrzał do środka, nad ramieniem kierowcy. Z tyłu siedziała Daniela Lauterbach i trzymała pistolet wycelowany w głowę Claudiusa.

– Natychmiast nas przepuście, bo inaczej rozwalę mu łeb – zagroziła. Bodenstein poczuł, że też zaczął się pocić. Ani przez chwilę nie wątpił, że kobieta jest gotowa spełnić swoją groźbę. Daniela Lauterbach miała broń i nic do stracenia – a to bardzo niebezpieczna kombinacja. W takich limuzynach drzwi same ryglują się już po kilku metrach jazdy, nie było więc szans, by szarpnąć za klamkę i wskoczyć do środka, żeby ją obezwładnić.

– Ona nie żartuje – wyszeptał Terlinden. Usta mu drżały i widać było, że jest w wielkim szoku. Bodenstein gorączkowo myślał co dalej. Nie mieli szansy uciec. Przy takiej pogodzie nawet mercedes klasy S na zimowych oponach nie pojedzie dużo szybciej niż sto dwadzieścia kilometrów na godzinę.

– Dobrze, każę was przepuścić – powiedział w końcu. – Ale niech mi pan powie, gdzie jest Tobias.

– Pewnie z tatą, w niebie – odpowiedziała za Claudiusa Daniela i zaśmiała się lodowato.

*

BODENSTEIN WRAZ z jednym z radiowozów ruszył natychmiast za czarnym mercedesem, który wyjechał ze wsi i skierował się na B8. Siedząca w fotelu pasażera Pia przez radio wezwała karetkę dla Tobiasa. Claudius wjechał na niedawno rozbudowaną, czteropasmową drogę krajową w kierunku autostrady. Na wysokości Bad Soden do pościgu przyłączyły się dwa kolejne radiowozy, a po kilku dalszych kilometrach jeszcze trzy. Na szczęście minęły już wieczorne godziny szczytu i ruch był niewielki. Bodenstein potrafił sobie wyobrazić, że gdyby Daniela Lauterbach utknęła w korku, sytuacja mogłaby się wymknąć spod kontroli. Teraz, skoro jechali, raczej nie posunie się do zastrzelenia kierowcy. Policjant spojrzął w lusterko wsteczne. Podążało za nim już kilkanaście wozów policyjnych z włączonymi sygnałami świetlnymi, które zajmując wszystkie pasy, trzymały pozostałe samochody za pościgiem.

– Chyba wjadą do miasta – stwierdziła Pia, widząc, że czarna limuzyna trzyma się prawej strony

na rozjeździe w Eschborn. Lekceważąc zakaz palenia obowiązujący w służbowych samochodach, sięgnęła po paczkę papierosów i zapalniczkę. Z głośnika krótkofalówki dobiegała gorączkowa wymiana zdań między funkcjonariuszami. Koledzy z Frankfurtu zostali już o wszystkim powiadomieni i przyrzekli się postarać, żeby na części ulic nie było ruchu, jeśli Terlinden rzeczywiście wjedzie między budynki.

– Pewnie chce się dostać na lotnisko. – Bodenstein próbował zgadnąć, dokąd jechali.

– Oby nie. – Pia pokręciła głową. Siedziała jak na szpilkach, czekając jakichś informacji o Tobiasie Sartoriusie. Szef oderwał na chwilę oczy od ściganego samochodu i popatrzył na partnerkę. Była blada z napięcia. Boże, co za dzień! Ledwie zeszło z nich trochę ciśnienie i emocje minionego tygodnia, Thies i Amelie wrócili cali i zdrowi, a już czekał na nich dziki pościg za uzbrojoną kobietą. Czy to w ogóle możliwe, że to wciąż ten sam dzień, który rozpoczął od pobudki w łóżku Nicoli?

– Jadą do miasta! – krzyknęła Pia, uruchamiając nadawanie. Terlinden minął zjazd na autostradę A5 i pojechał prosto. – Co ona wyprawia?

– Chcą się dostać do śródmieścia – zgadywał Bodenstein. Wycieraczki pracowały na najwyższym biegu, zgarniając z przedniej szyby deszcz, bo tutaj śnieg już nie padał. Terlinden pędził znacznie szybciej, niż pozwalały przepisy. Nie zatrzymywał się też na czerwonych światłach, a ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowali, był potrącony pieszy!

– Jest w pobliżu pawilonów targowych, skręca w prawo, we Friedrich-Ebert-Anlage – przekazywała Pia. – Jedzie bardzo szybko. Jeśli tylko się da, opróżnijcie ulice!

Bodenstein był bardzo skoncentrowany. W mokrym asfalcie odbijały się tylne światła ściganego samochodu, pojazdów zatrzymanych na poboczach i migające sygnały radiowozów, które rzeczywiście blokowały wjazd z bocznych uliczek.

– Cholera, chyba niedługo będę musiał zacząć jeździć w okularach – mruknął i dodał gazu, żeby nie stracić z oczu Terlindena, który po raz kolejny przejechał skrzyżowanie na czerwonym świetle. Ciekawe, co zamierzała Lauterbach? Dokąd jechała?

– Zastanawiałeś się może, czy... – zaczęła Pia, ale przerwała i zaczęła krzyczeć. – Skręca! W prawo! Za nim!

Całkowicie niespodziewanie, praktycznie nie zwalniając i bez migacza, Terlinden skręcił w stronę Placu Republiki. Bodenstein szarpnął kierownicą i zacisnął zęby, bo samochód wpadł w poślizg i niewiele brakowało, a zderzyłoby się z tramwajem.

– Cholera, było blisko – mruknął. – Dokąd pojechał? Nie widzę go!

– W lewo! W lewo! – Pia była tak podekscytowana, że zapomniała nazwy ulicy, choć wcześniej przez wiele lat pracowała na komisariacie dokładnie naprzeciwko. – Tam, tam pojechał! – krzyczała

i machała Bodensteinowi przed twarzą, usiłując wskazać kierunek ucieczki.

– Gdzie są? – zapytał ktoś przez radiostację. – Gdzie pojechali?

– Ottostrasse! – zawołał Bodenstein. – Widzę ich... nie, pomyłka. Nie mam kontaktu wzrokowego. Cholera!

– Niech pozostali jadą w kierunku dworca! – krzyknęła Pia do mikrofonu. – Może chciał nas zgubić.

Nachyliła się.

– W lewo czy w prawo? – krzyknął Bodenstein, kiedy dojechali do skrzyżowania z Poststrasse po północnej stronie Dworca Głównego. Gwałtownie zahamował, bo z prawej strony wyskoczyło jakieś auto. Przeklinając szpetnie, dodał gazu i nie czekając na odpowiedź, zdał się na instynkt, wybierając lewą stronę.

– O Boże! – jęknęła Pia, nie odrywając wzroku od ulicy. – Nawet się nie domyślałam, że możesz znać takie słowa!

– Mam dzieci – odparł Bodenstein i zwolnił. – Widzisz ich gdziekolwiek?

– Tutaj jest kilkaset samochodów – mruknęła Pia. Opuściła szybę i wyjrzała na zewnątrz. Gdzieś dalej stały radiowozy i migwały niebieskimi kogutami na dachach, a zaciekawieni piesi, mimo ulewnego deszczu, stali na chodnikach i przyglądali się ciekawie.

– Tam! – ryknęła nagle policjantka, a Bodenstein podskoczył ze strachu. – Tam są! Wyjeżdżają z parkingu!

I rzeczywiście, kilka sekund później czarny mercedes znalazł się przed ich oplem i gwałtownie zaczął nabierać prędkości. Bodenstein miał duże trudności z utrzymaniem mu się na ogonie. Pędzili ulicą Baseler, a potem wokół placu o tej samej nazwie, i wjechali na most Friedensbrücke. Bodenstein modlił się ciągle, żeby nikomu nic się nie stało. Pia siedziała wyprostowana i nie odrywała oczu od samochodu Terlindena. Pędzili za nim, przekraczając sto dwadzieścia na godzinę. Przejechali aleję Kennedy’ego, ciągnąc za sobą cały orszak rozmigotanych na niebiesko radiowozów. Przez ten czas policja też się zebrała przed czołem pościgu, jednak nie próbowali zatrzymać mercedesa.

– Czyli jednak chce uciec na lotnisko – stwierdziła Pia, kiedy znaleźli się na wysokości toru wyścigowego. Ledwie wypowiedziała te słowa, Terlinden skręcił gwałtownie, przeciął trzypasmową ulicę, zahaczył o krawężnik i wpadł w poślizg na szynach. Pia nie potrafiła mówić dostatecznie szybko, żeby zrelacjonować przez radio każdą zmianę kierunku. Radiowozy z przodu wjechały na ulicę prowadzącą do lotniska i nie miały już możliwości zawrócić. Na szczęście oni wciąż wisieli mu na zderzaku, nawet wtedy, kiedy Bodenstein wykonując bardzo karkołomny manewr, skręcił w Isenburger Schneise. Na całkowicie prostym odcinku Terlinden zaczął przyspieszać jak szaleniec, a Bodenstein pocił się z nerwów i głośno przełykał ślinę, lecz

robił, co mógł, żeby nie dać się zgubić. Wtedy nagle rozbłysnęły jaskrawo światła hamulca i ciężka limuzyna zatoczyła się na sąsiedni pas. Bodenstein zahamował tak gwałtownie, że służbowy opel też wpadł w poślizg. Czyżby Lauterbach pociągnęła za spust, kiedy jechali na najwyższym biegu?

– Tylna opona im strzeliła! – krzyknęła Pia, błyskawicznie oceniając sytuację. – Super! Teraz już nam nie uciekną!

I rzeczywiście: po brawurowej i wyjątkowo niebezpiecznej jeździe Terlinden grzecznie włączył migacz i skręcił w ulicę Oberschweinstige. Potoczył się w stronę lasu, nie przekraczając czterdziestu na godzinę, przejechał przez tory i zatrzymał się kilkaset metrów dalej, na niewielkim parkingu pod drzewami. Bodenstein stanął niedaleko. Pia wyskoczyła z auta i dała znak pozostałym, żeby utworzyli półkole, a potem wsiadła z powrotem do opla. Szef przez radio nakazał pozostanie w wozach. Daniela Lauterbach była uzbrojona; nie chciał niepotrzebnie ryzykować życia któregokolwiek z policjantów, tym bardziej że zaraz mieli przyjechać antyterrorysty. Wtedy nagle otworzyły się w mercedesie drzwi kierowcy. Bodenstein nabrał głęboko powietrza i się wyprostował. Z limuzyny wysiadł Terlinden. Zatoczył się lekko, przytrzymał drzwi i rozejrzał. A potem uniósł ręce nad głowę i stał tak, nieruchomo, pośród migającego niebieskiego światła.

– Co się dzieje? – popłynęły zniecierpliwione głosy z głośnika radiostacji.

– Zatrzymał się i wysiadł – wyjaśnił Bodenstein. – Idziemy.

Skinął głową w stronę Pii i razem ruszyli w stronę biznesmena. Pia celowała w stronę mercedesa. Trzymała palec na spuście, gotowa w każdej chwili zacząć strzelać.

– Spokojnie, nie musi się pani spinać – oznajmił Terlinden i opuścił ramiona. Nerwy policjantki były na granicy wytrzymałości, kiedy otworzywszy tylne drzwi, zajrzała do środka. Zdenerwowanie ulotniło się w ułamku sekundy, a zamiast tego pojawiło się rozczarowanie. Tylne kanapa była pusta.

*

– ZASKOCZYŁA MNIE W BIURZE. Wyrosła nagle przede mną z pistoletem w dłoni i zaczęła mi grozić – mówił urywanymi zdaniem Claudius Terlinden.

Poblady i zgarbiony siedział przy wąskim stoliku w furgonetce antyterrorystów i widać było, że jest w szoku.

– Dalej – zażądał Bodenstein. Biznesman chciał unieść dłoń i przesunąć palcami po twarzy, ale szarpnięcie przypomniało mu, że jest w kajdankach. Biedactwo, pomyślała cynicznie Pia. Przecież jest uczulony na nikiel. W ogóle mu nie współczuła.

– I ona... Daniela zmusiła mnie, żebym otworzył sejf – mówił Terlinden roztrzęsionym głosem. – Potem nie pamiętam dokładnie, co się wydarzyło. Wiem tylko, że na dole, jak już wychodziliśmy, niespodziewanie pojawił się Tobias. Z tą dziewczyną. Miał...

– Z jaką dziewczyną? – przerwała mu Pia.

– Z tą... no... z tą... nie pamiętam, jak ma na imię...

– Amelie?

– O właśnie. Ona była tam z nim.

– Dobrze, proszę kontynuować.

– Daniela wyciągnęła broń i bez wahania go zastrzeliła. A potem zmusiła mnie, żebym wsiadł za kierownicę.

– Co się stało z dziewczyną?

– Nie mam pojęcia. – Terlinden wzruszył ramionami. – Nic więcej nie pamiętam. Jechałem. Miałem robić, co mi kazała. Bo mnie zastrzeli.

– I wysiadła przy Dworcu Głównym? – odpowiedział Bodenstein.

– Tak. Nagle krzyknęła, że mam skręcić w prawo, potem w lewo, więc robiłem, co kazała.

– Mogę to zrozumieć. – Policjant potaknął, a potem nachylił się gwałtownie i zapytał ostrym głosem: – Jednak za diabła nie mogę zrozumieć, dlaczego, skoro wysiadła na dworcu, pan pojechał dalej, zamiast też wysiąść! Po co był ten niebezpieczny rajd ulicami miasta? Ma pan pojęcie, jak łatwo w takich sytuacjach o wypadek?

Pia przygryzła dolną wargę i nie spuszczała Terlindena z oczu. Kiedy Bodenstein odwrócił się do niej, Terlinden popełnił błąd. Zrobił coś, czego nigdy nie robią ofiary będące w szoku – spojrzał na zegarek.

– Pan łże jak nakręcony! – wrzasnęła z wściekłością. – To wszystko to ukartowana gra, pana i Daniela Lauterbach! Chciał pan zyskać na czasie, żeby mogła uciec! Gdzie ona jest? Dokąd pojechała?

Jeszcze kilka minut Terlinden usiłował ich zwodzić i udawać przerażonego, jednak Pia była nieugięta.

– No dobrze, ma pani rację – przyznał w końcu. – Planowaliśmy, że razem uciekniemy. Nasz samolot odlatuje o dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć. Jeśli się pospieszycie, zdążycie ją dopaść.

– Dokąd? Dokąd ma lecieć? – Pia musiała walczyć ze sobą, żeby nie złapać przesłuchiwanego za ramiona i nie potrząsnąć nim energicznie. – No dalej, mów pan, dokąd! Ta kobieta zastrzeliła człowieka! To się nazywa morderstwo. Jeśli nie powie nam pan całej prawdy, i to natychmiast, przysięgam, że odpowie pan za współudział! Więc słucham: który lot i dokąd wybrała Daniela Lauterbach? I pod jakim nazwiskiem będzie podróżować?

– Do São Paulo – wyszeptał biznesmen i zamknął oczy. – Jako Consuela la Roca.

*

– JADĘ NA LOTNISKO – zdecydował Bodenstein, kiedy wyszli z furgonetki. – A ty zajmuj się dalej Terlindenem.

Pia potaknęła posłusznie. Brak wiadomości z Altenhain sprawiał, że denerwowała się coraz bardziej. Co się działo z Amelie? Czy Lauterbach zastrzeliła nastolatkę, tak jak Tobiasa? Poprosiła jednego z funkcjonariuszy, żeby dowiedział się, czy wiadomo, co się dzieje z Amelie, a potem wróciła do przesłuchiwanego.

– Jak pan w ogóle mógł z nią współpracować? Skąd panu przyszło do głowy, żeby uciekać z nią z kraju – zapytała Pia – skoro kilka dni wcześniej usiłowała zamordować pańskiego syna? Wie pan przecież, że przez całe lata szprycowała go narkotykami!

Terlinden zamknął na chwilę oczy.

– Pani nic nie rozumie – odparł znużony i odwrócił wzrok.

– Nie. Może mnie pan w takim razie oświeci? – powiedziała. – Niech mi pan na przykład wyjaśni, dlaczego Daniela Lauterbach uzależniła Thiesa od środków psychotropowych, a na koniec podpaliła oranżerię, w której miał pracownię?

Claudius Terlinden otworzył oczy i popatrzył uważnie na Pię. Milczał.

– Zakochałem się w Danieli, kiedy mój brat przyprowadził ją po raz pierwszy do domu – wyjaśnił w końcu. – To była niedziela, czternastego czerwca 1976 roku. Miłość od pierwszego wejrzenia. A mimo to, rok później, wyszła za Wilhelma. Zupełnie do siebie nie pasowali. Męczyli się razem i nie potrafili dogadać. Daniela odnosiła ogromne sukcesy w swoim zawodzie, a mój brat pozostawał w jej cieniu. Coraz częściej zdarzało mu się ją uderzyć, nawet przy ludziach. Latem 1977 roku Daniela poroniła. Rok później poroniła powtórnie, a potem jeszcze raz. Wilhelm chciał mieć następcę i oskarżał, że to wszystko jej wina. Kiedy moja żona urodziła bliźniaki, zupełnie postradał rozum.

Pia milczała. Pilnowała się, żeby mu nie przerwać.

– Daniela pewnie wystąpiłaby wkrótce o rozwód, jednak u brata zdiagnozowano nowotwór. W niewyleczalnym stadium. Nie chciała zostawić go w takim stanie. Nie mogła tego zrobić. Wilhelm zmarł w maju 1985 roku.

– Jak praktycznie. To się wam poszczęściło. – Pia nie kryła sarkazmu. – Ale to wciąż nie wyjaśnia, dlaczego pomagał jej pan w ucieczce, mimo że kilka dni wcześniej Daniela usiłowała zamordować pańskiego syna i Amelie, topiąc oboje w opuszczonej piwnicy! Znaleźliśmy ich dosłownie w ostatniej chwili. Gdyby nie to, byłoby już po nich, bo Daniela otworzyła zawory w piwnicy.

– O czym pani mówi? To prawda? – Claudius Terlinden popatrzył na nią zaskoczony.

Nagle Pia uświadomiła sobie, że biznesmen może naprawdę nie wiedzieć, do czego posunęła się Daniela Lauterbach. Był co prawda w szpitalu, w drodze do syna, ale przez tragiczny wypadek z ojcem Tobiasa Sartoriusa nikt z nim nie porozmawiał i nie wyjaśnił, co się wydarzyło. Poza tym,

nawet gdyby Terlinden spotkał się z synem, Thies niewiele mógłby mu powiedzieć. Pia zdecydowała, że w takim razie ona powinna mu naświetlić, co zamierzała Daniela i jak dalece zrealizowała swój plan zamordowania Amelie i jego syna.

– Nie, to nie może być prawda – wyszeptał poblądły. Spoglądał na nią całkowicie rozbity i potrząsał głową.

– A jednak. Daniela Lauterbach usiłowała pozbawić Thiesa życia, bo chłopak widział, jak jej mąż zabił Stefanie Schneeberger. A Amelie miała umrzeć, bo dzięki pańskiemu synowi poznała prawdę.

– Boże! – jęknął Terlinden i ukrył twarz w dłoniach.

– Mam wrażenie, że tak naprawdę nigdy nie poznał pan prawdziwej twarzy tej swojej wielkiej miłości, skoro był pan gotów uciec z nią za granicę. – Pia potrząsnęła głową.

Terlinden zamrugał oczyma.

– Ależ ze mnie idiota... to ja jestem wszystkiemu winien! Ja sam! To ja zaproponowałem Albertowi Schneebergerowi, żeby zamieszkał w domu obok mojego, i namawiałam na przeprowadzkę.

– A co Schneeberger ma z tym wspólnego?

– Jego córka, Stefanie, całkowicie zawróciła Thiesowi w głowie. Zwariował na jej punkcie. A potem zobaczył, co Gregor i ona robili... wie pani, o czym mówię. Wpadł w szal i rzucił się na Gregora. Musieliśmy odwieźć go do szpitala psychiatrycznego. Tydzień przed tamtą tragedią wrócił do domu. Wydawał się zupełnie spokojny. Odpowiednie leki działały cuda. A potem był świadkiem morderstwa.

Pia bała się oddychać, żeby nie rozproszyć Terlindena.

– Gregor chciał uciec, ale nagle wyrósł przed nim mój syn. Thies stał tam po prostu i patrzył. Nic nie mówił, bo nigdy nic nie mówi. Gregor wpadł w panikę i uciekł do siebie. Wył jak dziecko. – Terlinden powiedział to z nieukrywaną pogardą. – Daniela zadzwoniła po mnie. Spotkaliśmy się w stodole Sartoriusa. Thies siedział obok martwej nastolatki. Pierwsze, co mi przyszło do głowy, to ukryć gdzieś jej zwłoki. Przypomniałem sobie o nieużywanym schronie pod oranżerią. Tyle że nie dało się odciągnąć od niej Thiesa. Klęczał i trzymał dziewczynę za rękę. Daniela wpadła na pomysł, żeby mu powiedzieć, że ma na nią uważać. To było dość niebezpieczne rozwiązanie, ale zdało egzamin. Przez jedenaście długich lat zdawało. Dopóki w Altenhain nie pojawiła się Amelie. To ta ciekawska, wścibska dziewczucha wszystko zniszczyła.

Claudius i Daniela od początku znali prawdę o Stefanie, ale ukrywali ją przez jedenaście lat. Jak mogli normalnie żyć i funkcjonować z taką świadomością?

– A jak pan myślał – zapytała Pia – kto mógł stać za uprowadzeniem Amelie i pańskiego syna?

– Nadja – odparł Terlinden bez wahania. – Tamtego wieczoru, kiedy Gregor zabił Stefanie,

widziałem ją w stodole. Była tam. Ale nikomu o tym nie wspomniałem.

Westchnął ciężko.

– Później chciałem z nią o tym porozmawiać – mówił dalej. – Była bardzo opanowana. Skontaktowałem ją z pewnym starym przyjacielem, który miał rozległe znajomości w telewizji, a ona przysięgła, że nikomu o niczym nie powie. Wyjechała w końcu z Altenhain, o czym zawsze marzyła, i zrobiła wielką karierę. Dzięki temu zapanował u nas spokój. Wszystko wróciło do normy. – Potarł powieki. – I nic by się nie wydarzyło, gdyby wszyscy trzymali się ustalonych zasad.

– Ale ludzie to nie pionki w szachach – przerwała mu ostro Pia.

– Myli się pani – zaprzeczył biznesmen. – Większość ludzi jest szczęśliwa i zadowolona, kiedy zdejmie się im z barków odpowiedzialność za ich żałosne życie i podejmuje decyzje, do których oni nie byłiby zdolni. Ktoś musi pilnować wizji i kierunku. Pociągać za sznurki, kiedy zajdzie taka potrzeba. I tym kimś jestem ja. – Na jego twarzy pojawił się słaby uśmiech i wyraz dumy.

– Błąd – odparła Pia przytomnie, kiedy zrozumiała wszystkie zależności. – Nie pan, tylko Daniela Lauterbach, to ona wszystkim sterowała. Pan był tylko figurą w jej partii szachów i to ona mówiła panu, po których polach wolno się panu poruszać.

Uśmiech zniknął z twarzy Claudiusa Terlindena.

– Niech pan się lepiej modli, żeby mój szef dopadł Danielę na lotnisku, zanim wystartuje jej samolot. Bo inaczej pan jako jedyny będzie sądzony za to, co się tu wydarzyło. Na dożywocie wystarczy z okładem.

*

– NIE, TO NIE DO POJĘCIA. – Ostermann potrząsnął głową i popatrzył na Pię. – O ile dobrze zrozumiałem, do matki Tobiasa należy pół Altenhain.

– Dokładnie tak – potaknęła Pia. Na stole przed nią leżał testament, w którym Wilhelm Julius Terlinden postanawia, co należy uczynić z jego majątkiem. Ostatnia wola biznesmena została spisana dwudziestego piątego kwietnia 1985 roku i potwierdzona notarialnie. Wydziedziczał w niej swoją żonę, Danielę Terlinden z domu Kroner, oraz swojego brata Claudiusa Paula Terlindena. Amelie przekazała dokument w grubej kopercie jednemu z funkcjonariuszy, zanim wsiadła do karetki, którą Tobias Sartorius został odwieziony do szpitala. Mężczyzna miał ogromne szczęście w nieszczęściu, bo broń, z której do niego strzeliła Daniela, była małokalibrowa, i tylko dzięki temu trafienie nie okazało się śmiertelne. Stracił jednak dużo krwi i gdyby nie natychmiastowa operacja, cała przygoda mogłaby zakończyć się tragicznie.

– Nie rozumiem tylko, dlaczego testament Wilhelma Terlindena odnalazł się w sejfie Hartmuta Sartoriusa. Dlaczego akurat u niego? – Pia pokręciła głową. – I dlaczego Terlinden spisał go zaledwie kilka tygodni przed śmiercią?

– Pewnie dlatego, że wcześniej nie wiedział, że Daniela zdradza go z bratem.

– Hm – mruknęła Pia i z wielkim trudem powstrzymała się, żeby nie ziewnąć. Przez emocje całkowicie straciła poczucie czasu i dopiero teraz poczuła, że jest śmiertelnie zmęczona. Tobias i jego rodzina byli ofiarami intryg, wielkich pieniędzy i gry o władzę. Teraz jednak, dzięki przechowywanemu przez Hartmuta Sartoriusa testamentowi, jego syn i była żona mieli widoki na szczęśliwy – w wymiarze finansowym – finał sprawy.

– Kończymy na dzisiaj, dobrze? – Ostermann popatrzył na Pię. – Z papierami uporasz się jutro. Teraz nic tu po nas.

– Ale dalej nie rozumiem, dlaczego Hartmut Sartorius nie pokazał w sądzie tego testamentu. – Pia pokręciła głową.

– Pewnie bał się konsekwencji. Albo sam miał swoje za uszami. W jakiś sposób musiał wejść w posiadanie tego dokumentu i mogę się założyć, że nie był to legalny sposób – wyjaśnił Ostermann.

– Poza tym w Altenhain, jak w każdej wsi, istnieją wewnętrzne zasady. Znam to z autopsji.

– Co masz na myśli?

Ostermann uśmiechnął się i wstał zza biurka.

– Nie chcesz chyba, żebym o wpół do czwartej nad ranem opowiadał ci historię swojego życia, co?

– Wpół do czwartej? O rany... – Pia ziewnęła szeroko i się przeciągnęła. – Wiedziałaś, że Franka rzuciła żona? Albo że Hasse przyjaźnił się z ministrem edukacji?

– Pierwsze tak, drugie nie. – Ostermann wyłączył komputer. – Dlaczego pytasz?

– Sama nie wiem... – Pia wzruszyła ramionami. – Ale tak się porobiło, że z kolegami z pracy spędzamy więcej czasu niż z naszymi partnerami, żonami i mężami, a nic o sobie nie wiemy. Dlaczego tak jest?

Nagle jej telefon odezwał się dzwonkiem zarezerwowanym tylko dla Christopha. Czekał na nią na dole, na parkingu. Pia wstała z głośnym jękiem i sięgnęła po torebkę.

– Ten dzień mnie wykończył.

– Widzę, bo zaczynasz zastanawiać się nad sensem życia. – Ostermann uśmiechnął się, wychodząc z pokoju. – Jutro opowiem ci o sobie wszystko, co tylko będziesz chciała wiedzieć.

Pia uśmiechnęła się szeroko.

– Naprawdę wszystko?

– Słowo. – Ostermann włączył światło na korytarzu. – Nie mam nic do ukrycia.

*

W CZASIE KRÓTKIEJ DROGI z Hofheim do Unterliederbach Pia zasypiała ze zmęczenia. Nie zauważyła nawet, kiedy Christoph zatrzymał się i wysiadł, żeby otworzyć bramę. Podniosła powieki,

dopiero kiedy potrząsnął ją delikatnie za ramię i pocałował w policzek.

– Mam cię zanieść do domu? – zapytał z uśmiechem.

– Nie, lepiej nie. – Pia ziewnęła. – Bo przez następne kilka tygodni sama musiałabym nosić worki z paszą, a ty byś leczył kręgosłup.

Wysiadła z samochodu i zataczając się ze zmęczenia, weszła do domu. Psy przywitały ją radosnym szczekaniem i zmusiły do krótkiej sesji drapania za uchem. Dopiero kiedy zdjęła kurtkę i zzuła buty, przypomniała sobie o wizycie urzędników z nadzoru budowlanego.

– Spotkałeś się z nimi? Jak poszło? – zapytała.

Christoph wszedł do kuchni i włączył światło.

– Niestety, nie mam dobrych wiadomości – odparł poważnie. – Ani dom, ani zabudowania gospodarcze nie mogą zostać zalegalizowane. I to nigdy. I nie dostaniemy też pozwolenia na budowę, bo tędy ma przebiegać linia wysokiego napięcia.

– To jakaś paranoja! – Pia miała wrażenie, że zaraz się przewróci. Mówili przecież o jej domu! Jej małym świecie! Dokąd miała się wynieść? Gdzie podziać ze wszystkimi zwierzętami? Zszokowana wpatrywała się w Christopha. – Co teraz? Co się stanie?

Podszedł do niej i wziął ją w ramiona.

– Wystawili nakaz rozbiórki. Możemy zaskarżyć ich decyzję i zyskać trochę na czasie, ale nie uda nam się przeciągać tego w nieskończoność. Poza tym jest jeszcze jeden mały problem.

– Nie, błagam! – mruknęła Pia, bliska łez. – Co znowu?

– Hesja ma prawo pierwokupu twojej ziemi, bo planują tutaj zbudować dojazd do autostrady – wyjaśnił Christoph.

– Bosko. To znaczy, że mnie wywłaszczą! – Pia uwolniła się z jego objęć i usiadła na kuchennym stole. Jeden z psów przytulił się do jej ud, a ona pogłaskała go zamyślona. – Czyli straciłam wszystkie pieniądze.

– Nie! Wcale nie, posłuchaj tylko. – Christoph usiadł naprzeciwko niej i złapał ją za rękę. – Bo jest jeszcze dobra wiadomość. Ty zapłaciłaś trzy euro za metr kwadratowy ziemi. A Hesja zapłaci ci pięć.

Pia popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

– Skąd wiesz?

– No cóż, zna się odpowiednich ludzi. Pół dnia wisiałem dzisiaj na telefonie – zaśmiał się. – I dowiedziałem się jeszcze czegoś interesującego.

Tym razem i Pia się uśmiechnęła.

– Niech zgadnę. Znam cię na tyle, że wcale bym się nie zdziwiła, gdybyś znalazł nam nowe gospodarstwo.

– Rzeczywiście, całkiem dobrze mnie znasz – odparł rozbawiony, ale szybko spoważniał. –

Sprawa wygląda tak, że weterynarz, który zajmował się zwierzętami w zoo, chce sprzedać swoją klinikę dla koni. Kiedyś oglądałem tę stadninę, bo szukałem miejsca, gdzie moglibyśmy trzymać zwierzęta w czasie kwarantanny. Do tego się nie nadawała, ale... dla ciebie i dla mnie, no i oczywiście dla twoich zwierzaków będzie idealna. Załatwiłem dzisiaj klucze. Jeśli chcesz, możemy jechać tam jutro z samego rana. Co ty na to?

Pia spojrzała poważnie w jego ciemne oczy. Nagle poczuła, jak zalewa ją fala gorącego szczęścia. Nieważne, co się stanie – nawet jeśli zburzą jej dom i będzie musiała się wyprowadzić. Nie była sama. I tylko to się liczyło. Christoph był przy niej w sposób, jakiego nigdy nie zaznała z Henningiem. Nigdy nie zostawi jej w potrzebie.

– Dziękuję – powiedziała cicho i wyciągnęła dłoń. – Dziękuję, kochany. Jesteś niesamowity.

Dotknął jej dłoni i przysunął ją do swojego policzka.

– Robię to tylko po to, żeby móc z tobą zamieszkać – zaśmiał się. – Mam nadzieję, że rozumiesz, że nie pozbędziesz się mnie tak łatwo.

Pia poczuła kluchę w gardle.

– Mam nadzieję, że już nigdy – wyszeptała i uśmiechnęła się wzruszona.

WTOREK 25 LISTOPADA 2008

Minęła piąta rano, kiedy Bodenstein wyszedł ze szpitala. Był głęboko poruszony widok Amelie, która trwała przy łóżku Tobiasa, czekając, aż wybudzi się z narkozy. Policjant poprawił kołnierz płaszcza i ruszył w kierunku służbowego samochodu. Danielę Lauterbach aresztował w ostatniej chwili przed odlotem. Siedziała w samolocie do Australii, a nie Ameryki Południowej. Bodenstein szedł zamyślony wzdłuż zabudowań. Świeży śnieg skrzypiał pod butami. Miał wrażenie, że od chwili, kiedy znaleziono szkielet Laury Wagner, minęło przynajmniej kilka miesięcy. Podczas gdy wcześniejsze sprawy prowadził, przyjmując postawę zewnętrznego obserwatora, który zagląda w życie zupełnie obcym ludziom, tym razem osobiście zaangażował się w dochodzenie. Coś zmieniło się w jego podejściu i wiedział, że nigdy już nie uda mu się pracować w taki sposób jak wcześniej. Zatrzymał się przy samochodzie. Miał wrażenie, że po latach leniwego dryfu po spokojnych wodach rzeki życia niespodziewanie porwał go rwący prąd, zrzucił z potężnego wodospadu, i teraz płynie dalej, a równie niespokojna woda niesie go w nieznanym kierunku. Wizja ta z jednej strony go przerażała, a z drugiej wydawała się ekscytująca.

Wsiadł do samochodu, uruchomił silnik i poczekał, aż wycieraczki uporają się ze śniegiem na przedniej szybie. Poprzedniego dnia obiecał Cosimie, że jeśli obowiązki mu pozwolą, wpadnie rano na śniadanie, żeby spokojnie o wszystkim porozmawiać. Naraz uświadomił sobie, że nie czuje już wściekłości i jest w stanie wyobrazić sobie spokojną, rzeczową rozmowę o tym, co dalej. Wyjechał z parkingu i ruszył w kierunku Kelkheim. Nagle zadzwoniła jego komórka, która w szpitalu cały czas milczała z powodu braku zasięgu. Wyjął telefon z kieszeni i spojrzął na wyświetlacz. Wiadomość tekstowa. Kliknął na symbol koperty. Prośba o telefon wysłana dwadzieścia jeden minut po trzeciej nad ranem z numeru, którego nie kojarzył. Nie czekając na lepszy moment, kliknął wybieranie. Usłyszał sygnał.

– Tak? – przywitał go zaspany głos nieznanym kobiecie.

– Bodenstein, dzień dobry – odpowiedział. – Proszę wybaczyć porę, ale dopiero teraz dostałem informację z prośbą o kontakt i pomyślałem, że to pilne.

– Ach, to pan... dzień dobry – odparła kobieta. – Byłam z siostrą u Thiesa w szpitalu i dopiero co wróciłam do domu. Chciałam bardzo panu podziękować.

Bodenstein dopiero teraz pojął, z kim rozmawia, i serce wywinęło mu radosnego koziółka.

– Za co podziękować? – zapytał.

– Uratowaliście Thiesowi życie – wyjaśniła Heidi Brückner. – I mojej siostrze najpewniej też. Widzieliśmy w telewizji, że aresztowaliście mojego szwagra i tę Lauterbach.

– Rzeczywiście.

– No cóż – niespodziewanie w jej głosie pojawiła się nuta wahania. – To by było właściwie na

tyle. Ma pan... ma pan pewnie teraz sporo do odespania, prawda? Zmęczenie...

– Nie, nie jestem zmęczony – zapewnił ją szybko. – Zupełnie nie. Ale od wczoraj rana nie miałem niczego w ustach i chciałem wyskoczyć gdzieś na śniadanie.

Heidi milczała przez chwilę, a Bodenstein przestraszył się, że mógł przez przypadek rozłączyć rozmowę.

– W sumie śniadanie też by mi dobrze zrobiło – powiedziała w końcu. Bodenstein usłyszał uśmiech w jej głosie i sam też się uśmiechnął.

– Może byśmy razem wypili kawę? – zaproponował i miał nadzieję, że zabrzmiało to całkiem naturalnie, bo był strasznie spięty. Miał wrażenie, że przez tremę bicie serca czuje nawet w opuszkach palców. Zupełnie jakby robił coś zakazanego. Kiedy po raz ostatni umawiał się na wyjście z atrakcyjną kobietą?

– Nie mam nic przeciwko – odparła Heidi, a jemu ulżyło. – Tylko że jestem w domu. W Schotten.

– To i tak lepiej niż w Hamburgu – zażartował i z niecierpliwością wyczekiwał jej reakcji. – Chociaż, prawdę mówiąc, na dobrą kawę pojechałbym nawet do Hamburga, gdyby nie było innej możliwości.

– Może lepiej spotkajmy się w Vögelsberg – zaproponowała. Bodenstein zwolnił, bo dogonił pług śnieżny. Za kilometr miał zjazd na prawo, na krajową B8 do Kelkheim. Do Cosimy.

– Za mało informacji – powiedział, choć znał jej adres z wizytówki, którą mu dała. – Nie będę przecież krążył po całej miejscowości, licząc, że przypadkiem tam panią spotkam.

– Święta racja, szkoda czasu na takie manewry – roześmiała się. – Schlossgasse, numer dziewiętnaście. Centrum starówki.

– Wspaniale. Trafie bez problemów – zapewnił ją.

– Doskonale, w takim razie do zobaczenia. Tylko niech pan jedzie ostrożnie.

– Będę. Do zobaczenia. – Bodenstein rozłączył się i westchnął głęboko. Czy to był dobry pomysł? W biurze czekała na niego sarta dokumentów, a w domu Cosima. Przed sobą miał pług śnieżny. Droga w prawo prowadziła do Kelkheim.

Praca może poczekać. A rozmowa z Cosimą tym bardziej. Bodenstein nabrał głęboko powietrza i włączył kierunkowskaz. W lewo. Na autostradę.

PODZIĘKOWANIA

Długa, choć pasjonująca droga dzieli książkę od pomysłu do ostatniej kropki. Dziękuję mojemu mężowi Haraldowi za wyrozumiałość, moim siostrzom Claudii Cohen i Camilli Altvater, siostrzenicy Caroline Cohen, Simone Schreiber, Anne Pfenninger, Vanessie Müller-Raidt i Susanne Hecker za lekturę próbek i pomocne wskazówki w różnych fazach powstawania powieści. Dziękuję Chrście Thabor i Isce Peller za wspaniałą współpracę.

Podziękowania należą się również profesorowi Hansjürgenowi Bratzke, kierownikowi Centrum Medycyny Sądowej Uniwersytetu we Frankfurcie, za radę i wsparcie we wszystkich kwestiach merytorycznych.

Chciałabym także podziękować zespołowi K11 lokalnego inspektoratu policji kryminalnej w Hofheim, w którego progach goszczą Bodenstein, Pia i S-ka. Bez rad głównego radcy kryminalnego Petera Öhma, pierwszego nadkomisarza Bernda Beera, nadkomisarza Jochena Adlera, a zwłaszcza pani nadkomisarz Andrei Schulze praca policji kryminalnej w moich powieściach z pewnością daleka byłaby od rzeczywistości.

Podziękowania należą się też mieszkańcom Altenhain. Mam nadzieję, że nie mają mi za złe, że ich miejscowość uczyniłam miejscem akcji niniejszej powieści. Zapewniam, że wszystkie postaci i wydarzenia są wytworem mojej fantazji.

Najgorętsze podziękowania należą się paniom redaktorkom, Marion Vazquez i Kristine Kress. Marion za to, że zachęciła mnie do napisania tej książki i towarzyszyła mi w pracy, a Kristinie Kress za nadanie powieści ostatniego szlif. Współpraca z nimi dała mi dużo radości.

Dziękuję również Wam, moim wspaniałym czytelnikom i księgarzom za to, że moje książki Wam się podobają i, tym samym, za motywację do dalszej pracy.

Nele Neuhaus
listopad 2009

Niniejsza książka jest powieścią. Wszystkie postaci i wydarzenia są fikcyjne, a jakiegokolwiek podobieństwo do osób żyjących bądź zmarłych i do prawdziwych wydarzeń jest przypadkowe i niezamierzone.